

OBJAWIENIE

CAROL BERG



Tytuł oryginału:

REVELATION

Copyright © 2001, 2006 Carol Berg, Warszawa 2006.

Projekt okładki:

Gabriela Becla i Zbigniew Tomecki

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe

Wydanie I

Wydawca:

ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie:

Anna Studniarek

Korekta:

Aleksandra Gietka-Ostrowska

Skład:

KOMPEJ

ISA Sp. z o.o.

AL Krakowska 110/114

02-256 Warszawa

tel./fax (0-22) 846 27 59

e-mail: isa@isa.pl

ISBN: 978-83-7418-074-0

Dla Ginny, Jane i Shirley -
przyjaciółek i rzemieśniczek,
moich oczu i sumienia.

I dla Andrew, pierwszego fana i oddanego wielbiciela.

Rozdział I

Verdonne była piękną dziewczyną, śmiertelniczką, która zdobyła serce boga władającego lasami. Pan drzew pojął Verdonne za żonę, a ona urodziła mu pięknego i zdrowego syna imieniem Valdis. Zaś śmiertelni mieszkający wśród drzew cieszyli się ze związku jednej z nich i boga. - Opowieść o Verdonne i Valdisie przekazana pierwszym spośród Ezzarian, gdy przybyli oni do krainy drzew.

Nie jestem Wieszczem. Teraz gdy zrobiłem coś, co trudno sobie nawet wyobrazić, nie wiem, co mnie czeka. Wierzę... mam nadzieję... że to będzie jedność. Przez szesnaście długich lat myślałem, że oszaleję - byłem wtedy niewolnikiem i wierzyłem, że nie ujrzę już tych, których kochałem. Lecz sądzę, że bogowie lubią płatać nam figle. Ledwo odzyskałem zdrowe zmysły i pewność siebie, mój świat znów zaczął się rozpadać, a skoro już wkroczyłem na ścieżkę wiodącą ku samozniszczeniu, nie potrafię znaleźć sposobu, aby się zatrzymać.

- Nie ruszaj się - powiedziała szczupła dziewczyna, opatrując moje krwawiące ramię. Przemysła głębokie cięcie kawałkiem płótna moczonego w teravine, piekącym lekarstwie, które z pewnością przygotował jakiś derzhyjski kat. Jej dłoń była zaskakująco ciężka jak na kogoś o tak wiotkiej sylwetce, lecz już wiedziałem, że jej delikatny wygląd jest równie boleśnie zwodniczy jak żelaznej drzazgi.

- Wszystko, czego chcę, to łyk wody i własne łóżko - odparłem, odpychając jej dłoń i sięgając po leżący na podłodze szary płaszcz. Pomarańczowe światło gasnącego ognia lśniło ciepło na gładkim kamieniu. - Krwawienie ustało. Ysanne postara się to uleczyć.

- Niemądrze jest oczekiwać od królowej, że zajmie się niezabandażowaną raną, odniesioną w czasie walki z demonem. Przynajmniej dopóki nie urodzi się jej dziecko.

- Zatem zrobię to sam. Nie narażę na niebezpieczeństwo dziecka... naszego dziecka. - Spędzanie każdej chwili z kimś, kto uważa cię za zwyrodnialca, nie należy do przyjemności. Może byłoby mi łatwiej ignorować Fionę, gdyby nie była aż tak dobra we wszystkim, co robiła. Precyzyjnie i rozważnie tkła zakłęcia oraz doskonale znała prawa i obyczaje. Każdy jej ruch ręki, każde spojrzenie i słowo było naganą za mój brak cnoty, więc nieustanne uczucie gniewu i frustracji wywoływało we mnie poczucie winy.

- Mimo to rana powinna zostać zabandażowana, nim opuścisz świątynię. Prawo mówi...

- Fiono, nie dostanie się do niej żadna trucizna. Dobrzeją oczyściłaś, za co jak zwykle ci dziękuję. Lecz jest środek nocy. Przez trzy dni stoczyłem trzy walki, a jeśli się pospieszę, to przed następną prześpię się na czymś innym niż kamienna posadzka. Ty też potrzebujesz odpoczynku. Nie możemy pozwolić sobie na pomyłkę.

Zapiąłem płaszcz na ramionach. Choć noc była przyjemnie ciepła, deszcz szepczący wśród otaczających otwartą świątynię dębów szybko by mnie ochłodził, a to groziło skurczami. Wciąż byłem rozgrzany po zacieklej walce w krajobrazie, przy którym środek pustyni Azhaki wyglądał jak wiosenny ogród.

- Jak sobie życzysz, mistrzu Seyonne - odparła, marszcząc z nie smakiem nos i krzywiąc usta w znanym mi grymasie dezaprobaty. Zabrała swoje woreczki z ziołami i lekarstwami, zwitek czystego płótna i podłużne drewniane pudełko, w którym schowałem srebrny sztylet i okrągłe lustro używane przeze mnie do walki z demonami. - Dokończę oczyszczania i inwokacji.

Wywołała we mnie poczucie winy, które niemal wystarczyło, by skłonić mnie do pozostania i pomocy w czynnościach, które według ezzariańskiego obyczaju Strażnik i Aife powinni wykonać wspólnie, by upewnić się, że w świątyni nie zachował się żaden ślad

demona. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak dodaje to ostatnie wykroczenie do wydłużającej się listy moich przewinień. Lecz perspektywa zejścia Fionie z oczu choćby na kilka chwil sprawiała, że chętnie opuściłbym znacz nie więcej niż tylko kilka bezsensownych rytuałów. Docierałem do punktu, w którym nie można już dłużej udawać, choćby miało to sprawić, że moje życie stanie się żałosne. Byłem bardzo zmęczony.

Pełnym nagany gestem Fiona rzuciła garść liści jasnuru na tłące się popioły ogniska; słodko-gorzki dym przepłynął obok mnie prosto w deszczową noc. Mimo wciąż padającej mżawki, późnej pory i gorącego pragnienia, by znaleźć się w łóżku obok żony, podążyłem doskonale znaną mi ścieżką po otwartej przestrzeni. Oddychałem głęboko - świeży zapach nocy działał jak balsam na obolałe, poranione ciało i ściśnięte kłopotami serce. Deszcz... świeża trawa... żywna czarna ziemia... gnijące liście dębu. Melydda - prawdziwa moc, czarodziejstwo - w każdym liściu i źdźble. Ezzaria. Nasza błogosławiona kraina. Podziękowałem w myślach dziedzicowi cesarstwa, jak to robiłem zawsze, gdy chodziłem leśnymi ścieżkami albo siedziałem na zielonych, łagodnych zboczach wzgórz.

Od czasu nocy pomazania nie rozmawiałem z Aleksandrem. Podczas gdy moje dni zajmowała odbudowa Ezzarii i wznowienie wojny z demonami, jego los zawiódł w najdalsze zakątki rozległego imperium. Minęły prawie dwa lata od chwili, gdy połączyliśmy jego siłę i moją moc, by pokonać Gai Kyalleta, władcę demonów, i zniweczyć khelidzki spisek mający na celu osadzenie na Lwim Tronie cesarza zarażonego demonem. Gdy myślałem o szalonym i aroganckim księciu, nie mogłem powstrzymać uśmiechu, co było chyba najdziwniejszym efektem naszej szalonej przygody. Jak często niewolnik zaczyna kochać swego pana jak brata, a pan odwzajemnia miłość darami zmienionego serca i najcudowniejszą krainą na ziemi?

Ścieżka wspinała się na wzgórze; z jego szczytu popatrzyłem na zalesioną dolinę, gdzie światła lamp lśniły niczym maleńkie klejnoty na zwoju czarnego aksamitu. Gdybym zbiegł w dół, po kwadransie utonąłbym w blasku ognia, ciepłych kocach, kochanych ramionach i ciemnych włosach rozjaśnionych czerwono-złotym światłem. Lecz jak zawsze gdy chodziłem tą ścieżką, usiadłem na wapiennym urwisku, wyglądającym jak ząb wystający z kości ziemi. Choć przestałem wierzyć, że mogę walczyć bez pomocy - próba wewnątrz duszy Aleksandra nauczyła mnie przynajmniej tego - nadal potrzebowałem chwili samotności, gdy walka dobiegała końca. Czasu, by krew rozpalona płomieniem zaklęć ostygła. Czasu, by niezwykła koncentracja niezbędna do walki z demonem zmieniła się w zwykłą percepcję spokojnego świata. Czasu, by złagodzić ciężar, jakim było życie pełne przemocy - nawet w szlachetnym celu. A po szesnastu latach niewoli, podczas której nie

mogłem sobie pozwolić na życie poza chwilą obecną, gdyż zatonąłbym w bólu istnienia, chwile gdy siedziałem, spoglądałem w dół i radowałem się oczekiwaniem, były wprost niebiańską przyjemnością. Jak to miało miejsce przez ostatnich kilka miesięcy, podczas tych krótkich chwil starałem się zapomnieć o gniewie, frustracji i oburzeniu, zanim wyruszyłem do domu, do Ysanne. Przez pół życia byłem niewolnikiem Derzhich. Zostałem pojmany, gdy miałem osiemnaście lat, a rozrastające się cesarstwo Derzhich w końcu pochłonęło Ezzarię. Przez wiele lat bólu i upokorzeń moje życie stanowiło esencję tego, co mój lud uznawał za nieczyste. Ezzariańskie prawo uważało nieczystość za otwartą drogę dla zemsty demonów i dlatego nawet kiedy Aleksander mnie uwolnił, miałem być ignorowany... a właściwie martwy. Żadnemu Ezzarianinowi nie wolno się było do mnie odzywać ani żadnym gestem uznawać mojego istnienia, słyszeć żadnego słowa, które płynęło z moich ust, abym nie zaraził ich swoim skażeniem, co zagroziłoby naszej tajemnej wojnie. Jedynie siła argumentów wnuczki mojego nie żyjącego mentora i mojej żony, królowej Ezzarii, przekonała moich rodaków, że okoliczności bitwy z władcą demonów były tak niezwykle, że zasłużyłem na wyjątkowe traktowanie.

Jesienią roku mojego uwolnienia i powrotu przenieśliśmy się z powrotem do odległej, południowej krainy, którą Aleksander nam oddał, i wróciliśmy do służby, o której niewielu ludzi poza granicami Ezzarii w ogóle miało pojęcie. Znowu zostałem Strażnikiem Ezzarii, który wędrował w udręczonych duszach po ścieżkach zaklęć utkanych przez Aife i tam stawiał czoła demonom, które doprowadzały swe ludzkie ofiary do szaleństwa lub karmiły się ich złem. I tak oto w wieku trzydziestu pięciu lat powróciłem do życia w tym samym miejscu, w którym się skończyło, gdy miałem lat osiemnaście.

Jak się spodziewałem, niektórzy z rodaków nie byli zachwyceni moim powrotem i przysięgali, że sprowadzę katastrofę na Ezzarię. Nigdy się jednak nie spodziewałem, że głosy te będą tak silne, iż zostanie mi przydzielony obserwator, który będzie za mną podążał w każdej chwili każdego dnia, czekając, aż się potknę, popełnię błąd, okażę najmniejszy ślad opętania. W ciągu minionego roku ponad dwieście razy walczyłem z demonami. Bywały dni, gdy wstępowałem w portal Aife, nadal krwawiąc po poprzedniej walce, dni podobne do trzech ostatnich, gdy spałem zawinięty w płaszcz na podłodze świątyni, ponieważ dostaliśmy wieści, że przygotowano kolejną walkę, znaleziono kolejną udręczoną duszę, która potrzebowała naszej pomocy. Ile czasu zajmie, nim udowodnię, że jestem tym, za kogo się uważam - człowiekiem ani lepszym, ani gorszym od innych, próbującym znaleźć sens w swoim dziwnym życiu? Do tego czasu miała mi towarzyszyć Fiona.

Zupełnie jakbym myślami wezwał swoją nemesis, w ciszy zabrzmiały zdecydowane kroki, a między drzewami pojawiło się ostre żółte światło, przebijając mrok. Kroki zatrzymały się u podstawy wzgórza, choć Fiona nie mogła przecież widzieć mnie ze ścieżki.

- Rytuały zostały dopełnione, mistrzu Seyonne. Będę na moście o świcie.

- Oczywiście, że tak. Nie potrzebowałem przypomnienia. - Po chwili ciszy kroki znów zabrzmiały i wkrótce ucichły w oddali. Westchnąłem i owinąłem się ciasniej płaszczem.

Gorliwą młodą Aife wyznaczyła na mój cień Rada Mentorów. Już wystarczająco mnie drażniło, kiedy obserwowała i słuchała, jak uczę kandydatów na Strażników, gdy widziałem, jak pracowicie zapisuje, kiedy pomijam rytuały, które uznałem za bezsensowne, lub też opowiadam, jak moje przekonania zmieniły się przez lata niewoli, choć w efekcie moje zaangażowanie się pogłębiło, a wiara wzmocniła. Nie potrafiłem ukryć, że zrozumiałem, iż kwestie dobra i zła, czystości i skażenia są o wiele bardziej skomplikowane niż precyzyjne definicje z ezzariańskiej tradycji. Nadszedł jednak dzień, gdy moja żona nie mogła już być moim partnerem, ten niezwykły dzień, gdy się dowiedziałem, że będziemy mieli dziecko. Kobiecie noszącej dziecko nie wolno było ryzykować kontaktu z demonem - dziecko nie miało barier ochronnych - i dlatego związek rozpoczęty, gdy mieliśmy piętnaście lat, musiał się skończyć aż do dnia porodu. Ale radość tego dnia szybko zmieniła się w gorycz, gdy dowiedziałem się, że nie mogę sam wybrać następczyni Ysanne.

Życie Strażnika zależało od Aife - od jej umiejętności tkania zaklęć, które tworzyły namacalną rzeczywistość z materii ludzkiej duszy, od jej zrozumienia, które techniki są dla niego najlepsze, od wytrzymałości w podtrzymywaniu portalu do chwili, gdy Strażnik mógł odejść zwycięski lub uciec przed porażką. A Rada nie tylko nie pozwoliła mi wybrać, ale jeszcze połączyła mnie z Fioną. Wściekłem się. Nie mogłem jednak się sprzeciwić, gdyż w ten sposób potwierdziłbym wszystko, co mi zarzucano.

- Fiona jest najbardziej uzdolnioną spośród Aife - mówiła mi Ysanne za każdym razem, gdy przychodziło wezwanie, a ja musiałem ją zostawić, by udać się do świątyni i Fiony. - Nie pozwoliłabym, żeby ktokolwiek inny dla ciebie tkał. Już niedługo.

I rzeczywiście, gdy spojrzałem w dół, na światła migoczące w spokojnym lesie, ta myśl odegnała wszystkie inne. Pewnej nocy, już nie długo, kiedy zejść z tego wzgórza do doliny, w której wśród drzew stał bezpiecznie nasz dom, znajdę dowód, że rzeczywiście otrzymałem wszystko, czego może zapragnąć mężczyzna. Nasze dziecko urodzi się w Ezzarii. Kiedy o tym myślałem, nie pozostawało już miejsca na gniew.

Zeskoczyłem z kamiennej półki i ruszyłem w dół zbocza. W połowie drogi zatrzymałem się, by poprawić opatrunek Fiony na rozciętym ramieniu. Rana znów zaczęła krwawić i czułem spływający strumyk wilgoci. Nie ma powodu, bym martwił tym Ysanne.

Podczas tej przerwy usłyszałem dochodzący z pewnej odległości słaby krzyk, ledwie słyszalny w chlupocie deszczu o ścieżkę, stukocie ciężkich kropli spadających z drzew, rozbryzgujących się i zbierających we wgłębieniach ziemi. Przesunąłem dłonią po oczach, przechodząc na ostrzejsze zmysły, wyczulone do widzenia i słyszenia na większą odległość, przez bariery i zakłęcia. Słyszałem jednak tylko konia galopującego daleko za naszym domem.

Niespokojnie ruszyłem dalej. Porzuciwszy błotnistą ścieżkę, która biegła wokół doliny, ruszyłem prosto po stromym zboczu, przedzierając się przez gęste, mokre liście. Swędzenie między łopatkami przybierało na sile. Migoczące światło lampy szydziło ze mnie, gdy uchylałem się przed gałęziami i ślizgałem na błocie. Omijając dłuższą drogę przez mostek, przeskoczyłem nad strumieniem na dnie parowu, szeptem otworzyłem bariery zakłęcia i wbiegłem po drewnianych schodach. Zdyszany wpadłem do dużej, wygodnej komnaty w prywatnej części rozległej rezydencji królowej. Nikogo tam nie było.

Rdzawe i ciemnozielone poduszki na krzesłach, tkany dywan, żałobny kamień w kształcie bochenka chleba, proste wyposażenie z dębu i sosny, gobeliny opowiadające historię Ezzarii, cenne księgi historii i wiedzy, które zostały zabrane na wygnanie i z powrotem - wszystko wyglądało tak samo, jak przed trzema dniami, gdy ostami raz je widziałem. Lampa o kloszu z różowego szkła stojąca przy oknie paliła się jak zawsze, gdy mnie nie było. Wszystko było w porządku. Ysanne się położyła. W ostatnich tygodniach łatwo się męczyła, a wiedziała, że nie zostanie dłużej niż to konieczne. Mój niepokój jednak nie znikł. Dom nie spał. Na kominku z pomarańczowych węgli cicho strzelały iskry. Ktoś tu był nie dalej jak przed godziną. Przy drzwiach stała laska z jesionowego drzewa. Pozostał jeszcze zapach nieznanymi osobami. I inne zapachy - ostra woń jagód jałowca i ciemny, ziemny zapach pluskwicy, używanej do leczenia. *Ysanne...*

Zgasilem lampę i na palcach wszedłem do sypialni. W środku było ciemno, przez otwarte okna dochodził szmer deszczu. Ysanne leżała na boku; odetchnąłem, gdy położyłem dłoń na jej policzku i poczułem ciepło. Ale nie spała. Oddychała płytko. Ukląknę na podłodze obok niej, odgarnąłem jej z twarzy ciemne włosy i pocałowałem ją.

- Wszystko w porządku, ukochana?

Nie odpowiedziała, a gdy pogłaskałem ją po ramieniu i pocałowałem wewnątrz dłoni, poczułem drżenie tuż pod skórą.

- Zrzucę z siebie te mokre rzeczy i ogrzeję cię - powiedziałem.

Milczała. Zdjąłem przemoczone ubranie, niezbyt starannie starłem z siebie błoto i obwiązałem ranę czystym płótnem. Potem położyłem się obok żony, przytuliłem ją... i odkryłem, że już nie nosi dziecka. - Słodka Verdonne!

Myśląc, że rozumiem wszystko, i przygotowując się na łzy, smutek i powolną wędrówkę od cierpienia do akceptacji, wyszeptałem słowo zaklęcia i przywołałem delikatne srebrne światło. Ysanne zamrugała fiołkowymi oczami, jakby spała, dotknęła dłonią mojego policzka i uśmiechnęła się.

- W końcu wróciłeś! Tęskniłam za tobą. Kiedy Garen powiedział, że przygotowali trzecią bitwę i nie masz czasu wracać do domu, niemal zwinęłam nasze koce i poduszki i zaniiosłam je do świątyni, żebyśmy chociaż przez chwilę mogli spać razem.

- Ysanne...

- A co to? - Usiadła i zdjęła mój pospiesznie zawiązany bandaż. - Powinieneś pozwolić, żeby Fiona nad tym popracowała. Nie ze względu na truciznę demonów, ale żeby szybciej zaczęło się leczyć... na dworze pada, a ty jesteś taki zmarznięty.

- Ysanne, powiedz mi, co się stało. Ktoś powinien po mnie posłać. Jak mogli zostawić cię samą?

Wyskoczyła z łóżka, zapaliła lampę i wyjęła skrzyneczkę, w której trzymała leki. Próbowałem ją powstrzymać, zmusić ją do rozmowy, lecz ona upierała się, że opatry ranę, wypowiadając każde słowo inwokacji i modlitw oczyszczających. Kiedy skończyła, wstała, żeby posprzątać bałagan, lecz ja wziąłem ją za zakrwawioną rękę i przytrzymałem na miejscu.

- Powiedz mi, co się stało z naszym dzieckiem, Ysanne. Urodziło się... martwe? Musisz mi powiedzieć.

Ale ona otworzyła szeroko fiołkowe oczy i wpatrywała się we mnie, jakbym stracił rozum.

- Zostałeś ranny w głowę, kochany? Jakie dziecko?

* *

- Nie chciała o tym rozmawiać, Catrin. Odepchnęła mnie, mówiła, że jestem bardzo zmęczony i musiało mi się coś przyśnić, że myślałem o Garenie, Gwen i ich maleństwie. Potem w ogóle odmówiła rozmowy. Martwię się o jej rozum. - Odepchnąłem stojący na stole nietknięty kielich wina. - Powiedz mi, co mam zrobić. Nie mogę tego pojąć.

Ciemnowłosa kobieta w białej koszuli nocnej postukała palcami w wargi.

- Rozmawiałeś z kimś jeszcze?

- Próbowałem z Nevyą. Twierdziła, że przez te trzy dni nie przyjmowała żadnych porodów. Aleksander powiedział mi kiedyś, że jestem najgorszym kłamcą na świecie, że żółknę, a moje powieki drżą. Ale te kobiety są o wiele gorsze. Daavi utrzymywała, że nie może z nikim rozmawiać o zdrowiu królowej. Z nikim? Catrin, jestem jej mężem. Czemu ze mną nie rozmawiają? Zachowują się, jakby Ysanne wcale nie spodziewała się dziecka. - Gwałtownie potarłem kark, próbując przebić się przez duszącą mgłę niepewności.

Catrin wstała, splótła ramiona na piersi i wyrzała przez okno na szarzące niebo.

- A jaka jest według ciebie prawda?

- Myślę, że dziecko urodziło się martwe, oczywiście... albo urodziło się żywe i zaraz umarło. Nie wiem. A co mam myśleć?

- Może na to pytanie powinieneś odpowiedzieć na początku.

W głowie miałem mętlik. W ogóle nie spałem, lecz poddałem się i poszedłem do Catrin, gdy Ysanne zasnęła godzinę przed świtem, nie odpowiedziawszy na ani jedno z moich pytań. A teraz Catrin, po której spodziewałem się bezpośrednich wypowiedzi, również owijała w bawełnę.

- Chodź, przyjacielu, wyciągnij się przy kominku i prześpij choć trochę. Właściwe odpowiedzi przyjdą do ciebie, jeśli przestaniesz wymyślać własne.

- Catrin, czy moja żona spodziewała się dziecka, czy nie? Odpowiedz mi.

Jej ciemne oczy były spokojne, choć pełne współczucia.

- Nie mogę ci tego powiedzieć, Seyonne. Ale wiem jedno. Nie oszalała. A teraz prześpij się trochę, a potem idź do domu i powiedz, jak bardzo ją kochasz. - Położyła dłoń na moim czole, a wtedy fala wyczerpania odebrała mi ostatnie siły.

I oczywiście, jak to często bywało, Catrin miała rację. Gdy strach i smutek opuściły mnie na tyle, że zdołałem zasnąć, uświadomiłem sobie, co się stało. Dziecko było martwe niezależnie od tego, czy jeszcze oddychało. Nasze dziecko urodziło się demonem.

Rozdział 2

My, Ezzarianie, niewiele wiemy o swoim pochodzeniu. Dziwne to jak na lud tak pogrążony w wiedzy tajemnej, lecz właściwie nie mamy żadnej tradycji dotyczącej naszych początków; tylko mit o naszych bogach i dwa zwoje zapisane zaledwie tysiąc lat temu, na początku wojny z demonami. W czasach przed tymi zapisami znaleźliśmy jakoś drogę do Ezzarii, ciepłej, zielonej krainy pełnej głębokich lasów i rozległych wzgórz, która zdawała się żywić wyjątkową mocą, zwaną przez nas melyddą. W tym czasie odkryliśmy sposób, by uwalniać ludzkie dusze od zniszczenia demonicznym opętaniem.

„Zwój rai-kirah” uczył nas o demonach - pozbawionych dusz i ciał istotach, które same w sobie nie były złe, lecz karmiły się ludzkim przerażeniem, szaleństwem i złą śmiercią. Pismo mówiło, że demony żyją w skutych lodem krainach północy i wracają tam, by się odradzać po tym, jak zostaną wyrzucone przez nas z ciał swoich nosicieli. Jeśli nie chcą odejść, zabijamy je - niechętnie, gdyż czujemy, jak świat się kurczy, wypada z równowagi przez towarzyszący ich śmierci wybuch mocy.

„Zwój prorocstwa” ostrzegał nas przed skażeniem i zalecał czujność, by rai-kirah nie podążył ścieżką naszej słabości i nie splamił też naszych dusz. W rym zwoju Wieszcz imieniem Eddaus opisał walkę trwającą do końca świata i starcie, w którym wojownik o dwóch duszach zmierzy się z władcą demonów. Eddaus nie wspomniał, że wojownik o dwóch duszach to tak naprawdę dwaj ludzie, derzhyjski książę i czarodziej-niewolnik, Aleksander i ja. Razem walczyliśmy i odnieśliśmy zwycięstwo. Po przepowiedni dotyczącej tego starcia prorocstwo gwałtownie się urywa. Zapis dalszej wizji, jaka została udzielona naszym przodkom, zaginął lub został zniszczony wraz z innymi pismami.

Z tych dawnych czasów poza zwojami pozostały tylko dwa artefakty: oryginały srebrnego noża, który po przeniesieniu przez portal może zostać zamieniony w dowolną broń, i zwierciadła Lumena, okrągłego lusterka zdolnego sparaliżować demona, pokazując mu jego odbicie. Wszystkiego innego dowiedzieliśmy się z własnego bolesnego doświadczenia. Choć o naszej historii mogliśmy powiedzieć niewiele, na własne oczy widzieliśmy dowody, dlaczego musimy to robić - straszliwe konsekwencje opętania, któremu nikt się nie przeciwstawił. Poza nami niewiele osób na świecie posiadało prawdziwą moc i nikt z nich nie

miął pojęcia o rai-kirah. Pochowaliśmy nasze pytania, gdyż nie mieliśmy innego wyjścia. Żaden zwój, zapis ani doświadczenie nie wyjaśniało przerażającej rzeczy, która przydarzyła się naszemu dziecku - przytrafiało się to jednemu dziecku na kilkaset. Noworodek nie stawiał demonowi żadnych ograniczeń, dlatego nie można ich było od siebie oddzielić. A nawet gdybyśmy wiedzieli, jak oddzielić istotę dziecka od demona, nie dało się stworzyć stabilnego portalu do nowo narodzonej duszy - tak małej, tak niedoświadczonej, tak chaotycznej. Mimo to nie odważylibyśmy się pozwolić żyć demonowi między nami, a nasze prawo nakazywało się go pozbyć. Nigdy zbytnio się nad tym nie zastanawiałem. Do chwili kiedy taki los stał się moim udziałem.

* *

- Zabiła nasze dziecko. - Siedziałem na dywaniku przed kominkiem Catrin, a popołudniowe słońce wpadało przez otwarte drzwi.

Przespałem kilka godzin i obudziłem się z przekonaniem, że aby odwrócić los, wolałbym walczyć z pięćdziesięcioma demonami na raz. Cały byłem zdrętwiały. W duszy czułem pustkę. Mogli mi odciąć rękę i nawet bym tego nie poczuł. Catrin wcisnęła mi w dłoń kubek i zmusiła do wypicia jego zawartości, a ja nie mogłem nawet powiedzieć, czy napój był słodki czy gorzki, gorący czy zimny. Byłem tak zagubiony i podatny na wpływy, jak kłęby kurzu wirujące w promieniach słońca.

- Zostawiła je nagie na skale, by zajęły się nim wilki, a teraz wszyscy udają, że nigdy nie istniało - mówiłem rozżalony. - Usuwają nawet wspomnienia, gdyż nie wiedzą, co z tym począć. Jak mogła to zrobić? Mówimy, że samobójstwo to obraza bogów. A dzieciobójstwo? Dziecko nie może uczynić nic złego.

Zabierając mi kubek, Catrin przyłożyła palec do ust i delikatnie pokręciła głową. Lecz ziarno gniewu zasiane w chwili, gdy Fiona objęła swoją straż, zaczęło rosnąć, jakby herbata Catrin tylko je podlała.

- A teraz próbuje tej sztuczki ze mną - ciągnąłem. - Mam przekonać siebie, że nie wykorzystałem mocy, by dowiedzieć się, że będziemy mieć syna? Mam przeżyć resztę życia udając, że nie czuję bicia jego serca? Nie zrobię tego, Catrin. Cieszyliśmy się cudem życia stworzonego z naszej miłości i wiary, a teraz ona mówi, że nawet nie mam prawa czuć smutku. Moja żona zamordowała naszego syna, a ja mam tego nie zauważyć?

Catrin siedziała przede mną na podłodze. W kącie za jej plecami znajdował się gładki, szary blok kamienia żalobnego; dziewięć świec płonęło, by ogrzewać dusze jej dziadka i dawno zmarłych rodziców. Przerwałem jej popołudniową medytację. Ujęła moje dłonie w swoje.

- Spałeś, Seyonne. Śniły ci się straszne sny. Jak powiedziałam ci wcześniej, na sny nic nie mogę poradzić.

Zatem Catrin również postanowiła żyć w kłamstwie. Lecz nim zdołałem zaprotestować, położyła mi palec na ustach.

- Teraz przez chwilę musisz pomyśleć o czymś innym - powiedziała. - Przyszła wiadomość od Poszukiwacza z Capharny. Za trzy godziny będą gotowi. Czy zdołasz walczyć? Czy wystarczająco odpocząłeś?

Minęła chwila, nim zrozumiałem, co do mnie mówi. Wobec zniszczenia własnej rodziny cały świat stał się mało ważny.

- Walczyć? - Starcie z demonem. Sieć zaklęć, jakie Ezzaria rozciągnęła przez świat, pochwyliła kolejnego demona. Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem. Jak ktokolwiek mógł sądzić, że tego dnia będę zdolny do walki?

- Fiona mówi, że to skomplikowana sprawa, handlarz niewolników. Jeśli nie ty...

Czemu akurat dzisiaj? Zamknąłem oczy i usiłowałem się pozbierać. Nie było nikogo innego.

- Oczywiście, zrobię to.

Trzy godziny. Ledwo wystarczy, aby się przygotować. Smutne życie musi poczekać.

- Gdybyś tylko mogła mi z tym pomóc... - Podwinąłem rękaw koszuli i kazałem jej rozluźnić mocno zawiązany bandaż, który Ysanne założyła mi na ramię. Lepiej zaryzykować lekkim krwawieniem, niż ograniczać sobie swobodę ruchów.

Catrin ponownie zabandażowała ranę i zmusiła mnie do zjedzenia talerza mięsa na zimno, a potem położyła swoją drobną, silną dłoń na mojej głowie.

- Wkrótce poczujesz ulgę. Trzy miesiące i Tegyr oraz Drych będą gotowi na testy. Gryffin przysłała wieści ze wschodu, że Emrys i Nestayo wstawią się wkrótce potem. Zdziałałeś z nimi cuda, Seyonne. Jesteś doskonałym nauczycielem. - Jej uprzejmości brzmiały pusto.

- To nie wystarcza, co? Nikt nie wierzy, że nie jestem skażony. Powiedzą, że sprowadziłem demona do domu królowej. Do jej ciała.

Catrin westchnęła z irytacją i pokręciła moją głowę, trzymając mnie za włosy.

- Uważaj podczas tej walki, mój pierwszy i najdroższy uczniu. Podniosłem na nią wzrok i uświadomiłem sobie, że nie chodzi jej tylko o czekające mnie starcie. To odczucie nabrało sensu, gdy pocałowałem ją w policzek i wyszedłem, by znaleźć Fionę siedzącą na schodach. Mój pies słyszał każde wypowiedane przez nas słowo.

Nie ufałem sobie na tyle, by rozmawiać z Fioną, więc ruszyłem przez las w stronę świątyni, usiłując zdecydować, co zrobić, gdy walka się zakończy. Uspokajanie umysłu nie miało sensu. Wymagałoby więcej czasu, niż pozostało mi w tej chwili. Miałem tylko nadzieję, że wymyślę, co począć, by zacząć na powrót porządkować własne życie. I nic nie przychodziło mi do głowy.

* *

Ezzariańskie świątynie były prostymi, kamiennymi budowlami wzniesionymi w głębokich lasach, których bogactwo zdawało się wzmacniać nasze moce. Były rozrzucone po całej Ezzarii i zawsze wyglądały podobnie: okrągły dach oparty na pięciu żłobionych kolumnach, ustawionych na kamiennej podłodze. W środku mieściło się kilka małych, zamkniętych pokoi, lecz większość miejsca była wystawiona na wiatr i działanie pogody. Posadzki wykładano mozaikami przedstawiający mi różne wydarzenia z naszej historii, a w otwartej przestrzeni znajdowała się jama na ognisko i niskie, kamienne podwyższenie, na którym mogliśmy położyć ofiarę w tych rzadkich sytuacjach, kiedy bóstwo tego od nas wymagało. Najczęściej świątynie wznoszono w jakiejś dalekiej wiosce czy mieście pod opieką ezzariańskiego Pocieszyciela. Pocieszyciel był łączącym nas kanałem; kładł ręce na ofierze i rozwijał prostą linię mocnego zaklęcia, sięgającą do obecnej w świątyni Aife.

Ponieważ byłem jedynym Strażnikiem, który przeżył najazd Derzhich i spisek Khelidów, ta świątynia była jedyną, która wciąż działała. Sługa świątynny przygotował ją na zbliżające się wydarzenie. Obok ogniska, przy którym będziemy wraz z Fioną łączyć naszą magię, ułożył dla niej białą szatę i mosiężne puzderko pełne liści jasnyru. Przy pomocy odpowiedniego zaklęcia jasnyr ładnie roznieci ogień, który będzie się palił długo i pewnie, a jego dym nie będzie gryzł w oczy.

„Zwój rai-kirah” mówił też, że jego zapach odpędza demony. W pokoju przygotowań - pustym pomieszczeniu na środku świątyni - sługa ustawił pewnie dzban wody do picia i misę do mycia, czysty ręcznik, pasującą na mnie, czystą odzież, mój ciemnoniebieski płaszcz Strażnika oraz drewniane pudełko z nożem i lusterkiem.

Z rozpoczęciem przygotowań musiałem poczekać na Fionę. Miała powiedzieć mi więcej o ofercie, bo kiedy będę już gotowy, nie będę mógł się do niej odezwać. Usiadłem zatem na schodach świątyni i patrzyłem, jak słońce kryje się za drzewami. Niemal się roześmiałem. Jeśli Ysanne nigdy nie była w ciąży, dlaczego to Fiona partnerowała mi w tej walce?

- Jesteś gotów tak szybko stoczyć kolejny pojedynek, mistrzu Seyonne? - Fiona zjawiała się szybciej, niż się spodziewałem. Stała przede mną, a cała jej postawa stanowiła wyrzut, jakby siedzenie było kolejnym z moich przestępstw.

Nie wyglądała źle: niska, szczupła, o krótko przyciętych, prostych włosach - niezwykła rzecz u Ezzarianek, lubiących warkocze i rozpuszczone włosy, w które wpinały kwiaty lub tkane wstążki. Nie nosiła spódnic i sukienek, preferując koszule z długim rękawem i spodnie, lecz nikt nie mógłby powiedzieć, że ubierała się jak mężczyzna, gdyż nie dało się nie zauważyć kobiecych aspektów jej figury. Ten strój wyglądał na niej naturalnie. Ysanne mówiła mi, iż wiele kobiet, których młodość przypadła na czas okupacji Derzhich i które musiały kryć się po lasach, wołało ubierać się w ten sposób. Nie miały tkanin, z których mogłyby szyć ubrania, więc brały, co mogły, z ciał naszych zabitych rodaków i opuszczonych wiosek, które mijały podczas ucieczki. Przyzwyczyły się do swobody ruchów, jaką zapewniało im męskie odzienie.

- Catrin powiedziała mi, że chodzi o handlarza niewolników - zacząłem.

- Tak. Ostatnio zaczął się specjalizować w młodych dziewczętach, które sprzedaje wysoko urodzonym Derzhim...

Niesmak w jej głosie, kiedy mówiła o Derzhich, jednocześnie oskarżał mnie, który śmiałem nazywać jednego ze znenawidzonych zdobywców swoim przyjacielem. Opowiedziała mi następnie o wszystkich przerażających czynach, jakich dopuścił się kupiec, i o wszystkim, czego Poszukiwacz dowiedział się o jego życiu. Najwyraźniej nie był to niewinny człowiek zaskoczony przez wygłodzonego demona, który chciał go szybko pochłonąć, lecz wieloletnie źródło pokarmu dla rai-kirah. Takie hodowane przez wiele lat demony najtrudniej było wykorzenić.

- Wydajesz się rozproszony, mistrzu Seyonne. Może powinniśmy to odwołać.

- I pozwolić, by rai-kirah działał dalej?

- Nie możemy naprawić całego zła tego świata.

- Gdybyś tam żyła, nie powiedziałabyś tego tak łatwo. Zabierajmy się do dzieła.

Pokiwała głową, spoglądając z wyrzutem na bliznę na mojej twarzy - królewskiego sokoła i lwa wypalone na lewej kości policzkowej w dniu, w którym zostałem sprzedany Aleksandrowi.

- Dobrze. Nie zapomnisz o oczyszczeniu podczas przygotowań?

Zmusiłem się do zachowania spokoju.

- Nigdy nie zapomniałem o oczyszczeniu, Fiono.

- Hammard mówił, że wczoraj twój ręcznik był suchy. Jeśli się umyłeś...

- Nie potrzebuję nauczania, jak mam się myć, nie odpowiadam też za pogodę. Jeśli pamiętasz, popołudnie było gorące. Nie użyłem ręcznika. Czy Hammard nie ma nic lepszego do roboty, niż sprawdzać moje ręczniki?

Fiona wpatrzyła się we mnie z uwagą.

- Pomijasz pewne elementy rytuałów. Tymczasem każdy z nich ma swoje znaczenie. Gdybyś żywił szczerze zamiary, robiłbyś wszystko jak należy.

Nie miałem zamiaru klócić się z nią o swoją szczerść. Jeśli dwie setki spotkań z demonami w ciągu roku nie były wystarczającym dowodem mojej szczerści, żadne słowa jej nie przekonają.

- Jeśli to wszystko...

- Wczoraj musiałam ponownie oczyścić twój nóż po tym, jak go zostawiłeś.

Moja irytacja zmieniła się w gniew.

- Nie masz powodów, by dotykać mojego noża. Posuwasz się za daleko, Fiono.

Czary otaczające nóż Strażnika były bardzo skomplikowane i nie do końca pojęte. Przez lata nauczyliśmy się, jak je kopiować, ale nie wiedzieliśmy, co może mieć wpływ na ich szczególną magię. Nóż był jedy ną bronią, którą Strażnik mógł zabrać przez portal Aife. Każda inna rozpadała się w dłoni. Nie wazyliśmy się z nim eksperymentować.

- Ale ty...

- Był doskonale czysty. Jeśli dotkniesz go jeszcze raz, będę nalegał, by ktoś cię zastąpił.

Choć kobieta dumnie uniosła brodę, wiedziała, że tym razem posunęła się za daleko, gdyż nie wymieniła całej setki rzeczy, o które jeszcze miała zamiar mnie oskarżyć.

- Lepiej się przygotujmy - powiedziałem. - Będę potrzebował godziny i pół, jak zwykle. - Miałem wrażenie, że tym razem setka godzin by nie wystarczyła, bym osiągnął spokój. Zostawiłem ją tam, wpatrując się we mnie ze złością w gasnącym świetle.

Jak zawsze przez godzinę ćwiczyłem kyanar, sztukę walki, która pomagała mi się skoncentrować i przygotować ciało do nadchodzące go starcia. Tej nocy, po raz pierwszy w karierze Strażnika, czułem, że walka za portalem może mi przynieść ulgę.

Nim Fiona po mnie przysłała, odziana w powłóczytą białą szatę, jak nakazywał rytuał, umyłem się, wypilem większość czystej wody z dzbana, wzięłem ubranie, płaszcz Strażnika i broń, i wykorzystałem inkantację loretha, by znaleźć się w stanie pomiędzy naszym światem a światem, który stworzy dla mnie Aife. Rytuał był niezmiernie uspokajający, i mimo przepełniającego mnie smutku zdołałem skoncentrować się na pracy. Fiona poprowadziła mnie do świątynnego ognia, a kiedy skinąłem głową na znak gotowości, wzięła mnie za rękę i wyzwoliła swą potężną magię.

Komuś obserwującemu to wszystko z zewnątrz mogłoby się wydawać, że zniknąłem ze świątyni, ja jednak widziałem ją za sobą - błądy zarys na tle jasnych gwiazd ezzariańskiej nocy. Przede mną rozciągał się inny krajobraz... skały, ziemia, woda i powietrze... i czekający rai-kirah - demon, który mógł się pojawić w milionie dziwnych kształtów.

Kiedy przeszedłem przez zamglony szary prostokąt, portal Fiony, nie towarzyszyły mi wyszeptane słowa otuchy. A kiedy tylko go minąłem, olbrzymia istota o kształcie człowieka z czterema rękami i o zębach jak sztylety natychmiast się na mnie rzuciła, więc nie miałem już czasu myśleć o Ysanne, Fionie ani niczym innym. Nie widziałem krajobrazu, nie mogłem ocenić możliwości pozbycia się tej istoty, nie mogłem zrobić niczego poza tym, że trzymałem najważniejsze części ciała z dala od jej kłów i poruszałem się wystarczająco szybko, by mnie nie pochwyciła. Z trudem wydyszałem słowa ostrzeżenia, które musiałem wypowiedzieć.

- Jestem Strażnikiem przysłanym... przez Aife... bicz... na demony... by wyzwac cię do walki... o to ciało! *Hyssad!* Odejdź!

Demon nawet nie próbował mi odpowiedzieć, tylko z jeszcze większym zapalem usiłował pozbawić mnie głowy.

Wykręć lewe ramię. Już jest uszkodzone. Rozerwanie ścięgien sprawi, że będzie bezużyteczne. Zmień nóż w krótki miecz... wystarczająco długi, by powstrzymać kły, podczas gdy otoczysz nogami... nie. Nie myśl. Działaj.

I tak walczyłem. Przez niezliczone godziny. Kiedy tylko zyskiwałem przewagę, demon się wycofywał i znikał w mrocznym pustkowiu, po czym znów mnie atakował. To miejsce było przerażająco zimne. Nienawidziłem gorących miejsc, ale to te zimne były bardziej niebezpieczne. Wywoływały skurcze i sztywnienie mięśni, które łatwo było naderwać. Odrętwienie, przez co szpony i żelazo czuło się zbyt późno. Osłabienie zmysłów.

Byłem skąpany w zielonej krwi, wżerającej się w moją skórę niczym zimny ogień. Rana na ramieniu znów zaczęła krwawić. Wzrok zaczął mnie zawodzić.

Gdy wbiłem ostrze w rozdziawiony otwór, z którego ciekł jad, zauważyłem błysk metalu. Na moich nadgarstkach pojawiły się obręcze. Cofnąłem ręce, lecz obręcze nie znikły...

...kajdany niewolnika... a moje ręce nie były moimi. Były smukłymi, młodymi rękami... rękami dziewczynki... a potwór nie był niekształtnym objawieniem demona, lecz mężczyzną o obwisłych policzkach, który pożerał mnie oczami płonącymi pragnieniem nieczystej przyjemności. Oblizwał wargi... i jego język zbliżył się do mojej twarzy...

Z obrzydzeniem i wściekłością ciąłem mieczem, próbując odegnać obrazy zła, które uczyniła ta dusza. Ale one spadały na mnie jeden po drugim, z całym swoim przerażeniem, cierpieniem, wstydem i upokorzeniem. Walcząc, przeżywałem strach tych dzieci, nie widziałem potwornych kończyn ani ostrych kłów, gdyż otaczały mnie wizje. Musiałem walczyć, posługując się zmysłami innymi niż wzrok, kierować rękami i stopami w oparciu o wspomnienie demonicznej postaci i nie pozwalać sobie na to, by zwiódło mnie świadectwo oczu. A kiedy w końcu wbiłem sztylet w środek demonicznej postaci, byłem tak rozwścieczony krzywdą tych dzieci, że popełniłem straszliwy błąd.

Kiedy ginie jego fizyczna postać, rai-kirah zostaje uwolniony. Strażnik musi zapamiętać pozycję demona, gdy ten opuszcza martwe ciało, i przy pomocy zwierciadła Luthena go sparaliżować, dając mu do wyboru opuszczenie gospodarza lub śmierć. Ale tego dnia, gdy uwięziłem demona, nie dałem mu wyboru. Zabiłem go, nie dlatego, że było to konieczne, lecz z wściekłości, i zabiłem go tak gwałtownie i okrutnie, że pozbawiłem życia także ofiarę.

Ziemia i niebo, które istniały wokół mnie, natychmiast zmieniły się w chaos. Pojawił się wir ciemności przeszywany jaskrawymi barwami, a wszystkie kierunki, góra i dół, prawo i lewo, przestały mieć znaczenie. Z trudem uchroniwszy ciało przed rozpadem, skierowałem się w stronę szarego portalu, migoczącego i falującego za moimi plecami...

* *

- Wiesz, co zrobiłeś?

Ostre oskarżenie Fiony jako pierwsze przebiło się przez zmieszanie towarzyszące powrotowi do prawdziwego świata. Aife nie widziała krajobrazu, który stworzyła, wyczuwała tylko jego kształt i przebieg bitwy. Ale nie mogła nie zauważyć śmierci ofiary.

- Uderzyłem za mocno - wyjaśniłem. Strażnik nie musiał uzasadniać wyniku bitwy nikomu poza innym Strażnikiem. Nikt poza innym Strażnikiem nie rozumiał, ile trudu kosztowała walka z demonem. - Nie zasługiwał, by żyć.

Wierzyłem w to. Chodziłem w jego duszy i wiedziałem. Ale nie chciałem go zabić.

Podniósłszy się powoli, obejrzałem swoje kończyny i malujące się na nich sińce, sprawdziłem zmysły i upewniłem się, że krew pokrywająca moje ubranie i dłonie nie należy do mnie. Na kamiennym podwyższeniu stał dzban z czerwonej gliny i kubek. Napelniałem kubek wodą raz za razem, aż w końcu chłodny, czysty napój się skończył. Czułem się, jakby przebiegło po mnie stado spłoszonych chastou. Bolały mnie wszystkie kości. Skóra wydawała się naciągnięta i podrażniona od jadu.

- Co się stało? Wyjaśnij mi to.

- Nie muszę tego wyjaśniać. - Każdy oddech był niczym dotknięcie skórą tłuczonego szkła. Oczyszcilem i odłożyłem broń, umyłem ręce i twarz i zabrałem płaszcz z komnaty przygotowań.

- Chyba nie wychodzisz? Nie odśpiewaliśmy jeszcze inkantacji, nie umyliśmy podłogi ani...

- Zrób to, jeśli masz ochotę. Ja muszę się przespać.

- To pogwałcenie zasad. Prawo mówi...

- Na bogów nocy, Fiono. Właśnie przez pół nocy walczyłem z potworem. Ledwo trzymam się na nogach. Demon nie żyje. Ofiara też. Umycie podłogi i odśpiewanie pieśni nic nie zmieni.

Nie odwracając się, wszedłem do lasu. Wzburzona krew sprawiała, że nie pamiętałem o zbyt wielu godzinach walki i zbyt krótkim czasie snu. Nie wiedziałem, czy w ogóle uda mi się jeszcze zasnąć. Jak mogłem to zrobić? Nie byłem na tyle głupi, by wierzyć, że mogę walczyć i nigdy nie popełnię błędu. Musieliśmy ryzykować, a mój dawny mentor Galadon upewnił się, że pojmuję, iż będę musiał żyć ze świadomością porażki. Czasem ofiary ginęły. Czasem popadały w szaleństwo. Czasem przegrywaliśmy i musieliśmy pozostawić je swojemu losowi. Zrobiłem, co mogłem, i nie wolno mi było obwiniać się za wynik tej walki.

A jednak wydarzenie to mnie niepokoiło. Straciłem panowanie nad sobą. Ponieważ byłem zmęczony. Ponieważ byłem zły. Ponieważ ofiara gwałciła i niewoliła dzieci. A co

najbardziej niepokojące, demon wiedział, jak wykorzystać to przeciwko mnie. Przeklęty, przeklęty głupcze. Co się z tobą dzieje? Rada już napięła łuk, a ja dostarczyłem im strzałę.

Zatrzymałem się na szczycie wzgórza, gdyż pojawił się przede mną kolejny dylemat - gdzie spędzić resztę nocy. Catrin by mnie przyjęła, lecz kiedy zacząłem się uspokajać, przypomniałem sobie, o co mnie prosiła w obecności Fiony. Jeszcze tylko kilka miesięcy i zakończy się szkolenie dwóch nowych Strażników. Póki nie będą gotowi, musiała być moją mentorką, nie przyjaciółką, by nie dotknęły jej podejrzenia związane z moją osobą. I dlatego poprosiła mnie, żebym się hamował. Żebym był ostrożny. Na to już za późno, ale przynajmniej mogłem nie obciążać jej swoją osobą. Nie wpakuję jej w kłopoty, póki nie zapewni nam wszystkim przyszłości.

Miałem innych przyjaciół... przyjaciół, którzy już na pewno wiedzieli o Ysanne i dziecku. Niektórzy zgodziliby się ze mną, że odrzucanie martwego dziecka nie miało sensu, że zabicie opętanego przez demona maleństwa jest morderstwem, a tak nie odpowiada się na ignorancję. Inni udawaliby, że dziecko nigdy nie istniało. Wszystkim było by bardzo żal Ysanne i mnie. Nikt z nich nic by nie zrobił. Nie zdołałbym znieść ani ich litości, ani hipokryzji, i dlatego musiałem pójść do domu... lub tego, co z niego pozostało.

Kiedy przybyłem, lampa stała w oknie. Wyszedłem z powrotem na zewnątrz i wrzuciłem ją do potoku, który migotał w blasku księżyca pod drewnianym mostkiem. Kiedy szkło rozbiło się o kamień, oliwa zapłonęła, po czym zgasła. Zdjąłem okrwawione, śmierdzące ubranie, znalazłem w skrzyni koc i skuliłem się na krześle przy zimnym kominku.

Rozdział 3

Przez rok niewoli moim właścicielem był złośliwy suzaiński handlarz kością słoniową o imieniu Fouret. Okrucieństwo miał wrodzone, zawsze czerpał przyjemność z bólu innych: wciągał niewinnych zakochanych w otchłanie nieprawości, a swoich konkurentów doprowadzał do takiej ruiny, że odbierali sobie życie. Nim ich wykończył, sprzedawał ich dzieci i pokładał się z ich żonami, a przed odesłaniem nałożnicy na rzecz jakiejś nowej i niewinnej, opisywał jej rodzinie i przyjaciołom rzeczy, do których ją zmuszał. Dla swoich niewolników, których cenił mniej niż kobiety i konkurentów, był jeszcze gorszy.

Miałem szczęście, że opuściłem dom Foureta, zachowując wszystkie kończyny. Ktoś mógłby powiedzieć, że pomogłem szczęściu, gdyż pewnego dnia poluzowałem pręty na balkonie, z którego się przyglądał, jak jego niewolnicy są biczowani na śmierć, i upewniłem się, że w porannej herbacie wypił dość marazile, by chwiać się przez cały dzień i musiał oprzeć na barierce. Ponieważ to właśnie moją chłostę przerwał jego gwałtowny upadek na ostro zakończony płot, uznałem, że wszystko dobrze się skończyło. Nie szczyciłem się tym zabójstwem, ale nie czułem się winny. Tak samo było teraz. Nie miałem poczucia winy z powodu śmierci opętanego przez demona handlarza niewolników.

Gdy rankiem obudziłem się odrętwiały i zeszywniały po nocy na krześle, pomyślałem o Fourecie z jeszcze innego powodu. Widziałem kiedyś, jak oszalały Suzaińczyk otworzył pierś żywemu człowiekowi i wyciągnął serce. Widziałem wyraz twarzy ofiary tuż przed tym, jak utonęła we własnej krwi. Bałem się, że gdy stanę przed żoną i nazwę ją morderczynią, moja twarz będzie wyglądać tak samo. Jak człowiek może żyć bez serca?

Dlatego przed nią nie stanąłem. Ranek był ciepły, nie trzeba było rozpalać ognia. Pewien młody człowiek imieniem Pym zajmował się naszym domem i gotował nam posiłki, lecz teraz nie zostało po nim śladu, z wyjątkiem starannie złożonej sterty czystych ubrań - koszuli, spodni, nogawic, butów - oraz tacy z chlebem, kurczakiem na zimno i kandyzowanymi wiśniami stojącej na stoliku obok błękitnego imbryczka. Byłem głodny - to absurd, lecz żyłem dość długo, by się tego spodziewać - ale nie potrafiłem przełknąć ni kęsa, dopóki nie porozmawiam z Ysanne. Ubrałem się i pozostałem na swoim krześle odwrócony plecami do pokoju. Kiedy wreszcie przyszła, nie obejrzałem się. Zdradził ją podmuch porannego powietrza wpadający przez otwierane drzwi. Słodkiego zapachu jej skóry ani woni umytych deszczem włosów nie można było pomylić z niczym innym. Na butach miała

wilgotną ziemię. Słyszałem ciche szuranie dywanu, gdy je zdjęła i zrobiła trzy kroki w moją stronę. Nawet nie przeszła połowy odległości.

- Zaufaj mi, Seyonne.

Absurd był za dużym słowem, by opisać to, czego ode mnie oczekiwała.

- Tak jak ty mnie? - Siedziałem, spoglądając w zimne popioły kominka z cegieł. - Czy zaaranżowałaś trzecią bitwę, abym nie mógł tu być, zanim nie skończysz sprzątać?

- Dwa lata temu uprzedzałam cię, że poślubiasz królową Ezzarii, nie tylko kobietę, którą kochałeś do szaleństwa. Powiedziałam ci, że mogą nadejść chwile, kiedy nie będę miała wyboru.

- I tak też postąpiłaś. - Zamknąłem oczy i zignorowałem pustkę w miejscu, gdzie kiedyś biło moje serce. - Gdyby tu chodziło tylko o mnie, nie mógłbym cię zawieść. Lecz ty zamordowałaś naszego syna i nie dałaś mi szansy go ocalić, a ja nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci to wybaczyć.

Przez długi czas stała tam, nie mówiąc ani słowa. Tylko czarodziej zdołałby wykryć jej obecność. Tylko ten, kto ją kochał, mógł poczuć, jak zamykają się drzwi do pełnego uczuć serca, które niewielu miało zaszczyt poznać. Potem zatrzeszczały dębowe deski podłogi. Odeszła.

Wtedy zacząłem jeść, zmuszając żołądek, aby się nie buntował. Nie wolno mi było pozwolić sobie na słabość. Poszukiwacze tak szybko odnajdywali demony, że przed zapadnięciem nocy być może znów czekała mnie walka. Jadłem, póki nie mogłem patrzeć na kolejny pozbawiony smaku kęs, po czym wstałem i wyszedłem z domu. Fiona czekała na drewnianym moście. Minąłem ją, jakby nie istniała.

* *

Dochodziło południe. Przez większość poranków przez godzinę ćwiczyłbym kyanar, przez następną biegał, po czym udał się na arenę Catrin, by pomóc jej szkolić kolejnych Strażników i poprawiać własne umiejętności, które przecież dopiero odzyskiwałem. Catrin była zadziwiająco utalentowanym mentorem. Dorastała, obserwując swego dziadka, i posiadała wyjątkowe zdolności oraz siłę umysłu, dzięki którym mogła wykorzystać to, czego się od niego nauczyła. Choć rzadko się zdarzało, by kobieta odpowiadała za naukę Strażników, którzy byli wyłącznie mężczyznami, zyskała sobie taki szacunek, że zasiadała w

Radzie Mentorów: gronie pięciorga mężczyzn i kobiet, którzy nadzorowali trening, dobór w pary i przydzielali tych, którzy walczyli w wojnie z demonami.

Ezzariańskie społeczeństwo znacznie różniło się od innych narodów cesarstwa. Nie handlowaliśmy ani nie rywalizowaliśmy między sobą, lecz przybieraliśmy przypisane sobie role, by wspierać nasz jedyny cel. Nie było też między nami żadnych rang ani szlachty, wyróżniało nas wyłączone nie to, co wynikało z naszych wrodzonych przymiotów. Wszystkie dzieci w wieku pięciu lat przechodziły testy. Te, u których znaleziono najsilniejszą melyddę - prawdziwą moc czarowania - od najwcześniejszych chwil przygotowywano do wojny z demonami zależnie od osobistych talentów. Były wolne od wszystkich innych obowiązków, aby mogły poświęcić życie rozwojowi ducha i ciała, aż przejdą rygorystyczne testy i podejmą swoją powinność. Takiemu życiu towarzyszyły często honor i sława, jak również niebezpieczeństwo, śmierć i częste nocne koszmary. Nazywaliśmy ich yalyddarami - urodzonymi z mocą. Jedną z yalyddarów - zawsze była to kobieta o wyjątkowo potężnych darach - zostawała królową. Gdy osiągała wiek średni, mogła, z pomocą najbliższych doradców, wybrać swoją kafyddę, młodą kobietę, która w przyszłości ją zastąpi.

Te dzieci, które miały średni poziom melyddy - eiliddarowie albo uzdolnieni - miały służyć w inny sposób. Eiliddarowie strzegli naszych granic, budowali domy i świątynie, dbali o czystość wody, chronili pola przed chorobami i domy przed robactwem, a nawet uczyli dzieci i zajmowali się takim rzemiosłem jak garncarstwo czy kowalstwo. Aby coś trwale ukształtować, czy to garnek, kłamrę, czy umysł dziecka, potrzebny był ktoś, kto posiadał melyddę, gdyż brak mocy mógł skazić dzieło i w ten sposób zagrozić nam wszystkim.

Tenyddarowie albo zrodzeni do służby byli pozbawieni mocy i robili wszystko, co im polecono. Polowali, uprawiali ziemię, zajmowali się zwierzętami. Mieliśmy obowiązek strzec nieświadomego świata przed okropnościami demonów. Nawet ci, którzy kopali na polach, wiedzieli, że ich praca jest cenna i konieczna.

Nie można jednak powiedzieć, że wykorzeniliśmy zazdrość i rywalizację. Rezultaty testów dziecka - coś, co określało całą ich przyszłość - były sprawą śmiertelnie poważną i nie raz je kwestionowano. Wielu tenyddarów, jak mój ojciec, przejawiało zdolności albo zamiłowanie w zupełnie innym kierunku, lecz ponieważ nie było w nich melyddy, przydzielano im pośledniejsze zadania. Niektórzy, w przeciwieństwie do mojego ojca, nie znajdowali radości i piękna w życiu, które im dano - w pracy na polu. Ojciec żałował, że nie został nauczycielem, a mnie zawsze było żal uczniów, którzy nigdy nie poznali jego mądrości ani łagodnej ręki. Dopiero po powrocie takie myśli zaczęły wywoływać we mnie gniew. Fiona wiernie zapisywała moje opinie na ten temat.

Catrin była doskonałym nauczycielem i świetnie dawałaby sobie radę bez mojej pomocy, lecz uczniom nigdy nie dość przygotowań na to, co mogli znaleźć, gdy po raz pierwszy przejdą przez prawdziwy portal. Doświadczony przeciwnik przydawał się w trakcie ćwiczeń w rzeczywistych wizjach, które Catrin dla nich przywoływała.

Gorzej sprawdzałem się jako nauczyciel rytuałów. W latach, które spędziłem pomiędzy Derzhimi, tęskniłem za porządkiem, pięknem i celowością ezzariańskiego życia. Lecz kiedy ponownie się w nim zanurzyłem, bez trudu dostrzegłem wady, miejsca, gdzie rytuał zastąpił cel, a tradycję ceniono dla niej samej. Ośmieliłem się zasugerować, że przydałoby się wysłać naszych młodych uczniów w świat, aby poszerzyli swoje horyzonty. Zostałem jednak zbesztany, jakbym proponował, by nauczyli się kąpać, tarzając się w błocie. Choć spędzaliśmy całe życie starając się ich chronić, nie mieliśmy wielkiego pożytku z ludzi, którzy żyli poza naszymi granicami. Przybysze z zewnątrz przynosili ze sobą skażenie.

- Seyonne! - Catrin wydawała się zaskoczona, kiedy wszedłem do długiego, bielonego wapnem budynku. - Co tutaj robisz?

Ukośne promienie słońca wpadały przez wysokie, otwarte okna, zalewając blaskiem wąskie pasmo klepiska, gdzie dziewięciu chłopców w wieku od ośmiu do dwudziestu lat oddawało się ćwiczeniom, od walki na miecze i akrobatykę, po siedzenie bez ruchu ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczami. Wszyscy byli bardzo młodzi.

- To, co powinienem - odparłem. - A po cóż miałbym tu przychodzić?

- Po prostu myślałam...

- Tego ranka nie przysłało żadnego wezwania, a Fiona powiedziała mi, że użycie zaklęć do naprawy przegniłej belki przy mostku za naszym domem jest niewybaczalnym trwonieniem melyddy Strażnika. Dlatego zamiast znajdować się na skraju takiego skażenia, jestem do twoich usług. Miła ośmiogodzinna sesja ćwiczeń... Spotkanie z dziesięcioma najlepszymi uczniami Ezzarii na raz dobrze mi zrobi. - Uśmiechnąłem się, lecz oboje wyczuliśmy fałsz tej radości.

- Musimy porozmawiać, przyjacielu - powiedziała. - Gdy już skończymy. - Skinęła lekko głową Fionie, która weszła za mną na arenę i usiadła na podłodze, by mnie obserwować i słuchać.

Dwaj mocno zbudowani młodzieńcy poruszali się dziwnie w kącie pomieszczenia, otoczonym srebrzystą zasłoną światła. Zamknięci w kwadracie o boku dwudziestu kroków mijali się o grubość włosa, wykonując gwałtowne ruchy, nieświadomi nawzajem swojej obecności. Teyr i Drych, dwaj najbardziej utalentowani uczniowie Catrin, tkwili głęboko w swoich iluzjach. Wierzyli, że walczą z demonami, ścigając drapieźców, którzy znikali i

pojawił się w krajobrazach szaleństwa. Najprawdopodobniej walczyli już od kilku godzin. Rankiem powietrze było ciężkie i wilgotne, ich skóra ociekała potem, choć wyobrażali sobie pewnie, że krwawią, pokryci paskudną materią, którą plują ich przeciwnicy. Gdy się temu przyglądaliśmy, niższy, Drych, wypuścił nagle broń, złapał się za brzuch, jęknął i osunął się na kolana.

Trzej młodszy chłopcy przestali okładać się mieczami, by na to popatrzeć. Catrin warknęła na nich, by wracali do swoich ćwiczeń, inaczej nie zajdą tak daleko jak Drych. Potem przesunęła dłonią po moich plecach.

- Idź i go wyciągnij. Spraw, żeby uwierzył, że nie jest tak beznadziejny, jak sądzi. Jego ćwiczenie było znacznie trudniejsze niż Tegyra. Sprowadzę tamtego na ziemię.

Tegyr, jasnowłosy, żylasty i wyższy, trzymał w jednej ręce okrągłe lustro - imitację zwierciadła Luthena. Wyglądało na to, że pokonał niewidzialnego przeciwnika, gdyż lustro uniósł tak, jakby chciał po kazać demonowi jego odbicie, a nóż był gotów posłać demona w objęcia śmierci. Gdy podszedłem i wyciągałem sapiącego, jęczącego Drycha z powrotem w rzeczywistość, dając mu chwilę, by mógł pomacać się po brzuchu i przekonać, że nie zrasza krwią jakiegoś niesamowitego krajobrazu, Catrin stanęła obok srebrnej kurtyny i wyrzuciła w górę pięść, pozostawiając srebrzysty wzór wiszący w powietrzu, niczym ślad spadającej gwiazdy.

- Bryniddo! - wykrzyknął Tegyr, po czym przewrócił się na plecy, upuszczając lustro. Zaczął się rozpaczliwie szarpać. Najwyraźniej jego niewidzialny przeciwnik jeszcze się bronił.

Zanim zaatakuje się demona, należy się upewnić, że jego fizyczna powłoka jest martwa. To zawsze trudna lekcja. A Catrin nie okaże litości. Chłopak wypowiedział imię swojej Aife - tak poważny błąd będzie go kosztował trzy miesiące pracy. Imiona stanowią drogę do duszy. Demony próbują zatem każdej sztuczki, by poznać miano Strażnika lub Aife.

Drych uklonił mi się w milczeniu. Wiedział, że podczas ćwiczeń nie wolno mu się do nikogo odzywać. Drżał jeszcze, z ulgi, że jego cierpienia były tylko iluzją, albo ze strachu, że zostanie uznany za zbyt słabego i nigdy nie wykorzysta z takim trudem zdobytych umiejętności. Podczas kolejnych dwóch godzin kazałem mu ponownie rozegrać każdy etap walki, by odnalazł błędy, a później ćwiczyliśmy, aż niezbędne poprawki wryły się w jego umysł i ciało tak głęboko, że tej nocy będzie je powtarzał podczas snu.

W pewnej chwili ujrzałem, jak Catrin i Fiona rozmawiają z wysoką, mocno zbudowaną, siwowłosą kobietą. Talar. Za każdym razem gdy widziałem nauczycielkę Fiony, przewodniczącą Rady Mentorów, czułem buzującą pod skórą niechęć i irytację. To z

podpuszczenia Talar wyznaczono mi obserwatora, bo najwyraźniej pragnęła udowodnić, że jestem skazony, skoro ważyłem się z nią nie zgodzić. Męczyłem się z Fioną ponad rok, a przed nami było jeszcze sześć niekończących się miesięcy.

Oczywiście Ysanne mogła w każdej chwili przerwać ten proceder. Była wszak królową, wybraną, by rządzić naszą krainą i ludem tak, jak bogini Verdonne władała lasami na ziemi. Ale Ysanne upierała się, że powinienem to znieść.

- Niech zobaczą. Niech się przekonają. Jeśli odwołam obserwatora, Talar będzie twierdzić, że coś ukrywamy, i nigdy nie uwolnisz się od podejrzeń.

Tego dnia moja niechęć do siwowłosej Aife okazała się silniejsza niż zwykle. Talar opierała się na jesionowej lasce - tej samej, którą widziałem w swoim domu w noc, gdy mojego syna skazano na śmierć. Oczywiście samozwańcza strażniczka ezzariańskiej czystości musiała się upewnić, że wszystko odbędzie się zgodnie z zasadami.

Przez resztę popołudnia ćwiczyłem z Drychem i innymi starszymi uczniami, aż chwiali się niczym zwiędnięte lilie. A ja kazałem im zaczynać od początku i na każdy ich ruch odpowiadałem dwoma, aż w końcu poczułem się tak jak oni. Może zaczną pojmować, że to nie ma końca. O ile chcą przeżyć.

W ostatnich miesiącach bitwy z demonami zdarzały się coraz częściej. Stawały się też coraz bardziej skomplikowane i coraz okrutniejsze. Spodziewaliśmy się tego. Fakt, że władca demonów podjął próbę zagarnięcia władzy nad światem ludzi poprzez opanowanie Aleksandra, oznaczał odejście od wszystkiego, co wiedzieliśmy o rai-kirah. W przeszłości demony koncentrowały się na jednostkach. Teraz najwyraźniej lepiej poznały ludzki sposób życia, nasze zło, i pragnęły wykorzystać swoją moc dla innych, większych celów. Próbowałem przekonać Ysanne, że musimy zwracać większą uwagę na sprawy tego świata, gdyż demony zapewne znów spróbują wmieszać się w ludzkie działania. Choć nie miałem dowodów, że zawiązały nowe spiski, widziałem obraz zmian w swoich bitwach - wykazywały teraz większy spryt, dzikość, lepiej odwracały od siebie uwagę i potrafiły wykorzystywać zaskoczenie, jak poprzedniej nocy, gdy demon najwyraźniej czekał na mnie przy portalu. Spodziewał się mnie. Znał mnie.

- Jeszcze raz - zakomenderowałem, gdy na początku kolejnej serii ćwiczeń Tegyr opadł na kolana, potrząsając głową. - Uważasz, że zdołasz znieść najgorsze, co mogą wymyślić demony. Nie spodziewaj się, że zaatakują, gdy będziesz wypoczęty. - A kiedy zaczęliśmy znowu, wyczarowałem dla niego obraz potwora, z którym walczyłem poprzedniej nocy, i pokazałem grozę, jaką przeżyłem podczas tej bitwy. Zmusiłem wszystkich, by patrzyli, i próbowałem ich nauczyć, jak przekuć gniew w siłę i wytrwałość. Sam musiałem

powtórzyć tę lekcję.

- Cóż to za perwersja? - spytała Fiona, wpatrując się w obraz potwora rozplywający się w ukośnych promieniach słońca. Przeniosła spojrzenie na mnie. - To z nim się wczoraj spotkałeś?

- Właśnie tak to wygląda - odpowiedziałem.

Drych, wstrząśnięty tym, co zobaczył, poprosił, by wolno mu było przemówić.

- Mistrzynie Talar twierdzi, że zbyt intensywne myślenie o ofercie może splamić Strażnika - oznajmił. - Czy to właśnie sprawiło, że wczoraj ci się nie udało?

- Mistrzynie Talar nigdy nie walczyła z demonem - odparłem. - To ofiara gwarantuje wam siłę i cel, nadaje sens wszystkiemu, co robicie. Myśl o niej nie powinna was rozpraszać, ale nigdy nie możecie o niej zapominać. Nigdy. Wczoraj popełniłem błąd. To wszystko. A teraz za cznijmy od początku.

Zwykle spędzałem przynajmniej godzinę z najmłodszymi chłopcami. Byli niezdarni i wzbudzałem w nich trwogę, ale cieszyło mnie, że potrafię sprawić, by trzymali się nieco pewniej, mimo że nadal wiele nie potrafili. Tego dnia jednak nie mogłem znieść widoku ich chudych kończyn i wielkich, podekscytowanych oczu, pełnych melody.

Powiedziałem Catrin, że zaczekam na nią na zewnątrz, póki nie zwolni swojego stadka na kolację. Kiedy wyszła, siedziałem na mokrej ziemi, opierając się o drzewo, i wpatrywałem się w powierzchnię stawu, gdzie ryby pozostawiały kręgi na nieruchomej wodzie. Wokół rosły drzewa, a ich świeże, jaskrawozielone liście lśniły nieruchome w blasku zachodzącego słońca, jakby wstrzymując oddech, czekały na nadejście nocy. Fiona siedziała na stopniach areny ćwiczeń, wystarczająco daleko, by nie usłyszeć tego, co zostanie powiedziane, przynajmniej zwykłymi zmysłami. Nie dałem się nabrać. Potrafiła podchwycić uchem brzęczenie chrabąszcza z odległości trzech lig.

- Jak sobie radzi Drych? - Catrin stanęła przede mną, splatając ręce na piersiach.

- Jutro poddaj go podobnej próbie i sama zobacz - odparłem, miażdżąc między palcami gałązkę goździka. - Szybko się uczy. Mocno go przycisnęłaś.

- Nie zostało dużo czasu.

Podniosłem na nią wzrok.

- Co masz na myśli?

- To, że jesteś zmęczony. Nie powinieneś walczyć codziennie. W tym roku więcej dni spędziłeś za portalem niż w prawdziwym świecie. Nie możesz dźwigać całego ciężaru tej wojny na własnych plecach.

- Robię tylko to, co konieczne, a oni potrzebują czasu, by się dobrze przygotować.

Chciałem, żeby przy mnie usiadła. Marzyłem, by oprzeć głowę na jej ramieniu i się rozplakać. Ale ona stała i patrzyła na mnie nierucho mym wzrokiem.

- Musisz sobie zrobić przerwę, Seyonne. Na parę tygodni, może miesiąc. Jeśli tego nie uczynisz, zginiesz albo stanie się coś jeszcze gorszego.

- Czyli słyszałaś o wczorajszym wypadku.

- Oczywiście, że słyszałam. Jestem twoją mentorką. To ty powinieneś mi o tym powiedzieć.

Oczywiście, mogłem zacząć się usprawiedliwiać: „był środek nocy” albo „musiałem stawić czoła żonie morderczyni”, lecz zamiast tego przyznałem, że nawet nie pomyślałem o konieczności natychmiastowego po informowania mentora o tak poważnym błędzie. Ze wszystkich protokołów, które określały sposób walki z demonami, z tym jednym zgadzałem się z całego serca. Choć każdy odczuwał czasem pokusę, by pomijać milczeniem swoje niedostatki, uważałem, że lepiej szczerze o nich z kimś porozmawiać, rozłożyć je na części pierwsze, przeanalizować bez emocji i poczucia winy, spoglądając w przyszłość, a nie w przeszłość. To poprawiało samopoczucie, dowodziło szczerości, ułatwiało zrozumienie.

- To był naprawdę paskudny dzień, Catrin. Przepraszam. - Ukłoniłem się jej, jak uczeń powinien się uklonić swojemu mentorowi. Strażnik był uczniem do emerytury lub śmierci.

- A teraz idź do domu. - Na chwilę położyła mi dłoń na głowie, po czym ruszyła, by odpędzić swoich podopiecznych od talerzy i kubków i znów zagonić ich do roboty, tym razem z księgami i piórami. W całej Ezzarii mentorzy robili to samo i nigdy nie okazywali litości. Poszuki wacze i tak pomijali połowę wezwań, które mogli nam przysłać.

Tej nocy nie dotarłem do domu. Goniec, kobieta, dogonił mnie, gdy dochodziłem do drewnianego mostku prowadzącego do rezydencji królowej.

- Mistrzu Strażniku! Wezwanie...

Gestem ręki nakazałem Fionie się pospieszyć, by zadyszana dziewczyna nie musiała powtarzać wiadomości. Mój wierny pies-obszawator rzadko pozostawał dalej niż dziesięć kroków za mną.

* *

W ciągu kolejnych dziesięciu dni Fiona i ja przyjęliśmy dwanaście bitew. W krótkich godzinach odpoczynku nie opuszczaliśmy świątyni. Fiona nie miała okazji narzekać na uchybienia, których dopuszczałem się podczas przygotowań, bo jak tylko skończyliśmy,

padaliśmy na posłania. Przyniesiono nam sienniki, choć byliśmy tak zmęczeni, że zimny kamień i goła ziemia też wydawały nam się wygodne. Catrin dostarczała nam jedzenia i wina. Najpewniej się domyśliła, że postawieni wobec wyboru: iść poszukać czegoś do jedzenia albo położyć się spać, zawsze wybierzemy sen. Dwa razy przyszła sama, żeby upewnić się, że zbytnio się nie wysilamy.

- Wiesz, że możesz odmówić przyjęcia wezwania - powiedziała pewnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy na schodach świątyni, obserwując stadko wróbli fruujące wśród drzew. - Nikt nie będzie miał ci tego za złe.

- Ostatnie wezwanie dotyczyło barona Derzhich, który spalił trzy wioski i własny dom, z żoną i dziećmi w środku. Poprzednie kapitana, który pozostawił tonący statek z niewolnikami przykutymi do wiosł. Które miałem odrzucić?

- A co z Fioną? Jest na to za młoda.

Dziewczyna zerknęła na nas spode łba ze swojego miejsca przy ogniu. Powinna w końcu przestać podsłuchiwać.

- Dobrze sobie radzi - pochwaliłem ją. Spojrzałem na trzymane w ręku pieczone kurcze udko, zastanawiając się, czy warto podnieść je do ust. - Ale sama będziesz musiała ją o to spytać. Wobec mnie nie przyzna się do słabości.

- Ani ty wobec niej ?

Spojrzałem na Catrin i wyszczerzyłem się w uśmiechu.

- Nigdy w życiu.

Nie zareagowała na ten nieudolny żart, tylko powtórzyła to, co już od niej usłyszałem podczas naszej rozmowy na arenie.

- Musisz odpocząć, Seyonne.

- Będę ostrożny - odparłem. - Poza tym fakt, że jestem ciągle zajęty, wcale mi nie przeszkadza. Mam mniej czasu na myślenie o sprawach, o których najchętniej bym zapomniał.

Wróble uniosły się z drzewa niczym świergocząca chmura, zatoczyły krąg i znów usiadły na swoich miejscach.

* *

W dziewięciu z tych dwunastu walk demon zdecydował się opuścić żywiciela, wrócić do zamrożonej krainy i tam żyć. W dwóch przypadkach musiałem go zabić. Jedną bitwę

przegrałem. Głupio postąpiłem, że w ogóle spróbowałem, ale był to kolejny przypadek, kiedy szaleństwo ofiary miało tak okrutną naturę, że nie mogłem znieść myśli o jej uwolnieniu. Fiona zgodziła się wziąć w tym udział, a ja wmówiłem sobie, że jest dorosłą kobietą, która zna swoje możliwości. Ale to ja miałem większe doświadczenie i wiedziałem, że nigdy nie odmówiła mi utkania zaklęcia, jeśli chciałem walczyć. Nie powinienem był j ej na pozwolić.

* *

Wyszedłem z portalu w krainie absolutnej ciemności i ostrego zimna - co oznaczało wyczerpaną Aife i wielkie niebezpieczeństwo.

Światło, Aife!. Ale ciemność się nie rozproszyła, a ja nie potrafiłem skoncentrować się tak, by moje drugie zmysły zaczęły działać. Musiałem się poruszać. Znaleźć wystarczająco dużo światła, by widzieć, co robię. *Biegnij. Leć...*

Posiadałem talent, którym nie mógł się pochwalić żaden ze Strażników, jakich pamiętali Ezzarianie. Za portalem przechodziłem przeobrażenie, które dawało mi skrzydła. Nikt nie wiedział, jak to możliwe, a kiedy miałem osiemnaście lat i opowiedziałem o tym, gdy wydarzyło się po raz pierwszy, wielu mi nie uwierzyło. Ale dla mnie było to naturalne rozwinięcie melyddy, tak jak miecz stawał się naturalnym przedłużeniem ramienia. Skrzydła dawały mi siłę i możliwość latania, którym zawdzięczałem zwycięstwo w wielu walkach.

Próbując rozeznac, co kryje się w ciemnościach, uwolniłem konieczne zaklęcie, lecz tuż przed tym, jak skrzydła nabrały kształtu, w chwili gdy byłem najbardziej wrażliwy, gdy palący ból w ramionach wypełniał całą moją świadomość, demon zaatakował. Nie miałem czasu, by rozpoznać jego kształt i by zmienić zmysły lub odzyskać panowanie nad sobą. Byłem zbyt powolny i zbyt zmęczony. Musiałem się wydostać albo zginąć.

- Aife! - zawołałem, gdy szpony rozdarły moje ramiona w trzech miejscach na raz. Portal powrócił, lecz bestia odciągnęła mnie od niego dalej, niż się spodziewałem. Wyrwałem się i pobiegłem, a ziemia za mną drżała od kroków potwora. Ciemność wibrowała od jego śmierzącego oddechu. Z każdej strony atakowało mnie zło, nienawiść, która mroziła krew w żyłach i zmieniała kończyny w kamień, wysysając wolę i zalewając duszę rozpaczą. Moja słabość wpływała również na Fionę, gdyż portal migotał, to znikając w ciemnościach, to się pojawiając.

- Wytrzymaj, Aife! - krzyknąłem, gdy jego granica zaczęła się roz padać na kawałki.

Wskoczyłem w szary prostokąt i wylądowałem twarzą na kamiennej posadzce świątyni. Noga płonęła mi żywym ogniem, poszarpana szponami demona, ale na to nic nie mogłem poradzić. Nie byłem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek jeszcze się poruszę.

- Głupi, głupi - powiedziałem, otrząsając głowę z ciemności, bezwładny i wyczerpany. Płuca paliły mnie przy każdym ciężkim oddechu, a całun przerażenia jeszcze nie do końca opuścił moją duszę. - Przepraszam. Wszystko w porządku?

Zamiast odpowiedzieć, Fiona zanosła się cichym kaszlem. Uniosłem głowę. Leżała na plecach obok paleniska, blada jak jej biała szata.

Podczołgałem się do niej i przekręciłem ją na bok, a ona zwymiotowała resztki ostatniego, pospiesznie spożytego posiłku.

Wydobyłem ją z kałuży wymiocin i zniosłem na wschodnie schody świątyni, gdzie poranne słońce świeciło ciepłym i czystym blaskiem, po czym poszedłem po wodę, obmyłem jej twarz i wylałem kilka kropli na jej wargi. Najprawdopodobniej byłaby rozdrażniona faktem, że wy korzystałem wodę pitną do mycia, jednak zabieg ten przywrócił barwy jej twarzy. Cóż za ironia.

- Był paskudny - oznajmiłem, kiedy otworzyła oczy. - Zapisz sobie, że otwarcie przyznaję, iż ta próba była głupotą. - Co najprawdopodobniej zrobi, choć jednocześnie będzie musiała wyznać, że z powodu własnej próżności nie odmówiła tkania zaklęć.

- Z tobą wszystko w porządku? - spytała, podnosząc się o własnych siłach i zamykając oczy, by uchronić je przed blaskiem słońca, choć jednocześnie próbowała mi się przyjrzeć.

- Dzięki tobie. - Kiedy Strażnik odnosił ranę, Aife trudno było utrzymać portal. Oczywiście, miała prawo go zamknąć i pozostawić swojego partnera w otchłani opętanej przez demona duszy, ale to każde z nas traktowało jak urzeczywistnienie najgorszego koszmaru. - Zaraz, zaraz. Zostań tutaj. Nie musisz wstawać. Ja zajmę się oczyszczaniem... i obiecuję, że zrobię to właściwie. Odpocznij trochę. - Byłem jej winien dużo więcej niż godzinny rytuał.

Ten jeden raz nie kłóciła się ze mną, choć nie poszła spać. Obserwowała każdy mój ruch, gdy przez godzinę czyściłem broń, posadzki, siebie, a nawet palenisko, starannie recytując każde słowo inkantacji, które miały rozerwać wszelkie pozostałe jeszcze więzi z wciąż aktywnym demonem.

- Czyli jednak je znasz - zauważyła, gdy wypowiedziałem ostatnie słowa niekończącej się pieśni wykorzystywanej po przegranej bitwie.

- I nie wypaliły mi języka ani nie sprawiły, że moje oczy zaczęły płonąć demonicznym błękitem. Ale naprawdę wolałbym pójść spać.

Nie położyłem się na swoim sienniku leżącym w jednej z wewnętrznych komnat, lecz wyciągnąłem się w cieniu zachodnich schodów i przespałem dwanaście godzin bez przerwy. Śniłem o zabijaniu.

* *

Następnego dnia odmówiliśmy przyjęcia dwóch wezwań, choć nie opuściliśmy jeszcze świątyni. Spaliśmy. Ktoś przynosił nam posiłki.

Jedliśmy i znów szliśmy spać. Następnego ranka po przegranej walce Ysanne przyszła do Fiony, by porozmawiać z nią o portalach, strategiach tkania i innych sprawach Aife. Nie dołączyłem do nich, lecz usiadłem na zachodnich schodach i jadłem mięso, ciastka i owoce, które dla mnie pozostawiono. Gdy umilkły, obejrzałem się przez ramię. Ysanne spoglądała na mnie przez całą szerokość świątyni, a jej twarz była równie pozbawiona wyrazu jak kamienne kolumny, które ją otaczały.

- Królowa twierdzi, że w drodze jest kolejny goniec - oznajmiła Fiona zza moich pleców. - Zapewniłam ją, że już wypoczęliśmy. Miałam rację?

Postarałem się, by mój głos był spokojny.

- Jestem gotów.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek jeszcze będę pracować z Ysanne. Wydawało mi się to niemożliwe.

- Podobno jeden z Poszukiwaczy przebywa w Karn'Hegeth i donosi o konfliktach wśród Derzhich.

Ta informacja najwyraźniej ucieszyła Fionę, jakby nasze bezpieczeństwo nie zależało od siły imperium Aleksandra. Niezależnie od tego, co ludzie mówili o Derzhich - a ja miałem bardzo dobry powód, by ich nienawidzić - to stabilność ich imperium pozwalała nam skutecznie działać przez setki lat. Obietnica ochrony, jaką złożył Aleksander, zapewniała nam bezpieczeństwo, póki panować będzie jego ród. W ciągu ostatnich miesięcy spędziłem wystarczająco wiele czasu tłumacząc to Fionie. Trzeba jednak otwarcie przyznać, że dziewczyna i pozostali wiedzieli tylko, iż Ezzarię zwrócono nam w podzięce za pomoc w walce z Khelidami. Tylko Ysanne i Catrin zdawały sobie sprawę, że Ezzaria była osobistym darem Aleksandra dla mnie. Nikt inny nie zdołałby pojąć więzów, jakie łączyły księcia i mnie.

Goniec wkrótce przybył. To był dziwny przypadek, powiedziała dziewczyna, po czym zapadła w stan przypominający trans i przekazała słowa naszej odległej rodaczki. Wiadomość od Poszukiwacza była niewyraźna, ale nagła. Dowiedzieliśmy się tylko, że ofiara oszalała i nagle opuściła żonę i dzieci. Wiedząc tak niewiele, przygotowaliśmy się wraz z Fioną, a gdy słońce sięgnęło zenitu, pozostawiając cień padający na posadzkę świątyni, dotknąłem dłoni Aife i zacząłem najdziwniejszą podróż w swoim życiu.

Rozdział 4

- Jestem Strażnikiem przysłanym przez Aife, bicz na demony, by wyzwąć cię do walki o to ciało! *Hyssad!* Odejdź! Ono nie należy do ciebie. - Demon się nie pokazał, więc musiałem wyruszyć na poszukiwania.

Dziwne miejsce. Pod wirującym niebem o odcieniu bladego błękitu i bieli leżał ogród. Wszelkie odmiany kwiatów, ziół i krzewów wypełniały go żywą, bujną zielenią nakrapianą wszystkimi barwami, jakie mogła wytworzyć natura. Rosły, więdły, umierały i znów wyrastały, a szybkość ich przemiany przyprawiała mnie o zawrót głowy. Przeszedłem wśród kwiatów w stronę drzew niemożliwie wprost różnorodnego lasu, gdzie rosły razem wysokie, potężne jesiony i dęby, kwitnące drzewa owocowe, drzewa nagera o spiczastych liściach występujące na pustyni Azhak w pobliżu studni i źródeł, a razem z nimi odmiany sosny, świerku i jodły znane tylko tym, którzy okazali się wystarczająco wytrwali, by zamieszkać w najwyższych górach za Capharną. Wszędzie płonęły jaskrawożółte i czerwone liście przemieszane z najświeższą wiosenną zielenią, zmieniające się z każdym moim krokiem, po którym ognistoczerwone klonowe liście spadały razem z płatkami gruszy.

Przez dłuższy czas niczego w tym dziwnym lesie nie znalazłem. Wzdłuż ścieżki szemrał strumień. Mając nadzieję, że doprowadzi mnie do celu, podążyłem za nim, przebijając się przez coraz gęściejsze poszycie, tnąc bujną roślinność srebrnym nożem zmienionym w kosę... i niemal spadłem z urwiska. Las kończył się raptownie na krawędzi wysokiej na pięćdziesiąt piętér skarpy nad zalesioną doliną. Gdy się zatrzymałem, by zakłęcie przeobrażenia dało mi skrzydła, ze stromej kamiennej ściany wyłoniła się ścieżka, niczym piaskowy wąż zrzucający starą skórę. Pomyślałem, że to dzieło Fiony. Aife mogła wyczuć przeszkody na drodze Strażnika i próbować im zaradzić, zmieniając kształt krajobrazu, który tworzyła w umyśle. Było to ryzykowne, gdyż nie widziała swego partnera i mogła przypadkiem zrzucić go z urwiska albo nabić na drzewo. Ysanne umiała sobie z tym radzić, gdyż wyczuwała, czego potrzebowałem. *Och, miłości moja...*

Fala przeszywającego smutku przybyła nieproszona... niechciana. To nie było odpowiednie miejsce. Skoncentrowałem się i ruszyłem ścieżką. W dół, do żyznej doliny i przemieszanych pór roku. Drzewa wyższe niż pałace Derzhich... paprocie rozmiaru domów...

czerwone kwiaty o czarnych środkach i gęstym, mdłym zapachu, od którego kręciło mi się w głowie.

- *Hyssad!* Odejdź! - ryknąłem, kiedy wyczułem poruszenie przed sobą, po drugiej stronie zakola szerokiej, leniwej rzeki. Na czole zaczął mi się zbierać pot. Gdzie się podział demon? Nie wyczuwałem go. A jednak coś czaiło się w pobliżu. Czy moje zmysły odmówiły posłuszeństwa?

Podmuch gorącego, wilgotnego wiatru poruszył drzewami i uniósł chmurę owadów. Z daleka dobiegł mnie krzyk ptaka. Jakieś pnącze owinęło mi się wokół szyi, ciąłem je mieczem, jednocześnie przyciągając skrzydła bliżej ciała. Mógłbym przysiąc, że słyszałem śmiech.

- *Hyssad!*

- Czy jesteś ptakiem, czy też jedną z tych gderających istot, które drażnią moje uszy? - Głos zabrzmiał tuż znad mojej głowy, z wysoka, gdzieś znad pary błyszczących czarnych butów, które dostrzegłem na gałęzi. - I wciąż powtarzasz to paskudne słowo. Wolałbym, żebyś przestał.

Zrobiłem krok do tyłu i potknąłem się o wystający korzeń, którego jeszcze chwilę wcześniej, kiedy tamtędy przechodziłem, wcale nie było na ścieżce. Gdy poderwałem się na równe nogi, uniosłem miecz, przekonany, że stwór wykorzysta moją niezręczność.

- Odłóż go. Nie mam powodów, by się z tobą kłócić.

Buty zeskoczyły z drzewa, wzbudzając deszcz czerwonych i złotych liści, za którymi pojawił się szczupły, jasnowłosy mężczyzna w średnim wieku, uśmiechając się z wyższością. Jego jasna broda była elegancko przystrzyżona, a dłonie piękne i czyste. Miał na sobie koszulę i spodnie o barwie głębokiego błękitu i fioletu, a na nich szarzielony płaszcz, który w blasku słońca migotał jak woda. Nie dostrzegłem broni.

- Kim jesteś, ptakiem czy pchłą? Bo przecież nie tym, przed którym mnie ostrzegano. - Poruszył palcem i drzewa cofnęły się, by mógł mnie obejść. Odwróciłem się do niego, trzymając w gotowości nóż, obecnie w postaci miecza. - Daj spokój. Jak mam cię poznać, jeśli wciąż się poruszasz i nie pozwalasz mi się przyjrzeć? - Położył dłonie na biodrach i roześmiał się, a jednak dźwięk ten nie wyzerał moich uszu i duszy, jak śmiech demonów.

Lepiej nie podejmować dyskusji z demonem, niezależnie jak potwornej czy jak zwyczajnej postaci. Nic z nich nigdy nie wynika. Słowa służą tylko do odwrócenia uwagi. Dlatego czekałem. Demon mnie obserwował, opierając się plecami o porośnięty mchem pień drzewa i przygryzając długie źdźbło trawy. Chyba się nie spieszył. Poruszałem czubkiem miecza, zataczając nim coraz ciaśniejsze kręgi i próbując ściągnąć jego spojrzenie, a

jednocześnie zmniejszałem dzielący nas dystans. Poczułem się głupio, gdy zatrzymał ostrze wyciągniętą ręką, po czym cofnął ją gwałtownie.

- Auć! - Wsunął palec do ust. - To nie było miłe. Naprawdę masz zamiar to we mnie wbić? - Spojrzał na swój płaski brzuch i położył na nim drugą dłoń. - Nic przyjemnego. Nie moglibyśmy tego pominąć?

- Z pewnością dałoby się tego uniknąć, gdybyś z dobrej woli opuścił to naczynie. - *Cierpliwości. Nie daj się wciągnąć w jego grę.*

- Ach, jednak mówisz coś poza słowami, które ranią uszy. Ale to i tak znaczy to samo. Wyjdź, odejź, *hyssad*. - Skrzywił się i zadrżał teatralnie, gdy wypowiedział ten ostami wyraz w demonicznym języku, którego żaden przedstawiciel jego gatunku nie potrafił zignorować. - Ale ja nie chcę odejść. Podoba mi się tutaj, dużo się uczę, a to - szerokim gestem wskazał ziemię, niebo i drzewa - to „naczynie”, jak je nazywasz, nie ma nic przeciwko mojej obecności. Czemu zatem miałbym odejść?

- Właściwie nie masz wyboru. Możesz tylko odejść lub zginąć. - *Nie klóć się z nim. Próbuje odwrócić twoją uwagę.*

- Nie. To nie do przyjęcia. Zaproponuj mi coś innego.

- Nie da rady. Odejź lub zgiń. - Stałem gotowy do walki, lecz nim zdążyłem mrugnąć, znaleźliśmy się w zupełnie innym miejscu. W mieście... opuszczonym mieście, gdzie zawodzący wiatr toczył pusty, zniszczony kociołek po ulicach i wyl w wypalonych budynkach. Na pustym rynku leżały sterty kości, zaś z trzymanego przez rękę szkieletu drzewca dumnie powiewała poszarpana flaga. Zapięła mnie twarz, a szczególnie blizna, znak sokoła i lwa, taki sam jak na fladze. Fladze Aleksandra, na której widniał lew Derzhich i sokół rodu Denischkar.

- Co to? - Zaskoczony, złamałem swoje postanowienie.

- Pomyślałem, że to ci będzie bardziej odpowiadać. W tamtym miejscu byłeś taki ponury. „Odejź albo zgiń”. Taki nieprzyjazny. To tutaj prowadzą takie uczucia... do dziedziny... Bezimiennego. - Moją duszę przeszła fala chłodu. - To wcale nie jest przyjemne miejsce. Wcale a wcale.

- Nie przybyłem tu, by się z tobą zaprzyjaźnić.

- To zabij mnie, jeśli musisz. Tak nigdzie nie dojdziemy. - Usiadł ze skrzyżowanymi nogami pomiędzy kołami przewróconego wozu i rozerwał delikatną fioletową koszulę, by ukazać jak najbardziej ludzką pierś. Spojrzał w dół i przeciągnął palcami po skórze. - Po namyśle...

Ścisnął mi się żołądek, gdy krajobraz zmienił się ponownie. Tym razem znaleźliśmy się na ćwiczebnej arenie Catrin, na której dostrzegłem ten sam pas jaskrawych słonecznych promieni, który widziałem przed dwoma tygodniami. Demon trzymał teraz w ręku miecz i wymachiwał nim bez ładu i składu, niczym jeden z niedoświadczonych uczniów Catrin.

- Dobrze. Chodź do mnie!

Wyciągał mi z głowy potrzebne informacje. Cofnąłem się, próbując wykuć w umyśle nowe bariery, a jednocześnie odkryć, jak mu się to udawało. Na próżno. To budziło niepokój.

- Nie jesteś już taki dzielny, co? Potrafię walczyć lepiej, niż się spodziewasz. - Błyskawicznymi pchnięciami, których nawet nie zauważyłem, naciął mi czubek prawego ucha, lewe ramię, prawe kolano i pozostawił pięciocentymetrową rysę na skórze jednego buta. Nim udało mi się odpowiedzieć, usiadł pośrodku areny, trzydzieści kroków ode mnie, i położył miecz przed sobą. - Czemu nie porozmawiamy?

- Musisz opuścić to naczynie. To nie jest twoje miejsce. Kimkolwiek jesteś, nie powinieneś tu przebywać.

- Wątpliwości to coś straszliwego. Ścisnął mi żołądek. Jesteś zaskoczony, że o nich wiem? Mówię o swoich wątpliwościach, nie tylko twoich. Dziwi cię, że je mam? Wątpliwości to wróg... Strażnika... tak na siebie mówisz. Opowiadano mi o Strażnikach i Aife, biczu... Ostrzegano, bym na nich uważał... a szczególnie na ciebie. Strażnik, który się zmienia. Ten, który jest inny od wszystkich, którzy przychodzili wcześniej. Pomyślałem, że zobaczę to na własne oczy. Przysparzasz kłopotu wielu moim ziomkom.

Nie oszalałem. Demon się mną bawił... A może już było po walce i zostałem ranny? Co powinienem zrobić? Wycofać się? Zabić go? Nie chciał odejść, więc przysięga wymagała, bym go uśmiercił. Ale nasze spotkanie było takie niezwykle. Każdy ze zmysłów, którymi wyszukiwałem demony, zawiódł. Nie słyszałem demonicznej muzyki, nie czułem przerażenia, smrodu zgnilizny i zepsucia, ohydy ukrytej za ładnym wyglądem. Nic dziwnego, że mógł mi wejść do głowy - nie wykazywał żadnych cech, które ostrzegłyby moje mechanizmy obronne. A jednak był demonem. To nie ulegało wątpliwości. Poszukiwacz go odkrył, bo ofiara wykazywała oznaki opętania. Wykorzystał do tego dwadzieścia sześć prób. Czym zatem, jeśli nie demonem, mogła być owa istota?

- Zastanawiasz się. To dobry znak. Powiedzieć ci, jak się tu znalazłem? Jeśli schowasz do pochwy tę paskudną broń lub położysz ją tak, jak ja to zrobiłem, możemy trochę pogadać. Ja chciałbym wiedzieć, dlaczego bicz na demony chce mnie odesłać z powrotem z umysłem w strzępach, choć przecież dopiero tu przyszedłem i nie zrobiłem nic złego.

Istniał tylko jeden sposób, by się upewnić. Niebezpiecznie jest odsłaniać własną duszę za portalem. Moje bariery ochronne, wykształcone podczas długiego szkolenia, i tak niebezpiecznie się kruszyły, gdy chodziło się w duszy drugiego człowieka. Ale potrzebowałem czegoś, co pomogłoby mi wrócić do równowagi. Kotwicy. Pewności. I dlatego przykucnąłem na ziemi przed smukłą postacią i spojrzałem w jej oczy... I oto każdym strzępem melyddy, który udało mi się zebrać, dostrzegłem prawdę. Jasnowłosy mężczyzna, który siedział przede mną z przechyloną głową, marszcząc czoło z ciekawości, rzeczywiście był rai-kirah. Ale nie zauważyłem w nim zła.

Niemożliwe! Teraz już musiałem go zabić. Rai-kirah, który potrafił tak oszukać zmysły Strażnika, oznaczał, że natura tych stworzeń uległa zmianie... Pociągało to za sobą niebezpieczeństwo tak wielkie, że nie potrafiłem go nawet ocenić. Ale w życiu widziałem wiele rzeczy niemożliwych. Cóż mogło być bardziej nieprawdopodobne od znaku bogów, jaki odnalazłem w Aleksandrze?

- Dlaczego się tu zjawiłeś? - spytałem, siadając przed nim. - Kim jesteś?

Brodaty mężczyzna, który wcale nie był mężczyzną, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Tak lepiej. Ci, których odsyłasz, zawsze są tacy tępi. Zwierzęta Gastaiowie. Trudno im potem wrócić do siebie. Oczywiście, zasługują na to, co z nimi robisz. Są użyteczni, ale ja naprawdę nie chcę być taki jak oni. Choć oczywiście to lepsze, niż gdybyś miał wbić we mnie ten paskudny nożyk. A ja nie mam ochoty obcinać ci różnych kawałków ciała i kazać ci błagać o litość czy coś w tym rodzaju. Chcę tylko dowiedzieć się czegoś o tobie i zobaczyć więcej z tego świata. Mój jest bardzo zimny, choć ostatnio zmienia się na lepsze.

- Chcesz tylko zobaczyć...? - Jego słowa sprawiały, że kręciło mi się w głowie. Bogowie, co to za Gastaiowie?

- Niech to, trudno cię przekonać. Tak, wyruszyłem na polowanie jak zwykły Gastai i odnalazłem tego człowieka, który był tak skulony... zaduszony przez kobietę i te małe wrzeszczące istotki, a on chciał tylko rzucać kolorowe plamy na papier... płótno, tak to nazywa. Przybyłem i pozwoliłem mu na to. Jestem tu tylko dla zabawy i wbrew temu, co sądzisz, nie mam zamiaru zmuszać go do jakichś zbrodni. On rzeczywiście potrafi odnajdywać piękne krajobrazy. Nieźle się bawiliśmy, ale ktoś... jeden z twoich... zaczął się wtrącać. Mój przyjaciel... moje naczynie... bardzo się boi, że się mnie pozbędziecie, ponieważ wtedy już nie będzie miał sił, by malować. Nie do końca to rozumiem, bo nie wiem, jak człowiek może się aż tak zmienić, ale... nie chcę jeszcze odchodzić, a już z pewnością nie po jakiejś wyczerpującej walce, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Nie wiedziałem, co rzec. Ku swemu najgłębszemu zdziwieniu zacząłem się śmiać. Jeśli tak wygląda szaleństwo, to nie jest nawet w połowie tak przerażające, jak zawsze sądziłem. A jeśli to nie szaleństwo... Na nocne gwiazdy, w co ja się wpakowałem?

W irytujący sposób znów zmienił scenografię tak, że znaleźliśmy się na zewnątrz. Na zewnątrz, w duszy jakiegoś biednego mężczyzny. W duszy artysty. Szliśmy ramię w ramię przez pełne kwiatów pola, rozwijające się i umierające bogactwo barw i życia. Słońce ogrzewało moje zmarznięte ręce. Schowałem broń i nie czułem niebezpieczeństwa. Jak to możliwe?

- To niezwykle - zauważyłem. - Stawiłem czoła setkom... setkom twoich ziomków i nigdy...

- Nie wolno ci oceniać nas wszystkich na podstawie kilku, których pokonałeś. Nie przyjrzałeś się nam, wiesz? Czy określiłbyś wartość lasu, widząc tylko parę chorych, poszarpanych przez wiatr drzew na jego krawędzi? Poznasz smak mięszu owocu po jego gorzkiej skórce? A skoro wyruszasz na łowy z takim nastawieniem... - wskazał na pochwę z nożem i sakiewkę ze zwierciadłem u mojego pasa - ...co spodziewasz się znaleźć? Takie ziarno nie sprowadzi do ciebie rajskich ptaków.

- Czyli są jeszcze inni podobni do ciebie?

Odetchnął głęboko i westchnął z namysłem.

- Cóż, nie posunąłbym się tak daleko. Moi krewni, Gastaiowie, są dość tępi, przynajmniej większość z nich. Ale warto poznać Rudaiów, i jeszcze kilku z tych bardziej rozsądnych. Oni pewnie też chętnie by się z tobą spotkali. Musisz patrzeć. Uczyć się. Możemy ci wiele pokazać.

- Jeśli chcesz mnie przekonać, bym wykonywał twoje rozkazy...

- Jak tego Strażnika, który zaangażował się w grę, nie znając jej zasad? Nie, wcale. - Zerwał kilka kwiatów i uniósł je do nosa, z przyjemnością wdychając ich zapach. - Moi przyjaciele i ja nie kontaktowaliśmy się z Naghiddą i ucieszyliśmy się, kiedy ty... bo to byłeś ty... pokonałeś tego łotra... A niech to, co to?

Niebo stało się fioletowe i wygięło się w naszą stronę niczym nabrzmiewający siniec, a ścieżka pod naszymi stopami zaczęła pękać. Fiona... portal. Na bogów, gdzie był portal? A demon nadal żył, nadal panował nad ofiarą.

- Muszę iść. - Położyłem dłoń na rękojeści noża. Złożyłem przysięgę, która stanowiła kamień węgielny mojego życia. Co ja sobie myślałem?

- I jak będzie? - Demon wyszczerzył się do mnie w uśmiechu. - Oczywiście, mógłbym z tobą walczyć, ale wolałbym tego uniknąć. Nie odejdę. Czy możemy udawać, że nie udało ci się mnie odnaleźć?

W miejscu, w którym staliśmy, ziemia zaczęła się zapadać. Pochwyciłem wiatr w skrzydła i uniosłem się w górę, spoglądając na niego. Jasne włosy otaczały jego twarz, a kwiaty nadal rozkwitały i wędły, szybciej niż wcześniej. Mogłem go pokonać. Był szybki i zarozumiały, ale ja go obserwowałem, a on za dużo myślał. Cóż, ja też. Zatoczyłem krąg i zawołałem do niego.

- Masz jakieś imię?

Roześmiał się i otoczył usta rękami, bym usłyszał jego słowa przez coraz silniejszy wiatr.

- Nie zdołałbyś go wymówić. I może być inne, kiedy znów się spotkamy. Ale ja cię zapamiętam, Strażniku. Razem pewnie przeżylibyśmy wspaniałe przygody i zobaczyli kawałek świata. Potrafilibyśmy znaleźć wspólny cel, który z czasem, być może, bardzo by ci się przysłużył.

Niebo zapadło się do środka, pola kwiatów zaczęły się rozpadać, a ja skierowałem się w stronę portalu. Odwróciłem się po raz ostatni; stał w czarnej pustce, gdzie wcześniej kwitły kwiaty. Pomachał mi na pożegnanie i znikł w ciemnościach. Przeszedłem przez portal i wylądowałem na podłodze świątyni.

* *

Kiedy w końcu odzyskałem jasność myśli, Fiony już nie było. Porzuciła rytuały - oczyszczanie, obowiązki, modlitwy i inkantacje, które były dla niej tak ważne. Przez krótką chwilę, gdy wycierałem nieużywany nóż i zwierciadło i odkładałem je do drewnianej skrzynki, zastanawiałem się, czy się nie rozchorowała. Kiedy jednak rozważyłem szczegóły niezwykłego spotkania z demonem, poczułem się niepewnie. Dotarłem do wersu w pieśni zamykającej, gdzie słowa zmieniało się zależnie od wyniku bitwy. Jedno zdanie w przypadku zwycięstwa. Inne w przypadku przegranej. Inne, gdy Strażnik zginął. Jeszcze inne, gdy został porzucony w otchłani. Tej nocy nie potrafiłem odnaleźć odpowiedniej frazy. Co ja zrobiłem?

Fiona wiedziała, że nie zabiłem demona. Aife czuła to w swoim tkaniu, zdawała sobie sprawę, że demon opuszczał ofiarę... albo nie. Domyślałem się, że poszła przekazać raport o

wyniku spotkania Radzie Mentorów. Dobijała mnie myśl, że wypowiadała moje imię na tym samym oddechu co słowo „zdrada”.

Gdy jednak odniosłem drewnianą skrzynkę do komnaty przygotowań, nabrałem wody ze studni w pobliżu świątyni i umyłem się, chwilowa panika ustąpiła miejsca zdziwieniu. Jakże chciałem porozmawiać o tym z Ysanne, żałując, że to nie ona przeżyła ze mną to niezwykle doświadczenie. Jej zmysły były tak wyczulone. Oto spotkałem demona, którego nie przyciągał ból i przerażenie, lecz sztuka, barwy, nauka i przygoda. Rai-kirah z poczuciem humoru. Wejrzałem w jego głębię wzrokiem Strażnika i nie mogłem się pomylić. Dziwne. Powinienem pójść za Fioną i opowiedzieć mojej mentorce i pozostałym nie o zdradzie, lecz o czymś niezwykłym. Czymś, czego nawet sobie nie wyobrażaliśmy.

Złamałem przysięgę, lecz nie czułem się winny. Zabicie tego demona byłoby złem. Wygnanie go byłoby złem. Wiedzieliśmy, że wypędzając demona z ludzkiej duszy, zadajemy mu poważne obrażenia, przynajmniej na jakiś czas. Ezzariańscy mentorzy uczyli, że głód zła jest u tych stworzeń czymś naturalnym, ale jeśli któreś z nich go nie odczuwało, czy miałem prawo je skrzywdzić? Oczywiście, możliwe, że ten demon był swojego rodzaju wynaturzeniem, my jednak powinniśmy dowiedzieć się o nim jak najwięcej.

Kiedy popołudnie przeszło w wieczór, a ja pogążyłem się w rozmyślaniach i tęsknocie za Ysanne, powróciły wspomnienia naszego martwego dziecka. Serce zadrżało mi w piersiach i chciałem wbić pięść w kamienne kolumny świątyni. Miast tego oparłem się o filar, przycisnąłem ręce do bolącej głowy i zacząłem płakać z bólu, którego już nie mogłem ukrywać. A co, jeśli jego demon był właśnie taki? Przez tysiąc lat nawet nie pomyśleliśmy o podobnej możliwości.

Rozdział 5

Każde z pięciorga szanowanych mężczyzn i kobiet w Radzie uosabiało jeden z wyjątkowych talentów wykorzystywanych w walce z demonami. Catrin, najmłodsza spośród nich, gdyż miała zaledwie trzydzieści lat, reprezentowała tych, którzy szkolili Strażników. Maire była przedstawicielką Tkaczek, które troszczyły się o bezpieczeństwo ezzariańskich osad, Talar tych, którzy szkolili Aife, Caddoc Poszukiwaczy, a Kenehyr Poczycieli.

Siedemdziesięcioletnia Maire była mądrą, bystroką Tkaczką, bliską przyjaciółką mojej matki. Znała mnie od chwili narodzin i to ona przeprowadzała próbę, po której znalazłem się wśród valyddarów - urodzonych z mocą. Choć nigdy nie uczyniłaby nic, co zachwiało jej prawością, na pewno nie zwątpiłaby we mnie bez niepodważalnego dowodu. Ufałem ocenom Maire bardziej niż własnym.

Kenehyr, pulchny, wesoły mężczyzna, niegdyś pełnił funkcję Poczyciela. Jego melydda była tak silna, że spojrzeniem umiał powalać drzewa... ale tylko wtedy, gdy nic go nie rozpraszało. Zawsze potrzebował Poszukiwacza, potężnego wojownika, który zapewniłby mu bezpieczeństwo, gdyż Kenehyr nie potrafił zajmować się więcej niż jedną rzeczą na raz i miał tak łagodny charakter, że nie zauważyłby niebezpieczeństwa, nawet gdyby nastąpiło mu na palce. Kenehyr również znał mnie przez większość życia w Ezzarii. Jak Ysanne i Catrin, on także przekonywał ziomków, że moje życie stanowi spełnienie przepowiedni, a wobec tego jeśli pozwolą mi na powrót, wcale nie pochwalą zepsucia. Był również jednym z najbardziej liberalnych Ezzarian i z pewnością nie zwątpiłby w moje słowa, nawet gdyby ujrzał w moich oczach ogień demonów.

Talar i Caddoc to zupełnie inna sprawa. Ostatniego dnia ezzariańskiej niepodległości, trzeciego dnia wojny z Derzhimi, Strażnicy, Poszukiwacze i Poczyciele, ci z nas, którzy umieli walczyć, prowadzili potyczki. Wiedzieliśmy, że nasz opór jest daremny. Musieliśmy utrzymać się jak najdłużej, by królowa i najsilniejsi z valyddarów zdążyli opuścić Ezzarię, zabierając ze sobą wszystkie cenne księgi i manuskrypty oraz broń wykorzystywaną do walki z demonami. Dopiero wtedy mieliśmy podjąć próbę uratowania pozostałych. Udało nam się ocalić królową, księgi i część mentorów, ale poza tym zawiedliśmy. Tylko niewielu zdołało podążyć za królową i odbudować swoje życie w górach na północ od Capharny. Inni, tak jak

ja, trafili w niewolę. Widziałem tak wielu umarłych, że trudno mi było uwierzyć, iż ktokolwiek przeżył. Ale setki Ezzarian wycofały się do lasów, gdy wokół nich zaciskał się krąg okupacji Derzhich.

Nie pozostało im nic. Setki lat ukrycia i izolacji oznaczały, że nie mieliśmy sojuszników, którzy mogliby zapewnić nam schronienie. Derzhi okupowali ziemię najbliższej północnej granicy i wysyłali drużyny myśliwych i drwali głęboko między drzewa. Ezzarianie wiedzieli, że nie wolno im się ujawnić i dlatego musieli utrzymywać się przy życiu tylko dzięki temu, co udało im się upolować lub zebrać. Nie mieli ksiąg, magicznej broni i pozostało im niewielu mentorów, którzy mogliby szkolić innych. Żyli, nie mając nadziei na powrót do zadań, które uważali za swój święty obowiązek, gdyż brakowało im Strażników, nie mieli też pojęcia, czy królowej i innym udało się dotrzeć w bezpieczne miejsce. Zaczęli walczyć między sobą i lekceważyć zwyczaje, które w obliczu takiego niebezpieczeństwa straciły znaczenie.

Ale Talar, Aife o przeciętnym talencie, wzięła sprawy w swoje ręce. Nie pozwoliła, by trudy życia i rozpacz traktowano jako usprawiedliwienie dla braku dyscypliny. Łajęła pozostałych, przypominając im, że taka słabość pomaga demonom. Opowiadała historie o Verdonne i jej długiej walce, by ochronić mieszkańców ziemi przed zazdrością nieśmiertelnego małżonka, i mówiła, że skoro śmiertelna kobieta wytrzymała ataki boga, Ezzarianie także zdołają przetrwać. Choć umierała z głodu, piła wyłącznie deszczówkę i spożywała tylko jedzenie, które zostało wyhodowane, złapane lub oczyszczone na sposób naszych przodków. Prowadziła rytuały oczyszczenia i odnalazła kilka młodych kobiet, których umiejętności wystarczyły, by spróbowały rzucić zaklęcia Tkaczki dla ochrony obozów. Kazała tenyddarom nauczyć wszystkich, nawet valyddarów, sztuki polowania i zbierania, i ganiła tych, którzy próbowali wykorzystywać melyddę, by ułatwić sobie życie, miast oszczędzać moc na wojnę z demonami. Jej zdecydowanie zawstydziło innych, skłoniło ich do podążania za jej przykładem i znów pojednało skłóconych uciekinierów. Wrócili z wygnania pełni dumy, że dochowali wiary prawom i zwyczajom, które uważali za dar bogów.

Ci z nas, którzy przeżyli inną groźbę i inne rodzaje wygnania, radowali się ich siłą i podziwiali ich determinację. Lecz kiedy Talar i jej poplecznicy odkryli, że zostałem przyjęty z powrotem w szeregi społeczności, choć przecież na pewno byłem skażony, wpadli we wściekłość. A gdy w dodatku powiedziałem, że zacząłem myśleć inaczej o nieczystości i zepsuciu... że być może wiąże się ono mniej z wodą, którą się pije, a bardziej z duszą... nie zyskałem ich sympatii.

Wiedziałem, że zostanę wezwany przed oblicze Rady, by odpowiedzieć na zarzut zdrady, ale nie spędzało mi to snu z powiek, gdyż miałem za sobą Kenehyra i Catrin, a być może także i Mairę. Rada Mento rów mogła przyjąć wyrok jedynie większością czterech głosów na pięć. Zamiast zamartwiać się polityką, musiałem porozmawiać z Catrin o tym, co wiedziałem, o demonie, jakiego jeszcze nie znaliśmy.

* *

Zanim wzeszedł księżyc, odzyskałem panowanie nad sobą i skierowałem się do domu mojej mentorki, by opowiedzieć jej o tym niezwykłym spotkaniu. Catrin mieszkała w chacie, którą jej dziadek wybudował w młodości, kiedy był najpotężniejszym Strażnikiem w całej Ezzarii. Wzniósł ją na szczycie wzgórza, w niewielkim zagajniku, gdyż Tkaczka rzucała zaklęcia ochronne wśród drzew i żadnemu z Ezzarian nawet by przez myśl nie przeszło, by osiedlić się z dala od nich. Ale z ganku Catrin rozciągał się widok na falujące sklepienie lasu, smużki dymu z rozrzuconych domów i światła, które migotały wśród liści niczym świecące ryby w głębi oceanu.

- Czy zastałem Catrin? - spytałem zaspanego ucznia, który otworzył mi drzwi. Sterta ksiąg, zwojów i poplamionych arkuszy papieru na biurku za jego plecami świadczyła, że chłopak uczył się długo w noc.

- Została wezwana - wyjaśnił, ziewając szeroko. - Nie jestem pewien dokąd. Powiedziała, że nie wróci późno. Jesteś tu mile widziany, jak zawsze, mistrzu.

- Dziękuję, Howelu, ale raczej nie, chyba że... Czy jest Hoffyd? - Mąż Catrin, spokojny Uczony, był moim bliskim przyjacielem.

- Nie ma go w domu prawie od trzech tygodni.

- Czyżby jego siostra się pochorowała? - Wątego zdrowia, kapryśna siostra Hoffyda Ennit mieszkała w pobliskiej wiosce i tylko ona potrafiła wyciągnąć mojego przyjaciela z domowych pieleszy.

- Nie, panie. Pani Catrin nie chciała wyjawić, dokąd się udał, nawet pannie Ennit, a panna Ennit zamęcza nas teraz wszystkich na śmierć swoimi pytaniami.

Niezwykłe. Ze wszystkich Ezzarian Hoffyd najmniej nadawał się na uczestnika spisku.

- Może ukrywa się przed Ennit, jak sądzisz?

- Pewnie tak. - Chłopiec wyszczerzył się w uśmiechu.

Widok ksiąg Howela sprawił, że zmieniłem zdanie i postanowiłem poczekać na Catrin, wykorzystując okazję, by przejrzeć kilka dzienników, w których Galadon opisał swoje spotkania z demonami. Na Howelu najwyraźniej zrobiło wrażenie, że zabrałem się za lekturę bez wyrażenia rozkazów Catrin, i sam pilnie wrócił do pracy.

Przejrzałem trzy grube, oprawione w płótno księgi, które obejmowały jakieś piętnaście lat kariery Galadona jako Strażnika, lecz wszystkie notatki, tak starannie zapisane równym pismem mojego starego mentora, dotyczyły tego, o czym już wiedziałem. Żadna z nich nie wspominała o spotkaniach, które nie przebiegały w znany sposób. Miałem tego wyciągnąć duży tom, w którym Catrin trzymała kopie „Zwoju rai-kirah” i „Zwoju prorocstwa”. Oryginały znajdowały się pod opieką Ysanne, przechowywane w sztywnych papierowych cylindrach w kamiennej skrzyni, lecz kopie Catrin były dokładne i ilustrowane tak samo jak oryginały.

Czytałem przez godzinę, z trudem koncentrując wzrok na zawitych literach, starając się rozszyfrować archaiczny język, który właściwie poznawałem od nowa, zamiast powtarzać w głowie słowa tak, jak nauczyłem się ich podczas szkolenia. Być może ciągłe powtórki sprawiły, że jakieś słowo znikło lub zostało przekreślone. Ale nie odnalazłem żadnych zmian. Historia demonów, ostrzeżenia przed skażeniem, inkantacje i rytuały, kwiecisty styl prorocstwa o wojowniku o dwóch duszach brzmiały tak samo, jak je zapamiętałem. Znowu zadziwiła mnie niewielka objętość manuskryptów - w sumie dwadzieścia stron. Niewiele, by wyznaczyć trasę wyścigu, nie mówiąc już o losach świata.

Gdy przesunąłem palcami po starannie przerysowanym szkicu skrzydlatego wojownika na jednym z marginesów, poczułem znajome mrowienie ramion, jakby do zdrętwiałej kończyny wróciła zdolność odbierania bodźców. Czemu odczuwałem je tak wyraźnie, skoro tylko za portalem zyskiwałem skrzydła? W pismach Ezzarian nie było wzmianki o przeobrażeniu, a tym bardziej wyjaśnienia tego fenomenu. Dopóki nie doświadczyłem tego w wieku osiemnastu lat, mieliśmy tylko ten rysunek i pogłoski, że coś takiego jest możliwe.

W komnacie Catrin, gdy moje siły życiowe opadły do minimum, zamknąłem oczy, znieruchomiałem i skoncentrowałem się na tym uczuciu. Podsycałem je łagodnie oddechem świadomości, jak zamarzający człowiek dmucha na ostatni żarzący się węgielek. Gardło mnie bolało. Serce wypełniała głęboka tęsknota, tak przeszywająca, że oczy wypełniły mi łzy. Moje żyły pulsowały mędrym, a jednak przeobrażenie nie nadeszło, choć było o włos. W moim ciele nie wybuchnął ogień, duszy nie przepełniła chwała.

Wypuściłem powstrzymany oddech, szarpnąłem głową i zawstydzilem się, że okazałem chciwość i szukałem osobistej przyjemności w darze, który miał służyć walce z

demonami. Zmusiłem się do tego, by spojrzeć na kartkę, lecz lampa już przygasła, a ja nie mogłem się skoncentrować. Młody Howel osuszył zapisaną stronicę własnym policzkiem, a kiedy go trąciłem, osunął się z krzesła na pasiasty dywanik przed wygasłym kominkiem. Okryłem go kocem, po czym zdjąłem buty i usiadłem wygodnie na krześle w najdalszym rogu komnaty, przy otwartym oknie, przez które wpadało nocne powietrze pełne aromatu wilgotnej koniczyny i mięty.

Właśnie przymknąłem powieki, kiedy usłyszałem otwierające się drzwi.

- Już miałem się poddać - mruknąłem sennie, usiadłem i spróbowałem oczyścić głowę.
- Przybyłem złożyć raport, jak nakazał mój mentor. Pozwól, niech zbiorę myśli... filiżanka czegoś gorącego mogłaby mi w tym pomóc... a potem opowiem ci najdziwniejszą historię, jaką kiedykolwiek słyszałaś.

- Nic mi dzisiaj nie opowiesz, Seyonne - odparła Catrin, wychodząc z ciemnego przejścia. W jej głosie nie było ciepła. - Wkrótce nadejdzie właściwy czas na składanie wyjaśnień.

Za Catrin do komnaty wsunęła się Fiona, a później inna kobieta, zwodniczo pulchna i dobrotliwa jak na jedną z najpotężniejszych czarodziejek w Ezzarii, czyli Maire, i trzech mężczyzn. Jednym z nich był Caddoc - wysoki, chudy, ponury mężczyzna, którego twarz przysłaniały długie kosmyki białych włosów. W pozostałych rozpoznałem strażników świątynnych, eiliddarów o różnych powołaniach, którzy posiadli pewne umiejętności walki. W Ezzarii zbrodnie wielkiego formatu zdarzały się niezwykle rzadko, tacy jak oni zajmowali się zatem pilnowaniem intruzów i uciszaniem Ezzarian, którzy za dużo wypili albo pokłócili się między sobą.

Na ich widok natychmiast ochłonąłem.

- O co chodzi?

- Zostaliśmy poinformowani - Caddoc wystąpił do przodu - że złamałeś przysięgę, pozwalając demonowi utrzymać panowanie nad ofiarą. Nie rzuciłeś mu wyzwania. - Niemal wypłuł te słowa. - Jak na to odpowiesz?

- Spojrzałem na Catrin, lecz nie zdołałem odczytać wyrazu jej twarzy. Nosila maskę mentora - nie okazywała gniewu, strachu ani troski. Czekala.

- To nie takie proste.

- Nie próbujemy cię osądzać, Seyonne - wtrąciła cicho Maire. - Chce my tylko usłyszeć twoją wersję, zanim zadecydujemy, jak postąpić.

- A ci mężczyźni przyszli tutaj, by mnie aresztować? - Nie mieściło mi się to w głowie. Przez ostatnich dziesięć lat dokonano tu zaledwie jednego aresztowania. A pojmać

Strażnika... To było nie do pomyślenia.

- Jak odpowiesz na te zarzuty? - Głos Caddoca był szorstki niczym jego włosy, skóra i płaszcz. - Nie zabiłeś demona. Nie wygnałeś go. Czyli że przegrałeś w walce albo... w ogóle nie rzuciłeś wyzwania.

- Catrin...

- Nie jesteś aresztowany, Seyonne. Ale dopóki ciąży na tobie tak poważne oskarżenia, nie wolno ci z nikim rozmawiać do czasu, aż sprawa zostanie rozpatrzona. Musisz to zrozumieć.

- Nie mam prawa do rozmowy nawet z własnym mentorem?

- Nie. - To Caddoc mi odpowiedział.

- W takim razie nie ma znaczenia, co powiem. - Usiadłem na krześle i na ich oczach metodycznie zacząłem się ubierać. - Będę w domu.

Skierowałem się w stronę drzwi, ignorując pozostałych, którzy stali wokół niczym kamienne filary świątyni. Ale kiedy mijałem Fionę, kręcącą się przy drzwiach, zatrzymałem się. Wpatrzyła się we mnie, jakby rzucając wyzwanie, bym ją uderzył.

- Zastanów się nad tym, co dziś zobaczyłaś, Fiono - poradziłem. - Myśl, czuj i pamiętaj. Kiedy nadejdzie czas, byś się odezwała, powiedz, jakie zło wyczułaś, gdy otworzyłaś portal. Powiedz, jakie szaleństwo odnalazłaś, by wpleść je w swoją tkaninę. Dowiedz się od Poszukiwaczy tego, czego nam nie powiedzieli. Chcę zrozumieć to tak samo jak wszyscy i ufam, że przekażesz mi wszystkie informacje, jakie uda ci się zgromadzić.

Choć dochodziła północ, Ysanne nie było w domu. Bez wątpienia słyszała o moich kłopotach. Pewnie uznała, że pójdzie spać gdzie indziej.

Mogła udać się w wiele miejsc - do domu przyjaciół i towarzyszek albo do komnat gościnnych w innych częściach rezydencji. Zapaliłem dziewięć świec na kamieniu żałobnym i przez chwilę przy nim siedziałem, wdychając słodki dym i myśląc o moich ukochanych rodzicach i siostrze z nadzieją, że kiedyś odnajdę swoje dziecko błąkające się w lasach życia po życiu i zapewnieniu opiekę, jakimi zawsze dawali. Potem zgasłem płomienie i położyłem się spać, ignorując dwóch mężczyzn, którzy stali w środku, tuż za drzwiami, by upewnić się, że nikt, nawet królowa, nie będzie ze mną rozmawiać. Zasypiając, zastanawiałem się nad tym, co zrobią z młodym Howelem, który nie wiedział, że skaziła go rozmowa z jedynym Strażnikiem Ezzarii.

Rada zebrała się trzy dni później, jak tylko dołączył do nich Kenehyr, który przybył ze swojego domu w południowej Ezzarii. Takie za rzuty nie mogły czekać. Spędziłem te dni na ćwiczeniach, choć tym razem samotnych, nie z Catrin i jej uczniami. Poza tym czytałem o demonach wszystko, co udało mi się znaleźć w bibliotece królowej. Było tego rozpaczliwie mało. Nie znalazłem nic, żadnej wzmianki o demonach, które tylko pragnęły poznać świat.

Kiedy siedziałem nad manuskrytem po raz kolejny informującym mnie, że demony żywią jedynie pragnienie, by siać zło i śmierć, młody Drych przyniósł mi wieść o spotkaniu Rady. Był zdenerwowany i podekscytowany. Mówił cicho, jakby strażnicy nie mogli tego usłyszeć.

- Co się dzieje, mistrzu? Czy to normalne, że musisz się tłumaczyć przed Radą? Ja na przykład źle wypadam przed tak wielką liczbą słuchaczy. Poza tym poinformowano mnie, że nikomu nie wolno z tobą rozmawiać, dopóki nie otrzyma pozwolenia. Nie rozumiem tego, jesteś najlepší szym... najsilniejszym Strażnikiem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy.

- Nie martw się tym. - Wzruszyło mnie, że jego wiarą nie zachwiało to, co usłyszał. - Po prostu o wszystkich niezwykłych spotkaniach należy opowiedzieć mentorowi. Czasem i Rada chce o nich usłyszeć, żebyśmy wszyscy mogli dowiedzieć się czegoś nowego. Szczególnie teraz gdy wszystko zmienia się w porównaniu z tym, co znaliśmy w przeszłości. Zawsze musisz być gotów nauczyć się czegoś nowego, pozostać czujnym i słuchać głosu rozsądku. Poza tym każdy z nas ma ograniczone możliwości, ja także, a my czasami o tym zapominamy. Kiedy nadejdzie twój dzień, poradzisz sobie doskonale.

Żałowałem, że nie mogłem omówić tej sprawy z Catrin, lecz jej pozycja w Radzie oznaczała, że nie miałem prawa kontaktować się z nią przed przesłuchaniem, nawet gdyby wolno mi było swobodnie rozmawiać z innymi. Ale była inteligentna i bystra. Pokieruje wszystkim tak, by obyło się bez komplikacji.

* *

Cała piątka siedziała w półokręgu w skromnej komnacie o wysokim sklepieniu, dużych oknach i lśniącej podłodze z dębowych desek. Mnie wskazano miejsce na prostym krześle; usiadłem twarzą do Rady. Poza tym w komnacie nie dostrzegłem innych mebli. Żadnych draperii, gobelinów, dywanów, stołów czy podnóżków. Wypełniał ją tylko ciepły blask słońca. Szmer drewnianych nóg krzeseł szurających po podłodze odbijał się echem w

puszcie, aż wszyscy usiedliśmy i ciszę przerywało tylko brzęczenie pszczół i od czasu do czasu krzyk sójki za oknem.

Przesłuchanie rozpoczęła Talar. Siwe włosy splotła w kok na czubku głowy, jej gładka brązowa skóra opinała się na wysokich kościach policzkowych, a kształtna szczęka zaciskała się złowrogo.

- Seyonne, Strażniku Ezzarii, zostałeś wezwany przed oblicze Rady, by odpowiedzieć na najpoważniejszy z zarzutów...

Wymienienie wszystkich moich przewinień zajęło jej sporo czasu. Pierwsze polegało oczywiście na tym, że pozwoliłem demonowi pozostać w ofercie i nie rzuciłem mu wyzwania. Kolejnym było zabicie handlarza niewolników, ofiary demona. Później następowała przygotowana przez Fionę lista rytuałów, których dopełnienia zaniedbałem, podejrzanych nauk i pomniejszych błędów. Jedynym prawdziwym zaskoczeniem był dla mnie fakt, że wśród nich wymieniono i przegraną walkę.

Siedząca na lewo od Talar Catrin w tym punkcie przerwała jej recytację.

- Chyba zgodziliśmy się co do tego, że o tym nie wspomnimy. Przegrana w walce z demonem nie jest zbrodnią. Przeciwnie, Strażnik powinien się wycofać, jeśli przewiduje klęskę. Bezpieczeństwo jego i Aife jest ważniejsze niż duma.

Kenehyr pokiwał głową, a na jego pomarszczonej twarzy malował się niepokój. Głos zabrała natomiast Maire.

- Wiemy o tym, Catrin, i z pewnością nie uznamy tego za dowód zdrady. Warto jednak przyjrzeć się wszystkiemu, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni, i być może określić schemat zachowania Strażnika w odpowiedniej perspektywie. Ale rzeczywiście, przegrana nie powinna być przedmiotem zarzutów. - Te słowa skierowała do Talar, która sztywno skinęła głową i coś zanotowała.

W tym momencie uznałem, że czeka mnie długi dzień. Straciłem nadzieję, że szybko przystąpimy do omawiania szczegółów interesującej nas wszystkich walki, a potem Rada bezzwłocznie przeprowadzi głosowanie i ukarze mnie naganą, ostrzegając, że w przyszłości powinienem większą wagę przywiązywać do rytuałów i tradycji, skoro nasze jej rozumienie jest aż tak ograniczone. Szkoda, bo liczyłem, że popołudnie i wieczór spędzę z Kenehyrem, który przez wiele lat blisko współpracował z naszymi najlepszymi Uczonymi i o opętaniu przez demony wiedział chyba najwięcej ze wszystkich Ezzarian.

Miast tego czekał mnie dzień przerzucania się argumentami. Będę musiał wyjaśniać, dlaczego uznałem, że wytarcie podłogi po walce nie jest konieczne, i dlaczego, skoro jednokrotna recytacja inkantacji zamykającej działa kojąco i leczniczo, nie rozumiem, że

lepiej wygłosić ją trzy razy? Przez cały czas będę musiał zachowywać się uprzedzająco grzecznie i unikać sugestii, że to wrogość Fiony nie pozwala jej uczciwie ocenić mojego postępowania. Choć zapiski prowadziła skrupulatnie i rzetelnie, jej interpretacja zawsze była najgorsza z możliwych.

I rzeczywiście, dopiero późnym popołudniem dobrnęliśmy do sedna sprawy. W południe przyniesiono nam jedzenie i wino. Stałem z posiłkiem przy jednym z okien. Kilka razy zauważyłem, jak Catrin mnie obserwuje. Oczywiście nie podeszła, by ze mną porozmawiać, ale oczekiwałem jakiegoś znaku, jakiegoś uspokajającego gestu. Na próżno. Nie zrobiła nic. Czuję się więcej niż odrobinę niepewnie.

Po kwadransie wróciliśmy do pracy. Członkowie Rady przesunęli się wyczekująco na krawędzie krzesel, gdy Talar zażądała najważniejszego.

- Opowiedz nam o ostatnim spotkaniu z demonem, Strażniku.

Musiałem zignorować rosnący niepokój i podczas opowiadania wykorzystałem wszystkie zmysły. Próbowałem przypomnieć sobie każdy szczegół, słowo, doznanie, każdy smak, zapach i dźwięk, i przekazać to pięciorgu ludziom, którzy mieli wydać wyrok, by przeżyli to tak jak ja. Chciałem, by słyszeli, widzieli i dziwili się tak jak ja. Każda mijająca chwila coraz bardziej utwierdzała mnie w przekonaniu, że moje doświadczenie było w wielu aspektach równie ważne jak walka z władcą demonów i stanowiło przepowiednię, której nie mogliśmy zignorować.

- Żadnego zła! - Chrapliwy śmiech Caddoca drażnił mi uszy. - Uznałeś, że masz prawo dokonać oceny w takiej sprawie. Ciekawe, że podjąłeś decyzję dopiero, kiedy istota pokazała ci swoje umiejętności posługiwania się mieczem.

- Nie wstydzilibym się przegranej walki - odparłem. - Skoro uwzględniliście w tej opowieści bitwę, którą przegrałem, weźcie ją przynajmniej pod uwagę. Sprawdziłem, że tego rai-kirah nie pociąga zło, zatem jego zniszczenie nie przyniosłoby nam korzyści. Pokażcie inne dowody mojego tchórzostwa, jeśli uważacie, że zabrakło mi odwagi.

- Nikt nie oskarża cię o tchórzostwo - przypomniała mi Talar. Maire pochyliła się do przodu, jej długi siwy warkocz odcinał się ostro na tle powłóczystej czerwonej sukni.

- Z twojej opowieści wynika, że demon się ciebie spodziewał. Wiedział, że przeobraziłeś się za portalem. Twierdził, że bardzo chciał cię poznać i że będzie cię pamiętać. Czy to cię nie martwi?

- Demony zawsze mówią takie rzeczy... - Ale kiedy to powiedziałem, znów usłyszałem w głowie ten głos... *Następnym razem, gdy się spotkamy...* - To nie była groźba. Nie miał w sobie zła, Maire, tylko ciekawość i wiedzę. Znał mnie jako Strażnika; po tak wielu

spotkaniach, które odbyłem w tak krótkim czasie, i ogromnej ilości demonów, jakie odesłałem, sądzę, że to było nieuniknione.

- Wiedział, że zabiłeś władcę demonów?

- Tak. - Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Miał też świadomość, że nie jestem taki jak Rhys, który sprzedał się władcy demonów. Wyraził zadowolenie, że zabiłem... jak on go nazwał?... Naghidda.

- O co chodzi?

- Przypomniałem sobie, że wymienił imię władcy demonów. Naghidda. - Dopiero gdy wypowiedziałem to miano, zrozumiałem jego znaczenie. Prekursor. Czemu wypowiedział to imię... i czemu w moim umyśle zabrzmiało ostrzeżenie?

- Dlaczego się nie bałeś, Seyonne? Wyjaśnij mi to. - Tkaczka rzeczywiście pragnęła to pojąć. - Stałeś przed demonem, który twierdził, że cię zna i że spodziewa się znów cię spotkać, bo chciałby określić, co was łączy. Czy nie tego próbowaliśmy uniknąć przez tysiąc lat? Po wiedz mi, dlaczego cię to nie zaniepokoiło.

Caddoc nie pozwolił mi dojść do słowa, choć szczerze mówiąc i tak nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

- Czy potrzebny nam bardziej wyraźny znak zepsucia? - syknął. - Będziemy czekać, aż sprowadzi nam na głowy legiony demonów, nim wysłuchamy ostrzeżenia? Nawet jeśli on sam się oszukuje...

Maire odchyliła się do tyłu i zaczęła szeptać do Kenehyra. Caddoc się tym nie przejął i perorował dalej. Nie słuchali mnie. Usiadłem na krześle i oparłem głowę na dłoni. Jak ich przekonać?

- W ilu bitwach wzięłeś udział w ciągu ostatniego miesiąca, Seyonne? - Catrin zadała pierwsze pytanie tego długiego popołudnia. Inni zamilkli, słysząc jej cichy głos.

- W niezliczonych - odpowiedziałem bez zastanowienia. - Co najmniej dwudziestu pięciu.

- A w poprzednim miesiącu?

- Nie wiem. Dziesięciu. Piętnastu.

- Dokładnie w dwudziestu trzech. A wcześniej dwudziestu. W ciągu ostatnich trzynastu miesięcy walczyłeś w dwustu pięćdziesięciu bitwach. Liczba dotąd nieosiągalna dla Strażników, którzy już pięć bitew w miesiącu uważali za ogromny ciężar. - Pochyliła się do przodu. - Ile walk w tym czasie przegrałeś?

- Jedną. Tylko jedną. - Nie rozumiałem, do czego zmierza. Wszyscy członkowie Rady znali te fakty. Ze względu na wojnę i brak Strażników nie miałem innego wyjścia. Nie

chciałem, żeby kontynuowała, by pozostali nie myśleli, że się uskarżam.

- A w ilu walkach utraciłeś ofiarę... spowodowałeś jej śmierć?

- Tylko w jednej.

- A w ilu walkach... teraz lub wcześniej... napotkałeś demona, z którym nie chciałeś walczyć?

- Tylko tym razem, ale...

- Powiedz nam, Seyonne, mój drogi przyjacielu, co stało się z twoją żoną trzy tygodnie temu.

- Catrin... - O co jej chodziło?

- Przysięgałeś, że będziesz odpowiadał zgodnie z prawdą i podasz wszystkie interesujące nas szczegóły, by pomóc nam wyjaśnić stawiane ci zarzuty i byśmy zrozumieli motywy twojego postępowania. I dlatego proszę cię, żebyś powiedział Radzie, co działo się w tym czasie w twoim domu.

Znała tę opowieść i wiedziała, że ponownie nie przejdzie mi przez gardło. Moje dziecko było demonem. Prawo i tradycja wymagały, byśmy odrzucili nawet wspomnienia o nim, by świadomość jego zepsucia nas nie skaziła. Ale nie umiałem udawać i przysięgałem mówić prawdę, niezależnie od tego, czy chcieli ją usłyszeć, czy nie.

- Nasze dziecko urodziło się opętane przez demona - zacząłem głosem zimnym i równym. Słowa zabrzmiały szorstko w pełnej oczekiwania ciszy. Wówczas dopełniłem zbrodni, nie obwiniając bogów za ten dylemat i jego straszliwe rozwiązanie. - A moja żona postąpiła zgodnie z ezzariańskim prawem i je zabiła.

Moja przyjaciółka nie ustąpiła. Nie mówiła do Rady, lecz do mnie. Choć czułem wstrząs i oburzenie innych na sali, patrzyłem tylko na Catrin.

- A teraz, Seyonne... wiem, że będzie to trudne i ciężko mi o to prosić... - Jakby cokolwiek mogło być trudniejsze niż słowa, do których wypowiedzenia mnie zmusiła. - ...Proszę cię, byś zdjął koszulę.

- Nie! - Zerwałem się z krzesła, przerażony, pełen niedowierzania.

- To nie ma związku...

- Zrobisz, co ci kazano, Strażniku, albo zawiesimy to przesłuchanie.

- Talar wstała i spojrzała na mnie z góry, choć ona również zerkała na Catrin, oczekując wyjaśnień.

Jeśli przesłuchanie zostanie zamknięte bez wyroku, na resztę mojego życia położy się cień nierozwiązanych podejrzeń. Z pewnością Catrin ma jakiś plan. Ale czy musi przy tym aż tak bardzo naruszać moją prywatność? Przypominać sprawę Ysanne i dziecka... i żądać, bym

pokazał ślady wieloletniej niewoli? Nie mieściło mi się w głowie, że zakładała, iż współczucie zmusi Talar lub Caddoca do zmiany zdania. Przecież w ten sposób wykaże tylko to, co dla nich stanowiło powód, żeby uznawać mnie za niegodnego miana Strażnika - taka kara mogła spaść wyłącznie na kogoś, kto został nieodwracalnie skażony. Kopała mój grób.

- Proszę cię ponownie, Seyonne. Zdejmij koszulę i odwróć się. Tylko na chwilę.

Zaciskając zęby i wymyślając pięćset metod na to, by uświadomić jej, jak obrzydliwa jest taktyka, którą przyjęła, zsunąłem ciemnoczerwoną koszulę i pozwoliłem im zobaczyć ślady po rzemieniu Derzhich. Każdy fragment ciała moich pleców pokrywały blizny, a przekreślony krąg wypalony na ramieniu - znak niewoli - świecił niczym czerwone słońce w złocistym blasku wypełniającym komnatę, godny towarzysz królewskiego piętna wyciśniętego na twarzy.

Zamknąłem oczy i próbowałem opanować wściekłość, a walka, jaką toczyłem w głębi umysłu, była tak zażarta, że niemal nie usłyszałem cichego rozkazu Catrin.

- Możesz się ubrać i wyjść z sali. - Choć jej słowa przepełniał smutek, będzie potrzebowała czegoś więcej, by zadośćuczynić takiej zdradzie.

Znów naciągnąłem na ramiona miękkie len i zamknąłem za sobą drzwi, nadal jednak nie pojmowałem, co się dzieje. Jak tylko członkowie Rady udzielą mi nagany, na jaką będą nalegać Talar i Caddoc, miałem zamiar wziąć na bok Catrin i Kenehyra, i znów spróbować im wszystko wyjaśnić. Spojrzałem na Fionę, która weszła do komnaty tuż po mnie. Później krążyłem po długim korytarzu, przeklinając siebie i kobiety w swoim życiu, które najwyraźniej oszalały. Miałem ochotę tłuc głową w mur, bo brakowało mi słów, i ciągle powtarzałem argumenty, które zamierzałem wykorzystać, by wpłynąć na wyrok, tak się przynajmniej oszukiwałem. Pragnąłem, by zrozumieli, co czułem w towarzystwie tego demona.

Pół godziny później Fiona skończyła zeznawać i wyszła z komnaty przesłuchań. Trzymała się z dala ode mnie, siadając przy oknie po drugiej stronie korytarza. Może wyczuwała, że najbardziej na świecie pragnąłem złamać jej ten sztywny kark. Dopiero gdy po godzinie ponownie wezwano mnie do środka, zbliżyła się do mnie i spróbowała zacząć rozmowę. Jej twarz była zimna jak zwykle.

- Mistrzu Seyonne, ja...

- Zostaliśmy wezwani. Nie ma czasu na grzeczności - przerwałem, gestem zapraszając ją, by weszła przede mną. Nie znośłem, kiedy mówiła do mnie „mistrzu”.

Członkowie Rady siedzieli na swoich krzesłach tak samo jak wcześniej, a na ich twarzach nie malował się najmniejszy ślad wahania czy rozważań. Talar zawsze wyglądała na

skwaszoną, więc nie uznawałem tego za zły znak. Maire przymknęła oczy. Catrin tkwiła na swoim miejscu nieruchoma jak kamień. Tym razem zebrany towarzyszyła Ysanne, siedząca na krześle o wysokim oparciu. Jako królowa musiała potwierdzić każdy wyrok wydany przez Radę. Jej twarz nie zmieniła wyrazu, kiedy napotkała moje spojrzenie. Równie dobrze mógłbym być jej obcy.

Oczywiście to Talar ogłosiła wyrok.

- Seyonne, synu Joelle i Garetha, nie zostałeś uznany winnym zdrady... - przerwała, by zaczerpnąć tchu, co oznaczało, że ja nie mogłem tego zrobić, gdyż najwyraźniej jeszcze nie skończyła, a w oczach zebranych nie dostrzegalem ulgi ani radości. - ...jednak złamałeś przysięgę Strażnika, pozwalając, by demon zachował panowanie nad ludzką duszą. Nie rzuciłeś mu wyzwania. Musimy zatem uznać, że moc twego umysłu osłabła, czy to z powodu skażenia, nadmiernego obciążenia obowiązkami, czy też innych spraw, o których nie nam się wypowiadać...

- Nie - zawołałem. - Nie jestem...

- I dlatego zdecydowaliśmy, że od dzisiejszego dnia świątynia Verdonne będzie dla ciebie zamknięta. Nie wolno ci brać udziału w walce z demonami, ani w tym świecie, ani za portalem stworzonym przez Aife. Nie masz też prawa szkolić żadnego z uczniów, pomagać im ani doradzać, póki Rada nie uzna, że odzyskałeś pełnię władzy nad sobą.

Chłód mojej duszy zmienił się w lód. Zabroniono mi pracować? Niemożliwe. Nawet pomijając moją rozpacz... co z Ezzarią? Co z ofiarami, które pozostaną bez pomocy?

- Nie możecie tego zrobić - powtarzałem, ale ona nie przerwała.

- Ponieważ żaden mieszkaniec Ezzarii nie może próżnować, zgłosisz się do Pedra, który przydzieli ci nowe obowiązki. Ze względu na twoją... niezwykłą... sytuację, uznawaną nawet przez tych spośród nas, którzy uważają, że jesteś zdolny, by odpowiadać za swoje czyny, będziesz regularnie spotykać się z Caddokiem. Mamy nadzieję, że po odpowiedniej terapii pewnego dnia zdołasz ponownie stanąć w szranki z demonami jako Strażnik.

Siedziałem oszołomiony. Nie potrafiłem w to uwierzyć. Miałem być wdzięczny, że nie zostałem wygnany z Ezzarii albo znów odizolowany, co oznaczałoby śmierć za życia, jakiej doświadczyłem po powrocie z niewoli? Członkowie Rady zniszczyli mnie tak jak niegdyś Derzhi. Zabronili mi czegoś, co umiałem robić lepiej niż ktokolwiek w historii. Nigdy już nie wolno mi było przekroczyć granic portalu, poczuć płomienia w ramionach ani ekstazy, gdy wiatr wypełniał mi skrzydła i unosił mnie w górę wśród czarów. Jaki bóg był tak okrutny, że oddał mi życie na dwa krótkie lata i znów mi je odebrał?

A co miałem robić zamiast tego? Zgłosić się do Pedra. Chcieli zmusić mnie do pracy w polu, jak tenyddarów, pozbawionych melynny - jak mojego ojca - by tacy jak ja mieli co jeść, wypełniając swoje zaszczytne powołanie. To jeszcze mógłbym przełknąć. Nie czułbym wstydu, dzierżąc w dłoniach pług zamiast miecza i zwierciadła. Ale pozwolić, by Caddoc zaglądał do mojego umysłu... by mi doradzał, szukał przyczyn mojego odstępstwa, rzucał na mnie zaklęcia i odsłaniał moje myśli, mój strach, pragnienia... szukając zepsucia. Na to nie mogłem pozwolić... i nie zamierzałem tego robić.

- Nie skomentujesz wyroku, mój synu? - spytał Kenehyr. - Jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą, nie możesz pozwolić, by ci ludzie cię uciszeli.

Spojrzałem na niego jak na idiotę... a potem zerknąłem na Catrin. Nie spuściła wzroku. Czworo z pięciorga. Kenehyr nie głosował przeciwko mnie. To do Catrin, mojej przyjaciółki i mentorki, należał czwarty decydujący głos.

Teraz czekał mnie już tylko jeden cios. Odwróciłem się do Ysanne.

- A ty, pani? Czy odwołanie się do twojej mądrości ma jeszcze sens?

Moja żona siedziała wyprostowana na krześle, nieruchoma, jakby wyrzeźbiona z tego samego dębu co mebel. Bez drgnienia powieki oznajmiła:

- Nie widzę powodów, by sprzeciwiać się wyrokowi Rady. Tracisz stanowisko Strażnika. Twój a przysięga jest nieważna.

Na ponurej twarzy Talar odmalowała się satysfakcja, a na jej bez barwnych wargach pojawił się ślad uśmiechu.

Wyszedłem z komnaty. Z rezydencji. Z osady. Promienie popołudniowego słońca migotały wśród drzew. Skowroni język właśnie zakwitł i jego jaskrawoniebieskie szpikulce sięgały mi do kolan. Żółte deszczokwiaty błyszcząły wśród trawy niczym gwiazdy na zielonym niebie. Wiosna przechodziła w złociste lato, lecz tego pogodnego popołudnia niosłem w sobie tylko mrok. Przysięga Strażnika towarzyszyła mi od zawsze, była kompasem, który wyznaczał kurs wśród przerażenia, talizmanem, którego trzymałem się w największej głębi cierpienia i upadku. Teraz znikła, a ja czułem, jak ciężar lat, ran i smutku zaczyna wgniatać umocnienia mojej duszy.

- Seyonne! Zaczekaj! - zawołała za mną Catrin, lecz nie zareagowałem. Nie mogłem, bo wszystko, co do mnie należało, rozpadało się niczym krajobraz za ginącym portalem. - Musisz mnie wysłuchać! - Ale ja nie miałem na to ochoty. W pewnej chwili ruszyłem biegiem przed siebie, a gdy w końcu się zatrzymałem, znalazłem się bardzo daleko od dawnego życia.

Rozdział 6

Królik kulił się niepewnie w plamie cienia. Tkwił tam nieruchomo jak skała, ja jednak miałem świadomość jego drżącej niepewności, podobnie jak on mógł wyczuć mój oddech w zmianie struktury powietrza i smrodzie mojego ciała, który dołączył do zapachu rozgrzanych skał, ziemi i grubych pędów roślin. Królik czekał, ruszając wąsikami. Leżałem bez ruchu na brzuchu i obserwowałem. Dwa pająki przebiegły obok mojego nosa, niczym padlinożercy opuszczający pole walki widząc, jak przeciwne armie ponownie formują szyki. Dłoń położyłem przy twarzy, trzymając w niej pętlę ze zbutwiałego sznura gotową spaść na nieszczęsne stworzenie. Wszystko było przygotowane. Zwycięstwo w zasięgu ręki. Nagle grzmot letniej burzy przerwał ciszę pociemniałego popołudnia i królik zerwał się do ucieczki. Ocalał na kolejny dzień.

Przetoczyłem się na plecy i roześmiałem, gdy pierwsze zimne krople deszczu uderzyły mnie w twarz. Właściwy wynik. Nie potrafiłem nawet pokonać jedyne go przeciwnika, jaki mi pozostał. Przez długie lato pełne dręczących snów trzy razy przeżyłem każdą ze swoich walk z demonami. Znów niszczyłem władcę demonów w każdej postaci. Zabijałem demony, patroszyłem Derzhich i dusiłem Ezzarian, aż zużyłem każdy okrucieństwo gniewu, nienawiści i gwałtowności, które kryły się w mojej duszy. Budziłem się wyczerpany. Tylko podczas cichych dni, jakie spędzałem w skalistym gnieździe wpatrując się w puste niebo, mogłem odpocząć.

Col'Dyath było zniszczoną wieżą pozostawioną przez starożytną rasę budowniczych, która wznosiła swoje piękne kamienne budowle w całym Azhakstanie, Manganarze, Ezzarii i Basranie. Nikt nie wiedział, kim byli ani dlaczego wszystkie ich dzieła zostały zrujnowane. Nasi uczeni interesowali się ich sztuką, gdyż wiele z ruin znajdowało się w miejscach bogatych w melyddę, lecz ani oni, ani historycy innych nacji nie natrafili na żadne istotne informacje. Ta wieża stała na nagim szczycie, wśród skał, wiatru i nieba, niedaleko północno-wschodniej granicy Ezzarii, i była moim azylem w latach młodości. Przychodziłem tu, gdy zmęczyła mnie ciągła nauka, kiedy czułem tajemnicze zmiany swojego ciała, które później miały mi dać skrzydła, kiedy wątpiłem w swoje powołanie i umiejętności, kiedy pragnąłem znaleźć spokój.

Gęstniejące chmury wirowały niespokojnie wokół mnie, a deszcz przybierał na sile, kończąc suszę, która na całe lato opanowała Ezzarię. Przez niezliczone dni niewielki strumyczek, w którym gasiłem pragnie nie, był tylko błotnistą dziurą. Teraz jego grube, zimne strugi spływały mi po twarzy i do ust. Talar by się to nie spodobało - woda, która zmywała pot i brud, omywała również moje zaschnięte gardło. Ale nie byłem gotów zejść ze swojej wieży. Jeszcze nie.

Przez dwa miesiące, które minęły od ogłoszenia wyroku, nie znalazłem spokoju. Gdy już wypaliłem gniew w krwawych snach i zmęczyłem się wpatrywaniem w nicłość, zacząłem się przeklinać, że wcześniej nie pomyślałem o wykorzystaniu magii, która pozwoliłaby mi złagodzić poczucie straty. Spędziłem kilka gorączkowych dni i nocy na przywoływaniu obrazu naszego syna, łącząc w jego wymyślonym ciele delikatne kości i prosty nos Ysanne z moją żyłastą budową, brązową skórą i głęboko osadzonymi oczami, splatając je razem, by odkryć, jak by wyglądał - jako niemowlę... jako dziecko... jako silny, przystojny młodzieniec. Przez niekończące się godziny rzucałem czary. Ale kiedy próbowałem go przytulić i powiedzieć, jak bardzo żałuję, że nie udało mi się go uratować, jego obraz się rozwiewał, a ja przeklinałem bogów i swoje ręce, które nie potrafiły stworzyć życia. Tylko śmierć. Śmierć zadawałem po mistrzowsku.

Ten czas również minął. Bałem się... Zastanawiałem się, czy zachowałem zdrowe zmysły. Odzyskałem sen, przespiałem długie godziny w dzień i w nocy. Na początku śniłem o lataniu, przez słoneczny blask i poszarpane chmury, przez czerwone poranki i srebrzyste noce, za księżyc i gwiazdy do nieznanych dziedzin. Pozostawiałem za sobą cały smutek, zapomniałem o miłości, gubiąc troskę i żal w powiewach wiatru i rozwiniętych skrzydłach. Zacząłem myśleć, że być może skończył się dla mnie okres najgłębszej żałoby i mogę już zastanawiać się nad przyszłością. Ale wtedy moje wizje się zmieniły i nocami przychodził do mnie nowy sen. Pochłaniał mnie, był tak potężny, że kuliłem się w swojej wieży, tonąc w przerażeniu, a jednocześnie tak uporczywy, że nie mogłem jeść, chodzić ani myśleć. Marzyłem tylko o tym, by jak naj szybciej pójść spać i do niego powrócić. Sen zawsze zaczynał się w krainie śniegu...

...przed lodowym zamkiem o wysokich wieżach, który połyskiwał niebiesko-szarym blaskiem w bezsłonecznym mroku. Kuliłem się w śnieżnej ciemności poza kręgiem światła rzucałym przez budowlę, moje kończyny były zamrożone, palce i stopy wydawały się martwe. Ostry wiatr, niosący ze sobą mokry śnieg i szron, przeszywał ubranie. Choć nie miałem pojęcia dlaczego, rozpaczliwie pragnąłem się dostać do tej zamrożonej cytadeli,

jakbym mógł tam znaleźć pożywienie, które utrzyma mnie przy życiu. Nie ciepło. Nic już nie przywróci mi ciepła.

Nie byłem sam. Stały strumień jeźdźców i pieszych wpływał do zamku po moście migoczącym barwami tęczy, przejrzyste, przypominające widma postaci, które bardziej wyczuwałem, niż widziałem, migoczące niczym kryształ, gdy dotknie go promień słońca. Dopiero gdy obróciły się pod odpowiednim kątem, ich przypominające ludzi kształty nabierały realności. Takie piękno... a ja chciałem się do nich przyłączyć. Krzyczałem w zamkniętą ciemność, lecz niezależnie od tego, jak długo szukałem, nie mogłem znaleźć ścieżki prowadzącej do mostu. Podmuch wiatru odebrał mi oddech i zacząłem kaszleć, głębokim, bolesnym rżeniem, od którego paliło w piersiach, a śnieg plamiła krew. Wkrótce zacząłem się czułgać, a moje ręce i kolana były tak zdrętwiałe, że nie czułem ziemi.

Strumień jeźdźców się zmniejszył. Jeszcze tylko kilku maruderów. Jednak nadal nie byłem sam. Ktoś... coś... był ze mną w ciemnościach. Bezimienna groza. Dotykał mojej skóry palcami wiatru, pozostawiając długie, krwawe pasma, próbując znaleźć drogę do mojego wnętrza. Znów zawołałem o pomoc i jedno z migoczących widm na moście zatrzymało się na chwilę, wpatrzyło w ciemność i ponownie ruszyło w drogę. Przeczłogałem się kilka kroków dalej i upadłem w śnieg. Wówczas nadeszła wszechogarniająca ciemność. Bezimienna groza wślizgnęła się w moje pory, w oczy, uszy i usta, wypełniła mnie, oślepiła, udusiła, po czym zaczęła wyżerać sobie drogę na zewnątrz...

Dopiero gdy minęło nieskończenie wiele dni i nocy, podczas których śniłem ten sen, udało mi się zmusić się do powrotu do czegoś, co mogło udawać normalność. Nie jadłem stanowczo zbyt długo i z trudem zdołałem podnieść rękę. Przepelniające mnie przerażenie i pragnienie, by znaleźć wyjście z ciemności, do zamkniętej cytadeli, kryło się w kącie mojego umysłu, równie wyraźnie jak echo wyroku Talar lub wspomnienie rąk obejmujących pusty brzuch Ysanne. A jednak nagłą chęć, by sprawdzić znaczenie snu w świetle dnia, szybko przegnał za losny stan mojego ciała.

Gdy po wyroku Rady trafiłem do Col'Dyath, odnalazłem paczkę twardych herbatników i suszonego mięsa, wepchniętą w skórzaną torbę powieszoną wysoko, by nie dosięgły jej zwierzęta, bez wątpienia przez jakiegoś ezzariańskiego uciekiniera w czasach, gdy musieliśmy się ukrywać. Choć nie była to bogato zaopatrzona spiżarnia, pomogła mi przeżyć to ponure lato. Ale skończyła się przed czasem snów, a teraz gdy znów się obudziłem, musiałem polować lub głodować.

Dzisiaj - gdy znikł mój królik - przyszło mi głodować. Ale zamierzałem napić się do syta błogosławionego deszczu i leżałem bez ruchu na grzbiecie, jakby jakaś potężna ręka

przyciskała mnie do skał. A może byłem zbyt zmęczony, by się poruszyć, gdyż zostałem tam przez całą burzliwą noc i następny dzień, aż zacząłem wierzyć, że niekończący się deszcz zdoła mnie rozpuścić i połączyć z ziemią Ezzarii. Może tego właśnie pragnąłem.

* *

- Mistrzu Seyonne, słyszysz mnie? Upadłeś? Jesteś ranny? - Lodowate palce dotykały moich ramion, nóg i innych części ciała, o których nawet nie pamiętałem. - Idiota. I co ja tutaj robię? - To nie ja zadawałem sobie te pytania, chyba że mój głos przybrał niepokojąco kobiecą barwę.

Z całych sił pragnąłem odepchnąć te zimne palce, by zostawiły mnie w spokoju, lecz ku memu zaniepokojeniu dłoń odmówiła mi posłuszeństwa. Później trzęsienie ziemi sprawiło, że moja głowa wybuchła, i odwróciło mnie do góry nogami, a deszcz wpadał mi do nosa, gdy coś ciągnęło mnie przez góry.

- Proszę, nie - mruknąłem do stwora, który włókł mnie wśród skał. Musiałem śnić.

* *

- Czemu nie przyszedłś miesiąc temu?

- Nie miałam takiego obowiązku.

- Głosy były ciche, lecz myślałem, że poszerzą pęknięcie, które jak mi się wydawało, biegło między moimi brwiami.

- Na dziecko Verdonne! Czy twoje obowiązki sprowadzają się do tego, by pozwolić człowiekowi umrzeć?

- Nie umierał. Obserwowałam go. Ta gorączka to nowy objaw.

Nie umiałem rozpoznać tych głosów. Pewnie to nowe sny. Śniłem za pięciu ludzi i miałem już dość omamów. Bałem się swoich koszmarów. Ale przynajmniej już nie padało.

* *

- Seyonne? Otwórz oczy. Widziałam, jak nimi poruszasz. Najwyższy czas, żebyś się obudził.

Ciemne oczy otoczone siateczką delikatnych zmarszczek wpatrywały się w moją twarz. Długi, gruby ciemny warkocz i trzy niesforne kosmyki, które się z niego wymknęły, łaskotały mnie po nosie. Pochyliła się ku mnie bardzo zmartwiona owalna twarz.

- Catrin.

- Powinam była się domyślić, że wrócisz do Col'Dyath. Szukaliśmy cię przez wiele tygodni. Nie przyszło nam do głowy, że dotrzesz tak daleko. Założyliśmy, że udałeś się do Aleksandra.

Zamknąłem oczy i zapragnąłem, żeby natychmiast zabrała wszystkie wspomnienia, które właśnie złożyła mi u stóp.

- Odejdź.

Tylko ból gardła towarzyszący każdej wypowiedzianej sylabie upewnił mnie, że szorstki szept należy do mnie.

- Kiedy poczujesz się lepiej, tak zrobię. Nie zakładałam, że ucieszy cię mój widok ani widok kogokolwiek z nas.

Przetoczyłem się i naciągnąłem koc na głowę, wcześniej jednak udało mi się unieść powieki na wystarczająco długo, by zauważyć, że znajduję się w ruinach wieży, leżę rozciągnięty na derce, a moja głowa spoczywa na jakimś zawiniątku. Później, choć miałem wrażenie, że po moim umyśle krąży ciężkie kowadło, oznajmiłem:

- Czuję się świetnie. Tylko trochę śmierdę. Odejdź.

Zsunęła koc, położyła zimne palce na mojej głowie i unieruchomiła kowadło.

- To powiedz mi, ile dni minęło, od kiedy tu przybyłam. Albo kiedy cię znaleziono, na wpół utopionego na skalnej półce, z której w każdej chwili mogłeś spaść i się zabić. A ile dni temu jadłeś porządny posiłek?

Leżałem bez ruchu, bojąc się, że zabierze cudownie chłodną dłoń, a kowadło znów ruszy w swoją podróż. Ale nie chciałem, by uznała, że pragnę jej obecności.

- Nie jesteś już moją mentorką. Nie muszę odpowiadać na twoje pytania. Odejdź.

- A ty tu zostaniesz i umrzesz z gorączki? Przez ciebie resztę życia spędzę dręczona poczuciem winy.

- Nie jestem szaleńcem, Catrin. - Wolałbym, żeby została i żeby to ból mnie opuścił. - Rozważałem szaleństwo. Babrałem się w nim. Ale nie oszalałem. O tym, jak postąpiłem wobec demona, nie zadecydował ból z powodu Ysanne i dziecka ani zmęczenie po tych dwustu pięćdziesięciu walkach. A lata niewolnictwa przeżyłem najlepiej jak się dało. Przez ostatnie tygodnie miałem mnóstwo czasu na rozmyślania. Widziałem, co widziałem, i nie myliłem się, pozwalając mu odejść.

- Wierzę ci. Postąpiłam źle. Byłeś w straszliwym stanie, a ja uważałam, że wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Jeśli jeszcze się tego nie domyśliłeś, proszę cię o przebaczenie. - Uniosła rękę, lecz ja chwyciłem ją i znów położyłem sobie na głowie.

- Jak długo tu jesteś?

Jak prawdziwa nauczycielka, zanim się odezwała, zmusiła mnie najpierw, żebym usiadł, zjadł zupę i wypił herbatę z kory wierzbowej. A kie dy zaczęła opowiadać, wcale mi się to nie spodobało.

- Sprowadziła mnie tu Fiona? - zawołałem z niedowierzaniem. Znów próbowałem ukryć głowę pod kocem. Za nic nie chciałem zawdzięczać czegoś Fionie.

- Przez całe lato obozowała tuż za tamtą kwadratową skałą.

- I mnie obserwowała.

- Wierzy, że wyrok, jaki na ciebie wydano, nie zwalnia ją z obowiązków. Gdyby jej tu nie było, nadal leżałbyś wśród kamieni, a sępy obgryzałyby twoje kości. Uratowała ci życie.

- Zniszczyła je. A przynajmniej to, co pozostało, gdy Ysanne zabrała swoją część.

* *

W trosce, jaką otoczyła mnie Catrin, najgorsze było to, że zbyt szybko przywróciła mi zdrowie i zmysły. Byłem żaloszny. Brudny. Obszarpany. Wyglądałem niewiele lepiej niż za czasów niewoli, choć teraz moje kajdany mniej rzucały się w oczy. Zawsze gardziłem ludźmi, którzy mieli jakieś kłopoty i brali je sobie do serca tak bardzo, że porzucali wszelką przyzwoitość, jedzenie i rozsądne działania, stając się nędzaczami.

Nikt nie miał prawa tak dalece sobie pobłażać, bo zbyt wielu ludzi znosiło taką niedolę wbrew własnej woli. Dlatego też przyjmując lekcję, jaką po raz kolejny udzieliło mi życie, pokornie się umyłem i spróbowałem odzyskać odrobinę godności.

Catrin nie chciała rozmawiać o poważnych sprawach, dopóki nie wstałem i nie zacząłem normalnie funkcjonować, co zajęło kilka dni. Najwyraźniej leżałem w ulewie kończącej suszę chory i na wpół zagłodzony przez trzy doby, aż Fiona mnie znalazła i zaciągnęła ponownie do wieży. Nie znała się zbyt dobrze na leczeniu i nie miała leków, więc sprowadziła Catrin. Doceniłem jej wybór uzdrowicielki.

I dlatego kiedy tylko podniosłem się z łoża boleści, pierwsze kroki skierowałem do obozu Fiony leżącego za kwadratową skałą, jakieś tysiąc kroków od wieży. Fiona kulila się nad malutkim ogniskiem, naszywając łątę na jeden ze swoich butów. Wybudowała sobie

szałas z gałęzi, które przyciągnęła z lasu daleko pod nami. Obok używanego łuku i nowych strzał dostrzegłem stertę kości świadcząca, że z polowaniem radziła sobie lepiej ode mnie. Na mój widok zerwała się na równe nogi, stojąc niezgrabnie, z gołą stopą uniesioną nad mokrą ziemią, i wysunęła dumnie podbródek.

- Przyszedłem, żeby ci podziękować, że zaciągnęłaś mnie z powrotem do wieży. I że sprowadziłaś Catrin.

- Nie mogłam przecież pozwolić, żebyś tam umarł, prawda?

Choć bardzo mnie kusiło, żeby odpowiedzieć tak, jak od razu pomyślałem, oszczędziłem jej sarkazmu. Na horyzoncie zabrzmiał grzmot, a wilgotny wiatr wpychał nam dym i popiół w oczy.

- Głupio, żebyś mokła na deszczu, skoro już i tak wiem, że tu jesteś. Więc jeśli nadal czujesz się w obowiązku pozostać, przynajmniej wejdź do wieży. Dużo tam miejsca, a Catrin ochroni cię przed moim nieodpowiednim wpływem.

Myślałem, że odmówi. Miałem nadzieję, że poczuje się urażona i zabierze swoje wścibskie oczy z powrotem do domu. Ale jej żaloszny obóz wyraźnie wskazywał, jak wielki jest jej upór, a myśl o tym, że czuję się niezręcznie, nigdy nie powstrzymała jej przed śledzeniem mnie. Wprowadziła się.

* *

Następnego dnia Catrin zgodziła się na dłuższą rozmowę, a ja wreszcie mogłem się wygadać.

- Hoffyd się nie obrazi, że spędziłaś ten tydzień ze mną na górze? - spytałem, gdy popijaliśmy herbatkę rumiankową i słuchaliśmy padającego na zewnątrz deszczu.

Catrin uśmiechnęła się i znów napełniła mój kubek.

- Hoffyd to najbardziej cierpliwy i wyrozumiały z ludzi.

- To gdzie się ukrywał przez trzy tygodnie? Howel twierdził, że Ennit doprowadzała cię do szału, próbując go odnaleźć.

Catrin zacisnęła wargi ostrzegawczo i zerknęła na Fionę, która bardzo starała się nas ignorować.

- Howel się pomylił. Hoffyd ponad miesiąc spędził z siostrą. Biedna Ennit nie do końca odzyskała zdrowie po ataku dyzenterii. Ale rzeczywiście muszę do niego wrócić, skoro już czujesz się lepiej.

- Jak sobie radzą twoi uczniowie? - Trudno mi było zadać to pytanie, a jeszcze trudniej usłyszeć odpowiedź. Ale musiałem poruszyć ten temat.

- Drych przeszedł próbę, zanim tu przybyłam. W przyszłym tygodniu przeprowadzę przez testy Tegyra. Wkrótce potem pozwolę im wziąć się za prawdziwą walkę. Poprosiłam Poszukiwaczy, żeby na początek przydzielili im kilka łatwiejszych spraw.

- Dbaj o nich, Catrin. Jest tak wiele... - Chciałem ją ostrzec, ale nie wiedziałem, jakimi słowami opisać niebezpieczeństwo, które, jak wierzyłem, kryło się tuż poza zasięgiem mojego wzroku. Było niewyraźne, niewykształcone, niczym przerwany sen. - Powiedz mi, czy prowadząc badania albo słuchając opowieści dziadka, natrafiłaś na wzmiankę o kimś nazywanym Prekursorem?

- Prekursorem czego?

- Cóż, to właśnie jest pytanie, nieprawdaż?

- Nie wiem. - Znów rozważyliśmy słowa demona. - Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek słyszała takie określenie. Jesteś pewien, że to słowo brzmiało *naghidda*?

- Całkowicie. I jedynym, co przychodzi mi na myśl, kiedy się nad tym zastanawiam, jest coś, co powiedział władca demonów tuż przed tym, jak go zabiłem. - Wspomnienie to przyszło do mnie w letnim śnie. - „Nie myśl, że bitwa się skończyła. Będzie jeszcze jedna...”. Myślałem, że chodzi mu o kolejną walkę, i zapomniałem o tym, bo przecież pozbyłem się łotra. Ale teraz zaczynam widzieć to inaczej. - Dopiero kiedy padły te słowa, mój niepokój zaczął nabierać kształtu. - Ostatnio dużo myślałem. W tym wszystkim... - wykonałem nieokreślony gest, dając jej do zrozumienia, że mówię o całym życiu, jakie znaliśmy -...coś się nie zgadza. Gdybym nie przebywał tak długo poza domem, pewnie bym tego nie zauważył. Nie pojmowałem tego, gdy byłem niewolnikiem, ponieważ pragnąłem jedynie powrócić do Ezzarii i tu wypełniać swoje przeznaczenie. Nie wolno mi było wątpić, gdyż musiałem przeżyć. Ale od kiedy wróciłem... Mój problem nie polega na tym, że lekceważę dyscyplinę, a głupcy przekonani o własnej świętości działają mi na nerwy. Nie chodzi tylko o dziwne demony i trudniejsze walki. - Słowa spływały mi z ust niczym deszcz po długiej wewnątrz niej suszy. - Czegoś nie zauważamy. Pomyśl o tym, jak mało wiemy. Nawet po tylu latach wypełnionych badaniami nie potrafimy wyjaśnić obecności demona, którego spotkałem. Nie mamy pojęcia, dlaczego wyrastają mi skrzydła ani dlaczego nie powinniśmy zabijać demonów, by raz na zawsze się ich pozbyć. Nie umiemy określić, dlaczego w ogóle spełniamy swoje obowiązki i dlaczego zwoje są tak krótkie i jest ich tak mało. Ci, którzy je zapisali, nie byli dzikusami, lecz wykształconymi ludźmi, bez trudu wyrażającymi swoje myśli. Powinni byli zostawić po sobie więcej pism. Brakuje jednak dowodów, że ktoś kiedyś

chciał zniszczyć naszą historię. Czuję się tak, jakby ktoś na chwilę uchylił przede mną drzwi i pozwolił spojrzeć na ogrom naszej ignorancji. Twoi młodzi Strażnicy muszą być ostrożni... i muszą słuchać, żebyś wiedziała, jak się przygotować.

Chciałem powiedzieć więcej. Jakimś sposobem zapłonęły nagle ognie strażnicze mojego umysłu. Wierzyłem, że otrzymałem ostrzeżenie, ale nie wiedziałem jak, dlaczego i o czym. Nie mogłem jednak pominąć faktu, że jeśli władca demonów, straszliwa, potężna istota, z którą wraz z Aleksandrem walczyliśmy przez trzy dni, był jedynie prekursorem, należało odkryć, kto pojawi się po nim.

Catrin nie zignorowała moich obaw. Nachmurzyła się tylko i stwierdziła:

- Muszę się nad tym zastanowić. Trochę poczytać. Porozmawiać z kilkoma osobami. A myślałam, że to ja przyniosę ci wieści. - Otrząsnęła się z niepokojących rozmyślań i położyła dłoń na moim kolanie. - Nie spytałeś, dlaczego zmieniłam zdanie na temat twojej opowieści. - Nuta ekscytacji, jaka zabrzmiała w jej głosie, wyciągnęła mnie z płątaniny nienazwanych strachów.

- To nie liczyła się tylko nasza długoletnia znajomość i fakt, że nagle sobie uświadomiłaś, że głupio było mi nie wierzyć?

- Nie wiem, czy to pasuje do twoich teorii, ale znaleźliśmy coś w dziennikach dziadka.

- A było to...?

- Zdarzyło się, że pewien Strażnik spotkał demona podobnego do istoty, o której mówiłeś.

- A niech to! Wiedziałem.

* *

Nazywał się Pendencyrral i był Strażnikiem w czasach młodości Galadona. Został wezwany, by pomóc kobiecie, która oszalała i rujnowała interesy męża. Poszukiwacz sprawdził tę osobę i potwierdził przypadek opętania przez demona, ale jednocześnie poinformował, że nigdy wcześniej nie napotkał ofiary tak spokojnej i przekonanej o słuszności swoich czynów. Pendencyrral powrócił z portalu zdeorientowany. Upierał się, że nie mógł znaleźć demona. Po długim przesłuchaniu przyznał, że jedynym objawieniem demona, które ukazało się po jego wyzwaniu, była złotowłosa kobieta o oszalamiającej urodzie i ostrym dowcipie. Żartowała sobie z niego i tańczyła z nim pod cudownym księżycem. Wedle dziennika, Pendencyrral zrezygnował z kolejnych walk i nigdy już nie przeszedł przez portal.

Galadon, zaciekawiony tą niezwykłą historią, zaczął czekać, aż Poszukiwacz i Pocieszyciel powrócą do Ezzarii, po czym zapytał o ofiarę. Poszukiwacz czuł się winny i uznał, że podczas testów musieli popełnić pomyłkę, bo domniemana ofiara w swoim mieście cieszyła się sławą bohaterki. Okazało się, że jej mąż wykradał chłopców z okolicznych wiosek i zmuszał ich do pracy w swojej kopalni srebra, ona zaś w tajemnicy uwalniała te dzieci i oddawała je rodzinom. Mąż nie mógł jej publicznie oskarżyć, gdyż wówczas ujawniłby swoją zbrodnię, więc ogłosił, że oszalała.

* *

- Pendyrral zmarł, zanim zacząłem szkolenie - powiedziałem. - Ale może Poszukiwacz albo nawet jego Aife żyją. Gdybym mógł porozmawiać z jednym z nich...

Catrin w milczeniu potrząsnęła głową.

- A co z Pocieszycielem?

- Zaginął w czasie wojny z Derzhimi - westchnęła ze smutkiem. - Nie pozostał przy życiu nikt, kto mógłby ci opowiedzieć o tamtych wydarzeniach, poza jednym Uczonym, który poświęcił wiele czasu badaniu tej sprawy.

- Cóż, w takim razie go odnajdę.

- Nie sądzę, by było to możliwe.

- Dlaczego?

- Ponieważ na imię ma Balthar.

Moja dusza zadrżała na dźwięk tego imienia. Balthar Renegat. Balthar Zdrajca. Balthar, który stworzył niszczące duszę rytuały, wykorzystywane przez Derzhich do pozbawiania ezzariańskich niewolników melyddy. Nadal budziłem się spocony z koszmarów o trzech nocach spędzonych w trumnie Balthara. Potrząsnąłem głową.

- Nie. Nawet to nie sprawi, że zdecyduję się oddychać tym samym powietrzem, co ten człowiek.

- Będę szukać dalej - obiecała. - Może uda mi się odkryć jeszcze jakieś ciekawe historie.

* *

Catrin została ze mnajeszcze dwa dni. Przez cały ten czas faszero wała mnie lekami i próbowała pojąć znaczenie moich lęków. Ale kiedy przestałem kaszleć i obiecałem, że będę o siebie dbać, spakowała koce i paczuszki, gotowa, by wyruszyć do domu, do męża i uczniów. Na po żegnanie ugotowałem kociołek potrawki z królika, by udowodnić, że nie zginę bez jej opieki.

Fiona nie brała udziału w żadnej z naszych dyskusji o demonach i historii. Od kiedy przybyła do wieży - od kiedy ją znałem - nosiła na sobie wrogość niczym drugą skórę. A jednak była dla mnie kimś w rodzaju świadka. Gdy Catrin i ja znów pograżyliśmy się w rozważaniach o filozofii, ona usiadła nieopodal z niedużą, zniszczoną książką i jadła swoją porcję potrawki. Kiedy rozmowa przestała się kleić, powróciłem do tego tematu.

- Kiedyś poprosiłem cię, byś się zastanowiła nad tamtym dniem - powiedziałem, doskonale wiedząc, że Fiona nas słucha. - Chciałbym poznać twoją interpretację tamtego doświadczenia. Opowiesz mi o tym?

Choć odezwałem się do niej grzecznie, rzuciła drewnianą miską o kamienną podłogę, po czym zerwała się na równe nogi, jakbym dźgnął ją nożem.

- To był demon. Demony sprowadzają zepsucie, szaleństwo i śmierć, a ja przysięgałam, że będę pomagać Strażnikowi je zabijać lub odsyłać do miejsca, do którego przynależą. Nie będę o tym dyskutować z szaleńcem. - Wypadła z wieży na słoneczne popołudnie.

Gdy ostatnie echa jej złości umilkły, pochłonałem resztę potrawki, obserwując, jak Catrin szoruje piaskiem brązowy kociołek.

- Pewnie mi nie powiesz, co Fiona zeznała przed obliczem Rady?

- Nie mogę. Dobrze wiesz, że przysięgaliśmy zachować milczenie.

- Przepraszam. Nie powinienem był pytać.

- Cóż, cieszę się, że sobie poszła - oznajmiła nagle Catrin, odsuwając kociołek. - Jest jeszcze jedna sprawa, o której muszę z tobą poroz mawiać, zanim odejdę. Sprawa bardziej osobista. Choć mi tego zabroniono, poruszę ten temat.

Czekałem na to przez pięć dni.

- Ysanne? - Wątpiłem, by moja żona przesłała wiadomość z prośbą o przebaczenie. Już dałem jej na to odpowiedź.

- Martwi się z twojego powodu.

Nabrałem ostatnie krople pysznego brązowego sosu z dna miski, po czym pozwoliłem, by powoli spłynęły z łyżki.

- To ja martwię się z jej powodu... i z powodu naszego syna.

- Nie miała wyboru.

- Nie miała wyboru!? - Upuściłem łyżkę do miski. - Oczywiście, że go miała. Nawet kiedy byłem niewolnikiem, mogłem dokonywać wyborów. Czasem niesło to ze sobą ból, czasem ryzyko, ale dzięki temu zachowałem umysł, duszę i sumienie.

- Ale tylko ty wystawiałeś się na ryzyko i ból, zaś Ysanne musiała myśleć o nas wszystkich. Dla siebie zachowała wyłącznie ból... Podzieliła się nim jedynie z tobą.

- Nie zaufała mi na tyle, by pozwolić mi go zobaczyć. W tej kwestii nie pozostawiła mi wyboru.

- Nie mogła ryzykować. Jesteś jedynym Strażnikiem Ezzarii. Obawiała się, że będziesz próbował uratować dziecko i że to cię zniszczy. Jest królową...

- Nie miała prawa wybierać za mnie. I jednak mnie zniszczyła, czyż nie? Ty i pozostali członkowie Rady byliście przekonani, że straciłem rozum, jeśli nie duszę. Ysanne sama w to wierzyła, inaczej nie zatwierdziłaby wyroku. Razem dopełniliście dzieła. Wyczuwam niebezpieczeństwo, które... Nie potrafię tego wyjaśnić... ale grozi nam coś strasznego. A kiedy nadarza się okazja, żebyśmy wyjrzeli poza swoje ograniczenia i odkryli, co to jest, Ysanne zostaje morderczynią. Jeśli jeszcze tego nie zrozumiała, wkrótce to sobie uświadomi. Znam ją, Catrin. Kocham ją ponad życie. Świadomość tego faktu zniszczy ją tak samo, jak zniszczyła mnie. A ja, choć posiadam rozliczne umiejętności Strażnika, doświadczenie i merytdę związaną z ciałem i umysłem, nic nie mogę na to poradzić.

Catrin uniosła wysoko ręce w geście zniecierpliwienia, po czym za cisnęła je na moich ramionach.

- Na dzieci Valdisa, oboje jesteście najbardziej upartymi, twardogłowymi Ezzarianami, jacy kiedykolwiek się narodzili. Jak możecie się tak bardzo kochać, a jednocześnie tak źle myśleć o sobie nawzajem?! - Potrząsała mną, aż zagrzechotały kości, po czym ściszyła głos. - Nie zabiła go, Seyonne. Choć żąda tego prawo i zwyczaj, zwłaszcza od królowej, która musi znosić każdy ból, jaki cierpią jej poddani, nie potrafiła odebrać mu życia. Odesłała je... Akuszerki znają to miejsce... pustelnię... świętych ludzi, którzy bez pytania przyjmują dzieci. Ysanne żywi nadzieję, że gdy wasz syn podrośnie, odnajdziesz go i zdołasz mu pomóc.

- Hoffyd go tam zawiózł - westchnąłem mimo woli, a te niechciane słowa z ulgą spłynęły z mojego języka.

- Otrzymał rozkaz, by udać się na targ do Teryny, spytać o „Rękę Dolgara” i oznajmić, że został przysłany przez „strażników”. Powiedział mi, że młody kapłan był łagodny i troskliwy i obiecał, że zatroszczy się o dziecko. Hoffyd inaczej nigdy by mu go nie powierzył,

mimo polecenia Ysanne.

- W takim razie muszę odejść.

Potrząsnęła głową.

- Nie masz prawa tego zrobić. Wiesz o tym. Potrzebujemy cię tutaj. To dlatego musiałeś wrócić do zdrowia, zanim ci to wyznała, żebyś nie przedsięwziął jakiś nierozważnych działań. Pomyśl...

- Tu nie ma co myśleć. Po co mam zostać? Żeby Ysanne mogła udawać, że nic się nie zmieniło? Żeby Caddoc wyciągnął ze mnie informację, że boję się węży i nie potrafię wędrować wśród wzgórz na południowym zachodzie, nie płacząc nad tymi, którzy zginęli tam przed osiemnastu laty? To nasze dziecko, Catrin. Nie umiem go odrzucić. Zbyt wiele o nim wiem.

Catrin stanęła przede mną i zaplotła ramiona na piersi, jakby chciała powstrzymać złość i jakby surowe słowa mentora wypowiedziane spokojnym i poważnym tonem mogły przywrócić mi rozsądek.

- Strażnikom nie wolno opuszczać Ezzarii bez pozwolenia, Seyonne, bo to oznaczałoby złamanie przysięgi.

- Moja przysięga jest nieważna. Tak powiedziała królowa Ezzarii.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda. Zadaniem Strażników jest przeciwdziałać mactwom demonów, bez względu na to, czy będą potem z nimi walczyć, czy nie. A jeśli chodzi o ciebie... twoja przysięga stanowi część ciebie, tak samo jak twoja głowa i ręce. Nie potrafisz o niej zapomnieć.

- Już nic nie wiem.

- Uważałam, że reagujesz zbyt gwałtownie, Seyonne. Pochopnie się wypowiadasz i działasz bez zastanowienia. Ale nigdy nie myślałam o tobie źle i nigdy nie podejrzewałam, że się poddasz. Jeśli chcesz zmienić prawo, zostań. Jeśli odejdiesz...

- Wrócę, Catrin. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek w Ezzarii, włączając w to moją żonę. Wolałbym odejść z twoim błogosławieństwem... a przynajmniej ze świadomością, że rozumiesz.

Nie złagodniała.

- Zastanów się dobrze... bardzo dobrze... co wybierasz. Ysanne go tutaj nie przyjmie. Sama chwyci za nóż, zanim na to pozwoli. A proroctwa nie ochronią cię przed prawem, jeśli tym razem wrócisz skażony.

- Jeśli fakt, że wezmę w ramiona własnego syna, może mnie splamić, to nie chcę mieć nic wspólnego z naszym prawem.

Westchnęła, zaciskając wargi ze złości.

- Chcesz posłać Ysanne jakąś inną wiadomość?

- Nie. - Blizna nad pustym miejscem, gdzie niegdyś było moje serce, stwardniała. -
Jeśli moja żona uznała za konieczne pozbyć się na szego dziecka, nie chcę mieć z nią nic
wspólnego.

Rozdział 7

Bóg lasów stał się zazdrosny o miłość, jaką leśni ludzie darzyli Valdisa, i ogarniał go gniew na myśl, że chłopiec - w połowie śmiertelnik - może któregoś dnia ukraść jego tron. Dlatego postanowił zabić dziecko i wszystkich śmiertelnych, którzy je tak kochali. Zasmucona Verdonne, nie mogąc przekonać małżonka o niewinności Valdisa, wysłała chłopca między drzewa, by był bezpieczny, a sama wzięła w dłonie miecz i stanęła między bogiem a światem ludzi.

- Opowieść o Verdonne i Valdisie przekazana pierwszym spośród Ezzarian, gdy przybyli oni do krainy drzew

Wąską uliczkę pełną sklepów wybudowanych z wysuszonej gliny wypełniali ludzie. Już spóźniłem się na umówione spotkanie, bo podejrzliwi strażnicy przy bramie zatrzymali mnie na zbyt długo, a teraz jeszcze utknąłem za rodziną suzaińskich kupców, którzy zajęli całą szerokość ulicy i wlekli się w stronę bogatszych dzielnic Yayapolu. Kupiec miał na sobie pasiaste szaty, a we włosy i brodę wplótł koraliki. Jego kobieta podążała za nim, odziana od stóp do głów w prostą białą szatę. Jej ręce, ramiona i szyję obciążało chyba ze sto funtów złotych bransolet i srebrnych naszyjników. Prowadziła grupkę ciemnookich dzieci, kóz, psów i ubranych w fenzai niewolników, którzy ciągnęli wozy i dźwigali ciężary na zgiętych, pobliznionych barkach.

Choć ominięcie procesji Suzaińczyków wydawało się niemożliwe, Manganarki o pulchnych twarzach, w wyszywanych tunikach i barwnych spódnicach, prześlizgiwały się gładko przez tłum, uśmiechając się i pozdrawiając nawzajem, mimo że na ramionach niosły ciężkie dzbany z wodą lub kosze z bielizną. Zakurzone, bose dzieciaki o chudych nogach przebiegły pod czerwono-niebieską markizą, kradnąc jabłka z wysokiego kosza i przewracając prowizoryczne półki, zastawione brązowymi kociołkami i narzędziami, skórzanymi pasami i sakiewkami, oraz drewniane stojaki z barwnymi wstążkami.

Podążyłem za nimi i precyzyjnie przycisnąłem się obok procesji kupców. Potem wyminąłem stado kóz i wyciągnięte ręce żebraków, którzy kręcili się w pobliżu brązowych bram świątyni Dolgara, jednookiego boga Manganarów. Zastanawiając się, jak w ogóle można prowadzić

interesy w takim zamieszaniu i hałasie, uchyliłem się przed dłońmi gestykulujących żywo dwóch ciemnoskórych, długoszyich Thridek o pomalowanych oczach, które wyklócały się z rzeźnikiem o trzy chude kurczaki. Nienawidziłem miast.

Skrzywiłem się, gdy z tyłu dobiegł mnie głośny trzask bicia. Nadzorca niewolników suzańkiego kupca musiał uznać, że któryś ze służących się ociąga. A kiedy ruszył na mnie masywny koń niosący dumnego wojownika Derzhich z długim warkoczem i mieczem odbijającym blask południowego słońca, przycisnąłem się do najbliższej bramy i spuściłem wzrok. Nie mogłem ryzykować, że poczuje się obrażony moim bezczelnym spojrzeniem albo zauważy piętno królewskiego rodu na mojej twarzy. Kiedy mnie minął, wcisnąłem rękę pod koszulę i w pobliżu serca wymacałem skórzaną paczkę, upewniając się, że pismo Aleksandra pozostaje bezpiecznie ukryte. Dwa razy podczas tej podróży musiałem je wykorzystać. Bez tego bezcennego dokumentu, który potwierdzał, że jestem wolnym człowiekiem, mógłbym znaleźć się w kajdanach, z odciętą jedną nogą, co było przewidzianą prawem karą za ucieczkę. Zadziwiające, jak stare strachy powracają niczym znoszone ubranie, choć człowiek myśli, że już dawno z niego wyrósł.

Kiedy odzyskałem oddech, pomyślałem o ważniejszych sprawach. Gdzieś za świątynią Dolgara biegła uliczka, gdzie według mojego informatora mieściła się karczma ze znakiem białego sztyletu. Tam, po dwutygodniowej podróży z Ezzarii i trzech dniach, gdy przekazywały mi kolejne kontakty, a ja czekałem, aż moja prośba zostanie przekazana i spełniona, spotkam człowieka, który zaopiekował się moim synem.

Powietrze było duszne. Nic tak nie pobudzało mojej niechęci do miast, jak gęsty południowy smród nawozu i zabitych zwierząt, tanich perfum i aromatyzowanej oliwy do lamp, zgniłych warzyw, tysięcy zwierząt i niemytych ciał stłoczonych na tak ciasnej przestrzeni. Choć w uliczce śmierdziało tak samo, przynajmniej było w niej mniej ludzi - kilku żebraków, krzepki handlarz ciągnący popsuty wózek i młoda kobieta w fartuchu służącej, która minęła mnie pospiesznie. Tuż przede mną domy wybudowane nad samą ulicą rzucały na nią głęboki cień. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, kiedy mój wzrok przyzwyczał się do półmroku, była jasna plama na glinianej ścianie. Biały sztylet.

Zawahałem się, zanim wszedłem w ciemny otwór, zdenerwowany jak młody Hollenni przed spotkaniem z narzeczoną wybraną mi w dniu urodzin. Byłem wojownikiem, który musiał stawić czoła setkom demonów, także tych najpotężniejszych. Stałem nos w nos z dziedzicem cesarstwa Derzhich i prowokowałem go, żeby mnie zabił. Jak trzymiesięczne niemowlę i kapłan mogli doprowadzić mnie do takiego stanu?

Nim zdążyłem się opanować i wejść do środka, garbaty mężczyzna w zatłuszczonych łachmanach wpadł na mnie, depcząc mi po palcach stóp. Zachwiał się i zamachał rękami, co groziło, że zaraz rozplaszczy swoją pryszczatą twarz na mojej. Cofnąłem się z obrzydzeniem z powodu jego choroby i smrodu, jaki wydzielał, jednocześnie chwytając go za ramię, żeby nie upadł.

- Niech spłynie na was łaska Dolgara, wasza miłość - zamruczał. - Przepraszani. Przepraszam. - Dotykając jedną dłonią czoła, zgiął się i próbował się cofnąć, lecz ja go nie puszczałem. - Proszę, panie...

Niezbyt delikatnym ruchem wywinąłem jego drugą rękę i wyrwałem swoją skórzaną paczkę z zadziwiająco silnej dłoni, która właśnie wpychała ją w głębokie fałdy brudnego ubrania. Na szczęście letnie szaleństwo nie stepiło mojej czujności. Kiedy zauważyłem mignięcie stali pod ubraniem, obróciłem się i wybiłem kopnięciem nóż w powietrze. Usłyszałem, jak uderza w glinianą ścianę. Ku mojemu zaskoczeniu żebrak warknął wściekle i rzucił się na mnie. Chwyciłem go za ramię i obracałem, aż zawisł w moich rękach niczym śmierdząca gąsienica w kokonie.

- Nie rób tego - poradziłem łagodnie, patrząc w jego ciemne oczy, zadziwiająco bystre jak na kogoś, kto sprawiał wrażenie aż tak niedołęznego.

Potem odepchnąłem go, podniosłem jego nóż i wcisnąłem go za pas. Dopiero gdy łotr zniknął w ciemnościach, przeklinając głośno, oparłem się o ścianę i odetchnąłem głęboko, znów wkładając cenne pismo pod koszulę. Niewiele brakowało, tylko... Niemal połknąłem język, gdy potężny brązowo-biały ptak, jakaś odmiana jastrzębia czy sępa, opadł z pobliskiego dachu, o trzy dłonie minął mój nos i znikł w słonecznym blasku na końcu uliczki.

Otrząsnąłem się po tych niepokojących spotkaniach i wszedłem do karczmy. W środku było ciemno, duszno i ciasno - mieściły się tu zaledwie trzy nieduże stoliki oraz beczulki i skrzynki służące jako siedzenia. W jednym rogu na beczce siedział potężny mężczyzna, opierając się o ścianę. Chrapał głośno, co świadczyło, że pograżył się w pijackim letargu, jednak kiedy tylko przestąpiłem próg, mruknął, zabulgotał i odchrząknął.

- Gorąco dziś, podróżniku - mruknął. - Może chcesz ugasić pragnienie?

- Tak - odpowiedziałem. - Kufel najlepszego piwa.

Zniknął za tylnymi drzwiami, a nim znalazłem siedzisko, które wyglądało na dość solidne, by utrzymać mój ciężar, z hukiem postawił pełen kufel na zniszczonym stole. Wyciągnąłem z kieszeni monetę i rzuciłem ją nad głowę. Jak się spodziewałem, w jego ruchach nie było pijackiej ospałości. Chwycił ją niczym jaszczurka łapiąca językiem komara.

- Skąd przybywasz, podróżniku?

- Z Karesh - odpowiedziałem. Niewiele minąłem się z prawdą. Karesh było manganarskim miastem tuż za granicą Ezzarii. Znałem je równie dobrze, jak inne miasta, a istniało spore prawdopodobieństwo, że ten mężczyzna nigdy nie znalazł się dalej niż dwie ulice od miejsca swoich narodzin. - Miałem się tu z kimś spotkać. Powiedziano mi, że odwiedza twój przybytek i odbiera tu przesyłki. Słyszałem, że masz najlepsze ale po tej stronie Zhagadu, choć piwowarzy z Karesh się z tym nie zgadzają. Widziałeś go?

Ostatni z trzech informatorów w sieci, do której dotarłem dzięki słowom Catrin, twierdził, że właśnie tak brzmi hasło.

- A kto ci to powiedział?

- Zostałem wysłany przez strażników.

Nie pojmowałem, jak mogłem nie zauważyć drugiego mężczyzny siedzącego w ciemnej sali, lecz kiedy tylko wypowiedziałem te słowa, poczułem jego obecność, na prawo ode mnie; siedział przy trzecim stole i opierał brodę na rękę. Obróciłem się szybko, z zaskoczenia niemal przewracając kufel. *Uważaj na plecy, głupcze. Pozwalasz sobie na nie ostrożność.*

- Nie widzę przesyłki, panie - odezwał się cichy głos z cieni.

- Może chciałem sprawdzić, komu mam powierzyć swoje interesy.

- Drogiego Feydorze, światło poproszę. W twoim przybytku jest jak w kopalni Nuradu, gdzie więziono błogosławionego Dolgara.

Przysadzisty właściciel wyjął kamionkową lampę oliwną i postawił ją na brudnym, pociętym nożem stole pomiędzy cichym mężczyzną a mną. Uprzejmie przeniósł również moje piwo, po czym umieścił beczkę przy wejściu, posadził na niej swoje cielsko i znów zaczął chrapać.

Mężczyzna, którego teraz wyraźnie widziałem w blasku lampy, nosił strój kapłana Dolgara - obdarte, poprzecierane kawałki pośledniego materiału owinięte wokół piersi i pasa - i podobnie jak jego bracia golił głowę. Ciemny krąg na czole to popiół - by przypominać mu o ogniu, który spopielił bohatera Dolgara - a blizny po oparzeniu na wierzchach obu dłoni dopełniały opowieści, gdyż ogień zmienił popioły człowieka w boga. Ale znaki i symbole jeszcze nic nie znaczyły. Nie potrafiłem go zakwalifikować do żadnej znanej mi grupy ludzi. Był młodszy, niż się spodziewałem, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i surową twarz - same wystające kości, kąty i zagłębienia. Dolna warga była zdeformowana i wystająca. Choć te toporne rysy dowodziły chłopskiego pochodzenia, co zdarzało się często wśród ubogich kapłanów po mniejszych manganarskich bogów w rodzaju Dolgara, jego ciemne, głęboko osadzone oczy lśniły przenikliwie niczym nóż Strażnika. Jego smukłe dłonie uprawiały

ziemię. Były popękane i wgrzył się w nie brud, którego nie usunie żadne mycie. A jednak otaczała go atmosfera spokoju, rzadko widoczna u ludzi, których życie definiowały głód i ubóstwo. Chłopi, nawet kapłani, nie mieli czasu na to, by ćwiczyć równowagę ducha.

- Możesz dowolnie długo świdrować mnie wzrokiem - powiedział w dźwięcznym dialekcie manganarskiej wsi. - Nie ma co oglądać, jak mawiała moja mama. Ale nie wiem, czemu chcesz mnie oceniać wyłącznie na podstawie wyglądu. O człowieku świadczą jego czyny.

- To opowiedz mi o nich.

- Jestem tylko ubogim kapłanem potężnego Dolgara. Moi bracia i ja służymy naszemu panu, zapewniając schronienie niewinnym, którzy stracili rodzinę przez wojnę, choroby czy z innych powodów. W za mian prosimy tylko o to, by pozostawiono nas w spokoju. Czy to ci wystarczy?

Zarówno jego słowa jak i spojrzenie były otwarte i szczerze, bez śladów przebiegłości. Poczuję się winny, gdy zmieniłem zmysły i spojrzałem głębiej. Może już kiedyś ktoś badał go w ten sposób? Nie wiedziałem, czy Ezzarianie przybywali do tego miejsca, składając swoje rozdarte serca w kościstych rękach tego mężczyzny. Ale ja chciałem zobaczyć... a on nie odwrócił spojrzenia. To było bardzo dziwne... Widziałem dobrego i prostego człowieka, bez żadnych większych aspiracji, pełnego spokoju. Nic, co wywoływałoby niepokój lub strach. A jednak gdy się wycofywałem, przez chwilę byłem oszołomiony, jak to się czasem zdarza w chwili, gdy człowiek zasypia i nagle ma wrażenie, jakby spadał, choć przecież plecami dotyka ziemi... albo jak ja się czułem, gdy zeskakiwałem z urwiska w obcej duszy i czekałem, aż wyrosną mi skrzydła, by złagodzić upadek. Pomyślałem, że to wina mojego umysłu i napięcia związanego z pobytem w mieście, gdyż to właśnie tutejsze widoki przemykały mi przed oczami niczym migoczące promienie światła. Barwy, twarze, wojownicy Derzhich z wyciągniętymi mieczami, ptak, który minął moją twarz, żebracy, białe sztylety wym lowane na ścianach, flagach i twarzach.

- Wystarczy - odparłem, pociągając łyk ale, żeby ukryć zdenerwowanie. W karczmie panował upał.- Wiesz, kim jesteśmy. To znaczy, widziałeś już takich jak my.

Prócz ciemnoskórych Thridów, Ezzarian było najłatwiej rozpoznać ze wszystkich ras cesarstwa. Przez lata bezskutecznie próbowaliśmy wymyślić zaklęcie, które ukryłoby nasze rysy, lecz ku naszej niekończącej się irytacji umieliśmy podtrzymywać takie iluzje tylko przez kilka chwil.

- Tak - odpowiedział. - Ale nie znam żadnych waszych tajemnic i nie chcę ich znać. - Pochylił się do przodu. - A teraz powiedz, po co przyszedłeś? Nie jesteś zwykłym kurierem. Nie przywiozłeś ze sobą maleństwa, prawda?

- Nie.

Mężczyzna skrzywił nieładną twarz.

- Nie masz zamiaru zakończyć naszej działalności?

- Nie, nic takiego. - Teraz kiedy nadszedł czas, nie byłem pewien, co powiedzieć. - Czy widziałeś... te, które przywozi ci mój lud... - Chyba nie szło mi najlepiej.

- Dzieci. Na oko Dolgara, to tylko dzieci.

- Dzieci... Rosną? Są zdrowe? Szczęśliwe? - A może wrywają ptakom skrzydła, podpalają swoje kołyski albo zabijają się nawzajem, za nim nauczą się chodzić.

- Troszczymy się o nie jak o każde dziecko pod naszą opieką. Dajemy im wszystko, co możemy: jedzenie, lekarstwa, kogoś, kto się cieszy, że żyją.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Odkryłem, że trudno mi na niego patrzeć.

- A czemu miałbym to robić? Czy przestaniecie je przynosić? Czy to, co proponuję, nie jest lepsze od tego, co przewiduje wasze prawo? Nie sprzedajemy ich w niewolę ani ich nie oddajemy. Nasz bóg każe nam się o nie troszczyć, a my spełniamy jego wolę.

W jego spokojnej odpowiedzi nie brzmiała niechęć, tylko zdrowy rozsądek. A jednak czułem... wiedziałem... że kryło się w tym coś więcej, choć nie dał mi nic, co potwierdziłoby moje przekonanie.

- Czego właściwie ode mnie chcesz? - Najwyraźniej nie zamierzał mi pomagać, póki go do tego nie przekonam. I dlatego mówiłem dalej.

- Kilka miesięcy temu przywieziono do ciebie dziecko. Niemowlę. Przyniósł je jednooki człowiek...

- Przypominam go sobie. To dobry człowiek. Nie czuł się dobrze ani w mieście, ani w towarzystwie tego dziecka. Ale uszanowałem jego wolę i przygarnąłem jego podopiecznego. Kapłan z mojego zakonu nie może odmówić komuś, kto stracił oko.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że wrogowie Dolgara przed spaleniem wyłupili mu jedno oko. Kapłani mieli szczęście, że popioły i oparzenia były jedynymi symbolami boga, które musieli nosić.

Napiłem się ale i zacząłem wiercić się na beczcze. Znów na niego spojrzałem, ale tkwił przede mną nieruchomo, tak nieruchomo, że niemal wtopił się w mrok. Po co dalej owijać w bawełnę? Nie miałem innego wyjścia, jak tylko mu zaufać i spróbować w zamian zaskarbić sobie jego zaufanie.

- To dziecko jest moje. Przybyłem, żeby je zobaczyć i... - I co? Za brać ze sobą? Gdzie? Co wiedziałem o dzieciach? Podczas podróży odsuwałem od siebie te dręczące pytania, radując się myślą, że moje sumienie odciążyla przynajmniej jedna śmierć. Wierzyłem, że kiedy nadejdzie czas, będę wiedział, co zrobić. Ale kiedy ciemnooki młodzieniec spoglądał na mnie wyczekująco, odkryłem, że się myliłem. - Powinno być ze swoją rodziną - wykrztusiłem w końcu.

- Jego rodzina go nie chciała.

- Byłem za... - Zirytowany, ugryzłem się w język. Nie mogłem mu powiedzieć, że byłem w miejscu, gdzie nie dotarł żaden zwyczajny człowiek, walcząc z potworami, których nie potrafili sobie wyobrazić nawet we śnie, że latałem na skrzydłach z jedwabiu w powietrzu utkanym z szaleństwa i grozy. Niepiśmienny manganarski kapłan nigdy by tego nie pojął. - Nawet nie widziałem swojego syna. Żona go odesłała, zanim się dowiedziałem o jego narodzinach. Myślałem, że nie żyje.

Kiedy kapłan się odezwał, przemawiał spokojnie, lecz z za jego słów wyłamał się niedostatecznie zamaskowany gniew.

- Gdybyś szczerze porozmawiał z jednookim mężczyzną, który przyniósł tu dziecko, wyjaśniłby ci szczegóły naszej umowy. Informujemy o tym jasno, zanim dotkniemy dziecka. Nie zadajemy pytań i na żadne nie odpowiadamy, ale nie odwołujemy raz zawartego porozumienia. Wy oddajecie nam swój ciężar i w tej samej chwili dziecko traci swoją przeszłość. - Wstał gwałtownie i odepchnął na bok ciężką beczkę, żeby wyjść z kąta. - Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to bardzo mi przykro. Ale przybyłeś za późno. Czy chcesz, bym cię pobłogosławił, zanim odejdziesz?

Ja również wstałem i zmusiłem się, by zachować spokój. Gdybym go zabił, nic bym na tym nie zyskał, wiedziałem też, że nie warto zmuszać go do czegokolwiek przemocą. Zacisnąłem więc tylko palce na ciemnym sosnowym blacie.

- To mój syn. Proszę. Zrobię wszystko, czego zażadasz. Musisz...

- Nie mam takiego prawa. - Pochylił się nad stołem tak, że siła jego słów uderzyła mnie w twarz. - Przysięgałem, że zapewnię mu bezpieczeństwo. Nie wiem, co zrobiłeś mężczyźnie, który go tu przyniósł, ani żonie, jeśli dziecko rzeczywiście jest twoje. Być może masz zamiar dopełnić waszych barbarzyńskich zwyczajów. Nie jesteś prostym człowiekiem, przyjacielu. Widzi to nawet taki głupi kapłan jak ja. Twoja postawa świadczy o tym, że przywykłeś do walki. Dlatego też, aby dotrzymać przysięg, których wymaga mój bóg, muszę być ostrożny i zakładać najgorsze.

- Nigdy bym go nie skrzywdził. Ciebie też nie. To ostatnia rzecz...

- Przyjmujemy te dzieci, ratując je przed dużo gorszym losem, i nie wypuszczamy ich potem spod swoich skrzydeł. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz, przyjacielu, ale ostrzegam, że żaden z moich braci nigdy więcej nie odpowie na wezwanie, jeśli nie powrócę. - Wyciągnął rękę w geście pojednania. - Jeśli obchodzi cię los tego dziecka, zostawisz je w spokoju.

Nie przyjąłem jego dłoni. Próbowałem znaleźć słowa - argument, który do niego przemówi, sposób, by przekonać go, że nie stanowią zagrożenia. Ale nic nie przychodziło mi na myśl. Wszystko, co powiedział, było prawdą.

Kapłan ruszył w stronę wyjścia, gdzie właściciel się obudził i wskazywał trzem obszarpanym klientom miejsca w nagle zatłoczonym lokalu. A zatem mój rozmówca dał mi tylko jedną wskazówkę, a teraz zamierzał zniknąć na zawsze. Odepchnąłem pijaków i pospieszyłem za nim.

- Co cię przekona?

- Nic - rzucił przez ramię.

- W takim razie dziękuję - zawołałem za nim. Zatrzymał się tuż za drzwiami i popatrzył na mnie uważnie.

- Nie zgadzam się z tobą - wyjaśniłem. - Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Ale dziękuję ci... że tak poważnie traktujesz swoje obowiązki. Nie mógłbym prosić o nic lepszego.

Przyjął moje słowa, jakby były darem, który nie do końca umiał pojąć, i przez dłuższą chwilę je rozważał, jakby obracał ów dar w dłoniach, by zrozumieć jego naturę. Po chwili mi go oddał.

- Nie musisz się bać. Zaopiekujemy się nim.

Wyszedłem za nim w uliczkę i zaczekałem, aż wmisza się w tłum na szerokiej ulicy za rogiem. Dziękowałem mu szczerze. Nie miał powodów, by wierzyć, że nie musi się mnie obawiać. Ale choć sumienie nie pozwoliło mi wymuszać na nim informacji, nie zamierzałem poddać się tak łatwo. Jak tylko kapłan zniknął wśród morza ludzi, pobiegłem uliczką i wtopiłem się w tłum tuż za nim.

Rozdział 8

Byłem doskonałym tropicielem. Mimo że po wyzwoleniu nie odzyskałem jeszcze w pełni ostrości zmysłów, potrafiłem wyśledzić w oceanie ślad po rybie, która przepłynęła tam godzinę wcześniej. Umiałem określić, na której gałęzi ptak siedział poprzedniego dnia. Słyszałem szelest powietrza wywołany przejściem kobiety i wiedziałem, że była to kobieta, a nie mężczyzna. Choć w wielu dziedzinach magii osiągnąłem ledwie przeciętną biegłość, nadrabiałem to takimi umiejętnościami. W moim zawodzie były niezbędne. Mimo to straciłem kapłana z oczu, nim na za tłoczonych ulicach Yayapolu uszliśmy dwieście kroków.

Stałem niczym wół na najbardziej zatłoczonym targowisku we wschodniej części imperium. *Zgubiłeś go. Powinni cię powiesić za ni kompetencją.* Podrapałem się bezmyślnie w głowę, próbując zdecydować, co teraz począć, po czym postanowiłem iść dalej przed siebie. Tłum zaczął się rozstępować, a handlarzy ogarnęło podniecenie, co zapowiadało nadejście redyikki, derzhyskiego urzędnika, nadzorującego targowiska. Tam gdzie panował największy chaos, rozległo się nagle głośne uderzenie i skrzęcający wnętrzości krzyk, który na chwilę zmroził obecnych. Najprawdopodobniej redyikka osobiście złapał złodzieja czy oszusta i wymierzył należną karę dla tych, którzy nie byli Derzhimi, odcinając mu dłoń albo nos. Nie minęła chwila, a życie wróciło do normy... dla wszystkich, poza nieszczęsną ofiarą. *Co za idiota.* Nie chciałem już kolejnych spotkań z Dehrzimi.

Przez chwilę pozwoliłem się nieść tłumowi, po czym kupiłem pieczonego kurczaka od Thridki, pocącej się nad małym paleniskiem, i kawał gorącego chleba od jednorękiego, obszarpanego manganarskiego chłopca.

- Niech Dolgar cię chroni - powiedział chłopak, gdy dałem mu miedziaka ze swojego małego skarbca, pozostałości tego, z którym Aleksander wysłał mnie do domu z Zhagadu.

- Powiedz mi - rzekłem, siadając na ciepłym kamieniu obok niego, by zjeść to, co kupiłem. - Czy wiesz, gdzie mieszkają kapłani Dolgara? Gdzie mieści się jakaś ich pustelnia... gdzieś w pobliżu miasta? - To nie mogło być daleko, gdyż wiadomość o spotkaniu przeszła między kapłanem, Yayapolem i moim informatorem w Terynie w ciągu trzech dni, a Teryna znajdowała się o dzień drogi stąd.

- Mieszkają przy świątyni - odparł chłopak, kiwając głową w stronę, z której przyszedłem. - Tylko o tej siedzibie wiem.

Świątynia. No jasne. Wręczyłem zaskoczonemu chłopakowi udko kurczaka, resztę wepchnąłem do plecaka i ruszyłem w stronę przybytku boga bohatera.

Budynek przypominał raczej glinianą chatkę, ale wewnątrz wyglądał dość interesująco. Ściany i sklepienie pokrywały w całości metalowe blaszki. Każdemu kawałkowi miedzi, żelaza, cyny lub brązu, który udało się zdobyć wyznawcom boga, nadawano kształt kwadratu lub trójkąta i za pomocą gliny przyczepiano do ścian. Wyznawcy, którzy nie mogli dostać metalu, przynosili świece lub proste gliniane lampki oliwne, które rozświetlały metalową mozaikę niczym gwiazdy. Wierni wierzyli, że Dolgar - biedny i skromny bóg bohater - pewnego dnia powróci i wykuje sobie nową zbroję, którą będzie nosił podczas wojen bogów.

Odnalazłem odzianego w brązową szatę kapłana, który właśnie zajmował się lampami, i spytałem go, czy jego zakon nie ma w okolicy pustelni.

- Czy pragniesz oddać swoje życie świętemu Dolgarowi?

- Jestem na rozstajach - odpowiedziałem. - Zawsze byłem samotnikiem, więc być może życie pustelnika by mi odpowiadało. Niedawno zacząłem się interesować Dolgarem i usłyszałem o braciach i ich dobrych czynach.

Mężczyzna był stary, jego skóra wyglądała jak wygarbowana, a głowę szpeciły plamy.

- Życie pustelnika nie jest łatwe. To służba, pozbawiona płochych przyjemności. Młodzieńcy tacy jak ty... wykształceni, jak słyszę... pewnie wiodą szczęśliwe i łatwe życie. Nie wiedzą, co to znaczy naprawdę pracować. - Najwyraźniej jego wzrok już szwankował.

Przez pierwszą godzinę jego wykładu, ostrzeżeń i pięciu setek pytań na temat moich przodków i ich bogów zachowywałem cierpliwość. W świątyni nie było wielkiego ruchu. Po dwóch godzinach zacząłem tęsknić za jakimś zaklęciem, które uciszyłoby go i odkryło przede mną jego tajemnice, nadal jednak nie chciałem wykorzystywać swoich umiejętności, by zmusić go do mówienia o tym, co mnie interesowało. Ale gdy minęła trzecia godzina, a on nie udzielił mi żadnej wskazówki na temat obecności jego braci, tylko zadawał kolejne pytania dotyczące dokładnego miejsca, dnia, godziny i minuty moich narodzin, żeby mógł zacząć jakieś astrologiczne dociekania, które pozwoliłyby mu określić, czy zdołam wyrzec się mięsa, kobiet, kąpieli i umiejętności czytania, by dołączyć do jego zakonu, pozbyłem się skrupułów. Zaprosiłem go do tawemy, byśmy tam dogłębnie omówili te kwestie. Trzymaliśmy się z dala od lokalu dobrego Feydora, lecz znaleźliśmy sobie miłe miejsce z beczułkami wystarczająco

pełnymi, by ugasić ogromne pragnienie człowieka, który umiał mówić przez siedem godzin i nic nie powiedzieć. Tam dowiedziałem się wreszcie tego, na czym mi zależało.

* *

Po nocy spędzonej na polu pszenicy, gdzie odsypiałem stanowczo zbyt wiele kufla ale i dwa dni wędrówki, wspiałem się kamienistą ścieżką do pustelni. Ponury budynek z szarego kamienia wznosił się na szczycie wzgórza, na którym rozciągały się terasowe ogrody. Choć na części działek nadal rosła mieszanka cebuli i ziemniaków, większość porastały cierniste krzewy i ostra trawa. Budynek był imponujący, dwupiętrowy, zbudowany z potężnych kamiennych bloków na planie litery U. Mimo grubego zewnętrznego muru, żelaznej brony i baszt nie był fortecą. Kamień zewnętrznych obwarowań skruszał, silne pnącza i chwasty wrastały w ścianę, a rozpadająca się zaprawa sprawiała, że spore kawały muru się zapadły.

Nikt nie przybył na dzwonek przy bramie. Po krótkiej chwili popchnąłem rdzewiejące wrota i wszedłem na zaniedbany dziedziniec, niegdyś wyłożony cegłą. Pomiedzy popękkanymi płytami swobodnie rosły chwasty. Na wewnętrznym murze zakwitały pnącza, lecz grządki z ziołami poprowadzone wzdłuż wewnętrznego dziedzińca i w krużgankach były zapuszczone, a zioła rosły w dzikich kępach.

- Halo! - zawołałem, stając obok kamiennej studni pośrodku dziedzińca. Nikt nie odpowiedział.

Nie widząc ani nie wyczuwając żadnych spojrzeń z okien otaczających dziedziniec, przeszedłem przez zaniedbane krużganki, otworzyłem główne drzwi i wszedłem do środka. Choć budynek był prosty i nieładny, jak zwykle miejsce odosobnienia, świecił wielkimi oknami, otwartymi na powietrze i niebieskie niebo południowego Manganaru. Ciężkie drewniane okiennice, w lepszym stanie niż zewnętrzny mur, mogły zostać zamknięte i zaryglowane, by chronić przed zimowym wiatrem, który przy nosił zimno znad rzeki i równin. W jednym z pomieszczeń znajdowały się dwa długie stoły z desek, do których przyciągnięto stołki, a na półkach na ścianach stały drewniane kubki i miski. Ale z haków na lampy zwisały się grube pajęczyny, a moje kroki odbijały się echem od kamiennej podłogi bez żadnej odpowiedzi. Budynek był opuszczony.

Podwójne drzwi na drugim końcu refektarza prowadziły do kuchni. Piece były zimne, a podniszczone stoły puste. Za refektarzem znalazłem jedno pomieszczenie, gdzie wytwarzano świece, i inne, gdzie garbowano skóry. Wśród martwych owadów i zwierzęcych

odchodów na stole walały się kawałki wosku i skóry, kleju i rzemienia. W kolejnym pokoju dużo miejsca zajmował długi stół z ciemnymi plamami, a na półkach stały popękane słoje. Z początku myślałem, że to sala kopistów i pisarzy, lecz kiedy przeciągnąłem palcem po plamach, nie poczułem inkaustu, lecz krew, ból i śmierć. Może to był pokój lekarza. Zaniepokojony, opuściłem parter i wspiąłem się po głównych schodach.

Na pierwszym piętrze w centralnym skrzydle znalazłem pięćdziesiąt małych pokoiów, w niektórych z nich na podłodze leżały jeszcze cienkie sienniki. Większość była pusta. Na drugim piętrze mieściła się sypialnia dzieci - dwie długie komnaty po obu stronach głównego korytarza. Duże, pełne powietrza pomieszczenia otwarte na poranne słońce. Pozostało jeszcze kilka małych, obszarpanych materacy. Podłogę pokrywała słoma, a przy ścianie dostrzegłem chybotliwy stolik, na którym mogła kiedyś stać miednica i dzban z wodą. W jednym z rogów znalazłem pogryzioną przez myszy lalkę, zrobioną z materiału wypchanego słomą. Ktoś namalował jej uśmiechniętą twarz. A na ścianach... Moje serce, ściśnięte z bólu, uśmiechnęło się, kiedy to zobaczyłem. Na długich, wewnętrznych ścianach widniały malunki wykonane węglem lub poczerńiałymi patykami - twarze i postaci z kresek, słońce, drzewa i niezgrabne konie, do tego setki odcisków palców. Stary kapłan zupełnie mnie ogłupił. Minęły lata, nie dni, od czasu gdy kapłani Dolgara troszczyli się tu o dzieci.

Zmęczony i pusty po jałowej podróży, stałem przez chwilę przy jednym z okien, które wychodziło na zielone przestrzenie Manganaru, pozwalając, by ciepły popołudniowy wiatr osuszył mój pot. Widok z pustelni był zadziwiający. Szerokie zakola rzeki Dursk migotały w blasku słońca. Rozległe, kwadratowe pola pszenicy rozciągały się po obu stronach rzeki aż do Yayapolu. Zaś tuż u stóp gór po lewej stronie biegła Cesarska Droga, szeroki, równy szlak prowadzący do Zhagadu w pustynnym sercu Azhakstanu i do bogatych centrów handlowych na wschodzie. Jeśli dzieci, które mieszkały w tym pokoju, nie korzystały z uroków świata, mogły go przynajmniej obserwować. Zgubiłem ślad. Żadne dzieci nie wracały do tego miejsca.

* *

Trzy dni później siedziałem samotnie na rozstajach dróg przy źródle, w cieniu długich liści drzewa nagera i popijając słodką, chłodną wodę, dumalem nad kwestiami pieniędzy, celu i tęsknoty.

Pieniądzy, ponieważ moich kilka zenarów już prawie się wyczerpało, a ich wydawanie uznałem za głupie, skoro i tak nie wiedziałem, gdzie mam się teraz udać. Kiedy wróciłem do świątyni, nie zastałem tam kapłana. Stara kobieta, która zajmowała się lampami, powiedziała mi, że nie mieli kapłana od dziesięciu lat - Dolgar nie był tak popularny jak nowi bogowie Derzhich. Kiedy wróciłem w uliczkę, nie znalazłem znaku białego sztyletu, karczma miała nowego właściciela, a ja przepytawszy każdego mieszkańca Yayapolu, który mógł wiedzieć coś o Dolgarze i jego wyznawcach, nie uzyskałem żadnych użytecznych informacji. Uznałem zatem, że mogę jedynie powrócić do Teryny i tam spróbować znaleźć trop. I dlatego wyruszyłem w drogę. Ale teraz, po zaledwie kilku ligach, straciłem zapał do podróży. Byłem pewien, że nie znajdę tam nikogo z tych, którzy skierowali mnie do kapłana.

A poza tym, nawet gdyby udało mi się odnaleźć syna, jakie życie mogłem mu dać? Kapłan to widział. Zajmowałem się wojną. Żyłem nią i oddychałem. Każdego dnia swojego życia wprawiałem się w zabijaniu. Jakież to był pokarm dla dziecka? Lepiej niech zostanie z niewykształconym kapłanem o dobrym sercu niż z człowiekiem, który chodził wśród demonów.

A bez pieniędzy i bez celu trudno było walczyć z tęsknotą. Mimo kar, jakie na mnie nałożono, tęskniłem za drzewami i zielenią, deszczem i cichymi dniami. Nie zamierzałem porzucać ojczyzny. Ezzariańscy Strażnicy rzadko opuszczali granice swojej krainy, nawet w minionych latach, gdy było nas więcej niż tylko ja. Nasze życia i nasza moc wiązały się z drzewami, wzgórzami i pracą, jaką tam wykonywaliśmy. Powinienem wrócić do domu i pomóc mojemu ludowi odkryć, co miało nadejść, czy tego chcieli, czy nie. Choć od czasu opuszczenia Col'Dyath nie śniłem, nadal nawiedzały mnie wspomnienia wszechogarniającej ciemności. Przekonywałem się, że muszę zgłębić księgi, szukać, spojrzeć w swoje wnętrze, nawet gdybym musiał się w tym celu poddać badaniom Caddoca. Bardzo niepokoiła mnie jednak świadomość, że nie umiem wyobrazić sobie siebie z powrotem w Ezzarii, jak pracuję w polu, poddaję się terapii Caddoca i mieszkam z kobietą, której wcale nie znałem. Sytuacja patowa.

I dlatego siedziałem przy źródle i popijałem wodę, przyglądając się, jak obszarpana, wychudzona rodzina złożona z trzech braci, ich żon i dzieci pakuje się z powrotem na wóz, by zacząć nowe życie na pograniczu. Żałowałem, że nie podzielam ich zwyczajnych nadziei i obaw.

Natchnienie porównuje się często do błyskawicy w umyśle, lecz odpowiedź na moje dylematy nigdy wcześniej nie nadeszła w tak dosłowny sposób. Gdy się pochylałem, by znów napełnić kubek w obrośniętej mchem sadzawce, w mojej głowie pojawił się obraz potwora -

istoty o długiej szyi, skórzastych skrzydłach i ziejącym ogniem pysku. Potwór nie był żywy ani przerażający, ale pochodził z legend Derzhich. Na moich wargach pojawił się uśmiech, gdy wyszeptałem słowa, który każdy podsłuchujący uznałby pewnie za dziwne.

- Gdzie jesteś, panie mój? I dlaczego po tak długim czasie chcesz mnie odnaleźć?

Kilka miesięcy po moim powrocie do Ezzarii doszły mnie wieści, że następca tronu Derzhich poślubił ognistą kobietę, która uratowała mu życie. Wysłałem Aleksandrowi prezent ślubny - niedużą jadeitową figurkę żyrbestii, mitycznego potwora z legend Derzhich. Choć się nie podpisałem i nie dołączyłem do posążka listu, byłem pewien, że Aleksander się domyśli, kto go przysłał, i że będzie musiał tylko go dotknąć i wypowiedzieć odpowiednie słowa, by wiedzieć, gdzie jestem. Nauczyłem go takich zaklęć, gdy uciekaliśmy z Capharny, a ten czar został związany z figurką. Nie wiedziałem, jak długo zajmie mu dotarcie do ustalonego miejsca, które wplotłem w zaklęcie, ale i tak nie miałem dokąd pójść. Dlatego ciesząc się z wydarzenia, które pozwalało mi przez jakiś czas nie podejmować poważniejszych decyzji, w ciągu pół godziny wyruszyłem na spotkanie z człowiekiem, który niegdyś kupił mnie za żalosne dwadzieścia zenarów.

* *

Miejsce, którego obraz wplotłem w zaklęcie żyrbestii, znajdowało się na dzikich pustkowiach południowo-zachodniego Manganaru, tuż za górską granicą z Ezzarią, zaledwie dwa dni drogi od mojego domu. Nie mogłem oczywiście wiedzieć, gdzie będzie przebywał Aleksander, jeśli kiedykolwiek wyzwoli zaklęcie, ale chciałem, żeby miejsce spotkania leżało niezbyt daleko od mojego miejsca pracy. Próbowałem wybrać okolicę z dala od szlaków, gdzie spotkanie księcia Derzhich i ezzariańskiego czarownika pozostanie niezauważone. I dlatego moje oko padło na samotne ruiny zwane przez nas Dasiet Homol, Miejscem Kolumn.

Dasiet Homol było kolejnym z miejsc pozostawionych przez starożytnych budowniczych. Na pozbawionym lasów pustkowiach, zbyt kamienistym, by cokolwiek tu uprawiać, zbyt suchym dla pasterzy, zbyt jałowym i ubogim w bogactwa naturalne, by przyciągnąć ludzi przedsiębiorczych, ten tajemniczy lud wznosił dwa proste, równoległe rzędy kolumn, ciągnące się przez ćwierć ligi. Kolumny były prostymi cylindrami z białego kamienia, lekko zwężonymi na szczycie, pozbawionymi ozdób z wyjątkiem kręgu znaków na wysokości oczu przeciętnego mężczyzny. Wszystkie znaki widniały na dokładnie tej samej wysokości na każdej z kolumn. Wszystkie pozostałe wartości wymierzono równie dokładnie.

Dwa rzędy kolumn dzieliło od siebie dokładnie tysiąc mezzitów - jakieś trzydzieści kroków, każda kolumna w rzędzie znajdowała się dokładnie dwa tysiące mezzitów za swoją poprzedniczką, i każda miała siedemset mezzitów wysokości. Rzędy prowadziły prosto z pomocy na południe, wspinając się przez niskie wzgórza i schodząc w płytkie doliny bez żadnej przerwy, z wyjątkiem kilku kolumn, które przewróciły się z powodu jakichś ruchów tektonicznych. Cała budowla była dziwna, wzniesiona z zupełnie niezrozumiałego powodu. Ezzariańscy uczeni przez lata próbowali pojąć tajemnicę Dasiet Homol, miesiącami kopiąc, mierząc i badając znaki. Zebrali opowieści i legendy Derzhich, Basrańczyków i innych pustynnych ludów, które już wymarły. Nikt jednak nie znalazł dowodów na istnienie w pobliżu miasta albo jakichś innych budynków. Nikt nigdy nie odkrył klucza do oznaczeń, które na każdej kolumnie wyglądały inaczej.

Każdego dnia oczekiwania na Aleksandra wspinałem się na wzgórza i przebiegałem przez pustkowia, by zachować siłę i szybkość, i zawsze wybierałem drogę między rzędami kolumn, zastanawiając się nad sensem ich istnienia i nad ludźmi, którzy je stworzyli. Zaprojektowanie, przetransportowanie i wzniesienie tak potężnej budowli, jak również tak dokładne jej zorientowanie na pewno nie było proste. Co ich do tego skłoniło? Czy wyczuli moc, jaka pulsowała w tym kawałku ziemi, podobnie jak w lasach Ezzarii? Jak w przypadku innych ruin pozostawionych przez tę rasę, i to miejsce wypełniała melydda. Czułem ją w cieniach, które skradały się po zboczach wzgórz, gdy słońce przesunęło się po niebie. Czułem ją w ciepłe kamienia, gdy opierałem się on po wielu godzinach biegania. Czułem ją w nieruchomych, majestatycznych kształtach rysujących się na tle gwiazd, gdy leżałem w nocy, i w szepcie wiatru, gdy przemykał się przez długi korytarz. Przeciągałem palcami po znakach i próbowałem pojąć ich znaczenie, choć wiedziałem, że historycy rozważali je przez setki lat i niczego nie od kryli. Dasiet Homol skrywała głęboka tajemnica.

Przez osiem dni czekałem - biegałem, spałem, polowałem na króliki i ptaki, by nie uszczuplać swoich zapasów, powtarzałem inkantacje i ćwiczenia umysłu. Powracając do dawno zapomnianych praktyk czasów młodości, wybudowałem krąg świętego ognia i klęczałem w nim jak Verdonne podczas długiej wojny między niebem a ziemią. Modliłem się do niej o mądrość, bym odnalazł drogę, i siłę, bym nią podążył, i prosiłem jej syna Valdisa, który usunął się na bok, by jego śmiertelna matka mogła zająć swoje prawowite miejsce na tronie niebios, by obdarzył mnie odrobiną łaski. To nie był czas rozpacz, szaleństwa ani przeszywającego bólu, jak miesiące spędzone w Col'Dyath. To był czas „pomiędzy”. Pomiędzy życiem. Pomiędzy przerażeniem. Pomiędzy smutkiem. Może pustelnicstwo

rzeczywiście było moim powołaniem? W tych dniach nie czułem się związany z żadnym człowiekiem. Żyłem jedynie dla powietrza i nieba, gwiazd i snów.

I tak, kiedy zapadła noc, znów śniłem o zamrożonym zamku i świetlnych upiorach, które w nim mieszkały, i o ciemności skradającej się przez tę ponurą krainę. Tym razem nie miałem gorączki. Kazałem sobie o tym śnić. Musiałem zrozumieć. W ciszy tej dzikiej krainy otworzyłem się na omamy, a gdy słuchałem, we śnie zaczął nabierać kształtu głos - głos pełen poczucia humoru. *Nadchodzi burza, szeptał. Dni stają się coraz krótsze. Zobaczmy trochę tego świata, ty i ja, zanim upadnie?* Nie wiedziałem, jak mu odpowiedzieć, ani co rzec, gdybym wiedział, jak się z nim porozumieć.

Niemal żałowałem, gdy ósmego wieczora, tuż po zachodzie słońca, usłyszałem tętent kopyt. Jednak myśl o Aleksandrze i wybuchu życia, jaki ze sobą niósł, ogrzała moją zamrożoną krew, a im bardziej się zbliżał, tym bardziej byłem gotów pozostawić za sobą czas rozmyślań i dowiedzieć się, co mi przynosił.

Rozdział 9

Usiadłem na szczycie wzgórza niedaleko środkowej pary kolumn i obserwowałem, jak konni rozbijają obóz niedaleko źródła wypływającego przy kępie karłowatych wierzb. Na tle ognisk przesuwały się ciemne sylwetki, a niskie głosy żołnierzy przygotowujących się do nocnego odpoczynku niosły się po zboczu. Było może dziesięciu jeźdźców. Nie spodziewałem się przecież, że księżę Derzhich wyruszy w drogę sam.

Napuchnięty księżyc wisiał nisko nad wschodnim horyzontem, gdy usłyszałem kroki zbliżające się do szczytu wzgórza. Jeden mężczyzna. Nic nie powiedział, a cienie rzucone przez kolumny skrywały jego twarz, lecz rozpoznałem tę sylwetkę - wysoki, szczupły, równie zwinny, potężny i niebezpieczny jak shengar. Aby przygotować księcia na przyjęcie władcy demonów, Khelidowie rzucili na niego potężne zaklęcie. Czasami - pod wpływem impulsu lub przypadkowo - zmieniał się w zwierzę, shengara właśnie. Niemal go to zniszczyło. Khelidowie i ich demony doskonale wybrali przekleństwo. Choć Aleksander już dawno pozbył się zaklęcia, nadal bardziej przypominał górskiego kota niż jakieś większe i na pierwszy rzut oka bardziej dzikie stworzenie. Zatrzymał się na chwilę, być może po to, by podziwiać długie rzędy kamienia rozciągające się po obu stronach, być może licząc je, by wiedzieć, gdzie mnie odnaleźć. Nie należał do tych, którzy się wahali. Nie do tych, którzy by się zatrzymali, obawiając tego, co może kryć się w mroku, lub podziwiali wspaniałość tak niezwykłego zabytku. Gdy jednak księżyc wzniósł się za moimi plecami, ujrzałem błysk stali w jego dłoni. Zaskoczyło mnie to.

- Kogo się spodziewałeś na końcu smyczy żyrbestii, panie? - Stałem tak, by mógł zobaczyć moją sylwetkę na tle wschodzącego księżyca, i szeroko rozłożyłem ręce.

- Czy nauka ostrożności to dla króla najtrudniejsza lekcja, czy tylko najbardziej bolesna? - spytał.

- Myślę, że niektóre lekcje są i trudniejsze, i bardziej bolesne niż ta, choć to ciekawy temat, którego nie należy przemilczać.

Podszedł bliżej, lecz pozostał poza rzędem kolumn i przesunął się na bok, zmuszając mnie, bym się do niego obrócił, a światło księżyca padło na moją twarz. Nie spodziewałem się takiej podejrzliwości.

- Jesteś sam?

- Zgadza się. Nie sprowadziłem ci na powitanie hordy spragnionych zemsty Ezzarian ani nawet jednego demona - odparłem.

- Oczywiście, że nie. - Roześmiał się i schował miecz, nie był to jednak ten sam spokojny śmiech, którym rzucał wyzwanie władcy demonów. Książę zachował czujność.

Podszedł bliżej, by spotkać się ze mną między kolumnami. Kiedy znalazł się kilka kroków ode mnie, opadłem na jedno kolano.

- To zaszczyt i przyjemność znów cię widzieć, mój panie. - Nie umiałem podziękować mu za to, że zwrócił mi Ezzarię. Żadne słowa nie oddałyby tego, co wówczas czułem. Poza tym, chyba tego nie oczekiwał. Tak wiele zawdzięczaliśmy sobie nawzajem, że nie potrafiliśmy tego rozwikłać.

Położył mi dłoń na ramieniu i zachęcił, żebym podniósł się z klęczek. Uśmiechając się już bardziej znajomo, zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Na rogi Druyi, wyglądasz, jakby twoje życie znalazło się w tak samo opłakanym stanie jak moje. Myślałem, że przy naszym kolejnym spotkaniu będziemy wyglądać lepiej niż książę, który omal nie stracił głowy, i były niewolnik, który właśnie został uwolniony od najbardziej aroganckiego i upartego pana w całym cesarstwie.

Aleksander zawsze był spostrzegawczy i trafnie ocenił samego siebie. Zawsze jednak niepokoił mnie fakt, że ktoś pozbawiony nawet odrobiny melyddy potrafi tak łatwo się domyślić, że dręczą mnie jakieś problemy. Nie miałem zamiaru opowiadać mu o swoich kłopotach. Jeśli chodzi o Aleksandra, światło księżyca potwierdzało to, co sugerowały jego słowa. Zbyt często patrzył ostatnio na śmierć i brakowało mu snu.

- Nie widzę na tobie krwi i masz wszystkie kończyny - rzekłem. - Mogło być gorzej. - Dopiero po ośmiu dniach jasnego myślenia zdołałem w to uwierzyć.

Książę skinał głową.

- Przejdźmy się. Muszę się rozruszać. Jutro jedziemy do Kuvaiu. - Nigdy nie potrafił usiedzieć bez ruchu. Szedł przez pasma księży cowego blasku, które przeszywały noc między kolumnami. Cisza wisiała między nami jak ciężka zasłona, a ja zastanawiałem się, co go tak martwi.

- Mam nadzieję, że twoja małżonka miewa się dobrze, panie.

- Smoczyca? Uparta jak zawsze. Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, rozbiła trzy lampy i niemal podpaliła komnatę, ponieważ nie chciałem wysłuchać planu udostępnienia dóbr lennych dzierżawcom. Przez sześć tygodni bez przerwy siedziałem w siodle, nawet jednej nocy nie spędziłem z kobietą, codziennie rozwiązywałem jakiś kolejny głupi,

bezsensowny, krwawy konflikt, a ona wita mnie godzinnym wykładem na temat „wykorzystywania ziemi leżącej odłogiem” i „pozwolenia, by ubodzy nakarmili lud, skoro właścicielom ziemskim na tym nie zależy”.

- To chyba rozsądny plan.

- Ten przekłety pomysł jest błyskotliwy... oczywiście, że tak. - Aleksander potrząsnął głową i roześmiał się, wyraźnie zmęczony. - To najwspanialsza kobieta w całym cesarstwie. I tak, powiedziałem jej o tym, i pewnie teraz już zdążyła zasiać i zebrać pięć plonów, tak dawno już jej nie widziałem. W Zhagadzie krążą plotki, że wezmę sobie inną żonę, bo jeszcze nie dochowaliśmy się potomka, ale przez te dwa lata nie miałem okazji przespać z nią trzech kolejnych nocy. Lydia mówi, że równie dobrze mógłby ją zapłodnić wiatr.

Na to nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

- A co z twójką królową... czy już wszystko sobie wyjaśniliście?

- Nie mogę...

- Ach tak, wy wstydlivi Ezzarianie. Powinieneś zasłonić twarz, jeśli nie chcesz wyjawiać prawdy. Chyba nie wszystko poszło tak, jak miałeś nadzieję.

Gdy minęliśmy kolejną kolumnę, znów zamilkł, a ja postanowiłem, że nie będę się dłużej ociągać.

- Dlaczego mnie tu wezwalesz, panie? Choć bardzo cieszy mnie twój widok, nie sądzę, by chodziło ci tylko o wymianę rodzinnych ploteczek, nawet tak zajmujących.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie; mógłbym przysiąc, że jego bursztynowe oczy kryły w sobie przenikliwość Strażnika, tak dokładnie mi się przyglądał.

- Musiałem cię zobaczyć i usłyszeć. Ocenic. Sprawdzić, czy to, co pamiętałem, to prawda, czy też tylko wspomnienie pijackich snów z odległej młodości. Zobaczyć, czy nie zostałem oszukany.

Między kolumnami zawył wiatr.

- I co widzisz?

- Jesteś tym człowiekiem, którego znam. Co oznacza, że mój problem niełatwo będzie rozwiązać.

- Wyjaśnisz mi to?

Znów zaczął się przechadzać.

- Kiedy pozbyliśmy się Khelidów, pomyślałem, że znów wszystko wróci do normalności. Że będę miał trochę czasu, by zastanowić się nad tym, co muszę i co chcę robić... w przyszłości. Kiedy nadejdzie czas. Ale mój ojciec był poruszony... naprawdę poruszony... tym, co wydarzyło się przed dwoma laty. Jak został oszukany przez Kastavana.

Jak blisko katastrofy się znaleźliśmy. Nie ma już serca do rządzenia. I dobrze. Nie jestem już dzieckiem. Wiem, jak zachowywać pozory i trzymać język za zębami, i nikt nie waży się kwestionować, gdy mówię „ojciec powiedział mi, że” albo „cesarz mi nakazał”. Przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Podróżowałem po cesarstwie i upewniałem się, że wszyscy wiedzą, iż rzeczywiście jestem głosem mojego ojca, jak to obwieszczono podczas mojego namaszczenia. - Przyspieszył kroku. - Ale wkrótce jakby każdy szlachetny ród cesarstwa dowiedział się o słabości ojca i uznał, że pora wyrwać coś dla siebie. Szlachta zaczęła najeżdżać na ziemie swoich sąsiadów, walczyć o granice, które ustalono wiele lat temu, gwałcić porozumienia handlowe, na których korzystali wszyscy, wołać wojny handlowe, na których nie korzysta nikt, kraść konie, porywać dzieci w zamian za ustępstwa. Bez przerwy się kłócili, bez przerwy przelewali krew. Jakbyśmy cofnęliśmy się o pięćset lat. Podczas letniego Dar Heged trzech arystokratów zginęło w pojedynkach, a jeden baron tak otwarcie mi się przeciwstawiał, że musiałem go wygnąć. Potem pięć rodzin odmówiło przybycia na zimowy Dar Heged.

Czyli to ciężar cesarstwa spoczywał na jego barkach i kładł się kamieniem na sercu.

- Nie pozwalają, by ich konflikty rozwiązywał cesarz... albo ty?

- Jedynie kiedy przybywam z wojskiem i mieczem. Muszę odciągać ich od siebie i zmuszać, by znów zaczęli ze sobą rozmawiać i zobaczyli swoją głupotę. Czasami nawet wtedy nie słuchają. - Aleksander zatrzymał się i oparł się o jedną z kolumn. - Ale z tym bym sobie poradził. Większość z nich odzyskuje rozum, gdy pokażę, że nie boję się widoku krwi. Ich ani swojej. Wobec niepewnej sytuacji, gdy panuje niemal niewidzialny cesarz, który wysługuje się młodym dziedzicem, ferment w granicach państwa nie powinien dziwić. Jeśli nic się nie zmieni, a ja będę działać szybko, uda mi się zapobiec rozpadowi... - Ale...Pojawił się kolejny czynnik. - Znów się we mnie wpatrzył. - Po wiedz mi, Seyonne, co wiesz o Yvorze Lukashu?

- Nic. A co to? - Słowa pochodziły z jakiegoś zapomnianego dialektu Manganaru.

- Podobno to imię oznacza „miecz światła” albo coś w tym rodzaju. - Ruszył dalej. - Ten, którego tak nazywają, i jego wyznawcy, tkwią w moim boku niczym cierń. Wyobraź sobie, że ów człowiek postanowił sam jeden w ciągu jednej nocy naprawić całe zło cesarstwa. Chce oddawać ziarno tym, którzy nie mogą sobie na nie pozwolić, odebrać hegedom Derzhich prawo sądu i oddać je miejscowym, zmienić prawa, które mu się nie podobają, ustalić nowe zasady terminów... uwolnić niewolników. Doradcy mojego ojca żądają, bym zmiotł go z powierzchni ziemi. Bydlak cieszy się wśród ludu ogromnym poparciem... jak można się tego spodziewać. Ale przez dłuższy czas nie był wart mojego zainteresowania. Nie

mam nic przeciwko większości haseł, które głosi, a metody ich realizacji wybierał dość łagodne. Ukradł parę sztuk bydła i owiec, uwolnił paru więźniów, naruszał prywatny teren i drażnił miejscowych właścicieli ziemskich, którzy źle się zachowali... Mimo tego, co ty i moja żona o mnie myślicie, nie pragnę, by ludzie ginęli z głodu. Ale w ostatnich miesiącach wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli. Atakuje wozy poborców podatkowych. Pali domy. Porywa arystokratów i uprowadza karawany kupców. Drogi nie są już bezpieczne.

Książę zatrzymał się na szczycie poszarpanego wzgórza, tuż za ostatnią parą kolumn na pomocnym końcu Dasiet Homol. Ręce zaplótł na piersi, w blasku księżyca jego twarz była czerwona. - Nie pozwolę na to. - Derzhi szczycili się swoimi drogami i bezpiecznym handlem, który sięgał po najdalsze krańce cesarstwa... nawet jeśli to bogactwo nigdy nie stawało się udziałem ich poddanych.

Ale Aleksander jeszcze nie skończył.

- Co gorsza - podjął - on i jego ludzie jakby znali najbardziej bolesne rany cesarstwa, jątrzyli je i potęgowali. Za każdym razem, kiedy uda mi się załagodzić jeden ze sporów między hegedami, pojawia się ten Yvor Lukash i znów je podsyca. Wiem, że istnieje zło, które należy naprawić... codziennie czuję na sobie twój wzrok... ale jak mam przekonać swoich baronów, że nad wszystkim panuję, skoro nie potrafię powstrzymać tego robactwa przed zakłócaniem spokojnego handlu i podróży? Nie mogę odpowiedzieć na ich apele, póki w cesarstwie panuje chaos.

- Czy to prawda, że straciliście Karn'Hegeth i Basran?

- Trzema prowincjami, w tym Karn'Hegeth i połową Basranu, rządzą teraz baronowie, którzy ogłosili, że nie są już poddanymi cesarstwa. Ich pola zostały spalone. Ich karawany ograbione. Handlarze omijają ich tereny z obawy przed bandytami. Duszą się, ale jeśli nie uda mi się powstrzymać ataków Yvora Lukasha i jego zbójów, będę ich musiał siłą wcielić z powrotem do cesarstwa i rozpętać wojnę domową, zabijać własny lud. A to są jedne z najstarszych, najbardziej lojalnych rodów... związane sojuszem z naszą rodziną od setek lat. Jeśli nie utrzymam ich w naszych szeregach...

Nadal nie rozumiałem. Aleksander wiedział, że nigdy nie pragnąłem utrwalenia dominacji Derzhich.

- Czemu przybyłeś z tym do mnie, panie? Sprawy takie jak ta wykraczają poza...

- Ponieważ myślałem, że to ty.

Przeszedł mnie dreszcz, choć wiatr, który szumiał między kolumnami i wznosił się po zboczu wzgórza, nadal niósł ze sobą ciepło dnia. Otworzyłem usta, by zaprzeczyć, lecz książę uniósł dłoń.

- Posłuchaj, jak jeńcy i świadkowie opisują tego Yvora Lukasha. Jest nieco wyższy niż przeciętny mężczyzna i szczupły, lecz jednocześnie wystarczająco silny, by pokonać wołu, a porusza się szybciej niż błyskawica. Ma ciemne proste włosy, czerwonozłocistą skórę, głęboko osadzone czarne oczy, spoglądające pod innym kątem niż u większości ludzi. Wzrokiem może unieruchomić człowieka. Jego miecz jest wszędzie. Widzi rzeczy, zanim się wydarzą. W ciszy słyszy uderzenie serca. Słucha płaczu ubogich i zna ludzkie dusze. Odbiera bez litości i szczerze rozdaje. Może zniknąć ci nagle z oczu i przebywać wielkie odległości w tak krótkim czasie, jakby miał skrzydła.

- Przysięgam ci, panie...

- Rozumiesz, dlaczego musiałem przybyć. Żeby samemu się przekonać. - Potrząsnął głową, a jego złoty kolczyk i ozdoby w warkoczu wojownika zabłyśły w blasku księżyca. - Miałem nadzieję, że to nie ty. A jednak najprościej by było, gdybyś okazał się tym łotrem, a ja bym cię przekonał, żebyś zaprzestał działań. Nie mogłem uwierzyć, że chciałeś mnie zniszczyć. Ale jeśli to nie ty, to pozostał mi...

- Mości książę! Uważajcie! Szpiedzy! - Na wzgórze wspięły się trzy ciemne kształty z wyciągniętymi mieczami. Wojownicy Derzhich. Dwóch ustawiło się między księciem a mną, zaś trzeci odciągnął mnie od Aleksandra i popchnął na ziemię, przyciskając mi but do szyi. Udało mi się przekręcić głowę, by ujrzeć, jak dwaj kolejni żołnierze rzucają coś na trawę i kamienie u jego stóp.

- To Ezzarianin, panie. Znaleźliśmy go kryjącego się u stóp wzgórza. Kiedy go złapaliśmy, wypuścił w tę stronę strzałę. Myślmy, że to jeden z tych przeklętych banitów.

Więzień splunął.

- Gdybym celowała w niego, możecie być pewni, że bym go trafiła. Moje życie nabrałoby sensu, bo rozlałabym przeklętą krew władcy Derzhich.

Uderzyłem czołem w ziemię i zacząłem przeklinać tak siarczyście, że wszyscy się uciszeli. Co za absurd! To była Fiona.

* *

- Wyznaczyli kobietę.... tę chudą dziewczuchę... żeby cię obserwowała? Oceniała twoje postępowanie, jakbyś był giermkim czy akolitą w świątyni Athosa, który nie potrafi sobie nawet podetrzeć tyłka? Nie wierzę w to.

Oburzenie Aleksandra mi pochlebiało, ale też napawało niepokojem. Nie byłoby mądre przypominać mu o jego własnych obawach, rozwianych dopiero przed chwilą. Bez wątpienia ożyły na te kilka chwil, zanim udało mi się uspokoić na tyle, by wyjaśnić, że Fiona nie stanowi zagrożenia dla niego, lecz dla mnie. Wyznałem, że wśród mojego ludu są tacy, którzy nadal mi nie ufają, że popełniłem kilka błędów podczas spotkań z demonami i zakazano mi walczyć. Tylko tyle, by wyjaśnić, dlaczego nie wiedziałem, że dziewczyna mnie śledzi, i dlaczego uznała za słuszne podążyć za mną na prywatne spotkanie.

- Nie musisz się tym martwić, panie. - Równie dobrze mógłbym próbować uspokoić shengara ciasteczkami. Najwyraźniej jeszcze nie pokonał swojego temperamentu. Spacerował przed ogniskiem żołnierzy, jakby przygotowywał się do walki z moimi rodakami, którzy uznali mnie za niegodnego walk z demonami.

- Czy widzieli, kim jesteś? Czy wiedzą, co zrobiłeś wewnątrz mnie, jak przez wiele dni walczyłeś z władcą demonów, choć nie pozostała ci już kropla krwi? Na jaja Athosa... powinienem im opowiedzieć, jak to było. - Zatrzymał się i spojrzał z góry na nadąsaną Fionę, która leżała związana w kręgu światła. - A może powiesimy tę dziewczę i usuniemy ją z drogi? W oficjalnej wersji i pożre ją shengar.

- Nie, panie. Ta sprawa należy wyłącznie do moich rodaków. Choć doceniam twoją propozycję. - Stłumiłem uśmiech. Jego złośliwość sprawiała mi satysfakcję.

- Już powinna być martwa. Sovari wybito swoich ludzi za to, że pozwolili skrytobójcy oddychać po tym, jak do mnie strzelił.

- Nie strzelała do ciebie. Mimo swoich wad Fiona jest niezmiernie uczciwa. - Upierała się, że celowała do królika, i dwaj żołnierze ruszyli na poszukiwanie dowodu. Znajdą go, nie dlatego, że wymierzyła aż tak dobrze, jak utrzymywała, ale ponieważ całe miasto w Kuvaiu zostało kiedyś spalone, gdyż jeden z jego mieszkańców wypuścił strzałę w stronę księcia Derzhich. Nie chciałem, żeby to przytrafiło się Ezzarii. - Niech złoży ci przysięgę, a wtedy puść ją wolno. Wezmę na siebie odpowiedzialność za jej zachowanie. Proszę, panie.

- Wolałbym, żebyś o to nie prosił. Nie teraz kiedy widzę, co ci ludzie ci zrobili. - Aleksander jeszcze raz westchnął z oburzeniem i zostawił nas samych. Poszedł sprawdzić, co zajmuje żołnierzom tyle czasu.

Kiedy zniknął nam z oczu, Fiona przerwała milczenie.

- Jak śmiesz bronić mnie przed tym krwiożerczym barbarzyńcą?!

- Ciekawe, że Derzhi to nas nazywają barbarzyńcami. - Ukląknęłam przy niej i rozluźniłam sznury, które okrutnie wrzynały się jej w chude ręce. Fiona nie miała zamiaru marnować melyddy, by nieco poprawić ten stan. - To, co powiedział, jest prawdą. Masz

szczęście, że nie rozcięli ci brzucha i nie powiesili za jelita z powodu głupoty. Może los ci sprzyja, bo w okolicy nie ma wystarczająco wysokiego drzewa.

- A jednak nazywasz go przyjacielem i mówisz do niego „panie”. To obrzydliwe.

- Skoro upierasz się, by słuchać tego, co nie powinno cię obchodzić, radziłbym ci nieco szerzej otworzyć oczy i uszy. Mogłabyś się czegoś nauczyć. Na tym świecie są cuda, których nie pojmujesz ani ty, ani twoi mentorzy.

- Cudem jest Ezzarianin płaszczący się przed Derzhim.

- Nie masz pojęcia, co znaczy słowo „płaszczyc się”, Fiono. W dodatku nie wiesz też nic o szacunku, choć radziłbym ci się na niego zdobyć. Książę cię nie skrzywdzi... ponieważ go o to prosiłem... ale jego ludzie nie okażą takiej wielkoduszności, jeśli usłyszą twoje obelgi. Dziecinny zachowaniem poniżasz siebie i wszystkich Ezzarian. Co chcesz przez to osiągnąć?

- Równie dobrze możesz mnie zabić, bo zgłoszę Radzie tyle uchybień, jakich się dopuściłeś, że bezpowrotnie uznają cię za szalonego.

- Szaleniec? Tak cię nazwali? - Aleksander stanął mi za plecami, a ja przekląłem siebie i Fionę, że nie umieliśmy zachować ostrożności i powiedzieliśmy zbyt wiele.

Książę rzucił dużego królika, z piersią przebitą strzałą, na ziemię przed Fioną. Spojrzała na mnie, a ja miałem nadzieję, że jest wystarczająco bystra, by się zamknąć. Podtrzymywanie iluzji podczas rozmowy nie należy do zadań prostych. Ufałem słowu Aleksandra, ale nie jego humorom. Zwłaszcza teraz gdy żył w takim napięciu.

- Ja... jak wszyscy szaleńcy... twierdzą, że się mylą. Aleksander gestem kazał jednemu ze swoich ludzi rozwiązać Fionę, lecz ja machnięciem ręki odesłałem żołnierza i zrobiłem to sam. Ezzarianie nie lubią, gdy dotykają ich obcy. Podałem jej iluzorycznego królika, a ona odrzuciła go daleko w noc. Miałem nadzieję, że żaden z żołnierzy nie zacznie go znowu szukać. Nie miałem ochoty podtrzymywać iluzji na tyle długo, by mogli go ugotować i zjeść.

Uwolniona Fiona chciała odejść, lecz wtedy poznała smak złości księcia. Aleksander chwycił ją za ramię i popchnął z powrotem na ziemię.

- Jeśli choć ruszysz palcem, każę cię związać jak gęś, moja pani. Nie myśl, że skoro zrobiłem to, o co prosił mnie Seyonne, nie każę ci odpowiedzieć za bezczelność. Na razie masz siedzieć tutaj, na widoku. A na wypadek gdybyś próbowała zakłębć, ostrzegam, że mam silne ręce, szybkie nogi i paskudny charakter.

Nie chciało mi się nawet zapewniać Aleksandra, że Fiona nie odejdzie daleko. Przynajmniej póki ja jestem w okolicy.

* *

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego, prawda? - spytał księżę, po tym jak po kilku gestach jego dłoni usiedliśmy przy ognisku, a nasze brzuchy wypełniły pieczone kuropatwy, wino, daktyle, figi i chleb. Jego ludzie starannie oddalili się poza zasięg naszych głosów i zawinęli się w koce lub w milczeniu zaczęli pełnić straż w blasku księżyca.

- Nie.

Westchnął i rozciągnął się na ziemi.

- W sumie czego się spodziewałem? Skoro nie robiłeś tego, kiedy byłeś moim niewolnikiem, pewnie nie zmieni się to teraz, gdy jesteś wolny. - Przetoczył się na bok i oparł głowę na dłoń. - Ale teraz łatwiej mi będzie poprosić cię o to, o co zamierzałem, gdy tak niegrzecznie nam przerwano. Skoro twój lud nie ma z ciebie pożytku, może zastanowisz się nad moją propozycją.

- A brzmi ona?

- Chcę, żebyś pomógł mi powstrzymać Yvora Lukasha.

- Mimo tego, co myślisz, on nie może być Ezzarianinem. - Na plecach czułem pełne dezaprobaty spojrzenie Fiony, niczym promienie słońca w południe na pustyni. - My tak nie postępujemy. Naprawiamy zło umysłu i duszy, zgadza się. Ale sprawy tego świata... rozlew krwi, porwania... to wszystko postrzegalibyśmy jako zepsucie. Pamiętaj, że traktowano mnie jak martwego, gdyż zostałem pojmany w niewolę, choć przecież nie było w tym mojej winy. Chyba nie podejrzewasz, że ci sami ludzie, którzy mnie potępili, wybaczyliby takie uczynki komuś innemu. Ezzarianie poświęcili walce wiele tysięcy lat, ale nie na tym polegają nasze metody.

- Jest czarnoksiężnikiem. Co do tego nie ma wątpliwości.

- Jest sprytnym, utalentowanym rozbójnikiem. To nie to samo.

- Ale opowieści...

- Przekazywali je ci, którzy chcą w niego wierzyć. Ci, którzy pragną myśleć, że jego obietnice mogą się ziścić. Będą mówić o tobie w taki sam sposób, jeśli zmienisz świat tak, jak sobie postanowiłeś.

Aleksander przetoczył się znów na plecy i zaczął się śmiać. Tym razem brzmiało to szczerze.

- Ech, na światło Athosa, Seyonne. Gdybyż w cesarstwie znalazła się jeszcze jedna osoba, która tak we mnie wierzy. Lydia nazywa mnie najbardziej upartym człowiekiem, który

kiedykolwiek jeździł po pustyniach Azhakstanu, lecz w tym nie dorównuję tobie. Nadal biegasz?

- Muszę utrzymywać formę.

- Ostatnim razem kiedy się ścigaliśmy, przechodziłem rekonwalescencję. Minęły raptem dwa tygodnie od chwili, kiedy trafiono mnie włócznią w brzuch.

- A mnie Derzhi głodzili przez szesnaście lat.

- Przebiegnę od jednego do drugiego końca tych ruin, zanim uda ci się zwlec z ziemi te twoje żalosne ezzariańskie członki.

- Z całym szacunkiem, ale się nie zgadzam.

Fiona pewnie uznała, że obaj postradaliśmy rozum. Aleksander ściągnął buty i rzucił w nią nimi, po czym obaj ruszyliśmy biegiem, najpierw do południowego krańca rzędu kolumn, później po łagodnie wznoszącej się i opadającej ziemi między nimi. Jego długie, rytmiczne kroki równoważyły moją lekkość i szybkość, gdy biegliśmy wśród rozmywających się filarów, ramię w ramię, aż dotarliśmy do ich północnego krańca i ruszyliśmy z powrotem do obozu. Wtedy zostawiłem go w tyle i siedziałem już spokojnie przy ogniu, zanim opadł na ziemię u mego boku.

- Na światłość Athosa. Za dużo czasu spędzam w siodle.

- Dobrze znów cię widzieć, panie - powiedziałem. - I znów słyszeć twoje żalosne usprawiedliwienia.

Wyszczrzył się do mnie w uśmiechu, poklepał po plecach i poczłapał do namiotu.

Ja zaś, nie spojrzawszy nawet na wstrząśniętą Fionę, zawinąłem się w koc, który dla mnie przygotowano, i spałem lepiej niż w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Rozdział 10

Wąska, wypełniona mgłą dolina doskonale nadawała się na kryjówkę bandytów. Między bystrą rzeczkę, otaczające ją drzewa, a strome zbocza wciśnięto cztery nędzne chaty. Nad głównym wejściem do kotliny wznosiły się urwiska, przez co łatwo było jej strzec, a do tego otaczał ją labirynt jarów przecinających wzgórze Kuvaiu. Poza tym do doliny wiodła stroma ścieżka na północnym krańcu urwiska, co stwarzało możliwość ucieczki. Dróżka ta prowadziła do skalistego serca gór i była tak kręta, że tylko orzeł zdołałby pojąć jej przebieg. Okolica była bezpieczna przed wścibskimi spojrzeniami... chyba że należały do czarownika, którego od piątego roku życia szkolono w dostrzeganiu rzeczy, których nie widzieli inni.

- Nie ma ich więcej niż dwudziestu - wyszeptalem do Aleksandra, który leżał obok mnie na skalnym występie i wpatrywał się w nierówną szarość. - Pięciu łuczników ukrytych za tymi skałami tuż przy wejściu do doliny... trzech po lewej, dwóch po prawej. Razem ze strażnikami trzymającymi wartę na zewnątrz ośmiu. Szóstka, która dopiero przybyła, jeszcze zajmuje się końmi, głęboko wśród drzew na północnym końcu doliny. Trzej jeźdźcy są ranni. - Czułem w powietrzu zapach krwi i bólu. - Dwaj wyszli z największego domu, by się z nimi spotkać. Oni...

Chciałem powiedzieć, że jeden z tych dwóch był człowiekiem, którego mieliśmy odnaleźć, Yvorem Lukashem, „mieczem światła”, przywódcą banitów. Nie mogłem jednak wyjaśnić, dlaczego tak myślałem, bo czułem wyraźniejszą obecność w miejscu, gdzie stał mężczyzna. Nie podpowiadały mi tego zmysły. Czy chodziło o doświadczenie? O to, czego się spodziewałem? Nie powinienem przecież zakładać, że wygląd lub moje oczekiwania zawsze są zgodne z prawdą. Szczerze mówiąc podczas walk z demonami rzadko się tak zdarzało. Ale rym razem czekało nas starcie z ludźmi, więc być może tu ludzki instynkt bardziej się przydawał.

- Wśród drzew na południowym zachodzie jest jeszcze jeden człowiek... chyba poszedł sobie ulżyć. W drugim domu ktoś śpi. W dwóch mniejszych nie ma nikogo.

- A niech cię! Powiniennem cię zabierać na każdą wyprawę - wyszeptał księżę. - W ciągu miesiąca wyczyścilibyśmy wszystkie ich kryjówki.

- Panie, obiecałeś.

- Tak, tak. Przyszedłem tu porozmawiać i mam unikać rozlewu krwi. Jesteś pewien, że nie pójdziesz z nami?

Potrząsnąłem głową.

- Nie mogę. - Mnie czekały bitwy innego rodzaju, więc nie chciałem niczego komplikować. - Będę ci towarzyszyć dopiero, gdy zdecydujesz się z nim porozmawiać.

* *

Omówiliśmy wszystko dokładnie podczas jazdy na wschód, gdy ominęliśmy Yayapol i spotkaliśmy się z większym oddziałem Aleksandra, około pięćdziesięcioma wojownikami Derzhich, którzy rozbili obóz u stóp tych zielonych wzgórz. Aleksander dowiedział się od jednego z więźniów, że Yvor Lukash założył leże w dolinach Kuvaiu, daleko od większych miast, wśród ludzi znanych bardziej z wyrobu lutni i pięknego głosu niż umiejętności bojowych.

Powiedziałem księciu, że ci, którzy pragną uwolnić niewolników i naprawić niesprawiedliwość, nie są moimi wrogami. Nie podniosę przeciw nim miecza ani nie rozleję ich krwi. Ale zgodziłem się pomóc mu przeciwko tym, którzy podkopują jego wysiłki w drodze do zaprowadzenia pokoju... i moje nadzieje, że jego przeznaczeniem jest zostać władcą, jakiego nie znała historia tego okropnego świata. Obiecał, że podejmie z powstańcami rozmowy, zanim zdecyduje się na rozlew krwi, co dla każdego Derzhiego stanowiło nie lada ustępstwo.

Fiona przez całą drogę się dąsała. Aleksander nakazał, by przywiązano jej ręce do siodła, a wodze jej konia przekazano strażnikowi. Nie wiem, czy Fiona pojęła zamierzoną obelgę - tylko najbardziej niebezpiecznym więźniom i najniższym, najbardziej pogardzanym spośród ludzi nie pozwalano panować nad własnym wierzchowcem. Ale z pewnością rozumiała szydercze spojrzenia żołnierzy skierowane na jej męskie ubranie i ich pogardliwy śmiech. Mogłaby przerwać więzy melyddą, ale nie zniżyła się do tego. Melydda służyła do walki z demonami. Jej chłód mógłby zmrozić dżungle Thridu.

Po pierwszym dniu poprosiłem Aleksandra, by pozwolił jej jechać z nami, zamiast w otoczeniu gapiących się strażników.

- Doceniam twoje próby, by mi pomóc, panie, ale mam nadzieję, że w swoim czasie uda mi się samemu rozwiązać własne problemy, a warto byłoby wtedy mieć świadka, że nie udałem się paktować z rai-kirah.

- Chciałbyś, żeby podsłuchiwała nasze rozmowy?

Poczułem, że się rumienię.

- I tak pewnie to robi.

- Potrafi? - Niespokojnie obejrzał się przez ramię.

- Umie robić wiele rzeczy, między innymi słuchać. To jeden z powodów, dla których ją wybrali. - Nadal nie odkryłem wszystkich motywów jej postępowania ani tego, czemu z taką powagą traktowała swoje obowiązki.

* *

Fiona leżała obok mnie na skalistej grani, próbując przeniknąć wzrokiem mgłę. Jeśli zobaczyła coś innego niż ja, nie podzieliła się ze mną tym spostrzeżeniem. Dwaj z wojowników Aleksandra stali tuż za linią drzew za nami, pilnując naszych tyłów.

- Wchodzimy, kiedy jeszcze są rozproszeni i zajmują się nowo przybyłymi. Mgła kryje nas tak samo jak ich. Wystarczy zademonstrować przewagę liczebną, a będą gotowi z nami paktować. - Aleksander machnął ręką i jeden z żołnierzy wydał z siebie krzyk kuropatwy, tak podobny do naturalnego, że nie powinien budzić żadnych podejrzeń. Po nim zabrzmiał głos sójki. Znów bardzo rzeczywisty. Po chwili rozległy się kolejne okrzyki, a ja wyczułem, że Derzhi, którzy czekali w lesie za wejściem do doliny, zaczęli ukradkiem zbliżać się do obozu banitów. Książę odsunął się ode mnie, gotów zejść na dół i dołączyć do swoich ludzi, jak tylko zajmą się strażami pilnującymi granic doliny.

Ktoś jednak zwrócił uwagę na przeciągłe krzyki ptaków, dostrzegł ruch albo inne ostrzeżenie, bo usłyszałem ostry ostrzegawczy gwizd, a gdzieś z wnętrza doliny rozeszło się zakłęcie, które niemal oślepiło mój wewnętrzny wzrok. Czarnoksiężnicy! Poranne słońce zaczęło przebijać się przez mgłę, ukazując mężczyzn szukających kryjówki wśród drzew.

- Wasza wysokość, odwołaj ich! - zawołałem przez ramię, ale Aleksander już zniknął na ścieżce wśród drzew, a ja nie ważyłem się zawołać głośniejszym głosem. - Fiona! Idź go ostrzec! Pospiesz się! Inaczej wytną ich do nogi. Łucznicy zajmą się pierwszą falą jeźdźców Derzhich, a kiedy od kryją, że mamy taką przewagę liczebną, czarownicy o wielkiej mocy zaczną zrzucać skały na pozostałych.

Zawahała się, a ja chwyciłem ją za ramię.

- Nie obchodzi mnie, co myślisz o mnie albo o Derzhich. Wielu ludzi zginie, jeśli tego nie powstrzymamy. Prawdziwe zepsucie może zacząć się od milczenia, nie tylko od słów. Idź. Ja muszę tu zaczekać.

Odepchnęła moją rękę.

- Nie musisz mnie pouczać, mistrzu Seyonne. - Wycofała się tyłem i podniosła, na czworakach docierając do drzew.

Wróciłem na krawędź grani i znów spojrzałem w dół, wykorzystując wszystkie zmysły, gdyż w tej pierwszej chwili jasności ujrzałem dwóch mężczyzn stojących przed domem, gotowych powitać swoich towarzyszy. Było w nich coś dziwnego, a jednak znajomego. Coś, co musiałem zobaczyć, choć niekoniecznie przekazać Aleksandrowi.

Wkrótce poczułem, jak wojownicy Derzhich w lesie się cofają, a odgłosy ich serc i oddechów znów mieszają się z głosami lasu. Niedługo potem Aleksander podczołgał się do mnie i wychylił się poza brzeg skały.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego. Już ich prawie mieliśmy.

- Wcale nie. Widzisz, jak mgła się rozprasza?

- Nie widzieli nas.

- Usłyszeli. Jakimś sposobem odkryli, że tu jesteście, i czekali na was. Miałaś rację, że są czarnoksiężnikami. Popatrz...

Ostrzeżeni o obecności Derzhich, banici przygotowali się do tego, by zniknąć wśród wzgórz. Mężczyźni przekradali się wśród drzew, w górę doliny, w stronę koni i tylnego wyjścia. Uporządkowany odwrót. Najpierw cofnęły się strażę stojące przy wejściu do doliny. Później z gór zeszli pozostali strażnicy i łucznicy i zajęli miejsca pośrodku obozu. Wszyscy zachowywali ciszę. Człowiek, który znajdował się wśród drzew, pospieszył do koni, gdy tylko zabrzmiał alarm. Powrócił już konno, prowadząc dwa inne wierzchowce, i wtedy ci dwaj, którzy stali przed domem, wyszli z cienia. Pierwszy, niski mężczyzna o okrągłej twarzy i ramionach kowala, wskoczył na siodło i gestem ponaglił cofających się strażników. Dopiero gdy wszyscy się za nim zgromadzili, ostatni banita wsiadł na konia. Tak samo jak pozostali, miał na sobie luźne manganarskie spodnie i przepasaną tunikę, przez ramię przerzucił łuk, przy jego boku wisiał długi nóż, a przy siodle miecz. Proste czarne włosy sięgały mu do połowy pleców. Wydawał się średniego wzrostu i szczupły, lecz każde ścięgno jego ciała było pełne mocy.

- To ten, którego szukasz - wyszeptałem.

Yvor Lukash nadal siedział w siodle, lecz teraz przechylił głowę, jak by nasłuchiwał, po czym powoli zlustrował linię drzew i szczyty wzgórz.

- Opuścić głowy - syknąłem, ale choć starałem się zachowywać cicho, banita szarpnął głową i spojrzał prosto na mnie.

Nigdy wcześniej nie widziałem tej twarzy. Szczupła. Twarda. Brązowa skóra opięta na wysokich kościach policzkowych. Zapadnięte policzki, podkreślające stanowczą, wystającą

szczękę. Długi, orli nos. Ciemne oczy. Podejrzenia Aleksandra się potwierdziły. To był Ezzarianin. Ale co bardziej zadziwiające... w chwili gdy spojrział na wzgórze w moją stronę... poznałem go. Otaczała go aura spokoju niczym halo wokół księżyca w noc przed burzą. Czyjaś twarz. Miecz światła... biały sztylet. Mężczyzna, który obrócił konia i wbił mu w bok ostrogi, był kapłanem, który przyjął mojego syna.

- Za nimi - rozkazał Aleksander, zrywając się na równe nogi i spiesząc w stronę ścieżki między drzewami. - Nie zgubię ich.

- Czekaj...

W mojej głowie panował mętlik. Nie powinienem ryzykować, że Aleksander skrzywdzi mężczyznę, ale też nie chciałem stracić go z oczu. Nie umiałem opiekować się niemowlęciem, nie miałem też domu i umiejętności leczenia, by karmić jego rodzącą się duszę, ale mogłem mu ofiarować miecz i silne ramię, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Nie spocznę, póki nie sprawdzę, kto się nim zajął.

Książę już dotarł do gęstej kępy sosen, podczas gdy ja wpatrywałem się w postaci jeźdźców znikających wśród wzgórz. Gdybym tylko mógł stworzyć skrzydła...

- O co chodzi? - spytała Fiona. - Nie jesteś posłuszny swojemu panu?

- Chodź albo strażnicy cię stąd ściągną - odpowiedziałem, wycofując się z krawędzi urwiska.

Z braku skrzydeł będę musiał polegać na nogach i koniu, a po drodze wymyślić, jak w imię Verdonne utrzymać kapłana z dala od Aleksandra na tyle długo, by dowiedzieć się, kim naprawdę jest.

Ruszyłem biegiem i dogoniłem Aleksandra w połowie drogi między granią a oddziałami ukrytymi przy wejściu do jaskini. Książę szedł długimi krokami ścieżką wśród drzew. Ja walczyłem ze słowami, które cisnęły mi się na usta, i planami, które atakowały umysł. Jak go przekonać, żeby pozwolił mi samemu wyruszyć za banitami? Niezależnie od przebiegu rozmowy, jaką Aleksander przeprowadzi z przywódcą rebelii, nie zdołam się podczas niej dowiedzieć niczego o swoim dziecku ani też odkryć, dlaczego Ezzarianin ryzykuje bezpieczeństwo naszej rasy i wojny z demonami dla takiego nierozważnego przedsięwzięcia. Takich spraw nie można dyskutować w więzach rozejmu ani w obecności cesarza. A nawet gdyby udało mi się przekonać Aleksandra do odwrotu, jak skłonić buntowników, by mi zaufali? Jeśli mężczyzna się domyślił, że ścigam go wraz z księciem Derzhich, z pewnością mnie zabije, zanim zdążę otworzyć usta. Wysłuchałby mnie uważniej, gdybym był niewolnikiem, niż teraz gdy jestem wolny.

Pomyślałem, że przydałoby mi się więcej czasu. Ale nie uszliśmy dalej niż dwadzieścia kroków, kiedy poczułem poruszenie powietrza jakieś pięćdziesiąt kroków przed nami, tuż za rogiem, gdzie ścieżka zwężała się między potężną skałą a głębokim wąwozem. Potężne zakłęcie. Głęboka cisza.

Nie myśląc o konsekwencjach i innych możliwościach, szarpałem Aleksandra za ramię, podniesioną ręką zamykając jego usta w tej samej chwili, gdy zatrzymałem jego kroki. Fiona i dwaj strażnicy niemal na nas wpadli. Zerknąłem na skały, modląc się, by Aleksander zrozumiał, co mam zamiar zrobić. Potem chwyciłem miecz zaskoczonego księcia i szybko, lecz ostrożnie przeciągnąłem nim po jego policzku, pozostawiając płytkie, krwawe zadraśnięcie od jego lewego oka do brody.

Aleksander przycisnął palce do rany i spojrzał na krew, a później na miecz w mojej ręce.

- Co za przeklęty...

- Nigdy nie wrócę - wrzasnąłem, przerywając ryk księcia, podczas gdy jeden strażnik popchnął Fionę na ziemię, a drugi ręką wielkości pnia drzewa uderzył mnie w głowę. Drugi mężczyzna nadepnął na moją dłoń, która już wypuściła miecz księcia. Podczas gdy strażnicy próbowali mi wyrwać ręce ze stawów i zdjąć mi głowę z ramion, ja, plując krwią i ziemią, zawołałem: - Zakuj mnie znów w łańcuchy. Ale nie myśl, że utrzymasz mnie w nich na zawsze. W twym cesarstwie płonie ogień. Nie jestem Yvorem Lukashem, ale twoi niewolnicy będą wolni, niezależnie od tego, który z nas zerwie ich okowy. - Szarpałem się ze strażnikami tylko po to, by móc jeszcze coś powiedzieć. Poza tym uznałem, że im mocniej mnie poturbują, tym lepiej dla mnie. - Nigdy już nie będę ci służyć, lordzie Vanye.

Przez jedną krótką chwilę pozwoliłem, by jeden ze strażników wcisnął mi kolano w plecy i ścisnął mi z tyłu ręce, a drugi wygiął moją głowę do tyłu i przycisnął mi nóż do gardła. Aleksander, blady i sztywny z wściekłości, z krwią płynącą z policzka, wpatrywał się we mnie, jakbym był samym władcą demonów przywróconym do życia. Czy usłyszał imię, którym go nazwałem - imię nieżyjącego już mężczyzny, od którego zaczęła się nasza wspólna historia? Wszystko od tego zależało.

Zaufaj mi. Myśl. Nawet jeśli nie rozumiesz wszystkiego, pamiętaj, czego razem dokonaliśmy. Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

Gdy ja w myślach błagałem, by mnie pojął, książę gestem wskazał na strażników.

- Przywiążcie go do drzewa, dajcie mu pięćdziesiąt batów i zostawcie, żeby się wykrwawił. Niech wilki go nauczą, co wart jest niewolnik. Mam lepsze rzeczy do roboty, niż pilnować zbiega. Ostrzegł tych zbójów, a teraz będziemy musieli przekazać księciu

Aleksandrowi raport o naszej porażce. Nie spodoba mu się to. Mówiłem mu, że rozmowy z banitami nie mają sensu.

Kiedy księżę Aleksander zgadzał się już na wykorzystanie podstępu, oddawał się temu z przesadną gorliwością, i jakoś zawsze przy tym upuszczał mi krwi. Zdyscyplinowani strażnicy - niezależnie od tego, jak bardzo byli zaskoczeni, nie ważyli się pytać księcia o jego dziwne słowa - przywiązali mi ręce do drzewa wysoko nad głową. Nim rozpoczęli chłostę, Aleksander obszedł mnie wokół, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, zatrzymując się, gdy jego zakrwawiona twarz znalazła się na wysokości mojej. Potężne ręce, splecione na piersi, zdobiły złote obręcze. Chodziłem w jego duszy, byłem z nim tak blisko, że nawet brat z bratem, ojciec z synem, mąż z żoną nie potrafiliby sobie wyobrazić takiej intymności, więc nie musiałem usłyszeć słów, by pojąć pytanie w jego oczach. *Jesteś pewien?*

- zekaż swojemu księciu, że jego cesarstwo nie przetrwa, jeśli będzie w nim królować niesprawiedliwość - powiedziałem - ale jeśli wysłucha tych, którzy do niego wołają i zaufa tym, którzy w niego wierzą, jego chwała nigdy nie zgaśnie.

- Pięćdziesiąt - rzucił, po czym obrócił się na pięcie i ruszył ku ścieżce. Trzymał dłoni na rękojeści miecza, lecz gdy znikł wśród drzew, nie wydarzyło się nic niepokojącego.

Żadne czary nie stłumią bólu takiego biczowania. Wszystkie moje umiejętności przestały działać, gdy odezwało się rozcięte ciało i obite mięśnie. Aleksander nie mógł zmniejszyć liczby batów. Nie po tym, co mu zrobiłem. Ci, którzy jak czułem, obserwowali mnie z mroku, nigdy by w to nie uwierzyli. *Głupi podstęp*. Pewnie istniała setka innych możliwości, które zaprowadziłyby mnie do przywódcy buntowników, ale nie miałem czasu się nad nimi zastanawiać. Aleksander musiał uwierzyć, że zamierzam szpiegować jego wrogów, a obserwatorzy powinni przyjąć, że zginę za swój występki. Nie wiedziałem jeszcze, jak rozegram to później, kiedy już zdobędę informacje, na których mi zależało.

W końcu żołnierze skończyli i w ślad za księciem opuścili mroczną polanę. Co do mnie, to tracąc, to odzyskując przekłete zmysły, odnosiłem wrażenie, że chłosta trwała wiecznie. W moim zamroczonym umyśle pojawiła się świadomość, że jeśli Yvor Lukash nie przybędzie mnie uratować, przejdę do historii jako największy głupiec, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie. Nie byłem przecież pewien, że wyczuwałem w lesie obecność kapłana banity, choć oczywiście żywiłem takie przekonanie. I nie miałem pewności, że da się nabrać na mój prosty podstęp, choć ręce wojownika Derzhich nie oszukiwały. Jeśli rozerwane ciało i jęki cierpienia były wystarczającym dowodem, to może przywódca buntowników uwierzy w moją opowieść. W tej chwili sądziłem, że umrę, wisząc na drzewie, z ciałem przepelnionym cierpieniem.

Byłem zbyt zamroczony, by się zastanawiać, jaką historyjkę opowiem, jeśli ktoś zjawi się w pobliżu. Zachowałem na tyle rozumu, by złożyć proste zakłęcie i rozerwać liny. Kiedy to zrobiłem, opadłem na dywan kłujących sosnowych igieł. Jeszcze jedno musiałem zrobić i to szybko, zanim ktokolwiek tu przyjdzie. Choć ból poruszania się zapierał mi dech, udało mi się sięgnąć ręką na pierś i wyciągnąć skórzany pakiet ze spodni, żeby go zakopać. Kiedy jednak udało mi się go chwycić, musiałem przerwać i odpocząć.

Głęboko w parowie obok ścieżki pluskał wesoło strumyk, nieświadomy działań ludzi tuż obok. Zdziwiająco, jak szybko taki przyjemny dźwięk może stać się torturą. W ustach miałem popiół. Gardło mi wyschło. Wszelkie wspomnienia podstępny i większego celu zbladły, zastąpione przez pragnienie wody. Przygotowując się na nieprzyjemne konsekwencje wycieczki, zacząłem się czołgać w stronę parowu. Po nie więcej niż dziesięciu krokach zatrzymałem się i wtuliłem twarz w ramiona. Drżałem i nie potrafiłem przesunąć się nawet na palec. Ogień w plecach sprawiał, że byłem gotów krzyknąć, nie miałem pojęcia, gdzie upuściłem pakiet... papier z pieczęcią Aleksandra... moją wolność. Jeszcze kilka mezzitów i moja głowa zwisała niewygodnie nad krawędzią parowu, ale nie miałem siły ani woli, żeby się wycofać. Rozpaczliwie pragnąłem wody.

Wtedy właśnie przed moim nosem pojawił się cynowy kubek, a gdzieś ponad szumem w uszach zabrzmiał cichy głos mówiący z łagodnym akcentem wiejskich rejonów Manganaru.

- Czy nie tego przypadkiem szukasz?

Rozdział 11

- Chyba nie zabierzesz go z nami?

- A co innego proponujesz?

- Zabijmy go. To kolejny skrytobójca przysłany przez Derzhich. Jak dotąd odkryliśmy chyba cały ich oddział. Jakiego dowodu jeszcze po potrzebujesz?

- Czegoś więcej. Musi odpowiedzieć na kilka pytań, bo dość ostro pokłócił się z przyjaciółmi, jeśli rzeczywiście byli przyjaciółmi. Mimo tego, w co chciałbyś wierzyć, myślenie i słuchanie są często równie pożyteczne jak rozlew krwi. Przyrowadź konia.

- Blaise, jesteś przeklętym głupcem.

- Dzień byłby nudny, gdybyś nie powiedział mi tego choć raz.

Takie oto przyjemne rozmowy toczyły się za moimi plecami. Ręce, które podały mi błogosławioną wodę, przesunęły mnie i oparły moją głowę na zwiniętym płaszczu. Czulem się, jakby moje ciało zmielono w żarnach. Ale przynajmniej nie straciłem słuchu.

Wybuch zakłęcia z tyłu niemal rozsadził mi mózg. Leżąc twarzą do ziemi, nie widziałem, jak odjechał drugi człowiek. Odgłosy kopyt świadczyły, że na polanie znalazł się koń. Ale tętent był zbyt cichy... i czulem zapach innego zwierzęcia. Może kozy. Byłem trochę oszołomiony i bliski utraty przytomności.

Ale kubek, który znów pojawił się przed moim nosem, kazał mi zmienić zdanie.

- Jak udało ci się mnie odnaleźć? Nie mów, że podążałeś za mną z Yayapolu. Wiem, że to niemożliwe.

Udawanie nie miało sensu. Lekko uniosłem głowę i pozwoliłem, żeby nalał mi do ust chłodnego płynu.

- Dziękuję - powiedziałem. - Jak udało ci się tak długo zachować maskę? Nie znam Ezzarianina, który potrafiłby utrzymać iluzję na twarzy dłużej niż przez kwadrans.

Roześmiał się na całe gardło; miły dźwięk.

- To co, będziemy dalej prowadzić te gierki? A może pytanie za pytanie? - Chciałem zobaczyć jego twarz, ale nie mogłem się zmusić, by przekreślić głowę, bo bałem się, że odpadnie. - Powiem ci tylko, że nie jestem Ezzarianinem.

- Ale wyglądasz...

- Ach tak, mamy wspólnych przodków, to pewne. Ale nie jestem jednym z was. Nie mieszkałem w Ezzarii, ani przed tym, ani po tym, jak zajęli się nią Derzhi. Myślę, że bardzo się różnimy.

Przeglądał zawartość skórzanej torby, która leżała na ziemi tuż przed moim nosem. Nie byłem pewien, czy podoba mi się moja pozycja, która wystawiała mnie na ciosy - twarz do ziemi, plecy odsłonięte na wszystko, co może z nimi zrobić niezwykle potężny czarodziej - ale chyba nie pozostawiono mi w tej kwestii wyboru. Kapłan wstał i ruszył w głąb parowu, lekko zsuwając się po stromym zboczu. Po chwili wrócił, a ja niemal podskoczyłem, kiedy położył lodowaty, mokry materiał na moich barkach. Później miał czelność zacząć oczyszczać rany. Najwyraźniej w życiu nie doświadczył losu niewolnika. Starał się być delikatny, ale wychodziło mu to dość niezgrabnie.

- Przepraszam - mruknął, gdy próbowałem stłumić jęki i przekleństwa. - Takie rany goją się lepiej, gdy się e oczyści. Ale wygląda, jakbyś doświadczył ich wystarczająco wiele, by o tym wiedzieć. Rany wszelkiego rodzaju... - Palcem przeciągnął po przekreślonym kręgu na moim ramieniu. - To na pewno nie była pierwsza chłosta, jaką w życiu otrzymałeś.

- Nie.

Las tętnił odgłosami popołudnia. Dwie sójki kłóciły się na drzewie tuż nad nami. Konary drzew skrzypiały w ciepłym wietrze. Chrząszcze i koniki polne brzęczały i skakały wśród sosnowych igieł i trawy. Mój wybawca wycisnął materiał, aż zabarwiona czerwienią woda popłynęła na trawę, po czym przyłożył go do mojej lewej łopatki, skąd strumyki krwi spływały po boku. To na pewno nie należało do ezzariańskiej tradycji..., dotykał krwi innego człowieka bez oczyszczenia... pozostawił rany bez opatrunku... nie wykorzystał jasnyrowego dymu, który miał odpędzić demony. Znow zaczął do mnie mówić, lecz ja zadrzałem, a mój wzrok się zamglił. Choć bardzo się starałem, nie mogłem utrzymać otwartych oczu. Opanowało mnie odrętwienie, tłumiąc jego głos i dźwięki lasu, tłumiąc ból ciała i kości. Przemknęło mi przez myśl, że nie mam pojęcia, co się stało z Fioną. I dobrze. Do tego jednego miejsca nie chciała za mną podążać. Z tyłu zabrzmiał cichy głos, który powiedział chyba „śpij”, ale nie byłem tego pewien, bo właśnie to zrobiłem.

* *

Następne godziny przypominały wielką mozaikę. Budziłem się raz na jakiś czas. Wokół panowała ciemność i wydawało mi się, że jakaś demoniczna bestia dopadła mnie i

rzuciła w pustkę. Śniłem, że pali mnie smoczy ogień, a kolejnym razem, że zalał mnie kwaśny jad potwornego węża. Przez długi czas wydawało mi się, że wiszę do góry nogami w sieci olbrzymiego pająka i nie mogę oddychać, ponieważ żołądek wpadł mi do gardła, a płuca ścisnęły ciasne sznury pajęczego jedwabiu.

- Spokojnie, przyjacielu. - Silne ręce przytrzymały mi nadgarstki, aż znów zagubiłem się w krainach odrętwiałego przerażenia. Cichnące głosy. - Za całe złoto cesarstwa nie chciałbym żyć w jego snach.

- Na święte gwiazdy, Blaise, utrzyj go w tym stanie jak najdłużej. Niemal zdjął mi głowę, kiedy wnosiłem go na konia. Chyba straciłem ząb.

* *

W końcu otworzyłem oczy i tak już zostało, choć jeszcze nie odzyskałem uczucia poza pulsowaniem zgodnym z biciem mojego serca. Przypominało mi, że tak naprawdę nie chcę się obudzić. Dlatego też unosiłem się na obrzeżach snu, zupełnie mimochodem zauważając, że leżę pod belkowanym dachem, wyciągnięty na cienkim sienniku leżącym na klepisku. To, co widziałem w świetle jedynej świecy, nie robiło zbyt wielkiego wrażenia - prymitywne, pokryte sadzą palenisko pod dziurą w dachu, sterta zwierzęcych skór, obgryzionych kości, zniszczonych kociołków i mało obiecujące worki pszenicy i owsa, których zawartość rozsypywała się po ubitej ziemi. Mysz odważnie częstowała się zapasami. Ogarek został przyklejony do przewróconego antałka. W ustach miałem smak krwi, a do mojego nosa przykleiła się pajęczyna, prowokując kichanie. Ponieważ to mało przyjemna perspektywa, zamknąłem oczy, próbując odegnać od siebie tę myśl.

Byłem przykryty przetartym kocem i kiedy w końcu udało mi się przekonać samego siebie, że naprawdę mogę wszystko zignorować i znów pójść spać, bo świadomość groziła, że ponownie poczuję efekt pięćdziesięciu batów, ktoś spróbował mnie odkryć. Koc przykleił się do mojej prawej łopatki i pociągnął ze sobą spory kawał strupa. Podskoczyłem. Nagły ruch sprawił, że gwałtownie wróciłem do rzeczywistości, i by odzyskać spokój, musiałem przywołać ogrom samodyscypliny. Wtedy usłyszałem czyjś głos.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Nie chciałam, żeby bolało. Sprawdzałam, jak kazał Blaise. „Zobacz, czy przestało krwawić i nie ma gorączki”. To mi powiedział i tak zrobiłam. Gorączka odeszła. Nie mów mu, że sprawiłam ci ból. Materiał się przykleił. To wszystko. Nie chciałam, żebyś cierpiał.

Przekręciłem odrobinę głowę i ujrzałem kobietę klęczącą obok mnie, która kołysała się w przód i w tył, obgryzając kciuk. Patrzyła na mnie i bełkotała przeprosiny. Jej przetykane siwizną włosy wisiały w strąkach, a bezkształtną brązową sukienkę uszyto chyba z worka. Wyciągnęła kościstą rękę i przesunęła nią w powietrzu nad moimi plecami. Wzdrygnąłem się, ale tylko mój własny ruch był dla mnie nieprzyjemny. Kobieta mnie nie dotknęła. Jej dłoń - albo coś innego - sprawiła, że poczułem w plecach klucie. Ale wszystkie bodźce wkrótce znikły, za co byłem jej bardzo wdzięczny.

- Wiem, że nie chciałaś mnie skrzywdzić - powiedziałem. - Dziękuję za pomoc.

Odwróciła się w moją stronę i odgarnęła włosy z twarzy. Miała może pięćdziesiąt lat i swego czasu była klasyczną ezzariańską pięknoscią, o drobnych kościach, dużych, szeroko rozstawionych oczach, pełnych wargach i zgrabnym małym nosie. Lecz teraz jej skóra była poplamiona i brudna, policzki zapadnięte, wargi obwisłe, a oczy... Och, bogowie na gwieździstym niebie...jej oczy były ciemne i skośne... ezzariańskie... lecz całkiem szalone, i co o wiele gorsze, nakrapiane lodowatym błękitem wieloletniego, zakorzenionego opętania przez demona.

- Dobrze zrobiłam? Powiedziałem Blaise'owi, że nadal to umiem. Inni mi nie ufają. Tylko on.

Próbowałem się od niej cofnąć, lecz wtedy właśnie odkryłem, że ktoś związał mi ręce i nogi i nie mogę się poruszyć, jakby przyciskał mnie do ziemi kamień młyński. *Nie panikuj. Kobieta jest szalona, ale powiedziała, że nie wolno jej cię skrzywdzić.* Rozsądne słowa nie łagodziły przerażenia. Nie byłem Poszukiwaczem, który wysyłał wezwanie o pomoc do Ezzarii, ani Poczyszycielem, który umiał czarem połączyć ofiarę z Aife. Nie miałem też Aife, która zdołałaby otworzyć duszę tej biednej kobiety. Sam mogłem jedynie wykorzystać czar, który stwo rzyłby między nami jakąś barierę ochronną.

- To dobry chłopak, ten Blaise. Pomógł nam. Opiekuje się nami. Mówi, że nigdy nie będziemy głodni. Inni by nas odrzucili. Zabili, jak za starych czasów. Ale nie on. - Pogłaskała mnie po głowie. Jej dotyk był łagodny i uspokajający. Może coś mi się przywidziało, w końcu w środku panował mrok.

Odczuwałem pragnienie, a pieczenie wysuszonego gardła sprawiało, że robiłem się nerwowy.

- Masz... mogę prosić o wodę? - wychrypiałem.

Kobieta znów się kołysała i teraz szarpnęła głową, jakby zapomniała, że tu jestem.

- Woda... tak. Mam ją.

- Proszę. Gdybym mógł dostać odrobinę...

- Daj mu coś do picia, Saetho, i rozwiąż mu ręce. Już się obudził i cię nie skrzywdzi. Zrobisz to? - Pytanie skierowano do mnie. Pytał mnie kapłan... banita... czarodziej... nie miałem pojęcia, kim był.

Potrząsnąłem głową.

- Nikogo nie skrzywdzę.

Kobieta potaknęła i pochyliła się nad splątaną liną, której nie udało mi się poluzować mimo wielu prób. Jakimś sposobem wraz z nią usunęła również mój bezruch, gdyż choć nadal miałem związane nogi, udało mi się podnieść na kolana i usiąść. Nie oparłem się o ścianę z bali. Ból wywołany przez pięćdziesiąt batów został stłumiony czarem - czarem kobiety, jak się wydawało - ale sztywność i wrażliwość ciała pozostały.

Kobieta przyniosła mi popękany gliniany kubek pełen czystej wody. Gdy go wziąłem, spojrzałem na nią wzrokiem Strażnika. Śmierdziała demonem.

- Dziękuję - szepnąłem, odwracając wzrok, i przez chwilę rozważałem sytuację, w której się znalazłem. Zamknąłem oczy i wypilem wodę. Jak odkryłem podczas niewoli, pragnienie bywa potężną siłą.

Młody mężczyzna usiadł zwinnie na klepisku, odrzucając na plecy długie czarne włosy. Wziął kubek z rąk Saethy i uśmiechnął się do niej.

- Dobrze sobie poradziłaś, Saetho. Widzę, że mu lepiej.

Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

- Zaufałeś mi. Zrobiłam co w mojej mocy.

- Jak zawsze. A teraz idź i powiedz Farrolowi, gdzie jestem, gdyby mnie szukał. Chcę przez jakiś czas pobyc z naszym gościem sam.

Kobieta opuściła brudną chatę. Na siedząco lepiej wszystko widzi łem. Chatka miała powierzchnię może piętnastu stóp kwadratowych i wypełniały ją wszelkiego rodzaju nierozpoznawalne śmieci. Śmierdziało zgniłym mięsem, zimnym, brudnym paleniskiem i niepranym ubraniem. W każdej szczelinie kłębiły się insekty. Potrzebowałbym końskiego ogona, żeby odgonić muchy.

- Powinieneś trzymać się z dala od tej kobiety - powiedziałem cicho. - Zdajesz sobie sprawę, co jej dolega?

- Nie skrzywdzi cię.

- Ale jest...

- Nie będę z tobą o niej dyskutował. A teraz, jeśli przysięgniesz, że nie uciekniesz, zdejmę resztę więzów i wyjdziemy na zewnątrz. Krótka przechadzka dobrze ci zrobi.

- Nie potrzebujesz przysięgi. Masz mojego syna. - Naprawdę chciałem znaleźć się jak

najdalej od demona.

- Nadal upierasz się, że dziecko jest twoje. - Blaise zaledwie machnął długimi palcami i szybko zdjął liny wiążące moje nogi.

Szczupła sylwetka mężczyzny nie wydawała się zbyt silna, lecz później zauważało się jego duże kości i szerokie dłonie. Byłem od niego wyższy, ale przypuszczałem, że ważył więcej niż ja.

- Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą, a to więcej, niż ty mi dałeś.

Cofnął się, nie proponując mi pomocy, podczas gdy do moich stóp napływała krew, a ja sam podnosiłem się z trudem. Rzucił mi koszulę z szorstkiej brązowej wełny, bardzo podobną do tej, którą sam nosił, i przyglądał się z zainteresowaniem, jak ostrożnie zakładam ją na grzbiet - umiejętność, którą każdy niewolnik musiał opanować wcześniej czy później.

- Nie będziemy rozmawiać o mnie, tylko o tobie. Wychowywano mnie w nieufności wobec Ezzarian, więc niełatwo ci przyjdzie mnie przekonać. Z własnej woli zbratałeś się z Derzhimi. Nie nosisz kajdan, choć widzę, że miałeś je w przeszłości. Yayapol opuściłeś jako wolny człowiek. Jeśli chcesz dożyć zachodu słońca, lepiej wymyśl dobrą historyjkę.

- Zaskoczyło mnie, że w ogóle chcesz mnie wysłuchać. Twój przyjaciel był gotów mnie zabić.

- On rzadko się myli w takich sprawach.

Wyszedłem za nim z chaty i ruszyłem przez wypełnioną blaskiem przedświtu zieloną dolinę, bardzo przypominającą tę, z której banici uciekli. Cztery rozklekotane budynki wzdłuż strumienia, kilka innych ukrytych w lesie. Po zawietrznej zagroda diakoni. Skały i drzewa. Szliśmy wzdłuż brzegu strumienia, który migotał w słabnącym blasku zachodzącego księżyca. W okolicy nie było nikogo. Tylko śpiący w chatach, strażnicy na obu końcach doliny, kilku mężczyzn niespokojnych z powodu odniesionych ran w domu w głębi lasu. Moje rany nie dokuczały mi w czasie spaceru. Od dawna marzyłem o takim zakłęciu, ale miałem paskudne przeczucie, że nie spodobałby mi się sposób jego tworzenia. Nie powinienem pozwolić, by kobieta-demon znów mnie dotknęła.

Teraz jednak najważniejsze było, by Blaise mi zaufał, i dlatego odsunąłem kwestię demona na bok i opowiedziałem mu swoją historię najdokładniej, jak mogłem, nie wyjaśniając jednak związków łączących mnie z Aleksandrem. Powiedziałem, że byłem niewolnikiem Derzhich od czasu zdobycia przez nich Ezzarii. Służyłem w kilku domach, a ostatnim z nich był letni pałac cesarza w Capharnie. Przed dwoma laty, w zamieszaniu związanym z aresztowaniem i planowaną egzekucją księcia Aleksandra, udało mi się uciec i

wrócić do swoich, gdzie znów podjąłem przydzielone mi obowiązki. A później urodził się mój syn i został odesłany.

- I to wyciągnęło cię z lasów, zdecydowałeś się nawet zaryzykować pojmanie jako zbieg, żeby go odnaleźć.

- Musiałem go zobaczyć. - Żeby spojrzeć w jego duszę i rzeczywiście odkryć to, co w niej nosił, a co potwierdzała Ysanne i troje świadków. - Nasze zwyczaje wydają się okrutne, ale istnieją ważne powody, dla których... pewne dzieci... chore dzieci... nie mogą pozostać w Ezzarii. Jak już mówiłem, nie chcę, żeby umarł. Wolałbym wiedzieć, że dorasta bezpiecznie u kogoś, kto dobrze się o niego troszczy. - Do chwili gdy będę mógł wejść do jego umysłu i usunąć demona, którego nie powinno tam być. Ale ten człowiek by tego nie pojął. Zostawił mnie przecież pod opieką opętanej.

- A jak mnie odnalazłeś? - Jego spokój był niewzruszony. Zatrzymaliśmy się na drewnianym mostku nad strumieniem. Nie wiedziałem, jakie umiejętności posiada Blaise, ale słuchał całym sobą, więc musiałem się trzymać prawdy.

- Widzisz, spotkałem kiedyś pewnego Derzhiego imieniem Vanye, z potężnego rodu. Kiedy przebywałem w Capharnie, był zaciekłym wrogiem księcia Aleksandra. Zrobił to... - wskazałem na piętno na lewym policzku - ...żeby obrazić księcia. Uznał, że jeśli zesześci jego własność, w oczach innych ludzi będzie się wydawał potężniejszy. Księżę nie zabił lorda Vanye, rozumiejąc motywy jego postępowania, bo wbrew temu, w co wielu wierzy, Aleksander ma silne poczucie sprawiedliwości. - Nadeszła pora na bardziej ryzykowną część opowieści. Na kłamstwo. Aleksander twierdził, że jestem najgorszym łgarzem na świecie. Miałem nadzieję, że się mylił. - Kiedy cię szukałem, złapali mnie Derzhi. Vanye polował na Yvora Lukasha... uznał, że w ten sposób odzyska łaski księcia... i był pewien, że zbiegły ezzariański niewolnik musi mieć jakieś informacje o buntownikach. Dowiedział się o twojej kryjówce i zaciągnął mnie tam, obiecując, że puści mnie wolno, jeśli pomogę ci pojmać i zidentyfikować. Zgodziłem się. Nie byłem twoim wrogiem, bo czy po tym, co przeszedłem, mógłbym nie podzielać twoich opinii? Po prostu nie sądziłem, że zwykli banici przetrwają atak Derzhich. Kiedy zobaczyłem, kim jesteś...

- Rozpoznałeś mnie?

- Człowieka definiuje nie tylko jego twarz. Jak myślisz, czemu pozwoliłem ci zatrzymać mojego syna?

- Spojrzał na mnie z namysłem.

- Mów dalej.

- Powiedziałem Derzhim, żeby powstrzymali atak, bo wśród was jest pięćdziesięciu

czarodziejów, którzy zasypią oddział głazami. Kiedy Vanye uświadomił sobie, ilu ludzi naprawdę broni doliny, przysiągł, że znów przeprowadzi mnie przez rytuały Balthara. Jeśli kiedykolwiek rozmawiałeś z jakimś ezzariańskim niewolnikiem, wiesz, że to gorsze od śmierci. Gdybym wiedział, że się zbliżasz i możesz mi pomóc, wymyśliłbym jakiś mniej drastyczny sposób uwolnienia się od niego. Dziękuję ci za pomoc. Wiele przeżyłem, ale tego chyba bym nie przetrwał.

- Nie ułatwiasz mi sprawy, przyznając, że chciałeś nas oddać w ręce Derzhich.

- Moje życie zależy od ciebie. I chyba mam większe szansę zachować je tu niż u lorda Vanye. Ty jednak musisz dowiedzieć się więcej o świecie, który cię otacza.

Jeśli nie umiał rozpoznać demona i nie wiedział, jaką krzywdę stworzenie to może wyrządzić jemu i jego towarzyszom, to nie potrafił też pojąć ryzyka swoich działań.

Wspięliśmy się krótką, stromą ścieżką na otwartą łąkę i usiedliśmy na płaskiej skale, patrząc, jak słońce oświetla niebo nad końcem doliny.

Blaise milczał. Ja czekałem na jego ocenę, ponownie przepowiadając sobie informacje, jakie mu przekazałem, szukając potknięć, skaz i półprawd, które będę musiał podtrzymywać lub omijać. Niestety, wtedy właśnie zaklęcie opętanej przestało działać, a ja poczułem się chory i zmarznięty. Wełniana koszula paliła mi plecy niczym kwas. Krew sączyła się z głębokich ran i zwilżyła szorstką tkaninę, a fala słabości sprawiła, że moje nogi były niczym z galarety. Nie zwracałem uwagi na dostojne piękno czerwieniącego nieba.

- Muszę... gdybym mógł gdzieś pójść... położyć się - wyjąkałem. - Przepraszam... - Wszystkie pytania, jakie pragnąłem zadać temu mężczyźnie, roztopiły się we mgle cierpienia, a to, co nastąpiło później, było niewyraźne.

Blaise przerwał swoje rozważania i zauważył mój stan.

- Co za głupiec ze mnie. Nie pomyślałem. Poczekaj...

Zwinąłem się w kłębek i przewróciłem na bok na kamieniu, próbując nie wymiotować, podczas gdy moje plecy przeszywały fale ognia. Mój towarzysz zawahał się, po czym ruszył przez wysoką trawę otaczającą naszą skałę. Mocno zacisnąłem oczy i usta, żeby nie narobić sobie wstydu przed obcym. Kiedy znów je otworzyłem, Blaise znikł. Na szerokiej łące nie było nic poza falującą trawą, odległą linią drzew wyłaniającą się z nocnych cieni i drapieżnikami krążącymi w górze w poszukiwaniu śniadania. Może wtedy straciłem przytomność, ale przysiągłbym, że wschodzące słońce nadal rozsiewało różowe promienie na trawie, gdy dwoje ludzi podeszło do mnie od tyłu.

- Pozwoliłem mu pójść za daleko. Możesz pomóc?

- Tym razem położę to ostrożnie. Dłużej niż wcześniej. Głębiej. Ale tak ostrożnie, jak

mi zawsze mówisz. Ostrożnie, Saetho. Ostrożnie. Ostrożnie. Ostrożnie. Tylko ty mi ufasz. Jutro będzie czuł się dobrze. Odejdzie gorączka. Odejdzie ból. - Gdy kobieta rozcięła mi koszulę i przycisnęła kościste dłonie do mojej głowy, usłyszałem odległe nuty muzyki demonów.

- Nie, proszę, nie pozwól jej... - bełkotałem, a panika odbierała mi rozum. - Demon...

Nim jednak zdołałem ją powstrzymać, moje usta otworzyły się, a powieki opadły. Tego dnia nic już nie widziałem ani nie słyszałem.

Następnego ranka, gdy promienie świtu spoczęły na mojej twarzy, rany się zagoiły.

Rozdział 12

Podczas walk z demonami zdarzało się, że byłem skąpany w obrzydlistwach nieznanych w ludzkich królestwach, wydzielinach i wnętrznościach bestii tak ohydnych, że nikt nie potrafiłby ich sobie wyobrazić. Jako niewolnik pracowałem w stajniach i kanałach ściekowych, musiałem też sprzątać wymiociny i odchody pijanych mężczyzn i kobiet oszołomionych zieleń yaretha. Kiedyś rozkazano mi oczyścić zamek, gdzie cały garnizon wybiła zaraza, a innym razem rozebrać setkę ciał, które leżały trzy dni na letnim słońcu. Taki brud wywoływał we mnie obrzydzenie, ale za każdym razem umiałem się w jakiś sposób oczyścić, wykapać, umyć, wytrzeć piaskiem lub słomą albo też odzyskać czystość przez modlitwę, rytuały i medytację. Brud nigdy nie był częścią mnie. Ale tego ranka, gdy odkryłem, że moje rany zamknęła demoniczna magia, nie potrafiłem sobie wyobrazić oczyszczającego rytuału, który by mnie uzdrowił, ani też określić, ile lat minie, nim opuści mnie groza. Gdybym mógł znów rozerwać sobie plecy, pewnie bym się na to zdecydował.

- Coś ty zrobiła?! - ryknąłem na obszarpaną kobietę kulącą się w rogu chaty. - To przekłete... ohydne... nienaturalne. - Co gorsze, nie protestowałem poprzedniego dnia. Pozwoliłem, by złagodziła mój ból. Poszedłem z Blaise'em i nie domagałem się, by ta kobieta nigdy więcej mnie nie dotknęła. Straciłem rozsądek i czujność, gdyż koncentrowałem się na kłamstwach. A tymczasem ona zamknęła wszystkie moje rany... Czułem się, jakby pod skórą pełzały mi tysiące rpbaków.

- Czy cię boli? Byłam taka ostrożna. Dobry Blaise patrzył i powiedział, że zrobiłam dobrze. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. - Saetha splótła palce na ustach.

Dobry Blaise. Głupiec Blaise. Potarłem kark, nie wiedząc, czy mam płakać, czy krzyczeć. Moja wcześniejsza gadanina o demonach, które nie pragną zła, znikła w falach obrzydzenia. Demon by się uśmieł. Kobieta wyciągnęła rękę, by mnie dotknąć, lecz ja odsunąłem się gwałtownie, zerwałem na równe nogi i potknąłem o beczułkę.

- Nie chodzi o ciebie. Ale wiem, kim jesteś, co w tobie siedzi i co wykorzystasz, żeby mnie uleczyć. Ohydne, trujące... - W duchu wypowiadałem zaklęcia oczyszczenia i ochrony. - Nie zbliżaj się do mnie.

- Nic o niej nie wiesz. - Blaise stał sztywno w otwartych drzwiach śmierdzącej chaty. Ubrany był w czerń: spodnie, koszulę, tunikę i buty, zaś w rozpuszczone włosy wplótł czarne korale. Twarz posmarował sadzą, a na każdym jej boku, od kości policzkowej po czoło, widniał biały sztylet. Jego oczy były czarne niczym północ. - Saetha bardzo ci pomogła. Jak śmiesz tak do niej mówić?

Kobieta zakryła głowę rękami, skuliła się w kącie i łkała, kołysząc się miarowo.

- Nie winie jej... ale jest bardziej niebezpieczna, niż zdołałbyś pojąć. Opętał ją rai-kirah. Spójrz jej w oczy, a wtedy go zobaczysz. Otwórz uszy, a zostaniesz ogłuszony przez jego muzykę. Nigdy nie słyszałeś opowieści o demonach? Zdajesz sobie sprawę, co potrafią? Są czary, które można związać z krwią... straszliwe, niszczycielskie. - Lata szkolenia i doświadczeń wymagały, bym go ostrzegł.

Jej źrenice z niebieskimi plamkami powiedziały mi, że tak daleko zaszła w swoim szaleństwie, że na jej imię odpowiedziałby demon. Nawet z pomocą Aife zawahałbym się wejść do duszy Saethy. A ona dotknęła mnie swoją magią... Na samą myśl o tym ścisnęło mnie w żołądku.

- Saetha była uzdrowicielką od dnia, w którym osiągnęła dojrzałość. Uratowała więcej żywołów, niż zabrali Derzhi, przyjmowała porody, leczyła rany, chroniła i błogosławiła każdego, kogo dotknęła. Kiedy byłem chłopcem, widziałem, jak wchodzi do wioski, w której każdy mężczyzna, kobieta i dziecko umierali na gorączkę błotną. Nie zdołała ich uratować, ale łagodziła ich ból i uspokajała szaleństwo. Pozostała z nimi bez snu, nie ważyła się dotknąć jedzenia i picia, aż wszyscy odeszli w pokoju. - Blaise ukląkł na klepisku obok zrozpaczonej kobiety i odsunął jej włosy z twarzy. Pochyliła głowę i położyła ją na jego piersi, a on objął ją i zaczął uspokajać. - Nie ma w niej zła, niezależnie od tego, co widziałeś. Teraz gdy wyruszyła drogą starszych, nikt już do niej nie przychodzi. Ale jej umiejętności nie odeszły wraz z umysłem.

Ten widok był niezwykle dziwny: szalona, zasmucona kobieta i pomalowany banita spleceni w łagodnym uścisku. Moje przerażenie i gniew zaczęły się rozplywać.

- Przepraszam - bąknąłem. - Wiem, że chciała pomóc. Musisz zrozumieć... widziałem tak wiele.

- Ale nie wszystko. - Przycisnął dłonie do policzków kobiety i uśmiechnął się do niej. - Dobrze zrobiłaś, Saetho. Jestem z ciebie dumny. Ten Ezzarianin nie chciał cię zasmucić. Nie zna nas, ale dałaś mu pierwszą lekcję, a ja mam zamiar udzielić mu kolejnej.

Saetha spojrzała radośnie na młodzieńca i położyła palec na jego pomalowanym policzku.

- Lukash. Miłego polowania, Blaise, i bądź ostrożny. Ostrożny. Ostrożny.

- Możesz być tego pewna. - Zaśmiał się i wstał.

Nim uświadomiłem sobie, co się dzieje, Blaise wypchnął mnie za drzwi, w ramiona niskiego, krępego mężczyzny ubranego i pomalowanego podobnie jak on.

- Przygotuj go, Farrolu. Twierdzi, że jest jednym z nas i z pewnością dobrze poznał Derzhich. Zobaczymy, czy umie walczyć.

- Chwileczkę...

Ale oni nie zamierzali czekać. Farrol i dwie kobiety zdjęli mi buty i zakrwawione spodnie i pomogli mi włożyć czarne ubranie, trochę za ciasne, i czarne buty, odrobinę za duże, po czym posmarowali mi twarz sadzą i namalowali białe sztylety na policzkach. Narzekali, że włosy sięgają mi tylko do ramion, ale i tak rozwiązali je i wplekli w nie czarne korale. Zapytałem, jaki mają plan, ale oni tylko się roześmiali i odparli, że dowiem się tego dopiero na miejscu.

- Nie spodziewasz się chyba, że już teraz całkowicie ci zaufamy, co?

Farrol wydawał mi się bardzo znajomy. Byłem pewien, że widziałem go u boku Blaise'a podczas ucieczki przed Aleksandrem, ale wtedy tylko mi mignął. Po głosie poznałem, że to on poszedł po konie, kiedy Blaise znalazł mnie wychłostanego na polanie. Ale nawet to nie wyjaśniało tego uczucia. On również był Ezzarianinem, podobnie jak jedna z kobiet. Druga z nich - wysoka, smukła dziewczyna o imieniu Jalleen - pochodziła z Suzainu. To ona zapięła mi pas na biodrach.

Nim udało mi się uzyskać choć jedną sensowną odpowiedź, około dwudziestu jeźdźców, wszystkich ubranych podobnie, siedziało już na koniach. Ich pochodzenie trudno było ocenić, chyba że po oczach. Przy najmniej czterech lub pięciu wyglądało na Ezzarian. Jeden był Thridem, nie musiał mazać sadzą swojej ciemnej skóry. Wśród jeźdźców dostrze glemtrzy kobiety.

Gdy słońce sięgnęło zenitu, Blaise stanął przed grupą i skierował twarz w stronę północy i bitej drogi prowadzącej z doliny. Zatoczył rękami szeroki krąg i złączył dłonie na wysokości twarzy. Ten gest oznaczał, że rzucił zaklęcie, lecz nie rozpoznałem jego natury ani nie słyszałem słów. Jeźdźcy czekali w milczeniu, z pochylonymi głowami, jakby modlili się do swoich bogów. Bez żadnych wyjaśnień Blaise wsiadł na czarnego konia i wyruszyliśmy.

Okolo dwudziestu pozostałych, mężczyźni, kobiety, nawet kilkoro dzieci, stało wzdłuż drogi prowadzącej z doliny, machało do nas i życzyło nam szczęścia. Widziałem Manganarczyków i Suzaińczyków, Thridkę, a nawet kilkoro Kuvaiów, w większości

młodych, najwyżej dwudziestoletnich. Tylko troje Ezzarian, wyglądem przypominających Saethę. Poczulem dreszcz niepokoju.

Jechałem między Blaise'em a Farrolem. Nigdy nie osiągnąłem biegiłości w jeździectwie, a choć Blaise i jego ludzie nie mogli się równać z Aleksandrem, trzymali się w siodle dużo lepiej ode mnie. Czując się niezgrabnie, z trudem zachowywałem równowagę na końskim grzbiecie, gdy galopowaliśmy drogą. Pomyślałem sobie, że wyjechaliśmy późno i przemieszczaliśmy się zdecydowanie za szybko jak na długą podróż. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaki cel mógłby znaleźć Blaise wśród wzgórz Kuvaiu. A jednak nie minęła godzina, gdy podniosłem na chwilę wzrok, przerywając koncentrację na jeździe konnej, i uświadomiłem sobie, że krajobraz znacznie się zmienił. Znajdowaliśmy się w bardziej suchych okolicach, przypominających raczej żyzne pola pszenicy Manganara. Może Blaise i jego ludzie przenieśli się dalej, niż myślałem, podczas gdy ja byłem nieprzytomny po biczowaniu.

Znów minęło niewiele czasu i oto galopowaliśmy szeroką równiną pełną suchej trawy i ostrych skał. Ten teren przywodził na myśl okolice Azhaki, prowadzące do pustynnej ojczyzny Aleksandra. Ale to było niemożliwe. O ile nie spałem w siodle przez ponad dzień, jechaliśmy dopiero dwie godziny. Przybywaliśmy z południa, a słońce nadal stało wysoko. Cienie ciemnych krzewów dopiero zaczynały się rozciągać na prawo. Nic ze znanej mi geografii nie pasowało do tego, co widziałem.

Blaise wprowadził nas w wysuszone koryto rzeki, długą, wąską dolinę wrzynającą się głęboko w równinę.

- Znalazłem dogodne przejście, ale musimy poczekać do zmroku - powiedział. - Zjedzcie i odpocznijcie. Baron pozostawił tylko pięćdziesięciu ludzi do pilnowania karawany.

Spędziłem większość dnia spacerując po wąskiej dolinie. Próbowałem nie myśleć o demonicznych palcach, które dotykały mojej krwi, groteskowych słowach, które uleczyły moje ciało i lodowato niebieskich oczach, które widziały mój ból i się nim karmiły. Saetha naprawdę była uzdrowicielką. Być może to rzeczywiście zasługa jej czarów, nie straszliwego towarzysza. Jednak echa muzyki demonów nadal wypełniały moje uszy, a ja nie potrafiłem wezwać oczyszczających słów, które by je uciszyły. Czy to był podstęp? Skradające się zepsucie?

Jeźdźcy Blaise'a położyli się w cieniu i spali albo rozmawiali cicho, co wyglądało dziwnie przy ich malunkach i paciorkach. Thrid roześmiał się i zdjął koszulę, namawiając bladego Manganarczyka, by zrobił to samo, i proponując, że pomaluje skórę przyjaciela.

Dwaj drobni, młodzi Ezzarianie, najwyżej osiemnastoletni, siedzieli w milczeniu i grali w warcaby odłamkami kamieni.

Blaise i Farrol trzymali się z dala od pozostałych, rozprawiali z napięciem i rysowali coś palcami na ziemi. Farrol gwałtownie się przy czymś upierał. Mając nadzieję, że się dowiem, w co się właściwie wpakowałem, usiadłem na kamieniu, z którego mogłem ich obserwować, i przesunąłem dłonią przed oczami, by pobudzić głębszy słuch.

- ...za dobra okazja, by z niej zrezygnować - mówił Farrol. - Jeśli wyeliminujemy z gry Nyabboziego, zatrzymamy handel w tym rejonie na trzy lata. Nie ma handlarza, który zdołałby zająć jego miejsce.

- Nie podoba mi się to - odparł Blaise. - Spalić go... nie mamy pewności, że uda nam się wszystkich wydestać. Jeszcze kilka ataków i sam zrezygnuje.

- To ty tak twierdzisz. A nam brakuje czasu. Zmieniałeś się zbyt wiele...

- Wystarczy! - Blaise podskoczył i odwrócił się od mężczyzny. - Robiłem to, co musiałem, i poniosę wszystkie konsekwencje. Ale to nie powód, by działać pochopnie. Musimy szybko się tam dostać i równie szybko wyjechać. Mamy godzinę... najwyżej dwie... zanim baron sprowadzi główne siły. Plan pozostaje bez zmian.

- Co się z tobą dzieje? Zgodziłeś się, że powinniśmy działać bardziej stanowczo.

Blaise znów zerknął na przyjaciela, nim jednak cokolwiek rzekł, napotkał moje spojrzenie nad głowami swoich odpoczywających towarzyszy. Znajdowałem się daleko poza zasięgiem normalnego słuchu, ale sądzę, że zmienił zdanie i nie powiedział tego, co pierwotnie zamierzał.

- Musimy przypomnieć pozostałym, że jest wśród nas obcy. Myślę, że lepiej zachować dyskrecję, dopóki nie będziemy pewni, że możemy mu zaufać. - Choć nie miał powodu, by podejrzewać, że te słowa dotrą do moich uszu, czułem, że mówi do mnie.

- Ezzariańskie gówno. Powinniśmy go zabić. - Farrol niezbyt oględnie wyrażał swoje opinie.

Podczas tego popołudnia nie zbliżyłem się do przywódcy banitów ani żadnego z jego towarzyszy. Uznałem, że to czas próby i że powinienem jedynie obserwować wszystko w milczeniu. Niczego się nie dowiem, póki ów test nie dobiegnie końca.

Gdy słońce zaszło wśród strzępiastych chmur na zachodnim niebie, śpiący się obudzili, a ciche rozmowy i śmiechy ucichły. Ostrza wysunęły się z pochew, zostały wytarte, sprawdzone i pogładzone wraz z żołnierską modlitwą. Przyjaciele sprawdzali nawzajem swoją farbę, uspokajali nerwowe konie. Gorące popołudnie uszczupliło zapas wody w

bukłakach wiszących u każdego siodła, a ja zastanawiałem się, czy ci, którzy osuszali je do dna, mają jakieś przeczucie, że nie będą ich potrzebować na drogę powrotną.

Ja sam przygotowywałem się nie bez niepokoju. Nie bałem się bitwy - walka z ludzkimi przeciwnikami nie napawała mnie lękiem, a wiedziałem, że śmierć i tak nadejdzie we właściwej chwili - ale obawiałem się, że będę musiał zdradzić Aleksandra, aby chronić syna. *Przeklećci głupi ludzie*, myślałem. *Z demonami szło mi łatwiej*. Przeznaczenie Ezzarian nie polegało na tym, by babrać się w ponurych sprawach tego świata. Powiniennem wymyślić jakiś sposób, by uniknąć wmieszania w napaść.

Oddział, jakby wezwany przez dzwon, zebrał się przy wysokim kamieniu. Na szczyt skały wspiął się mężczyzna, gorący wiatr poruszał jego tuniką i długimi ciemnymi włosami. Choć w mroku nie widziałem jego rysów, poza sztyletami namalowanymi na policzkach, rozpoznałem jego moc.

- Znów stajemy gotowi sprawdzić swoją determinację. - Mówił cicho, lecz siła jego słów odciągnęła mnie od kamienia, na którym siedziałem, na tyły jego grupy. Nie mogłem oderwać od niego oczu. - W naszych rękach spoczywa sprawiedliwość. Żaden człowiek nie będzie niewolnikiem, jeśli tylko znajdziemy sposób, by go uwolnić. Żadne dziecko nie będzie głodne, jeśli zdołamy je nakarmić. Żaden tyran nie będzie władał, jeśli uda się go obalić. Nasze miecze rozjaśnią światłem ten mroczny świat.

- *Lukash!* - Dwudziestu jeźdźców powtórzyło szeptem to słowo, nie jak okrzyk radości, ale jak modlitwę. *Lukash* - światło.

- Wszyscy znacie swoje obowiązki. Brama będzie otwarta, kiedy przybędziecie. Na murach nie powinno być więcej niż dziesięciu żołnierzy z garnizonu, a zmiana straży ma nastąpić dopiero po przybyciu karawany. Bądźcie szybcy, przyjaciele, i silni.

Blaise zszedł ze skały i zniknął mi z oczu wśród odzianych na czarno ludzi. To Farrol mnie odszukał i kazał mi trzymać się blisko siebie.

- Blaise chce, żebyś wziął w tym udział - oznajmił, gdy wsiedliśmy na konie i wyprowadziliśmy kolumnę jeźdźców z rozpadliny. - Choć znam go od kołyski, nie mam pojęcia dlaczego. Ale wiedz jedno. Jeśli choć mrugniesz okiem w nieodpowiedniej chwili, wyrwę ci serce.

Czy powiesz mi, gdzie się udajemy?

- Wkrótce sam zobaczysz. Mamy zamiar podrażnić diabła.

Drużyna z dużą prędkością pokonała równinę, mijając grupy skał, których bezkształtne sylwetki ciemniały na tle gwiazd. Powietrze szarpiące moje włosy było chłodne i suche, pachniało trawą i kurzem. Jazda przez równiny w stroju o barwie północy wywoływała

we mnie dziwne odczucia. Miałem wrażenie, że granice mojej fizyczności się rozplývają, jakbym wtapiał się w ciemność. Czy moi towarzysze też to czuli? Czy to właśnie tak bardzo wiązało ich ze sobą? Widziałem jedynie białą farbę na ich twarzach. Biała plama na ziemi. Miecz światła.

Blaise nam nie towarzyszył. Byłem pewien, że wyczułbym jego obecność. I rzeczywiście, to Farrol dowodził drużyną. Machnął ręką i dwóch jeźdźców oderwało się od pozostałych, kierując się w stronę ostatnich promieni zachodzącego słońca. W ciągu kwadransa stroma góra przed nami nabrała złowrogiego wyglądu. Na szczycie wzniesienia stała potężna twierdza, zamek o pięciu wieżach i grubych murach, w którym z łatwością pomieściłoby się tysiąc wojowników. Dwie kamienne wieże podtrzymujące bramę z drewna nabijanego żelazem chroniły drogę, która wspinała się po stromym zboczu. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak dwudziątka mężczyzn i kobiet mogłaby poruszyć choć jeden kamień tej budowli.

Nyabbozi. Imię było znajome, ale nie ufałem pamięci. Nyabbozi był jednym z dwudziestu hegedów, najstarszych i najpotężniejszych rodów Derzhich. Ale wspomnienia podpowiadały mi, że twierdza bezlitosnych Nyabbozich leży na zachodniej granicy Azhakstanu, w miejscu, gdzie Cesarska Droga przecinała szlaki karawan prowadzących do ziem Veshtarów i Hammadich, zaledwie dziesięć dni drogi od Zhagadu i nie mniej niż cztery tygodnie jazdy od Kuvaui. A jednak to właśnie sprawiało, że rozmowa Blaise'a i Farrola nabierała sensu. Ród Nyabbozi kontrolował handel niewolnikami. Na dziecko Verdonne, co myśmy narobili... i co jeszcze mieliśmy zamiar uczynić?

Jeźdźcy zsunęli się z siodła, a ja opadłem na ziemię obok niskiego mężczyzny i chwyciłem go za rękaw.

- Farrol...

Przycisnął mi nóż do żeber, na tyle mocno, by przez koszulę naciąć skórę.

- Będziesz stał przy mnie i robił dokładnie to, co ci każę, albo Saetha dostanie wyzwanie, na które nie jest przygotowana. Wytnę ci język, zanim ostrzeżesz tych przeklętych Derzhich.

Wiedziałem, że nie powinienem jeszcze ujawniać swych umiejętności, dzięki którym mógłbym przycisnąć mu do szyi jego własny żalony nóż. A tak tylko odepchnąłem jego rękę. Jak tylko zaczną to swoje głupie przedsięwzięcie, znajdę sposób, by trzymać się z dala.

Dwaj jeźdźcy odprowadzili konie, a reszta pospieszyła w stronę bramy zamykającej wejście na stromą drogę. O czym myśleli? Tej nocy jednak słowo „niemożliwe" straciło znaczenie. Gdy wkroczyliśmy na ubitą drogę, czyjeś ciało spadło z jednej ze strzegących

przejścia wież na skały i wkrótce okute żelazem wrota otworzyły się powoli. Szybko i cicho przeszliśmy na drugą stronę. Ukryłem się za Farrolem w cieniu schodów prowadzących na wieżę, podczas gdy reszta wtopiła się w skały wzdłuż drogi do zamku. Bramy znów się za nami zamknęły. Bezszelestnie, bez alarmu. Widziałem, jak Blaise zeskakuje ze schodów wieży i ląduje lekko tuż przed nami.

Oszołomiony, zaskoczony, obserwowałem, jak biegnie wzdłuż drogi, kiwa głową, sprawdza pozycje, gestem każe jednemu ze swych ludzi zbliżyć się do ścieżki lub też głębiej schować się w cieniu. Krótka chwila ciszy, i oto usłyszałem dochodzący zza murów krzyk zhaidega-padlinożernego wilka - a Blaise zniknął w ciemnościach.

Zachowywaliśmy milczenie. Czekaliśmy. Wkrótce suchy pustylny wiatr, który krążył wokół wież i skał, przyniósł ze sobą żalorny jęk, niebędący dziełem natury, a woń pustynnej nocy splamił smród, który znałem tak dobrze, że aż zmiękły mi kolana. Jęk był czystą rozpaczą - dowodził nieznośnej straty, niezgłębionego bólu. Smród łączył w sobie odór niemytych ciał, sączącej się krwi i gnijących ran, choroby, grozy i skażonego jedzenia. Niewolnicy. Całe setki. Powolny brzęk łańcuchów przybierał na sile.

Ciała... blisko mnie, zalane potem lub płonące od gorączki... nie można się poruszyć, chyba że razem z pozostałymi, niczym czołgający się robak. ..nie sposób odetchnąć powietrzem, które nie niosłoby smrodu... pęcherze i zakwasy po długich dniach drogi... oczy zamglone z braku snu... ciało poszarpane przez bat... nadgarstki i kostki otarte przez ciągły szarpiący ruch stalowych kajdan połączonych z setką innych. Ileż to razy... trzy... cztery... prowadzono mnie w karawanie niewolników? Ostatnio z Sikkoratu do Capharny, trzydzieści siedem dni po spalonej słońcem pustyni. Odetchnąłem ciężko i zmusiłem żołądek, by się uspokoił. Wyciągnąłem miecz i kucnąłem przy Farrołu, który wpatrywał się we mnie zza maski farby.

Wołanie o hasło z wieży przy bramie. Śmiech i odzew zza bramy.

Napiąłem mięśnie, gotowy do skoku. Nie potrzebowałem rozkazu.

Brama otworzyła się i przejechało przez nią dwóch Yeshtarów w pasiastych szatach.

Wytrzymaj... wytrzymaj... Wyczuwałem, jak wola Blaise'a powstrzymuje jego żołnierzy. Przy akompaniamencie ostrych krzyków nadzorców i trzasku bata masa ludzkiego cierpienia, czyli karawana niewolników, zaczęła przechodzić między wieżami. Zupełnie jakbyśmy to zaplanowali, w tej samej chwili Blaise i ja wykrzyknęliśmy: „Teraz!”.

Ubrani na czarno banici rzucili się na karawanę, powalając nadzorców i rozprasząc strażników. Kilku z jeźdźców miało przy sobie topory, którymi zaczęli rozcinać łańcuchy i sznury, uwalniając niewolników, zanim zamkowy garnizon przyszedł na pomoc Veshtarom.

Powiedzieli oszołomionym niewolnikom, by szukali pomocy w świątyniach Khessidy, pobliskiego miasta na granicy z Basranem, i by szybko się rozproszyli, gdyż baron wkrótce powróci z większymi siłami i nie będzie zachwycony, widząc, że znikł jego cenny ładunek.

Powaliłem dwóch veshtarskich strażników, którzy atakowali banitów Blaise'a długimi szablami, a później zaangażowałem się w pojedynek z oszołomionym Derzhim, wyrwanym z łóżka w strażnicy niższej z wież. Obudził się dość szybko i okazał nawet dość wymagającym przeciwnikiem, nim przywiązałem go do słupa jego własnym złotym pasem. Dwaj jego towarzysze wyszli z budynku, przecierając oczy, i wpatrywali się w niego z wyrazem osłupienia na twarzy, nim zdołali dostrzec kotłowaninę przy bramie. Byli nieuzbrojeni, więc wyszedłem z cienia i zmusiłem ich do powrotu do komnat. Przed drzwiami ustawiłem stertę beczek, by zablokować wyjście. Wezwałem wiatr i zgasłem pochodnie, które oświetlały drogę. Teraz gdy niewolnicy się rozproszyli, ryzyko zabicia niewłaściwej osoby znacznie spadło.

Farrol walczył z kolejnym Derzhim, który nie miał przy sobie broni i posługiwał się jedynie zakrwawionymi dłońmi, a banita mieczem zmusił go, by położył się na ziemi, i zaczął z niego drwić. Powstrzymałbym to - taka rzeź nigdy nie przynosiła efektów - ale wtedy właśnie jakiś Veshtar próbował odrąbać mi ramię i na chwilę odwrócił moją uwagę. Gdy znów spojrzałem w stronę Farrola, Derzhi nie żył, z jego rozciętego gardła wypływały fontanny krwi. Zabijanie veshtarskich handlarzy niewolników to jedno. Mordowanie bezbronych Derzhich to coś zupełnie innego. Wycofałem się.

Niektórzy z niewolników wydostali się już przez bramę na otwartą przestrzeń, pomagając sobie nawzajem i zabierając broń, bukłaki z wodą i konie powalonych Veshtarów. Inni błakali się oszołomieni, pozwalając, by odprowadzono ich w bezpieczne miejsce. Kilku zaczęło się krwawo mścić na nadzorcach. Odwróciłem wzrok i przypomniałem sobie rozpacz lat niewoli. Kilku było zbyt słabych i siedziało bez ruchu na kamieniach, czekając na ponowne pojmanie. Nie uda nam się wydostać ich stąd wszystkich.

Długo walczyłem. Niewielki oddział thridzkich najemników przybył ze strażnicy gdzieś przy drodze. Nie widziałem innych niewolników i nagle przyszło mi na myśl, że Blaise i pozostali uznali za zabawne, by porzucić mnie tutaj, pośrodku rzezi. Ale pięciu Thridów nie pozostawiało mi dużo czasu na zmartwienia.

Konny nadzorca, próbując opanować rozszalałego konia, machnął biczem i rozciął twarz niewolnicy, która próbowała uciec z zamieszania. Kobieta opadła na kolana na środku drogi, lecz Veshtar tylko zaciął rumaka, kierując się w stronę bezpiecznego zamku. Przejechał prosto po niej, a kopyta i ostre nagolenniki rozerwały ciało kobiety na strzępy. W bezmyślnej

wściekłości porzuciłem jedyne pozostałego przy życiu Thrída, przeskoczyłem nad nieruchomym ciałem niewolnicy i ruszyłem w pogoń. Ściągnąłem Veshtara z siodła i smakowałem przerażenie na jego twarzy, gdy kopnięciem rzuciłem go na kamienie i przebiłem mu brzuch mieczem. Wyciągnąłem broń i znów uderzyłem. I znów, i znów, wyzwalaając wściekłość, którą, jak mi się zdawało, zużyłem już w pełnych krwi snach.

Mógłbym tak bez końca rąbać veshtarskiego kupca, lecz na moje ramię w uspokajającym geście opadła czyjaś ręka, a kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem usmoloną twarz z białymi sztyletami. Blaise. Jego spokój otoczył mnie niczym płaszcz. Wskazał na stromą drogę, a gdy ogień w moich żyłach ostygł, usłyszałem kroki zaledwie kilka zakrętów nad nami. Żołnierze. Co najmniej dwudziestu. Razem pobiegliśmy drogą, zbierając resztę drużyny i zachęcając ociągających się niewolników, by poszukali schronienia w ciemności nocy, wśród skalistych wzgórz. Z dalekiej północy, wzdłuż Cesarskiej Drogi prowadzącej z Zhagadu, nadchodziła armia licząca co najmniej pięciuset ludzi. Gdy odjeżdżaliśmy, obejrzałem się przez ramię i ujrzałem to, co zobaczę, gdy zbliżą się do fortecy - wysoki na człowieka biały sztylet, namalowany na bramie.

Rozdział 13

Nie minęły kolejne trzy godziny i zmęczeni banici powrócili do zielonej doliny, gdzie czekali ich towarzysze. Oceniałem, że przejechaliśmy jakieś trzysta lig od bram fortecy barona Nyabboziego. To było niemożliwe. Tak samo jak to, że Blaise wspiął się na mury, zabił dwóch strażników, nie budząc pozostałych, i otworzył bramy, by nas wpuścić. Plan był ryzykowny, ale sprytny - atak na karawanę niewolników w murach twierdzy Nyabboziego wywarł o wiele większe wrażenie, niż gdyby wydarzył się gdzieś pośrodku dziczy. Jak, na bogów, Blaise tego dokonał? Moje ciało było śmiertelnie zmęczone. Moja dusza jeszcze bardziej.

W zimnym szarym blasku, gdy ptaki zaczynały już witać świt żałosnymi okrzykami, ukląknęłam przy strumieniu i nabrałam wody w ręce. Szorowałam krew pod paznokciami i sadzę na twarzy, pozwalając, by brudna woda spływała na trawę. Pragnąłem, by mój zdeorientowany umysł znalazł odpowiedzi na wszystkie nękające mnie pytania, i oczyścił moją duszę. Demoniczne leczenie Saethy i szaleńcza zemsta, jaką wywarłem na veshtarskim kupcu, ciążyły mi niczym kamień.

Ci, którzy zostali na miejscu, świętowali nasz powrót rozpaleniem ogniska, na którym upiekli jelenia. Radosnymi okrzykami i śmiechem przywitani opowieść o dobrze zaplanowanym ataku i rozproszonych niewolnikach. Nie chciałem brać w tym udziału. Nie żałowałem śmierci veshtarskich handlarzy ani też wolności tych z więźniów, którzy byli wystarczająco zaradni, by się ukryć. Ale konsekwencje ataku mnie nie zachwyciły. Banici nie mieli pojęcia o brutalnych zasadach rządzących światem. Ja wiedziałem, co stanie się z niewolnikami, którzy znów zostaną pojmani, i tymi, którzy byli zbyt słabi, by uciekać. Wiedziałem, jaki los czeka strażników przy bramie, kiedy baron odkryje, że jego twierdza została zdobyta. I wiedziałem, co się wydarzy w pobliskich osadach, gdy Derzhi odnajdą jednego ze swoich, z podciętych gardłem i bez broni w ręku. Nie mogłem znieść myśli, że demon Saethy usłyszy tę historię.

- Jesteś wojownikiem. Dobrze cię oceniłem. - Blaise siedział po drugiej stronie strumienia, opierając się o krzywą sosnę.

- Nic o mnie nie wiesz. - Chyba okazałem zimną krew, skoro nie wyskoczyłem ze

skóry na jego widok, tak nagle się pojawił. Tajemnice Blaise'a denerwowały mnie coraz bardziej.

- Płaczesz.

- A jednak nazywasz mnie wojownikiem. - Czy już zawsze będą mnie dręczyć towarzysze czytający mi w duszy?

- Chciałbym to zrozumieć. - Pochylił się do przodu, a jego ciemne oczy zabłyśły w ostatnich promieniach zachodzącego sierpa księżyca. - Nie żałujesz jedynie niewolników, prawda? Farrol mówił, że chroniłś Derzhich. A ja podejrzewam, że oplakujesz nawet tę veshtarską świnię, którą sam porąbałeś na miazgę. Uczono mnie, że ezzariańskich czarodziejów nie obchodzą smutki tego świata.

- A ja chciałbym zrozumieć, jak przejechaliśmy sześćset lig jednej nocy i jak udało ci się dostać do twierdzy Derzhich, której przez ostatnie pięćset lat nie zdobył żaden wróg. Może moglibyśmy wymienić się opowieściami.

Potrząsnął głową ze śmiechem.

- Jeszcze nie. Na razie proszę cię tylko, żebyś mnie ostrzegł, jeśli kiedyś zapragniesz mnie zabić. Wolałbym umrzeć na wiele różnych sposobów, niż zginąć z twojej ręki.

- A ty powstrzymasz swojego przyjaciela od zasztyletowania mnie podczas snu? Kiedy będę bezbronny?

Nie był to żart i Blaise się nie roześmiał.

- Mój przyjaciel nie powinien cię martwić. Jesteś pod moją opieką.

Jakoś nie poczułem się po tym lepiej.

* *

W ciągu następnych dwóch tygodni Yvor Lukash poprowadził swoich jeźdźców na trzy kolejne wyprawy. Za każdym razem przyrzekałem sobie, że nie pójdę, lecz Blaise dawał mi wyraźnie do zrozumienia, że udział w wojnie świadczy o mojej szczerości. Wkrótce się dowiedziałem, że nikt z drużyny nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie Blaise posyła ezzariańskie dzieci, a on sam nie powiedział nikomu, że jestem krewnym jednego z nich. Gdybym odszedł, porzuciłbym syna, więc nie mogłem odmówić udania się tam, gdzie mnie posyłał.

Jedna z wypraw zawiodła nas do centrum Yayapolu, gdzie mieliśmy ukraść podatki zgromadzone przez skorumpowanego manganarskiego poborcę imieniem Govam. Govam

słynął z tego, że zawyżał daniny dla zamożnych kupców - z czego większą część zatrzymywał dla siebie i wysyłał przełożonym tylko tyle, by zbytnio nie narzekali. Jeśli ktoś nie zdołał zapłacić, Govam odbierał mu dom, sklep, niewolników albo ziemię. Biedniejsi uiszczali Derzhim dziesięcinę, a wielu musiało wybierać między nakarmieniem dzieci a płaceniem podatków. Govam udawał współczucie i pozwalał im się ociągać, starannie zapisując ich długi. Kiedy wycisnął już wszystko z zamożnych mieszkańców Yayapolu, przypominał te długi, twierdząc, że to baron odkrył jego szczodrość. Oczywiście, nikt nie mógł zapłacić, a Govam, płacząc i przepraszając swoich dłużników, zabierał im żony i dzieci, i sprzedawał je Veshtarom. Taka praktyka często zdarzała się w cesarstwie, ale Govam doprowadził ją do perfekcji.

Kiedy już stłumiłem niepokój, wywołany myślą, że za ten czyn Aleksander kazałby nas włączyć wołami, uznałem za całkiem zabawny widok skradzionych monet przyklejonych do wewnętrznych ścian świątyni Dolgara grudkami błota. Biedni wierni będą mogli przyjść i wymienić swoje kawałki cyny i żelaza na monetę, która pozwoli im wykarmić przez rok rodzinę. Cieszyło mnie, że tym razem obyło się bez rozlewu krwi. Blaise przywiązał poborcę podatków nago do latarni i ogolił mu głowę i brodę. Sprawiedliwości stało się zadość. Poborca robił to samo, by zawstydzić biednych manganarskich rzemieślników, którzy nie mogli sobie pozwolić na płacenie łapówek. Farrol dodatkowo namalował na brzuchu Govama biały sztylet.

Choć wyprawa się powiodła, nikt nie pomyślał o rozsądnym planie opuszczenia osady. Noc była duszna, wąskie uliczki wypełniał smród. Rządzący miastem Derzhi wysłał w pościg doświadczone wojska manganarskiego burmistrza. Zdyscyplinowane oddziały zbliżały się nieuchronnie z każdej strony. Byłem niemal pewien, że już po nas. Popędziliśmy ciasną alejką, odpychając chude koty, przeciskając się obok odpadów z rzeźni i stert śmieci, parujących w upale, lecz na drugim końcu czekały na nas pochodnie i miecze. Wycofaliśmy się, przepchnęliśmy między gapiącym się żebrakami, którzy wyszli, żeby wszystko obejrzeć, i wbiegliśmy po wytartych kamiennych schodach na ciemny dziedziniec, wypełniony duszącym odorem ludzkich odchodów i płonącej yarethy, niszczącego umysł narkotyku tak lubianego przez bogate, znudzone kobiety i nędzarzy. Pospiesziliśmy przez gniazdo plugastwa, przeskakując nad rozciągniętymi ciałami - nie potrafiłem stwierdzić, żywymi czy martwymi - pragnąc wydostać się z kwartału domów po drugiej stronie. Ale ja podniosłem rękę, by zatrzymać pozostałych. W uliczce za zrujnowanymi domami czekali w ciszy konni. Szepsem ostrzegłem Blaise'a i Farrola.

- Znajdę drogę - postanowił Blaise i pobiegł tam, skąd przybyliśmy, znikając w cieniach.

Wkrótce powrócił, skierował nas przez labirynt uliczek i warsztatów, po czym znów znikł. Cztery razy zrobił to samo, czekając na nas na każdym zakręcie drogi, by powiedzieć nam, gdzie mamy teraz iść. Nigdy się nie pomylił.

Drugi wypad zaprowadził nas do ludnego miasta Dargonath na zachodnim krańcu cesarstwa. Zapasy ziarna, które przyplłynęły z południa, gniły w spichrzach Hollennich, podczas gdy w ubogich dzielnicach panował głód. Faktor Derzhich udał się do Zhagadu na wyścigi konne, nie zostawiając żadnych poleceń w sprawie sprzedaży czy rozdawania zboża. Blaise dowiedział się, że mężczyzna został aresztowany za próbę otrucia jednej z kochanek cesarza i już nie wróci, lecz holleńscy pomocnicy faktora nie słuchali błagań umierających z głodu mieszkańców i zamknęli cenne ziarno. Blaise odnalazł drogę do spichrzy - wykazywał do tego niepospolity talent - a pozostali rozdzielili zapasy między wygłodzony tłum. Farrol chciał zgładzić zdradzieckich Hollennich, ale Blaise mu tego zabronił, twierdząc, że zabrakłoby czasu na odpowiednią z nimi rozprawę. Chciał służyć sprawiedliwości, nie zemście. Ponieważ tę wyprawę zaplanował jeszcze gorzej niż w Yayapolu, miejski garnizon już siedział nam na karku i Farrol nie zdołałby wykorzystać żadnego ze swoich symbolicznych gestów, musiał zatem porzucić zdrajców pośrodku dzielnicy ubóstwa.

Następną wyprawę nasza siódemka przedsięwzięła na graniczną placówkę, gdzie basrański kapitan bogacił się, żądając olbrzymich łapówek od podróżnych. Gdy podtoczyliśmy bele słomy pod dom kapitana i koszary strażników i polaliśmy je oliwą ukradzioną z niestrzeżonego magazynu, próbowałem przekonać Blaise'a, że przekazanie tej sprawy cesarzowi przyniosłoby lepszy skutek niż spalenie w łózkach kilkudziesięciu ludzi. Farrol oskarżył mnie o sympatię do Derzhich.

- Pewnie znalazł pana, który mu odpowiadał. Może nawet to była pani... bogata tłusta krowa, która lizała go po tyłku i mieszała mu w głowie.

- Nawet splątany umysł potrafi zauważyć różnicę między słusznym gniewem a bezcelowym mordem - odparłem.

- Muszę być pewien, że lekcje, jakie im udzielam, nie zostaną zignorowane - rzekł Blaise. - Nie mam czasu błagać lub przekupywać pięćdziesięciu różnych urzędników, którzy dzielą mnie od cesarza, i za każdym razem wychodzić z pustymi rękami, wyszydzony. Cesarza ani żadnego z ludzi, którzy mu służą, nie obchodzi sprawiedliwość.

- W tym domu przebywają niewinni ludzie, dzieci, niewolnicy, a w koszarach głupi, bezmyślni żołnierze. Większość z nich to niepiśmienni poborowi znad granicy. Jakiej

sprawiedliwości tu służysz? Jakiej lekcji chcesz udzielić?

- Zapalajcie.

Pozostali banici rzucili pochodnie na słomę, choć równie dobrze mogli podpalić je swoją gorliwością. Ale gdy wyjeżdżaliśmy z miasta, Blaise opuścił nas na chwilę i powrócił z rękami pokrytymi pęcherzami i koszulą w połowie spaloną. Nie odpowiedział na żadne pytanie Farrola.

Brałem udział w tych wszystkich wypadach, próbując zrozumieć, jak Blaise tworzy swoją magię, a jednocześnie zachować skórę i honor. Ze skórą mi się udało, z honorem nie bardzo. Podstęp wyzerał mnie niczym kwas papier. Nie dowiedziałem się niczego o magii, którą celowo przede mną ukrywano, i niewiele o samym Blaisie, prócz tego, że wszyscy banici, mężczyźni i kobiety, z chęcią oddaliby za niego życie. Im dłużej obserwowałem i słuchałem, tym więcej rozumiałem. Choć nie zgadzałem się z większością nieprzemyślanych planów Blaise'a, a jego poglądy na temat dobra i zła uważałem za zbyt płytkie, nie potrafiłem nie docenić jego zalet. Był bystry i szczodry, łagodny i oddany swoim ludziom - a pojęcie to obejmowało chyba każdego na świecie, kto potrzebował od niego jakiegokolwiek daru. Jego pragnienie sprawiedliwości było zaraźliwe. Dostrzegał problemy wszystkich: czy to niepiśmiennego chłopca, który zaharowywał się na śmierć na polach Derzhich lub w ich kopalniach, a jego rodzina nosiła szmaty i przymierała głodem, czy to dzierżawcy, którego chatę spalono, gdyż psuła Derzhim widok, czy dziewczynki, którą oderwano od rodziny i zmuszano do polerowania dniem i nocą wnętrza cennych słoików na olejki, gdyż miała małe dłonie. Zacząłem myśleć, że gdyby udało mi się doprowadzić do rozejmu między nim a Aleksandrem, i księżę, i banita mieliby o wiele łatwiejsze życie, a świat stałby się o wiele lepszy.

Farrol to zupełnie inna sprawa. Był prawą ręką Blaise'a, to on zajmował się wstępnym planowaniem każdej wyprawy, jednocześnie z oddaniem strzegąc pleców swojego dowódcy. Domyślałem się, że są przyjaciółmi z dzieciństwa, związanymi ze sobą tak blisko, że mogli za siebie kończyć zdania i śmiać się z żartów opowiedzianych tylko w połowie. Nie sądziłem jednak, by surowy, krępy mężczyzna dobrze służył Blaise'owi, i zastanawiałem się, czy nie zamierza przypadkiem podstępem zniszczyć druha. Przygotowywane przez niego plany były zwykle krwawe, nieprzemyślane i skierowane w najczulsze miejsca Aleksandra. Blaise wykazywał nieco więcej rozsądku, ale nie miał czasu ani ochoty kłócić się o wszystko. Ja trzymałem się na uboczu i nie mogłem stanowić przeciwwagi dla rad kogoś tak mu bliskiego. Farrol mi nie ufał i nie pozwalał Blaise'owi o tym zapomnieć.

Jeśli chodzi o mnie, nadal byłem sam. Blaise nie udzielał mi żadnych informacji, ale też nie wtrącał się w moje sprawy. Raz tylko podniósł tę kwestię, pewnego ranka trzy tygodnie po moim przybyciu, gdy wypadła moja kolej oczyszczania ryb, które inni schwytali w pobliskim jeziorze. Przyszedł i usiadł przy mnie w milczeniu, jak to od czasu do czasu robił z każdym, kto pracował w jego obozie. Podał mi kolejną rybę z miotającej się sterty i przyglądał się w milczeniu, jak robię krótkie nacięcie przy łbie i na ezzariański sposób usuwam wnętrzności. Potem umyłem resztę ryby, nie w strumieniu, jak to czyniła większość, ale w wodzie specjalnie nabranej i wykorzystanej tylko do jednej ryby.

- Nie pytałeś o syna - zaczął po chwili.

- Założyłem, że w swoim czasie mi o nim powiesz. - Wziąłem kolejną rybę. Mój nóż poruszał się machinalnie, podczas gdy błądziłem myślami gdzie indziej.

Pokiwał głową i podniósł się, by odejść. Opłukał dłoń, nie w strumieniu, ale w wodzie z wiadra, którą do tego celu przyniosłem.

- Zgadza się.

Potem odszedł i zaczął pomagać starcowi ciągnąć ciężkie sanie wypełnione drewnem. Miałem ochotę rzucić w niego nożem.

Dostałem koc i siennik w niedużych koszarach, razem z innymi mężczyznami. Nikt nie próbował się ze mną zaprzyjaźnić, ale też nie zostałem zamordowany we śnie. Po wyprawie na Nyabboziego Blaise zaczął mnie prosić, bym opowiedział mu o taktyce wojowników Derzhich i zwyczajach panujących w ich domostwach. Choć w kolejnych wyprawach nikt nie powierzył mi żadnej odpowiedzialnej funkcji, traktowano mnie z niejakim szacunkiem ze względu na moje umiejętności walki. Po trzeciej wyprawie Blaise spytał, czy nie nauczyłbym jego wojowników, jak bronić się przed mieczami Derzhich, i odtąd każdego ranka pracowaliśmy nad tym przez dwie godziny. Stał obok swoich ludzi, powtarzał z nimi każdy ruch, uczył się, zadawał pytania i śmiał z własnych błędów, gdy przeprowadzałem z nimi najprostsze ćwiczenia. Do wojowników Yvora Lukasha należeli parobkowie i służący, młynarz i pomocnik kowala. Nikt z nich nie przeszedł nigdy szkolenia bojowego, a jednak wszyscy gotowi byli zginąć na słowo Blaise'a. Ich sukces wynikał ze ślepej odwagi, zdecydowania oraz umiejętności i błyskotliwości przywódcy, który potrafił natchnąć ich do wielkich czynów.

Pewnego deszczowego wieczora, gdy siedziałem przy ogniu i ostrzyłem nóż, który nie mógł już być ostrzejszy, Blaise usiadł przy mnie i spytał, czy nauczyłbym go „magii”. Byłem zaskoczony.

- Wydaje mi się, że radzisz sobie całkiem dobrze bez mojej pomocy - powiedziałem. - Zastanawiałem się nawet, czy nie zwrócić się do ciebie z taką samą prośbą. Zdziwiasz mnie, pojawiaasz się znikąd, widzisz rzeczy, których nie masz prawa widzieć, chyba żebyś siedział na księżycu, przenosisz nas z jednej strony cesarstwa na drugą, zanim zdążę strawić obiad. Co jeszcze chciałbyś umieć?

Zarumienił się i szepnął:

- Wciąż znajduję w domu myszy, a Kyor utrzymuje, że zrobiłeś coś, żeby trzymać jeż dala od koszar.

Nie roześmiałem się. Byłem zbyt zaskoczony. Kto nauczył go tak potężnych czarów, nie przeprowadzając go najpierw przez te najbardziej podstawowe? Moje zdumienie wzrosło, gdy po półgodzinie prób nie zdołał wyczarować nawet światełka na palcach. Miał w sobie melyddę, ale o jej używaniu wiedział nie więcej niż niemowlę. Poszedłem do chaty, którą dzielił z Farrolem, i sam rzuciłem barierę przeciw szkodnikom.

- Tego pragnąłem nauczyć syna - wyznałem, gdy skończyliśmy i Blaise podziękował mi za lekcję.

Przechylił głowę.

- Jesteś dobrym nauczycielem.

I tyle.

* *

Kilka dni po wyprawie do Basranu Farrol przyszedł do Blaise'a z nowym pomysłem.

- Jakkor, handlarz końmi, mówi, że każdego roku o tej porze z pół nocnych marchii do Zhagadu ciągnie karawana koni do cesarskich stajni. Twierdzi, że tegoroczne są wyjątkowo dobre. Pomyśl, co moglibyśmy zrobić z wierzchowcami Derzhich. Sprzedalibyśmy połowę wozom Peskarów... im nie przeszkadzałby fakt, że podebraliśmy te rumaki Derz him... a resztę wykorzystalibyśmy na własne potrzeby. Ze sprzedaży moglibyśmy nakarmić Kuvai przez rok albo zapłacić thridzkim najemnikom, żeby Derzhi nie mogli ich już wynająć. Co więcej, cała operacja nie będzie wymagać zbyt wiele wysiłku. Karawana przejdzie przez Zwężenie Makai, a jak słyszałem, towarzysząca jej straż nie będzie zbyt liczna. Derzhi nawet sobie nie wyobrażają, że ktoś mógłby wyciągnąć ręce po ich konie.

- I nie bez powodu - wtrąciłem. - Czy nie rozumiecie, że Derzhi cenią swoje konie bardziej niż domy, bardziej niż złoto, niż wszystko inne poza własnymi dziećmi... i to też nie

zawsze? A konie cesarza... - Na bogów ziemi i nieba, konie Aleksandra. Dostanie szał. Nic tak nie ujawni jego słabości w oczach wysokich rodów, jak kradzież koni sprzed nosa. - To podstawa ich bogactwa, symbol statusu i honoru. Lepiej zabrać się za kolejnego poborcę podatkowego, a nawet za skarbiec cesarza.

Blaise spojrział na mnie ponad ogniskiem.

- Słyszałem o tej pasji Derzhich, ale nigdy w to nie wierzyłem. Czyżby cenili zwierzęta bardziej niż ludzi?

- Uwierz mi.

- Próbuje nas tylko powstrzymać, żebyśmy nie niepokoiili jego przyjaciół - warknął Farrol. - Czemu go słuchasz? Zawsze nas krytykuje za rozlew krwi... Tym razem nie będzie rozlewu krwi. Załatwimy się w pół dnia. Jeśli to przyciągnie ich uwagę, tym lepiej. Przecież tego właśnie chcemy.

Nie potrafiłem ich przekonać, że Derzhi do ostatniej krwi będzie bronić koni swojego pana. Nie umiałem wytłumaczyć, że taki czyn najpewniej ściągnie na nich gniew cesarza. Nie mogli zrozumieć, że dla Derzhich konie mają tak olbrzymią wartość i dlatego nie pojmowali konsekwencji swojego planu. Uczucie grozy, które poprzedzało każdy wypad, tym razem było trzy razy silniejsze.

W nocy przed wyprawą znalazłem Blaise'a samego, kiedy spacerował przy strumieniu.

- Nie wyruszę na tę wyprawę i tobie też zabraniam. Nie chcę, żebyś zginął. - Znów wymieniłem wszystkie powody, dla których podjąłem taką decyzję. Słuchał w milczeniu i z szacunkiem, ale nie zmienił zdania.

- Czemu tak cię niepokoi to przedsięwzięcie, Seyonne? Nie rozumiesz, że powody, o których wspominasz, skłaniają mnie właśnie do jego realizacji. Derzhi powinni się nauczyć, że ludzi należy cenić bardziej od zwierząt. Nie mogę ci oszczędzić tej wyprawy. Potrzebuję twoich umiejętności. - Poklepał mnie po ramieniu. - Już dawno przypieczętowaliśmy swój los. Co nam teraz zrobią? Zabiją po raz kolejny?

Choć się uśmiechał, wzrokiem rzucał wyzwanie, bym mu odpowiedział, wyznał swoje tajemnice, w pełni poświęcił się jego celom lub wyjaśnił, dlaczego nie mogę tego zrobić. Bym udowodnił swoją szczerą, walcząc u jego boku, lub porzucił udawanie i odszedł. Nie dałem się sprowokować i Blaise ruszył dalej, a ja stałem, przeklinając siebie, los i wszystkich, którzy przyszli mi na myśl.

Musiałem utrzymać Blaise'a przy życiu. Tylko on wiedział, gdzie przebywa mój syn. A poza tym stanowił tajemnicę, która doprowadzała mnie do szaleństwa. Nie pozwolę mu zginąć, nim mi wyjawy, jak zabrał mnie na drugi koniec cesarstwa w jeden dzień, a

jednocześnie nie po trafił rzucić zaklęcia ochrony przed szkodnikami. Co ważniejsze, był dobrym i szlachetnym człowiekiem, przywódcą o takich umiejętnościach i wartości, że nie mogłem dopuścić, by jego szaleństwo go zabiło. Dlatego gdy nadszedł dzień, ja również ubrałem się na czarno, posmarowałem twarz sadzą i namalowałem na policzkach białe sztylety. Modliłem się tylko, by Aleksander nigdy się nie dowiedział, co zrobiłem.

* *

Poranek był chłodny i wilgotny. W Khyb Rash, Górach Zębów, które na zawsze będą mi przypominać Parnifour, miasto, gdzie wszedłem w duszę Aleksandra i walczyłem z władcą demonów, niósł się grzmot. W wysokich dolinach woda i trawa były słodkie, a wysokość pomagała koniom przygotować się do wyścigów. Dlatego też w drugim lecie życia zabierano je z pustynnych stajni w góry na szkolenie. Teraz była jesień, w górach zbliżała się już zima i nadszedł czas, by przenieść cenne zwierzęta do Zhagadu i przekazać dumnemu właścicielowi. Karawana koni, koniuszych i strażników musiała przejść przez Zwęzenie Makai, długie na ćwierć ligi przejście, w którym z trudem mieściły się obok siebie dwa rumaki. Nie było to dobre miejsce do walki - co nikogo nie martwiło, ponieważ żaden bandyta ceniący swoją skórę nie zaatakowałby koni cesarza. Najwyraźniej Blaise i Farrol za nic mieli sobie własne życie.

Zwęzenie znajdowało się na niższym końcu długiej doliny o stromych zboczach, wymytej w górach przez płynącą tu niegdyś rzekę. W tych okolicach występowała głównie miękka ziemia i piaskowiec, przecięte i wygładzone przez wodę. Ale w części doliny potężne występy twardej skały nie dały się ukształtować, tworząc zwęzenie niczym szyjka butelki. W końcu strumień się poddał i zmienił się w jezioro pośrodku górnej części doliny, zaś przejście zostało suche i trudne do przebycia.

Blaise i ja zajęliśmy pozycję na szczycie skały w górnej części przewężenia, skąd mogliśmy obserwować, jak karawana koni przecina dolinę. Gdy już ocenimy ich liczbę i tempo, mieliśmy pospieszyć na dół, do szczeliny, i tam dołączyć do Farrola i pozostałych. Banici zamierzali wyłapać strażników i koniuszych jednego po drugim, gdy ci będą wyjeżdżać z otworu i przeganiać konie do niedużej odnogi doliny biegnącej na lewo od wyjścia z parowu. Gdyby atak dało się przeprowadzić błyskawicznie, nikt z tyłu karawany nie zdołałby zobaczyć, co dzieje się na jej czele, zwłaszcza w mroku wczesnego poranka i cieniu

głazów. Nie powinien też usłyszeć nic ponad tętentem koni odbijającym się od wysokich skalnych ścian.

Nie wierzyłem w to. W życiu nic nie układa się tak łatwo, jakbyśmy sobie życzyli. Kiedy w drodze na wybrane stanowisko mijaliśmy ciemne, wąskie wejście do odnogi doliny, deszcz przeszedł mi po plecach.

Grzmoty dotrzymały obietnicy i pierwszy szary blask świtu najwyraźniej miał być jedynym światłem tego dnia. Ciężkie chmury wznosiły się nad szczytami jak mokra wełna, a krople zimnego deszczu spływały nam po karkach i pozostawiały jasne smugi na usmolonych twarzach.

- Mogą przełożyć podróż - zauważyłem żałując, że nie potrafię tego sprawić siłą woli.
- Pogoda jest paskudna.

Blaise nie odpowiedział, a jego spokojna pewność siebie stanowiła znak potępienia dla mojego nerwowego bełkotu.

Nie minęło wiele czasu od pojawienia się pierwszego światła, gdy usłyszałem odległy odgłos kopyt uderzających o ziemię powoli i leniwie, omijających przeciwny koniec szarego jeziora.

- Jeden... dwóch wojowników na przedzie - oznajmiłem. Słyszałem równy krok dojrzałych rumaków z jeźdźcami, różny od lżejszych, mniej zdyscyplinowanych uderzeń za nimi. - Cztery konie, a później pieszy... najpewniej koniuszy. - Koniuszemu nie pozwolono by dosiadać koni cesarza. - Cztery kolejne konie i znów pieszy. - Postaci, które rozpoznałem, zaczęły wyłaniać się zza zasłony deszczu, mokrego, szarego świata... żałobnego... Dwadzieścia koni, pięciu koniuszych, jeden na cztery konie, dwóch wojowników i dwóch innych jeźdźców, pewnie pomniejszych członków rodu na końcu. Jak zwykle. Jedyny problem to wojownicy, ale nas będzie dwudziestu.

- W takim razie chodźmy. Możesz zająć się jednym z wojowników. Farrol i ja weźmiemy na siebie drugiego.

Blaise zsunął się z kamiennej grzędy i wycofał. Ale ja obserwowałem dalej, jak procesja powoli mija jezioro. Dlaczego leżąc na skałach, miałem wrażenie, że moje plecy są odsłonięte? Obejrzałem się przez ramię na ściany szczeliny, które kryły się w mroku. Przypomniało mi to Aleksandra, to jak ze szczytu urwiska obserwowaliśmy kryjówkę banitów. Nikogo tu nie wyczuwałem, ale chmury były ciężkie, a deszcz zalewał oczy. Znów podkradłem się do przodu i spojrzałem przez dolinę na zbliżających się ludzi i konie. Co mnie tak denerwowało?

Blaise stał w cieniu szczeliny i obserwował.

Jeden z wojowników na czele kolumny był niższy niż jego towarzysz, szczupły, ale szeroki w barach. Siedział w siodle dumnie... i wyglądał znajomo... ale nie potrafiłem go rozpoznać. Warkocz wojownika był jasny. Warkocz... Spojrzałem na pierwszego koniuszego. Nosił płaszcz z kapturem, a spod kaptura, z prawej strony, wystawały splecione włosy. Wojownik? Nikt poza sprawdzonymi w boju wojownikami Derzhich nie mógł nosić takiej fryzury. A co z kolejnym pieszym?

Nie widziałem jego głowy, ale był wysoki i umięśniony. Znów zerknąłem na wojownika na przedzie, który znalazł się tak blisko, że dostrzegłem jego twarz. Krew stężała mi w żyłach. Kiril. Kuzyn Aleksandra, drogi i zaufany przyjaciel księcia. Mój przyjaciel. Lord Kiril, ulubiony siostrzeniec cesarza i jego przybrany syn, nigdy nie prowadziłby zwykłej karawany koni. Musiał być powód...

- Chodź - szepnął Blaise z naciskiem. Chciał wydostać się ze szczeliny na długo przed końmi, by nikt nie usłyszał jego kroków.

- Zaczekaj.

Musiałem się upewnić. Drugi koniuszy ominął jezioro i spojrzał na pochmurne niebo. Jego kaptur opadł i wyraźnie zobaczyłem warkocz. Kolejny wojownik. Powróciłem myślami do wejścia do bocznej doliny i szczytów urwisk, które sprawiały, że dostawałem dreszczy nie tylko z zimna. Opadłem na kamień i z powrotem wciągnąłem Blaise'a w mrok wąskiego przejścia.

- To pułapka. To są wojownicy, nie słudzy. A przywódca... jest jednym z domowników księcia. Nigdy nie posłaliby go do eskortowania koni. - Tylko po to, żeby schwytać banitów.

- Zajmiemy się nimi. I tak muszą przejść pojedynczo. Może nadszedł czas, żebyśmy wzięli jeńca. Kogoś, czyje życie byłoby warte negocjacji. Mówisz, że cieszy się łaską cesarza?

- Nie. Nie. Nie rozumiesz? Wiedzą, że tu przybyliście... przybyliśmy. W odnodze doliny kryje się kolejny oddział. To pewne. I następny na szczytach urwisk. Ktoś was zdradził. Chcą was zmięść z powierzchni ziemi.

Spojrzenie Blaise'a sprawiło, że poczułem się nagi.

- Jesteś tego pewien?

- To kuzyn księcia. Nie pozostałby bez ochrony. Musimy ostrzec twoich ludzi i wydostać ich stąd, nim Derzhi zamkną pułapkę. Wszyscy znaleźliście się w strasliwym niebezpieczeństwie.

- A ty? - Jego głos przeciął mój strach jak zimny nóż. Nie musiałem kłamać.

- Ja w nawet większym. - Jeśli Kiril zobaczy, jak kradnę konie Aleksandra, będę trupem.

Bez dalszych dyskusji ruszyliśmy biegiem, ale zatrzymała nas strzała, która cudem minęła plecy Blaise'a. Zauważyłem kolejny ruch na szczycie urwiska i rzuciłem się na swojego towarzysza, przyciskając go do skał. Pocisk uderzył w kamień i spadł na nas. Wtoczyliśmy się w najgłębsze cienie.

- Potrzebujemy czaru - powiedziałem, podnosząc się i wzywając wiatr, by zawirował deszczem i chmurami. - Wymyśl coś, co okaże się przydatne.

Usiadł i spojrzał na szczyty urwisk, wzdychając.

- Jak widziałeś, posiadam jedynie ograniczone umiejętności.

- To lepiej się zastanów, jak ostrzec twoich ludzi, albo wszyscy zginą. Zaklęcia pogody są trudne, a ja nie potrafię odbijać strzał z pięćdziesięciu kierunków na raz. Nie mam pod ręką niczego, co mógłbym spalić, a nigdy nie potrafiłem długo utrzymywać iluzji. Dysponuję dość wąskim zakresem zaklęć.

Roześmiał się i wstał, po czym poklepał mnie po ramieniu.

- W takim razie chyba nie mam wyboru i muszę odpowiedzieć na jedno z twoich pytań. Pobiegnij szczeliną najszybciej jak potrafisz. Ja ostrzegę pozostałych i zajmę się łucznikami. - W potężnym wybuchu magii, który wyssał całe ciepło z mokrego poranka, Blaise splótł ręce na piersi i natychmiast się przeobraził. Duży ptak, złocisto-brązowy z białymi plamami, zerwał się z ziemi i znikł wśród chmur. Przycisnąłem plecy do kamienia i usiadłem z wrażenia, otwierając usta tak szeroko, że aż dziw, iż nie utonąłem w deszczu.

Rozdział 14

Zmiennokształtny. Wedle najlepszej wiedzy Ezzarian, ja byłem jedynym, który kiedykolwiek doświadczył takiego cudu - czego dowodziła tajemnica skrzydeł za portalem - a ja uważałem się za błogosławionego, uzdolnionego, potężnego i niezwykle szczęśliwego, że udało mi się natrafić na tak potężne zaklęcie. Jednak w chwili przekształcenia Blaise'a, gdy dostrzegłem doskonałą harmonię malującą się na jego twarzy, zrozumiałem, że jestem kaleką. To objawienie po raz pierwszy umieściło mój dar w odpowiedniej perspektywie, i pragnienie, które przez wiele lat od siebie odpychałem, stało się tak dojmujące, że chyba już nigdy nie zdołam go stłumić.

Gdy ruszyłem szczeliną, ciało ciężło mi niczym ołów. Przyciskałem się do ściany, poruszałem się pewnie, lecz powoli, dając Blaise'owi czas, by oczyścić mi drogę. Już nie musiałem się zastanawiać, jak otworzył zamkniętą fortecę ani jak pozbędzie się łuczników na szczytach urwisk... lądując tak lekko za niczego się niespodziewającym wrogiem i uderzając go ręką w szyję. Trzeba tylko umieścić twarz innego człowieka zamiast swojej. Bogowie, jak bardzo pragnąłem być teraz na jego miejscu...

Przed sobą słyszałem krzyki i rzenie koni. *Skoncentruj się, głupcze. Znalazłeś się w pułapce między Aleksandrem a swoim dzieckiem i lepiej się zastanów, jak się z niej wydostać. Skoro nie możesz latać, to biegnij.* Popędziłem szczeliną, nie zwracając uwagi na zagrożenie z góry. Dzielni parobkowie i służący Blaise'a nie wytrzymają zaplanowanego ataku Derzhich.

Tam gdzie Farrol zaplanował zasadzkę, Zwęzenie Makai otwierało się na szeroką, okrągłą grootę zwaną Ustami Makai. Najprawdopodobniej niegdyś była to jaskinia, gdyż ziemię zaśmiewały wielkie odłamki kamienia, które kiedyś spadły ze sklepienia, a pośrodku lśniła duża i głęboka sadzawka. Za nią, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie okrągłe Usta otwierały się na Zwęzenie, leżało wyjście. Wysokie stosy kamieni tworzyły bramę na bezdrzewną równinę, która rozciągała się na wschód wzdłuż pogórza aż po Parnifour, a na południe i południowy zachód przez niezliczone ligi do Avenkharu i dalej aż po pustynię Azhak i Zhagad, stolicę Derzhich. Na lewo od Zwęzenia znajdowały się zacienione skały, wśród których kryli się ludzie Blaise'a, czekając na karawanę koni, a w małej, ciemnej odnodze doliny po prawej Derzhi zasadzili się na banitów.

Kiedy dotarłem do dolnego końca Zwężenia, banici, ostrzeżeni przez Blaise'a, gorączkowo dosiadali koni. Derzhi, dobrze uzbrojeni i zdyscyplinowani, zaczęli wychodzić z kryjówek przez wąski otwór. Nie atakowali. Gdyby chcieli to zrobić, wybraliby krótszą drogę w lewo dookoła sadzawki, mijając Zwężenie. Miast tego ruszyli drogą wśród leżących skał i skierowali się prosto w stronę wyjścia na równiny. Dziecinnie proste. Zamierzali odciąć drogę ucieczki i zepchnąć banitów z powrotem do parowu, prosto w ramiona Kirila.

Ale ostrzeżenie Blaise'a dało jego ludziom szansę - podobnie jak deszcz i ukształtowanie terenu. Ze względu na wąskie wejście do bocznej doliny Derzhi mogli wyprowadzać konie do Ust Makai tylko pojedynczo. Skały i szeroka sadzawka nie pozwalały im utworzyć szyku. Ponieważ deszcz zgasił ich pochodnie, jeszcze nie widzieli Blaise'a stojącego z mieczem w dłoni w mroku po drugiej stronie zbiornika. Obok niego przyczała się wysoka Suzainka i dwóch ezzariańskich młodzików, gotowych zatrzymać Derzhich, gdy pozostali uciekali na otwartą przestrzeń. Nie mieli zbyt wiele czasu. Drużyna Kirila już znalazła się w Zwężeniu. Jeszcze chwila, i jego wojownicy stratuja Blaise'a, zamykając odwrót buntownikom.

Czarem nie zdołałbym zatrzymać Kirila. Choć moi przeciwnicy nie byli demonami, w ludzkiej dziedzinie moje umiejętności podlegały dość znacznym ograniczeniom. Działania, jakie mogłem podjąć w Zwężeniu - rzucić kilka skał, okaleczyć konie, zalać wodą szczeliny - groziłoby śmiercią Kirila i pozostałych. Poza tym, jego oddział przybył zbyt licznie, by rozproszyć go tak prozaicznymi dolegliwościami, jak wysypka na skórze czy węże kłębiące się w butach. Gdy zastanawiałem się, co począć, pierwszy Derzhi zauważył Blaise'a, wykrzyknął ostrzeżenie i zaatakował młodego banitę. Usłyszałem brzęk stali o stal, stękanie ludzi i wściekłe rżenie rannego konia. Już nie myślałem. Tylko jedno potrafiłem zrobić lepiej od nich. Wyciągnąłem miecz i ruszyłem biegiem.

Wyczułem woń potu i oszalałego konia, nim jeszcze dotarłem do walczących. Jalleen rozpaczliwie próbowała uskoczyć przed stającym dęba rumakiem, jednocześnie atakując jego jeźdźca. Udało jej się za dać jeden cios, nim Derzhi przeciął jej szyję. Jej piękne, smukłe ciało upadło bez życia na ziemię i wkrótce zostało stratowane przez narowiste zwierzę.

- Wydostań ich! - krzyknąłem do Blaise'a, który właśnie uniknął ostrza i ciał wojownika w nogę. Jego miecz świsnął w powietrzu. - Ja ich powstrzymam. - Chwyciłem nogę jakiegoś jeźdźca i ściągnąłem go z siodła. Pół minuty później Derzhi wił się na ziemi i przeklinał, ściskając rozcięty mięsień uda, który nie pozwalał mu stanąć.

Dwaj młodzi Ezzarianie znajdowali się po mojej lewej, próbując chronić plecy Blaise'a, ja jednak byłem zbyt zajęty kolejnym Derzhim, by patrzeć, jak sobie radzą.

Wypuściłem strumień ognia, czar, który opracowałem podczas biegu przez Zwężenie. Była to iluzja, więc nie powstrzyma Derzhich na zbyt długo, ale rozproszy ich i da mi czas, bym zajął się kolejnym wojownikiem. Był bardzo zdeterminowany i dobrze wyszkolony. Żeby się uwolnić, musiałem go zabić. *Co ty robisz, głupcze?*

Blaise ściągnął Derzhiego z konia i zwarł się z nim w walce, ale poruszał się zbyt wolno. Jeszcze chwila i zginie.

- Idź! - ryknąłem. - Będę tuż za tobą.

Przykucnąłem i obróciłem się na pięcie, pozostawiając krwawą linię na plecach wojownika. Urwany krzyk po mojej lewej wydał jeden z Ezzarian, który patrzył, jak z jego przeciętego brzucha wypływają wnętrzności. Chwyciłem za rękę w rękawicy, która właśnie unosiła ostrze, by skończyć z chłopcem, i mocno wbiłem pięty w ziemię, by mężczyzna mnie za sobą nie pociągnął. Skręcałem rękę jeźdźca, aż zawył, a kości pękły. Jego przerażony koń wyrwał go z mojego uchwytu, lecz ja pobiegłem za nim i wskoczyłem na siodło, trzymając się ze wszystkich sił, gdy wierzchołek stanął dęba.

Wojownik, rycząc z bólu i wściekłości, zaciekle próbował mi wbić długi, zakrzywiony sztylet między żebra i zrzucić mnie z siodła. Chwilami odnosiłem wrażenie, że ma siedem rąk prócz tej, którą mu złamałem, i najwyraźniej nie potrzebuje żadnej z nich, żeby panować nad rumakiem. Chciałem skończyć to jak najszybciej, ale uświadomiłem sobie, że blokujemy wyjście z bocznej doliny. Dlatego też nie uległem pokusie, by złamać Derzhiemu kark, a zamiast tego wbiłem sztylet w bok konia, doprowadzając biedne zwierzę do jeszcze większego szaleństwa. Rzuciłem kolejną ścianę ognia między nami a uciekającymi banitami, licząc w głowie czas - krótką wieczność, aż do chwili, gdy uznałem, że pora zeskoczyć na ziemię, jeśli nie chce stracić oka lub którejś z kończyn. Zbliżyli się dwaj kolejni wojownicy, machając mieczami. Dlatego jeszcze raz ciąłem jeźdźca w brzuch, by poluzował uchwyt, zeskoczyłem na ziemię, odtoczyłem się jak najdalej od kopyt i zerwałem się na równe nogi. Zdyszany i wymęczony, utykając z powodu rany uda, ruszyłem biegiem, prosto przez gasnącą zasłonę ognia w stronę wyjścia.

Kątem oka dostrzegłem ciemne sylwetki Kirila i jego jeźdźców wyłaniające się ze Zwężenia. Gdybym tylko mógł stworzyć skrzydła... Nie miałem szans ich przegonić. Kolumny skał były zbyt daleko.

Włócznia odbiła się od kamienia tuż przy moim lewym ramieniu. Przykucnąłem i uchyliłem się, na wypadek gdyby kolejny żołnierz wycelował lepiej. W tym czasie jeździec z grupy wychodzącej ze Zwężenia zaszedł mnie od lewej. Wyszkolonym ruchem zsunął się z siodła i lekko wylądował na ziemi, zaś jego rumak zamknął mi drogę ucieczki i niemal

wepchnął mnie w jego ramiona. Nikt tak nie potrafił wykorzystywać koni w walce jak Derzhi. Rzuciłem kolejny płomień, żeby opóźnić resztę drużyny - w takich chwilach trudno wykazywać się wyobraźnią - i zadając szaleńcze ciosy, w końcu powaliłem mężczyznę. Był zajadłym wojownikiem i dopiero gdy stanąłem nad nim z mieczem wycelowanym w jego gardło, gasnący język zaczarowanego ognia pomógł mi zobaczyć jego twarz...a jemu moją. Kiril. Cofnąłem się, odsunąłem miecz i uniosłem dłonie w geście rozejmu.

- Na rogi Druyi! Seyonne?

To tyle na temat pomalowanych twarzy. Żołnierze przebili się w końcu przez ścianę płomieni, a ja ruszyłem biegiem, nie mając nadziei na ucieczkę. W tej właśnie chwili ciemny kształt pojawił się od strony wyjścia. Konny, wyciągnięta ręka... Blaise. Sięgnąłem do niego i skoczyłem, a jemu udało się wciągnąć mnie na siodło, nie zwalniając. Zawróciliśmy, wypadliśmy na zewnątrz... w oszałamiającą szarą nicłość.

* *

Kiedy wreszcie zdołałem się znów skoncentrować na czymś innym niż czarne plecy mojego wybawcy, tym czymś okazało się martwe drzewo - a właściwie całkiem spora ich liczba, pozostałości spalonego lasu, który wypełniał skalną nieckę. Kilka zwęglonych belek i resztki kominów powiedziały mi, że wioska spłonęła razem z drzewami... To musiał być wielki ogień niewiele miesięcy temu, gdyż na razie tylko kilka chwastów przebiło się przez poczerniałą ziemię. Krajobraz, który nas otaczał, wcale nie przypominał doliny nad Zwężeniem. Świeciło słońce, choć moje ubranie nadal było mokre po porannym deszczu.

Blaise przerzucił nogę przez koński łeb i zsunął się na ziemię, podczas gdy ja wpatrywałem się zmęczony w ponurą dolinę.

- Odpoczniemy tu przez chwilę, a potem pojedziemy do domu - powiedział. - Noga bardzo ci dokucza?

Rozerwane spodnie były wilgotne nie tylko od deszczu, a kiedy ucichnie podniecenie bitwy, udo będzie mnie boleć jak diabli.

- Zagoi się - odparłem, dużymi haustami zaczerpując czyste, suche powietrze. - Muszę to tylko czymś przewiązać.

Podał mi rękę, lecz ja odepchnąłem ją i samodzielnie zsunąłem się z siodła. Nie byłem w nastroju na przyjazne gesty. Ich nieprzemysłany plan od początku budził moje wątpliwości; uważałem go za głupi. Chcieli po prostu dokonać kradzieży. Dwoje banitów - wesoła Jalleen i

jeden z nieśmiałych ezzariańskich młodzików - zginęło. A ja zabiłem przynajmniej jednego Derzhiego... zawiódłem zaufanie Aleksandra... zrobiłem z siebie banitę, a Kiril, właśnie on, stał się świadkiem mojej porażki. I wszystko to na nic.

- Uratowałeś nam życie. Moje dwa razy. - Blaise stał przy koniu. Jego towarzysze siedzieli w milczeniu na zwęglonej ziemi i czekali. Kilku mężczyzn i jedna kobieta otaczali pozostałego przy życiu młodego Ezzarianina, pocieszając go. Drugi młodzik, ten, którego pozostawiliśmy w Zwężeniu z wyrwanymi wnętrznościami, był jego bratem.

Usiadłem na kamieniu i odciąłem nogawkę spodni. Jedna z kobiet podała mi zwitek suchego materiału, gdy próbowałem związać mokre szmaty, by opatrzyć ranę. Skinąłem w podziękowaniu głową i dalej zajmowałem się sobą, choć czułem, że Blaise mnie obserwuje.

- Złoto, które dostalibyśmy za konie, działałoby wiele dobrego - zaczął.

- Wystarczy, by zapłacić za tych dwoje, których straciłeś? - Mocno obwiązałem udo bandażem.

- Oni w to wierzyli.

- Oni wierzyli w ciebie. Powinieneś lepiej przemyśliwać wydatki.

Tylko połowę z naszej wymiany zdań wyraziliśmy słowami. Wyczuwałem, jak bardzo smuci go śmierć towarzyszy. I starał się złagodzić mój gniew, choć nie potrafił w pełni pojąć jego przyczyny. Sam nie zdołałbym mu tego wyjaśnić - prócz tego, że wydawało mi się, iż roztrwonilem coś cennego, czego już nie uda mi się odzyskać. Nie sądziłem jednak, by współczuł mi ceny, którą musiałem zapłacić za ich odwrót, chyba żebym znów został niewolnikiem, co i tak wydawało mi się jednym z przyjemniejszych zakończeń tej historii.

Farrol krążył kilka kroków dalej, jakby wokół mnie i Blaise'a narysowano niewidzialny krąg, którego nie wolno mu było przekroczyć. Jego okrągła twarz była czerwona, krzywił się i wahał, to ruszał w stronę Blaise'a, to się cofał, raz po raz spoglądając z ukosa na zebranych żałobników.

Wstałem i spróbowałem przenieść ciężar ciała na ranną nogę.

- Za parę dni będzie w porządku - uznałem. - Czy możemy poszukać jakiejś wody? Chciałbym to oczyścić.

Blaise pokiwał głową i gestem kazał pozostałym wsiąść na konie. Gdy bariera została przerwana, Farrol dopadł Blaise'a.

- Nie wiem, jak się o nas dowiedzieli. To na pewno nie Jakkor. Nie nawidzi tych przeklętych Derzhich. - Spoglądał ponuro w moją stronę. - Ktoś inny nas zdradził. Nie mogli...

- Ty przeklęty głupcze! - krzyknąłem. - Zabijałem dla ciebie. Nie masz pojęcia, co

zrobiłeś.

- Porozmawiamy o tym później - uciął Blaise. - Na razie ruszamy do domu.

* *

Próbowałem stłumić gniew, zajmując się odkrywaniem kolejnych warstw zaklęć, gdy Blaise prowadził nas tajemnymi ścieżkami z powrotem do zielonych dolin Kuvaiu. Gdybym nie wiedział, że czaruje, nigdy bym się tego nie domyślił, a nawet z tą świadomością nie potrafiłem rozpleść jego tkania. Nigdy nie dotykałem czarów tak głęboko zatopionych w człowieku. To było niczym próba pojęcia tajemnicy bijącego serca bez rozcinania ciała. Żadne umiejętności obserwacji i słuchania nie mogły ujawnić wszystkich części składowych wydarzenia.

Przybyliśmy o zachodzie słońca. Tym razem ognisko pozostało nierozpalone, niczym szkielec pośrodku doliny. Jeleń zginął, ale jego mięso rozdzielono między okolicznych mieszkańców, by przygotowali je nad mniejszym płomieniem. Jalleen miała w dolinie siostrę, która założyła czerwone zasłony i śpiewała suzaińskie lamenty, aż żałobna muzyka splotła się wśród drzew niczym pajęczna sieć, wiążąc nas wszystkich pięknym smutkiem.

Gdy muzyka wypełniła noc, zapaliłem swoje ognisko pod drzewami, gdzie mogłem być sam, i podgrzałem jęczmienną zupę, by napęłnić żołądek. Potem ugotowałem wywar z kory dębowej, by oczyścić rany. Kiedy odwiązałem zeszywniały bandaż, wyczułem, że ktoś stoi w ciszy wśród ciemnych drzew za moimi plecami.

- Podejdz i dziel ze mną ogień, jeśli chcesz - powiedziałem. - Nie musisz się kryć w mroku.

To był ezzariański chłopak. Miał może piętnaście lat. Przez wszystkie tygodnie mojej obecności wśród banitów zamieniliśmy może cztery słowa. On i jego brat ćwiczyli ze mną, obserwowali i słuchali, ale celowo powstrzymywali się od wszelkich bliższych kontaktów.

Wskazałem na zupę, lecz on potrząsnął głową i usadowił się na ziemi po drugiej stronie płomieni.

- Chciałem tylko spytać... czy znasz jakąś ezzariańską pieśń dla zmarłych?

- Tak. - Zanurzyłem kawałek płótna w parującym wywarze z kory, zacisnąłem zęby i przyłożyłem materiał do lepkiej rany. - Jest o wiele prostsza niż suzaiński lament. - Suzaińczycy wierzyli, że śmierć to dopiero pierwsza z setki prób, zanim dusza odnajdzie swoje miejsce w krainie umarłych, która wcale nie była zbyt przyjemnym miejscem,

zwłaszcza biorąc pod uwagę wysiłek konieczny, by się do niej dostać. - Ale bardziej mi się podoba. Wydaje się odrobinę mniej ponura. Nasi bogowie... Verdonne i jej syn Valdis... są nieco bardziej pobłażliwi od Gossopara. Śpiewamy naszą pieśń, by oddać cześć zmarłym i zachować o nich pamięć. - I pomóc tym, którzy pozostali.

- Chciałbym... Nie mam nic...

- Nauczę cię, jeśli masz ochotę.

Pokiwał głową, w jego ciemnych oczach odbijały się płomienie ogniska. Zabraliśmy się więc za pieśń, a większe pocieszenie dawał nam chyba sam fakt, że to robiliśmy, niż słowa. Powiedziałem tekst po ezzariańsku, ale chłopiec chyba nie znał tego języka, a potem w aseolu, wspólnej mowie cesarstwa. Później zaśpiewałem, pokazując młodzikowi, jak usiąść na piętach i otworzyć szeroko ręce w geście pokory i szacunku. Kiedy dotarłem do frazy, w której powinno się podać imię zmarłego, chłopiec był gotów wymienić imię brata. Ale ja podniosłem ostrzegawczo dłoń.

- Wierzysz, że jego dusza nadal żyje? - spytałem.

- Chciałbym tak myśleć. - Nadzieja. Smutek. Niepewność. Strach, że się myli. Zachowywał się jak my wszyscy.

- W takim razie nie mów jego imienia przy mnie, obcym. - Z pewnością nie komuś dotkniętemu przez demona. - Imiona to droga do duszy. Nigdy nie wypowiadaj ich lekkomyślnie.

- Czy to dlatego nie spytałeś, jak się nazywamy? Da... mój brat... myślał, że nami gardzisz. Zawsze mówiono nam, że żaden Ezzarianin...

- Wybacz mi, chłopcze. - Blaise wszedł w krąg światła i podał rękę młodzikowi, który zerwał się na równe nogi, w pełni skoncentrowany na swoim dowódcy. - Nie chciałem wam przeszkadzać, ale muszę przez chwilę porozmawiać z naszym nowym przyjacielem. - Przyciągnął chłopca do siebie i wpatrzył się w pełną żalu młodą twarz. - Nie miałem okazji smucić się wraz z tobą. Jutro o zachodzie słońca wzniesiemy mu kurhan i wtedy możesz zaśpiewać tę pieśń, której się nauczyłeś. - Mocno chwycił go za ramiona. - Jego śmierć nie pójdzie na marne. A teraz idź do Farrola. Powiedz mu, że do późna będę w Dolinie Wellyt, a on musi zająć się strażą. Wszyscy są zmęczeni.

Chłopiec uklonił się niezgrabnie i odszedł.

- Dziękuję. - Znikł w lesie, ale bardzo szybko powrócił. - Mój brat miał na imię Davet. Ja jestem Kyor.

Pokiwałem głową i przycisnąłem zaciśniętą pięść do piersi, jak to robią Ezzarianie.

- *Lys na Seyonne* - powiedziałem, wymieniając swoje imię tak, jak podaje się je gościowi-przyjacielowi. - Dobranoc, Kyorze.

Gdy chłopiec pobiegł lekko w stronę innych ognisk migoczących wśród drzew, Blaise kopnął buty w moją stronę.

- Musimy się przejść. Podobno noga tak bardzo ci nie dokucza...?

- W porządku - odpowiedziałem, naciągając jakieś obszarpane spodnie, które przynajmniej miały obie nogawki, i wkładając stopy w buty. - Spacer dobrze mi zrobi. Nie pozwoli nodze zeszywnieć. - Cieszyło mnie wszystko, co pomogłoby mi zapomnieć o dzisiejszej katastrofie.

Ruszyliśmy łagodnie wznoszącą się ścieżką w stronę południowego krańca doliny. Gdy wędrowaliśmy wśród coraz gęstszych sosen i brzoź, odgłosy i światła obozu banitów zaczęły przygasać. Tylko ostatnie pieśni ptaków i szum strumienia pod grubymi liśćmi psianki i naparstnicy przerywały ciszę. Czekałem, aż Blaise się odezwie. Najwyraźniej miał w tym jakiś cel. Ale on milczał, a ja musiałem zadowolić się chłodnym i czystym powietrzem nocy, niosącym ze sobą pierwszą ostrzejszą obietnicę zimy. Weszliśmy na wzniesienie i Blaise poprowadził mnie przez gęsty brzozowy zagajnik do ścieżki, która prowadziła w dół do kolejnej doliny rozciągającej się na wschód, w stronę wschodzącego księżyca. Poczulem zapach drzewnego dymu i woń kóz, a wkrótce usłyszałem szmer kolejnego strumienia i zauważyłem błysk światła.

Chata kryta darnią stała na krawędzi lasu, jej okna wychodziły na szeroką łąkę. Wody dostarczał jej strumień migoczący w blasku księżyca niczym zdobna klejnotami obręcz. Z jednej strony do domu przylegał nieduży ogród, wypełniony po brzegi i gotów do zbiorów, a postawny mężczyzna zamykał wejście do zagrody dla kóz, która znajdowała się po drugiej stronie. Kiedy nas zauważył, znieruchomiał.

- Przyprowadziłem gościa - zawołał Blaise. - Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

- Właśnie skończyłem dojenie - odkrzyknął mężczyzna w odpowiedzi. - Dla tych, którzy pracują, nadal jest wcześnie. - Jego głos brzmiał przyjaźnie. Nie czekał, żeby nas przywitać, lecz powoli pokuśtykał w stronę chaty, z wiadrem w jednej ręce, a mocną kulą w drugiej. Nie zauważyłem tego, gdy stał przy płocie, ale miał tylko jedną nogę. - Linnie! Przyszedł Blaise z gościem!

Nim dotarł do domu, drzwi się otworzyły, a na ścieżkę padło żółte światło lampy. W progu stała kobieta trzymająca na ręce węzełek. Długie ciemne włosy związała wyblakłą zieloną wstążką, a jej skóra w blasku latarni wydawała się czerwonożłota. Ezzarianka.

Jednonogi mężczyzna, Manganarczyk, którego kręcone brązowe włosy i potężne ramiona natychmiast przywiodły mi na myśl niedźwiedzia, zatrzymał się, by nas przywitać.

- Witajcie! - Postawił wiadro na ziemi i chwycił Blaise'a za rękę. - Najwyższy czas, byś przyszedł z wizytą. Chyba z rok nie mieliśmy od ciebie wieści.

- To był wypełniony zajęciami czas nawet dla tych, którzy nie pracują - odpowiedział Blaise z uśmiechem.

- Cicho - szepnęła kobieta, a pełen miłości blask w jej oczach zadawał kłam jej surowym słowom. - Właśnie udało mi się uśpić maleństwo, a ten, kto je obudzi, będzie miał ze mną do czynienia. - Pozwoliła, by Blaise pocałował ją w policzek, a gdy ich twarze znalazły się blisko, bez trudu się domyśliłem, że łączą ich więzy pokrewieństwa.

- Moja siostra Elinor - wyjaśnił Blaise, uśmiechając się czule do kobiety, która była niemal jego wzrostu. - I jej mąż Gordain. To - wskazał na mnie - jest człowiek, który dołączył do nas miesiąc temu. Pozwolę, żeby sam się przedstawił.

- Seyonne - mruknąłem.

Jednonogi mężczyzna gestem pokazał mi, że mam podążyć za jego żoną do domu. W środku było czysto i porządkie, choć odrobinę za ciasno dla trzech dorosłych mężczyzn i wysokiej kobiety. Na niedużym stole z gładkiego sosnowego drewna stały dwie drewniane misy i dwa kubki, które Elinor wkrótce zmieniła na cztery. Trzy porządne stołki ustawiono przy ścianie obok kredensu, w którym kryły się torby mąki i soli, paczki kaszy i ziół, talerz z masłem i całe typowe wyposażenie skromnej kuchni. Drewnianą podłogę wysypano świeżym sianem. Łóżko w kącie przykryto tkanymi kocami z farbowanej na niebiesko wełny, a w czarnym kociołku nad ogniem bulgotała owsianka.

- Usiądziecie z nami? - spytała Elinor, jedną ręką układając naczynia na stole, podczas gdy Gordain napełnił miedziany dzbanek mlekiem z wiadra, po czym resztę wyniósł na zewnątrz. - Obaj wyglądacie na śmiertelnie zmęczonych. Mój brat jest wymagający, prawda?

- Nigdy nie znałem nikogo takiego jak on - odparłem, biorąc od niej talerz z masłem i stawiając go na stole.

Blaise przyciągnął stołki i beczkę dla czwartego biesiadnika, po czym wziął z półki nóż i zaczął kroić chleb, układając kromkę w każdej misce. Jego siostra zdjęła z półki niebieski ceramiczny kubek, w którym były może dwie łyżeczki cukru, i ustawiła go na honorowym miejscu pośrodku stołu.

- Zjemy, jak tylko Gordain wystawi mleko do schłodzenia. Zobaczą, czy uda mi się go położyć choć na chwilę - gestem wskazała węzełek i śpiące w nim dziecko. - Bardzo lubi, gdy

się go nosi. - Odsunęła miękką tkaną koc i odwróciła się, żebym zobaczył. - Seyonne, poznaj Evandiargha.

To była wizja, która ożyła - wizja, którą stworzyłem z szaleństwa i rozpacz na kamienistym pustkowiu Col'Dyath, a teraz narodziła się w ciele o różowozłocistej skórze, prostych czarnych włoskach i długich ciemnych rzęsach, które będą osłaniać czarne ezzariańskie oczy. Z wahaniem dotknąłem palcem krągłego policzka i niemowlę poruszyło się, wzdychając i przytulając do długiej szyi Elinor, ale nie otworzyło oczu. Znałem je tak, jak znałem własną rękę, jak rozpoznawałem słońce wschodzące o świcie, jak gwiazdy Ezzarii. To był mój syn.

Rozdział 15

Zerknąłem na Blaise'a, ale on pochylił głowę, zajęty krojeniem chleba. Na pewno wiedział, że się domyśle. Któż mógł być tak ślepy, by nie poznać ciała ze swego ciała? Najwyraźniej sprowadził mnie tu celowo i nie bał się tego, co może się wydarzyć. Był aż takim głupcem?

Elinor włożyła dziecko do koszyka przy kominku. Ostrożnie. Z miłością. Kucnąłem na podłodze obok niej i przyglądałem się, jak otacza kocem jego tłuste ręce i delikatnie gładzi jedwabiste włosy.

- Jego imię oznacza „syn ognia” - powiedziała. - Piękny jest, prawda?

Pokiwałem głową, gdyż nie zdołałbym wydobyć głosu ze ściśniętego go gardła. Cały czas słyszałem słabą muzykę demonów. Gdyby chłopczyk otworzył oczy, zobaczyłbym niebieski ogień otaczający czarny środek.

- Jeden z podrzutek Blaise'a, pochodzi z Ezzarii. Opowiadał ci o nich?

- Słyszałem o tym - odparłem, jękając się niczym młody Strażnik podczas pierwszej próby. - Powiedz mi... jak ten malec się zachowuje? Nie mam doświadczenia z niemowlętami.

Elinor roześmiała się cicho i wstała, opierając ręce na biodrach.

- Pije mleko i je wydalą. Śpi, płacze i śmieje się, i całkiem głośno żąda, by go przytulać i nosić przez cały czas. Ale jest przy tym taki słodki, że nie możemy mu odmówić. Czasem się zastanawiam, jak w ogóle nauczy się chodzić, chyba że wcześniej zrobi się tak ciężki, że już nie zdołamy go udźwignąć.

- Nie macie innych...

- Innych dzieci? Nie. Jestem bezpłodna. - Uśmiechnęła się promiennie do niedźwiedziowatego mężczyzny, który właśnie wszedł do środka. - Gordain nigdy nie narzekał i nie wspominał, że chce mnie oddalić, więc to maleństwo jest dla nas wspaniałym darem. Od kiedy się nauczyliśmy, jak wmusić w niego wystarczająco dużo mleka Tethys, żebyśmy mogli się trochę przespać, nie żalowaliśmy, że się pojawił.

Gordain dokuśtykał do stołka, odstawił na bok kule i zaczął wypytywać Blaise'a o ostatnie wyprawy. Blaise opisał mu ponure wydarzenia tego dnia, po czym przeszedł do

innych wieści z cesarstwa i wyników wcześniejszych wypadów. Elinor zaproponowała, bym usiadł obok jej męża, naląła nam owsianki do misek, po czym zajęła miejsce przy stole i dołączyła do ożywionej dyskusji. Z jej słów wynikało, że zanim zamieszkał z nimi Evan, Elinor również brała udział w wyprawach. Jadłem, co mi podano, i cały czas się zastanawiałem, co powinienem teraz zrobić. Ale kiedy obserwowałem i słuchałem ich trojga w złocistym blasku ognia, jak rozmawiają w tym małym domku, planując, przepelnieni ambicją, by zmienić ten paskudny świat, odpowiedź stała się jasna. Blaise wiedział o tym od początku.

Jaki Manganarczyk zostałby z nieplodną żoną, podczas gdy jego kapłani utrzymywali, że liczba synów da mu miejsce w życiu po życiu, zaś liczba córek zapewni mu tam bogactwo? Jaka kobieta przyjąłaby dziecko odrzucone ze strachu przez cały swój naród? Z zimną precyzją zbadałem puste miejsce, gdzie niegdyś biło moje serce, i usunąłem kielek życia, który się tam pojawił. Czy mogłem dać swojemu dziecku więcej niż ci dwoje?

Zostaliśmy do późna. Blaise i Gordon popijali letnie piwo i rozmawiali o szlachetnie urodzonych Derzhich i suzaińskich kupcach oraz o tym, jakich zapasów będą potrzebować banici na nadchodzącą zimę. Gordain najwyraźniej stracił nogę na jednej z pierwszych wypraw Blaise'a, a choć nie narzekał i nie okazywał rozgoryczenia, wyraźnie go irytowało, że nie może dołączyć do towarzyszy. Ja pomogłem Elinor sprzątnąć po kolacji i przyglądałem się dziecku, zastanawiając się, czy otworzy oczy, nim wyjdziemy. Nie zrobiło tego.

I dobrze, pomyślałem, ukloniłem się Elinor i Gordainowi, a potem ze ścieżki patrzyłem, jak Blaise całuje ich oboje. Gdyby mój syn się obudził, rozstanie byłoby trudniejsze.

Czekając, rzuciłem na chatkę kilka czarów. Zaklęcie oczyszczenia wody. Inne, by chronić przed chorobami przenoszonymi przez powietrze. Kolejne, by ostrzegło Gordaina i Elinor, jeśli zbliży się ktoś niepożądany. I jeszcze jedno, by zapewnić płodność kozom i polom. Tylko tyle mogłem zrobić.

- Jesteś zadowolony? - spytał Blaise, gdy zostawiliśmy za sobą światła domku. Chłodny nocny wiatr szarpał mnie za włosy.

- Dziękuję.

- Dwa razy w ciągu jednego dnia uratowałeś życie mnie i wielu innym. Złagodziłeś ból chłopca, który nie mógł znaleźć pocieszenia. Uznałem, że powinienem ci się zrewanżować.

- Zaryzykowałeś - zauważyłem, gdy w resztkach mojej duszy walczyły ze sobą gorycz i żal. - W końcu jestem wojownikiem. Poza tym, zostawiając tu chłopca, narażasz na

niebezpieczeństwo siostrę i jej męża. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. Opętał go rai-kirah... demon. Jest tylko dzieckiem, ale później...

Na litość Verdonne, wolałem nie myśleć o przyszłości. Musiałem powiedzieć Blaise'owi, jak znaleźć Poszukiwacza, by przybył do chłopca, kiedy podrośnie. Zanim odejdę, powinienem mu jeszcze tyle wyjaśnić. Nie było sensu zatrzymywać się tu na dłużej. Miałem już dość kłamstw. Pozostała jeszcze tylko kwestia, gdzie się udać. Nie do Aleksandra - po tym, co się dzisiaj wydarzyło, księżę nie uwierzy, że jestem jego szpiegiem. Nie do Ezzarii - widok mojego syna, pięknego i otoczonego miłością, jeszcze pogłębił przepaść między mną a moim ludem i uczynił naszą ignorancję jeszcze bardziej niewybaczalną.

- A jednak się nie domyśliłeś. Twoje oczy widzą rzeczy, o których inni nie mają pojęcia, nie spodziewałem się zatem, że zrozumienie zajmie ci tak długo.

- Nie domyśliłem się czego? - Zatopiłem się w litości nad sobą i wydawało mi się, że przegapiłem fragment naszej rozmowy.

Blaise zatrzymał się pośrodku łąki, w miejscu gdzie światło księżyca wyraźnie oświetlało jego zmęczoną twarz.

- Popatrz na mnie - polecił, wskazując na swoje oczy. - Przeciągnij dłonią przed twarzą i zrób to, co zwykle, a potem spojrzysz na mnie.

Czując dreszcze przechodzące po plecach, wykonałem polecenie i wpatrzyłem się w jego czyste spojrzenie tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałem go w tawernie i później jeszcze trzy razy, gdy próbowałem odkryć, co sprawiło, że stał się tym, kim jest. Znow widziałem dobrego, prostego człowieka. Żadnej arogancji. Żadnej przebiegłości. Człowiek pełen spokoju, zatopiony w ciszy. Znow poczułem słabe zawroty głowy, gdy ujrzałem wiele obrazów nałożonych jeden na drugi. Wcześniej zakładałem, że to mój własny umysł przywołał migoczące widma twarzy i krajobrazów pojawiające się za każdym razem, gdy sprawdzałem Blaise'a, jakby twarda, błyszcząca powierzchnia jego oczu w jakiś sposób odbijała moje wizje. Ale tym razem uświadomiłem sobie, że widzę wizje Blaise'a, nie własne. Zamek Nyabboziego, gdy wznosił się nad jego murami, by otworzyć bramy. Ulice Yayapolu, gdy szukał zwiadowców Derzhich. Zwężenie Makai w deszczu, z punktu wyższego niż szczyty urwisk. Ja sam kulący się przy skalnej ścianie, oszołomiony przemianą, której byłem świadkiem. Tysiąc barw. Tysiąc kształtów. A jednak nie znalazłem nic, co mogło wyjaśnić jego upór. Wydawał się sumą swoich wspomnień, jak każdy człowiek.

- A teraz spojrzysz znowu, Seyonne. Powiedz mi, co widzisz.

Nie odwróciłem wzroku, a jednak coś się zmieniło. Coś zostało uwolnione. Brzęczenie na granicy słyszalności zmroziło mi krew. Na wargi cisnęło mi się zaprzeczenie, choć

jednocześnie sięgałem spojrzeniem głębiej. Choć otworzyłem uszy. Choć zacząłem słyszeć i wiedzieć prawdę, która leżała przede mną... zgrzytliwa muzyka wbijająca się w duszę, błękitny ogień płonący w ciemnych oczach. *Demon*. Wycofałem się i zacząłem rozglądać, zastanawiając się, jak wrócić do chatki, nim Blaise mnie powstrzyma.

Ciężką ręką chwycił mnie za ramię.

- Jestem człowiekiem. Nikim więcej i nikim mniej. Sam dokonuję wyborów. Żyję własnym życiem.

Szaleństwo... strach... niedowierzenie. Mój świat znów się zapadał.

- Popatrz na mnie, Seyonne. Co się zmieniło? Nic ważnego. Nic.

Gorączka w jego głosie kazała mi się zatrzymać, spojrzeć, pomyśleć, znów zakwestionować najbardziej podstawowe prawa życia - stanąć na głowie, chodzić na rękach, słuchać i wierzyć, tym razem dając posłuch nie tylko rozsądkowi, ale również ignorując wszystkie głęboko zakorzenione lęki. Pozwolić, by świat przyjął zupełnie inny aspekt. Musiałem się bardzo postarać, zanim w końcu pojąłem. I w jednym uderzeniu serca jakby rozstały się zużyte burzowe chmury, które znikają w blasku południowego słońca, wszystko stało się jasne.

- Jesteś taki jak mój syn.

Blaise pokiwał głową, ale się nie uśmiechnął, tylko gestem kazał mi iść obok siebie.

- Musimy porozmawiać - stwierdził.

Droga do Doliny Wellyt zajęła nam godzinę, ale powrót już dwie.

* *

- Urodziłem się w Ezzarii, w domu akuszerki i tego, którego wy nazywacie Poszukiwaczem - powiedział Blaise, gdy wędrowaliśmy wśród wysokich sosen. - Choć zdawali sobie sprawę, kim jestem, sprzeciwili się waszym zwyczajom. Matka wiedziała, gdzie zostawia się na śmierć dzieci takie jak ja, i wraz z ojcem przysłała po mnie, kiedy tylko rytuały dobiegły końca. Ze względu na swoją funkcję ojciec oczywiście dużo podróżował, więc wiedział, gdzie nas zabrać. Przez wiele lat mieszkaliśmy na obrzeżach Yayapolu, korzystając z pomocy kapłanów Dolgara. Moja matka jako wyszkolona akuszerka mogła nas utrzymać, a ojciec wędrował po całym świecie, by znaleźć dla mnie jakąś pomoc. Choć oboje byli pewni, że w końcu popadnę w demoniczne szaleństwo, jako dziecko nie mógłbym wymarzyć sobie większej miłości. Nie powiedzieli mi nic o Ezzarii, o waszych zwyczajach, o

magii... pewnie bali się, że któregoś dnia zdradzę was wszystkich. Ale w miarę upływu lat, gdy dorastałem, ich strach zaczął się zmniejszać.

- Musieli być niezwykłymi ludźmi. Zostawili za sobą całe dotychczasowe życie. Ryzykowali tak wiele.

Spokojna twarz Blaise'a promieniowała miłością.

- Owszem. Tacy właśnie byli. A podczas swoich podróży ojciec napotkał innych niezwykłych ludzi. Kilku urodzonych tak jak ja, którzy jakimś sposobem przeżyli. Kilku innych, Ezzarian i nie tylko, którzy zostali „opętani”, lecz to doświadczenie nie wiązało się dla nich z grozą, jakiej spodziewacie się wy, Ezzarianie. Ojciec przekonał ich, by udali się do Manganaru i uczyli się od siebie nawzajem, aby któregoś dnia mógł wrócić do Ezzarii i przedstawić to, czego się dowiedział. To była jego największa nadzieja... wrócić. Zawsze zadziwiało mnie uczucie, jakim darzycie swoją ziemię i siebie nawzajem. - Uznałem ten tęskny komentarz za dziwny. Jak można tęsknić za czymś, czego się nie poznało?

- I co się stało? - Dotarliśmy na szczyt bezdrzewnego grzbietu wzgórza i ruszyliśmy wzdłuż niego, a zapowiadający zimę wiatr szarpał naszymi płaszczami.

- Matka zachowała kontakt z jedną ze swoich przyjaciółek, ezzariańskich akuserek. I w następnych latach przyjmowała inne dzieci, które skazano na śmierć.

- Farrol - stwierdziłem.

- Jest moim bratem we wszystkim poza krwią. Nie postępowałem z nim słusznie... Pozwoliłem, by jego gwałtowność zaszła zbyt daleko... sam widziałeś. Ale to trudne... Było nas w sumie siedmioro.

- Elinor? - Niemal natychmiast pożałowałem, że zadałem to pytanie. Nie byłem pewien, czy chcę poznać odpowiedź.

- Jest moją rodzoną siostrą. Ale jest taka jak ty, nie jak ja i pozostali. W każdym razie, długo nie miałem pojęcia o tym, co się wokół mnie działo. Wszystko szło dobrze do czasu, gdy skończyłem dziesięć lat.

- Najazd Derzhich. - Wtedy świat się zmienił i każdy Ezzarianin miał zostać niewolnikiem.

- Wszyscy się ukryli. Kapłani Dolgara przyjęli tyle dzieci, ile mogli, i zawieźli nas do pustelni niedaleko Yayapolu. Później tylko raz spotkałem ojca. Zdarzyło się to w środku nocy, kiedy miałem trzynaście lat i jeden ze starych kapłanów zabrał mnie i Elinor za zagrody dla kóz, żebyśmy go zobaczyli. Był chory. Umierał z głodu. Nie mógł nigdzie dostać pracy, nie ważył się ujawnić, bał się przybyć do pustelni, żeby nie sprowadzić na nas Derzhich. Ale tamtej nocy do nas dotarł, by powiedzieć, że nasza matka nie żyje. Pewna Derzhi, której

niegdyś pomagała przy porodzie, wysłała sługi na jej poszukiwanie, gdyż znów miała rodzić. Matka nie odmówiła, uznając, że jedna z przyjaciółek jej nie skrzywdzi. Ale kiedy dziecko się urodziło, mąż tej kobiety zabrał matkę do urzędników miejskich. - Blaise uważnie przyglądał się mojej twarzy, jakby szukając w niej wyjaśnienia takiej niegodziwości. - Już nie miała mocy. Przestała praktykować czary ze względu na mnie, a ojciec mówił, że przez lata jej moc zgasła. Ale oni poddali ją rytuałom, które przechodzą czarownicy... a mój ojciec obserwował to z ukrycia. Mówił, że nie żyła, kiedy ją wyciągnęli...

- Były to słowa dziecka, pełne mądrego smutku, lecz nie całkiem pozbawione nadziei. Jajednak mogłem mu dać jedynie smutną odpowiedź.

- Bez melyddy nie można przeżyć rytuałów Balthara - wyjaśniłem. - Ja miałem dużą moc i zużyłem ją całkowicie, i dopiero po szesnastu latach dowiedziałem się, że rytuały mnie nie zabiły.

Szesnaście lat... Zastanawiałem się nad tym. - Dziecko odeszło. Pozostał tylko mężczyzna.

- I tak oto zamieszkałeś z kapłanami i postanowiłeś spędzić resztę życia naprawiając zło, które zabiło twoich rodziców. I jakimś sposobem zdobyłeś moc, o jakiej Ezzarianie nawet nie marzyli.

- Nie do końca. Moc, którą posiadam, była we mnie od zawsze. Przemiany zaczęły się, kiedy skończyłem osiem lat. Miałem szczęście, że przyjaciele ojca byli w pobliżu. Z początku sprawiały mi ból, zanim nauczyłem się nad nimi panować. - Zaplótł ręce na piersi i spojrzał na mnie. - Kiedy na początku się zmieniałem, rodzice byli przerażeni. Uznali, że to rai-kirah mnie dręczy, ale ja byłem po prostu przestraszony. To ja jako pierwszy przeszedłem przez...

- Zaczekaj - przerwałem oszołomiony. - Pierwszy? To znaczy, że cała reszta też może... się przeobrazić?

- Tak. Oczywiście, wszyscy, którzy się tacy urodzili... Farrol, Davet, Kyor, pozostali. Twój syn też będzie to robił. Dlatego musiałeś wiedzieć... żeby móc mu pomóc. Farrol twierdzi, że już oszalałem, skoro ci o tym opowiadam. Ale straciliśmy wszystkich starszych, tych, którzy wiedzą cokolwiek o Ezzarii i rzeczach, których można się tam na uczyć.

Czułem, że walczy ze sobą. Moje zaskoczenie tym objawieniem i rosnąca nadzieja - że mój syn może wyrosnąć na tak silnego i szlachetnego człowieka jak Blaise - balansowały na ostrzu noża.

- Czego ode mnie chcesz? - spytałem.

- Musimy wiedzieć, czy uczono cię o takich jak my. Czy wiesz, jak temu zapobiec.

Moje zmieszanie wzrosło.

- Nie rozumiem... zapobiec przeobrażeniu? Czemu chcielibyście...?

- Ponieważ od niego popadamy w szaleństwo... albo gorzej. - Odlamał martwą gałąź od chorej jodły i podczas drogi rwał ją na coraz mniejsze kawałki, odrzucając je na bok z obrzydzeniem. - Stopniowo coraz trudniej jest powrócić do ludzkiej postaci, aż w końcu nadchodzi dzień, gdy staje się to niemożliwe. Człowiek pozostaje w wybranej przez siebie skórze... na zawsze już tkwi w zwierzęciu... zamknięty w jego ciele, aż w końcu zapomina, kim był. - Rzucił ostatnim kawałkiem gałęzi w niebo, jakby zamierzał w ten sposób zwrócić uwagę jakiegoś zgubionego boga. - Istnieje też alternatywa... równie wesoła. Czując nadchodzącą zmianę, można się nie przeobrazić, ale wtedy traci się rozum. Im częściej się człowiek zmienia, tym szybciej popada w obłąd.

- Saetha.

- Postanowiła nie poddawać się przemianie. Zwierzęciem, w które najłatwiej byłoby jej się przedzierzgnąć... to każdy odkrywa podczas eksperymentów z przemianami... był kot. Rzadko się przeobrażała, więc miała prawie czterdzieści lat, gdy nadszedł jej czas. Była uzdrowicielką i nie mogła znieść myśli, że straci swoje umiejętności... zapomni o wszystkim, czego się już nauczyła... Dlatego nie uległa i wszystkie dni, aż do końca, spędziła na leczeniu. Nie minęła pełna pora roku, a stała się kimś, kim jest teraz. A ja boję się, że jakaś jej część pamięta, kim była.

Kiedyś znalazłem pewną niewolnicę, Frythkę, która karmiła mnie przez cały miesiąc, gdy tkwiłem przykuty do ściany w piwnicy mojego trzeciego pana. Przekonywała, że powinienem być zadowolony ze swojego losu niewolnika, ponieważ bogowie powiedzieli jej, że każde szczęście ma swoją cenę, a ci, którzy wspinają się na największe wysokości, zawsze muszą płacić najwyższą cenę. Myślałem, że prawdziwości tych słów dowodzi przykład Aleksandra, lecz niedola księcia nie mogła się równać z tym, co usłyszałem od Blaise'a.

- A ty przeobrażasz się często...

- To konieczne. Ale oznacza też, że mamy mało czasu, a trzeba zrobić tak wiele. Wiem, że nie jestem jedynym, który zdołałby dokończyć dzieła, ale Farrol jest zbyt porywczy, Kyor za młody, a Davet nie żyje. - Potrząsnął głową i wyprostował się. - Bogowie, co ja robię? Nie zamierzałem cię w to wtajemniczyć. Tu nie chodzi o mnie, lecz o nas wszystkich, o twoje dziecko. Myślałem, że zechcesz nam pomóc.

- Ale my także niczego nie wiemy. Żałuję, że nie znam innej odpo wiedzy. Ale ja... nikt z nas nie miał nawet pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Nasze pisma i przekazy nie wspominają o takich przy padkach.

- Cóż. Domyślałem się tego, ale miałem nadzieję, że do tej pory rozmawiałem tylko z

tymi, którzy nie potrafili spamiętać wszystkiego...

Nie pozwoliłem mu dokończyć.

- Cały czas uczymy się nowych rzeczy. Być może będę mógł ci pomóc. Znowu zacznę szukać, aż w końcu na coś trafię. Obiecuję. Poza tym, pomogę ci nie tylko w tym. Chodzi o twoje ideały... reformy, których się domagasz. Muszę ci coś wyznać...

- Blaise! - Dotarliśmy do obozu. Nim zdążyłem powiedzieć coś więcej, podbiegł do nas Farrol z wyciągniętym mieczem, a wraz z nim jeszcze czterech banitów. Wokół płonęły pochodnie. - Na szczęście jesteś cały.

- A czemu miałoby być inaczej?

Farrol umieścił czubek miecza na wysokości mojego serca.

- Ponieważ wybrałeś się na spacer ze szpiegiem Derzhich. W końcu go zdemaskowaliśmy. Złapaliśmy jego współpraczkę. Skradała się do obozu, gotowa sprowadzić nam na głowę tych łajdaków. I mamy dowód czarno na białym. Przypieczętowany przez samego królewskiego diabła.

- Nie wierzę w to - powiedział Blaise, odwracając się ze zdziwieniem w moją stronę.

Gdybym umiał się przeobrażać, mógłbym wybrać tę chwilę, by zmieść się w robaka i wpełznąć pod ziemię. Kiedy Farrol wsunął w dłoń Blaise'a podniszczony skórzany woreczek, wiedziałem już, co to za dowód - niezaprzeczalny dowód. I domyśliłem się, kim jest ta „współniczka"... Zrozumiałem, że nigdy już nie uda mi się doprowadzić do pokoju.

- Gdzie ona jest? - spytałem. - Jeśli jej nie zabiliście, chyba sam to zrobię.

* *

Trafiłem na Fionę, i to dosłownie, kiedy wrzucono mnie do piwnicy na warzywa, i wylądowałem dokładnie na niej. Domyślałem się, że nie czeka nas długie więzienie. Blaise nie zaryzykowałby, że jego ludzie zostaną zaatakowani przez Derzhich. W tej chwili pewnie unosi się nad doliną, szukając królewskich oddziałów. Ale nawet jeśli ich nie znajdzie, i tak pewnie przeniesie obóz, bez wątplenia pozostawiając tu nasze trupy.

Byłem niemal zbyt zniechęcony, by się wściekać.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś najbardziej upartą, irytującą, tępą idiotką, jaka chodziła po świecie? - spytałem, odpychając jej stopy na bok, by wyprostować zranioną nogę. - Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że jeśli choć na chwilę zostawisz mnie w spokoju, gwiazdy nie zaczną spadać z nieba i słońce nadal będzie wschodzić?

Tę właśnie nieszczęśliwą chwilę wybrał koszyk cebuli, by spaść z jednej z półek otaczających nas w ciemnej dziurze. Wyplułem ziemię, która towarzyszyła śmierdzącym warzywom, i zmiażdżyłem kobiałkę, próbując zrobić z niej i płaszcz poduszkę. Minęło sporo czasu, od kiedy Yvor Lukash i jego drużyna wyruszyli z Khyb Rash.

- Nigdy by się nie dowiedzieli, gdyby ten przeklęty koń się nie spłoszył. Jakaś koza wylazła na nas z krzaków. Piekielne bestie. Nie można im ufać.

Nie widziałem jej twarzy w ciemnościach i nie miałem nastroju, by wywoływać magiczny blask. Chciałem spać... jakieś sto lat albo i więcej. Ale wtedy Fiona poderwała się do góry, zrzucając na nas kolejne przysmaki - tym razem ziemniaki i rzepę - i skoczyła w stronę drewnianych drzwi, które Farrol tak triumfalnie za nami zatrzasnął. Po krótkim wybuchu magii poczułem smród palonego sznura.

- pewno pilnują wejścia - uprzedziłem. - Nie są głupi. Rozwiąż się i spal drewno... a nawet cały ten przeklęty obóz, jeśli chcesz... ale wtedy się okaże, że czekają nieopodal z kolejnymi sznurami, kolejnym drewnem, a do tego paroma nożami i mieczami. I nie będzie ich obchodzić, co im zrobimy, gdyż chronią Blaise'a. Wiedzą, na co nas stać.

- To też im zdradziłeś.

Nie miałem zamiaru się z nią kłócić.

- Zrobiłem to, co musiałem. A teraz siedź cicho. Chciałbym się przespać.

Jeszcze raz spróbowała uderzyć w klapę, po czym zsunęła się do tyłu tak, że ziemniaki wytoczyły się spod jej pleców, i wylądowały prosto na moim zranionym udzie.

Wtedy wybuchnąłem.

- Na bogów nieba i ziemi, co takiego uczyniłem, że przydzielono mi takiego zadufanego w sobie psa stróża, który nie może nawet kichnąć, żeby mnie nie zranić? Jeśli tak bardzo chcesz zobaczyć mojego trupa, to czemu po prostu nie wbijesz we mnie noża? To byłoby łatwiejsze dla nas obojga.

- Przepraszam - bąknęła, kiedy udało jej się wyplątać i pomogła mi zdjąć z kolan ze sto funtów ziemniaków, rzucając je z powrotem na stertę. - Jesteś ranny?

Na wszelki wypadek nie odpowiedziałem, ale rzuciłem zaklęcie światła, zsunąłem spodnie, nie przejmując się kwestiami przyzwoitości, i zacząłem mocniej zaciskać bandaż, żeby nie wykrwawić się na śmierć w tej przeklętej dziurze.

- Wygląda na to, że nawet bez mojej pomocy umiesz się zranić. Pozwól mi to zrobić - zaproponowała moja towarzyszka niedoli. - Mam w kieszeni czystą chusteczkę. - Wyciągnęła dłoń w stronę zakrwawionego bandaża.

- Nie! Nie dotykaj tego - krzyknąłem, odpychając ją. - Nie wolno ci. - Nie mogłem pozwolić, by dotknęła mojej krwi, krwi, którą skaziła Saetha i demon. Po objawieniach tej nocy fakt, że jeszcze się tym martwię, wydawał się głupi, ale ja nie wiedziałem już, w co wierzyć. Czy to Saetha była prawdziwym demonem, czy Fiona? A może Blaise...

- Czemu nie? Pomogę ci się tym zająć. Oczyszczę ranę.

Uświadomiwszy sobie, że niezależnie od tego, jak bardzo jestem zmęczony, nie zasnę w tej dziurze pełnej warzyw - zwłaszcza że wspomnienia wydarzeń tego dnia gryzły mnie niczym pluskwy - opowiedziałem Fionie o Saecie... i o Blaisie i jego towarzyszach, o Aleksandrze i zbrojnych wyprawach, i o swoim synu. Miałem nadzieję, że wstrząsnę nią i zmuszę ją do myślenia, a jednocześnie oczyszczę swoje myśli.

- I tak oto zdradziłem człowieka, który dzielił ze mną duszę, który oddał mi życie i ojczyznę - zakończyłem. Światło zaczęło gasnąć. - Zapomniałem o przysiędze, odbierałem ludzkie życie niczym żądny krwi barbarzyńca, oddałem dziecko obcym. Moja krew została dotknięta przez demona, a ja tego nie żałuję. Nie cieszysz się, że przyszedłeś? Jeśli przeżyjesz ten bałagan, będziesz mogła wrócić do Talar i powiedzieć jej, że jestem naprawdę zepsuty. Uważam Blaise'a za lepszego człowieka niż każdy Ezzarianin, którego znam, a jednak widziałem w jego oczach ogień demonów. Nie wiemy, kim jesteśmy, Fiono, a ja mam paskudne uczucie, że mylimy się we wszystkim, w co wierzymy.

Najwyraźniej udało mi się odnieść sukces, przynajmniej w sprawie Fiony. Nie odezwała się już ani słowem. Wkrótce zasnąłem. Po raz pierwszy od przybycia do Blaise'a śniłem o zamrożonym zaniku i mrocznej grozie, która pożerała mnie od wewnątrz.

Rozdział 16

Verdonne walczyła z bogiem przez wiele lat, aż ich syn osiągnął wiek męski. Okrutny bożek pozbawił małżonkę ubrań, by ją zawstydzić, stopił jej miecz, by szydzić z jej słabości, i spalił pola i lasy wokół niej, by nie znalazła pożywienia. „Poddaj się”, ryczał bóg lasów. „Nie splamię swojego miecza krwią śmiertelniczek”. Ale Verdonne nie uległa. - Opowieść o Verdonne i Valdisie przekazana pierwszym spośród Ezzarian, gdy przybyli oni do krainy drzew

Blaise nie pozwolił mi nic wyjaśnić, gdy przeprowadził mój proces w obecności zebranych banitów. Mężczyźni i kobiety siedzieli już na koniach, a swój skromny dobytek załadowali na wozy. Fiona i ja staliśmy przed obliczeni Blaise'a, a miecze buntowników sterczały wokół nas niczym sierść rozczłuszczonego kota. Mógłbym uciec, gdybym zechciał - i Blaise dobrze o tym wiedział - ale zdecydowałem się wziąć udział w tej ceremonii z nadzieją, że mnie wysłucha.

Potyając się na kwiecistym stylu skryby Derzhich, Farrol odczytał królewską proklamację, że jestem wolnym człowiekiem i każdy, kto mnie skrzywdzi, zapłaci za to głową. Dumnie uniósł brodę, zniechęcając pozostałych do żartów z jego nieudolnej recytacji. Warknięcia i szepty banitów stały się gęstsze od niskich chmur w mokry poranek. Kilka kobiet splunęło w moją stronę, a więcej niż jedna ręka zadrżała na rękojści miecza.

Blaise zadał tylko jedno pytanie.

- Czy to ciebie wspomina się w piśmie?

- Tak...

- W takim razie musisz być szpiegiem Derzhich. Takich jak ty zwykle skazujemy na śmierć, ale walczyłeś u naszego boku i uratowałeś nie jedno życie, w tym moje, a ja nie pozwolę, by ktokolwiek twierdził, że spłaciłem ten dług, zabijając swojego wybawcę, nawet jeśli tak naprawdę służył wyłącznie własnym celom. Dlatego dziś nie zginiesz. Jeśli chodzi o tę kobietę, oddaję ci jej życie w zamian za pomoc w naszych przedsięwzięciach. Teraz jesteśmy kwita. Następnym razem kiedy cię zobaczę, będę wiedział, komu służysz, i odpowiednio się tobą zajmę.

- Blaise, pozwól mi...

- Powiedz swojemu królewskiemu panu, że Yvor Lukash nie spocznie, póki książe Derzhich własnymi rękami nie usłuży najpodlejszemu ze swoich poddanych. - Gestem kazał ruszyć jeźdźcom. - Miałem nadzieję, że czegoś się od ciebie nauczymy. Teraz jednak wolałbym nie mieć takiego nauczyciela. - Odwrócił się i szturchnął konia ostrogami, wyjeżdżając na czoło kolumny jeźdźców.

Farrol i Kyor pozostali, by nas strzec. Kiedy ostatni maruderzy znikli za zakrętem, Farrol nakazał chłopcu przyprowadzić konie. Spojrzał na mnie ze złością i schował sztylet do pochwy. Skrzywiwszy się, rzucił mi do nóg dwa przedmioty. Jednym z nich był nóż, który mi odebrali, gdy wrzucili mnie do piwnicy, drugim zaś skórzany woreczek. Ku mojemu zdziwieniu cenny królewski list znajdował się w środku.

- Przeklęty szpieg. Mówiłem mu, że powinien cię zabić, ale on nawet nie pozwolił mi spalić papieru. Kusi mnie, by się mu sprzeciwić.

- Zabicie mnie może nie być tak łatwe, jak ci się wydaje.

- O tak, wiem, że umiesz walczyć. Może nawet mógłbyś mnie zabić mieczem albo magią. Ale ja już zwyciężyłem, czyż nie? Odkryłem prawdę, i już go nie zwiedziesz.

Gdy podniosłem list i wsunąłem go za koszulę, w końcu przypomniałem sobie, gdzie wcześniej widziałem Farrola - żebrak w uliczce w Yayapolu, który próbował mi ukraść sakiewkę! Nawet wtedy starał się chronić Blaise'a, nie troszcząc się o własne bezpieczeństwo. Nie był dwulicowym oszustem, tylko porywczym, głupim, lojalnym bratem.

Kiedy sprawdzał popręgi, szybko przyjrzałem się swoim rzeczom. Potrzebowałem czegoś, co należało do mnie. Ubrania i czarny strój banity pożyczył mi Blaise, więc pozostawał tylko papier i nóż - świetna broń, którą dostałem od Kirila, gdy opuszczałem Zhagad w wieczór namaszczenia Aleksandra. Uznałem, że nóż odnajdę łatwiej niż papier, więc szybko rzuciłem zaklęcie i pobiegłem za Farrolem. Właśnie wsiadał na konia. Na widok noża w mojej dłoni cofnął się szybko i wyjął miecz, lecz ja podałem mu broń ręką do przodu.

- Kiedy nadejdzie dzień Blaise'a, dzień jego ostatniej przemiany, powiedz mu, żeby mnie odnalazł. Musi tylko dotknąć noża i wypowiedzieć moje imię, a dowie się, gdzie jestem. Pomogę mu, jeśli zdołam.

- Nałożyłeś na niego przekleństwo.

- Przysięgam, że tego nie zrobiłem. Chcę tylko pomóc. Ale jeśli mi nie wierzysz, noś go zamiast Blaise'a. Jeśli ani ty, ani twój przyjaciel nie będziecie go potrzebować, wrzuc go do ognia na godzinę, żeby usunąć zaklęcie, a wtedy pozostanie ci tylko znakomita broń. Ale ja i tak dowiem się tego, co musicie wiedzieć. Obiecuję.

Młody Kyor patrzył na mnie z powagą i troską. Olbrzymi ciężar spadł na jego barki już na początku drogi życiowej. W milczeniu odwrócił się i podążył za Farrolem z doliny. Ale kiedy Farrol celowo rzucił nóż na ziemię i zmusił konia do galopu, Kyor zsunął się z siodła, chwycił broń, spojrzał na mnie ukradkiem i odjechał.

- Oszalałeś? Powierzyłeś temu opętanemu przez demona banicie zakłęcie lokalizacji. Będzie cię mógł odnaleźć, czy tego chcesz czy nie.

Podskoczyłem. Zupełnie zapomniałem o Fionie. Przez cały poranek zachowywała kamienne milczenie.

- Najpewniej i tak by mnie odnalazł. A ciebie to nie dotyczy.

- Przybędzie?

Na drodze opadł już kurz.

- Mam taką nadzieję.

* *

Nie spędziliśmy zbyt wiele czasu w opuszczonym obozie. Nie mieliśmy koni, jedzenia, płaszczy ani koców, a jedyną naszą bronią był nóż Fiony. Przynajmniej zostawili nam buty. Wedle słów Fiony znajdowaliśmy się dziesięć dni marszu od najbliższego miasta. Szybko przeszukaliśmy domy, dzięki czemu znaleźliśmy kilka popękanych kawałków ceramiki, cztery połamane bełty, pięć na wpół zgniłych ziemniaków i dwie garści owsa. Naprawiliśmy jeden z kubków, by utrzymał wodę, a podczas gdy ja gotowałem owsiankę, Fiona nacięła mocnych pędów szarego pnącza reppia i uplotła z nich mocną torbę. Zjedliśmy rzadką owsiankę i kilka małych, kwaśnych malin, po czym zapakowaliśmy ziemniaki i kubek do torby Fiony i wyruszyliśmy przed siebie.

Droga była długa i męcząca. Jesień postanowiła przybyć do Kuvaiu uzbrojona w zimny deszcz i mgły, które niemal na naszych oczach zmywały zieleń z liści. Wieczorami z listowia i gałęzi wyplataliśmy prymitywne schronienia, by choć trochę powstrzymać deszcz, i kuliliśmy się w stertach mokrego poszycia i sosnowych igieł. Na szczęście, Fiona umiała stworzyć coś z niczego. Ja potrafiłem wykrzesać ogień z mokrego drewna, lecz to ona znajdowała wystarczająco dużo jagód, dzikiej marchwi i tarniny, żebyśmy nie umarli z głodu, a gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, zdołała nawet złapać parę królików. Nastawiłem kości jej dłoni, połamane, gdy poślizgnęła się na błotnistym brzegu i uderzyła nią o kamień, ale to ona wiedziała, gdzie szukać rzadkiego zieleń alkiej, by wyleczyć ropiejącą ranę na moim udzie. To ona odnalazła źródło, gdy przez dwa dni mieliśmy do picia jedynie deszczówkę, musiałem też ufać jej poczuciu kierunku, gdyż grube chmury nie pozwalały kierować się słońcem i gwiazdami.

Poza kwestiami związanymi z przeżyciem, przez pierwsze pięć dni wcale się do siebie nie odzywaliśmy. Ja w ponurym nastroju rozważałem wydarzenia ostatnich czterech miesięcy, próbując ocenić, czy koniecznie musiałem narobić sobie aż tylu wrogów wśród tych, na których mi zależało i większości pozostałych. Fiona wlokła się za mną liga za ligą, a na jej twarzy malowała się taka powaga, jakby eskortowała mnie na egzekucję.

Tak naprawdę nie wiedziałem, gdzie się udajemy. Do Ezzarii, tak przypuszczałem. Musiałem zabrać się za poszukiwania. Znow wszystko przeczytać. Rozważyć tajemnice, które udało mi się odkryć, i porozmawiać z Kenehyrem i innymi uczonymi. Dowiedzieć się wszystkiego, co pozwoliłoby mi jakoś pomóc Blaise'owi, Kyorowi i mojemu synowi, gdy nadejdzie ich przedwczesna zguba. W przypadku Blaise'a nastąpi to szybciej niż u pozostałych, już wkrótce - za kilka miesięcy, może nawet tygodni. Nie lat. Znow czułem ponaglenia jego towarzyszy i smutek popędliwego Farrola.

Podobnie jednak jak wtedy, gdy opuszczałem Yayapol, podróż do Ezzarii nie wydawała mi się najlepszym rozwiązaniem. Moja ojczyzna stała się dla mnie nierzeczywista - ludzie, życie, które wiedli, ich troski i pragnienia były mi równie obce, jak życie i myśli drzew. I pojawiło się jeszcze jedno zmartwienie. Od nocy w piwnicy nawiedzające mnie sny o zamrażanym zamku powróciły z taką mocą, że budziłem się wyczerpany i drżący, wzdrygałem się na każdy dźwięk i dotknięcie. Zacząłem robić niemal wszystko, by uniknąć snu, ale wtedy koszmary zaczęły wydzierać się na jawę. Skradały się, gdy szedłem. Zamiast zimnego deszczu na przemoczonym stroju banity czułem lodowaty wiatr szarpiący łańchmanami. W drodze do domu ponaglał mnie przymus odnalezienia drogi do lodowego zamku. Cichą samotność lasów Kuvaiu nawiedzała zimna groza, aż co chwilę oglądałem się przez ramię. Sen jeszcze nigdy mnie tak nie opanował. Piątego wieczora wędrówki, gdy kuliłem się w ciągłym deszczu przy malutkim ognisku, niemal od tego oszalałem.

Podciągnąłem koszulę na uszy, żeby deszcz z łatwością dostający się do naszego schronienia nie spływał mi za kołnierz. Fiona piekła na patyku jakiś gruby biały korzeń. Śmierdział jak palone ciało. Gdy wpatrywałem się w ogień, próbując zachować przytomność i zignorować żalosne burczenie pustego żołądka, dym przybrał kształt iglic i mostów, a wśród niebieskich i białych płomieni ujrzałem widma przejeżdżające przez most. Jedno z nich odwróciło się, by na mnie spojrzeć, gdy nadciągnęła ciemność...

- Co się dzieje? - Fiona przecięła na pół zwęglony korzeń i podała mi jedną część. - Cały dzień szarpiesz się jak nerwowy kot. Chyba nie dostałeś gorączki?

- Nie. - Ostrożnie zsunąłem miękka masę z patyka, przerzucając ją z ręki do ręki, aż ostygła na tyle, bym mógł ją utrzymać. Wtedy wyglądała już tak nieapetycznie, że nie

wiedziałem, co właściwie z nią począć. Znów spojrzałem w ogień, gdzie widmo nadal migotało w płomieniach. - Powiedz mi, dlaczego za mną poszłaś - poprosiłem, zamykając oczy, co wcale mi nie pomogło. Zamek czekał na mnie w ciemności za opuszczonymi powiekami. - Znalazłaś się wiele tygodni drogi od domu i w każdej chwili grozi ci niebezpieczeństwo. Nie rozumiesz tego.

- A ty nie rozumiesz znaczenia poczucia obowiązku. - Wiedziała, że to słaba próba, jej głos ciął niczym miecz z piór.

- Obowiązku dopełniłaś dawno temu i twoja pani powinna być za dowolona, ponieważ trzymam się z dala od Ezzarii. Naprawdę chcesz, bym zginął? Co zrobiłem, by zasłużyć na taką nienawiść?

Fiona spojrzała na białą masę w ręku i wrzuciła ją z niesmakiem do ognia.

- Nie nienawidzę ciebie, tylko to, co robisz. Szydzisz z prawa. Wróciłeś i żyłeś wśród nas, jakbyś nie został skażony, udając, że obchodzi cię prawda. Widziałam to wyraźnie. Pogwałciłeś wszystkie zasady, a jednak ludzie cię szanowali... wybaczyli ci... jakby zepsucie można było zbyć niczym przejęzyczenie. Do mnie należało... należy... udowodnić, że się mylą.

Udało jej się odepchnąć moje wizje. Miałem wrażenie, że wcale nie mówi o mnie. To uczucie kryło się w niej głęboko, bardziej bolesne niż chciała przyznać, i uwierało ją od wewnątrz, niczym drzazga w sercu. Ale nie umiałem tego z niej wyciągnąć.

- A co udowodniłaś?

- Tylko tyle, że jestem jeszcze bardziej uparta i głupia niż ty.

Po raz pierwszy od kiedy ją poznałem, jej szczerłość obróciła się przeciwko niej. Zacząłem się z niej śmiać, ale na jej twarzy malowało się takie cierpienie, jakby ukłuła się w palec igłą i odkryła, że cała dłoń straciła kształt, że złagodziłem odpowiedź.

- Cóż, w tym się zgadzamy - powiedziałem, unosząc kubek deszczówki w szyderczym toaście. - W końcu znaleźliśmy wspólny język. Od tej chwili nasze stosunki powinny wyglądać zupełnie inaczej.

Choć patrzyła na mnie groźnie, moje docinki najwyraźniej wyciągnęły ją z bagna, w które wpadła. Sięgnęła po kolejny kawał białego korzenia i wbiła w niego patyk. Odniosłem niemile wrażenie, że korzeń miał moją twarz.

- Skoro posłuchałaś już wykładów na temat głupiego uporu, być może teraz powinienem zacząć uczyć cię szaleństwa - mruknąłem, opierając się o zimny, mokry kamień.
- Ale to ja zadecyduję, gdzie odbędzie się kolejna lekcja.

Opowiedziałem jej o swoim przekonaniu, że muszę zgłębić wiedzę o demonach, i wahaniach związanych z powrotem do Ezzarii. Podobnie jak w piwnicy, mówienie okazało się łatwiejsze od milczenia. Lepiej wylać z siebie dręczące przerażenie, niż znów wycofać się w do prowadzącą do szału samotność. Nie wspomniałem o swoich snach.

Ku mojemu zaskoczeniu, potraktowała te słowa bardzo poważnie.

- Poza Ezzarią istnieje tylko jedno źródło wiedzy o demonach - oznajmiła. - Pani Catrin ci o nim wspomniała.

- Catrin? - Dopiero po chwili przypomniałem sobie rozmowę w Col'Dyath i fakt, że Fiona nam towarzyszyła, gdy Catrin opowiedziała mi o Pendyrralu i jego dziwnym spotkaniu z demonem. - Wymieniła wtedy imię Balthara Diabła. Nie mogę, nie chcę...

- W takim razie jesteś tchórzem i kłamcą, który wcale nie chce odkryć prawdy.

Niektórych płomieni nie zgasi nawet zimny deszcz i długa droga, a Fiona właśnie podsyciła jeden z nich.

- Nie wiesz, o czym mówisz - warknąłem. - To ten sam Balthar, który odkrył, że jeśli zakopie się czarodzieja żywcem i ześle na niego wizje gorsze niż najokrutniejsze koszmary, zmusi się go do wykorzystania każdej iskry mocy. Jeśli pozostawi się biedaka w trumnie wystarczająco długo, tuż na granicy szaleństwa, uwierzy, że jego melydda została zniszczona. Czasami, oczywiście, jeśli ktoś spędził pod ziemią zbyt dużo czasu, jeśli rytuał nie został odpowiednio zapisany i ktoś przeszedł przezeń drugi raz albo jeśli trafił się ktoś z naszego ludu pozbawiony melyddy... trudno, udusił się albo oszalał. A, i oczywiście Balthar powiedział o tym derzhyjskiej Gildii Magów... grupie żalonych szarlatanów obawiających się, że tracą opiekę szlacheckich rodów... i upewnił się, że rytuały te obejmą każdego ezzariańskiego mężczyznę, kobietę i dziecko, którzy trafią do niewoli. Cóż takiego mógłby mi powiedzieć ten potwór, co skłoniłoby mnie do tego, by choć przez chwilę oddychać tym samym powietrzem co on? I nie mów do mnie takim tonem, bo nigdy nie przeszedł rytuału, który wymyślił.

Policzki Fiony płonęły nie tylko od ognia, lecz jej zdecydowanie nie osłabło.

- Wiedziałeś, że dwoje dzieci Balthara urodziło się opętanych przez demona?

Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem. Choć nadal przechodziły mnie dreszcze obrzydzenia i wściekłości, uciszyła mnie bardzo skutecznie. Korzystając z przewagi, mówiła dalej.

- Pierwsza była córka, pozostawiona na śmierć godzinę po narodzinach. Balthar pogрузił się wówczas w badania na temat rai-kirah, a nawet opuścił Ezzarię, by dowiedzieć się więcej. Powiedział swoim przyjaciołom, że odkrył coś, co ich zaskoczy i wyjaśni część

naszych tajemnic. Ale nim cokolwiek ujawnił, urodził się jego syn. Kolejne opętane dziecko. Balthar zabarykadował się w domu, nie pozwalając, by mu je odebrano, ale w końcu królowa Tarya wysłała strażników świątynnych, by zabrali chłopca. Balthar przysięgał, że zemści się na wszystkich Ezzarianach, jeśli chłopcu stanie się krzywda. Królowa zakazała mu opuszczać dom, miał odpowiedzieć na zarzut skażenia. Ale od tam tej nocy nikt w Ezzarii go nie widział.

- A dziecko?

Bogowie je zniszczyli.

- Skąd to wiesz?

- Prosiłeś, żebym to odnalazła.

- Ja?

- Powiedziałeś, żebym przemyślała to, co widziałam i słyszałam podczas naszej ostatniej bitwy. Bym zadała sobie kilka pytań i zaczęła szukać. I tak zrobiłam.

Najwyraźniej życie trzymało dla mnie w zanadrzu jeszcze niejedną niespodziankę. Zaczynałem myśleć, że jestem nieskończenie tępy, niesamowicie głupi albo całkowicie ślepy. Może wszystko na raz.

- To ty odkryłaś historię Pendyrrala, nie Catrin.

- Nieważne, kto ją odnalazł. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, musisz odnaleźć Balthara. A nikt w Ezzarii nie ma pojęcia, gdzie przebywa.

Oparłem głowę na dłoni, próbując pozbyć się spod powiek natrętnych wizji.

- Ale ja wiem, gdzie o niego pytać. Tyle że nie przyjdzie mi to łatwo.

- Jak bardzo trudne może być zadawanie pytań?

- Radziłbym trzymać się z daleka. - Tylko kilku ludzi znało miejsce pobytu Balthara, a wszyscy mieszkali w cesarskim pałacu w Zhagadzie. Będę musiał zachować ostrożność. Obawiałem się, że Aleksander nie ucieszy się na mój widok.

* *

Minęło cztery tygodnie, nim dotarliśmy do Zhagadu, Perły Azhakstanu, pustynnego miasta będącego sercem cesarstwa Derzhich. Udało nam się dołączyć do karawany suzaińskiego kupca winem. Pokazałem mu papier i powiedziałem, że odzyskałem wolność, bo uratowałem życie królewskiego faworyta - co było prawdą. Karawany z winem były ulubionym celem zbójców, więc kupiec bardzo się cieszył, że w zamian za jedzenie i

towarzystwo podczas długiej drogi z Manganaru przez pustynie Azhaki zyska kolejnego wojownika - i to obdarzonego cesarską łaską.

Kupiec, suzaiński tradycjonalista, zażądał, by Fiona nosiła szaty zakrywające ją od stóp do głów i podróżowała z innymi kobietami, co ją denerwowało, ale mnie bardzo odpowiadało. Uwolniłem się wreszcie od jej badawczego spojrzenia i poczucia winy związanego z jej bezpieczeństwem. Nikt nie mógł się domyślić, że ona też jest Ezzarianką. Nie posiadała glejtu, który mógłby zapewnić jej bezpieczeństwo. Przypominałem jej o tym za każdym razem, gdy miałem okazję z nią rozmawiać, ze szczegółami opisując jej los, który ją czekał, gdyby została pojmana. Nie udało mi się jednak przemówić jej do rozumu i skłonić do powrotu. Dąsała się, denerwowała i prawie nic nie mówiła, ale nosiła długą białą suknię, podróżowała w kobiecym wozie i nikt nie zwracał na nią uwagi.

Nadal śniłem koszmary, które jednak na szczęście nie stawały się coraz bardziej okrutne. W towarzystwie innych ludzi łatwiej było mi je znieść. Odwdzięczyłem się kupcowi za wspólną podróż, pomagając mu odeprzeć dwie napaści. Na szczęście rozbójnicy nie nosili czarnych strojów i nie mieli namalowanych na twarzach białych sztyletów.

* *

Wjechaliśmy do Zhagadu późnym rankiem. Jesienne ochłodzenie oznaczało, że podróżować można było przez cały dzień, z wyjątkiem kilku godzin około południa, więc jechaliśmy szybko. Grzecznie pożegnałem Dabaraka, handlarza winem, i zapytałem, czy Fiona mogłaby zatrzymać szaty, gdyż pragnąłem, by zachowała skromność w tak grzesznym mieście jak Zhagad. Jego oczy błyszczały zielono w świetle słońca, gdy staliśmy na zewnętrznym rynku, ludnym centrum handlu, które pustoszało jedynie w południe.

- Twoja kobieta chodzi dumnie jak Suzainka i pilnuje języka jak powinna, ale musisz jeszcze nauczyć ją patrzeć. Nie spuszcza wzroku, gdy do niej mówisz. Ukarałbym każdą z moich kobiet za taką zuchwałość.

- Zastanawiałem się nad tym - odparłem. - Ale uznałem, że wynikłoby z tego więcej kłopotów niż korzyści. Nie znosi karcenia zbyt dobrze.

Mężczyzna współczująco pokiwał głową. Zuchwałe spojrzenie Fiony kłuło mnie w plecy. Pomyślałem, że zaraz przebije mi skórę. Przez cztery tygodnie niemal nie rozmawialiśmy i miałem nadzieję, że publiczne szyderstwo w końcu skłoni ją do odejścia. Powinienem już wiedzieć, że to się nie uda.

Wynajęliśmy pokój w niedużej gospodzie w dzielnicy kupców, płacąc monetami odebranymi zbójcom, które następnie podzielono między strażników karawany. Na rynku kupiłem papier, pióro i atrament i po kłótni na temat tego, czy będziemy dzielić łóżko, czy też wydamy pieniądze na dwa (Fiona wygrała - jedno łóżko; będziemy się zmieniać), położyłem zakupy na stoliku. Zaostrzyłem pióro nożem Fiony i napisałem wiadomość.

Pani

Żywię nadzieję, że wiadomość ta odnajdzie cię w dobrym zdrowiu i szczęściu. Podczas naszego ostatniego spotkania zaproponowałaś, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by mi pomóc, gdyby okazało się to konieczne. Miałem nadzieję nigdy nie wykorzystać tej szlachetnej obietnicy złożonej w czasach niebezpieczeństwa, lecz znalazłem się w trudnej sytuacji, zbyt skomplikowanej, by opisywać ją w tym krótkim liście. Potrzebuję pewnej informacji, a nie zdołałem jej zdobyć bez pomocy kogoś na cesarskim dworze.

Być może w ostatnich tygodniach słyszałaś o mnie złe słowa. Błagam, byś powstrzymała się z oceną do chwili, gdy będę mógł osobiście opowiedzieć historię kryjącą się za tymi wieściami. Przysięgam ci na dzieło, którego dokonaliśmy przed dwoma laty, że moja wiara i cele się nie zmieniły. Moja prośba w żaden sposób nie zagrozi bezpieczeństwu ani honorowi tego, który doprowadził do naszego spotkania, a nawet może wspomóc jego plany.

Jeśli czujesz, że prywatne spotkanie w jakikolwiek sposób zaszkodzi twojej pozycji, z radością zwolnię cię z przysięgi. Poza tym jednak proszę cię o pobłażliwość i dyskrecję.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Zagraniczny przyjaciel Pani

- Kim ona jest? - spytała Fiona, czytając mi przez ramię. - Czyjaś kochanka? Twoja? A ten podpis... „zagraniczny przyjaciel Pani”...

- Nie do końca - odparłem. - Jeśli bogowie wykażą się mądrością, pewnego dnia zostanie cesarzową Azhakstanu.

Zaskakiwanie Fiony sprawiało mi dużą przyjemność.

Rozdział 17

Mój problem polegał na tym, że nie znałem żadnego dworzanina ani zarządcy w cesarskim pałacu w Zhagadzie, a już szczególnie takiego, który mógłby mieć pojęcie o miejscu pobytu Balthara Diabła. Nigdy nie służyłem w Zhagadzie, tylko w letnim pałacu cesarza w Capharnie, więc zawarłem znajomość jedynie z trzema osobami, które zdołałyby dowiedzieć się tego w odpowiednio krótkim czasie - Aleksandrem, jego kuzynem Kirilem i jego żoną, księżną Lydią. Z tej trójki Aleksander nie wchodził w rachubę, podobnie jak Kiril, którego ludzie zginęli z mojej ręki. Pozostawała mi tylko księżna. Lydii nikt nie nazwałby oazą spokoju, ale umiała słuchać lepiej niż jej małżonek.

Powróciłem samotnie na rynek i wynająłem publicznego gońca, by dostarczył wiadomość do Hazzira, zaufanego Lydii w dyskretnych kwestiach. Miałem nadzieję, że po tym, jak jego pani poślubiła Aleksandra, również on przeniósł się do Zhagadu. Liczyłem, że rozpozna podpis i w tajemnicy przekaże list swojej pani.

Przez resztę dnia kręciłem się nerwowo w okolicach stołu gońców na zewnętrznym rynku. Nie ważyłem się pozostać bez ruchu, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi, ale też nie zamierzałem odejść, by goniec nie wziął kolejnego zlecenia, nim dostanę odpowiedź. Gorąco południa skłoniło większość ludzi do schronienia się w budynkach lub ukrycia w chłodnym cieniu ogrodowych altan i wewnętrznych dziedzińców. Tylko najbardziej uprzywilejowani cieszyli się posiadaniem fontann, które ciągnęły wodę bezpośrednio z porowatych skał pod miastem. Gdy jednak cienie popołudnia się wydłużyły, wszyscy znów wyszli na zewnątrz. Mężczyźni witali się z przyjaciółmi i siadali razem przy kamiennych stołach, grając w ulyat lub popijając nazrheel - gorącą, smrodliwą herbatę, którą Derzhi tak uwielbiali. Kobiety w powiewnych, przezroczystych welonach ruszyły, by kupić owoce i mięso na kolację, i zatrzymywały się na ploteczki z przyjaciółkami i krewnymi przy publicznych studniach. Kupcy i sprzedawcy wieczorami wystawiali swoje najlepsze towary - klejnoty, wina, egzotyczne przyprawy i perfumy, gdyż bogaci mieszkańcy miasta dopiero wówczas wybierali się na zakupy. Tylko słudzy i niewolnicy wstawali wystarczająco wcześniej, by kupować cokolwiek w chłodzie poranka.

Właśnie rozważałem, czy nie skusić się na szaszłyk i nie zanieść drugiego Fionie, gdy odziany na niebiesko posłaniec pojawił się na za kurzonej ulicy prowadzącej do wewnętrznego kręgu miasta, gdzie w promieniach zachodzącego słońca migotały złotem kopuły cesarskiego pałacu.

- Czy przyniosłeś odpowiedź? - spytałem, podchodząc do mężczyzny, nim jeszcze zdołał złapać oddech.

- Szlachetny pan odparł, że on i twój głęboko wierzący przyjaciel zamierzają dziś w nocy modlić się w świątyni Druyi, w zewnętrznym kręgu. Po złożeniu ofiary na jutrzejszą ucztę boga będą mogli porozmawiać o interesach. Spotkanie musi być krótkie, gdyż tej nocy oczekuje on w swej rezydencji ważnego gościa i nie może opuścić go na zbyt długo.

Rzuciłem mu monetę i pospieszyłem do gospody, by tam zaczekać na szóstą straż, gdyż Druya był bogiem nocy i ciemności, i to zawsze w godzinach przed północą „głęboko wierzący” Derzhi udawali się do jego świątyni.

* *

- Idę z tobą - powiedziała Fiona.

- Nie. Ona cię nie zna. Nie chcę jej przestraszyć.

- Z pewnością derzhyjską księżną niełatwo przestraszyć. Założę te przeklęte szaty, to pomyśli, że jestem twoją żoną. To ją uspokoi.

Moja żona... W ostatnich miesiącach, pełnych snów, lęków i trudów podróży, nie poświęciłem wielu myśli Ysanne, jednak zawsze pozostawała gdzieś w kącie mojego umysłu. Bałem się, że to, co wydarzyło się między nami, świadczyło o głębszym problemie, który zbyt długo próbowałem zignorować, pewien, że oddanie wszystko naprawi. Była królową i poświęciła temu życie. Ostrzegała mnie wielokrotnie, lecz ja nigdy nie słuchałem. Niezależnie od tego, jak się zmieniłem przez długie lata naszej rozłąki, i co na ten temat mówiliśmy, nigdy nie udało się nam pogodzić mojego buntu z jej pozycją. Jej obowiązki sprawiały, że nie mogła mi zaufać. A moja historia wymagała, by tak uczyniła. Teraz nasze drogi rozeszły się tak bardzo, że obawiałem się, iż nie ma już powrotu. Zastanawiałem się, jak sobie radziła i czy w ogóle pozwalała sobie myśleć o naszym synu... albo o mnie. Zatopiony w bolesnych wspomnieniach, nie usłyszałem dalszych argumentów Fiony, lecz kiedy podążyłem ruchliwymi ulicami w stronę brązowej kopuły świątyni Druyi, odziana w biel kobieta posłusznie podreptała za mną.

* *

We wnętrzu świątyni panował mrok, poza rzędem płonących świec pod potężną czerwono-złotą mozaiką przedstawiającą byka na przeciwległej ścianie. Kopułę podtrzymywał las pomarańczowych i czerwonych kolumn w pasy, który nie pozwalał ujrzyć całego obrazu potężnego bóstwa, jedynie mignięcia jego chwały. Grube ściany świątyni nie dopuszczały do środka ulicznego hałasu, lecz na żelaznych hakach wystających z kolumn wisały sznury dzwonków, dużych i małych, srebrnych, złotych i mosiężnych. Dzwonki poruszały się pod wpływem zawirowań powietrza, jakie wzbudziliśmy, więc spiesząc przez świątynię, pozostawialiśmy za sobą szlak muzyki. W środku przebywało kilku wiernych, którzy zostawiali ofiary na pięciu kamiennych ołtarzach, już pełnych kwiatów na jutrzejsze święto. Ja zacząłem ich naśladować, przechodząc powoli od jednego bloku granitu do drugiego, i rzucając na nie kolczastą wilanię i piźmową miętę, które kupiłem przed świątynią.

- Czy już wystarczy ci modlitw? - powiedział niski Derzhi o elegancko przyciętej brodzie, który zatrzymał się przy mnie i rzucił kilka kwiatów na trzeci ołtarz.

- Owszem - odparłem.

- To się pospieszmy. - Przyjaźnie, choć mocno, wziął mnie za ramię i zaprowadził do ciemnej alkowy między dwoma ołtarzami. - A kobie ta, która szła za tobą...?

- Jest ze mną - odpowiedziałem, zaciskając zęby. - Nie stanowi zagrożenia. Przysięgam na moją głowę.

- Skoro tak mówisz. Pamiętaj tylko, że trzymam sztylet w pogotowiu. Masz kwadrans, nie więcej.

Nim zdążyłem podziękować, Hazzire skoncentrował się na fresku przedstawiającym tajemną jaskinię Druyi, ukrytą głęboko we wnętrzościach ziemi. Ja wszedłem do alkowy, czując, jak za mną wślizguje się do środka Fiona. W ciemnym zakątku kręciła się wysoka postać w bladoniebieskiej jedwabnej szacie. Błyszczące włosy upięła wysoko, związując niesforne rude loki w królewski kok i odsłaniając wdzięczną linię szyi, której nie potrafiłby oddać żaden rzeźbiarz. Drżące napięciem powietrze kazało mi spodziewać się najgorszego.

- Seyonne! Oszalałeś, skoro się tu zjawileś.

- Wasza wysokość. - Ukłąłem, ale ona nie podała mi szczupłej, zwodniczo delikatnej dłoni... widziałem, jak ta dama w ataku wściekłości w ciągu pół godziny zniszczyła tyle mebli, że ich pozostałości utworzyły stertę sięgającą mi do ramienia.

- Kiril przybył tu dwa tygodnie temu. Nie mogłam uwierzyć w to, co nam powiedział.

- Kiedy wstałem, jej zielone oczy, płonące na poziomie moich, domagały się odpowiedzi, dlaczego ma udzielić posłuchania komuś winnemu zdrady jej ukochanego pana. - Aleksander przez wiele tygodni wychodził z siebie, oskarżając się, że pozwolił ci narazić się na takie niebezpieczeństwo, że tak bardzo cię zranił. Żałował, że znów dla niego cierpiałeś. A potem się dowiedział, że go tak ohydnie zdradziłeś... Chciałeś ukraść jego konie... Czy masz pojęcie, co narobiłeś?

- Pani, przysięgam ci, że zdołałbym to wyjaśnić. Nie jestem bez winy... - Te zielone oczy nie pozwoliłyby mi udawać, że jest inaczej - ...ale na moją duszę, nigdy nie spiskowałem, by skrzywdzić księcia. Gdyby było to konieczne, zawróciłbym czas i znów włożył dla niego kajdany, a tobie opowiedział wszystkie szczegóły.

Potrząsnęła głową.

- Twoja opowieść niczego nie zmieni. Dobrze wiesz, w jak niewielkim stopniu słowa i życzenia zmieniają świat. Czemu przyszedłeś? - Spojrzała podejrzliwie na odzianą w biel Fionę, ale nie miałem zamiaru marnować cennych minut, by je sobie przedstawiać.

- Muszę poznać miejsce pobytu człowieka imieniem Balthar.

Lydia zbladła, a jej wargi wygięły się w pełnym zdziwienia grymasie.

- Balthara... tego od rytuałów i niewolników? - Księżna zawsze sprzeciwiała się idei niewolnictwa.

- Tak.

- Chcesz się zemścić? Myślałam, że jesteś ponad...

- Dla tego człowieka ludzka zemsta to zbyt mało. Za jego zbrodnie w odpowiednim czasie osądzą go bogowie. Ale ja muszę odkryć, co wie o sprawach niezwykle ważnych dla mojego ludu. Proszę, pani, on może posiadać wiedzę tak znaczną... - Jak wyjaśnić jej moje obawy, wątpliwości, skomplikowane kwestie związane z czarami i historią, opowiedzieć o szlachetnym duchu skazanym na szaleństwo? To zajęłoby zbyt wiele czasu.

- Chodzi o syna Seyonne'a, pani, dziecko, które zrodziło się opętane przez demona. - Fiona zsunęła biały welon i odważnie spojrzała na księżną. - Rozumiesz chyba, że Ezzarianie wahają się otwarcie mówić o tak osobistych sprawach.

Miałem ochotę ją udusić. Co za szaleństwo skłoniło ją do wyjawienia tak ryzykownej informacji?

- Twój syn! - Lydia spoglądała z zaskoczeniem to na mnie, to na Fionę. - W takim razie ty jesteś żoną Seyonne'a, królową, która pomogła...

- Nie - zaprzeczyliśmy oboje jednym głosem.

- Sza, wasza wysokość! - Hazzire wsunął się do alkowy i wziął Lydię za ramię. -

Przed świątynią zaczęło się zamieszanie.

- Wybacz mi, pani - powiedziałem, chwytając Fionę i odciągając ją na bok. Ja również usłyszałem krzyki i hałasy przed bramą świątyni. - Nie pozwolę, by coś zszargało twoją opinię.

Przez chwilę Lydia opierała się zarządcy, wpatrując się w moją twarz, jakby chciała zapamiętać jej obraz i później dokładnie przestudiować.

- Odpowiedź znajdziesz przy Fontannie Gasserva o północy.

- Pani, ze świątyni jest tylko jedno dodatkowe wyjście. - Energiczny Hazzire nie panował już nad nerwami.

- Dam wam czas, żebyście się stąd wydostali - obiecałem. - Czekajcie przy tylnym wyjściu, aż zapanuje ciemność. - Nim zdążyłem wypowiedzieć te słowa, księżna i jej strażnik znikli, a ja wepchnąłem Fionę w głąb alkowy, gdzie nisza między kamiennymi płytami stanowiła odpowiednią kryjówkę dla dziecka lub bardzo drobnej kobiety. - Zostań tu i nie wtrącaj się, ale bądź gotowa do ucieczki.

- Gdzie jesteś, zdrajco? - Wściekłość Aleksandra odbijała się echem od ścian świątyni, jakby sam potężny byk zaryczał. - Tchórz! Oszust! - Zwykli wierni rozbiegli się, wstrząśnięci i osłupiali. - I gdzie jest ta, z którą miałeś się tu spotkać? Jakie zakłęcie rzuciłeś, że zwróciła się przeciwko mnie?

Nie mogłem pozwolić, by zaczął szukać Lydii lub w gniewie skrzywdził niewinnych.

- Jestem tu, panie - powiedziałem, kryjąc się za kolumną, a później drugą, uderzając w dzwonki, by wywołać echo i rozproszyć go. - Rzeczywiście, pragnąłem spotkać się z pośrednikiem i błagać, byś mnie wysłuchał. Miałem nadzieję, że posłuchasz tej, w której wierność nie możesz wątpić, choć wątpisz we mnie.

- Gdzie ona jest? I jak śmiesz naruszać spokój mojego domu?

- Odmówiła mi, panie, i powróciła, by ci o tym powiedzieć. Uznała, że najpierw powinienem stanąć przed tobą. - Kłamstwo przychodziło mi coraz łatwiej. Poza tym, księżę nie widział, że moja twarz żółknie, co jak twierdził, następowało zawsze, gdy próbowałem go oszukać. - I dlatego muszę błagać o łaskę...

- Nie prosz mnie już o nic! - Jego kroki odbijały się echem od płytek posadzki, gdy wędrował wśród kolumn, polując na mnie, nie przy pomocy merydy, lecz instynktu wojownika. - Te słowa o wierze, honorze, świetle i ciemności... czy to było kłamstwo? Stań przede mną i wypowiedz je znowu, a ja oklaskami nagrodzę przedstawienie.

Zmieniłem zmysły, wyteżając słuch.

- Nie, trzymaj ich z dala - szepnął do kogoś, kto stał tuż przy nim. - Chcę, żeby

wszyscy stąd wyszli. Nie mam pojęcia, co może zrobić. I jeszcze jedno, Sovari... - usłyszałem charakterystyczny dźwięk miecza wysuwanego z pochwy - jeśli znajdziesz moją żonę...

- Będę dyskretny, panie.

Wkrótce ciche kroki umilkły i wkrótce wewnątrz świątyni pozostał tylko jeden Derzhi - ten z wyciągniętym mieczem. Zaniknąłem oczy i przywołałem wiatr, który zgasił świece. Życzyłem pani Lydii, by stopy niosły ją szybko i bezszelestnie.

- Możesz czarować, ile zechcesz, Seyonne, ale jeden z nas i tak cię dopadnie. Nie zdradzisz mnie już więcej. - Znajdował się zaledwie kilka kroków ode mnie. Wystarczająco blisko, byśmy mogli rozmawiać bez podnoszenia głosu, choć ja poruszałem się powoli między kolumnami, uciszając dzwonki obok siebie lub posyłając wiatr, by zadzwonił gdzieś dalej i pozwolił mi utrzymać dystans.

- Nie udzielisz mi posłuchania, panie?

- Słyszałem już zbyt wiele. Na przykład historię o tym, jak Yvor Lukash i jego banda niemal porwali konie cesarza, a ich czarodziej bawił się z moimi wojownikami, dwóch zabił, a jednego okaleczył. Szlachta uznała, że człowiek, który nie potrafi zadbać o własne konie, nie umie też zatroszczyć się o cesarstwo. - Jego kroki się zbliżyły, a głos stwardniał. Dobięł mnie odgłos krzesanego ognia i wkrótce pochodnia zapłonęła nie dalej jak dziesięć kroków ode mnie. - Niektórzy twierdzą, że ów czarownik napadł też na zamek jednego z moich baronów i zabił bezbronnego wojownika, a wkrótce później ukradł podatki zebrane w Yayapolu. Podobno walczy lepiej niż lidunni, a ja znam tylko jednego człowieka, który to potrafi. I słyszałem, że człowiek, któremu powierzyłem własną duszę... którego obdarzyłem przyjaźnią i szacunkiem jak nikogo innego... namalował na twarzy sztylety i ze mnie szydził. Czy tę historię chcesz mi opowiedzieć? A może będziesz podtrzymywał kłamstwo, które opowiedziałeś mi w Dasiet Homol... że nie jesteś jednym z nich?

- Gdybyś tylko...

- Druyo, bądź świadkiem mojej głupoty... wierzyłem ci. Nigdy więcej, Seyonne. Wyjdź i opowiedz mi to, co zamierzasz. Ale tym razem przynieś też miecz.

Z bólem słuchałem głosu jego wściekłości i bólu. Więź łącząca mnie i Aleksandra była głębsza niż więzi krwi i cenniejsza niż moje własne życie. Ale nie mogłem uleczyć jego ran, nie wyjaśniając wszystkiego - choć nawet i to mogło nie wystarczyć - a to nie była pora, by opowiedzieć mu o Blaisie. Za bardzo zraniłem jego dumę i zbyt wielkie podejrzenia wzbudziłem. Musiałem znaleźć sposób, by utrzymać młodego banitę przy życiu. Dopiero wtedy mogłem się zastanawiać, jak pogodzić jego - i siebie - z Aleksandrem.

- Nie będę cię prosić, byś mi zaufał, panie. Wiem, jak pusto brzmią takie słowa, gdy

rana jest tak głęboka. Rozumiem...

- Rozumiesz? Połowa z dwudziestu hegedów zwołała spotkanie za miesiąc i wezwali mnie... wezwali mnie... bym na nie przybył i wyjaśnił, co zamierzam począć w kwestii buntowników. Czy rozumiesz, co to znaczy?

Wiedziałem. Upokorzenie. A wojownik Derzhi tylko w jeden sposób umiał odzyskać honor. To oznaczało wojnę. Sprawy miały się o wiele gorzej, niż się spodziewałem, lecz nie potrafiłem go od tego odwieść.

- Gdyby to miało coś naprawić, poddałbym ci się, panie. Ale moja śmierć, nawet najbardziej spektakularna, nie rozwiąże twoich problemów. Podobnie jak wojna z własnym ludem, nawet jeśli baronowie się tego domagają. Uspokój ich. Przekonaj. Nikt nie umie czytać w sercach ludzi tak jak ty. Gdy już ochłoniesz, przypomnisz sobie, dlaczego nie możemy ukrywać przed sobą prawdy. Znasz mnie, jak nie zna mnie żaden mężczyzna i kobieta na tym świecie. Daj mi czas, a znajdę sposób, by zakończyć bunt. Przysięgam.

- Nie mam już czasu. I ty też nie. - Aleksander rozwiął resztki iluzji, że uda mi się przekonać go o szczerości moich intencji. - Nie odbiorę darów, które już ci dałem, ale ty nie będziesz się nimi cieszył, Ezzarianinie. Na Yvora Lukasha i jego banitów wydałem wyrok za zdradę. Zostaną pojmani, zginą, a ich śmierć obciąży twoje sumienie. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, którzy pomogą Yvorowi Lukashowi, którzy nakarmią, przenocują, wyleczą lub odzieją jednego z was, zostaną uznani za winnych zdrady cesarstwa i zginą śmiercią zdrajców.

- Panie, proszę...

- A jeśli chodzi o ciebie, jeśli postąpisz choć krok w stronę swojej ojczyzny, twój lud zostanie uznany za współwinnych, a ja spalę Ezzarię ogniem, którego nie ugaszą czarodzieje.

Krew stężała mi w żyłach. Z trudem zdołałem odpowiedzieć.

- O to nie musisz się bać. Nie przyjmą mnie z powrotem. - Ale sposób, w jaki odebrano mi wybór... Mimo iż tak dobrze znałem Aleksandra, nie doceniłem siły jego gniewu.

Wtedy księżę podjął cicho, lecz zdecydowanie. Jego słowa raniły bardziej niż krzyk.

- Niegdyś sądziłem, że izolacja, jaką nakłada na skażonych twój lud, jest karą dla tchórzy. Teraz to pojąłem. Czasem nie można znieść prawdy w czymś, co uważało się za dobre. Ale ja jestem twardogłowym Derzhim i muszę iść własną drogą. Dlatego możesz się poddać i czekać na sąd wraz z przyjaciółmi albo walczyć ze mną i zginąć tutaj. Daję ci tylko taki wybór. Poddaj się albo zgiń. - Jego umiejętności walki nie zwiększała melydda, ale i tak

był doskonałym wojownikiem. Stał nie więcej niż pięć kroków ode mnie i doskonale wiedział, gdzie jestem.

- Przykro mi, panie. W tej chwili nie mogę zrobić ani tego, ani tego. Zatoczyłem dłonią krąg, a wtedy przez świątynię przeszedł wybuch ognia, poruszając każdym dzwonkiem, jakby wewnątrz budynku rozszalało się trzęsienie ziemi. Pobiegłem do alkowy, ale Fiona już mnie wyprzedziła. Przekradliśmy się do tylnego wyjścia, kryjąc się za kolumną, gdy żołnierze Aleksandra ruszyli mu na pomoc. Wykorzystując fakt, że płomienie ich oślepiły, a brzmienie dzwonek rozpraszało ich uwagę, przebiegliśmy obok i pomknęliśmy w noc. Zatrzymaliśmy się dopiero pośrodku najbiedniejszej dzielnicy miasta.

* *

- Nadal myśli, że jest twoim właścicielem - uznała Fiona, gdy w końcu zwolniliśmy, starając się zniknąć w tłumie żebraków, pijaków, handlarzy niewolników, złodziei i dziwek, którzy kłębili się na zakurzonych ulicach.

Nie odpowiedziałem. W głowie kręciło mi się od potężnego zaklęcia i wściekłości - na siebie, na Aleksandra i jego dumę, na Blaise'a i jego naiwny idealizm, na świat, w którym zawiodłem każdego, kogo kochałem.

W niezdrowym świetle syczących pochodni zasuszone kobiety targowały się o chore kozy i chude kurczęta, podczas gdy brudne dzieci trzymały się ich spódnic. Bezzębny Fryth zaprosił nas do ulicznej gry w ukyat, w której nagrodą była obszarpana, drżąca dziewczynka, może dziesięcioletnia.

- Do pracy lub dla przyjemności - oznajmił. - Prawie nietknięta. Odepchnąłem mężczyznę, z trudem powstrzymując pragnienie, by wbić w niego nóż. Fiona mnie powstrzymała.

- Nie będziesz bezpieczny, póki nie opuścimy tego ohydneho miasta.

- Nie skrzywdzi mnie. - Trzymałem się tego cienia wiary.

Jego groźby brzmiały całkiem poważnie.

- Znam go lepiej niż on siebie. - Ale nie na tyle dobrze, by spodziewać się, że zwróci się przeciw mnie.

- Jesteś idiotą.

- W rzeczy samej. - Na pustyni zerwał się chłodny wiatr i Fiona drżała. Zdjęła białe szaty, by trudniej było za nami podążać, i teraz miała na sobie tylko spodnie i cienką

koszulkę. Przejrzałem stertę starych ubrań rozłożonych na ulicy przez staruchę o twardym spojrzeniu, i znalazłem obszarpany płaszcz, który trochę śmierdział owcami, oraz krótką kurtkę z fioletowej wełny, ze złowieszczym rozdarciem na plecach. Choć nie wierzyłem, by Aleksander mnie skrzywdził, znałem jego gniew na Yvora Lukasha. - A ty powinnaś wracać do domu. Ukryj twarz i jak najszybciej ode mnie uciekaj.

Ezzarianom cały czas groziło pojmanie w niewolę. Gdybym musiał pokazać papier od Aleksandra, żeby uniknąć pochwycenia, ujawniając przy tym swoją tożsamość, moja towarzyszka zostałaby uznana za współniczkę Yvora Lukasha. A potem by zginęła. Umierałaby wolno, w straszliwych męczarniach.

- A co z obietnicą damy?

Oczywiście. Musiałem odnaleźć Balthara. Teraz gdy zakazano mi wracać do Ezzarii, nie miałem wyboru. Ale nie mogłem ryzykować, że jeszcze bardziej pograżę księżnę.

- Znajdę jakiś inny sposób, by zdobyć tę informację. A teraz ruszaj i nie zatrzymuj się. Jeśli zostaniesz, a Derzhi cię nie zabiją, sam ich wyręcę.

Ale Fiona nie zamierzała odpuścić.

- Księżna wyśle gońca. Jeżeli to ja się z nim spotkam, ani ty, ani tym bardziej Yvor Lukash nie zostaniecie w to wmieszani. Nie jestem jedną z nich. Księżę też o tym wie.

- Za duże ryzyko. Nie pozwolę na to. - Ruszyłem wąską uliczką w stronę gospody, lecz Fiona popchnęła mnie mocno, aż oparłem się plecami o ścianę domu.

- Nie pozwolisz? A kiedy to zostałeś moim obrońcą? - Nim zdołałem odpowiedzieć, strażę okrzyknęły północ. - Zaczekaj. Wrócę, nim zdążysz zamknąć usta.

- Ale nawet nie wiesz...

- Wiem, jak znaleźć Fontannę Gasserva. Tak się składa, że kiedyś przynieję kogoś zabiłam - powiedziawszy to, znikła w tłumie.

Skryłem się w uliczce, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś ujrzę Fionę. Po raz pierwszy od kiedy ją poznałem, miałem taką nadzieję.

Rozdział 18

Czołgając się w stronę lodowego zamku, pozostawiałem za sobą szlak zakrwawionego śniegu. Ostre krawędzie lodu rozcinały moje zdrętwiałe ręce i stopy. Nadal za daleko. Ciemność pochłonie mnie na długo przed tym, nim dostanę się do środka. Gdy zmusiłem się, by zaczerpnąć kolejny oddech do zamrożonych płuc, potężne wrota się otworzyły i ze środka wyjechały zastępy migoczących widm. Przyglądałem im się w oszłomieniu, wysokim, wyprostowanym i dumnym, na przezroczystym moście. To pojawiały się, to znikwały z mojego pola widzenia, jadąc wśród mokrego śniegu. Piękne. Niebezpieczne. Jeździec na początku kolumny prowadził białego konia okrytego czarno-srebrnym kropierzem - konia bez jeźdźca, wielkiego, potężnego i narowistego. Armia widm wędrowała przez mrok, coraz dalej i dalej ode mnie, aż w końcu, na krawędzi mojego postrzegania, napotkali postać odzianą w czerń i srebrno, mężczyznę stojącego samotnie wśród burzy. To był pan tej śnieżycy, władca całej ziemi, po której stapał. Miał w sobie moc, siłę i niebezpieczeństwo równie wyraziste jak jego srebrno-czarny strój. Gdy wsiadł na konia, krzyknąłem ostrzegawczo, gdyż wiedziałem, że jeździec zrodził się z tej samej ciemności, która wkradała się w moją zamrożoną duszę, i zimny ogień zżerający moje wnętrza też był jego dziełem. Ale niezależnie od tego, jak głośno krzychałem z bólu i rozpacz, widma nie słyszały mnie w szalejącej wichurze. I bez względu na to, jak bardzo się starałem, nie zdołałem zobaczyć twarzy mrocznego jeźdźcy.

- Kiedy powiesz mi, co się dzieje? - Napięty głos dochodzący zza pleców znów wyrwał mnie z koszmaru. - Nie dość, że krzyczysz przez sen, to teraz siedzisz, wywracając oczami, i wyglądasz, jakbyś miał paść trupem pośrodku tej brudnej łodzi. Jeśli chcesz mnie utopić, po prostu wyrzuć mnie za burtę.

- Przepraszam. - Złapałem oddech i napałem na wiosła. Wątła łódka ze skóry naciągniętej na cienkie drążki zaczęła się obracać i znalazła się niemal w poprzek prądu, a ciemnozielona woda przelewała się przez niskie burty.

- I o co chodzi?

- Wyjaśnię ci, jeśli przyznasz, kogo zabiłaś przy Fontannie Gasserva.

- Nie muszę ci nic mówić.

I dlatego nie opowiedziałem jej o śnie, który znów zaczynał się wkradać w rzeczywistość. Gorszy niż wcześniej. Bardziej nagłący. Bardziej przerażający. Czarnosrebrny mężczyzna, który stał wśród burzy... jego moc i groza mroziły mi krew w żyłach.

- Nigdy nie słyszałam o tym miejscu - podjęła Fiona. - Dlaczego ktoś w ogóle chciał zamieszkać na wyspie? To piekielnie utrudnia życie.

Mocniej chwyciłem za wiosła, walcząc z silnym prądem, i znów zacząłem się zastanawiać, czy jedyny cel narodzin Fiony polegał na tym, że bogowie postanowili wykorzystać ją jako narzędzie, którym karali mnie za liczne grzechy. Dla niej każdy koń był wierzgającym demonem, każdy zakręt drogi był krzywy, każdy dzień zbyt gorący, zbyt zimny, zbyt wietrzny lub zbyt mokry, a każde podjęte przeze mnie działanie zbyt pochopne, zbyt powolne, tchórzliwe lub nieprzemysłane. Od nocy, gdy powróciła z informacją, że Balthar mieszka samotnie na wyspie na rzece Sajer, kiedy nie spałem, nie milkła na dłużej niż dziesięć uderzeń serca. Równie dobrze mogła jednak narzekać dalej, gdy zamykałem oczy. Być może mówiła tak dużo z nadzieją, że zapomnę o jej wyzwaniu, iż zabiła kogoś przy Fontannie Gasserva w czasie, gdy pełniła funkcję Zbieracza.

Zbieracze byli złodziejami, których Talar wysyłała do miast podczas okupacji przez Derzhich, by kradli to, czego Ezzarianie ukryci w lasach potrzebowali do przeżycia, a nie mogli wyhodować ani znaleźć. Zbieranie niesło ze sobą wielkie ryzyko, a Zbieraczom przez cały czas groziła niewola. Ci, którzy przeżyli, stali się mistrzami szpiegostwa i podstępów. Nic dziwnego, że Fiona radziła sobie tak dobrze. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że w ogóle znalazła się w Zhagadzie. Co sprowadziło ezzariańskich Zbieraczy do serca cesarstwa?

Dałem jej dużo okazji, by opowiedziała mi o incydencie przy Fontannie Gasserva, gdyż myślałem, że wspomniała o tym nie bez powodu. Lecz podczas podróży z Zhagadu, mimo że paplała jak najęta, nie dowiedziałem się nic więcej o jej przeszłości. Teraz mieliśmy stawić czoła nikczemnemu Baltharowi w jego leżu, a ona nie rezygnowała ani z obserwacji, ani z mówienia.

- Czy chmury kiedykolwiek podnoszą się znad tej żałosnej rzeki? Minęły trzy dni, od kiedy skrzyliśmy na północ na wysokości Passile, i od tego czasu nie widzieliśmy słońca.

- Po prostu wiosłuj, Fiono.

Im bardziej zbliżaliśmy się do Balthara, tym mniej sensu widziałem w naszej wizycie. Bo niby dlaczego ten łajdak miałby udzielić nam ja kichkolwiek istotnych informacji? Pokazał, że dla zemsty gotów jest zniszczyć Ezzarian, a nawet jeśli udało mu się znaleźć

rozwiązanie kwestii dzieci opętanych przez demony, nie będzie chciał się nim podzielić. Nie rzuci się ratować potomstwa innych ludzi.

Wraz z Fioną wyruszyliśmy z Zhagadu na zachód i północ. Za to, co pozostało z nagrody handlarza winem, kupiliśmy zapasy na drogę przez pustynię i chastou. Gdy znaleźliśmy się na wzgórzach w północnym Basranie, słynących z hodowli owiec, sprzedaliśmy chastou w targowym miasteczku Passile i dowiedzieliśmy się, gdzie można wynająć łódź. Niestety, by dostać się na wyspę Balthara, musieliśmy przebyć całe jezioro i krótki odcinek w górę rzeki. Mogliśmy poczekać na jedną z kupieckich barek, które transportowały towary na drugą stronę jeziora, do zachodniej części cesarstwa. Za odpowiednią opłatą zostawiliby nas i naszą łódkę w pobliżu ujścia Sajer, lecz barki często wykorzystywali także handlarze niewolników, a ezzariańskie rysy Fiony przyciągały spojrzenia. Nie ważyłem się pokazać w Passile po tym, jak moja towarzyszka podsłuchiwała żołnierzy rozmawiających o nowych edyktach księcia dotyczących Yvora Lukasha. Woleliśmy się wynieść, nim ktoś uzna, że być może wyznaczono za nas jakąś nagrodę.

Koszmary męczyły mnie przez całą drogę, każdego dnia coraz gorzej. Gdy wiosłowaliśmy w stronę Fallatiel, z trudem zebrałem myśli.

Choć było wczesne popołudnie, zaczynało się robić ciemno. Szara mgła wirowała wokół nas, pozostawiając warstwę wilgoci na skórze, ubraniach, bagażach i wiosłach. Popołudnie było chłodne, lecz włosy przykleiły mi się do twarzy i nie wiedziałem, czy krople spływające po karku to deszcz, czy pot. Kierowałem się bardziej dźwiękiem niż wzrokiem, nasłuchując załamania prądu w miejscu, gdzie rzeka zakręcała na zachód i rozgałęziała się, otaczając wyspę Fallatiel.

Po zachodniej stronie wyspy, jak powiedział nam przewoźnik, znajdziemy zatoczkę i kawałek piaszczysto-kamienistej plaży, do której można przybić. Raz do roku zostawiano tam zapasy soli, mąki, oliwy, świec i innych tego rodzaju rzeczy, choć wedle jego wiedzy nikt nie widział mieszkańca wyspy. Ktoś z Zhagadu przysyłał zapłatę, lecz przewoźnik nie wiedział kto.

- Zwolnij trochę - poprosiłem. Plusk i bulgot wody ostrzegły mnie o skałach, i rzeczywiście, wkrótce z mgły wyłoniły się dwa potężne kształty. - To kamienie, o których mówił przewoźnik. Jeśli skierujemy się trochę na prawo, prąd powinien zanieść nas na brzeg.

Wkrótce przebrnęliśmy przez płyciznę i wyciągnęliśmy łódź na nie wielką piaszczystą łachę. Na gałęzi zwieszającej się nad wodą siedział zimorodek, gotów rzucić się do rzeki i pochwycić zdobycz. Stado jaskółek ćwierkało i krążyło wokół nas we mgle, wystraszone z gniazd wśród skał otaczających plażę.

- Halo! - zawołałem. Mgła stłumiła mój okrzyk, więc nie byłem zdziwiony, nie słysząc odpowiedzi. - Chodźmy na górę. Nie będę tu stał i czekał, aż zejdziesz i nas zaprosi. - Otrzeptałem stopy z mokrego piasku i włożyłem buty, które zdjąłem wcześniej, by przejść przez wodę, zaś Fiona odciągnęła naszą łódkę daleko od brzegu i przywiązała ją do kępy wierzb.

Wąska ścieżka zaprowadziła nas z plaży do gęstego lasu sosen, świerków i choin. Ptaki skrzeczały na nasz widok, a małe zwierzęta kryły się wśród jeżyn, które rosły gęsto pod drzewami.

- Halo! - krzyknąłem ponownie.

Włóczyliśmy się przez kwadrans, nie znajdując śladu człowieka, jedynie kolejne drzewa, skały i ptaki. Zaczynałem się już zastanawiać, czy nie daliśmy się zwieść na manowce. Wtedy jednak wyczułem ruch za plecami i ostrzegawczo dotknąłem ramienia Fiony.

- To zupełnie naturalne, że nie chce się pokazywać gościom z Ezzarii - powiedziałem wystarczająco głośno, by słyszano mnie z pewnej odległości. - Nie wie, że przyszliśmy jedynie po informacje.

- Słyszałam, że to nasz jedyny Uczony, który zna się na tych sprawach - odparła Fiona, pojmując moje intencje. - Szkoda by było prze gapić... och!

Zatrzymała się gwałtownie na końcu podejścia, które doprowadziło nas do najwyższego punktu wyspy. Przed nami, na szczycie kolejnego wzniesienia, znajdowały się jednak ruiny - pięć par wysokich, wdzięcznych kolumn stojących niczym widmowe pary w mglisty wieczór, gotowe podjąć taniec zatrzymany jedynie na chwilę. Drewniany dach już dawno zbutwiał, lecz eleganckie kształty rzeźbionych kamiennych nadproży wciąż były widoczne, niektóre nadal na szczytach kolumn, inne wśród gęstych jeżyn i kwitnących pnączy, gdzie spadły.

Widziałem wiele zrujnowanych budowli - dzieł starożytnych rzemieślników. Wszystkie były piękne i mądrze zaprojektowane, sugerując kulturę pełną wyrafinowania. Ich dzieła symbolizowały wszystko, czego moja matka uczyła mnie o sztuce, o proporcjach i równowadze, symetrii i wdzięku. Nigdy wcześniej jednak nie spotkałem budowli tak dobrze zachowanej i o tak szczególnym kształcie. To mógł być pierwowzór każdej ezzariańskiej świątyni, choć po ujrzeniu obu, nikt nie pomyliłby małych, prymitywnych imitacji ze wspaniałym oryginałem. Ktoś z moich przodków zapewne odkrył to miejsce i uznał jego prostą harmonię za obraz naszych działań - poszukiwań jedności ludzkich umysłów - a

później zaczęto budować jego repliki na naszych ziemiach. Cóż za ironia losu, że trafiłem na to w chwili, gdy uznałem, że wszyscy jesteśmy ignorantami.

W otoczonym drzewami wgłębieniu między nami a zrujnowaną świątynią lśniła prostokątna sadzawka. Jej kamienne obramowanie pozostało całe, a z powierzchni ciemnej, nieruchomej wody unosiły się pasemka mgły. W dziwnej zgodności oboje z Fioną ruszyliśmy w dół niemal niewidoczną ścieżką, pochyliliśmy się i spojrzeliśmy w wodę. Nie wiem, czego się spodziewaliśmy, ale na pewno nie tego, co ujrzeliśmy w odbiciu. Gdyż zza naszych ramion wyglądała wesoła twarz... okrągłe policzki, małe usta, błyszczące czarne oczy, lekko skośne, i krótkie białe włosy otaczające łysą czaszkę.

- Widzicie tam coś? Sam zaglądałem do niej wiele razy w ciągu tych lat, ale nigdy nie dostrzegłem nic ciekawego. Wodę. Gwiazdy. Wiatr. Siebie samego. Jestem pewien, że coś się w niej kryje, bo inaczej dlaczego wzywałaby nas i namawiała, by w nią zajrzeć? - Spoglądał to na mnie, to na Fionę. - Czyja was znam?

Zerwałem się i obróciłem na pięcie. Z ulgą odkryłem, że stoi za nami zupełnie materialna postać, nie widmo obserwujące nas z głębi wody.

- Przybyliśmy, by spotkać się z... - Popatrzyłem na wesołego starca o jasnym spojrzeniu, niewiele wyższego od Fiony, i nie mogłem uwierzyć, że był potworem.

- Nie wypowiadaj imienia, jeśli sprawia ci to trudność. Już mnie to nie obchodzi. I oczywiście, ponieważ w okolicy nie ma nikogo, nie słyszę swojego miana już tak często jak kiedyś. Czasem niemal o nim zapominam, co byłoby w sumie całkiem niezłe. Imiona niosą ze sobą wielkie obciążenie.

Człowiek, który przemawiał tak spokojnie, dźwigając jednocześnie tak wielki ciężar grozy, śmierci i szaleństwa... był najgorszym rodzajem potwora. Zalała mnie fala odrazy. Przesunąłem dłoń przed oczami i koncentrując myśli, przyjrzałem mu się w poszukiwaniu śladów opętania przez demona. Ale nie... Miałem przed sobą jedynie drobnego, siwowłosego mężczyznę, którego czoło zaczynało się marszczyć. Skrzywił się, jakby urażony moją obserwacją.

- Jesteś wyjątkowo źle wychowany. Wyjątkowo. A ty - wskazał głową na Fionę - nie podzielasz jego opinii. Cała ta sprawa bardzo ci się nie podoba, ale budzi twoją ciekawość. On z trudem utrzymuje dłoń z dala od rękojeści noża. Oto przybyli do mnie pierwsi goście od tak długiego czasu, a ja zaraz skończę jako trup. - Westchnął. - I nie powiem, że mi to w czymś przeszkadza.

Zaplótl ręce za plecami - ubrany był w powłóczystrą szarą szatę - i przeszedł się wokół sadzawki, jakby jeszcze raz sprawdzał, że rzeczywiście nic się w niej nie kryje. Po chwili znów na nas spojrział.

- Oczywiście, możecie pójść ze mną. Oprowadzę was po wyspie, a potem pozwolę się zabić, jeśli sprawi wam to przyjemność.

Zrobił jeszcze kilka kroków. Oboje pozostaliśmy bez ruchu.

- Wiecie, czekałem przez tyle lat. I nikt nie przybył. Nie mogłem odejść, bo nikt nie uwierzyłby mi bez dowodów, więc to nie miało sensu. Ale któregoś dnia, tak myślałem, któregoś dnia kogoś przyślą... Strażnika, w to nie wątpiłem... Czuję zapach twojej melyddy, taka jest mocna. Czuję jej smak. Ja sam nigdy nie miałem jej zbyt wiele, ujawniały ją dopiero próby. Zawsze byłem przeciętny. Musiałeś zaznać wielkiej chwały, a jednak... cóż, na to przyjdzie czas, jeśli wykażesz nieco cierpliwości, zanim mnie zabijesz. Chodźcie. Mam ogień i korzenne wino... zawsze przysyłają mi wino. Dwie beczułki na cały rok. Dostarczyliby wszystko, o co bym poprosił, ale ja już nie proszę. Niech sami wybierają to, co zawsze. Tak jest prościej. - Potrząsnął głową i przeszedł między parą kolumn. - Chodźcie wreszcie. Można by pomyśleć, że jesteście jednymi z nich. - Poklepał jeden z filarów, zaśmiał się cicho i wszedł do świątyni.

Kiedy zakłęcie jego dziwnej gadaniny zostało przerwane, ruszyliśmy za nim. Zachowywaliśmy milczenie. Cóż można powiedzieć, gdy okazuje się, że oczekiwania zawiodły? Nas i jego. Myślał, że przybyliśmy, by go zabić... Ja zaś zawsze się bałem, że jeśli kiedyś spotkam tego łotra, rzucę mu się do gardła. A tak naprawdę przybyliśmy wysłuchać jego opowieści... czego najwyraźniej pragnął.

Schody świątyni były popękane, grube zielone pnącza przebijały się przez szczeliny, lecz posadzka w kręgu kolumn pozostała - na ile zdołałem to ocenić - gładka i niezniszczona. W palenisku płonął ogień, gorący i pozbawiony dymu, a nad nim wisiał miedziany kociołek. Powietrze wypełniał aromat gorącego wina i goździków. Stałem przy ognisku i pozwoliłem, by osuszyło moje wilgotne ubranie, ale nie przyjąłem od starca kielicha wina.

- Nie przyszedłem, by z tobą pić.

- Nie. Widzę, że nie. - Wpatrywał się w piętno na mojej twarzy, znak królewskiego rodu, którym naznaczył mnie wróg Aleksandra. - Musisz być niezwykłym człowiekiem. Przeszedłeś rytuały, a jednak zachowałeś melyddę. Gdybym tylko mógł cię przekonać, żebyś mi opowiedział, jak ci się to udało... - Westchnąwszy głęboko, podał kielich Fionie. Spojrzała na mnie, po czym przyjęła naczynie i trzymała je blisko siebie, pozwalając, by wonna para otoczyła jej twarz. Była chuda i bardzo marzła. Nie dysponowałem odpowiednimi

umiejętnościami, by sprawdzić, czy napitek nie jest zatruty. Miałem nadzieję, że sama to odkryje.

Balthar wepchnął kolejną gałąź do ognia i pstryknął palcami. Drewno natychmiast wybuchło czystym płomieniem, odpychając mrok, który zaczął wypełniać świątynię. Mój wzrok przyciągnęła barwna plama, niebieska i czerwona, na podłodze za paleniskiem. Mozaika. Zupełnie jak w naszych świątyniach. W innych budowlach, które odwiedziłem, nie widziałem mozaik na podłodze. Może zostały zniszczone jak wszystko inne, a może ich twórcy umieszczali je jedynie w budynkach sakralnych. Komu służyło niegdyś to miejsce? Pewnie nie chodzącym widmom.

- No dalej, obejrzyj ją sobie - zachęcił Balthar. - Dużo czasu zajęło mi jej odtworzenie.

- Nie przybyliśmy, by oglądać ruiny - odparłem. - Ani by cię zabić. Szukamy informacji o rai-kirah.

Nadal spokojnie podsyczał ogień i przesuwiał miedziany kociołek.

- Czego chciałbyś się dowiedzieć o demonach? Z pewnością już odkryłeś, że zwoje nie przekazują całej wiedzy. - Chichocząc, nalał sobie kubek wina. Jego sarkazm byłby dla mnie obraźliwy, gdybym sam nie traktował ezzariańskich Uczonych z coraz większą pogardą.

Interesują mnie dwie sprawy - powiedziałem i zacząłem od tej, która wydawała mi się łatwiejsza. - Kiedyś zająłeś się opowieścią o spotkaniu z demonem, po którym Strażnik... mężczyzna imieniem Pendyrral... twierdził, że demon miał inną niż zazwyczaj naturę.

Balthar się nie odwrócił, ale jego dłoń znieruchomiała.

- Tak.

- Ktoś inny... ja... przeżyłem podobne spotkanie. Muszę je zrozumieć. Podniósł okrągłą twarz.

- I to sprawiło, że w desperacji postanowiłeś udać się do Balthara Diabła. Co myślałeś, gdy wyszedłeś już z portalu? Czy uznałeś się za skażonego?

- Nie wierzę w zepsucie. - Sam siebie zaskoczyłem. Nigdy nie wypowiedziałem swoich uczuć tak otwarcie, nawet w myślach.

Balthar klepnął dłonią w udo i roześmiał się głośno.

- A tego się nie spodziewałem! Zbiłeś mnie z pantaląku. Czy ezzariańscy mentorzy już zapomnieli o dyscyplinie? Czy nasi Strażnicy mogą mieć własne zdanie?

- Wierzę w zło... doświadczyłem go zbyt wiele, by je zignorować... ale nie w zepsucie, które unosi się w wodzie i przenika przez pęknięcia w podłodze.

- Wierzysz, że jestem zły.

- Tak. Widziałem... doświadczyłem... twojego dziedzictwa.

- W takim razie jak udaje ci się nie sięgnąć po miecz? Jeśli jestem aż takim potworem, zabijając mnie, wyświadczyłbyś światu przysługę. - Szeroko rozłożył ręce. - A może chodzi o to, że służę jakiemuś celowi... równowadze takiej jak ta, która powstrzymuje nas przed zniszczeniem rai-kirah? - Słów tych nie wyrzekł od niechcenia; zostały starannie sformułowane i otaczała je aura głębokiej tajemnicy.

Szepty z moich snów drapały mnie w uszy, a lodowaty oddech mroził kark. Świat zakołysał się na chwilę, niczym prześcieradła wywieszona do wyschnięcia na wietrze.

- Muszę na chwilę stąd wyjść - oznajmiłem, uniosłem ręce i wycofałem się na schody świątyni, gdzie usiadłem i spróbowałem głębiej odetchnąć ciężkim powietrzem. Nagle odniosłem wrażenie, że nie zdołam prowadzić rozsądnej rozmowy. Nie byłem pewien, co tu właściwie robię. Nie pamiętałem pytań, które chcieliśmy zadać.

Fiona przyjęła wyzwanie i wyjaśniła sprawę.

- Demon, którego ten Strażnik napotkał, utrzymywał, że jego gospodarz, artysta, który porzucił rodzinę, przyjaciół i zyskowny kontrakt na ozdobienie miejscowego zamku, w pełni go zaakceptował, bo wolał malować kwiaty. Poszukiwacz potwierdził, że zarzuty szaleństwa zostały postawione przez żonę ofiary i jego znajomych, którzy nie widzieli wartości w jego działaniach. Żona, zamożna kobieta, urodziła mężczyźnie dziewięcioro dzieci. Wykorzystała wpływy ojca, by jej mąż dostał ów kontrakt. Ofiara wykazywała wszystkie oznaki opętania przez demona, choć nie żywiła upodobania do czynienia zła... chyba że uznamy za nie porzucenie żony. Ona z pewnością tak myślała.

- A jaka była natura tego spotkania? - spytał Balthar równie rzeczowym tonem.

Opowiedziała mu o moich doświadczeniach, niemal słowo w słowo powtarzając to, co mówiłem przed obliczem Rady Mentorów, choć nawet nie było jej wtedy na sali. A inne informacje... gdzie je znalazła? Wpatrywałem się w wąską twarz Fiony i zastanawiałem się, czy ją znam.

- Nevai... - rzucił do mnie zadziwiony Balthar. - Trafiłeś na Nevaia. Kim jesteś?

- Nic nie mówił o...

- Mówił o Gastaiach, „zwierzęta”, tak ich nazwał, tak... i o Rudaiach... których określają jako „kształtujących”, choć nie wiem, co kształtują... a później wspominał o „pozostałych”, co oznacza, że jest Nevaiem, jednym z wewnętrznego kręgu, najpotężniejszym wśród demonów.

- Skąd wiesz? Nie czytałam o tym w księgach.

Ale Balthar już mi nie odpuścił.

- Zacząłeś śnić, prawda? Ach, tak, widzę to w twojej twarzy. Śniesz, ale wierzysz, że to

nie sen. Pendyrral śnił. Umarł nie wiedząc, co znaczą mary. - Balthar z namysłem uderzał palcem w brodę. - A druga sprawa, która cię tu przywiodła?

- Dzieci - powiedziała ostro Fiona, nim zdążyłem odpowiedzieć. - Dzieci takie jak twoje. Opętane.

Starzec kiwał głową, póki całe jego ciało nie zaczęło się powoli kołysać. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął przygryzać kostki dłoni i jęczeć jak Saetha. Ale gdy się odezwał, panował nad głosem.

- Tak przypuszczałem. To logiczne. Ten człowiek spłodził takich dwoje, mówiliście sobie, a jeśli się czegoś dowiedział, musiało być to coś, co sprawiło, że dopuścił się zbrodni, przez które jego imię na zawsze zostało przeklęte. Czyż nie tak rozumowaliście?

Echo głębokiego smutku w jego głosie było tak ciche, że niemal je przeoczyłem.

- Kiedy urodziła się moja córka i została zamordowana, przez dwa lata szukałem odpowiedzi. Czytałem i badałem wszystkie pisma, dzienniki Strażników i Poszukiwaczy. Wiesz, że doszło do przynajmniej trzech takich spotkań? I to w ciągu ostatnich stu lat. Przedtem... któż wie, ile takich wzmianek zostało zapomnianych lub starannie usuniętych z zapisków? Musiano je traktować jako objaw skażenia. Dopiero w ostatnich latach uznaliśmy, że zapiski powinny być kompletne.

Mówił coraz szybciej i szybciej, po czym potrząsnął głową, jakby chciał się uspokoić.

- Wróciłem do Pendyrrala i błagałem go, by znów opowiedział mi o swoim spotkaniu z demonem, gdyż zastanawiałem się, czy moje dziecko nie było przypadkiem opętane przez taką istotę. Tak, widzę, że i ty się nad tym zastanawiałaś. - Znów spojrzał na mnie z zainteresowaniem, po czym podjął: - Ale Pendyrral nie potrafił dodać nic więcej. W końcu postanowiłem, że odnajdę kobietę... ofiarę, która nosiła tego demona. Ale nie umiałem jej zlokalizować. Minęło zbyt wiele czasu. Miałem tego dotrzeć do miejsca, do którego Poszukiwacz i Pocieszyciel zabrali kobietę, by połączyć się z Pendyrralem i jego Aife.

Podniósł wzrok i gestem wskazał otaczające nas widmowe kolumny.

- Do jednej z tych ruin wybudowanych przez lud tak starożytny, że w żadnej zapisanej historii nie ma o nich ani słowa. To był kwadratowy budynek, zarośnięty chwastami i drzewami, o zniszczonych ścianach i posadzkach, rozrzuconych i połamanych dachówkach... Nawet miejscowi nie potrafili go już wykorzystać. Właściwie nie pozostało tam nic poza melyddą. W tych ruinach zawsze kryje się tyle mocy. Czemu nigdy dokładniej ich nie zbadaliśmy?

- To nie nasza sprawa - wtrąciła Fiona. - My zajmujemy się wojną.

- Ach, tak. Wojną z demonami. Obroną świata przed grozą demonów. Oto nasza

szlachetna ofiara. Cel naszego istnienia. Czy kiedykolwiek zastanawialiście się dlaczego? - W blasku ognia czarne oczy Balthara świeciły niczym klejnoty.

- Powiedz nam, czego się dowiedziałeś - zachęciłem, nie pozwalając, by opanował mnie jego entuzjazm. - Co odkryłeś?

Balthar podszedł do miejsca, gdzie stałem na schodach świątyni i patrzyłem przed siebie, próbując przeniknąć wzrokiem mgłę.

- Nic wyjątkowego. Tamtego dnia odnalazłem jedynie fragment. Początek. Wiecie, upuściłem nóż. Chciałem obrać sobie jabłko, ale ręce mi drżały, bo płakałem. Nie znalazłem odpowiedzi. Nóż wpadł mi w stertę śmieci i musiałem ją przeszukać... Tworzyły ją głównie połamane odłamki wewnętrznego muru.... A znalazłem to. - Zza koszuli wyjął sznurek, na którym wisiał kawałek szarego kamienia wielkości połowy mojej dłoni. Widniała na nim postać mężczyzny ze skrzydłami... ta sama, którą naszkicowano na marginesie zwoju z proroctwem Eddausa... ta, która mogła przedstawiać mnie, gdy przeobrażałem się za portalem. Wpatrywałem się w rysunek z niedowierzaniem, unosząc się na krawędzi objawienia. Obraz z ezzariańskich opowieści wyrzeźbiony na murach dzieła starożytnych budowniczych...

Balthar nie dał mi czasu do namysłu, lecz nieustępliwie ciągnął mnie za sobą, niczym prąd Sajer.

- W ciągu dwóch lat przeszukałem wszystkie ruiny od Parnifouru do Karesh, ale niczego w nich nie znalazłem. Ani podobizn tych, którzy wzniesli budowle, ani napisów, które można by przetłumaczyć. Wszystko zostało zniszczone. Wszystko. Dlaczego? Czy przeciwko budowniczym prowadzono wojnę? Czy był to tak zaciekły konflikt, że w jednej chwili zmieciono z powierzchni wszystkie dowody ich istnienia?

Zadrzałem w nocnym powietrzu, choć wiatr znad rzeki nie niósł mrozu. Balthar wziął mnie za ramię i poprowadził w stronę niebieskich i czerwonych plam, migoczących na podłodze w blasku ognia.

- Dopiero wiele lat później odnalazłem to miejsce. Kiedy moje drugie dziecko urodziło się opętane przez demona i także zostało uśmiercone, wpadłem w okowy szaleństwa i żądzy zemsty. Przez długi czas wykorzystywałem swoją wiedzę, by tworzyć piekielny rytuał, który poznałeś... moje dziedzictwo na tym świecie. Ale w miarę upływu lat udało mi się poznać prawdziwą historię. Pojąłem, że to, co zrobiłem, było niczym w porównaniu ze zbrodnią naszego ludu, i że bogowie zsyłali nam opętane przez demony dzieci jako sprawiedliwą karę. Spójrz w dół - polecił. - Poznaj historię naszego ludu, a później powiedz mi, kto dopuścił się gorszych czynów.

Mozaika nie była kompletna. W otworach i pęknięciach leżały sterty kamieni i zaprawy. I nie była to prawdziwa mozaika, w której obrazy tworzą wyłącznie kawałki kolorowych szkiełek. Wzory namalowano i wyrzeźbiono na większych płytkach, które połamano i znów złożono.

Przed nami rozciągała się historia; obrazy zajmowały blisko połowę posadzki, zmuszając mnie, bym uklęknął.

Na niebieskim i czerwonym tle wiły się tysiące odłamków, nie większych od mojego kciuka, linie i barwy tworzyły różnorodne kształty - mężczyźni ze skrzydłami, kobiety z ciałami koni, dzieci zmieniające się w ptaki, lisy i jelenie w lesie pełnym wysokich drzew i budowli przy pominających tę, w której się znajdowałem. Życie pełne czarów i tajemnic. Wokół obrazów dostrzegłem płytki z napisami i symbolami, jednak nie zwracałem na nie uwagi. Wszystkie postaci miały czarne włosy, brązową skórę i lekko skośne oczy. Ezzarianie. Czulem, jak narasta we mnie oszołomienie.

Połowa obrazów najwyraźniej przedstawiała sceny rodzajowe. Na małych i dużych malunkach wszelkiego rodzaju czynności codzienne zostały upchnięte razem, jakby artysta pamiętał więcej, niż chciał pokazać, i wcisnął je w już ukończony obraz - jedzenie, sen, mycie, tkanie, uprawy i żniwa, zaplatanie włosów, budowa domów i świątyń, muzyka. Gdzieś pośrodku, tuż za dużą szparą, historia stawała się bardziej treściwa. Od lewej do prawej, na kwadracie za kwadratem starannie odtworzonych obrazów, widziałem grupę mężczyzn i kobiet - z których pięcioro powtarzało się na każdym obrazku - odprawiających jakiś skomplikowany rytuał, wymagający ognia i dymu, muzyki, noży i zwierciadeł. W pobliżu stała gromada mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy byli przerażeni, ściskali się za ręce i zakrywali lub odwracali oczy, jakby nie ważyli się obserwować tego, co się dzieje. Na każdym kolejnym obrazie pojawiał się pewien kształt, coraz większy, złowroga plama, która mogła być symbolem burzy, zarazy czy innej groźby. Dopiero na ostatnim obrazku przybrała ostateczną postać. Na tym rysunku grupa pięciorga stała przed pozostałymi. Ich głowy były pochylone, policzki zroszone łzami, a dłonie uniesione do góry w wyraźnym geście przerażenia, wstydu i strachu. Tuż za nimi bezkształtna masa zamieniła się w trzecią grupę... potworne kształty, które żyły w mojej pamięci, odkąd skończyłem siedemnaście lat i po raz pierwszy napotkałem jednego z nich... grupę demonów, powstrzymywanych jedynie przez te same noże i zwierciadła, które wykorzystywaliśmy podczas rytuałów. Nie potrafiłem pojąć znaczenia tego, co wiedziałem, lecz Balthar wypowiedział na głos wniosek, jaki nasunął mi się podczas oglądania.

- Rozumiesz, Strażniku. To my jesteśmy za to odpowiedzialni. Sami swoją magią stworzyliśmy demony.

Rozdział 19

- Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - Fiona stała tuż za mną i wrzeszczała na Balthara. - Nawet jeśli ten bałagan coś znaczy, nie jest kompletny. Widzisz chyba luki.

- Żeby dotrzeć do tej mozaiki, potrzebowałem dwudziestu siedmiu lat i nie wiem, czy uda mi się zrobić więcej. Mój wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś, a płytki, które zostały, są uszkodzone tak bardzo, że ledwie widać na nich jakiś wzór. Przez jakiś czas leżały w wodzie, wrzucone tam przez tych, którzy zniszczyli świątynię. Myślę, że rzeka niedługo później zmieniła bieg, gdyż niewiele z nich się zgubiło lub rozpadło. Odnalazłem wszystkie. Wystarczy popatrzeć.

- Ale nie wiesz na pewno, co znaczą...

- Nie rozumiesz, dziewczyno? Nasi przodkowie przybyli tu i zniszczyli dowody własnych zbrodni. Kiedy odkryli, jaką siłę uwolnili, nie mogli pozwolić, by inni... zwykli ludzie... się o rym dowiedzieli. Oni... my... musieliśmy naprawić swój błąd. Ogłosiliśmy wojnę przeciwko własnemu stworzeniu i musieliśmy żyć z poczuciem winy każdego dnia przez ostatnie tysiąc lat. A żebyśmy nie zapomnieli, bogowie przysyłają nam dzieci... nasze własne dzieci opętane przez zło, które uczyniliśmy. Znalazłem odpowiedź.

- Nie masz pewności. - Sprzeciw Fiony brzmiał pusto. Oczywiście, Balthar się nie mylił. Nóż na rysunku wyglądał jak nóż, który wykorzystywałem do zabijania demonów. Zwierciadło było owalne, wielkości dłoni. Czy ten, który je trzymał, to sam Luthen? A czy śpiewająca postać to Loreth? Demony zrodziły się z ezzariańskich czarów. Nie mogliśmy temu zaprzeczyć.

A cała reszta... Przeciągnąłem dłonią po wizerunkach skrzydlatych postaci i poczułem palenie w ramionach, pragnienie w żołądku i pusty ból w piersi. Co się z nami stało?

- Mylisz się przynajmniej w jednej kwestii - zauważyłem pełnym napięcia głosem. - Dzieci nie mogą być naszą karą. Nie cierpimy połowy tego, co one muszą znieść i nawet tego nie widzimy, gdyż zabijamy je lub odsyłamy.

Pamiętałem wyraz twarzy Blaise'a, gdy splótł ramiona na piersi i stał się istotą, która była częścią jego osoby. Nie dostrzegłem na niej bólu ani niezgody, opętania lub ograniczenia, lecz czystą radość. Rozpoznałem ją tylko dlatego, że w swoim życiu pełnym

przemocy miałem szczęście kilka razy jej doświadczyć. Spokój Blaise'a był tak doskonały, że nie potrafiłem sobie tego nawet wyobrazić. Tylko jego koniec przyniesie cierpienie.

- A co ty o tym wiesz? Nic! - krzyknął Balthar tak głośno, że stado ćwierkających wróbli podniosło się niczym szara chmura z pobliskich drzew. - Te dzieci by nas zniszczyły. Mieliśmy rację, że się ich pozbywaliśmy. Nienawidzę tej myśli, ale to prawda. Nasza kara polega na tym, że musimy zabijać je za to, co sami uczyniliśmy.

Oczywiście, Baltharowi nie podobała się moja sugestia, że jego teorie są niekompletne. Ale on nie mógł wiedzieć. Nie miał okazji poznać Blaise'a.

Gdy ja starałem się złożyć razem mozaikę swoich doświadczeń, Fiona próbowała przekrzyczeć starca. Broniła najważniejszych punktów ezzariańskiej tradycji - że demony to siła natury i same w sobie nie są złe, i że jedynie ze względu na nasz dar magii musimy z nimi walczyć. Nic w naszych pismach nie obciążało nas winą. Ale to właśnie niekompletność ezzariańskich zapisków ją pograżyła - nie mogła przytoczyć innej wersji, bo jej nie mieliśmy. Dlatego w końcu opowiedziała Baltharowi o Blaisie i Saecie, żądając, by wytłumaczył, co na ich temat mówią jego teorie. Balthar nazwał ją kłamczuchą i jeszcze gorzej. Nie winiłem go za to. Gdyby uwierzył, że opętane przez demona dzieci dorasta a zdrowe na ciele i umyśle, nie mógłby dłużej akceptować śmierci własnego potomstwa.

- Obaj jesteście głupcami - krzyknęła Fiona, niemal tupiąc w barwne płytki. - Ty, starcze, morderco i handlarzu niewolników, wysnułeś to bzdurne mniemanie z własnego zła. Próbujesz tłumaczyć własne grzechy faktem, że istnieją gorsi od ciebie. A ty - wpatrzyła się we mnie płonącym wzrokiem - śmierdzisz zepsuciem. Twoja nieczystość zaćmiła ci wzrok. Nie wierzę żadnemu z was.

- Nie próbuję zaprzeczać własnym zbrodniom - stwierdził Balthar, potykając się na każdym słowie. - Ale ty jesteś... świadomie... ślepa. Tego się spodziewałem, ponieważ to nie wy pojęliście to jako pierwsi. Ponieważ to godny pogardy Balthar odkrył prawdę. Z mozaiki mogłoby wynikać, że niebo jest niebieskie, a Ezzarianie i tak by temu zaprzeczyli. Jak mogłem myśleć, że czegokolwiek was nauczę? Gdyby przedstawiona tu rzeczywistość przerażała was jeszcze bardziej... co byście wtedy zrobili? Zabiliście mnie, żeby nikt się nie dowiedział.

I tak wrzeszczeli na siebie, aż miałem ochotę na nich ryknąć i kazać im przenieść swoje kłótnie gdzie indziej. Odpowiedzi krążyły w mojej głowie, czekając, bym je pochwycił, jeśli tylko znajdę odpowiedni hak. Potrzebowałem tylko chwili spokoju, żeby to przemyśleć.

W lewym górnym rogu obrazu dostrzegłem niedużą płytkę przedstawiającą dziewczynkę zmieniającą się w jelenia. Artysta kilkoma pociągnięciami pędzla namalował

ból na jej twarzy... ból, który przetrwał tysiąc lat, by mi coś powiedzieć. Na szyi miała amulet w kształcie trzech splecionych kręgów, dzięki któremu rozpoznałem ją na innych obrazkach. Jakaś kobieta położyła dłoń na głowie dziecka. Pocieszenie, czar... cokolwiek to było, złagodziło cierpienie. Wpatrując się w skomplikowane obrazy, znów napotkałem dziewczynkę. Starszą. Nadal z amuletem. Robiła te same rzeczy, co pozostali - gotowała, czytała, pisała, tkala. Spojrzałem dalej, by sprawdzić, czy znów się pojawi, i znajdowałem ją wielokrotnie, to była młodą kobietą, to jeleniem, to innym zwierzęciem, czasem połączeniem kobiety i zwierzęcia - ale zawsze miała przy sobie wisiołek z trzema splecionymi kręgami, dzięki któremu ją rozpoznawałem. Widziałem, jak poślubia młodego mężczyznę, który zmieniał się w ptaka.

Zacząłem ignorować inne obrazy wymalowane i wyrzeźbione na płytkach, szukając tej jednej postaci, która mogła powiedzieć mi więcej. Tutaj, malutki obrazek nieproporcjonalny w stosunku do tych, które go otaczały. Młoda kobieta, częściowo przeobrażona, rodziła dziecko, a na jej twarzy malował się ból. A później - trudno było to odkryć, gdyż zaraz obok biegło pęknięcie płytki - jeleni we wnętrzu prostokątnego kształtu. Drzwi? Przyjrzałem się bliżej. Krawędzie prostokąta były pofalowane, nie proste, a wewnątrz znajdowały się zarysy dziwnych drzew i nieznanymi kształtów, rozmyte na krawędziach. Portal. Na płytkach widniał kształt tak znajomy, jakby utkała go Aife. Gorączkowo szukałem dalej. Musiałem wiedzieć, co stało się później. Dotarłem do części mozaiki dotyczącej magii i demonów, i bałem się, że nie znajdę już nic o zwyczajnym życiu... ale tam... wśród płytek tuż przed szczeliną i kwadratem, na którym spotykaliśmy pięcioro czarodziejów, powtórzył się motyw prostokąta z jeleniem wewnątrz. I znów. I znów. I znów, wyciśnięty w rogach i tłach każdej płytki. *Nie, nie, nie. Musi być inna odpowiedź.* Kiedy niemal poddałem się frustracji, znów ją odnalazłem. Witła męża i dziecko... wyraźnie starsze dziecko. Wróciła z miejsca, do którego udała się przez portal. Jeszcze kilka obrazów... część w postaci jelenia, część w ludzkiej. I żadnych innych. Ale nie oszalała. Nie została uwięziona.

Westchnąłem i przysiadłem na piętach. Obraz nie podsuwał rozwiązania. I z pewnością mógł oznaczać tysiąc możliwości. Ale dawał na dzieję. Z pewnością dawał nadzieję.

Czas płynął własnym rytmem. Nawet nie zauważyłem, jak kłótnia ucichła. Balhar w milczeniu zajął się ogniem i jedzeniem, a Fiona siedziała na podłodze po drugiej stronie mozaiki i obserwowała mnie bacznie.

- I czego dowiedziałeś się z tego żalostnego fałszerstwa? - spytała tonem o wiele spokojniejszym, niżbym się po niej spodziewał, zwłaszcza biorąc pod uwagę wcześniejszą tyradę. Wydawała się zmęczona.

- Pojawiły się tylko kolejne pytania - odparłem. - To, że stworzyliśmy demony, wydaje się jasne, lecz dlaczego na Blaise'a i jemu podobnych działają inaczej niż na resztę ludzi? Czy to demon doprowadza ich do szaleństwa lub sprawia, że zmieniają się w zwierzę? A może potrzebują... czegoś... gdzieś... - Dotknąłem palcem obrazu kobiety - jelenia przechodzącej przez portal - a my nie wiemy, jak im to dać? Dowiedziałem się jedynie, że przemiana jest zgodna z ich naturą, co zresztą odkryłby każdy, kto obserwowałby ich choć przez jeden dzień. To nam czegoś nie dostaje.

- Jesteś równie szalony jak on. - Tym razem w jej głosie brzmiało ciche oskarżenie. Niemal przyjazne.

Balthar i Fiona osiągnęli kompromis - być może zgodzili się, że oboje tak uparcie trwają na swoich pozycjach, iż dalsze kłótnie pozbawione są sensu. Miałem wrażenie, że kończyny ciężą mi jak ołów i kiedy starzec przyniósł nam twarde, suchy chleb i zupę z jęczmienia, nie znalazłem w sobie ani woli, ani oburzenia, by mu odmówić. Fiona i Balthar rozmawiali jedynie o przyziemnych sprawach: prądach rzecznych i zwierzynie łownej oraz corocznych zapasach - cenie krwi dostarczanej przez Gildię Magów. Oboje wycofali się z niebezpiecznej przepaści, nad którą spacerowaliśmy tego wieczora, ale ja nie umiałem pójść ich śladem. Moje spojrzenie i myśli nie opuszczały mozaiki, cały czas przyglądałem się postaciom, próbując pojąć ich tajemnicę i zamiary tych, którzy stworzyli te obrazy. Kiedy uciszyłem burczenie w brzuchu, znów pochyliłem się nad obrazami, aż zacząłem widzieć jak przez mgłę, a mój umysł po raz dwudziesty powrócił do punktu wyjścia. Wtedy owinąłem się płaszczem i zasnąłem, opierając dłoń na układance.

Oczywiście, sen znów przyszedł. Gdy w ciągu następnych godzin przeżywałem go po wielokroć, zachowałem na tyle przytomności, by się zastanawiać, czy atakuje mnie z taką siłą dlatego, że znajduję się w miejscu przepelnionym mędydą. Tej nocy setkę razy żyłem i umierałem, z zamrożonymi kończynami, niespełnionym pragnieniem, oślepieniem wzrokiem i gasnącym oddechem, przyglądając się, jak odziana w srebro i czerń postać przyjmuje dowództwo swojego legionu. Ale kiedy obudziłem się w mglisty ranek, znałem odpowiedź.

- Powiedz mi, starcze, o czym śnił Pendyrral. - Potrzęsaniem obudziłem Balthara śpiącego na stercie wyschniętych liści. Czuję taki niepokój, że z trudem powstrzymywałem się, by go nie obić i w ten sposób wyrwać z odrętwienia. - I inni, którzy przeżyli te spotkania... Co się z nimi działo?

- Zamek - mruknął. - Pendyrral śnił o zamku wśród śniegów. Bardzo pragnął dostać się do środka. Cathor też... był jednym z pozostałych. Zapisał to. Sny tych dwóch mężczyzn były podobne, niemal identyczne. Fellyd zniknął tuż po swoim spotkaniu. Niektórzy mówili, że udał się na północ.

- I mieszkają tam... widma... piękne, wspaniałe istoty, które nie mogły go zobaczyć?

- Tak. Pendyrral tak je opisał. - Starzec usiadł i podrapał się w głowę. - Czemu pytasz?

Sny... sny o przynależności. Pragnienie, by wejść do zamku pośrodku zamrożonego pustkowiecia. Te rai-kirah próbowały nam coś powiedzieć, przyciągnąć nas do siebie. Jak od zawsze obawiał się mój lud, demon znalazł sposób, by dostać się do naszych umysłów... ale nie po to, by wypełniać je strachem i szaleństwem, lecz zadziwieniem, pragnieniem i pewnością, że istnieją tajemnice, które musimy rozwikłać. Ale dlaczego? Nie wierzyłem, że tylko po to, by sprowadzić na nas zniszczenie.

- Czy Pendyrral czuł, jak pożera go ciemność, albo czy widział, jak widma opuszczają zamek i wyjeżdżają na spotkanie komuś, kto kryje się wśród burzy? Komuś, kto według niego był czystym złem, niezmiernie potężnym, komuś, czyj dotyk sprowadzał zniszczenie?

Balthar zmarszczył czoło.

- Nie. Nie przypominam sobie niczego takiego. Żaden z nich o tym nie wspominał. Bali się swoich snów, bali się pragnienia, by przeżyć je naprawdę. Ale nie obawiali się istot, które tam spotykali. Pendyrral utrzymywał, że są piękne.

W moim śnie tylko przybysz budził grozę, symbolizował ciemność, która mnie pożerała, gdy nie mogłem się udać tam, gdzie musiałem się dostać.

- Bogowie, wszystko pasuje. - Zerwałem się na równe nogi i zacząłem spacerować po świątyni. Dłońmi przeczesywałem włosy i w myślach przesuwałem kawałki układanki, które zgromadziłem we śnie. Widziałem to tak wyraźnie. Pendyrral i Cathor nie zrozumieli, ponieważ nie znali Blaise'a.

Fiona pojawiła się na schodach, wyłaniając się z mgły.

- Co pasuje?

- Odpowiedzi na niektóre z zagadek. Kim są dzieci. Dlaczego nie możemy się zmusić do zabijania demonów. Dlaczego demony szukają ciepła i życia. Znaczenie zepsucia i nieczystości i dlaczego mówiono nam, że powinniśmy zachować ostrożność, bo inaczej

demony znajdują drogę do naszych dusz. - Czułem, że moja skóra płonie... ogniem prawdy płynącej w żyłach. - My nie stworzyliśmy demonów, Fiono. Demony są częścią nas.

- Oszalałeś!

- Są kawałkiem naszej duszy, który został wyrwany magią. - Opadłem na kolana przy mozaice, a słowa cisnęły mi się na usta, pomysły przybierały realne kształty, świat przeobrażał się na moich oczach, niczym ciało Blaise'a. - Popatrz na to. To przeobrażenie. Stanowiło element ich życia, tak samo jak gotowanie i narodziny. A portale... - Teraz kiedy je już rozpoznałem, niewyraźne kształty pojawiały się wszędzie na wczesnych płytkach - ...bez trudu przechodzili między tymi dwoma miejscami, jednym przypominającym nasz dom i tym drugim, gdzie wszystko było inne... może w taki sposób, w jaki Blaise odbywa swoje wędrówki. A później mamy to. - Wskazałem na szczelinę tuż przed opowieścią o straszliwej magii. - Musimy się dowiedzieć, co wówczas zaszło, a wtedy wszystko nabierze sensu. Ale cokolwiek się stało, ludzie się przerazili i sięgnęli po magię. Popatrz na nich później. To pierwszy obrazek, na którym nie uwieczniono nikogo, kto przeszedłby przemianę. Nie ma portali. To drugie miejsce przestało być widoczne. A te potwory, które nazywamy demonami, wyraźnie oddzielono od pozostałych. Wszystko wydarzyło się jednocześnie.

- Nigdy - rzuciła Fiona. Cofnęła się i potrzęsła głową, a jej wąska twarz zbladła. - Nigdy nie uwierzę, że jestem demonem.

- Bo nim nie jesteś. Oczywiście, że nie. Ale też bez niego nie jesteś do końca sobą. Ani ja. Ani Ysanne, Talar czy ktokolwiek z nas. Tylko dzieci. - Mój syn. Pośrodku całego zamieszania, gdy fundamenty świata drżały pod moimi stopami, trzymałem się tej jednej myśli: to on jest taki, jaki powinien być każdy z nas. - Zawsze twierdziliśmy, że rai-kirah same z siebie nie są złe, jedynie pragną ciepła i życia. „Zwój rai-kirah” utrzymuje, że to opętanie stanowi zło i dlatego odsyłamy demony, zamiast je zabijać. Nie rozumiesz? Należą do nas, tak samo jak nasze dłonie, serca i pragnienia, i w snach, gdy je widzimy, pojmujemy to. Wtedy, tysiąc lat temu, zostaliśmy rozdzieleni... - postukałem w obraz czarodziejów, którzy opracowali zaklęcie - ...a ta piątka zdecydowała, że nigdy się już nie połączymy. Pomyśl o zasadach, wedle których żyjemy. Pomyśl o najgłębszych lękach, jakie żyjemy od dzieciństwa. Nie ufali nam na tyle, by podać nam powody, dla których musimy pielęgnować ów strach, i zniszczyli wszystko, byśmy nigdy nie odkryli, kim niegdyś byliśmy. - Nie wypowiedziałem na głos coraz silniejszego przekonania, że mój sen... ostrzeżenie... Prekursor... wszystko to wiązało się z luką w opowieści, przyczyną wszystkiego.

Balthar nie rzekł ani słowa, od kiedy zacząłem mówić, lecz słuchał uważnie, kołyszając się bardzo powoli. Otworzył usta, a jego okrągłe policzki nagle opadły i pomarszczyły się.

Rękami otoczył ciasno nogi, a brodę wsparł na kolanach. Można by pomyśleć, że znieruchomiał, wstrząśnięty, lecz palcami jednej ręki uderzał w udo niczym dzięcioł w martwe drzewo. Ale gdy przerwałem, by znów spojrzeć na mozaikę, próbując odkryć jej dalsze tajemnice, odezwał się bardzo cicho.

- Pendyrral myślał, że demon go opętał i tylko czeka na odpowiednią chwilę, by wejść do jego duszy. Potem nadeszły sny, a on rozpaczliwie pragnął znaleźć to miejsce. Mówił, że przynależy do niego tak samo jak widma, że one go wzywają. Zabił się, wiesz... żeby się tam nie udać. Miał żonę i pięcioro dzieci. Nie mógł znieść myśli, że oszaleje albo zostanie demonem. - Potrząsnął głową; uszło z niego całe życie. Jego błyszczące oczy zmatowiały, a z ust wydobywał się cichy jęk. Wiedziałem, że dla żadnego z nas odpowiedzi, na jakie natrafimy, nie będą łatwe.

- Co jeszcze wiesz, Baltharze? - spytałem. - Istnieje możliwość... - Pendyrral nie śnił o ciemności i jeźdźcach. Coś się zmieniło od jego czasów. Pokonałem władcę demonów... Naghidę... Prekursora. Przepelniała mnie groza. Dlaczego na twarzach świadków starożytnej magii malował się taki strach? Co sprawiło, że się okaleczyli, zniszczyli swoją historię i zobowiązali dzieci swoich dzieci do wojny, która nie mogła się skończyć. - Jak proroctwa pasują do tej historii?

- Nic! Nie ma już nic. Nic. Wszystko zostało zniszczone. Zabieraj swoje domysły i odejdz. Brakuje tu sensu. Jakie to ma znaczenie? - Balthar uderzał teraz palcami w swoją łysą głowę, jakby chciał sobie coś przypomnieć... albo o czymś zapomnieć.

- Najpierw muszę dowiedzieć się wszystkiego, czego nauczyłeś się o demonach. Chyba że kłamałeś na temat swojej wiedzy.

Moje ostre słowa wyciągnęły Balthara z otępienia.

- Nie znam zbyt wielu proroctw, ale o demonach wiem więcej niż jakakolwiek żyjąca osoba, co jeśli się nie mylisz, oznacza, że nadal muszę się dużo nauczyć. Tobie natomiast mógłbym przekazywać swoją wiedzę długo, bardzo długo, aż w końcu miałbyś dosyć słuchania. - Podniósł patyk i wrzucił go do ognia tak, że rozpalone węgle wypadły z paleniska.

- A więc zrób to.

- Niby dlaczego?

- Ponieważ przez szesnaście lat żyłem z grozą tego, co stworzyłeś. Jesteś mi coś winien.

Balthar nie odpowiedział, lecz przez resztę poranka przekazywał mi różne informacje na temat demonów. Interesował się nimi na długo przed tym, nim jego dzieci urodziły się

opętane. Pierwszą połowę życia spędził badając każde zapisane słowo, każdą plotkę, każde doświadczenie Strażników, do których zdołał dotrzeć, a potem wyruszył w świat i zbierał legendy innych ludów: powieści Derzhich o demonach na polu walki, historie opowiadane przy manganarskich ogniskach o duchach wojowników, które pożerają nieostrożne dusze, pieśni basrańskich bazarzy i kuvaiskich minstrelów.

- Zapisałem wszystko - powiedział - ale nie pozwoliłem nikomu tego czytać. Chciałem, żeby notatki były pełne, by nikt nie oskarżył mnie o zepsucie. Kiedy opuściłem Ezzarię, spaliłem je. Ale gdybym miał wystarczająco dużo papieru i atramentu, pewnie udałoby mi się je odtworzyć.

Balthar wyróżnił trzy grupy demonów - nazywał je kręgami. Demony spotykane przez Strażników należały niemal wyłącznie do grupy pierwszej. Mój demon nazwał ich Gastaiami, a Balthar już wcześniej napotkał to określenie.

- To myśliwi, ci, którzy przybywają w poszukiwaniu pożywienia. Ich gwałtowność jest proporcjonalna do głodu, jaki odczuwają.

Podczas nauki słyszałem o takim zachowaniu, ale nie znałem nazw owych stworzeń.

- Niektórych z Gastaiów napotkaliśmy wiele razy. Znasz historię. Jeśli walczysz od dawna, z pewnością zetknąłeś się z niektórymi z nich, z demonami, które zachowują się dokładnie tak samo jak przy wcześniejszych spotkaniach. Za każdym razem są gorsze.

Pokiwałem głową. Nigdy nie nadawaliśmy im imion, by nie zapewniać im mocy i trwałości. Ale mentorzy przygotowywali nas na spotkanie pewnych demonów, które w historii pojawiały się wielokrotnie.

- Następni są Rudaiowie. Kształtujący. Kilka demonów w swoich przechwałkach wspominało o związkach z Rudaiami. W kuvaiskich legendach pojawiają się duchy, które tworzą światy z kamienia i wiatru, a ja uznałem, że te opowieści pasują do doświadczeń kilku Strażników. Ayolad i Teskor napotkali demony, które przekształcały tkaninę Aife, by ich oszołomić. Obaj twierdzili, że kilka razy natrafili na tego samego demona, ale ich zapiski były bardzo krótkie, a ja zawsze chciałem ich spytać dlaczego. Niestety, było to niemożliwe. Wzmianki o kształtujących pojawiły się dawno temu... Ayolad żył przed sześciuset laty, a Teskor przed dwustu. W tym czasie o podobnych demonach wspomniało jeszcze paru innych. Nie sądzę, byśmy za mojego życia napotkali jakiegoś Rudaia, chyba że ty...?

Potrząsnąłem głową.

- A Nevaiowie... to tylko szept. Dumni. Ukryci. Wewnętrzny krąg, najpotężniejsi z nich wszystkich, najdalsi od wszelkich kontaktów z nami. Zawsze się zastanawiałem... Wedle opowieści Athos, bóg Derzhich, był kiedyś ziemskim królem, potężnym, przystojnym i

jasnowłosym, który mógł zmieniać się w dowolne zwierzę. Jego rządy były tak wspaniałe, a poddani kochali go tak bardzo, że władcy niebios... gwiazdy... stali się zazdrośni. Przekonali go, by zmienił się w jednego z nich, po czym stworzyli zaklęcie, by powstrzymać go przed powrotem na ziemię. Myśleli, że zagubi się między nimi, a mieszkańcy powierzchni znów zwrócą się do gwiazd. Ale jego chwała rosła, zdobył połowę niebios, a gwiazdy bały się, że stracą nawet tę drugą połowę. Dlatego Tyros, władca nocy, usynowił Athosa i namaścił go, by jako władca podążał za nim, jak dzień podąża za nocą. Słońce jest częścią życia ludzi, ale gwiazdy... Sądzę, że gwiazdy to Nevaiowie. Obserwują nas i są za zdrosni o każdego, kto próbuje im odebrać moc, ale nas nie dotykają. Karmią się tym, co przynoszą Gastaiowie, ale bardziej pragną mocy niż życia.

Dotknął kilku symboli wypisanych na krawędziach mozaiki.

- Te słowa nie są mi znane. Nie pochodzą z naszego języka, nie przypominają też mowy demonów, które spotkałem. Ale popatrz. Tu jest słowo oznaczające Nevaiów, a tu Rudaiów i Gastaiów. Starożytni znali ich nazwy. Może te słowa mogłyby powiedzieć nam o nich więcej - głos starca drżał - gdybyśmy tylko chcieli to wiedzieć. Niektórych rzeczy... niektórych rzeczy lepiej nie odkrywać.

- Zrodzeni dla mocy, zrodzeni dla tworzenia, zrodzeni dla służby - powiedziałem. - Yalyddar, eiliddar, tenyddar. My tworzymy własne kręgi.

- Na córki nocy...

Gdy Balthar przekazywał mi swoją wiedzę, mój wzrok nie opuszczał obrazów na połamanych płytkach. Kobieta-jeleń, mężczyzna ze skrzydłami, dziwne drzewa, które pojawiały się za portalami. Gdy otulone mgłą słońce zaszło, pozostawiając świat w ciemności, potrafiłem odtworzyć w głowie te rośliny i inne, których mozaika nie przedstawiała. Mogłem dotknąć koszyków namalowanych kilkoma pociągnięciami pędzla i wyobrazić sobie, co w nich jest - owoce, które nie rosły na żadnym znanym mi drzewie, chleb smakujący ziarnem nieuprawianym w cesarstwie Derzhich, klejnoty migoczące barwami, których nigdy wcześniej nie widziałem. Na oczach męża i dziecka kobieta-jeleń biegła drogą przez ukwieconą łąkę, a ja potrafiłem opisać, co znajduje się za następnym zakrętem. Jak to możliwe? Mógłbym przysiąc, że droga, którą podróżowała, nadal gdzieś istniała, ale straszliwie bałem się tego, co musiałbym zrobić, by ją odnaleźć.

- Chciałbym, żebyś utkała dla mnie portal, Fiono.

Fiona przez cały dzień siedziała na schodach świątyni, bez słowa słuchając opowieści Balthara. Po tym jak podzieliliśmy się serem i daktylami, razem z Baltharem udała się sprawdzić, czy nasza łódź jest bezpieczna, a później opróżnić sieci i pułapki starca - sądziłem, że chce się upewnić, czy mężczyzna czysto zabija swoje ofiary - ja zaś spędziłem długi wieczór na rozmyślaniach. Teraz wróciła i przysiadła ze skrzyżowanymi nogami przy ogniu, łamiąc gałęzie na podpałkę. Balthar zasnął. Ja siedziałem oparty o jedną z kolumn.

- Utknąć portal? Starzec może i jest szaleńcem i łotrem, ale nie opętany przez demona. A nie sądzę, by Strażnik zdołał wejść do własnej duszy, nawet jeśli nie brakuje mu rozumu... co ciebie z pewnością nie dotyczy. - Oderwała poszarpaną korę z gałęzi choiny. - A poza tym nie wolno ci przechodzić przez portal.

- Nie mam prawa walczyć z demonami. I nie zamierzam tego robić. - Słuchając, jak próbuję wyjaśnić Fionie, czego pragnę, zacząłem się zgadzać z jej osądem. Oszalałem. Jaki człowiek decyduje się ruszyć drogą swoich najgorszych koszmarów?

Fiona stanęła nade mną i zaczęła wrzeszczeć.

- To morderstwo! Coś gorszego niż morderstwo! Nie mogę tego zrobić! - Ruszyła przez świątynię, jakby chciała jak najbardziej się ode mnie oddalić. Ale po chwili wróciła i opadła na kolana, by spojrzeć mi w twarz. - Co chcesz udowodnić?! Opierasz się na fantazjach tego szaleńca. Powołujesz się na sen i wizje demona, którego spotkałeś, gdy z wyczerpania i żalu nie byłeś do końca sobą.

- Powiedz mi, co innego mogę zrobić, Fiono. Jestem przekonany... przekonany... że światu grozi niebezpieczeństwo gorsze niż władca demonów. Zdołamy stawić mu czoła, tylko jeśli się zjednoczymy pod przywództwem silnych, zdolnych, honorowych ludzi... a to oznacza, że Aleksander i Blaise muszą dojść do porozumienia. Ale nim tak się stanie, trzeba uratować Blaise'a przed zgubą oraz poznać naturę zagrożenia, żebyśmy wiedzieli, czemu należy z nim walczyć. A jedyny sposób, by tego dokonać, wymaga, byśmy uzupełnili mozaikę. - Wskazałem na lukę pośrodku podłogi. - Gdzie jeszcze się udać, by znaleźć odpowiedź?

- Nie wolno ci w to wierzyć.

- Opowiedz mi inną historię. Jeśli tylko ją znasz, proszę, podziel się swoją wiedzą. Gdybym miał wybór, nie zrobiłbym tego.

- A co z naszym ludem? Z królową? Talar... innymi. Właśnie dlatego jesteś taki niebezpieczny. Ponieważ nie chcesz postępować we właściwy sposób, posłuchać tych...

- Ezzarianie przez wiele lat robili to, co konieczne. Wierzę w to. Nasza siła i wiara

zapewniły światu bezpieczeństwo. Ale to nie tak miało być. Tamtych pięcioro nie kierowało się chciwością, dumą lub żądzą mocy większej niż ta, którą otrzymali. Popatrz na obraz. Działali pod wpływem strachu. Nie możemy ich za to winić. Ale wówczas zrodziły się demony, jako nieoczekiwana konsekwencja. Popatrz na ich twarze. Są przerażeni tym, czego dokonali... i dlatego zobowiązali nas, swoje dzieci, byśmy naprawili ich błąd. Problem polega na tym, że nie ufali nam na tyle, by podać nam motywy swojego postępowania, a teraz coś się wydarzyło. Coś się zmieniło. Ja snię inaczej niż pozostali. Nic, co pozostawili nam przodkowie, nie zapowiadało przyjscia władcy demonów ani groźby, jaką stanowił dla świata. Został nazwany Prekursorem. Nic na to nie poradzę, ale dochodzę do wniosku, że to, czego się obawiali, i tak nadeszło, a my nie wiemy, jak temu zapobiec. Na bogów nocy, Fiono. Zabijamy własne dzieci, bo jesteśmy głupi i przerażeni. Nadszedł czas, by gdzie indziej poszukać odpowiedzi. Chcę wiedzieć gdzie.

- Znajdź kogoś innego do tkania.

- Nie ma nikogo innego. Nie mogę wrócić do Ezzarii... Gdybym to zrobił, Aleksander spełniłby swoją groźbę... a nie ma czasu, żebyś ty tam pojechała i przysłała kogoś innego. Zresztą Ysanne zapowiedziała, że nie dopuści, by ktokolwiek mi pomógł, i w tej kwestii miała rację.

- Zginiesz.

- A jeśli tak się stanie, kogo to obejdzie? Może poza tobą, bo wypełnisz swój obowiązek i sama będziesz musiała sobie radzić z własnymi demonami. I ufam, że będziesz dobrym świadkiem. Jeśli zginę, na tobie spocznie odpowiedzialność, by opowiedzieć o wszystkim pozostałym.

- Nie możesz mnie do tego zmusić. - Jej opór osłabł, a ja nie miałem pewności, czy mi się to podoba. W pewnym sensie liczyłem, że odmówi.

- Ale wolno mi o to prosić. Mogę powiedzieć, że to ty mnie w to wpakowałaś... co, szczerze mówiąc, jest tylko częściowo prawdą. Przypomnieć, że zawdzięczasz mi życie: moja iluzja królika uchroniła cię przed śmiercią z rąk żołnierzy Aleksandra. Muszę tylko pamiętać, że zostałaś przy mnie tylko ze względu na poczucie obowiązku. Masz przecież odkryć, co zagraża Ezzarii i naszej wojnie... a nie tylko znaleźć dowody mojego zepsucia. Tu widzisz wystarczająco wiele dowodów... wystarczająco wiele tajemnic... odmawiając ich zbadania, nawet przy pomocy tak niedoskonałego narzędzia jak ja, wykazałabyś się brakiem odpowiedzialności. Jeśli szukasz odpowiedzi, dojdiesz do tego samego wniosku: warto spróbować.

Wpatrywała się we mnie z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Będziemy potrzebowali czystej wody. Nie pozwolę ci pominąć żadnego kroku.
- Nawet o tym nie pomyślałem.

* *

Tej nocy niewiele spałem. Nie chodziło o strach. Ten jeszcze do mnie przyjdzie. Po prostu nie chciałem śnić. Ktoś wchodził w moje sny, a ja potrzebowałem trochę czasu dla siebie. Gwiazdy przebiły się przez mgłę i z lodowatą obojętnością migotały wśród drzew.

Fiona udawała, że śpi. Zawinęła się w koc i leżała bez ruchu. Ale kiedy o świcie wróciłem od źródła Balthara, z pełnym bukłakiem wody, już rozkładała swoje białe suzaińskie szaty i zapasową koszulę, którą kupiłem w Zhagadzie. Milczeliśmy. Zaczęła wypowiadać słowa oczyszczenia, wymiatając kurz, liście i popiół z szerokiego kręgu wokół paleniska. Ja nalałem połowę wody do jednego z dzbanów Balthara i postawiłem go obok jej szaty. Później zabrałem bukłak i czystą koszulę do sadzawki. Myjąc się, próbowałem się domyślić, co Fiona powiedziała Baltharowi, podejrzewając, że być może przygotowuje mu herbatkę i doda do niej jakieś zioło, by starzec przespał czas, na który pożyczymy jego duszę. Zaraz jednak odepchnąłem od siebie te pomysły.

Spędziłem godzinę na ćwiczeniach kyanar, wykorzystując powolne ruchy, by skoncentrować myśli i przygotować ciało. Później wypilem wodę, włożyłem czystą koszulę, usiadłem przy sadzawce i zacząłem recytować inkantację Loretha. Gdy słońce wypaliło resztę mgły, odsunąłem od siebie wszelkie więzi ze światem - co okazało się żałośnie łatwe - i wkrótce byłem już gotów, na wpół w świecie, w którym istniałem, a na wpół w świecie, po którym będę wędrować.

W pewnym momencie - kilka chwil, godzin, a może dni później, nie wiem - postać w białej szacie przyszła po mnie i wprowadziła mnie do świątyni. Ukłąłem na podłodze przy śpiącym spokojnie mężczyźnie, a kobieta w bieli usiadła po drugiej stronie.

- Już czas, Strażniku - powiedziała. - Chodź ze mną, jeśli znów wybierasz ścieżkę niebezpieczeństwa, ścieżkę leczenia, ścieżkę nadziei. - Wyciągnęła ręce, a gdy ich dotknąłem, świat znikł.

Znajdziesz tam miejsce, które jest ci znajome. Chłodny głos brzmiał wyraźnie w mojej głowie. To będzie twoja linia życia, twoja kotwica, i nie zniknie, póki na to nie pozwolę. Nawet w chaosie zdołasz ją odnaleźć. Każdego dnia będę tkać portal i utrzymywać go przez godzinę. Do twojego powrotu.

Spojrzałem przez szary prostokąt, który wisiał w powietrzu przede mną i ujrzałem zrujnowaną wieżę na łysym, skalistym wzgórzu. Col'Dyath. *Nie zapomnę o tym*, rzekłem z uśmiechem. W odpowiedzi nie poczułem radości.

Ścieżka pod moim stopami była stabilna. Nieruchoma. Przeszedłem przez portal na znajome skały i odetchnąłem głęboko. *Teraz*. Z zaskakującą prędkością niebo zaczęło wirować, ziemia pod stopami poczęła się kruszyć, a światło blaknąć. Fiona zamknęła za mną portal, jak ją o to poprosiłem, a ja zostałem sam na krawędzi otchłani.

Rozdział 20

Duchy żywiołów, które zwykle nie interesują się sprawami bogów ani śmiertelników, obserwowały, jak śmiertelniczka rzuca wyzwanie potężnemu bóstwu. Zdziwili się jej odwagą i zlitowali nad Verdonne. Dali jej blask słońca jako płaszcz, gdy bóg odebrał jej ubranie, a grzmot i błyskawicę jako broń, gdy stopił jej miecz. Dali jej deszcz, by obmył jej rany, wiatr, by ją unióś, i ogień, by dodał jej siłę. „Poddaj się”, ryczał bóg lasów. „Jesteś śmiertelna, a kiedy umrzesz, zrobię z tobą, co zechcę. Nie ma dla ciebie nadziei”. Ale Verdonne nie uległa. - Opowieść o Verdonne i Yaldisie przekazana pierwszym spośród Ezzarian, gdy przybyli oni do krainy drzew

Wydawało mi się, że dobrze znam smak strachu. Miałem zaledwie siedemnaście lat, gdy po raz pierwszy wszedłem do duszy szalonej kobiety, by stawić czoła demonowi. Gdy byłem niewolnikiem w Capharnie, musiałem przeciwstawić się najpotężniejszemu demonowi, jakiego znałem, choć wierzyłem, że mojej melyddy nie wystarczy, by przegnać pchłę. Przez trzy dni w trumnie Balthara i później podczas lata w Col'Dyath czułem, jak mój umysł popada w otchłań szaleństwa. Ale moje wieloletnie przekonania okazały się błędne. Nigdy nie zaznałem prawdziwego strachu - podłego, wszechogarniającego przerażenia. Aż do dnia, gdy ostatni fragment ziemi pod moimi stopami znikł, a promienie światła pochłonęła noc.

- Aife! - krzyknąłem.

Tylko wibracje piersi powiedziały mi, że udało mi się ją zawołać, gdyż głos natychmiast pochłonęła ogromna pustka. Byłem głuchy - nie było tu nic, co mogło pochwycić dźwięk. Byłem ślepy, gdyż ciemność nie miała materii, żadnych kontrastujących cieni. Niczego nie mogłem dotknąć ani wyczuć - żadnego zimna czy gorąca, żadnego powietrza owiewającego skórę i dającego pewność istnienia. Gdy zacząłem spadać, mój umysł pogrążył się w otepieniu i nie czułem nic prócz przerażenia. Żołądek podjechał mi do gardła. Machałem rękami i nogami. Przyciągnąłem kolana do piersi i owinąłem je rękami, by moje kończyny nie odleciały i nie zgubiły się gdzieś w nicości tak samo jak moje zmysły.

Na bogów nieba i ziemi, co a narobiłem? Za późno, by stworzyć skrzydła. Konieczne słowa już rozplynęły się w chaosie. Wiedziałem, że będę spadać - kilka razy znalazłem się na

krawędzi otchłani podczas walk z demonami - ale celowo nie wyzwoliłem zaklęcia, kiedy portal znikł. W ostatnich chwilach rozsądnego myślenia, które teraz wydawały się dalekie niczym gwiazdy, powiedziałem sobie, że zmarnowałem tylko melyddę. Nie unosiłbym się wiecznie, a skoro zamierzałem odnaleźć inną formę istnienia poza krainami duszy, równie dobrze mogłem zacząć od razu. A jeśli moim przeznaczeniem było umrzeć, gdy portal zniknie, odwlekanie tego nie miało sensu.

Idiota. Zadufany w sobie, żaloszny idiota.

Błagałem o pomoc bogów... ale nie pamiętałem ich imion. Z trudem panowałem nad jelitami, które kurczyły się niczym w chwili śmierci. Marzyłem o uderzeniu w twardą ziemię, choćby miało mi połamać kręgosłup i zmiążdżyć głowę. Ale wciąż spadałem i czułem, jak gardło przepelnia mi szaleńcze wycie...

Uratowało mnie dotknięcie lodu na policzku. Zaledwie chwilowa zmiana w pustce, gdy szybowałem w studni nieskończonej nocy. Ale uspokoiła moją panikę na wystarczająco długo, by odezwało się szk lenie. *Nie. Nie. Nie. Nie wejdiesz do tej krainy jak płaczące dziecko, bez względu na to, czy to domena śmierci, czy demonów. Jesteś Strażnikiem Ezzarii. Całe życie się do tego przygotowywałeś. Jeśli ci, którzy czekają w ciemnościach, są twoimi krewnymi, to lepiej zachowaj odrobinę godności.*

Godność. Zbyt wielkie słowo dla drżącego i przerażonego ciała, ale przynajmniej nie wrzeszczałem, gdy niewidzialne palce zaczęły dotykać mojego ubrania i włosów. Wtedy, choć mój żołądek i wnętrzności jeszcze sobie tego nie uświadomiły, już nie leciałem w dół.

- Jestem... - Musiałem zacisnąć zęby, by nie wypowiedzieć znajomego wyzwania. Czułem smród demonów. Przechodziły mnie dreszcze z powodu ich bliskości... i siły. Ale nie zjawilem się tu, by walczyć. - Przybywam w pokoju - powiedziałem, a w pustce mój głos był niemal niesłyszalny. Próbowałem przypomnieć sobie słowa, które tak starannie przygotowałem dla tego, kto przywita mnie w otchłani. - *Dargoth viagh. Zawrzyjmy umowę.*

Żadnej odpowiedzi. Tylko setki zimnych palców dotykające moich kończyn, przeciągające wzdłuż kości, wciskające się w usta, uszy i każdą część mnie, od zewnątrz i od wewnątrz. Kiedy sięgnęły do środka głowy, do piersi i żołądka, badając kości, mięśnie i organy, które tam znalazły, przekreśliłem się i próbowałem wycofać. Kiedy zacząłem się opierać, badawczy dotyk stał się bardziej brutalny, zostawiając na moim ciele wąskie, piekące ranki, aż zaczęła mnie palić skóra. Machałem rękami, lecz palce nie łączyły się z żadnym materialnym ciałem. *Cierpliwości. Przybyłeś tu, by się uczyć, nie walczyć. Czy tak czuł się opętany? Odslonięty. Ogarnięty mdłościami. Zgwałcony.*

- Pragnę odkryć, co się z nami wydarzyło... z moim ludem i waszym... na początku.

Poznać przyczyny wojny, którą wiemy. Dlaczego walczyliśmy, choć zabijaliśmy się nawzajem tak bardzo nas rani. Proszę, pozwólcie mi mówić. Nikogo nie skrzywdzę.

Sykkor. Asethya dv svyadd.

Mezzavalit.

Szepty skradały się wzdłuż mojego kręgosłupa, niczym chłodny, tłusty balsam na piekącej skórze. Próbowaliśmy pozostać bez ruchu i zrozumieć ich znaczenie, ale nie mogłem się skoncentrować, nie potrafiłem sobie niczego przypomnieć. Choć nie rozpoznawałem słów, to, co słyszałem, musiało być mową demonów. Ezzarianie znali tylko kilka dźwięków z ich języka. Gdybym zdołał jeszcze bardziej się przestraszyć, te słowa by mnie przepelniły. Brzmiały niczym czysta nienawiść.

Yddrass! - To słowo rozpoznałem. Strażnik.

- Nie przybyłem tu, by walczyć. Nie mam przy sobie broni.

Roześmiałem się, gdybym pamiętał, jak to się robi. Nie byłem nawet pewien, czy mam grunt pod stopami, nie mówiąc już o tym, czy te istoty pojmowały moje intencje i zauważyły, że jestem nieuzbrojony. Wiedziałem tylko, że słyszałem... czułem... różne głosy... Kiedy demony uświadomiły sobie, że jestem Strażnikiem, zaczęły klócić się między sobą. Nie musiałem rozumieć słów, by to pojąć. Ani by odkryć, co sądzą o Strażnikach. Zimna pięść, która przez co najmniej godzinę zaciskała się na moim żołądku, sięgnęła do wnętrza i niemal wyrwała je z ciała. A to był dopiero początek.

Podczas szkolenia Strażników ostrzegano nas przed konsekwencjami pojmania. Były to oczywiście tylko spekulacje, oparte na obserwacji zachowań demonów, z którymi spotykaliśmy się przez ostatnie tysiąc lat. Ostrzeżenia miały przede wszystkim zachęcić adeptów do rozsądnej oceny własnych umiejętności i możliwości przeciwnika, bo nie wiedzieliśmy, jak radzić sobie z ewentualnymi skutkami dostania się do niewoli. I dobrze. Nasze przewidywania dotyczące okrucieństwa demonów i wymyślonych przez nie tortur i cierpienia były tak niedoszacowane, że wyglądały niczym pyłek przy górze prawdy.

Jeden z zimnych palców zacisnął się wokół mojej szyi i pociągnął mnie, duszącego się, przez ciemność. Ziemia pod stopami przypominała wielkie kawały lodu, choć gdy się zatrzymałem, znów jej nie czułem. Z równą łatwością mogłem wcisnąć rękę w podłogę, ciemność pod nogami - jak i w sklepienie, ciemność nade mną - czy po bokach. Powietrze było lodowato zimne i nieruchome. Nie wiedziałem, czy znajduję się na zewnątrz, czy wewnątrz jakiejś budowli, lecz przez jakiś czas miałem wrażenie, że jestem sam. Ostrożnie usiadłem i drżącymi palcami próbowałem wywołać światło. Nie udało się.

- *Garaz do tsiet, Yddrass.* - Syczący oddech uderzył mnie prosto w twarz, otaczając smrodem otwartego grobu.

Gdy się cofnąłem, krztusząc tym odorem, potężny cios w brzuch odebrał mi dech. Kolejny w plecy złamał żebro. Próbowałem walczyć z niewidzialnymi przeciwnikami, lecz moje rądy przecinały powietrze.

- Czekaście! Przyszedłem, żeby...

- *Garaz do tsiet, Yddrass.* - Uderzenie trafiło mnie w głowę. Czer wone światło, które zobaczyłem, zajaśniało wewnątrz mojej głowy, gdyż w tej krainie grozy nie było blasku. Zwinąłem się w kłębek, żeby się ochronić, lecz zimne palce chwyciły mnie za ręce i kostki i zmusiły, bym się odsłonił. Potem ktoś zrzucił mi kowadło na pierś.

- Przestańcie! Wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. Jeden z was ostrzegał...

- *Garaz do tsiet, Yddrass.* - I z nieba zaczęły spadać kowadła.

Później dowiedziałem się, że te słowa znaczyły: „Teraz walcz, Strażniku”. Równie dobrze mogły oznaczać: „Jeszcze pożałujesz, że żyjesz”. Podczas tych pierwszych godzin bili mnie, aż połamali mi wszystkie kości. Kilka razy traciłem przytomność, ale zawsze znów mnie budzili, żeby mi pokazać, jak to ramię, ten palec, ta noga czy to żebro zostało pogruchotane na wiele drobnych kawałków. Zostawili mnie dopiero, gdy mnie zmiażdżyli. Nie na to liczyłem.

* *

Pusta cisza. Lodowata ciemność. Poda mną ziemia, która nie była ziemią i która ciągle wywoływała we mnie mdlący strach, że zaraz zacznę spadać. Nie mogłem oddychać, nie mogłem się poruszyć, nie mogłem wyobrazić sobie przeżycia jeszcze jednej chwili w takim bólu. Każda kończyna, każdy mięsień i kość głośno krzyczały o swoim zniszczeniu, znajdując odrębną ścieżkę, by wysłać tę wiadomość, aż całe moje ciało straciło realność. Stałem się masą włókien, a każde z nich paliło żywym ogniem. Być może już nie żyłem. Po prostu nie spodziewałem się, że to będzie tak koszmarnie boleć.

Leżałem w cierpieniu, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Za piątym czy szóstym razem, kiedy się obudziłem, poczułem coś nowego. Jedzenie. Niezbyt przyjemnie pachnące jedzenie, lecz w tej chwili nic nie pachniałoby apetycznie. Zastanawiałem się, czy prócz niego zostawiono mi coś do picia i myśl ta stała się moją obsesją. Oceniając po woni, żywność leżała na wyciągnięcie ramienia od mojej głowy. Równie dobrze mogła znajdować

się na księżycu. Nie byłem pewien, czy zdołam poruszyć połamanymi kończynami. Ale pulsowanie lewego ramienia nieco się uspokoiło, więc ostrożnie wysunąłem je spod siebie i nie umarłem. Kiedy odważyłem się poruszać dalej, uświadomiłem sobie, że wbrew temu, co doświadczałem jako bolesną prawdę, mam połamanych tylko kilka żeber, obie kostki i kilka palców lewej ręki. Wszystko inne zostało tylko obite do granic wytrzymałości.

Zignorowałem metalowy talerz z jedzeniem - mięsem, do tego nie zbyt świeżym - ale przyciągnąłem do siebie kubek i uniosłem rękę. Pierwszy łyk wypłułem. Nigdy nie piłem czegoś tak obrzydliwego. Ale ponieważ nie odczułem żadnych negatywnych konsekwencji, trzymałem naczynie blisko i w końcu zmusiłem się, by je opróżnić. Napojony, zapadłem w bolesne otępienie, jednak obudziło mnie zeń kopnięcie, nim zdołałem choć trochę odpocząć.

- *Garaz do tsiet, Yddrass.* - I znów zaczęli.

W wiecznych ciemnościach poddawano mnie każdej torturze koszmaru. Pięćdziesiąt razy tonąłem i pięćdziesiąt razy pochłaniał mnie mroczny ogień. Pomiedzy biciem na miazgę i batożeniem na strzępy leżałem zwinięty w kłębek i pragnąłem śmierci. Demony znalazły każde zakończenie nerwów, by przypalać je wrzącym olejem, i każdy wrażliwy kawałek ciała, by przebijać go żelaznymi ostrzami. Z moich głęboko ukrytych lęków wyciągnęły obraz węży i zamknęły mnie z tysiącem gadów. Odkryły też strach przed okaleczeniem i upewniły się, że poznam każdą formę, jaką może przybrać. Pewnego razu leżałem cały dzień wierząc, że obie moje ręce zostały odrąbane w barku. Czasem zdawało mi się, że rzeczywiście robią mi rzeczy, które czułem, a później leczą mnie lub odwracają uszkodzenia, by czerpać przyjemność z powtarzania tortury. Czasem byłem przekonany, że to iluzja, groteskowe wizje przyprawione wystarczająco dużą szczyptą rzeczywistości, by pozostać aż do następnego razu. Nigdy nie poznałem prawdy. Miałem jedynie pewność, że w te niekończące się dni każdy nerw mojego ciała przepelniało cierpienie.

Próbowały również wejść do mojej duszy. Na początku każdej sesji czułem, jak jeden z nich drapie w drzwi, usiłując znaleźć drogę do środka. *Seggae llydna.* „Powiedz, jak ci na imię”. To była jedyna walka, którą wygrałem, lecz wiedziałem, że pozostaje tylko kwestią czasu, a również w tym mnie pokonają. Ale na razie musiały zadowalać się tym, że trzymają się blisko mnie, gdy kończą swoją całodzienną pracę, i liżą drobiny mojego bólu i rozpacz, niczym koty przy dojeniu. Nie krzychałem ani nie błagałem o litość. Choć tego pragnęły i wszystko stałoby się łatwiejsze, gdybym pozwolił im się najeść, długie lata ćwiczeń nie pozwalały mi zaspokajać pragnienia demonów. Ale kiedy zostawałem sam, otaczałem głowę brudnymi, zakrwawionymi rękami i łkałem cicho. Pragnąłem choć chwili spokoju. Jednego mgnienia światła.

Karmiono mnie regularnie - surowym, zjełczałym mięsem. Może nie było prawdziwe, a może tylko demony oszukiwały moje zmysły, bym sądził, że to najgorsza ohyda, jaką potrafię sobie wyobrazić. Ale przynajmniej jako niewolnik przyzwyczailem się do jedzenia wszystkiego, co dostanę. Choć pragnąłem umrzeć, uparty instynkt nie pozwalał mi tego przyspieszyć, więc jadłem, by utrzymać się przy życiu.

Wokół mnie nie było światła. Nie było ciepła. Nie było słowa, którego nie przepełniałyby nienawiść lub zemsta. Dzień i noc nie miały znaczenia, podobnie godziny, tygodnie czy miesiące. Po jakimś czasie nie wiedziałem już nawet, czego pragnąć... chyba tylko końca tego, co się działo. Oczywiście kusiło mnie, by wykorzystać melyddę, przywołać światło i utkać jakąś ochronę. Nie mogłem jednak wezwać mocy, a wszelkie próby natychmiast ściągały na mnie rozwścieczone demony.

Na początku, podczas krótkich godzin odpoczynku, kiedy moi dręczyciele znajdowali sobie zajęcie gdzie indziej, próbowałem się od czołgać, gdyż nie trzymano mnie w celi, która miałaby normalne ściany. Za każdym razem męczyłem się przez godziny, pełząc z trudem, z nadzieją że znajdę coś, co poczuję, co usłyszę albo przynajmniej nie zginę z ich rąk. Ale nie docierałem nigdzie, a moi strażnicy odnajdywali mnie bez problemów. Ich pierwszy zimny dotyk, tuż za oczami, był najgorszy.

Rozpaczliwie pragnąc znaleźć jakiś powód, by dalej oddychać, próbowałem wypełnić umysł obrazami tych, których kochałem. Ale nie mogłem przywołać ich twarzy, a coraz słabsze echa ich słów były gorsze niż cielesne cierpienia, jakich doznawałem. „A proroctwa nie ochronią cię przed prawem, jeśli tym razem wrócisz skażony”... „Czasem nie można znieść widoku prawdy w czymś, co uważało się za dobre”... „Miałem nadzieję, że czegoś się od ciebie nauczymy. Ale teraz nie chcę korzystać z twojej wiedzy”... „Nie widzę powodów, by sprzeciwiać się wyrokowi Rady. Tracisz stanowisko Strażnika. Twoja przysięga jest nieważna”. Żaden z tych głosów nie przynosił pocieszenia.

Przed całkowitym załamaniem chroniło mnie jedynie wspomnienie Fiony, czekającej gdzieś daleko w świecie światła, jej drobnej, upartej twarzy zamkniętej w tajemniczym transie Aife, wiernie tkającej linię życia w duszy śpiącego Balthara. Przez jedną godzinę każdego dnia istniała możliwość ucieczki. Nie miałem pojęcia, jak jej dosięgnąć ani czy jeszcze będę miał siłę i umiejętności, by z niej skorzystać, ale wystarczała mi świadomość, że jest. Nikomu na tym świecie... ani Aleksandrowi, ani Ysanne, ani Catrin... nikomu nie zaufałem bym tak, jak ufałem upartej, niezmordowanej Fionie. Będzie tam, a któregoś dnia znajdę sposób, by wykorzystać jej dar. Na razie musiałem przeżyć.

* *

- *Yddrass, gzit!*

Byłem oszołomiony i chory po kolejnym pobiciu. Zwinąłem się w kłębek, próbując zmobilizować się do zjedzenia paskudztwa, które demony dla mnie zostawiły, kiedy poczułem skradający się dotyk demonicznych palców.

- Zostawcie mnie w spokoju. Już się bawiliście.

To z pewnością nie mogło ich powstrzymać... Nie sędzę, by rozumiały choć słowo z tego, co powiedziałem... ale pocieszała mnie świadomość, że jeszcze umiem składać słowa. Dwa z nich podniosły mnie i popchnęły w kierunku zimnego żelaznego słupa, który pojawiał się za każdym razem, kiedy go potrzebowały. Trzeci demon przywiązał do niego moje ręce.

Choć nigdy nie widziałem moich trzech dręczycieli, nauczyłem się rozpoznawać ich po głosach, dotyku i zabawach, jakie wybierali. Jeden był wyjątkowo okrutny, ciągle wymyślał nowe tortury i najdosadniej okazywał rozczarowanie, gdy nie dawałem mu tego, czego pragnął. W myślach nazywałem go Wierzbowym Jackiem - imieniem postaci, która pojawiała się w wielu ezzariańskich bajkach. Drugiemu nadałem imię Gyyfud, ponieważ przypominał mi chłopca, którego znałem w młodości, a który bawiąc się ogniem, spalił dom rodziców. Demon Gyyfud miał ten sam niebezpieczny zwyczaj, ale lubił palić moje ręce i nogi. O trzecim myślałem jako o Boreshu, gdyż przypominał mi zarządcę z pałacu w Capharnie. Uwielbiał mnie upokarzać i nurzać się w obrzydliwościach.

- Nic ode mnie nie dostaniecie. Nic. - Ale oczywiście dostaną. W końcu dostaną.

- *Yddrass...* - Nowy głos. Wyższy. Brzęczący jak cyna. Gość był zadziwiony moją obecnością i musiałem znieść fakt, że mnie bada.

Choć cieszyłem się każdą odmianą jako dowodem, że czas mnie nie opuścił, wcale nie radowało mnie jego przybycie. Tylko raz ktoś poza trzema dręczycielami wszedł do mojego więzienia. Drugiego lub trzeciego dnia od pojmania zjawił się ktoś, kto przemawiał cicho, pozbawił mnie ubrania, po czym ze wszystkimi upokarzającymi szczegółami nauczył Boresha, jak znieważać i najbardziej dotknąć ludzkiego mężczyznę. Goście oznaczali niebezpieczeństwo.

Wierzbowy Jack bez przerwy gadał do przybysza, a ja uświadomiłem sobie, że się chwali - chwali się mną. Nie umiałem oceniać demonicznej inteligencji, ale nie sędzę, by jego puszenie się odniosło cel. Gość mnie ukradł.

Może godzinę albo dwie po wyjściu tej dwójki leżałem w otępieniu. Zimna wypustka owinęła się wokół mojego gardła i nim zdążyłem się sprzeciwić, duży kawał nicości zamknął

mi gardło. Wśród ukradkowych szeptów zostałem odciągnięty, bardzo daleko, i umieszczony gdzie indziej. To znaczy, zakładałem, że to inne miejsce, choć niczym nie różniło się od poprzedniego. Wokół panowała ciemność. Dojmujące zimno. Smród jak w zbiorowym grobie. A może to był mój własny odór.

- *Yddrass* - zasyczał ten z cynowym głosem. - *Seggae llydna!*

- Nie. - Potrząsnąłem obolałą głową. Nie podam imienia. Jeszcze nie.

- *Dolfysgarra, Yddrass?* - Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. - *Garaz do tsiet.* - Ryczeli te słowa wiele razy, przewracając mnie na ziemię, jakby to miało ułatwić mi zrozumienie, po czym znów podnosili mnie do pozycji stojącej. W końcu nie potrafiłem się już podnieść i musieli przestać.

- Udowodniście mi to, co zamierzaliście - powiedziałem, gdy odzyskałem oddech. - Ale ja przybyłem tu, by zadać kilka pytań. Chcę znaleźć jednego z Nevaiów.

- Nevaiów! - To wywołało wśród nich wielką wesołość. Śmiejąc się, deptali mi po dłoniach i kopali w twarz. Myślałem, że to może oni są Nevaiami.

Ci osobnicy nie byli tak pomysłowi, jak Wierzbowy Jack, ale wyraźnie sprawiała im przyjemność każda chwila, w której zadawali mi cierpienie. Szczególnie lubili udawać walkę i wbijać mnie w ziemię, gdy trzymałem broń - nawet jeśli nie umiałem jej już wykorzystać.

- *Dolfysgarra, Yddrass?*

I ból trwał.

* *

Z drugą grupą spędziłem tyle samo czasu co z pierwszą - tygodnie, miesiące, rok? - aż w końcu zacząłem tracić pamięć. Nigdy nie miałem jasnego umysłu, a myśli odpływały, nim zdołałem je pochwycić. Co gorsza, nie potrafiłem się już koncentrować na ćwiczeniach, które wykonywałem, by zachować choć pozory zdrowego rozsądku. Już właściwie nie spałem, byłem zbyt obolały. Ale też nigdy naprawdę się nie budziłem. Nie pamiętałem już, co skłoniło mnie do przybycia do tego miejsca. To coś łączyło się z pewnym snem... Obraz, mignięcie barw. Czegoś chciałem się dowiedzieć, ale nie pamiętałem czego. Leżałem w ciemnościach i śmiałem się gorzko, cierpiąc i krwawiąc. Któż wszedłby w paszczę shengara, szukając obrazu? Któż oddałby duszę ze względu na sen? Tylko szaleniec. Dość mgliście kojarzyłem, że niegdyś przyjaciele uznali mnie za szaleńca. Musieli mieć rację. Ale bardziej mnie martwiło, że potrzebowałem tak wiele czasu, by nazwać kolory na obrazie.

* *

- *Yddrass, gzit.*

Podniosłem się możliwie jak najszybciej. Ruch ten oznaczał ból, ale gdybym się ociągał, słono bym za to zapłacił. Łamignat nie lubił, gdy nie wstawałem natychmiast po tym, jak wydał rozkaz. Był przywódcą trzeciej grupy, która mnie przejęła. Nie wiem, kiedy to zrobili. Po prostu pewnego razu obudziłem się, wisząc za nadgarstki, a w ciemnościach szeptały inne głosy.

Łamignat był bardzo surowy. Swoimi zbirami dowodził z taką samą gorliwością, z jaką bił więźnia. Ale tym razem wydawał się zdenerwowany. Być może właśnie miał mnie przejąć ktoś inny. Ktoś nieznany stał w pobliżu w ciemności - ktoś, kto nie śmierdzał, co było niezwykle.

- *Hyssad!* - Nowy głos mówił cicho, ale miał w sobie więcej realności, jakby dobywał się z materialnego ciała. Jeśli tak, żałowałem go. Materialne ciała były wstrętne... bezużyteczne... zawsze pełne bólu... głodne, spragnione, śmierdzące... *zawsze...*

- *Degozha nevit!*

Tych słów nie znałem. Choć pojąłem kilka brutalnie prostych rozkazów, nadal nie posługiwałem się językiem demonów. W duszy opętanej ofiary demony przemawiały jak ona. Dopiero po zabiciu ich fizycznej postaci Strażnik musiał się z nimi targować w mowie demonów. Ale słyszałem, że Łamignat jest wściekły. Nie podobało mu się, że ktoś kazał mu odejść. Demony nienawidziły słowa *hyssad*. Ale przybysz nie uległ i wkrótce mój dręczyciel odszedł. Cicho jak zawsze. Nigdy nie przyzwyczailem się do nieobecności odgłosu kroków. Nadal budziło to mój niepokój, gdyż nie mogłem usłyszeć oprawców. Przez to nie wiedziałem, kiedy i z której strony nadejdzie kolejny cios.

Nie byłem pewien, czy spodoba mi się spotkanie z kimś, kto mógł wydawać rozkazy Łamignatowi. Istniało prawdopodobieństwo, że on też nienawidzi Strażników. Skuliłem się i zakryłem głowę rękami. Lepiej się przygotować. Chciałem, żeby zostawił moją głowę w spokoju. Nie lubiłem oszołomienia.

- Nie skrzywdzę cię.

Z początku nie pojmowałem, dlaczego to stwierdzenie aż tak mnie zdziwiło. Minęła chwila, zanim pojąłem, że nie tylko słowa były niezwykle, ale też zostały wyrażone w sposób, który dla mnie miał sens - po ezzariańsku. Kiedy ciepła ręka chwyciła mnie za ramię, niemal wyskoczyłem ze skóry. Zwykła ludzka ręka. Myślałem, że wypali piętno na moim ciele.

Po chwili wahania wyciągnąłem dłoń i poczułem umięśnione ramię.

- Kto to?

Mój głos się trząsał, gdyż nagle zacząłem drzeć z zimna, słabości, strachu, rozpaczy i powodzi uczuć uwolnionych przez trzy słowa i jeden dotyk. Tak długo żyłem w ciemnościach.

- Ocalały. Jak długo to znosisz, chłopcze?

- Nie wiem. Całą wieczność. - Szczękałem zębami.

- Nie wątpię, że tak się wydaje. Chodź... - pomógł mi usiąść -...i uważaj na oczy.

Poruszałem się zbyt wolno. Przeszywający ból niemal rozerwał mi głowę, gdy tuż przed moją twarzą rozbłysło słońce. Zakryłem rękami oczy i stłumiłem jęk.

- A niech to, przepraszam. - Płomień za moimi powiekami przy gasł. - A teraz spróbuj ponownie. Powoli. Rzeczywiście, ciemno tu jak w grobie.

Nie widziałem właściwie nic poza jaskrawą bielą. Oczy łzawiły mi tak bardzo, że ich otwieranie nie miało sensu. Przez chwilę musiałem cieszyć się pojawieniem jasności z przymkniętymi powiekami.

- Nie martw się. Niewiele warto tu zobaczyć. Jestem najpaskudniejszym gościem, jaki kiedykolwiek zrodził się w cieniu drzew, a ty... na moje buty, wyglądasz nędznie. Właśnie doszły mnie plotki, że szaleni złapali sobie jeńca. Gastaiowie za diabła nie potrafią dotrzymać tajemnicy... a diabły nie są wiele warte, jak zapewne wiesz, bo mieszkasz wśród nich. Jak na wszystko, co święte, wylądowałaś wśród tych łotrów? Są tak obłąkani, że nawet nie wysyłają ich już na polowania.

Znów spróbowałem otworzyć oczy i przez mgłę dostrzegłem krępego mężczyznę o płaskiej twarzy i długich prostych włosach, zaczynających już siwieć. Istniał naprawdę. Był człowiekiem. Był Ezzarianinem.

- Proszę. - Zatoczyłem się do przodu, gdy fala bólu z brzucha zetknęła się z ogniem przeszywającym rozszarpane ramię. - Możesz mi pomóc? - Udręka sprawiła, że nawet nie zacząłem się zastanawiać, jak ktoś z mojego ludu swobodnie wędruje w krainie demonów.

- To możliwe. Zazwyczaj nikt nie wtrąca się do spraw tych zwierząt, ale Kaarat nie pozwoli im zniszczyć Strażnika, nim sam do niego nie dotrze. Jesteś Strażnikiem, zgadza się? Zwyczajnie tego świata nie zmieniły się jeszcze na tyle, by posyłano tu innych głupców, prawda?

- Jestem... Byłem.

- Tym, który ostatnio walczył jako jedyny? Tym, który się przeobraża? Jak słyszałem, ma skrzydła... co za cud... i wykończył Naghidę? To ty?

W moim oszołomionym umyśle zabrzmiały dzwonki ostrzegawcze. Tęskniłem za ludzką mową. Pragnąłem wylać z siebie uczucia, które mi pozostały... a wtedy być może udałoby mi się odnaleźć te, które się zagubiły. Ale nie potrafiłem zignorować ostrzeżenia. Po mojej twarzy popłynęły łzy niewywołane jaskrawym światłem.

- Proszę, nie mogę...

Łagodnie położył mi dłoń na ramieniu, a jego głos zniżył się do szeptu.

- Przepraszam, chłopcze. Nie powinienem cię naciskać. Minęło już tyle czasu. Tak bardzo tęsknię za wieściami, za jakąś oznaką, że nadal solidnie wykonujemy swoje obowiązki. Ja robię co mogę tutaj, ale władam własną duszą. Przysięgam.

- Przybyłem tu, żeby się uczyć. Żeby poznać prawdę o demonach.

- Prawdę? - Zaśmiał się cicho. - Oceniając po twoim wyglądzie, już się dowiedziałeś, że trafiłeś w niewłaściwe miejsce. - Ale później odezwał się jeszcze ciszej. - Zrozum. Nie masz powodu, by mi ufać, i dobrze, że jesteś ostrożny, ale mogę ci pomóc. Nie znajdziesz tu inne go sojusznika. Bestie twierdzą, że nie miałeś przy sobie broni. Ale może ją zgubiłeś... albo jakoś sprytnie ukryłeś... Strażnik nie przechodzi bez niej przez portal... Gdybyś powiedział mi, jak ją znaleźć, szybciej bym cię stąd wydostał. Kiedy już wyjdiesz, zabierzesz mnie w zamian ze sobą albo zostawisz, twoja wola.

- Tak trudno... - Tak trudno sobie przypomnieć. - Nie. Nie miałem broni. Przybyłem... demon mnie ostrzegł... przyszedł do mnie Nevai... - Nigdy mi nie uwierzy. - Musiałem tu przybyć, by dowiedzieć się więcej.

Mój gość milczał tak długo, że pomyślałem, iż odszedł. Znów otworzyłem oczy i ujrzałem, że wpatruje się we mnie z namysłem.

- Nevai cię ostrzegł? Kto, do diabła...? Co ci powiedział...?

Łamignat zaczął wrzeszczeć coś z wściekłością. Skuliłem się, podciągając kolana i chowając ręce między udami.

- Przeklęte niech będą te bestie! - wykrzyknął Ezzarianin. - Muszę się stąd wydostać, zanim postanowią mnie zatrzymać. Nie pomogę ci, jeśli rozszarpią mnie na strzępy. Trzymaj się, chłopcze, a to... - Jego szeroka, ciepła dłoń na chwilę spoczęła na mojej pulsującej głowie, pozostawiając uczucie mrowienia. - ...mały prezent. Może nieco cię zabawi. Zobaczę, co uda mi się dla ciebie zrobić.

Światło znikło. Ciemność otoczyła mnie niczym ziemia rzucona na trumnę.

- Nie odchodź! - krzyknąłem. - Na litość bogów, nie zostawiaj mnie. - Machałem szaleńczo rękami, próbując go odnaleźć. Zużyłem całą swoją dumę, a myśl o pozostaniu w

ciemnościach niemal mnie zniszczyła. Byłem gotów powiedzieć mu wszystko, czego zażąda. Ale on już odszedł.

Łamignat i jego towarzysze dali mi do zrozumienia, co sądzą o gościach, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy. Kiedy skończyli, nie byłem pewien, czy w ogóle z kimś rozmawiałem. Może to był tylko efekt kolejnego ciosu w głowę.

Rozdział 21

Minęło wiele czasu, nim ponownie zobaczyłem Ezzarianina, lecz uwierzyłem, że był prawdziwy. Od kiedy położył mi dłoń na czole, rozumiałem język demonów i mogłem się nim posługiwać. Niestety, już wcześniej pojąłem większość z tego, co mówili moi prześladowcy. Słowa w rodzaju *dolfysgarra* - „gdzie jest twoja broń” - i *garaz do tsiet* - „walcz ze mną teraz”. Ciągłe żądania, bym się przedstawił i powiedział, jak zabiłem Naghidę - Prekursora, potężnego demona, którego podziwiali. Choć nie pamiętałem, kiedy i jak, przypuszczałem, że rzeczywiście to zrobiłem - zgładziłem potężnego demona zwanego Prekursorem. Byłem Strażnikiem. Do moich obowiązków należała walka z demonami. Stworzenia te najczęściej przemawiały swoimi niewidzialnymi biczami, pałkami i nożami, a ja miałem pewność, że jeśli to jeszcze trochę potrwa, utracę pamięć na zawsze. Ale jakimś sposobem słuchanie ich prymitywnej mowy i rozumienie jej dawało mi punkt odniesienia. Już nie czułem się tak samotny w pełnej bólu ciemności. Istoty, które formułowały słowa, były istotami, które mogłem nienawidzić, a to utrzymywało mnie przy życiu. Ledwo.

* *

Pewnego dnia - który aż do tego momentu niczym się nie różnił od niekończących się dni, które go poprzedzały - kulilem się nad kawałkiem surowego mięsa, żując je żarłocznie. Próbowałem nie myśleć, skąd pochodził, koncentrując się na tym, że jeśli zjem wystarczająco dużo, może utrzyma mnie przy życiu. Teraz wiecznie drżały mi dłonie, więc szarpiąc twarde włókna, koncentrowałem się na tym, by utrzymać palce w bezruchu. Odmawiały uparcie.

- Przekażecie go natychmiast.

Nie oderwałem się od jedzenia, gardząc sobą za to, że kulilem się przy każdym nagłym ruchu i dźwięku. Szybko wypilem resztki ze swojego kubka. Płyn był rzadki i kwaśny, ale jeśli tak szybko przyszli po mnie znowu, będę go potrzebować. Wytarłem usta wierzchem dłoni i próbowałem oczyścić umysł, przyzywając pustkę.

Nauczyłem się ją przyjmować, roztopiać się w niej. Nie tłumilo to bólu ani nie wzmacniało umysłu, ale przynajmniej mogłem ochronić kilka cennych wspomnień, które udało mi się uratować: kilka słów i zdań - słów, które mogły zmienić świat, które wyjaśniłyby, dlaczego tu przybyłem - i kilka obrazów - miękki policzek niemowlęcia, białobrzowy ptak, ogniście rudy warkocz, kamienna wieża. Nie potrafiłem już nazwać tych obrazów ani nie pamiętałem, dlaczego są ważne, ale kiedy byłem sam, wyjmowałem je niczym skąpiec klejnoty i syciłem się ich pięknem. Tajemnice pozwalały mi myśleć, że nadal jestem panem samego siebie.

Łamignat był wściekły. Moje kości jęczały na wspomnienie jego gniewu.

- Zostaje tutaj. Nie obchodzi mnie, kto chce go zabrać. Jeszcze z nim nie skończyliśmy. Zapłaci nam, i tyle. To ten, który nas odsyłał. Ten, który wykończył połowę naszej kadry i Naghidę, a przecież Naghidda obiecywał, że znów będziemy polować i dostaniemy tyle *yladdimari*, ile zechcemy. - *Yladdimari*, ludzkie życie.

- Kaarat zamierza go osądzić. Jeśli zostanie uznany za winnego, pewnie spełnią się wasze życzenia. Nikt nie będzie chciał mieć do czynienia z zabójcą Naghidy, jeśli to rzeczywiście on. Wielu nadal oddaje cześć powalonemu Tasgeddyrowi.

Nadstawiałem uszu, próbując ocenić, czy nowo przybyły jest człowiekiem. Cały czas słyszałem dźwięki, których tak naprawdę wcale nie było. Głos nie przypominał Ezzarianina. Wiedziałem, że nie powinienem żywić nadziei. Minęły miesiące... wieczność... od kiedy mnie odwiedził.

Kącikiem oka podchwyciłem mignięcie czerwieni i fioletu. Czasem wydawało mi się, że widzę w niekończącej się ciemności światło lub barwy, ale zwykle działo się to wtedy, gdy bestie znów uderzyły mnie w głowę albo wbiły mi coś do oczu.

- *Yddrass, gzit*. - Łamignat mnie kopnął. Ostatnio nie wstawałem zbyt szybko.

- Twierdzisz, że ten stwór zabił Naghidę? Niemożliwe.

- To on i chcemy go dostać z powrotem.

- Dostaniecie to, na co zasłużycie. Na sługi Bezimiennego, co za bałagan...

Poczułem pchnięcie w plecy i zatoczyłem się do przodu... w kłębiącą się, wirującą, bezkształtną sadzawkę szarej chmury. Minęło kilka chwil i zwróciłem paskudztwo, które właśnie zjadłem. I tak oto oszołomiony, zmieszany i pokryty krwawymi wymiocinami wytoczyłem się w burzliwy zmierzch.

- To on?

- Tak twierdzą szaleni, ale ja uważam, że to niemożliwe. Myślałem, że może zechcesz na niego spojrzeć, zanim zabierzemy go do sądu. Może zyskasz anegdotkę, by przytrzeć nosa Yasnitowi, kiedy znów za cnie snuć opowieści o minionych bitwach.

Opadłem na kolana na ubity śnieg. Z trudem uchyliłem powieki. Lodowaty wiatr ostrymi jak brzytwa palcami dotykał moich nagich pleców i wbijał się do gardła, zmuszając do kaszlu. Ktoś trącał mnie butem niczym martwego kota znalezionej w bocznej uliczce.

- Nie wygląda na wojowniczego. Zupełnie nie przypomina tego z opowieści. Skąd się o nim dowiedziałeś?

- Kaarat usłyszał, że pojмали jednego ze stworów i mają zamiar oddać go pod sąd. Ale naczynie opróżniło się wielokrotnie, gdy trzymali go szaleni, więc pewnie nie będzie już z niego pożytku. W lochach yladowie szybko tracą rozum. A kiedy wyjdą, umierają.

Przerażenie przepelniało mnie za każdym razem, gdy myślałem o tym, ile czasu spędziłem w więzieniu. To coś więcej niż groza, że znów mnie odeślą. Tak trudno było sobie przypomnieć.

- Słyszałem, że Denas się nim zainteresował ze względu na związki z Naghiddą.

Dwa głosy unosiły się leniwie nad moimi plecami.

- Denas! Nie sądziłem, że obchodzi go coś poza własną ambicją... I oczywiście Yallyne.

- Cicho, Yilgorze. Nie wypowiadaj tak swobodnie jej imienia... a już na pewno nie w związku z Denasem. Jej się to nie podoba. Nawet kiedy Denas postępuje dokładnie tak, jak ona sobie zażyczy, i tak ją drażni.

- To kiedy skończysz z jej ogrodem?

- Nigdy. Zażądała nowych róż i pięćdziesięciu rodzajów kwiatów... - Obaj dyskutowali przez jakiś czas. Choć znałem znaczenie słów, nie pojmowałem ich sensu. Było mi okropnie zimno. Czy ktoś mógłby myśleć o różach i ogrodach, wystawiony na mroźny, niosący śnieg wiatr? Musiałem się pomylić.

A wtedy zaczęli plotkować - kto się z kim sprzymierzył, kto odkrył spisek i został za to otruty, ale to ktoś inny go do tego skłonił, a teraz truciciel znikł. Nie żył, tak mówiono. Ciekawe, jak to się skończy? Ściszyli głos do szeptu, rozmawiając o sporach, kto ma poprowadzić „wielkie przedsięwzięcie”, i o tym, że Rhadit nadal poszukuje kogoś, kto ma otworzyć drogę.

- Zaczną znikać kolejni. Możesz być tego pewien - powiedział ogrodnik. - Ktoś wynajął skrytobójcę. Chodzi sobie, jakby Naghidda ożył.

- Nie ufaj mu, Yilgorze. Słyszałem, co mówią o dobrym Żelazie. On był ostatnim, który wiedział...

- Uważaj na słowa, przyjacielu.

Nic z tego nie miało sensu, a w oszołomieniu nie potrafiłem zapamiętać żadnej informacji, która posłużyłaby moim celom. Wciąż kuląc się w śniegu, przycisnąłem drżące dłonie do oczu i próbowałem się zorientować, gdzie jestem i kim są ludzie, którzy rozprawiają o intrygach bardziej pasujących do cesarskiego pałacu niż do krainy demonów. Nikogo nie widziałem. Szare światło było blade, a moje oczy wciąż łzawiły, uderzane igiełkami lodu. Czerwone i fioletowe pasma tańczyły na krawędzi mojego pola widzenia, aż zacząłem się bać, że mój wzrok został na zawsze uszkodzony. W końcu udało mi się skoncentrować spojrzenie.

Mrugałem chyba sto razy, by się upewnić, że sobie tego nie wyobraziłem - patrzyłem na doskonały lodowy obraz motyla. Oczywiście nie był żywy, doskonały jedynie w kształcie, wielkości i szczegółach wzorzystych skrzydeł, gdyż wyrzeźbiono go z materii zimy, z lodu. Barwy stanowiły tylko blade cień jaskrawych czerwieni i żółci oraz twardej czerni, które motyl nosił w rzeczywistości. Lecz w kształcie kryła się tak wielka prawda, że wstrzymałem oddech, by się nie przestraszył i nie odleciał w szalejącą burzę, na zatracenie.

Zaplotłem ręce na piersi i z trudem podniosłem się na kolana, mrużąc oczy i mrugając, by pozbyć się marznących łez i zobaczyć więcej. Motyl to jedynie początek. Spoczywał na porośniętej liśćmi gałęzi, również wyrzeźbionej z lodu. Na krzaku rozkwiatały róże w każdym stadium swojego rozwoju - od mocno zaciśniętej obietnicy po wyrazistą doskonałość pełnego rozkwitu, skazaną na zwiędnięcie w ciągu następnej godziny. Najdelikatniejsza sugestia rózu i czerwieni, głęboko zatopiona w lodzie, przypominała ich brakujące barwy, zaś w powietrzu wyczuwałem delikatny słodki aromat. Czy to tylko moja wygłodzona wyobraźnia sprawiła, że poczułem ich woń?

Za tym jednym wyrzeźbionym krzewem znajdowały się tysiące innych kwitnących roślin odmian zupełnie mi nieznanych, które rozciągały się w ponurej szarości we wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć. A wśród nich wznosiły się drzewa, wysokie i wspaniałe, gdzie każdy szczegół liści i gałęzi został oddany z idealną precyzją. Pozostawały bez ruchu mimo szalejącego wiatru. Wijące się ścieżki przez zamrznięty ogród prowadziły do fontann, które w niezmiennych wzorach wyrzucały zamrznięte kropelki nad obrazami ptaków, dziewcząt i dzieci zanurzających wiadra w nieruchomej wodzie. Nad zamrzniętymi sadzawkami wznosiły się filigranowe mostki.

Może chcę mnie tu zostawić, myślałem. Mógłbym służyć jako kościsty, wymęczony gargulec odstrasżający złe duchy od ich wspaniałego ogrodu. Byłem tak wyziębiony i połamany, że z trudem się poruszałem, lecz prawda ukryta w przesywającym pięknie zamarzniętych obrazów, niewzruszona czystość ich doskonałości, tak opanowała mą wysuszoną duszę, że nie chciałem stąd odchodzić. Umrzeć tutaj, wśród piękna. Nie jest to takie źle. Zapomniałem już o istnieniu piękna.

W dzieciństwie opowiadano mi historie o zamarzniętej krainie demonów, lecz nigdy nie wyobrażałem sobie zamków, dróg i mostów stworzonych z lodu, nie wspominając o ogrodach i motylach. Nie myliliśmy się jedynie w kwestii przejmującego zimna... i potworów w lochach.

Dwa głosy nadal szeptały o spiskach i intrygach, lecz ja nikogo nie widziałem. Fakt, że moi dręczyciele nie byli materialni, doprowadzał mnie do rozpacz. Moje umiejętności walki okazały się bezużyteczne, a teraz zmieniłem się we wrak człowieka i nie zdołałbym nawet podnieść pięści.

W pewnej chwili zamrugałem i ujrzałem, jak nad motylem pochyła się czerwone pasmo. Delikatna rzeźba została podniesiona ze swojej gałęzi i spoczęła na rozwijającej się róży, która na moich oczach nabierała kształtów. Nagle olśniony, uśmiechałem się do siebie. Obserwowałem czerwone światło migoczące w mroku i czekałem, aż motyl bezpiecznie znajdzie się na swoim miejscu.

- Czy to ty to stworzyłeś? - spytałem, a mój głos brzmiał szorstko i dziwnie, gdy wypowiadałem słowa demonów.

Jak się spodziewałem, czerwone pasmo przybrało postać człowieka, który odwrócił się w moją stronę - przygarbionego, drobnego brązowego człowieczka w czerwonej koszuli i spodniach - a obok niego pojawił się inny mężczyzna - młodszy, szczupły i zdenerwowany - odziany w powiewny fioletowy płaszcz. Istoty ze światła, nie materii, lecz o wyrazistych twarzach i doskonale ukształtowanych ciałach, nie bardziej materialnych niż błyskawica.

- Odezwał się? - spytał ten we fiolecie. Yilgor, tak nazywał go ogrodnik.

- Tak - odpowiedział ten w czerwieni. - A odpowiedź brzmi: tak, ja to stworzyłem. Czemu cię to interesuje?

- C-c-cudowne - powiedziałem, szczękając zębami. - Wyjątkowe. - Obaj wyglądali na tak wstrząśniętych, że niemal się roześmiałem. - Z-z-zostało mi tylko pół umysłu i to z-z-zamorzniętego, ale wystarczy, b-b-by rozpoznać artystę wartego p-p-pochwały.

- Bezczelny robak.

Nie byłem przygotowany na potężne zaklęcie, które natychmiast wyrwało mnie z ogrodu z powrotem w wirujący mrok.

* *

- ...nie ma co do tego wątpliwości, dobry Kaaracie. Pokazaliśmy go łowcom, nim przyprowadziliśmy go przed twoje oblicze; rozpoznały go ponad dwie setki. Jest Yddrassem, tym samym ohydny Strażnikiem, który próbował nas zagłodzić w ostatnich czasach. Okrutna ręka Aife. A ponieważ przez tak długi czas działał sam, z pewnością to on nie dał wyboru Barrakevalowi, lecz zabił go okrutnie, gwałcąc prawa własnego rodzaju. Ten Strażnik musi zostać ukarany. Zniszczony - przekonywał demon w fioletowych szatach. Yilgor. Rozpoznałem jego głos, choć go nie widziałem.

Próbowałem przeniknąć spojrzeniem ciemności. Od wielu godzin nie pojmowałem otoczenia. Ktoś lub coś ciągnęło mnie, wyzywało, popychało i wprowadzało do zniszczonych przez burzę osad, ukrytych w ziemi jaskiń zamieszkanymi przez cienie i mrocznych komnat rozświetlonych migotliwym blaskiem, wypełnionych nienawiścią tak namacalną, że mógłbym ją kształtować w dłoniach. W końcu znaleźliśmy się w tej ponurej szarej komnacie, dłuższej i wąskiej, z wdzięcznymi, łukowatymi ścianami, które łączyły się gdzieś we wszechobecnym mroku.

Choć nadal było mi zimno, przynajmniej nie stałem na wietrze. Czułem się niemal wdzięczny, że przywiązano mnie do smukłej kolumny, z rękami uniesionymi nad głową. W komnacie zebrało się przynajmniej sto demonów. Widziałem tylko kilka z nich, te, które ustawiły się pod właściwym kątem, lecz czułem ich palące niebieskie spojrzenia na swoim żalonym ciele - nagim, posiniaczonym, pokrytym zaschlą krwią, wymiocinami i ekskrementami. Kolana drżały mi tak bardzo, że bałem się, iż nie wytrzymają, a ja zawisnę na obolałych nadgarstkach. Włosy opadały mi w strąkach na twarz, a część przylepiła się do policzków i ust.

- Jak ten Yddras się tu znalazł? Przecież nie doszło wówczas do walki. - Surowe, spokojne pytania padały z miejsca gdzieś przede mną.

- Szaleni twierdzą, że poddał im się z szacunku dla ich dawnej waleczności - wyjaśnił Yilgor - jeśli można im wierzyć. Ja natomiast sądzę, że musiał walczyć z renegatem i został pojmany. Może zabił przeciwnika, ale nie zdążył uciec i wpadł do lochów z szalonymi. To zresztą nie ma znaczenia. Jedyne pytanie brzmi, dobry Kaaracie, jaką karę wymyślimy i kto

będzie miał zaszczyt i przyjemność ją wymierzyć.

- Hm. I to jest problem. - Mówiący odwrócił się i ujrzał go w po staci szczupłego, siwowłosego starca. - A gdzie Merryt? To on zwrócił mi uwagę na tę sprawę i poprosił, by pozwolono mu przemówić na procesie. Co ma do powiedzenia?

Yilgor, odziany w fiolet demon, był wściekły.

- Ylad! Z pewnością nie będziesz słuchał ohydneho...

- Wysłucham każdego, kto zdoła rzucić jakieś światło na tę tajemnicę. Czy ktoś widział Merryta?

Sędzia wywołał poruszenie. Najwyraźniej wielu z pozostałych podzielało niechęć Yilgora do tego Merryta. *Ylad* - człowiek. Moja nieruchoma krew zaczęła krążyć szybciej.

- Jestem tu, szlachetny Kaaracie, i wielce sobie cenię zaszczyt przemawiania przed obliczem Spotkania Rudaiów. Oby Krąg Rudaiów na zawsze pozostał jednością. - Właściciel tego materialnego głosu wyszedł zza moich pleców: krępy, siwowłosy mężczyzna, który uklonił się przed Kaaratem i nie zamigotał. - Przynoszę wieści od Denasa. - Zapadła cisza, jakby burza za murami przestała szaleć. - Uznał, że nie interesuje go ta sprawa. Pojmany Strażnik nadaje się na karmę dla jego Gastaiów, jak to zawsze było w zwyczaju.

Kaarat westchnął.

- Ale z pewnością ten Strażnik powinien być przesłuchany. Powiedziano mi, że nadal potrafi mówić, a my mamy tak wiele pytań. Jest inny. Wystarczająco potężny, by zniszczyć Naghidę. I zmienia postać. Możemy się od niego wiele dowiedzieć. Wszystko dzieje się teraz szybciej niż niegdyś. A jeśli legion Rhadita weźmie się do dzieła...

- Mój szlachetny Kaaracie, nie umiem udzielić ci rady. Przynoszę jedynie słowa Denasa, jak mi rozkazał. Jako doradca Spotkania Rudaiów, musisz sam wybierać drogę, jeśli Denas zdaje się na twój rozsądek.

Kaarat wyglądał na zmieszanego.

- Dobrze, dobrze. Zresztą, czy dowiedzielibyśmy się od tego stwora cokolwiek, co zmieniłoby bieg wydarzeń? - Wstał, migocząc błękitem. - Przyznaję, że ten więzień rzeczywiście jest Strażnikiem odpowiedzialnym za wiele śmierci. Ponieważ gwałtownie odebrał życie Barrakevala... bez ostrzeżenia i negocjacji, łamiąc przez to nasze zasady walki *zpanydegash*... zgodnie z prawem należy do tych z kadry Barrakevala, którzy go pojмали. Odeślijcie go...

- Nie! - wychrypiąłem, próbując nie poddać się panice. - Proszę, pozwólcie mi mówić, szlachetny panie. - W komnacie rozbłysło mnóstwo migoczących światła i postaci, a wszystkie z nich krzyczały, więc musiałem zamknąć oczy, by się skoncentrować. -

Przybyłem, by spotkać się z takimi jak ty. Nie wiedzieliśmy, kim jesteście... przez te wszystkie lata... doszło do wielu nieporozumień... Proszę...

Potężny cios pięścią w brzuch przerwał moje błagania. Otworzyłem łzawiące oczy i ujrzałem siwowłosego Ezzarianina, który wpatrywał się we mnie ze złością.

Zamilcz, więźniu. Szlachetny Kaarat już wydał wyrok.

- Ale ja przybyłem bezbronny - wysapałem, starając się, by ta informacja dotarła również do sędziego. Słowa, które przez tak długi czas ukrywałem, wyrwały się na zewnątrz. - Grozi wam niebezpieczeństwo... ostrzeżenie... proszę, posłuchajcie mnie. Nevai...

Kolejny cios sprawił, że nie mogłem się już dłużej sprzeciwić. Podszedł do mnie Yilgor, odpychając Merryta kuksańcem. Mruczał pod nosem, odwiązując moje ręce od kolumny i popychając mnie w stronę wyjścia.

- Przekłęci Nevaiowie. Kto prosił Denasa, żeby przysłał swojego kundla i nami kierował?

Zatoczyłem się i upadłem, krztusząc się, choć nie miałem już czym wymiotować. Oszołomiony, zwinięty z bólu i mdłości, próbowałem się opanować. Nie pozwolę, by znów odesłali mnie do Łamignata, Wierzbowego Jacka i ciemności. Gastaiowie sprawią, że zapomnę o wszystkim. Wejdą do mojej duszy i zostaną tam na zawsze, karmiąc się grozą. A co, jeśli nigdy nie dadzą mi umrzeć? Choć czułem, że mój opór i tak na nic się nie zda, rzuciłem się na demona we fiolecie.

- *Hyssad!* Odejdź! Jestem Strażnikiem... - Nie udało mi się wypowiedzieć reszty, gdyż coś wybuchło w mojej głowie, a kiedy się obudziłem, nie dostrzegłem już światła.

* *

Nie mogłem otworzyć oczu. Odnosiłem wrażenie, że zamiast głowy mam pękniętego melona. W brzuchu czułem ogień. Moje ręce bezustannie drżały. Kiedy po mnie przyjdą? Kiedy znów zaczną? Przetoczyłem się na kolana i oparłem pulsującą głowę na bezkształtnej czerni podłogi, próbując zebrać w sobie choć odrobinę siły. Nie powiem im, jak się nazywam. Nie oddam im duszy. Nie będę krzyczał. Nie będę. Nie będę karmił demonów, póki pozostanie we mnie choć cząstka, którą to obchodzi.

- Dalej, chodź. - Ktoś chwycił mnie pod ramiona i podniósł. - I bądź cicho.

Odsunąłem się, zataczając i bezwładnie machając rękami.

- Nie. Nie - powiedziałem ustami zdrtwiałymi z zimna i opuchlizny. - Możecie umrzeć z głodu.

Ręce chwyciły mnie za ramię.

- Dalej, chodź. Przepraszam, że tak cię stłukłem, ale musiałem cię uciszyć. Dalej... oprzyj się o mnie. - Szepczący mężczyzna położył moją rękę na swoich szerokich plecach. - Musisz się jeszcze nauczyć, jak takie sprawy załatwia się w Kir'Vagonoth. Nigdy nie ujawnia się prawdziwych intencji i nigdy, przenigdy, nie mówi się, kto jest przyjacielem. A teraz chodź, chłopcze. Nie chcemy, żeby te diabły wiedziały, że po ciebie przyszedłem.

- Merryt? - spytałem, przebijając mgłę strachu.

- Mógłbyś mówić ciszej? I od kiedy to Ezzarianie tak swobodnie posługują się imionami?

Pociągnął mnie przez zimną ciemność, kolejny mdlący wir, a później długi, ciemny korytarz. Jedyne światło biło ze ścian, wybudowanych z bladoszarego kamienia lub lodu. Kiedy przebyliśmy już labirynt takich ponurych przejść, dotarliśmy do niedużej komnaty, wypełnionej od podłogi do sufitu ubraniami, naczyniami, skrzyniami świec, motkami włóczki i zwojami skór, sztabami metali i kawałkami drewna oraz innymi przedmiotami codziennego użytku. W na wpół otwartych kufrach leżały młotki i dłuta wszelkich rozmiarów, a na ścianach wisiały liny, łańcuchy i kłęby rzemienia.

- To użyteczna kryjówka. W moich komnatach w zamku nic nie byłoby bezpieczne. Jeszcze nie znaleźli tego miejsca i nie chciałbym, żeby to zrobili. Diabły imitują wszystko, co zobaczą w naszym świecie, ale nie wiedzą, jak korzystać z połowy rzeczy, które tworzą. - Na małym biurku leżały pióra, kałamarze i arkusze papieru, na wpół zapisane lub pogniecione. - Niektórzy nawet tworzą sobie ciała, jakby posiadanie mięsa czyniło z nich ludzi.

Podczas gdy ja stałem skulony i drżący tuż za drzwiami, Merryt gwałtownie otworzył płaską mosiężną szkatułę, wyjął niedużą skórzaną sakiewkę i wepchnął ją w fałdy płaszcza.

- Muszę kogoś nauczyć, jak odzywać się z szacunkiem - powiedział, kiedy już z powrotem zamknął wieko na klucz. Wstał i wpatrzył się we mnie ciemnymi oczami. - A niech mnie, wyglądasz paskudnie.

Zniknął w jednym z rogów komnaty. Wrócił ze srebrnym dzbanem i nappełnił z niego kryształowy puchar, który następnie mi podał. Wpatrywałem się w niego tępo, a zawartość naczynia wylewała się na moje drżące dłonie. Zimna i przezroczysta. Woda.

- Napij się. Nie mamy czasu na nic innego. Wiem, że marzysz o kąpieli, łóżku i czymś odpowiednim do jedzenia, ale lepiej, żebyś przez jakiś czas pozostał tak jak jesteś. Nie wolno ci budzić w nich lęku.

Lęku? Wpatrzyłem się w te części swojego pobliźnionego i brudnego ciała, które mogłem zobaczyć, i zacząłem się śmiać. Oparłem się o zimną szarą ścianę. Nie mogłem przestać i Merryt musiał mi odebrać puchar, nim go upuściłem.

- Chodź - powiedział. - Musimy iść. Denas czeka. Jest najpotężniejszym spośród Nevaiów i tylko on mógł wydostać cię z lochów. Przekonałem go, że okazesz się użyteczny. Jeżeli sprawisz, że tak będzie myślał, wkrótce twój los znacznie się poprawi. Tutaj Strażnicy, którzy zachowali rozum, otrzymują ciekawe zajęcia. Mógłbym zostać twoim mentorem. - Znów nalał wody do kielicha, a ja się napiłem. Nigdy nie smakowałem czegoś tak cudownego. Napełniał go trzy razy, a później odebrał puchar i wziął mnie za ramię. - Musimy iść. Radziłbym ci za chować ostrożność. Twoje tajemnice to w tej krainie jedyna moneta.

- Myślałem... - Myślenie przychodziło mi z trudnością. - Myślałem, że ten Denas się mną nie interesuje.

Merryt przechylił głowę w stronę drzwi, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nie idzie, po czym wciągnął mnie w przejście.

- Z początku tak się wydawało. Długo nie chciał cię uwolnić. Ale wszystko się zmienia. Uprzedzałem cię przecież, że tu nie należy wierzyć we wszystko, co ci mówią. Jeśli zatem ktoś powie „w górę”, pewnie oznacza to w dół, a najpewniej w bok.

- Ale skoro wszyscy wiedzą...

- Nie do końca. Dlatego właśnie musieliśmy zaryzykować i odesłać cię z powrotem do szalonych, i dlatego nie pozwolimy nikomu się do wiedzieć, że odzyskałeś wolność. Większość sądzi, że twoja historia już się zakończyła. Denas stara się zachować nad nimi przewagę. Pewnie sądzi, że mu się przysłużysz.

- Dziękuję. - Tylko tyle. Nie chciałem się przy nim rozplakać. Już był świadkiem głębi mojego upokorzenia.

Merryt zacisnął mi rękę na ramieniu, po czym wyprowadził mnie z przejścia wprost w burzę. Szedłem pochylony, tuż za nim, starając się trzymać prosto i poruszać wystarczająco szybko, by moje gołe nogi i ręce nie zamarzły. Merryt trochę utykał i tylko dlatego w ogóle zdołałem za nim nadążyć. Po dłuższej chwili przebijania się przez zawieruchę, coś w westchnieniach wiatru sprawiło, że moje splątane myśli się uspokoiły, lecz przepełniła je niepewność. Z niepokojem podniosłem wzrok. W pewnej odległości rozciągał się łukowaty most, długi i wdzięczny, łączący krawędzie poszarpanego lodowego wąwozu, niczym tęcza białych barw prowadząca do wysokiej, wyrzeźbionej z lodu fortecy, którą widziałem w dawno zapomnianych snach.

Oszołomiony, opadłem na kolana, a lodowaty wiatr podrażnił moje gardło i zmusił do kaszlu, aż cienki strumyczek krwi zaczerwienił śnieg przede mną. *Obudź się... obudź się... zanim nadejdzie.* Merryt już zniknął w mroku.

- Pomóż... proszę. - Wiatr porwał moje słowa, a mężczyzna nie zwolnił. *Wstań. Ruszaj się. To nie sen.* Moje stopy były nieczułymi blokami lodu, lecz udało mi się podnieść i zatoczyć do przodu. - Czekaj...

Merryt odwrócił się w chwili, gdy znów upadłem, podszedł do mnie i podniósł, opierając moją rękę na swoich plecach.

- Nie możemy pozwolić, żebyś tu zmarł. Przynajmniej póki się nie dowiemy, o co ci chodzi. Jeszcze tylko troszkę wysiłku.

Więcej niż troszkę, ale to mnie nie obchodziło. Nie leżałem bez ruchu w śniegu, pożerany przez mrok.

Nie przeszliśmy po moście i nie weszliśmy do zamku przez wspaniałe bramy, strzeżone przez figury uskrzydłych szakali, wyrzeźbione z lodu. Merryt poprowadził mnie naokoło i wspiealiśmy się po lodowej górze do tylnej bramy wciśniętej skromnie między mur zamku i lodowe urwiska. Podczas gdy on otwierał bramę, ja stałem drżący, wpatrując się w równinę, na której tak często leżałem w swoich snach. Z tej wysokości widziałem zarys miasta na horyzoncie, jego iglice, dachy i wieże malujące się na tle nieba. Miasto było ciemne, jakby zostało opuszczone, może wyludnione przez zarazę, i czekało, aż burza je pochłonie. Na prawo od niego, rozciągając się długim hakiem do podstawy zamku, lśniło morze migoczących światełek. Przypominały mi obóz wojowników w noc przed bitwą. Wydawało mi się, że stamtąd właśnie przybyliśmy.

- Chodź. Nikt spoza zamku nie powinien nas widzieć. Dlatego właśnie przeszliśmy naokoło. - Merryt trzymał bramę otwartą i dłonią o trzech palcach wskazywał, że mam wejść.

Jeszcze raz spojrzałem na ponure pustkowie. On tam na mnie czekał, ten w czerni i srebrze, groza, którą czułem w snach, gotowa, by pochłonąć wszelkie światło, które pozostało w tym ciemnym miejscu i w świecie, o jakim już niemal zapomniałem. Merryt mnie popchnął, a ja zatoczyłem się do wnętrza zamku.

Rozdział 22

Merryt umieścił mnie w jakimś magazynie - surowym, wysokim pomieszczeniu, które denerwująco przypominało więzienną celę. Ostrzegł mnie, bym się nie poruszał ani nie odzywał, chyba że ktoś każe mi to zrobić. Podobnie jak w poprzednim miejscu - tunelach, gdzie Merryt pokazał mi komnatę, którą nazywał kryjówką - tu również ściany wydzielaly słabe światło, wystarczające, by znaleźć drogę, ale zbyt słabe, by przy nim czytać, oczywiście gdyby ktoś posiadał tu takie luksusy jak książki. Stałem drżący i skulony, zastanawiając się tępo, czy przypadkiem nie tkwię w środku jakiegoś groteskowego koszmaru. Uszczypnąłem się kilka razy i próbowałem wstrząsnąć umysłem, żeby się obudzić, ale wtedy doszedłem do smutnego wniosku, że to już nastąpiło.

- Jak tu przybyłeś? - zabrzmiał nagle głęboki głos, silny, zimny i twardy, jakby stworzony z lodu, a ja omal nie wyskoczyłem ze skóry.

Rozsądek. Potrzebowałem trochę rozsądku. Ten Denas był kimś wystarczająco potężnym, by zmienić wyrok Rudaia jednym słowem „brak zainteresowania”, kimś, kto mógł skinieniem palca odesłać mnie do Łamignata. Od tak dawna nie odwoływałem się do rozsądku. Z otępiełego umysłu wyciągnąłem słowa, które tak długo chowałem.

- Zostałem zaproszony - powiedziałem w końcu, a całe moje ciało skuliło się w modlitwie, bym dobrze zgadywał w miejscu, gdzie spiski i intrygi wydawały się sensem życia.

- Zaproszony przez kogo?

Twoje tajemnice to jedyna moneta w tej krainie.

- Nie podał imienia.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Choć mrużyłem oczy i wpatrywałem się przed siebie, nie dostrzegłem w komnacie nikogo - ani w postaci cielesnej, ani jako migoczącego światła - a jednak czułem jego przerażającą obecność.

- Kiedy zostałeś pojmany, nie znaleziono przy tobie broni. Gdzie ona jest? - Nie wydawał się ani zainteresowany, ani przyjazny.

- Nie przyniosłem ze sobą broni. - Słowa cisnęły mi się na usta, pragnąc, bym je z siebie wyrzucił... bełkotliwe błagania, zapewnienia, że wyjawię wszystko, co tylko pamiętam.

A co, jeśli powiem za dużo albo za mało i wrócę do lochów? Wcisnąłem drżące ręce pod pachy.

- Chcesz, żebym uwierzył, że Strażnik, zabójca Naghiddy, przybył do mojej krainy bezbronny? Czy nasi wrogowie się poddają, choć panują nad naszym więzieniem? - Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

Zamknąłem oczy i w miązdze, jaką była moja głowa, szukałem słów, pragnąc odnaleźć powody, dla których tu przybyłem, a które teraz mi umykały. Kiedy stałem nago przed władcą demonów, moje wyjaśnienia brzmiały absurdalnie. Musiałem być ostrożny. Ja się poddałem, ale gdzieś tam Strażnicy wciąż walczyli, Strażnicy, którzy jeszcze nie zapomnieli, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mogłem sprowadzić na nich niebezpieczeństwa. *Nie wolno ci budzić w nich lęku.* Rada Merryta pewnie miała sens. Ale przez miesiące grozy przysięgałem sobie, że nie będę kłamać przed tymi, którzy zechcą mnie przepytwać, ani nie zacznę się przed nimi płaszczyć. Kłamstwa już mnie mierzyły. *Głupi Strażniku, pamiętaj, co zamierzałeś zrobić.*

- Już nie wypowiadam się w imieniu Aife i jej Strażników - powiedziałem w końcu, wydając tę garstkę monet, którą posiadałem. - Zostałem wygnany ze swojej ojczyzny, ponieważ wierzę, że nasza długoletnia wrogość jest błędem. Nie przybyłem tu, by się poddać, lecz szukać schronienia i prawdy. - Zachowując resztki godności, opadłem na jedno kolano, wyprostowałem plecy i nie pochylałem głowy. - Proszę o azyl.

- Azyl! - Rzeczywiście był zaskoczony. - A jeśli odmówię?

Udało mi się zebrać razem resztę słów.

- Honorowy wróg odesłałby mnie do domu bez szwanku, bym poddał się wyrokowi swojego ludu. - Chciałem wrócić do domu. Gdybym tylko wiedział, gdzie on jest i dlaczego zostałem wygnany.

Błąd. Ciemność zebrała się w komnacie niczym letnia burza wypełniająca niebo.

- Wąszysz się myśleć, że przysługuje ci prawo udzielania mi rad...

Lecz srebrny kobiecy śmiech uspokoił wzrastający gniew pytającego. Magiczny, kuszący dźwięk, niczym najczystsze dzwonki w świątyni Druyi. Podniosłem wzrok i rozejrzałem się na boki, ale nikogo nie zauważyłem. Nigdy nie słyszałem takiego melodyjnego śmiechu. Rozproszone cienie skuliły się w kątach.

Czekałem na kolejne pytania lub werdykt. Wkrótce jednak pusta cisza sprawiła, iż pojąłem, że obserwatorzy odeszli... jeśli w ogóle się pojawili. Zmęczony usiadłem na zimnej, nierównej podłodze, położyłem ręce na kolanach i oparłem na nich głowę. Moje dłonie drżały - same z siebie, jakby należały do kogoś innego.

Siedziałem tak może przez godzinę, zbyt zmęczony, by zasnąć, zbyt wypalony, by myśleć, planować, a nawet się bać. Szukałem pustki. Tym razem niejako schronienia przed cierpieniem, ale dla niej samej. Otoczyłem się nią niczym wełnianym płaszczem, ciepłym i miękkim, odcinając się od goryczy istnienia. Nagle gdzieś z głębin pustki zabrzmiał szept, kłując mój umysł niczym użądlenie pszczoły.

- *Żyjesz jeszcze, Strażniku?*

Każda komórka mojego ciała nabrała sił. Czy to cud?

Chwytałem się tych szeptanych słów niczym umierający z głodu, który zbiera okruchy chleba, pragnąc je pieścić, karmić się nimi, śmiać się na głos, choć bałem się, że w ten sposób ściągnę na siebie uwagę i ktoś mi je zabierze. A gdybym spożył je zbyt szybko lub zbyt niedbale, znikłyby, a ja nie zdołałbym tego znieść.

Z wahaniem zbadałem najdalsze głębin swojej duszy, gdzie żyła melydda, miejsce, które przez wszystkie miesiące spędzone w lochach Gastaiów było zimne i martwe. Coś tam odnalazłem... niczym nitkowaty puls umierającego człowieka, moc drżała i pod moim dotykiem walczyła o życie. Ja ją delikatnie głaskałem i pieściłem, ostrożnie, aż po czułem, że wzmacnia się na tyle, bym mógł odepchnąć na bok cienie i odezwać się. *Żyję. Ktokolwiek mnie wola... żyję. Pomóż mi. Z odległości tak wielkiej, że nie potrafiłem jej sobie wyobrazić, poczułem, jak wyciąga się do mnie ręka...*

- Chodź. Chyba tutaj nie umarłeś? - Szeroka, brązowa twarz znalazła się tuż przy mojej. Ezzarianin tak gwałtownie szarpał mnie za ramię, że moje zęby szczękały w tym samym rytmie, w jakim drżały mi dłonie. - Mam zaprowadzić cię na spotkanie z Denasem i jego gośćmi.

- Denas... - Ciężar rozczarowania niemal mnie zmiażdżył. Spróbowałem dotknąć melyddy, ale nic nie znalazłem. To nie była prawda. Pewnie usnąłem...

- Najwyraźniej dobrze sobie poradziłeś. Przynajmniej ich zainteresowałeś. Jesteś doświadczonym graczem? - Nim zdołałem przyzwać słowa z za muru rozpacz, Merryt położył mi gruby palec na ustach i wyprowadził z komnaty.

Wyczerpany, głodny, oszołomiony od ran, zimna i bolesnego rozczarowania, niemal nie zauważałem, gdzie mnie prowadzi. Krótka droga przez wietrzny dziedziniec, niezliczone zakręty długich, ciemnych korytarzy, aż dotarliśmy do skromnej komnaty obwieszanej ciężkimi zasłonami. Za łóżko służyła długa mata czy też poduszka, na której leżały sfałdowane kołdry, a na puszystym białym dywanie rozrzucono mniejsze czerwone poduszki. W jednym z rogów dostrzegłem nieduży blok szarego kamienia, a obok niego dziewięć świec, rozjaśniających mrok - ezzariański kamień żałobny. Wysokie drzwi prowadziły do większego

pomieszczenia, ale było zbyt ciemno, by coś poza tym zobaczyć. Gdyby tylko pozwolono mi rzucić się na wspaniałe dywan i zasnąć, myślałem, nie mógłbym marzyć o niczym lepszym. Tak przynajmniej myślałem do chwili, gdy Merryt porozmawiał z kimś przy drzwiach i wrócił z wielką misą parującej wody, którą ustawił na kamiennej podłodze obok dywanu.

- Dalej - rzucił wyraźnie zirytowanym tonem, wskazując na wodę. - Pospiesz się. Nie mamy czasu na guzdranie. Wszystko się zmieniło i żaden z tych przeklętych demonów nie chce mi powiedzieć, co się dzieje.

Usiadłem przy misie i włożyłem do niej drżące dłonie. Zdziwiłem się, odkrywając, że mimo pary woda jest zimna. Ale była czysta i świeża, więc nabrałem cennego płynu i wylałem go sobie na twarz. Rozcięcie na czole zapiekło, lecz ja jęknąłem ze zwierzęcej przyjemności i znów napełniłem dłonie.

- Będziesz się musiał nauczyć, jak ją ogrzewać lub ochładzać. Demony umieją naśladować nasz wygląd, ale co do odczuć, nigdy nie można mieć pewności.

Nie potrafiłem wykrztusić słowa, ale to chyba dobrze, bo i tak go nie rozumiałem. Może kiedyś zrozumie. Na razie cieszyłem się wodą i kawałkiem materiału, który mi dał, bym się wytarł.

- Masz kwadrans. Nie więcej. Nevai nie powinien czekać. Zna więcej sposobów na wypaczenie umysłu niż Ezzarianie modlitw. - Merryt chrząknął jak dzik, gdy woda stała się czarna. - Zaraza na te szalone bestie! Nigdy nie widziałem kogoś tak ohydnie brudnego. Ani takich odmian okrucieństwa. - Nawet nie udając grzeczności, przyjrzał się moim nagromadzonym przez lata bliznom. - Jak widzę, twarde z ciebie gość. Przeżyć tak długo w lochach.... A to... - Lewą dłonią, u której miał tylko trzy palce, dotknął mojego lewego policzka. - Pewnie i twoje doświadczenia z ludźmi nie były wspaniałe. Żałuję, że nie mamy czasu, by porozmawiać. Gdzieś tu kryje się ważna opowieść, a ja nie chciałbym znaleźć się poza nią. - Zniknął w drugiej komnacie. - Zaraz wracam.

Kiedy przynajmniej raz przetarłem całe ciało i przy pomocy jego noża obciąłem plątaninę brudnych włosów, poczułem się odrobinę lepiej... bardziej ludzko. Tymczasem Merryt wrócił z brązowymi spodniami, długą białą koszulą z szorstkiego lnu, czarnymi pończochami i butami. Najlepszy ze wszystkiego był gruby płaszcz z czarnej wełny.

- Tym razem nie możesz stanąć nago przed Denasem. Ma gości. Opowiedziałeś mu ciekawą historię... poprosiłeś o azyl. Bardzo jestem ciekaw, co z tego wyniknie...

Przerwał na chwilę, jakby spodziewał się, że wyjaśnię mu więcej. Ale ja męczyłem się z guzikami i sznurówkami - co nie było wcale proste, biorąc pod uwagę drżące ręce i fakt, że w szarym świetle nie potrafiłem skoncentrować wzroku w jednym punkcie - i nie byłem

nawet pewien, czy zdołam sobie przypomnieć, co myślałem, gdy mówiłem o azylu. Kiedy wypowiedziałem wszystkie nagromadzone we mnie słowa, w moim umyśle zapanował zamęt. Wszystko było tak skomplikowane. Merryt wzruszył ramionami i podjął:

- Zresztą Ezzarianie nago nigdy nie wyglądają najlepiej. Przepraszam, że nie mam dla ciebie dodatkowych ludzkich ubrań. Te należą do mnie, bo nie noszę tych fatalaszków demonów. Tak na wszelki wypadek, gdybym znalazł portal do domu... Nie chciałbym, żeby demoniczne szmatki znikły, pozostawiając mnie na golasa. Ale tobie muszą wystarczyć te. Lepiej dobrze wyglądać, niezależnie od tego, jakie diabelstwo planują. Teraz, skoro dotarliśmy już tak daleko, postaram się utrzymać cię przy życiu na tyle długo, byś zobaczył, jak ci się tu podoba.

Zdażyłem jeszcze wciągnąć buty na odmrożone stopy, i już Merryt wygonił mnie z komnaty do labiryntu szarych przejść. Droga rozmywała mi się przed oczami. Choć Merryt utykał, poruszał się szybko i z trudem za nim nadążałem. W okolicach kręgosłupa oprawcy naderwali mi chyba jakiś mięsień, bo każdy ruch sprawiał mi ból nie do zniesienia, a do tego byłem tak głodny, że mógłbym zjeść własne buty. Od czasu do czasu dostrzegałem migoczące światła i czułem przechodzące demony. Zauważyłem nawet w mijanych komnatach kilka prawie ludzkich postaci. W końcu zeszliśmy po szerokich kręconych schodach do nakrytego wysoką kopułą atrium. Wzór szaro-białych płytek posadzki wywoływał u mnie zawroty głowy, gdyż były niemal przezroczyste. Ledwo widziałem szczyty kolumn podtrzymujących sklepienie. W każdy zakątek okrągłej przestrzeni wciśnięto lodowe figury, wielkie, przezroczyste rzeźby ptaków i zwierząt - fontanny, jak sobie uświadomiłem, gdy je mijaliśmy, ale ich strumienie i wiry wody zamarły. Tylko w jednej, malutkiej, znajdującej się dokładnie pośrodku atrium, płynęła woda. Jej cichy plusk brzmiał żałobnie pośród echa naszych kroków.

- Oto jesteśmy. - Ezzarianin zatrzymał się na chwilę przed wysokimi drzwiami, rzeźbionymi w kwiaty i pnącza. Sięgnął do błyszczącej klamki w kształcie węża, lecz nim ją nacisnął, chwyciłem go za rękaw.

- Dziękuję - szepnąłem. - Czy powiesz mi, kim jesteś?

- Ocalałym, już mówiłem. Jeśli przeżyjesz następne kilka godzin, może będziemy mieli okazję poznać się bliżej. Ale pewnie nie. Denas bardzo nie lubi ludzi. Być może uznał, że pomieszało ci się w głowie, więc warto się z ciebie pośmiać.

Ta komnata była większa niż poprzednia, a jej wysokie ściany z niebiesko-białego lodu odbijały płomień tysiąca świec. Ale mimo ich blasku w pomieszczeniu panował chłód, a światła było tak mało, że nie widziałem nic poza meblami stojącymi najbliżej podwójnych

drzwi. One też dały mi dużo do myślenia. Wszystko wyglądało, jakby do komnaty wepchnięto bez ładu i składu tyle dywanów, poduszek, krzeseł, stołów, rzeźb i mosiądzów, ile by wystarczyło, by umeblować dwa pałace Derzhich. Nie dało się przejść więcej niż trzech kroków, by nie potknąć się o marmurowy stolik, stojącego dęba konia z brązu albo podnózek zdobiony haftowanym obiciem. Z wysokiego sklepienia zwieszały się wymyślne kandelabry, a gdzieś w głębi komnaty na wysokich palach umieszczono srebrne lampy, rzucające słaby blask na wazon z lodowymi różami. Podobnie jak wszędzie, barwy były blade i stłumione, jakby malarz tego świata wylał wiadro szarej farby na swoją paletę, psując barwy tak, że żadna nie była prawdziwa.

- O, Merryt. Chciałbym, żebyś dziś wieczorem zagrał ze mną w warcaby.

Z mroku wychynał nieduży, pyzaty mężczyzna. W każdym razie wyglądał jak mężczyzna, z ciałem, które mogłem widzieć z każdej strony, i dopiero po chwili zauważyłem demoniczne migotanie na krawędziach jego ludzkiej postaci. Był niski i łysiejący, ubrany w dziwny strój ze złotego brokatu - obcisłe spodnie i sięgający do kostek płaszcz bez rękawów. Wyglądało na to, że zapomniał o koszuli, a do tego miał tyl ko jeden but. Z pewnością to nie Denas. Tego głosu jeszcze nie znałem.

- A to ów zuchwały przybysz. - Położył dłonie na biodrach i wpatrzył się we mnie niegrzecznie.

Milczałem. Merryt skłonił się lekko.

- Chętnie bym z tobą zagrał, Seffydzie, ale najpierw muszę doprowadzić tego tutaj do Denasa.

- To ona chce go zobaczyć, wiesz? Denas nie ma czasu zajmować się więźniami. Wolałby raczej, żebyście wszyscy nie żyli.

- Dobrze znam niechęć Denasa do yladidi... ale sądziłem, że tego postanowi sam przepytac. - Merryt wydawał się zażenowany.

- Nie. To ona.

- A po co on Yallyne?

- To ciąg dalszy tego przeklętego zakładu, który doprowadził do ich kłótni. Nie mogę sobie nawet spokojnie zagrać, bo ich wrzaski zaraz mi w tym przeszkadzają. Wszyscy są tam... - Seffyd machnął wiotką ręką w stronę mroku - ...gdzieś. Kto wie? Widziałeś ostatnio Yilgora? Miał mi przynieść nową grę, ale zniknął. Zwykle jest punktualny...

- Być może Yilgor trochę za bardzo chlapał ozorem, jak to on. - Merryt pociągnął mnie za ramię. - Przepraszam, Seffydzie, ale Denas chciał natychmiast widzieć więźnia, więc pora na nas.

- Ach, to nieważne. I tak nie jesteś godnym przeciwnikiem. Gastaiowie mają więcej rozumu. - Odziany w złoto mężczyzna pociągnął nosem i ruszył dalej. Precisnął się obok nas, przewracając nieduży drewniany stolik, który rozpadł się na tysiące odłamków.

Merryt, mrużąc coś pod nosem, ostro popchnął mnie do przodu. Zatoczyłem się i niemal wpadłem do zamrażającej sadzawki, ale zdążył mnie podtrzymać.

- Przepraszam, chłopcze. Te przekłete demony... zawsze wytrąca człowieka z równowagi. Wiecznie tylko kłamią. Nigdy nie wiesz, co zrobią. - Nadal popychał mnie do przodu, tym razem łagodniej, szepcząc mi do ucha, gdy przedzieraliśmy się przez gąszcz mebli. - Staraj się nigdy nie wygrać z Seffydem w warcaby... ani żadną inną grę. Nie umie przegrywać. Widziałem, jak wysyłał przeciwników do lochów, bo pokonywali go zbyt często, a z człowiekiem zrobiłby pewnie coś gorszego.

Próbowałem to pojąć.

- Wysyłają swoich... innych rai-kirah... do Gastaiów?

- Cóż, lubią się czasem zabawić, a nie wystarcza im to, że działają sobie nawzajem na nerwy i na zmianę wtrącają się do lochów. To dla nich paskudna rozrywka. Mogą zmusić siebie nawzajem do przyjęcia materialnej postaci, a potem poddać ją torturom takim jak ciebie, albo i gorszym. Ale trzeba być naprawdę potężnym demonem, żeby zabić innego. Większość nie potrafi tego zrobić, zwłaszcza jeśli przeciwnik należy do tego samego kręgu. - Merryt zwolnił na chwilę i wskazał głową na srebrne lampy przed nami. - Uważaj na siebie, przyjacielu. Ci, których spotkasz, są bardzo starzy. Sprytni. Niebezpieczni. Nevaiowie odziewają się pięknie, ale twarze, które zobaczysz, nie są bardziej prawdziwe niż siedmiogłowe smoki, z którymi spotkałeś się jako Strażnik. Mogą sprawić, że twoje życie będzie znośne albo gorsze niż wcześniej.

Pokiwałem głową, po raz kolejny żałując, że nie miałem czasu się trochę przespać. Ile godzin minęło, od kiedy odziany w fiolet Yilgor wyciągnął mnie z ciemnego więzienia? Podążyłem za Merrytem w stronę szmeru rozmów i śmiechów w kręgu srebrnych lamp. Grała muzyka... aż nazbyt znajoma... nieharmonijne dźwięki demonicznych zaklęć, i to nie jako drażniące odbicie w umyśle, lecz groteskowa pełnia w dźwięku harf, fletów i skrzypiec. Aura demonów - szarpiąca duszę pewność ich obecności, wyraźna w zapachu, smaku, słuchu, unosząca się w powietrzu, znajoma z setek śmiertelnych spotkań - stała się tak silna, że zwolniłem kroku i odruchowo sięgnąłem dłonią do pasa, by odnaleźć ostrze.

- Przyzwyczaisz się do tego. - Merryt ciągnął mnie za sobą, póki nie weszliśmy za parawan ze srebrnego filigranu i nie znaleźliśmy się w blasku srebrnych lamp. W pomieszczeniu przebywało co najmniej pięćdziesiąt demonów. Może więcej. Niektóre miały

ubrania i rysy twarzy przypominające ludzi, poza aurą blasku wokół krawędzi. Inne pojawiły się w swej migoczącej postaci, a ich twarze i kształty czasem były widoczne, a czasem nie, zależnie od tego, gdzie się znalazły. Ci, którzy mieli materialne ciała, odziali się w ekstrawaganckie stroje ze srebrnej i złotej satyny, z marszczonymi kryzami i kapeluszami z piórem, bogatymi haftami i królewskimi klejnotami. Pozostali - ci migotliwi - ubrani byli prościej, w miękkie drapowane tuniki i spodnie lub spódnice w jaskrawych barwach, jakże kontrastujące z wypłowiałymi odcieniami całej reszty demonicznego królestwa.

Zarówno cielesni jak i świetliści goście byli zajęci. Niektórzy tańczyli w rytm straszliwej muzyki na podłodze z biało-czarnych płytek, niektórzy siedzieli na czerwonych aksamitnych sofach lub grubych po duchach z niebieskiej satyny, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Niektórzy pili blade wino z kryształowych kielichów, a inni grali w różne gry rzeźbionymi pionkami z kości słoniowej, jadeitu i hebanu.

Gdy jednak Merryt wprowadził mnie w krąg światła, wszystkie rozmowy, śmiechy i muzyka ucichły. Milczący, wpatrujący się we mnie tłum rozstał się, jakby niewolnicy rozsuwali ich niczym zasłony łoża swego pana. Przechodziliśmy między nimi, aż znaleźliśmy się przed grupą trojga rai-kirah - jednego utkanego ze złocistego blasku i dwójga materialnych. Złocisty demon, wysoki i potężnie zbudowany, spoglądał z irytacją, jak pozostała dwójka siedzi przy stoliku i najwyraźniej gra. Nikt nie musiał mi go przedstawiać. Przystojny, jasnowłosy Nevai mógł być moim rówieśnikiem, a jego dumna postawa nie pozostawiała wątpliwości, że to on jest panem tego zamku. Choć nie dysponował materialnym ciałem, z jego migotliwej postaci emanowało więcej siły niż z większości ludzi, których znałem. Kiedy jego zimne spojrzenie padło na mnie, niemal się zatrzymałem. A jednak nie wpatrywałem się zbyt długo we władcę demonów. Widok dwójki graczy odebrał mi oddech.

Oni jedyni ze wszystkich nie przerwali, gdyż intensywność ich przyjacielskiej walki sprawiła, że cały świat przestał mieć znaczenie. Po lewej siedziała kobieta odziana w srebrną suknię, naszywaną diamentami, które migotały, gdy pochylała się, by poruszać pionkami. Jej włosy opadały złocistą chmurą, upiętą z jednej strony przy pomocy diamentowego motyla. To jej śmiech był odgłosem dzwoneczków, który słyszałem wcześniej, a na jej porcelanowym policzku pojawił się rumieniec zadowolenia, gdy dłonią zdobioną szafirami zbiła pionka przeciwnika. Chciałem zamknąć oczy, nim napotkam jej spojrzenie. Zimny demoniczny ogień nie pasował do kogoś tak pięknego.

Jej przeciwnik nie wyglądał tak imponująco jak pozostała dwójka - szczupły, jasnowłosy mężczyzna w średnim wieku i średniego wzrostu, z krótką, elegancko przyciętą

brodą. Otaczająca go aura była niebieska, fioletowa i szarzielona. Miał na sobie obcisłą koszulę i spodnie o barwie głębokiego błękitu i fioletu, błyszczące czarne buty, a do tego szarzielony płaszcz, który migotał niczym woda w promieniach słońca. Moje spojrzenie skoncentrowało się jednak na jego twarzy, a gdy usłyszałem śmiech pełen rezygnacji, krew we mnie zawrzała. Podniósł się i uklonił damie, oddając hołd pięknej zwyciężczyni, a kiedy w końcu zwrócił twarz w moją stronę, zobaczyłem figlarny uśmiech i niebieskie oczy płonące demonicznym ogniem i niekończącym się humorem. To był on, rai-kirah z mojej ostatniej walki, radosna istota, która zniszczyła moje życie i snami doprowadziła mnie do szaleństwa. Demon, który wyciągnął mnie od mojego świata i sprowadził w miejsce, gdzie koncentrowała się suma moich lęków.

Rozdział 23

- Jak go nazwiemy, Yallyne? Wiesz, że miną ze trzy setki, lat zanim wyjawi nam swoje imię. Udowodnił, że jest uparty. Nie możemy zwracać się do niego po prostu Yddrass. To oznaczałoby niekończące się zamieszanie, ponieważ teraz mamy dwóch Strażników, nawet jeśli nie nadużywamy imienia Merryta... ku jego niezadowoleniu. - Drobny, jasnobrody demon zmarszczył nos z niesmakiem, spoglądając na moją eskortę, po czym roześmiał się i obszedł mnie, jakbym był rzeźbą. - Chyba będziemy musieli coś wymyślić, na przykład „Gość” albo „Koniokrad”... nie obrażaj się, yladzie, nie mam powodu podejrzewać, że kiedykolwiek ukradłeś konia... albo „Kościożerca”. Gastaiowie chyba go kiedyś tak nazwali. A może „Blizna”. - Splótłszy ręce za plecami, podniósł się na palce i spojrzał na mój lewy policzek. Nic w jego wesołej paplaninie nie świadczyło, że spotkał mnie wcześniej.

- Nie widzę powodu, by w ogóle nadawać mu imię - wtrącił się Denas. Burza, która zebrała się podczas naszej pierwszej rozmowy, ucichła jedynie na chwilę. Tłumiony gniew promieniował poza świetlistą postać demona, jakby brak ściśle określonych granic ciała pozwalał, by jego uczucia wylewały się na zewnątrz. - To ohydny ylad. - Lekkim skinieniem głowy odprawił resztę szepczących widzów. Różnobarwny tłum wycofał się powoli - niechętnie, jak się wydawało - w mrok czający się w kątach komnaty.

Dama nie wstała od stolika do gry, lecz oparła brodę na dłoni, jakby obserwowała nas wszystkich; na jej twarzy malowało się rozbawienie. Próbowałem odwrócić wzrok, ocenić i dowiedzieć się więcej o tym miejscu i jego mieszkańcach, lecz okazało się to bardzo trudne. Zdumiewała mnie uroda tej kobiety-demona. Usta miała szersze, niż to uznawano za piękne w moim świecie, a jednak doskonale pasowały do szeroko rozstawionych oczu, jakby natura zarezerwowała takie połączenie dla swoich najbardziej wyrafinowanych poddanych. Jej oczy - ich blask przywodził na myśl tajemnicę i magię, niczym gwiazdy na nocnym niebie - były wielkie i zielone. Oczywiście, żaden sztuczny kolor nie zdołał ukryć jej prawdziwej natury. Nigdy jednak demon nie mieszkał w tak pięknej postaci i nigdy nie czułem się tak zagrożony jak w chwili, gdy zwróciła na mnie uwagę.

- Sądzę, że powinniśmy go nazwać Fyadd. - Jej głos był niski i ciepły, poruszający zmysły, które zdawały się już od dawna martwe. Wygnaniec, tak mnie nazwała.

Ukloniłem się, nie ufając głosowi, a drżące dłonie ukryłem za plecami. Ich stan z pewnością się nie poprawi, jeśli będę zbyt często widywał damę.

Wpatrzyła się we mnie zielonymi oczami i uśmiechnęła się, a wtedy promień światła przebił mrok tego ponurego świata.

- I nie myśl, że zabierzesz go do swojej jaskini tortur, Vyx. On należy do mnie. Denas obiecał, że mogę sobie wybrać dowolny dar, na dowód jego sympatii, a ja zdecydowałam się właśnie na niego. Myślę, że mój pan jest zirytowany i wcale nie czuje sympatii. I w dodatku żałuje naszej umowy. - Jej złośliwe poczucie humoru sprawiło, że władca demonów się nastroszył, a ja oderwałem od nich spojrzenie, by mój wzrok nie uwolnił huraganu, nad którym Denas już z trudem panował.

Szczupły, brodaty demon, którego nazywała Vyx, zawirował i znalazł się na poduszce u jej stóp. Jego materialne ciało znikło, lecz świetlisty obraz pozostał - ta sama psotna twarz, ta sama szczupła sylwetka, lecz fiolet, niebieski i wirujący szarozielony były teraz jego esencją, a nie tylko barwą ubrania.

- Ach, pani, bawisz się ponurym Denasem i słabym na umyśle yladem... To zbyt okropne. Myślałem, że zachowasz względy tylko dla mnie.

- To, co myślałeś, nie ma znaczenia. Słyszałam opowieści o tym Strażniku i chcę go mieć za towarzysza. Denas jest zajęty sobą i planowaniem własnej przyszłej chwały. Ty interesujesz się głównie psotami i podróżami. Zbyt długo się przez was nudziłam. Nie, zatrzymam sobie tego Strażnika, póki mnie nie znuży. A teraz idź. Wezwij służącego, by umieścił go razem z innymi moimi pupilami.

- Jak sobie życzysz, pani. - Vyx wykonał skomplikowany ukłon i znikł.

Denas warknął i splótł umięśnione ramiona na piersi.

- Nie masz pojęcia, kim się bawisz, Yallyne. Merryt mówi, że ten tu to głupek, ale to nie zmienia faktu, że pozostaje Yddrassem i zabił Naghidę. Powinniśmy go przesłuchać. Musimy poznać odpowiedzi na ważne pytania, nim Rhadit poprowadzi nas... - Denas spojrzął na mnie z nienawiścią - ...do naszego przeznaczenia.

- Zawarliśmy umowę, panie - przypomniała dama. - Żądam swojej nagrody, i nic na to nie poradzisz. Cóż mnie obchodzi twoja droga do chwały? - Srebrna suknia i diamenty damy migotały w ciemnościach. Kobieta uśmiechnęła się złośliwie i wyciągnęła pusty kielich w stronę Denasa, który porwał karafkę ze stołu i napełnił naczynie. Pociągnęła łyk i uniosła wino w geście toastu w kierunku gości, którzy kryli się wśród cieni. - Niezależnie od tego, gdzie was wszystkich zaprowadzą los i spiski, moje miejsce jest w Kir'Vagonoth.

Dopiero gdy spojrzenie Yallyne padło na mojego towarzysza, jej oczy straciły blask.

- Jeśli pamiętasz, Denasie, prosiłam, żebyś trzymał swojego ohydneho kuriera z dala ode mnie. - Osuszyła kielich i wezwała kolejnego demona do stolika do gry.

Denas machnął w stronę Merryta. Merryt grzecznie skinął głową, lecz jego palce wbiły się jeszcze głębiej w moje i tak posiniaczone ramiona, aż bałem się, że połamię mi kości.

- Co, u diabła, ona od ciebie chce? - mruknął. Gdy pojawiła się przede mną migocząca zielona postać, wyciągając zimną demoniczną rękę, by otoczyć nią moją szyję, Ezzarianin uklonił się plecom damy i bąknął do mnie półgębkiem: - Jeśli wśród tych łotrów jest jedna zepsuta dusza, należy ona właśnie do tej, która cię wybrała. Uważaj na słowa. Znajdę cię, jeśli zdołam.

Nie słuchałem rady Merryta. Gdy mnie wyprowadzano, dama się śmiała, a ja mimo wszelkich ostrzeżeń i krzyku własnego instynktu samozachowawczego pozwoliłem, by ta muzyka wypełniła moją wewnętrzną pustkę. Dźwięczne dzwonki, drżące struny harfy i lutni, pierwszy śpiew ptaków po cichej zimie - nigdy nie słyszałem tak pięknych melodii wygrywanych na tak słodkim instrumencie. Nawet pożegnalne spojrzenie Denasa, pełne złości, nie wywarło na mnie wrażenia. Chciałem tylko spać całą wieczność z tą muzyką w głowie. Byłem taki zmęczony.

* *

Całe szczęście, że żywiłem skromne pragnienia. Wyczuwałem, że nie zyskam zbyt wiele wiedzy podczas następnego etapu życia w Kir' Vagonoth - tak demony nazywały swoją krainę śniegu, wichru i lodowych motyli. Odziany na zielono demon prowadził mnie na niewidzialnej smyczy przez kolejne wspaniałe wyposażone komnaty z bogato zastawionymi stołami - wszystkie ciemne i opuszczone - a później wypchnął na dziedziniec wyłożony szarą cegłą i osłonięty przed najgorszym śniegiem i wiatrem przez wysokie mury i kratę dachu. Tam w zamian za cudowny ciepły płaszcz Merryta, buty i ubranie dał mi zieloną przepaskę biodrową i umieścił mnie w kącie z piętnastoma warczącymi psami.

- Nie wolno ci rozmawiać z nikim bez rozkazu pani. Brama na dziedziniec jest zamknięta na klucz i ostrzeże nas, jeśli spróbujesz uciec. Kara za nieposłuszeństwo będzie surowa. - Zacisnął niewidzialny chwyt na moich płucach, odbierając mi dech, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Kiedy mnie puścił i znów mogłem oddychać, pokiwałem głową i cofnąłem się

dalej w kąt, opadając na ziemię, plecami do zimnego muru. Rozumiałem, co znaczy „surowa”.

Demon - którego materialna postać była wyjątkowo owłosiona i nie robiła wrażenia inteligentnej - mignął i znikł, zostawiając mnie z niespokojnymi zwierzętami. Wszystkie były duże i wszystkie miały mnóstwo zębów. Siedem z nich podchwyciło sugestię i stało wokół mnie, z opuszczonymi ogonami, na sztywnych łapach, warcząc, odsłaniając zęby i - oceniając po ilości śliny - zastanawiając się, czy moje tchawica i wątroba będą wystarczająco smakowite. Zmusiłem serce, by przestało kołatać niespokojnie i siedziałem bez ruchu w kącie, pozwalając, by zwierzęta krążyły wokół mnie, wachały i trącały nosami, jak to psy miały w zwyczaju. Na szczęście moje przybycie wywołało u nich raczej niepokój niż złość. Kwadrans wystarczył, by przekonały się, że nie stanowią zagrożenia, więc zwinęły się do snu. Kilka mniej groźnych psów zachęciłem do tego, żeby podeszły bliżej, i skuliłem się wśród nich. Po raz pierwszy od wstąpienia do otchłani spałem w cieple i nie śniłem koszmarów.

* *

Życie z psami Yallyne nie było takie złe. Choć dziwiło mnie, że przez tak długi czas nikt nie zadawał mi pytań i zostawiano mnie samego, oszczędzono mi także bicia i tortur i mogłem spać do woli. Wyłożony płytkami dziedziniec świecił pustkami, ale przynajmniej był czysty i odrobinę cieplejszy niż lochy. Choć niebo ciągle wisiało nade mną szare jak podczas niekończącej się zimowej burzy, przynajmniej mrok nie gęstniał.

Towarzystwo mi odpowiadało, choć wkrótce sobie uświadomiłem, że psy nie są bardziej rzeczywiste niż lodowy motyl. A nawet mniej, gdyż motyl był materialny i nieuważny dotyk mógł go zniszczyć, a psy stanowiły jedynie iluzję. Nawet gdybym wbił miecz w brzuch któregoś z nich i tak bym go nie zabił, choć na słowo czarodzieja rozplątałyby się bez śladu. Pojąłem prawdę, gdy poklepałem włochatego, sięgającego mi do kolan psa o wielkich, smutnych oczach, i odkryłem, że nie czuję bicia serca. Wkrótce się dowiedziałem, że choć niektóre ze zwierząt wydzielają ciepło, od innych wieje mrozem. Niektóre miały ogony, a inne nie. Wielu z nich brakowało zębów. Wyglądały niczym odrzuty w pracowni garniarza, każdy ze skazą, która nie pozwalała na ukończenie dzieła. Zastanawiałem się, dlaczego je tu karmią. Ale to były bardzo dobre iluzje i zacząłem myśleć o nich jak o prawdziwych zwierzętach. Kiedy we śnie się do mnie tuliły, a ja głaskałem je po brzuchach i

włochatych karkach, błogosławiłem ich nieskomplikowane towarzystwo. Ja nie mogłem ich zdradzić. One nie umiały mną gardzić. Wydawało mi się to pocieszające.

Jedzenie było o wiele lepsze od tego, jakie dostawałem w lochach szalonych Gastaiów. Zamykałem oczy i pozwalałem, by wyobraźnia mówiła mi, co jem, gdyż smak często miał niewiele wspólnego z wyglądem jedzenia. Czasem dostawałem chleb, gotowane mięso albo ser, które wyglądały na resztki z pańskiego stołu, a mimo to były pozbawione smaku albo dziwnie pachniały. Nie były zepsute, tylko po prostu nie takie jak trzeba. Lekko słodkie, choć powinny być cierpkie. Czerstwe, choć powinny być świeże. Konsystencja twarda lub gładka, choć powinna być soczysta lub krucha. Ta różnorodność sprawiała mi przyjemność, ale nauczyłem się omijać wszystko, co przypominało ser, jeśli tylko reszta wystarczyła, bym się nasycił. W przypadku potraw seropodobnych odnosiłem wrażenie, że ktoś wcześniej wyssał z nich cały smak, pozostawiając jedynie pleśń. Ale nie narzekałem. Choć jadalne dzieła demonów nigdy nie widziały świni, ptactwa, pędu czy drzewa, rai-kirah umiały stworzyć coś, co mogło nakarmić ludzkie ciało. Nie przymierałem głodem.

Moje rany zaczęły się goić i po paru dniach spędzonych na kuleniu się w kącie, kiedy to nie ważyłem się rozejrzeć dookoła ani myśleć i podskakiwałem na każdy dźwięk, uznałem, że pora zacząć się ruszać albo w ogóle zapomnę, jak to się robi. Pierwszego dnia podniosłem się i trochę pospacerowałem. Nikt się nie sprzeciwił. Następnego poszedłem nieco dalej i spróbowałem rozciągnąć sztywne i splątane mięśnie. Znow nikt tego nie zauważał. Trzeciego dnia zacząłem ćwiczyć. Z początku spędzałem wiele godzin wykonując najwolniejsze i najprostsze ćwiczenia kyanar, żeby odzyskać choć pozory siły i równowagi. Później przeszedłem do bardziej skomplikowanych czynności i zacząłem biegać razem z psami dookoła dziedzińca. Przez pierwszy tydzień szybko padałem na ziemię, czując, jak palą mnie płuca i nogi, później szło mi coraz lepiej.

Ruch, sen i wolność od ciągłego bólu pozwoliły mi odzyskać jasność umysłu. Zacząłem liczyć dni - uznając czas, gdy spałem, za noc - i zaznaczałem karby na płytkach w rogu. Choć ręce nadal mi drżały, znow umiałem zebrać myśli i, jeśli bardzo się postarałem, przypomnieć sobie fragmenty swojego życia - najwcześniejsze wspomnienia z czasów szkolnych, elementy szkolenia Strażnika, ezzariańskie rytuały, pojedyncze wydarzenia z czasów niewolnictwa, niekończące się walki z demonami.

Niestety, odkryłem, że niezależnie od tego, ile wysiłku w to wkładam, nie potrafię przypomnieć sobie najważniejszego: swojej osobistej historii - rodziny, przyjaciół, jak to się stało, że zostałem niewolnikiem i odzyskałem wolność - jak przybyłem do Kir'Vagonoth, co chciałem odkryć, ryzykując życiem i rozumem, natury lęków, które obudziły moje sny. Moje

wspomnienia były niczym rękopis starannie wykaligrafowany, a później pochlapany atramentem - niektóre fragmenty widoczne, inne całkowicie zamazane.

Nie byłem pewien, czy chcę odkryć to, co pozostało zasłonięte. Czasem odnosiłem wrażenie, że każde drzwi, które próbowałem otworzyć, skrywają straszliwą i bolesną tajemnicę. Na razie wolałem oddawać się ćwiczeniom, póki nie mogłem już unieść nawet palca, a później powtarzać zaśpiewy i recytacje, które oddalały mój umysł od przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. W końcu padałem z psami i zasypiałem. Później będzie czas, by to sobie przypomnieć. A jeśli moim przeznaczeniem było umrzeć albo wiecznie pozostać w niewoli, jakie to miało znaczenie?

Nie myślałem o ucieczce. Pozwalałem sobie wierzyć, że to dlatego, iż mury były wysokie i gładkie, z jedną bramą z grubych czarnych prętów, a zamek został zapieczętowany zaklęciem, którego nie umiałbym złamać. Dach stanowiła kratownica z tych samych czarnych sztab, a nawet gdybym uznał za stosowne je zgiąć, znajdowały się na wysokości dwóch mężczyzn nade mną. Moja melydda była martwa - została zniszczona, uszkodzona, uciekła, tego nie wiedziałem - a słowa zaklęć równie użyteczne jak uszy dla głuchego i oczy dla ślepego. Chwila, gdy podczas badania poczułem wzbierającą moc, z pewnością musiała mi się przyśnić. Tak czy inaczej, żadne racjonalizowanie nie zdołałoby ukryć prawdy. Gdybym próbował uciekać, demony odesłałyby mnie do lochów. Przerazenie wiązało mnie tak, jak nie potrafiły skuć łańcuchy.

Przez ten czas nie widziałem Yallyne, Merryta ani Denasa, ani też demona zwanego Vyx, który ściągnął mnie do Kir'Vagonoth powtarzającymi się koszmarami. Na dziedzińcu przychodził jedynie ubrany w zieleń służący, który przynosił jedzenie, sprzątał nasze odchody - na całe szczęście psy nie były szczególnie brudne - i upewniał się, że strumyczek wody płynącej w kamiennym korycie nie został zapchany ani zamknięty. Często po prostu siadał na ławie w kącie dziedzińca i się nam przyglądał. Nigdy się do mnie nie odezwał ani w żaden sposób nie dał mi do zrozumienia, że różni się czymkolwiek od kłopotliwych zwierząt. Czasem jednak nosił materialne ciało zamiast migoczącej demonicznej postaci i wtedy chodził dumny jak paw. Nie podejrzewałem, że stroi się tak dla psów. Niemal wybuchałem śmiechem, patrząc, jak poprawia opadające spodnie, przeciąga tępych palcami przez zmierzwiłe brązowe włosy lub po pełnych, opadających wargach, jakby upewniał się, że umieścił je prosto.

Nie próbowałem rozmawiać ze służącym. Nie chciałem ryzykować konsekwencji. Ale pewnego dnia, gdy psy wyjątkowo przeszkadzały mi w zamiataniu, zagwizdałem na nie i

zaczęłam z nimi biegać, podczas gdy on pracował. Kiedy skończył, lekko skinął głową, a ja w odpowiedzi uśmiechnąłem się i ukloniłem.

Niedługo potem obserwowałem, jak nalewam wodę z koryta, by się umyć, a później biegam i drzę aż do wyschnięcia. Następnego dnia obok porcji jedzenia zostawił czystą ściereczkę. Nie próbowałem skrócić dystansu między nami, nawet kiedy wydawał się gotów do mnie odezwać, ale zawsze gdy nosił ciało, kłaniałem mu się - nie szyderczo ani przesadnie, lecz by okazać mu szacunek.

Kilka dni po tym, jak przyniósł mi ścierekę, przyszedł znów w materialnej postaci, idąc sztywno i powoli, na wpół zgięty, jakby nie mógł się wyprostować. Próbował postawić na ziemi ciężkie tace z jedzeniem dla psów, lecz jęknął z bólu i na chwilę znieruchomiał. Znając wszelkie rodzaje obrażeń, założyłem, że naciągnął jakieś mięśnie grzbietu, a nie wiedział o anatomii choćby tyle, by się przeobrazić i zmniejszyć ból. Ale kiedy podszedłem bliżej i wyciągnąłem ręce, by mu pomóc, zobaczyłem krwawe ślady na tunice z zielonego jedwabiu. Wziąłem od niego tace, odstawiłem je na bok i poprowadziłem go do studni. Gestem kazałem mu zdjąć koszulę. Rzeczywiście został wychłostany, trzcina, jak przypuszczałem. Przypomniałem sobie, co Merryt mówił o demonach, które zmuszają się nawzajem do pozostawiania w materialnym ciele, dręcząc je potem torturami. Wziąłem jego koszulę i zwilżyłem ją, po czym przetrąłem zimną wodą świeże rany. Wiedziałem, jak je oczyścić i jak przycisnąć w jednym miejscu, by nie czuł, co robiłem w innych. Kiedy skończyłem, oddałem mu ubranie i gestem ponagliłem do odejścia. Albo moje wysiłki przyniosły wyjątkowy skutek, albo też demoniczne ciała nie czuły bólu tak bardzo jak ludzkie, gdyż służący uklonił mi się i zabrał do pracy, jakby nic się nie stało.

Powinienem był się domyślić. Następnego dnia pojawił się inny strażnik - kobieta demon, bardzo surowa. Zawsze nosił przy sobie kij i biła nim skamlące psy, jeśli zbyt blisko do niej zbliżyły. Wpatrywała się we mnie ze złością i machała lagą w moją stronę, a jej burzliwe, niebieskoszare światło pulsowało w rytm ruchów. Nie mając ochoty na bliższe spotkanie z jej dość archaiczną bronią, ograniczyłem spacer. Nie kulilem się ani nie płaściłem, tylko siedziałem w kącie i obserwowałem. Kiedy odchodziła, wracałem do pracy.

Po kilkunastu tygodniach ćwiczeń zacząłem odzyskiwać siły. Długie godziny biegania zwiększyły moją wytrzymałość, a uchylanie się przed rozbawionymi psami poprawiło zręczność. Wykorzystywałem każdą technikę, którą zdołałem wyciągnąć z pamięci, by wzmocnić mięśnie, wyostrzyć zmysły i wymazać strach. Ale dłonie nadal mi drżały, a choć

kilka razy pod koniec dnia wyczułem pierwsze słabe poruszenia melodydy, każdego ranka budziłem się z duszą zimną i martwą.

Po dniu szczególnie energicznych ćwiczeń, gdy myłem się przy korycie, żałując, że nie mam kija staruchy, by go wykorzystać do ćwiczeń, ktoś zastukał do bramy i wpadł na dziedziniec. Była to niska, pulchna młoda kobieta - całkiem materialna i ludzka - z na wpół rozerwanym gorsetem żółtej sukni. Jej okrągła twarz była zarumieniona, długie brązowe loki rozczochrane, a oddech urywany. Na mój widok jej małe oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Och!

W korytarzach za dziedzińcem rozległy się krzyki, a na płytkach zaszurały kroki.

- Och, proszę, panie, czy możesz mi pomóc? Ten okrutnik twierdzi, że będzie mnie miał albo rzuci mnie na pożarcie szalonym demonom. Przez sto lat byłam więźniem w tym zamku.

To było bardzo dziwne. Jej słowa brzmiały pusto, a w głosie nie do słyszałem strachu. Lęk i ja byliśmy starymi znajomymi, więc zacząłem się zastanawiać... i zachowałem ostrożność. Nie odzywając się ani słowem, wskazałem na gołe ściany i wzruszyłem ramionami. Gestami zaproponowałem, by wślizgnęła się w sforę psów. Gdyby nawet była bardziej zdesperowanym uciekinierem, nic innego nie mógłbym jej zaproponować.

- Ale on mnie tu znajdzie. - Podeszła bliżej i położyła mi na piersi splecione ręce. Bardzo zimne ręce. Jej bliskość wywarła na mnie niejakie wrażenie. Wśród przepelniających mnie odczuć nie było jednak wiele współczucia. Musiałem się zmusić, by słuchać jej błagań, a nie tylko szumu krwi w uszach. - Słyszałam, że na tym dziedzińcu trzymają czarodzieja... człowieka z duszą. Och, dobry panie, czy nie pomożesz mi swoją magią? - Jej błaganie brzmiało żałośnie, lecz kimkolwiek była, nie nauczyła się dopasowywać wyrazu oczu do słów.

Cofnąłem się na bezpieczniejszą odległość, potrząsnąłem głową i wyciągnąłem puste ręce. Krzyki przybrały na sile.

- Gdzie jesteś, lisico? Pożałujesz tego. Mój nóż, bicz i ręka nauczą cię, kto tu rządzi.

Niemal mnie nabrali, bo głos był bardzo dobrą imitacją ryku Denasa. Ale nie wystarczająco dobrą. Gdy gniewne okrzyki wepchnęły ją znów w moje ramiona, szeroko rozłożyłem ręce i nie dałem jej oparcia.

- Łotr! - Spoliczkowała mnie, co sprawiło, że psy podbiegły bliżej, warcząc. Lecz gdy tylko wyczuły kobietę, zaczęły skomleć i merdać ogonami.

Zrozumiałem wskazówkę i ukloniłem się głęboko, szybko tłumiąc pełen niedowierzania uśmiech, który koniecznie pragnął wypełznąć mi na usta. I dobrze zrobiłem.

Kiedy podniosłem głowę, niska, pulchna uciekiniarka zmieniła się w kobietę mojego wzrostu, o majestatycznej prezencji, a rozdarta żółta sukienka ukazywała okrągłą, doskonałą pierś i kształtne ramię, tak piękne, że moja skóra zapłonęła. Przedemną stała Yallyne i tupiała ze złością.

- Dobrze, powiedz mi, kiedy się domyśliłeś?

Rozum. Gdzie się podział mój rozum? Wskazałem na usta i uniosłem brwi, jednocześnie pozerając ją wzrokiem.

- Tak, tak, możesz mówić. Będziesz mówić. Czy jesteś aż tak okrutny, że nie uratowałeś kobiety w tarapatach?

Wolałem jej nie informować, że jej aktorstwo nie jest lepsze niż jej ser. Psy stanowiły zdecydowanie lepszą iluzję.

- W obecnej sytuacji nie zdołałbym nikogo uratować - wyjaśniłem.

- I tak pewnie zostanie, chyba że wkrótce czymś mnie zainteresujesz. Spędzasz tu całe dnie i ani razu nie spróbowałaś ucieczki, ani razu nie błysnęłaś magią, nie powiedziałaś ani jednego słowa do strażnika, ani razu nie jęknęłaś z głębi duszy, poruszając moje serce. Tylko śpisz, bełkoczesz, biegasz bez końca i tańczysz z tymi przeklętymi bestiami. A jednak najwyraźniej twój umysł nie odniósł aż tak wielkich strat jak zwykle u tych, którzy przychodzą z lochów. Czy jesteś z kamienia?

W tej właśnie chwili zrozumiałem wiele, między innymi i to, że z pewnością nie jestem z kamienia, ani też nie jestem martwy, jak sądziłem. A ona najwyraźniej długo mnie obserwowała, by poznać moje przyzwyczajenia... Czyżby była szpiegiem?

- Choć nie prezentuję się dobrze, pani, rzeczywiście zaprzyjaźniłem się ze strażnikiem, co najpewniej już wiesz. To porządny, łagodny osobnik, który podtrzymywał twoje zainteresowanie. Sądziłem, że wszystko idzie dobrze aż do chwili, gdy go zabrano. A twoje psy, choć nieco ograniczone, stanowią wesołą kompanię. Gdybym podejrzewał, że oczekuje się ode mnie czegoś więcej, zastanowiłbym się nad tym.

- Masz niewyparzoną gębę, Wygnańcze.

- Wydaje mi się, że już mi to mówiono. Widzisz, to ci, którzy mi towarzyszą, budzą we mnie najlepsze... lub najgorsze instynkty.

Jej szerokie usta potrafiły wyrazić każdą subtelność nastroju - tym razem złośliwe podpuszczenie.

- Czyżbyś chciał powiedzieć, że nie masz ochoty zostać z moimi pupilami?

- Przybyłem tu, by dowiedzieć się jak najwięcej, i sądzę, że opanowałem już wszystko, czego mogły mnie nauczyć twoje zwierzęta. Miałem nadzieję, że ty potrafisz więcej.

Przechyliła głowę.

- A co mi dasz w zamian za nauki? Może wyjawisz swoje imię? - Wijące się złociste loczki ocierały się o jej nagą pierś, a ja stałem się nagle boleśnie świadom skromnej przepaski biodrowej.

Przeniosłem spojrzenie na nudne płytki i potrząsnąłem głową, licząc, że gdzieś pośród szalejącej wyobraźni odnajdę poczucie obowiązku.

- Ach, pani, to trudna sprawa. Mój lud ma w zwyczaju podawać swoje imiona jedynie gościom-przyjaciołom i krewnym. My dopiero się spotkaliśmy. Może zechcesz przyjąć ode mnie coś innego?

Zimny wiatr przebił się przez kratownicę dachu. Coś zamigotało i po chwili dama stała już przede mną odziana w biały futrzany płaszcz z kapturem wdzięcznie udrapowanym na włosach. Pachniała kwiatami, winem i aromatycznym dymem świec.

- Umiesz grać?

- Niestety nie. Pod moim dotykiem instrumenty tracą harmonię dźwięków - powiedziałam.

- To może śpiewasz? - Śmiech i złośliwość mignęły na jej twarzy niczym błyskawica na letnim niebie.

- Tylko wtedy gdy wymaga tego święty obowiązek. Powiedziano mi, że śpiewam jak dzik.

Ktoś mnie tak kiedyś nazwał, kiedy miałem szesnaście lat. Przez tę krótką chwilę widziałem inną twarz... równie piękną... lecz wtedy Yallyne przeciągnęła palcem z kości słoniowej po mojej pierś i fiołkowe oczy z moich wspomnień rozjaśniły się do niebieskawej zieleni, czerwonozłota skóra zbladła do alabastru, a ciemne włosy zapłonęły złocistym ogniem. Nie mogłem sobie przypomnieć imienia tej drugiej.

- To może znasz jakieś gry i poradzisz sobie lepiej niż moi dotychczasowi przeciwnicy? - Wzięła mnie za ramię i razem podeszliśmy do bramy z czarnych prętów. Psy skomlały i piszczały przy moich gołych nogach.

- Gram nieco lepiej, niż śpiewam, ale przyznam, że nie mam w nich większego doświadczenia.

- Ależ jesteś bezużyteczny. Wyglądasz na barbarzyńskiego wojownika, a takich mam w zamku po uszy. Założę się, że nawet nie umiesz czytać. - Brama otworzyła się, choć nie

padło ani jedno słowo rozkazu.

- Wręcz przeciwnie, pani. Nie będę utrzymywać, że wiem wszystko, ale umiem czytać i pisać. Kiedyś nawet pracowałem jako skryba. - Moje serce zadrżało, gdy to powiedziałem, a ja uznałem tę reakcję za dziwną. Kto znajduje siłę we wspomnieniach służby?

Brama zamknęła się za nami, a psy, moi przyjaciele, zawyły ze smutku, gdy pani poprowadziła mnie do zamku.

- Pisanie na nic mi się nie przyda. Bo niby do kogo miałabym słać listy? Ale czytanie... znajduję przyjemność w książkach. Wypróbuję cię.

- Jak sobie życzysz, pani.

Zastanawiałem się, czy znów będę niewolnikiem. Choć dłoń Yallyne delikatnie spoczywała na moim ramieniu, nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że na moich nadgarstkach zaciskają się kajdany. Ale kiedy szliśmy przez zamek do jej komnat, przestałem się tym przejmować. Wypełniała korytarze muzyką swojego śmiechu, a ja wchłaniałem ją niczym pustynny piasek wchłania deszcz.

Rozdział 24

- To będzie twój pokój do odpoczynku - powiedział migoczący demon o głosie brzmiącym niczym dzwon, który woniał tak, jakby spóźnił się na własny pogrzeb. Dyskretnie zacisnąłem nos, żeby nie czuć tego odoru. Jego materialna postać wahała się między ludzką a świńską, a im bardziej był podniecony, tym więcej smrodu wydzielał. Nazywał się Raddoman i był jakimś pomniejszym służącym damy. - Pani chce, żebyś był blisko, byś mógł jej służyć, kiedy zechce. Rozkazała, by stworzono dla ciebie ubrania, przygotowywano ci i przynoszono ludzkie jedzenie. - Najwyraźniej nie apróbował aż takiej łaskawości.

Gestem kazał mi wejść do niedużego pokoju, zapchanego - jak wszystkie pomieszczenia w zamku - meblami, dziełami sztuki i przedmiotami wszelkiego rodzaju. Malowane naczynia leżały na stertach na drewnianych krzesłach, które ustawiono wzdłuż ścian. Wazony z lodowymi kwiatami stały na stolikach zastawionych mosiężnymi skrzyneczkami i drewnianymi kubkami, koszykami, butelkami i figurkami koni i psów. Dwa lakierowane na czarno podnóżki wciśnięto pod stół, ponieważ przy żadnym z krzesel nie było na nie miejsca. Zwinięty dywan zakrywał otwór kominka, a sterty drewna i węgla ułożono w kącie za wysokim regałem, w miejscu niemal niedostępnym. Gdzieś za serwantką ze szklanymi półkami, wypełnioną wszelkiego rodzaju drobiazgami w rodzaju lusterek, pędzli, emaliowanych kubków i szkieł powiększających, znajdowało się wysokie, wąskie okno. Przez otwarte okiennice wpadał śnieg i wszystko w komnacie pokrywała cienka warstwa bieli. Nigdzie nie dostrzegłem łóżka ani czegoś w tym rodzaju.

- Dziękuję, Raddomanie. To miło z twojej strony, że pokazałeś mi drogę.

- Wykonuję tylko rozkazy swojej pani. - Prychnął i przybrał postać świni, co było dość peszące, jako że przewyższał mnie wzrostem. - Nie lubię yladów.

- Rozumiem. Może uda nam się lepiej poznać.

Wzruszył ramionami, a ja z trudem pohamowałem kaszel, gdy otoczyła mnie chmura smrodu.

- Nie lubię cię.

- Szkoda.

- Ale pani powiedziała, że mam spytać, czy chcesz, żeby ci tu coś jeszcze przynieść,

bo yladowie mają inne potrzeby niż my.

- Jest wyjątkowo uprzejma. - Znów rozejrzałem się wśród bałaganu. - Gdybym mógł dostać wodę... dzbanek i misę, w której zdołałbym się umyć... byłbym bardzo wdzięczny. Wszystko inne powinienem znaleźć tutaj.

Demon chrząknął i znikł.

W ciągu następnej godziny przejrzałem większość zgromadzonych w komnacie przedmiotów. Oczyszcziłem jeden z kątów i ułożyłem tam kilkanaście dywanów, kilka płaskich poduszek i kilka warstw różnych tkanin, rozwiniętych z beli i złożonych, tworząc sobie wygodne posłanie. Choć kusilo mnie, by wsunąć się między warstwy materiału i ogrzać, zabrałem się za dalsze badanie. Przykryty, sięgający kolan słój, przypominający te, w których kupcy przechowywali oliwę, będzie mi służył do wypróżniania się. Rozsuwałem i popychałem meble, aż udało mi się wcisnąć za półki i zamknąć okiennice. Ponieważ nie do końca zachodziły na siebie, zdołałem jedynie o połowę zmniejszyć ilość śniegu i wiatru wpadającego do środka. Rozwinałem kolejny dywan i wepchnąłem go w otwór okienny. Lepiej. Nadal nie było ciepło - krew leniwie krążyła mi w żyłach - ale przynajmniej burza szalała teraz na zewnątrz, a nie wewnątrz. Choć udało mi się odsłonić kominek i przynieść wystarczająco dużo drewna i podpalki, by rozpałić ogień, nie mogłem znaleźć niczego, co pozwoliłoby mi wzniecić płomień. Krótka chwila frustracji przypomniła mi, że nadzieje na powrót melyddy były jedynie iluzją, więc podjąłem bardziej pożyteczne działania.

Ze szklanych półek zdjąłem grzebień, łyżeczkę i kubek oraz nieduże czerwone pudełeczko z aromatycznym kremem, który mógł służyć jako mydło. Gdy w kiepsko uplecionym koszyku znalazłem dwa zastrzone pióra i kilka arkuszy szorstkiego papieru, poczułem się, jakbym odkrył skarb. Przeglądałem skrzynie i kufry, aż wydobyłem buteleczkę brązowego płynu, który pachniał pomarańczami, ale zachowywał się jak rozwodniony atrament. Wykorzystanie moich znalezisk wydawało mi się teraz najważniejsze, jakby dotknięcie piórem papieru miało mi pomóc odzyskać pamięć.

Oczyszcziłem blat niedużego stolika, wrzucając stertę monet, jaskrawej biżuterii, skorup orzechów, gwoździ i kawałków sznurka do kolejnego wysokiego słoja, po czym przyciągnąłem sobie płaską poduszkę i usadowiłem się wygodnie. Rozłożyłem papier, zanurzyłem pióro w pachnącym pomarańczami płynie, rozważyłem swoje doświadczenia i perspektywy, po czym powoli i z namysłem napisałem: „Dzień pierwszy”. Niemal nieczytelne. Ciągłe drzenie dłoni zepsuło rękę skryby. Cienka brązowa linia wahała się i wila niczym ścieżka pijaka. Przez chwilę nie wiedziałem, co jeszcze dodać. W końcu dopisałem: „Yallyne zabrała mnie od psów. Demony nie umieją udawać”. Nic więcej nie przyszło mi do

głowy, więc zamknąłem kałamarz i wytarłem pióro kawałkiem materiału. Po kolejnych krótkich poszukiwaniach złożyłem papier, wsunąłem go w znaną srebrną skrzyneczkę i umieściłem ją obok prowizorycznego posłania. Czułem przy tym zadowolenie zupełnie nieproporcjonalne do osiągnięć.

Kiedy już to zrobiłem, usiadłem na łóżku i ukryłem głowę w dłoniach, próbując odzyskać jakiś fragment umysłu. Nim jednak zdążyłem zanurzyć się w skarbcu zachowanych w głębi duszy obrazów, powrócił Raddoman. Tym razem nosił postać przysadzistego mężczyzny o tłustych brązowych włosach i rzadkiej brodzie wyrastającej z wystającego podbródka. Co dziwne, choć demony mogły pojawiać się w setkach różnych postaci... lub jako promień światła, jeśli ustawiły się pod nieodpowiednim kątem... łatwo było je od siebie odróżnić. Nigdy nie pomyliłbym Raddomana z Kaaratem, Yallyne, Denasem lub Yilgorem, odzianym w fiolet demonem, który zabrał mnie z lochów. Nawet kiedy przyjmują materialną postać, wygląd to tylko niewielka część ich obecności.

- Masz ubrania i tę głupią wodę. Pospiesz się. Pani chce cię widzieć w bibliotece. - Postawił na podłodze pękaty ceramiczny dzban o nieokreślonym kolorze, a potem rzucił we mnie kłębem czarno-czerwonego materiału.

- A gdzie jest biblioteka?

- Przeklęty ylad! - warknął. - Nie zdołałbyś znaleźć własnego tyłka, nawet gdyby ktoś położył ci na nim ręce. Biblioteka mieści się obok pokoju pani.

Nim zdążyłem zapytać, gdzie z kolei znajduje się ten pokój, wystawiając się na następne obelgi służącego, Raddoman zmienił się w promień błotnistego światła, wypuszczając z siebie smród i długo skrywaną złość.

- Nie powinno cię tu być, yladzie. Nie dość, że zabraliście to, co nasze, teraz przychodzisz tutaj, jakbyś był panem tego miejsca. Słyszałem, jak przybyłeś... bez broni... Mówiłeś, że chcesz nas poznać i się uczyć. Jakbyś tu pasował. Jakbyś chciał władać tą krainą. Gdzie nas odeślecie, kiedy ukradniecie nam to miejsce tak samo jak poprzednie?

- Zabraliśmy wam co? Proszę, nie rozumiem. Nie przybyłem, żeby... Ale nie pozwolił mi skończyć. Rzucił we mnie parą butów i wyszedł.

Ubranie było bardzo wykwiśnięte. Szare spodnie, wyszywane wzdłuż nogawek czarną nicią. Jedwabna koszula o barwie czerwonego wina, z rozcięciem przy szyi, długimi, szerokimi rękawami i guzikami z pereł. Wysokie do kolan czarne buty ze skóry miękkiej jak policzek kobiety. Umyłem się, na ile mogłem, zimną wodą z dzbana i kremem ze słoika, po czym rozczesalem splecione włosy. Powiedziałem sobie, że warto, bym dobrze prezentował się

przed damą. Moja przyszłość spoczywała w jej rękach. Choć tak naprawdę myślałem bardziej o jej dłoniach niż o przyszłości.

Kiedy już zapiąłem buty, wyrząłem za drzwi, lecz zobaczyłem za nimi jedynie szary korytarz. W okolicy nie było nikogo, więc wyszedłem... i wcale nie znalazłem się w korytarzu. Trafiłem do niedużego pokoju zapchanego wszelkiego rodzaju krzesłami - o wysokich oparciach, okrągłych oparciach, z podpórkami na ręce i bez, prostymi, wymyślnymi, z obiciami i plecionymi. Komnata wyglądała jak salon, w którym niskiej rangi dworzanie mogli oczekiwać na audiencję u władcy, lecz w środku nie było nikogo. Wyrząłem przez drzwi i znów ujrzałem swój pokój, lecz tym razem po drugiej stronie małego, pustego przedpokoju, i dwa stopnie wyżej. Nie ma co się tym przejmować. Przepchnąłem się między krzesłami w stronę drugich drzwi. Kolejny korytarz. Przeszedłem na drugą stronę, spodziewając się następnego niepokojącego przejścia, lecz tym razem korytarz pozostał na swoim miejscu. Poruszanie się w zamku Denasa przypominało schodzenie po ciemku po schodach, kiedy człowiek spodziewa się jeszcze jednego stopnia, a trafia na równą powierzchnię. Po obu stronach korytarza ciągnęły się drzwi, lecz ja szybko odnalazłem to, czego szukałem. Pierwsze wejście, wysokie i wąskie, prowadziło do potężnej sali pełnej książek.

Nigdy nie widziałem tak wielu woluminów w jednym miejscu. Słabo przypominałem sobie dom, którego właściciel ceniał książki - dom, w którym byłem niewolnikiem, tak mi się wydawało - lecz tamta kolekcja była niczym w porównaniu z biblioteką Yallyne. Ściany pomieszczenia miały wysokość co najmniej pięciu mężczyzn, a jego prawdziwe rozmiary ginęły w mroku. Galerie, do których prowadziło troje schodów, ciągnęły się wzdłuż wszystkich ścian i pozwalały na dojście do wyższych półek. Ze wszystkiego, czego mógłbym się spodziewać w krainie demonów, książek nie potrafiłbym sobie wyobrazić.

Pośrodku sali wznosiły się trzy grube kolumny oplecione rzeźbionymi w lodzie pnączami, a z nich zwisały się kryształowe lampy, rzucające strumień światła pośród mroku. W tym oświetlonym trójkącie piątka pięknie odzianych demonów, trzy kobiety i dwaj mężczyźni, spoczywała na czerwonych kanapach, szepcząc coś do siebie.

Yallyne stała przed nimi w swej demonicznej postaci - srebrnego blasku. Kiedy odwróciła się, by mnie powitać, musiałem się zmuszać, by znów zaczerpnąć oddech. Włożyła suknię z szafirowego jedwabiu, kusząco udrapowaną na jej pięknych kształtach i spiętą na ramieniu pojedynczym diamentem. Na mój widok jej zielone oczy rozszerzyły się z zadowolenia. Moje ciało zapłonęło.

- Wygnaniec! Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz. Moi goście rozpaczliwie pragną

rozrywki.

- Przepraszam... nie wiedziałem... nie byłem odpowiednio... - Mój język, którym tak swobodnie władałem na dziedzińcu, próbował wyrwać się spod kontroli. - Nie znałem drogi.

- Skoro już tu jesteś, nie możesz zrobić ze mnie idiotki. Obiecałam, że znasz dobrą opowieść. Dlatego... - machnęła na mnie ręką - ...wymyśl coś. - Stałem tępo, więc ponagliła mnie gestem. - Książka, Wygnańcze. Znajdź dla nas ciekawą książkę.

Oderwałem od niej spojrzenie i podszedłem do ściany. Przeciągnąłem palcami po grzbietach ksiąg - każdy odcień skóry, tkaniny i papieru, niektóre stare i zniszczone, niektóre świeże - i z konsternacją spostrzegłem, że język, w jakim napisano tytuły, jest mi nieznany. Poruszałem się wzdłuż półki, wpatrując się w każdy z woluminów i mrużąc oczy w słabym blasku z nadzieją, że wzrok mnie mami i jeśli tylko przyjrzę się uważnie, znajdę jakieś sensowne słowa. Szukałem coraz szybciej i szybciej. Wyszedłem za róg i odczułem znaczną ulgę, gdy litery zaczęły nabierać znajomych kształtów, nawet jeśli słowa pozostały niezrozumiałe. To znaczyło, że w bibliotece zgromadzono księgi w różnych językach. A więc istniała jeszcze dla mnie nadzieja. Nieco dalej dotarłem do pierwszych schodów. Wspiąłem się wyżej i rozpoznałem kilka tytułów w języku Frythów. Problem polegał na tym, że nie posługiwałem się frythyjskim. Wszedłem na trzeci poziom.

- Masz zamiar wy dostać się z Kir 'Yagonoth po schodach, Wygnańcze? A może zbierasz książki, żeby nappełnić kolejną bibliotekę? Jeden tom wystarczy.

- Proszę chwilę zaczekać, pani. Chciałbym znaleźć coś naprawdę wartego uwagi. - Miałem nadzieję, że nie pocztyta mi za bezczelność, że niektóre z jej książek uznałem za mało interesujące. Jeśli jednak wkrótce czegoś nie znajdę, nieuprzejmość będzie najmniejszym z moich wykroczeń.

O tu, pismo Kuvaiów. Moja znajomość tego języka wystarczyłaby za ledwie do zrozumienia najprostszej z książek. Ale jeśli Yallyne miała dzieła Kuvaiów, to z pewnością znajdę też coś w języku, którym umiem się dobrze posługiwać. Wyszedłem za następny róg i opadłem na kolana, rozradowany, bo odkryłem półkę z księgami w aseolu. Teraz muszę znaleźć coś, co będzie zapowiadać się ciekawie.

„Zwierzęta i ptaki Basranu”. Basran. Uśmiechnąłem się do siebie na widok nazwy, która wydawała mi się znajoma. Znalazłem się tak daleko od domu, że zaczynałem już wątpić w swoją pamięć. Ale choć ilustracje były piękne, nie sądziłem, by tego pragnęła dama, więc szukałem dalej. „Teorie astronomiczne”, „Języki plemienne” i „Szlaki handlowe Khyb Rash” nie wzbudziły mojego entuzjazmu. „Rzecz o wspaniałej y starożytny historyi lutnicy” wyglądała na zdecydowanie przydługą, a w dodatku spisana archaicznym językiem. W końcu

znalazłem niedużą książeczkę oprawioną w skórę o barwie wina, zatytułowaną „Statki szczęścia: dziesięć opowieści, czyli zbiór historii basrańskiego poszukiwacza przygód”. Wyciągnąłem jeszcze drugą książkę, „Mity i fantazje”, na wypadek gdyby pierwsza okazała się nudna, i pospieszyłem do oczekujących demonów.

- Mam nadzieję, że to będzie odpowiednie, pani - powiedziałem.

Yallyne, spoczywająca na szarej sofie, gestem kazała mi usiąść na niskim drewnianym stołku.

- Pospiesz się.

Oparłem książkę na kolanach, gdyż inaczej moje drżące dłonie nie zdołałyby jej utrzymać, i zacząłem czytać:

- Posłuchaj, o czytelniku, opowieści o cudach. Jestem człowiekiem, który daleko podróżował, i widziałem rzeczy, które mój własny ojciec uznałby za niemożliwe...

Nic dziwnego, że książka mnie zainteresowała. Może sam napisałbym taką historię piórem i brązowym atramentem.

Sarakhan był młodym basrańskim pasterzem, który zmęczony nudnym życiem na obrzeżach pustyni wyruszył, by odnaleźć wielki ocean, legendę wśród jego ludu. Z początku podczas lektury metodycznie badałem swój umysł. Czyja kiedykolwiek widziałem ocean? Czy pływałem statkiem i wspinałem się na jego olinowanie? Czy spotkałem piratów i jadłem owoce z dziwnych drzew o fioletowych liściach? Czy kiedykolwiek się zakochałem... miałem kobietę... żonę? Bogowie, jak mogłem nie pamiętać czegoś tak ważnego? Po chwili jednak podniosłem wzrok, by ocenić, jak widownia odbiera opowieść, a wtedy moje spojrzenie napotkało wielkie zielone oczy, nakrapiane demonicznym błękitem i pełne zadziwienia. W tej chwili opuściły mnie wszelkie wątpliwości.

...znów... postawić żagle. - Zająknąłem się, krew napłynęła mi do twarzy. Zmusiłem się, by ponownie wpatrzeć się w kartki. *Ostrożnie, Strażniku. Tu kryje się niebezpieczeństwo, jakiego jeszcze nie znałeś.* Przeczytałem następne dziesięć stron, aż w końcu Sarakhan dotarł do brzegu na zakończenie swojej pierwszej podróży.

- Dalej. - Yallyne wydawała się zaskoczona, że przerwałem. Zaszło mi w gardle, nie tylko od czytania. - W książce jest więcej, prawda? To nie może być koniec.

- Tak, pani. I z radością czytałbym dalej, ale od czasu do czasu potrzebuję wody lub wina, by zwilżyć usta. - Wspomnienie o tym wydawało się nietaktem.

- Tak, tak. Mów, kiedy ci to będzie potrzebne. A teraz czytaj dalej. - Inni słuchacze jej przytaknęli, lecz ja skoncentrowałem uwagę na pani.

Przeczytałem dwie kolejne opowieści Sarakhana. Zielone oczy po nagłały mnie, aż zacząłem kaszleć. Nawet wtedy próbowałem jeszcze wypowiadać słowa, by ją zadowolić, podtrzymać blask zadziwienia w jej oczach. W chwili gdy miałem przestać, u mojego boku pojawił się Raddoman z kielichem wina. Pospiesznie wypilem słodko-gorzki napój, nie odrywając spojrzenia od kartki, po czym podjąłem lekturę. Około setnej strony odkryłem, że następna kartka jest pusta. W panice przerzuciłem pozostałe stronicę. Wszystkie czyste. *Idiota. Dlaczego nie sprawdziłeś?* Od razu wiedziałem, że to oskarżenie jest głupie. Kto by się spodziewał czegoś takiego?

- Dlaczego przerwałeś? Daliśmy ci wino. - Yallyne usiadła na sofie, a burza zbierająca się na jej bladym czole sprawiła, że ścisnął mi się żołądek.

- Pani, księga... - podniosłem książkę, pokazując jej puste strony - ...wydaje się wadliwa. Nie wiedziałem.

Dama wyrwała mi wolumin, przerzuciła kartki, po czym rzuciła nim tak mocno o ziemię, że potoczył się po szarych płytkach podłogi.

- Następnym razem upewnij się, co wybierasz.

- Oczywiście, pani. Nie wiedziałem...

- Czy znasz dalszy ciąg opowieści? Czytałeś ją tak łatwo... Może słyszałeś ją już wcześniej?

- Czy ją znam? Nie. Przykro mi. Była dla mnie nowa. Mógłbym przeczytać coś innego...

Pozostali goście podnosili się z kanap i owijali płaszcami, jakby obudzili się ze snu, więc Yallyne odwróciła się ode mnie, by się nimi zająć. Zimne powietrze sali otuliło mnie niczym opończa, aż zacząłem drzeć. Pustka w umyśle, sercu i żołądku nie pozwalała mi stłumić dreszczy. Czy to tylko jej uwaga mnie ogrzewała, gdy czytałem?

Czekałem, z trudem hamując niecierpliwość, aż pożegna ostatniego z gości. Kiedy powróciła do światła, zerwałem się ze stołka.

- Mam inną książkę. Może zacząłbym ją dla ciebie czytać. Przechyliwszy głowę, spojrzała na mnie, po czym uśmiechnęła się, aż po krzyżu przeszły mi ciarki.

- Na razie żadnych książek. Ale czytasz bardzo dobrze. Powtórzmy to jeszcze. Wracaj do swojej komnaty i odpocznij, jeśli chcesz.

- Porozmawiajmy chwilę. Przybyłem tu, by się uczyć. - Nie podobała mi się desperacja w moim głosie. Co było nie tak?

- Niestety nie. Oczekuję gościa, a ciebie nie powinno tu być, gdy się zjawi. Może później.

Nie potrafiłem wymyślić żadnych argumentów, poza rzuceniem się na kolana i błaganiem. Tak bardzo nie byłem jeszcze zdesperowany, choć z pewnością to rozważałem. Miast tego ukloniłem się i wycofałem, obiecując sobie, że wsadzę głowę w zimną wodę i zgaszę ogień, którym mnie napelniła. Czułem się, jakbym znów miał piętnaście lat - niezgrabny, przewidywalny i bezradny wobec najprostszych pragnień. A ona była demonem. Co ja sobie myślałem?

Znalazłem drogę powrotną do swojego pokoju - co okazało się dość skomplikowanym zadaniem, gdyż kiedy wyjrzałem przez drzwi biblioteki, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ale zdawało się, że wiem, w którą stronę skręcić, a choć po drodze zaglądałem do bardzo wielu komnat, dobrze wiedziałem, że żadna z nich nie jest moim celem. Niewiele mnie zainteresowało i później, gdy wyjąłem pióro i papier ze srebrnej skrzyneczki, napisałem: „Demony zbierają śmieci. Wiele z tych rzeczy jest zniszczonych lub niedoskonałych”.

Podobnie jak i ja, pomyślałem i odłożyłem pióro. Później zdjąłem wspaniałe ubranie i wszedłem na prowizoryczne posłanie. Nie pamiętałem nic równie cudownego, jak ciepło i miękkość dywanów, tkanin i poduszek. Powiedziałem sobie, że gdybym teraz umarł we śnie, był bym szczęśliwy. Ale miast tego śniłem o Wierzbowym Jacku i obudziłem się wiele godzin później z drżącymi rękami i wysuszonymi ustami.

Usiadłem i oparłem głowę na kolanach, otoczyłem ją rękami i zmusiłem mój oddech i serce, by się uspokoiły, gdy uświadomiłem sobie, gdzie jestem.

- To jak, próbowałeś się z nią kochać?

Szarpnąłem się do tyłu i uderzyłem plecami o ścianę, co sprawiło, że jakiś metalowy przedmiot spadł ze sterty mis i koszyków i z brzękiem uderzył o ziemię.

- Nie możesz. Najpierw musisz jej powiedzieć, jak masz na imię.

- Merryt!

Rozdział 25

- I jak ci się wiedzie? - spytał Ezzarianin, przyciągając stolik do pisania do mojego łóżka. - Przyniosłem jedzenie... Pewnie będzie to twoje śniadanie. - Na stoliku znalazła się karafka z winem i koszyk z winogronami, śliwkami, jabłkami, twardą kiełbasą i chlebem. Odciał kawałek kiełbasy i mi go rzucił, po czym wziął kawałek dla siebie.

Fascynowało mnie obserwowanie, jak świetnie sobie radzi mimo braku palców - małego i serdecznego lewej dłoni oraz środkowego prawej dłoni. Starłem się nie obserwować go zbyt natarczywie, choć pod kocem liczyłem własne palce.

- Próbowałem przez te tygodnie przesłać ci wiadomość, ale Yallyne nie wtajemnicza w swoje misterne intrygi każdego. Zwłaszcza jeśli mają doprowadzić Denasa do wściekłości. Tak bardzo się starał, żeby utrzymać twoje istnienie w tajemnicy, a teraz ona pokazuje cię wszystkim, robiąc z niego głupca.

- Czuję się niezłe - zapewniłem. - O wiele lepiej niż wcześniej. Dziękuję. Nie potrafię tego nawet wyrazić.

Teraz kiedy zdołałem już skoncentrować wzrok, odkryłem, że Merryt jest potężnym mężczyzną. Skórzane spodnie i kamizelka, brązowe nogawice i rdzawa koszula napinały się w szwach, by utrzymać jego masę. Długie, siwe włosy ściągnął z tyłu, przez co jego szeroka, kwadratowa twarz wydawała się jeszcze większa. Nie był jednak gruby. Przypuszczałem, że nadal zajmuje się ćwiczeniami Strażnika. Połknął spory kawał kiełbasy i nalał wina do dwóch srebrnych kubków.

- Nie wątpię, że ty zrobiłbyś to samo. Miło jest zobaczyć ludzką twarz... i to jednego z moich braci. - Pociągnął duży łyk napitku i postawił drugi kubek w miejscu, w którym mógłbym go dosięgnąć. - Od tak dawna nie było tu żadnego z nas. Nikt z pozostałych już nie żyje. Żałuję, że nie mogę ci obiecać łatwego życia, ale Nevaiowie i ich nie kończące się intrygi są nieprzewidywalne. Może będziesz miał do mnie żal, kiedy to wszystko się skończy.

- Za to, że wydostałeś mnie z lochów, będą cię błogosławić dzieci moich dzieci - powiedziałem i uniosłem kubek. Spojrzenie Ezzarianina spoczęło na mojej drżącej ręce. Nie ma czasu na dumę. Ten człowiek uratował mi życie i resztki rozumu.

Uniół kubek i znów pociągnął solidny łyk. Wyglądało, jakby wszystko robił z rozmachem.

- Jesteś gotów mi powiedzieć, jak się tu znalazłeś bez broni? I ta opowieść o Nevaiu i ostrzeżeniu...

Ezzarianin wśród demonów. Mój instynkt i zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa nie do końca zginęły w ruinie umysłu. Nawet gdybym umiał przypomnieć sobie choć połowę tego, co powinienem wiedzieć, nie byłem pewien, czy bym to wyjawiał.

- Przepraszam. Wszystko wokół pograżyło się w chaosie, od kiedy...

Merryt uniół dłoń.

- To nic takiego, chłopcze. Nie będę naciskał. Rozumiem niechęć Strażnika do odkrywania duszy przed kimś, kto zawarł przejściowy pokój z rai-kirah. - Oparł się plecami o ciężką szafę i wrzucił do ust winogrono. - Ale któregoś dnia... słyszałem opowieści o tobie. Skrzydła. Naghidda. Stoczyłeś tyle bitew. Jestem cholernie ciekaw i chciałbym mieć nadzieję, że kiedyś zaufasz mi na tyle, by mi o tym opowiedzieć.

- Dziękuję za śniadanie. Ten Raddoman najwyraźniej nie jest zachwycony faktem, że musi mnie karmić. - Smak kiełbasy i wina uświadomił mi, jak bardzo byłem głodny. Jedzenie nie okazało się tak dobre, jak wyglądało, ale od mojego ostatniego posiłku minęło wiele godzin, więc je pochłonałem. A gdy zaspokoilem głód, łatwiej koncentrowałem uwagę na innych sprawach. Przede wszystkim na tym, jak bardzo czułem się winny, że ukrywam coś przed przyjaznym Ezzarianinem. - Chcę ci zaufać. Oczywiście, że tak. Ale teraz nie ufam sobie na tyle, by splunąć, i ledwo pamiętam własną matkę. Potrzebuję trochę czasu. Może gdybyś powiedział mi coś o sobie... i tym miejscu. - Pytania, jakie wiązały się z osobą Merryta, były niezliczone. Odnosiłem też wrażenie, że wie o mnie tyle samo, co ja sam. Może nawet więcej.

- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Nie mam nic do stracenia, a mogę zyskać przyjaciela i sojusznika. Po prostu nie mogę zostać tu zbyt długo. Lepiej nie złościć twojej pani. Widziałem, jak zmienia postać, kiedy jest wściekła... a podczas swoich walk nie spotkałeś niczego, co mogłoby się z tym równać. Dlatego właśnie tak bardzo mnie nie znosi... bo wiem, jaka naprawdę jest. - Oparł buty na poduszce. - Mądrze robisz, że nikomu z nas nie ufasz. Nikomu nie ufaj. Nauczenie się tego zajęło mi wiele lat życia.

Miał zwierzęcą pewność siebie i wdzięk człowieka, który wierzy w swoją moc.

- Miałem czterdzieści trzy lata, kiedy zostałem pojmany - zaczął. - Byłem w kwiecie wieku. Walczyłem przez siedemnaście lat i nigdy nie przegrałem. Moja Aife... moja żona... chorowała, lecz odzyskała zdrowie, tak w każdym razie sądziliśmy. Zanosilo się na łatwą

walkę... niedawno opętana młoda dziewczyna, wcześniej niewinna... a my mieliśmy wyrzuty sumienia, że to inni odpowiadają na nasze wezwania. Nie chciałem pracować z inną Aife... taki ze mnie głupiec. Właściwie nie ma o czym opowiadać. Starcie było ciężkie, trwało długo, ale moja żona nie potrafiła zachować stałości krajobrazu. Ciągłe zmieniał się wokół mnie. Niemal pochwyciłem demona, lecz nim dostałem swoją szansę, wszystko wokół zaczęło się rozpadać na kawałki i portal się zamknął. Niezależnie od przyczyny, moja żona była zbyt słaba, by go utrzymać. Myślę, że mogła od tego umrzeć.

- Przykro mi.

Potrząsnął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej rezygnacji.

- Nie trzeba. To było bardzo dawno temu. - Obracał w dłoniach srebrny kubek, aż ten zaczął migotać w słabym blasku szarych murów. - Miałem szczęście... o ile takie wydarzenie można uznać za dobre... że zostałem pojmany przez Rudaia. Ci z Kręgu Rudaiów bardzo rzadko polują. Można by powiedzieć, że są cywilizowani, podczas gdy... Cóż, spotkałeś najgorsze z tych bestii, ale pozostali nie są o wiele lepsi. Strażnicy pochwyceni przez Gastaiów nie mają wyboru. Są sądzeni przed obliczem Rudaiów, przesłuchiwani, badani i oddawani tym, którzy ich pojмали. Tak właśnie płaci się Gastaiom za polowania.

- Czyli pozostali... - Wszyscy zaginieni Strażnicy, ci, którzy nie powrócili. Straceni... Nigdy nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje. Tak wielu opłakiwano. Modlono się za nich. Strażnicy zawsze szukali śladów naszych, gdy przechodzili przez portal, ale nigdy ich nie znajdowali.

- Wszyscy nie żyją. Kilku przetrwało jakiś czas uwięzienia, kilku cieszyło się nawet wolnością, ale później weszło w drogę temu czy innemu diabłu. Minęło wiele lat, od kiedy umarł ostatni z nich. Miałem szczęście. Ta, która mnie pojmała, wyjawiała mi tajemnicę, jak zachować zdrowie i życie.

Na usta cisnęły mi się setki pytań.

- Powiesz mi? - Najpierw najważniejsze. Jeśli miałem dokonać tego, po co tu przybyłem, musiałem przeżyć.

- Diablica przez jakiś czas trzymała mnie w niewoli, pozwalając, by Gastaiowie wzięli, co mogli. To dość nieprzyjemne, jak sam dobrze wiesz. Ale w końcu spytała, czy wolałbym żyć, czy zginąć. Powiedziałem, że nie chcę żyć jako demon, a wówczas ona wyjawiała mi coś niezwykle zaskakującego. - Pochylił się do przodu, uniósł gęste brwi, szeroko otworzył oczy i wskazał na nie palcami. - Jesteśmy wielkimi skarbami i rai-kirah zrobiliby niemal wszystko, by dostać jednego z nas. Ale nie wstąpią w nas przemocą. Strażnicy nie są jak inni ludzie w prawdziwym świecie. Mamy umiejętności i bariery

ochronne, by ich powstrzymać. Jeśli demon przemocą wdrze się w duszę Strażnika, nie zdoła się tam utrzymać. Wtedy przychodzi inny diabeł i walczy z nim, próbując wyrzucić tego pierwszego i wziąć Strażnika dla siebie. Taki atak niszczy i ich, i biedaka, o którego walczą. Po kilku zmianach właściciela tracimy swoją wartość, a wtedy demony dostają burę od innych demonów za to, że zmarnowały człowieka. W ciągu tych lat widziałem to parę razy.

Potrząsnął ponuro głową i zaczął szukać w koszyku drugiej kielbasy.

- Atakują... walczą ze sobą w ludzkiej duszy... jak my to robimy?

- Hm. Coś w tym rodzaju. Paskudna sprawa. I dlatego, jeśli nie mogą nas pobić ani strachem zmusić do służby, próbują sprawić, byśmy przyjęli ich z własnej woli. Żebyśmy myśleli, że nie mamy innego wyboru. Żebyśmy wierzyli, że będziemy szczęśliwsi, potężniejsi albo uda nam się jakoś wrócić do domu. Jak już mówiłem, miałem szczęście, że Magyalla mi to wszystko powiedziała, i teraz ty również możesz z tego skorzystać. Ponieważ jeśli w tym miejscu z własnej woli przyjmiesz demona... cóż, to zupełnie inna sprawa. Po pierwszych kilku godzinach rozdzielanie was staje się bardzo trudne, ba... niemożliwe, tak mi mówiono... trudniejsze niż we wszystkich przypadkach opętania, jakie widzieliśmy w naszym świecie. Ale oni chcą, żebyśmy do nich dołączyli... i to bardzo. - Jego trzy tępe palce ugniatały śliwkę.

- Obiecali mi moc, jakiej nie potrafiłbyś sobie wyobrazić.

- Ale ty tego nie zrobiłeś. Nawet z tą Magyallą? - spytałem jak dziecko, które twierdzi, że w nocnych cieniach nie kryją się potwory. Demony znały jego imię, a czemu jego pani powiedziała mu to wszystko, jeśli nie wyraził chęci do współpracy? Ta część nie miała sensu. Ale z drugiej strony duża część z tego, co słyszałem, w tej chwili także go nie miała, więc słuchałem dalej.

- Przyznam, że się nad tym zastanawiałem. Zostań tu na kilka długości życia i zobaczymy, co będziesz myślał. Widziałem, jak kilku z nas próbowało dobić targu... a wtedy pozostałe rai-kirah robiły się paskudnie zazdrosne, więc biedacy i tak kończyli martwi. Ja nie miałem odwagi, żeby to zrobić. Kto by rządził, człowiek czy demon?

Pożarł mięsistą śliwkę, wypluł pestkę na podłogę i otarł usta wierzchem trójpalczastej dłoni. Udał drzenie.

- Nawet po tak długim czasie czuję się niepewnie. Nikt poza mną nie kieruje moim przeznaczeniem! Ale niezależnie od przyczyn, nie zmuszają nas. Musisz być tylko bardzo ostrożny. Wszystkie przeklęte demony tylko czekają, by cię zdradzić. Denas i Yallyne to najpotężniejsi i najbardziej niebezpieczni spośród Nevaiów. I do tego się kłócą, przez co są jeszcze bardziej groźni.

- A ich towarzysza... ten brodaty? Czy on jest taki sam?

- Vyx? Nie, to głupiec. Kręci się po ich dworach, udając, że coś znaczy, i psoci... Słyszałem, że to on doprowadził do kłótni Denasa i Yallyne. Ale nie potrafi przejść rozgrywki w ulyat, nie zapominając, co właśnie robi. Nie, Vyx jest nikim. To Denas tu rządzi, a ty nie chciałbyś wejść mu w drogę. Słyszałem, że ma zamiar zapanować nad wszystkimi demonami i nie zawaha się przed niczym, by dostać to, czego pragnie, ale przynajmniej da się przewidzieć, co zrobi. Ta wiedźma Yallyne jest groźniejsza. Przypomina pająka, zawsze snuje intrygi, by złapać muchę.

Wskazał na swoje oczy.

- Dalej, zobacz, co w nich widzisz. To nie jest nieuprzejmość. Znaleźliśmy się daleko od Ezzarii, a któregoś dnia być może będziesz potrzebować przyjaciela.

Zbadałem go wszystkimi zmysłami, jakie zdołałem przywołać, jak mnie o to prosił, i rzeczywiście nie znalazłem śladu demona. Mimo wszystko nie zmniejszyło to mojego niepokoju.

- Nie rozumiem, czego od nas chcą - przyznałem. - Nie jesteśmy dla nich zagrożeniem. Nie mamy broni. Nie potrafimy też czynić tyle zła, by ich nakarmić. Czemu nas po prostu nie zabijają, żeby mieć to z głowy?

Merryt uniósł kubek.

- Ano, rozwiązanie tej zagadki zajęło mi sporo czasu. Ale widzisz... my próbujemy tej bladej, żalostnej imitacji wina i wiemy, że to blada, żalostna imitacja. Oni nie potrafią tego odróżnić. Ciała, które dla siebie tworzą, twierdzą, że smak tej kiełbasy jest doskonały, ale oni mają świadomość, że to nieprawda. Doprowadza ich do szaleństwa, że my smakujemy, czujemy i poznajemy prawdę, a oni tego nie potrafią. To dlatego wysyłają Gastaiów na polowanie... żeby znaleźli prawdziwe życie i doznania, i przynieśli je z powrotem, by ich nakarmić.

Prawdziwe życie i doznania. Nigdy tak o tym nie myślałem.

- Nie szukają tylko zła.

- Nie, nie tylko zła. W tej kwestii się pomyliliśmy. Polują na wszystko, co dają zmysły... czyli całe ludzkie życie.

- Jak? - spytałem. - Jak im się to udaje?

Czułem, że znalazłem się na krawędzi jakiegoś odkrycia... gdybym tylko potrafił je rozpoznać, kiedy się na nie natknę. Przybyłem tu, by zdobywać wiedzę, tak sobie przez cały czas powtarzałem. Ale jaką wiedzę? Na jakie pytanie próbowałem znaleźć odpowiedź?

Chciałem potrząsnąć Merrytem. Sprawić, by wypowiedział słowa, które pomogą mi sobie przypomnieć. *Wszystko, co dają zmysły...*

Merryt westchnął i opróżnił kubek.

- Któregoś dnia pokażę ci, jak to robią. Ale nie ma powodu, by wylewać na ciebie wszystko na raz. Jeszcze się tego dowiesz... tego i setki innych rzeczy. Jeśli wybierzesz życie... choć nie miałbym zbyt wielkich nadziei, ponieważ nigdy nie wiesz, czy w ogóle dadzą ci ten wybór... Musisz po prostu znaleźć tu swoje miejsce. Ja nie pozwoliłem im zmusić się do żadnej głupoty i wykorzystałem efekty wieloletniego treningu, więc przeżyłem. Wynajmuje mnie Spotkanie Rudaiów... taki ich sąd... choć ich wyroki często mają tyle wspólnego ze sprawiedliwością, co wyroki cesarza Derzhich. A Nevaiowie od czasu do czasu uznają mnie za użytecznego. W szczególnych sytuacjach, chyba tak można to określić, kiedy przydają im się moje umiejętności. To nie jest złe życie. Ciekawe. Zawsze coś się dzieje. Ale powiem ci, miło jest mieć ludzkie ucho, do którego mógłbym gadać. - Wyszczrzył się i znów napełnił nasze kubki. - Nie upijesz się nim... tego również nie opanowali. Ale możemy dobrze się bawić, udając, że tak jest.

Pociągnął kolejny wielki łyk, lecz ja najpierw zadałem mu pytanie, które dręczyło mnie od chwili, gdy zaczął swoją opowieść.

- Jak długo tu jesteś, Merrycie?

Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

- O ile jestem w stanie ocenić... czyli niezbyt dokładnie... jakieś trzysta i siedemdziesiąt lat.

* *

To nasze ciała stanowiły problem, rzecz jasna. Niezgrabne, obolałe, kruche skorupy, które nosiliśmy ze sobą. Nie starzały się, gdy byliśmy zamknięci w krainie demonów i nie imaly się ich choroby, ale również uniemożliwiały ucieczkę. Przeszliśmy przez portal Aife, materialne połączenie stworzone przez nią między tym planem istnienia, a światem, który znaleźliśmy. Merryt powiedział, że jedynym sposobem na wydostanie się jest portal Aife... gdybyśmy mogli jakiś znaleźć, co nie udało mu się w ciągu ostatnich trzystu siedemdziesięciu kilku lat. Nie wspominałem swojego przerwane go snu. Pamiętałem zbyt wiele z lat niewoli, by wiedzieć, jak bardzo okalecza nadzieja ucieczki. I tak naprawdę... Merryt tak długo żył z

demonami... Niezależnie od tego, co dla mnie zrobił, czy mądrze bym postąpił, powierzając mu swój sen? Nawet mój niezbyt lotny umysł to pojmował.

- Rai-kirah z kolei - podjął Merryt - zwykle mogą podróżować, gdzie tylko zechcą. Potrzebne jest potężne zaklęcie, by utrzymać ich z dala od jakiegoś miejsca. Ruszają na pustkowie i znajdują przejście, szew, pęknięcie, które prowadzi ich do zwyczajnej duszy, a przechodzą równie łatwo jak peskarski watażka między łóżkami swoich konkubin.

A to doprowadziło go do kwestii uprawiania miłości. Zacząłem się więc, a on miał z tego wielką zabawę. Niewielu Ezzarian czuło się dobrze, omawiając publicznie prywatne sprawy, a fakt, że moje dziecinne zadurzenie jest tak widoczne, sprawił, że czułem się jeszcze bardziej głupio.

- Możesz wytrzymać przez jakiś czas, ale kiedy w końcu uwierzysz, że nie ma powrotu i już nie spotkasz ludzkiej kobiety, która podtrzyma cię na duchu, gdy będziesz leżał samotnie w ciemnościach... to nie będzie nawet takie złe. Ale ciała, które tworzą demony, właściwie tego nie czują. Muszą wejść w ciebie, żeby odebrać bodźce. I dlatego potrzebują twój imienia i zrobią wszystko, by je zdobyć.

Nie musiałem go pytać, czy to dlatego wyznał swoje imię. Nie obchodziły mnie przyczyny, ale fakt, że to zrobił. Ja miałem jedynie jego słowo, że demony nie wykorzystają go, by zdobyć moją duszę. A uprawianie miłości... w ogóle nie pozwalałem sobie o tym myśleć.

Merryt obiecał, że wróci, kiedy tylko nadarzy się okazja, stwierdzając, że z chęcią mnie oprowadzi, kiedy Yallyne przestanie mnie już tak pilnować. W tym ponurym miejscu wydawał mi się jedynym promykiem radości. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów się pojawi. Gdy wyszedł, wyciągnąłem papier do pisania - swój dziennik, tak o nim myślałem, i zabezpieczenie na wypadek, gdybym zupełnie stracił rozum. „Dzień drugi. Jak długo trwa wieczność?”. Po tej radosnej refleksji odłożyłem papier.

* *

Niedługo po odejściu Merryta w drzwiach mojej komnaty pojawił się Raddoman. Smrodliwy służący przyniósł mi wodę i niedużą misę białej masy o zapachu cebuli. Kiedy zobaczył resztki uczty Merryta, prychnął i przybrał świńską postać.

- Wygląda na to, że umiesz sam o siebie zadbać - uznał. - Nie po trzebujesz mnie.

- To nie tak - odpowiedziałem i z szacunkiem się ukloniłem, odbierając od niego

połączoną urnę i wyszczerbioną miskę, które następnie postawiłem na stole. - Gość najpewniej nie pojawi się w najbliższym czasie i nie przyniósł mi wody. Doceniam możliwość umycia się. Jestem ci bardzo wdzięczny za wszelką pomoc.

- Nie przyszedłem tu dlatego, że tego chciałem. - Ani z pewnością nie poinstrukcje, jak się myć. Bardzo starałem się nie oddychać, kiedy był w pobliżu.

- Tym bardziej powinienem ci podziękować. Niełatwo jest pomagać tym, których się tak nie lubi.

- Nie wiem, dlaczego pani cię znosi. Wiem, kim jesteś. Jesteś *pan- dye gash...* jednym z ukrytych yladdi. Tych, którzy ukradli Kir'Navarrin. I jesteś morderczym Yddrassem. Zabijaliście nas, gardziliście nami, odsyłaliście tu naszych myśliwych, zniszczonych. Czemu tu przybyłeś?

Nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

- Sam tego nie do końca rozumiem - przyznałem łagodnie. - Przybyłem tu po wiedzę.

Raddoman najwyraźniej nie był zainteresowany moją nauką. Już wyszedł i znajdował się w połowie korytarza. Wyjrzałem na zewnątrz i zawołałem za nim.

- Czy możesz mi powiedzieć, co wolno mi robić? Muszę przebywać w tej komnacie? Nikt nie wyjaśnił mi, czego oczekuje się od... gościa. Nie chciałbym naruszyć jakichś zasad.

- Gdybym to ja mógł decydować, odesłałbym cię do lochów - powiedział, zatrzymując się, by na mnie spojrzeć. Jego błękitne oczy płonęły niczym bliźniacze świece w mrocznym korytarzu. - Albo powiesiłbym to twoje paskudne ciało i pozwolił, byś zamarzł.

Grzecznie pokiwałem głową z nadzieją, że przejdzie do konkretów.

- Ale pani mówi, że możesz korzystać z tego pokoju i wszystkich rzeczy, które w nim są, i wolno ci się poruszać po jej skrzydle zamku. Nie masz prawa wchodzić do jej komnaty odpoczynku ani zabłąkać się do komnat pana Denasa. Zaboli cię, jeśli się sprzeciwisz.

- A gdzie...?

Ale Raddoman nie rzekł już nic więcej. Znikł, pozostawiając za sobą tylko smród.

Usiadłem na prowizorycznym posłaniu w szarym mroku i podciągnąłem przykrycie, by uchronić się przed zimnem. Pogryzając zostawione przez Merryta winogrona, znów próbowałem sobie przypomnieć, dlaczego przybyłem do Kir'Vagonoth. Po wiedzę, tak powiedziałem. By odnaleźć prawdę. By znaleźć schronienie, gdyż już nie wypowiadałem się w imieniu Strażników i Aife. Ponieważ dziwny demon, którego nazywali Vyx, przybywał do mnie w snach i ostrzegał mnie przed... czymś... a może ściągnął mnie do krainy demonów tylko po to, by zniszczyć ostatniego doświadczonego Strażnika. Te słowa ochroniłem podczas

przejsć z Gastaiami, ale nie miały już dla mnie sensu. Każdy chciał poznać moje tajemnice, ale moją tajemnicą było to, że nic nie wiem.

Zirytowany własną ignorancją, przysiągłem sobie, że nim minie kolejna godzina, otworzę przynajmniej jedne drzwi do przeszłości. Zniewalał mnie strach, a teraz nadszedł czas, by się od niego uwolnić. Zamknąłem oczy i pograżyłem się w myślach. *Aife. Kim jest moja Aife? To ją powinienem pamiętać najlepiej. Moja partnerka. Ta, która dla mnie tka, która wysyła mnie do walki z troską, dobrą wolą i doskonałymi zaklęciami. Czy to ona zleciła mi tę misję? Czy to ona czeka na mnie poza granicami snów?* Próbowałem przypomnieć sobie osobę na drugim końcu snu, ale pojawiło się tylko zamieszanie. Wiele twarzy. Smutek... oddalenie... nieufność... niechęć. Połączenie nie miało sensu. Każda myśl o Aife była niczym sztylet wbijający się w moje serce, dręczyło mnie echo własnych słów. „Już nie wypowiadam się w imieniu Aife. Proszę o azyl”. Bardzo się bałem, że moje miejsce jest w Kir'Vagonoth.

Z wysiłku głowa mi pękała. Przycisnąłem dłonie do oczu, jakbym mógł w ten sposób zmusić kryjący się za nimi umysł do większego wysiłku. Zagubiony na ścieżkach ciemności nie słyszałem, jak do komnaty wchodzi gość. Jej obecność uświadomiłem sobie dopiero, kiedy położyła chłodne dłonie na mojej rozpalonej głowie.

- W jakiej bitwie walczysz, Wygnańcze?

Delikatnymi palcami odsunęła moje dłonie i głaskaniem skłoniła mnie do uniesienia powiek. Jej twarz znajdowała się o dłoń od mojej... przezroczysta kość słoniowa, ozdobiona najdelikatniejszym z rumieńców. Jej ludzka twarz nie była tak doskonała, jak świetlista twarz demona, lecz barwa policzka wystarczyła, bym zapomniał o marnym postępie, jaki udało mi się osiągnąć.

- Nie wiem - przyznałem, unosząc drżący palec do jej warg, jak to pragnąłem zrobić od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem. Pozwoliła mi to zrobić, jak również przeciągnąć drugą ręką wzdłuż jej szyi. Gdybym miał choć resztki rozsądku, w tej chwili by mnie opuściły. Byłem zaskoczony samym sobą... taka intymność z kobietą, której właściwie nie znałem... z demonem. - Nie pamiętam.

- To nie próbuj się dowiedzieć - powiedziała. - Myśl tylko o tym, co dzieje się teraz. A ja teraz chcę, byś przespacerował się ze mną po ogrodzie.

- Jak sobie życzysz, pani. - W porównaniu z muzyką jej słów mój głos brzmiał szorstko.

Wzięła mnie za ramię i podniosła, po czym dała mi czarny wełniany płaszcz, który jej sługa mi odebrał, gdy zostałem pozostawiony z psami. Mignęło zaklęcie, i oto ona odziana była w białe futro, a oboje staliśmy na krawędzi lodowego ogrodu.

- Czyż to nie cudowne? - spytała, prowadząc mnie białą zwirową ścieżką między parą rozłożystych dębów porośniętych lodowymi liśćmi.

- Wspaniale - odparłem. - Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego. - Choć niebo przesłaniały czarne, szare i sine chmury, a wiatr groził, że porwie nasze płaszcze, piękności w ogrodzie świeciły własnym blaskiem i pozostawały nietknięte.

- Kształtujący pracowali nad nim przez dłuższy czas - powiedziała. - Nie ma sensu wiecznie czekać na powrót. Z tego, co mamy, musimy wycisnąć jak najwięcej. Popatrz, to gamarand.

Pociągnęła mnie do drzewa z dwoma żółtymi pniami, owiniętymi wokół siebie w niekończącym się uścisku. Jego łukowate pędy były ciężkie od okrągłych różowych kwiatów spoczywających na bladzielonych liściach. Wyobraziłem sobie chwałę tego drzewa, tłumacząc blade odcienie na prawdziwe barwy życia, jakie nadal tkwiły w mojej głowie. Choć byłem pewien, że nic takiego nie rosło na moich ojczystych ziemiach, kształt i barwy były tak znajome, że wpatrywałem się w drzewo, choć Yallyne zaczęła mnie już odciągać.

- Chodź! Jest tu tego o wiele więcej. Powiedziałam im, że chcę, żeby wszystko było tak, jak w Kir'Navarrin, a gdyby zapomnieli, stworzę iluzję, by im przypomnieć. Zrobiłam to z psami, a potem nie mogłam ich zostawić, choć te tutaj są o wiele doskonalsze.

- Czym jest Kir'Navarrin? - Raddoman wypowiedział to samo słowo.

- Nie wiesz? Jesteś z Kir'Zarra... *pandyegash*. - Zmarszczyła czoło, zaskoczona. - Jaki złodziej zapomina o tym, co ukradł?

- Zapomniałem bardzo wiele, ale to... nie sądzę, bym kiedykolwiek o tym wiedział.

- Kir'Navarrin to ziemie, po których chodziliśmy, zanim *pandyegash* nas z nich wygnali.

Pandyegash - ukryci wojownicy - tak demony nazywały Ezzarian. Czyli Kir'Navarrin to musi być ich określenie na ziemie, które tkąła Aife, dusze ludzi, których nie pozwalaliśmy im zatrzymać.

- Proszę, opowiedz mi o tym, pani. Pragnę zrozumieć.

- Nie teraz. Pozwól, że najpierw pokażę ci to. Tutaj, widzisz? - Zabrała mnie do wyrzeźbionej grupki psów, bawiących się na łące lodowych kwiatów. Rozpoznałem w niej portret moich towarzyszy i rzeczywiście było tak, jak mówiła. Wyrzeźbione w lodzie zwierzęta były wspaniale ukształtowane, doskonałe w każdym szczególe, podczas gdy ożywione iluzje na podwórku nie. Ale ani iluzje, ani rzeźby nie żyły naprawdę.

Znów powiodła mnie po ścieżce, przez altanki oplecione winoroślą, ciężką od owoców, przez trawniki o barwie najdelikatniejszej zieleni, otoczone rabatami bladych

kwiatów. Stanęliśmy na delikatnym mostku, wpatrując się w sadzawkę, na której łabędzie z szeroko rozłożonymi skrzydłami pozostały na zawsze w chwili opadania na nieruchomą wodę. Zagajniki białych brzoź, ich jesienne liście bladożółte na tle bladych czerwieni i złota innych drzew, a gałęzie zgięte przez niewyczuwalny wietrzyk. Nieskończona różnorodność drzew, mchów i kamienistych sadzawek. Wszystko stworzone z lodu. Wszystko nieruchome i milczące pod ponurym sklepieniem chmur. Gdy Yallyne oparła się o wykutą z brązu balustradę, by wskazać na wspaniały dąb, tak szeroki, że rodzina Prymów mogłaby wydrążyć jego pień i w nim zamieszkać, ja owinąłem się ciaśniej płaszczem i zadrzałem.

- Cóż cię martwi, Wygnańcze? Myślałam, że podoba ci się mój ogród.

- Nie zmienia się, pani, i jest w nim tak bardzo zimno. To jego jedyne wady.

- Takie jest nasze życie. - Położyła chłodną dłoń na moim poblżnionym policzku, swoim zielonym spojrzeniem zaglądając mi w duszę. - Ja też się nie zmieniam.

- Ale u ciebie... to nie jest wada - zapewniłem, pochyliłem się i pocałowałem ją. Jej wargi były zimne, nie poruszyła się, tylko patrzyła na mnie bez wyrazu, gdy się odsuwałem. Potem wzięła mnie za rękę i po prowadziła inną ścieżką.

Przeszliśmy cały ogród. Yallyne nie powiedziała nic o tym, co zrobiliśmy, ale ja oczywiście nie przestawałem o tym myśleć. Gdy podziwiałem jej drzewa i kwiaty, fontanny i rzeźby, moje ciało płonęło ogniem, grożąc, że stopi lodowe postaci żarem wstydu, strachu, gniewu i smutku. Wstyd, strach i gniew łatwo dało się wyjaśnić. Była demonem. Jak mogłem odrzucić ostrożność? Ile mi odebrano i jak nisko upadłem, że zwiodła mnie piękna twarz i miłe słowo od tej, od której, jak powinienem zakładać, pochodzi tylko zło? Doskonale wiedziała, co zrobić i jak ona zareaguje - a nie lubiłem, gdy się mną bawiono. Ale smutek był najbardziej skomplikowany i najbardziej niepokojący. Nie mogłem nie żałować Yallyne - widzieć takie wspaniałe światło pozbawione ciepła. Aż do bólu pragnąłem dać jej z siebie coś, co obudziłoby w jej twarzy takie samo zadziwienie jak opowieści. To szaleństwo. Była moim wrogiem.

Urzekła mnie. Wiedziałem to równie dobrze, jak znałem swoje imię, i z każdym oddechem powtarzałem sobie, że mam się strzec. Jednak gdy pani po wycieczce do ogrodu nakazała mi, bym poszedł za nią i czytał dla niej w bibliotece, podążyłem tam jak oglupiały chłopak. Wybrałem księgę derzhyjskich legend i podczas gdy ona spoczęła na poduszkach pod kryształową lampą, ja usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na gołej podłodze, ująłem książkę w drżące ręce i zatopiłem się w słowach. Derzhi byli ludem wojowników, lecz stworzyli wiele szalonych i romantycznych opowieści. Podczas lektury nie ważyłem się spoglądać na Yallyne. Raz wystarczył, by ujrzeć jej rozchylone wargi i błyszczące oczy.

Wszystkie moje wątpliwości i obawy znikły, utracone wspomnienia straciły znaczenie. Wiedziałem, że jeśli zostanę przy niej, zaprowadzi mnie dalej na drodze do szaleństwa niż Gastaowie.

Rozdział 26

Zacząłem przyzwyczajać się do życia w Kir'Vagonoth. Kilka godzin każdego dnia spędzałem czytając Yallyne i różnym grupom jej przyjaciół. Przez większość czasu inne demony były równie zauroczone moim głosem jak Yallyne. Zastanawiałem się nad tym, co Merryt powiedział mi o winie i uprawianiu miłości, i zacząłem sądzić, że z książkami jest tak samo. Demony potrafiły odczytać każde słowo na kartce, ale to ludzki głos był konieczny, by ze słów zbudować opowieść.

Kiedy nie zajmowałem się lekturą, dotrzymywałem Yallyne towarzystwa. Grałem z nią w gry - różne odmiany ulyatu, warcabów, wojowników i zamków - spacerowałem z nią po ogrodzie albo siedziałem i słuchałem, jak gra na małej harfie - straszne, zgrzytliwe melodie, zupełnie nieprzypominające słodczy jej głosu i śmiechu. Kazała mi śpiewać, lecz wkrótce zgodziła się z zapomnianym krytykiem, który kiedyś uznał mnie za nieodpowiedniego do tej sztuki.

- Twój głos jej bogaty i pełen melodii - powiedziała. - Wystarczyłby. Tylko nuty ci nie wychodzą.

Skłoniła mnie do śmiechu, a ja każdą godzinę uznawałem za sukces, jeśli udało mi się to samo z nią. Rozmawialiśmy o książkach, które czytałem, opowiadałem jej o zwierzętach, drzewach, ziemiach i ludach mojego świata. Nigdy nie pytała mnie o moje życie, przyjaciół czy rodzinę. I dobrze, gdyż o tym właśnie nie zdołałbym jej nic opowiedzieć. Zacząłem biegać przez pałacowe korytarze, a ona zakładała krótkie spodnie i nogawice i truchtała obok mnie. Nigdy się nie męczyła, nigdy nie dostawała zadyszki, a zawsze pragnęła się dowiedzieć, co tak mnie cieszy w tym wysiłku.

Moje badania - nieukierunkowana ciekawość odnosząca się do życia demonów i prawdy o nich, gdyż tylko tyle pojmowałem ze swoich celów - nie zaszły daleko. Nigdy mnie nikomu nie przedstawiono, nigdy nie mogłem swobodnie przebywać wśród przyjaciół Yallyne, a żaden z nich nie podszedł do mojego stołka, by ze mną porozmawiać. Ale z przyjemnością dowiadywałem się, które pasmo barwnego światła się pojawiło i który z gośsi - Denasa właśnie przybył.

Złocisto-brązowy, poszarpany na krawędziach, to Seffyd, demon, który żył dla gry i dlatego zwykle nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na swój kształt. Zapominał o włosach, uszach albo połowie ubrań. Powoli zmieniająca się, niebiesko-biała postać to Kaffeda, energiczna, beczasowa kobieta o delikatnych, pełnych humoru rysach, która pobłażała Seffydowi, jednocześnie delikatnie nakłaniając go, by stworzył sobie spodnie. Tovall, której światło miało odcień głębokiego fioletu, nosiła skórę ciemniejszą niż Thridowie. Z jej długich małżowin usznych wyrastały włosy, lecz na błyszczącej hebanowej głowie nie było ich wcale. Od jej grzmiącego śmiechu drżały świece, a był on tak zaraźliwy, że nawet zimne gwiazdy - gdyby jakieś znajdowały się nad wzburzonymi chmurami Kir' Vagonoth - śmiałyby się wraz z nią.

Gennod pojawiał się jako mężczyzna w średnim wieku - blade brwi i rzęsy nad zimnymi oczami, długi, prosty nos i kwadratowa szczęka, które czyniłyby go niezwykle przystojnym, gdyby kiedykolwiek się uśmiechał. Jego ciemnoczerwone światło pulsowało mocą, od której aż się krzywiłem, a on sam ciągle szeptał z innymi rai-kirah. Słuchał, jak czytam, lecz oczekiwanie w jego wzroku świadczyło, że raczej zbiera informacje, niż czerpie przyjemność z lektury. Kiedy goście zabierali się za tańce lub gry, Gennod grzecznie się żegnał.

Denkkar błyszczał jasnożółto, odpowiednio dla kogoś, kto wnosił tyle światła do spotkań. Pracował z kształtującymi Rudaiami i czerpał wielką radość z pokazywania nam ich najnowszych tworów. Jeśli zaś chodzi o jego kształt, za każdym razem był odrobinę inny... czasem mężczyzna, czasem kobieta, czasem ptak lub zwierzę... aż nadchodził czas na tańce. Wtedy przyjmował postać wysokiego, szczupłego pana w wieku około sześćdziesięciu lat, i zaczynał wirować, kroczyć i kłaniać się z godnością i wdziękiem, a cała jego istota pulsowała żółtą radością.

Dwudziestu innych poznałem z widzenia. Wielu z nich z radością zaliczyłbym do przyjaciół, inni przerażali mnie swoją mocą i gniewem migoczącym pod ich zadziwiającym pięknem. Niezależnie od tego, jaką przybrali postać, wszyscy wydawali mi się cudownie piękni - istoty ukształtowane z żywego światła, czystych namiętności i uczuć nietłumionych przez ciało.

Choć nigdy nie słyszałem, by Yallyne i Denas wymienili między sobą choć jedno słowo, które nie było złośliwością, szyderstwem lub obelgą, władca demonów zjawiał się na wielu ze spotkań pani. W końcu mieszkaliśmy w jego zamku, choć nikt mi nie wyjaśnił, dlaczego Yallyne rządziła w jego sporej części, mimo że kłóciła się z Denasem tak zażarcie. Być może przeprowadzka sprawiłaby jej zbyt wiele kłopotów - a może po prostu nie miała

dokąd pójść. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mieszka w długim, niskim budynku, w którym Merryt miał swoją kryjówkę. A miasto na horyzoncie było ciemne. Yallyne nie pasowała do ciemności. Zakładałem, że musi istnieć więcej rezydencji takich jak ta, w której przebywaliśmy, lecz rozmowy o przybywaniu i od chodzeniu nie były na tyle jasne, bym zyskał co do tego pewność.

Jeśli chodzi o samego Denasa, przystojny demon był wiecznie zły, jego ponura wściekłość kryła się w cieniach, nawet jeśli właśnie śmiał się z czyjegoś żartu albo rozprawiał o czymś poważnie. Kiedy Yallyne rozkazywała mi czytać, Denas rzucał to, co właśnie robił, i długimi krokami opuszczał komnatę, a wraz z nim dwa lub trzy inne demony.

Vyx był zagadką, której nadal nie potrafiłem rozwiązać. Żadne spotkanie nie mogło się obyć bez jego fioletowej, niebieskiej i wirującej szarozielonej postaci. Gadał bez końca, przewracał stoliki do gier, opowiadał dowcipne historie, zupełnie dla mnie niezrozumiałe, wypijał nie kończące się dzbany wina i uchylał się przed niejednym ciosem rozzłoszczonego demona. Nigdy się do mnie nie odzywał, wydawało się też, że nie słucha, jak czytam, choć w przeciwieństwie do Denasa pozostawał w komnacie. Kiedy tylko podnosiłem wzrok znad książki, spostrzegałem, iż ze wszystkich zebranych on bardziej obserwował, niż słuchał. Nie potrafiłem jednak ocenić po wyrazie jego twarzy, o czym myśli. Jego oczy zbytnio mnie rozpraszały. Nie ukrywał błękitnego ognia jak większość demonów, lecz pozwalał, by płonął niczym pochodnie przed bramą do jego wnętrza.

Merryta nie widywałem zbyt często. Nie brał udziału w spotkaniach Yallyne ani żadnych innych rozrywkach, których byłem świadkiem. Dowiedziałem się, że przynosi wiadomości dla Gennoda, i raz zobaczyłem, jak opuszcza komnaty czerwonego demona, gdy posłano mnie, bym zwrócił książkę, którą Yallyne od Gennoda pożyczyła. Od czasu do czasu widywałem, jak idzie korytarzami utykając. Kiwał mi głową lub machał ręką, po czym ruszał dalej.

- Czy Merryt kiedykolwiek czytał dla twoich przyjaciół tak jak ja? - spytałem raz Yallyne po tym, jak ujrzałem Ezzarianina kulącego się w kącie, gdy przechodziliśmy.

- Był czas, gdy zatrudniałam go w taki sposób - powiedziała. - Ale nie był do tego odpowiedni. Nie chcę go widzieć w swoich komnatach.

- Zatrzymała się i spojrzała na mnie z namysłem, jakby nigdy nie przyszło jej na myśl, że może mnie interesować jedyny człowiek w królestwie demonów poza mną. - On wybrał inne ścieżki, Wygnańcze. Jest z twojego rodzaju... ale nie jest taki jak ty. Nigdy tak nie myśl. Trzymaj się od niego z dala.

Zmieniła temat, a ja, jak to ostatnio miałem w zwyczaju, pozwoliłem, by poprowadziła mnie tam, gdzie chciała.

* *

Pewnego ranka oznajmiono mi, że Yallyne jest zajęta i nie będzie mnie potrzebować przed upływem trzech godzin. Zmyślni kształtujący Rudaiowie rozwiązali problem bezsłonecznych dni i bezgwiezdnych nocy. Pośrodku wspaniałego holu wejściowego w zamku Denasa znajdowało się naczynie w kształcie ula, wypełnione wodą. Naczynie miało na zewnątrz znaki, a na dnie nieduży otwór, przez który woda wydostawała się do fontanny. Yallyne powiedziała mi, że każdy znak oznacza upływającą godzinę, choć nie wiedzieli którą i czy dnia, czy nocy.

Po tym, jak się umyłem, ubrałem i sprawdziłem czas - i zgałęm się za uczucie rozczarowania, iż zostałem przez nią na jakiś czas porzucony - postanowiłem skierować się do biblioteki, by znaleźć zapas opowieści. Nie lubiłem dokonywać szybkiego i ryzykownego wyboru za każdym razem, gdy miała kaprys coś usłyszeć.

Lampy w bibliotece nie zostały zapalone, co oznaczało, że szary blask sufitów, kolumn i paru mezzitów gołych ścian był jedynym światłem. Żałowałem, że nie zapytałem Merryta, jak w tym miejscu skrzesać ogień. Jeśli chciał mojego zaufania, powinien mi zapewnić jakieś naprawdę użyteczne informacje. Wspiąłem się na trzecią galerię, gdzie wcześniej znalazłem książki w aseolu, i spędziłem kilka godzin siedząc na podłodze i wyjmując jeden tom po drugim, sprawdzając kartki i szukając opowieści. Więcej niż jedna czwarta zawierała czyste stronicie - nawet te, które wyglądały na zużyte - a wiele z ilustracji zupełnie nie pasowało. W niektórych litery były tak małe, że nie mogłem ich odczytać w słabym świetle. Ale najważniejsze objawienie tego dnia nie pochodziło z ksiąg.

- ...tutaj. Nikogo tu nie ma. Usłyszemy, gdy ktoś będzie nadchodził - mówił do kogoś Denas, wchodząc z nim przez drzwi na dole schodów po drugiej stronie. Przyćmione, złociste światło kapało bibliotekę w blasku, jakiego nie zdołałaby uzyskać żadna świeca, lampa albo ogień w kominku. Denas nigdy nie przybierał cielesnej postaci. Być może wiedział, że to tylko tłumy moc jego obecności.

- Nie chcę mieć z twoim planem nic wspólnego. Za późno, by zmieniać przywódców. Rhadit jest słaby, ale wie, co trzeba zrobić, a my nie możemy sobie pozwolić na żadne opóźnienia. - Drugi głos nie brzmiał znajomo, nie znałem też chorobliwie zielonego światła,

migoczącego na suficie obok złocistego blasku Denasa.

- Nie będzie opóźnień - odparł Denas. - Postawiliśmy wszystko na jedną kartę, Kir'Navarrin nas oczekuje. Rudaiowie mówią, że wkrótce dotrą do nich hordy yladów, czekając na nasze przybycie. Okazja nadarzy się niezależnie od tego, czy znajdziesz się pod moim sztandarem, czy Rhadita. Lepiej, aby to był mój.

Ton tej rozmowy od razu sugerował, że mam kłopoty. Spisek charakteryzuje specyficzny sposób mówienia, a podsłuchiwanie niezbyt do niego pasuje. Niestety, nie było już odwrotu, więc wsunąłem się głębiej w cień.

- Lepiej być z tym, kto posiada klucz i otwiera drogę. Przekaż Yddrassa Rhaditowi, jak tego chce, a Rhadit zmusi tego robaka, by połączył się z jednym z nas. Jeśli zdołasz powstrzymać nasz chciwy gatunek przed rozniesieniem spisku od wewnątrz, wykorzystamy tego ylada, jak tylko będziemy chcieli.

- A jak zamierzasz go wyciągnąć? - spytał Denas. - Czy ktokolwiek z trwających w bezmyślnym uporze, by wykorzystać tego przekłętą ylada, wpadł na pomysł, jak wyciągnąć tego człowieka z Kir'Vagonoth? Moglibyśmy stworzyć własne przejście do świata ludzi i znaleźć kogoś innego.

- Gastaiowie twierdzą, że Yddrass zna drogę. Jeśli rzeczywiście przybył tu z własnej woli, ma to sens. A kiedy zdobędziemy nad nim kontrolę, my też ją poznamy. Musimy go wykorzystać, Denasie. Jest najpotężniejszy z nich. Gennod wie na pewno, że zdoła otworzyć Kir'Navarrin. Wtedy znów będziemy panami własnego losu.

- Moje cele są takie same jak twoje. Lecz reszta *pandye gash* stoi nam na drodze. Rhadit nie docenia przeciwnika.

- Pozostało im zaledwie kilku wojowników... a ci, jak słyszałem, są słabi i niedoświadczeni. A ponieważ ten wpadł w nasze ręce...

Złociste światło przesunęło się po ukrytym w cieniu suficie.

- Skoro Rhadit sądzi, że to był przypadek... albo że ten Yddrass przybył tu w pokoju lub, jak sam twierdzi, szukając schronienia... jest tak samo szalony jak ci w lochach. Ten ylad posiada moce, których nie widzieliśmy u nikogo innego. Najpewniej powie swoim pobratymcom wszystko, czego się o nas dowiedział. *Pandye gash* chcą zepchnąć nas znowu w mroczne czasy. Nie dopuszczę do tego.

- Tym bardziej powinniśmy go wykorzystać. Jeśli będzie trzeba, sam go zmuszę. - Współspiskowiec Denasa nie mówił jak ktoś, kogo miałem okazję spotkać. - Nesfarro twierdzi, że chce się poświęcić dla sprawy. Kryddon byłby jeszcze lepszy. Ma więcej rozumu, o ile nie siły Nesfarra. Słyszałem plotki, że zrobi to Gennod. Wyobraź sobie, Denasie, jeden

spośród nas! Dzięki Nevaiowi i yladowi o takiej mocy odniesiemy pewny sukces. Rhadit go faworyzuje... niektórzy mówią nawet, że to Gennod kieruje Rhaditem... zatem być może Gennod nie przyłączy się do ciebie aż tak chętnie.

Próbowałem wtopić się w mrok. Z mojej kryjówki nie mogłem dostrzec, kim jest drugi demon, ale żadna siła we wszechświecie nie zdołałaby mnie skłonić, bym się stąd ruszył. Widziałem tylko Denasa pod ozdobioną pnączami kolumną - ciemny huragan wciąż kryjący się za migoczącym, złocistym światłem.

- Nieważne, którego ylada wykorzystamy; wielu z tych przeklętych *pandye gash* ma dość mocy. Nieważne, którzy z nas się dołączą. Gdy droga do Kir'Navarrin stanie otworem, zabiję tę wypaczoną istotę, bez względu na to, czy będzie to Gennod, ty, czy ktokolwiek inny. Liczy się wyłącznie to, kto obejmie przywództwo. Mamy tylko jedną szansę i nie chcę jej stracić przez słabość lub niekompetencję.

- Denasie, mroczne czasy to nic w porównaniu z tym, co się z nami stanie, jeśli czegoś szybko nie zrobimy. Niedawno musieliśmy siłą wysłać do lochów następną grupę. Niszczyli swoich nosicieli, nim cokolwiek od nich wzięli. Musimy działać szybko... daj zatem Rhaditowi tego więźnia albo zdepcz gada. Zniszczył Naghidę. Nie chcemy, by którykolwiek z yladów z taką mocą krył się za naszymi plecami.

- Z chęcią cisnąłbym go z powrotem w otchłań - powiedział złocisty lord - lecz Yallyne go nie odda. Raczej ruszy polować z bestiami, niż zrobi mi tę przysługę i choć na krok zejdzie mi z drogi.

- Dlaczego akurat teraz musiałeś się pokłócić ze swoją panią!

- W końcu to moja gra, nie Rhadita. Rhadit i tak już nie żyje, jak każdy, kto sądzi, że zdoła zająć należne mi miejsce. We właściwym czasie mój zabójca się o to postara.

- Na Bezimiennego, Denasie! Jesteś bardziej zdeterminowany, niż myślałem.

- Będę wodzem. Ja i tylko ja.

- Chodźmy, porozmawiajmy z innymi...

Ucichły pospieszne kroki, zgasło złote i zielone światło, znów pograżając bibliotekę w ponurej szarości. Długo leżałem rozciągnięty na podłodze, a kiedy zebrałem się wreszcie na odwagę, by zejść po schodach, to nawet kayeet nie gnał szybciej do pustynnej nory, niż ja pędziłem do swego pokoju. Mówili o Strażnikach. O Ezzarianach. Bali się nas, i to było dobre. Bali się mnie, co nie było już tak dobre, zwłaszcza że wiedziałem, iż mają ku temu niejaki powody. Czego te demony ode mnie chciały? Wyciągnąłem swoją kartę z notatkami i pod „Dniem dwunastym” zapisałem: „Uwaga na Denasa. Co to jest Kir'Navarrin?”.

* *

Denas pozostawał drażniącą zagadką. Nie powiedziano mi, dlaczego wyciągnął mnie z lochów albo pozwolił na to Merrytowi. Wydawało się to dziwne, zwłaszcza że głośno żałował, iż mnie nie zabił albo nie odesłał do szalonych Gastaiów. Mimo to żywiłem dla niego odrobinę wdzięczności, gdyby kiedykolwiek postanowił przyjąć ją od człowieka.

Ze wszystkich demonów tylko Denas potrafił wyprowadzić Yallyne z równowagi. Pewnego dnia, gdy szczególnie ją rozzłościł - rzekomo wykorzystując jej służących do własnych działań - Yallyne kazała mi podążyć za sobą na duże, puste podwórze pośrodku zamku, oświetloną pochodniami arenę ćwiczeń, gdzie Denas i inni Nevaiowie ćwiczyli umiejętności walki. Obserwowaliśmy z trybun, jak demony walczą ze sobą pod postaciami różnych zwierząt w tak zażarty sposób, że aż mnie zemdliło - zwłaszcza że złapałem się na tym, iż przyglądam im się krytycznie i myślę o bardziej skutecznych sposobach ataku. Podczas walki nie ginęli. Zwycięzcy po prostu zmieniali kształt i odchodzili. Yallyne powiedziała mi, że ci najbardziej uszkodzeni nie zdołają stworzyć sobie ciała, póki w pełni nie odzyskają sił.

Denas szybko kończył z każdym przeciwnikiem, prezentując wyjątkową siłę i wytrzymałość, a także doskonałe umiejętności tworzenia ze swojego ciała bestii. Rzadko widziałem tak pełne oddanie zniszczeniu.

Mogłem jedynie porównywać jego waleczność ze swoją - co było dość niepokojące. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał sprawdzać się w bezpośrednim z nim starciu. Zastanawiałem się, czy nie jest to przypadkiem główny cel mojej obecności, gdyż Yallyne zdecydowanie nie podobało się to, co oglądała. Kiedy opuściliśmy arenę, spytałem ją, dlaczego w ogóle tam przyszliśmy.

- Denasa denerwuje, kiedy się temu przyglądam - wyjaśniła. - A twoja obecność sprawia, że zemsta staje się jeszcze słodsza. On nie znosi przyjmować materialnego ciała jakiegokolwiek rodzaju, a przed obliczem Yddrassa... Wolałby raczej spędzić resztę istnienia z Gastaiami.

- To dlaczego to robi? - spytałem. - I jaką czerpie przyjemność z czynienia czegoś, czego nie lubi, tylko po to, by drażnić kogoś, kto i tak psuje mu humor? - Mnie wściekłość Denasa bardzo niepokoiła.

- Nasze istnienie zależy od umiejętności walki - odparła. - A ci, którzy walczą za nas, zaczynają popadać w szaleństwo. Wkrótce, jeśli temu nie zaradzimy, wszyscy będziemy musieli wyruszać na polowania. Trzeba przyznać Denasowi, że nie żąda od innych niczego,

czego sam by nie zrobił. - Obejrzała się przez ramię, by popatrzeć, jak Denas w postaci niedźwiedzia rozszarpuje olbrzymiego kota o stalowych szponach. - A jeśli chodzi o moją przyjemność... Denas postanowił postępować wedle własnej woli, zupełnie się mną nie przejmując. I dlatego czerpię radość tam, gdzie mogę ją znaleźć.

Próbowałem zadać więcej pytań, ale odmówiła odpowiedzi, a ja wkrótce o nich zapomniałem.

* *

W Kir'Vagonoth nic nie było proste. Nic nie było takie, jak się wydawało, a związek mojej pani z władcą demonów nie należał do wyjątków. Kilka dni po naszej wyprawie na arenę Yallyne zebrała małą grupkę demonów w bogato urządzonej salonie blisko mojej komnaty. Krąg wysokich świec wypełniał pomieszczenie dymnym aromatem jesiennego wypalania traw, a goście i ja siedzieliśmy na jedwabnych poduszkach wewnątrz kręgu. Właśnie zaczynałem drugą opowieść ze swojej książki, kiedy ktoś wpadł przez odległe drzwi i zawołał z cienia:

- Tej godziny uczta, Yallyne!

- Denas! - Yallyne zerwała się na równe nogi, dziwnie zaniepokojona. - Mówiłam ci, że mam gości. - Czwórka demonów, które spoczywały na poduszkach Yallyne, zamruczała coś do siebie, uniosła brwi i szybko znikła. Podniosłem się, zaciekawiony i jak zawsze gotów wypełnić polecenia swojej pani.

- Zapomnij o tym szaleństwie i chodź ze mną. - Złocisty demon pojawił się w moim polu widzenia tuż za kręgiem świec.

- Mam odpowiednie towarzystwo, panie. - Yallyne otoczyła mnie ramieniem.

Być może to moje własne doświadczenia z panią pozwoliły mi rozpoznać pragnienie w zaproszeniu Denasa. I dlatego też częściowo pojmowałem wściekłość, jaka pojawiła się na jego szerokiej twarzy, gdy mnie zobaczył. Najwyraźniej się tego nie spodziewał.

- Odeślij go - rzucił. Żaden zimowy przymrozek nie był bardziej nagły i bardziej dojmujący niż ta zmiana z ciepłego zaproszenia do zimnego rozkazu.

- Idzie ze mną.

- To nie jest miejsce dla niego.

Yallyne nie poruszyła się i w tej chwili ciszy wyczułem taką walkę woli, że myślałem, iż zadrzą od niej płomienie świec.

- On z własnego wyboru związał swój los z nami, Denasie. I jest twoim gyosem. Gdzie ma być twój gość, jeśli nie z nami?

- Ze swoimi. W Kir'Zarra, gdzie widać słońce, deszcz i drzewa, które poruszają się na wietrze. Nie tutaj. Nie tej nocy. Zabiję go, jeśli zobaczę go w pobliżu uczty.

- Jest mój...

- Zabiję go, Yallyne. Nie przyprowadzaj go. - Denas obrócił się i znikł, a podmuch powietrza wywołany jego przejściem zgasił świece.

- Mój pan jest dziś drażliwy - powiedziała Yallyne, z westchnieniem puszczając swoją rękę. - Choć nie obchodzą mnie jego przyjemności i sądzę, że nadszedł czas, byś zaczął dzielić nasze życie, nie pozwolę, by doprowadziło cię to do śmierci. Może lepiej będzie, jeśli udasz się do swojej komnaty. I, Wygnańcze...

- Tak, pani?

- Pozostań tam, aż przyjdzie po ciebie Raddoman. Rozkazuję ci. Jeśli będziesz nieposłuszny, zostaniesz ukarany.

- Nie zrobię nic, co mogłoby cię zmartwić, pani.

Położyła chłodną dłoń na moim policzku i przeciągnęła nią po mojej twarzy ze smutkiem bardzo różnym się od jej zwykłej radości.

- Wcale nie jesteś taki, jak się spodziewałam, Wygnańcze.

Jej materialne ciało znikło, pozostawiając jedynie srebrzysty blask.

- Ani ty, pani. - Złożyłem głęboki ukłon, przez co mój płaszcz przeniknął jej migoczący kształt, i ułożyłem swoją dłoń pod obrazem jej dłoni. Pochyliłem głowę w stronę jej ręki i westchnąłem z niejaką przesadą. - Jakiż mężczyzna może być szczęśliwy, całując własną dłoń lub składając swoje serce u stóp błyskawicy?

Roześmiała się wesoło, a ja powróciłem do swoich komnat, planując się sycić tym dźwiękiem, aż zasnę.

Nim zdążyłem pograżyć się we śnie, ktoś wsunął się cicho do komnaty. Kuliłem się bez ruchu w kącie, czekając, by zdradzieckie demoniczne światło wyjawilo tożsamość mojego gościa. Jednak zamiast światła pojawiła się przysadzista postać otoczona cieniem, która skradała się wśród stłoczonych mebli. Merryt.

- Nie śpisz, bracie?

- Ano nie - odparłem. - Przynajmniej częściowo. I cieszę się z towarzystwa. - Radował mnie widok kogoś, kto nie zniknął z pola widzenia, kiedy byłem w pobliżu.

- To nie jest towarzyska wizyta - przyznał. Kucnął przy moim posłaniu i nerwowo obejrzał się przez ramię. - Pomyślałem, że zabiorę cię na krótką wycieczkę. Zobaczymy,

wobec kogo jesteś lojalny. Zobaczymy, czy chcesz poznać prawdę o demonach.

- Prawda... Tak, przybyłem tu po prawdę, ale...

- Karmią się w czarnym sercu tej sterty lodu. Nie oszukują. Nie udają, że są krewnymi ludzi. Jeśli szukasz prawdy, tam ją znajdziesz. Musimy być szybcy i cisi.

Wśród echa śmiechu Yallyne krył się też jej bardzo poważny rozkaz. „Pozostań tam, aż przyjdzie po ciebie Raddoman...”. Uciekłem przed spojrzeniem Merryta i wpatrzyłem się w dłonie, które drżały niczym złodziej rzucony na ziemię przed obliczem cesarza Derzhich.

- Nie mogę.

- Nie możesz? - Potężny mężczyzna zatrzymał się na chwilę. - Ach, rozumiem. - Podniósł się i ruszył w stronę drzwi. - Słyszałem, że trzyma cię na krótkiej smyczy, chwając się tobą przed Denasem, aż on dostaje od tego szału. Ale nigdy się nie spodziewałem, że będziesz bezwolnym niewolnikiem. Najwyraźniej opowieści Gastaiów na twój temat były przesadzone.

- Rozkazano mi - mruknąłem. Ale jego już nie było.

Rozkazano. Moje własne słowa uderzyły mnie mocniej niż podejrzenie Merryta o tchórzostwo. Pozostać w komnacie poleciła mi kobieta demon, która więziła mnie swoim pięknem i śmiechem. Niezależnie od tego, co leżało poza granicami mojej uszkodzonej pamięci, na pewno nie przybyłem do tej krainy w poszukiwaniu kochanki. Byłem Strażnikiem Ezzarii. Ignorując mdłości, które towarzyszyły tej decyzji, zerwałem się i pobiegłem za Merrytem.

- Masz rację - wyrzuciłem z siebie, gdy dogoniłem go w ponurym przejściu.

Odwrócił się z uniesionymi pięściami, a na widok mojego nerwowego drżenia wybuchnął śmiechem.

- Czyli jesteś gotów zaryzykować klótnią kochanków, by zobaczyć jej prawdziwą twarz, co? Ostrzegam cię. Być może niesie to ze sobą dużo większe niebezpieczeństwo. Raz złapano mnie na obserwacji uczty demonów... - Uniósł okaleczone dłonie. - Nadal tego chcesz, Wygnańcze?

- Przybyłem tu, by się uczyć. Naucz mnie. - Moje słowa świadczyły o odwadze i zdecydowaniu. Nic bardziej mylnego. Byłem przerażony.

Merryt gestem kazał mi podążać za sobą, cicho i ostrożnie. Przekradaliśmy się przez zimny, szary labirynt korytarzy niczym zamkowe myszy, zatrzymując się na każdym zakręcie, przekradając się obok drzwi, kryjąc przy każdym hałasie. W pobliżu nie było nikogo. Tylko raz coś nam groziło. Właśnie mieliśmy wejść na mały dziedziniec, kiedy Merryt nagle wepchnął mnie w ciemną niszę i sam wcisnął się obok. Denerwował się o wiele

bardziej, niż to po sobie okazywał. Jego serce biło gwałtownie, a koszula była mokra i śmierdząca od potu. Trzej strażnicy przebiegli przez zaśnieżony dziedziniec i zajęli pozycje za podwójnymi drzwiami. Powoli wycofaliśmy się drogą, którą przyszlismy, i znaleźliśmy dłuższą, która omijała dziedziniec.

Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu, Merryt zaczął oddychać nieco spokojniej, choć ta chwila bliskości wywołała w nim drzenie, którego nie dało się łatwo uspokoić.

- Strażnicy Yallyne - powiedział. - Pani i ja nie bardzo się lubimy, jak już mówiłem.

Poprowadził mnie w dół kręconymi schodami, do wąskiego, lodowato zimnego tunelu.

Na południowych krańcach Ezzarii rozciągały się niziny, gdzie meandrujące strumienie, zapewniające żyźność naszej krainie, łączyły się ze sobą i stawały się powolne i leniwe, zbliżając się do szerokiej rzeki Samonka, która nawadniała dżungle Thridu. Jako młodziak polowałem na bagnach Samonki, oczywiście w ramach szkolenia, ucząc się znosić gorący, wilgotny klimat. Powietrze było tam tak pełne owadów, że trzeba było osłaniać nos i usta materiałem, niczym Derzhi podczas piaskowej burzy. W niektórych miejscach błoto Samonki sięgało do piersi i było tak gęste, że przy każdym wymęczonym ruchu trzymało się ciała. Każdy krok opadającym tunelem pod zamkiem Denasa przypominał mi tamtą walkę. Kończyny miałem jak z ołowiu. Mięśnie mnie zawodziły. Zakaz Yallyne płonął w mojej głowie niczym ogień w lesie, dusząc zmysły i grożąc zniszczeniem delikatnych połączeń, które udało mi się odbudować w umyśle. Złamałem nie tylko jej rozkaz, ale też zawiodłem zaufanie... most, jaki nasz dziwny związek zbudował między jej rodzajem a moim. Nie mogłem znieść tej myśli, a moja niechęć nabierała materialności w moim bezwładnym ciele.

- Merrycie... nie mogę tego zrobić.

- Już prawie jesteśmy na miejscu. - Merryt szybko obejrzał się przez ramię, gdy minęliśmy ciemny otwór bocznego tunelu i stanęliśmy przed łukowatym wejściem, zamkniętym bramą z zardzewiałego żelaza. Pchnął wrota, a te powoli otworzyły się na zewnątrz, skrzypiąc głośno. Za łukiem drzwi czerniała ciemność... a zapach kwaśnego błota, starego kamienia i jadu bestii ujawniał, że jest to arena ćwiczeń demonów. - Przybyłeś po prawdę, pamiętasz? Musimy tylko przejść przez pole i przekraść się do bramy po drugiej stronie, a znajdziemy się w komnatach ucztowania. Będziemy mieli doskonałe miejsce do obserwacji.

Zatrzymałem się i zgiąłem, opierając dłonie na kolanach i z trudem łapiąc oddech. Mój umysł zmuszał ciało do buntu. Co się ze mną działo? Nigdy niezgoda umysłu nie wywoływała we mnie tak całkowitego paraliżu ciała.

- Dziękuję, że próbujesz mi pomóc, ale nie mogę. Ona mi ufa. Muszę wracać.

- Boisz się, co? Nie możesz znieść świadomości, że to są rai-kirah, z którymi przysięgłeś walczyć? Pojmiesz to, kiedy zobaczysz, czym się zajmują. Pozwól, że coś ci opowiem... - Zbliżył szeroką twarz do mojej i opowiedział swoją groteskową historię z niestosowną żarliwością.

Na początku swojego uwięzienia Merryt wkradł się na ucztę demonów, pragnąc się dowiedzieć, na czym polega. To, co zobaczył, było przerażające - ożywione wizje zepsucia.

- Wszystkie najgorsze rzeczy, które opętane dusze robią w naszym świecie... Demony objadają się ich smakiem, dotykiem, dźwiękiem i zapachem - powiedział, niemal plując z obrzydzenia. - Przeżywają to raz za razem, a doświadczenie to doprowadza je do szaleństwa. Walczą, spółkują, żrą i piją, aż padają na ziemię i zasypiają. Pewnie boisz się to zobaczyć - zadrwił.

Rozsądek podpowiadał, że powinienem iść za nim, ale ani jego wyzwanie, ani moje przekonanie nie potrafiły pokonać dojmującej pewności ciała, że byłoby to straszliwym błędem. Potrząsnąłem głową i odwróciłem się... co chyba uratowało mi życie.

Trzy demony stały za mną z uniesionymi ramionami. Krzyknąłem na Merryta i ręką odepchnąłem ciężką pałkę, która zaczęła właśnie opadać w stronę mojej głowy. Rzuciłem się na ziemię i kopnąłem demona w dłoń w chwili, gdy wypuszczał z niej sztylet. Broń upadła na ziemię. Przejście było zbyt wąskie. Tamci mieli przewagę liczebną, wokół panowały ciemności, a ja nie miałem pojęcia, jaka czeka nas walka. Dlatego też przetoczyłem się w stronę bramy i zerwałem na równe nogi w mroku tuż za nią, przyciskając się plecami do ściany. Merryt znalazł się obok, przeklinając z zapalem, jakiego nie słyszałem od czasu, gdy żyłem wśród Derzhich.

- Jest ich przynajmniej trzech - wyszeptałem. - I może jeszcze jeden. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Drewniana pałka wbiła się w drewnianą belkę nad moją głową. Mur za naszymi plecami okazał się ścianą trybun, więc napastnik znajdował się tuż nad nami. Uchyliłem się przed drugim ciosem, po czym chwyciłem za rękę, która go zadała, i szarpnąłem. Ciało uderzyło w ziemię tak mocno, że usłyszałem odgłos łamiących się kości. Na krępą rudobrodą postać spadł z trybun kłęb rzemieni, przez co wyglądała jak tłusta mucha złapana w pajęczą sieć.

- Ty weź pierwszego, który wyjdzie z przejścia - powiedziałem - a ja zajmę się następnym.

Merryt wahał się tak długo, iż zacząłem się obawiać, że sam będę musiał walczyć z wszystkimi napastnikami. Z przejścia wyłoniły się szerokie bary, a za nimi dobiegł grzmiący głos.

- Zabezpieczyłeś go? Pan mówił, że...

Z głośnym przekleństwem Merryt rzucił się na demona. Dwa pozostałe demony wybiegły zaraz za swoim potężnym towarzyszem, a ja chwyciłem pałkę powalonego i obróciłem się, pozwalając, by cała moja siła przepłynęła wzdłuż broni. Pierwszy napastnik zatrzywał się gwałtownie, gdy pałka wbiła się w jego pierś - odbierając mu dech, jeśli nie zatrzymując bicia serca. Z jego rąk wypadła laska. Włożywszy w cios wszystkie siły, musiałem odskoczyć i przetoczyć się, by odzyskać równowagę i zobaczyć, gdzie udał się drugi demon. Mijając chwiejącą się postać, chwyciłem jej laskę. I dobrze, gdyż kiedy przeturlałem się na plecy, w mroku świsnęła maczuga, wycelowana w moją głowę. Laską leżącego rai-kirah powstrzymałem cios wystarczająco długo, by zerwać się na równe nogi. Wtedy maczuga jednym płynnym ruchem zmieniła się w drugą laskę.

Demon był doskonałym wojownikiem i nie męczył się, co nie jest takie trudne, jeśli jest się półtorakrotnie wyższym od człowieka, na piersiach ma łuski niczym zbroja, a do tego trzy prawe ręce. Wciąż wrzeszczał, by towarzysze się mną zajęli, ci jednak leżeli płasko na ziemi, a Merryt zajmował się czwartym gdzieś w ciemnościach. Byłem nieco zastyła - powtarzanie ruchów w głowie, aż ciało się ich nauczy, stanowiło jedną z metod szkolenia Strażników, lecz nie mogło zastąpić prawdziwych ćwiczeń. Od wielu miesięcy nie trzymałem w ręku miecza ani laski. Gdy krążyłem i atakowałem, próbując zobaczyć coś w słabym blasku i mając nadzieję, że strategią i doświadczeniem pokonam przeciwnika, zanim pozna moje ograniczenia, poczułem nagle szarpnięcie wewnątrz siebie, uderzenie mocy, po którym nastąpiło drugie i trzecie. Zataczając się pod wpływem fał ciemności, które zalewały mi duszę, cofnąłem się i zobaczyłem, jak mój przeciwnik wrzeszczy z wściekłości.

- Co ty sobie...

Ale nie skończył. Upadł na ziemię z toporem wbitym w gruby kark. Nim zebrałem myśli, Merryt już nad nim stał, trzymając w górze szklany owal wielkości dłoni, migoczący słabo w ciemnościach. Świetlisty, pulsujący kształt, który próbował z trudem odczołgać się od martwego ciała, zatrzymał się gwałtownie, sparaliżowany. Nim zdołałem krzyknąć, Merryt wbił srebrny nóż w demoniczną postać.

- Co ty robisz? - spytałem przerażony. Czuję mdłości. - Zniszczyłeś ich! - Nie tylko

ciała, które zawsze mogły zostać naprawione, lecz samych rai-kirah.

- Już nie mam cierpliwości do ezzariańskich zasad. - Merryt wstał i wytarł nóż Strażnika o ubranie swojej ofiary. - Widziałem za dużo. Żyłem zbyt długo. - Wrzucił nóż i zwierciadło do małej skórzanej sakiewki i chwycił mnie za ramię. - Nie mogłem pozwolić, by zabiły drugiego poza mną człowieka w tym miejscu. Teraz lepiej się stąd wynośmy. Ten, kto ich wynajął, będzie polował.

Obejrzałem się przez ramię, gdy ciągnął mnie z powrotem korytarzem, i patrzyłem, jak demony powoli blakną i znikają, jeden po drugim. Materialne ciała stanowiły jedynie iluzje. Demony już zginęły. Nikt się nie dowie, co dokładnie się wydarzyło. Tylko ten, kto posłał napastników, będzie podejrzewać, że maczaliśmy w tym palce.

Wróciliśmy do mojej komnaty i Merryt pożegnał się ze mną pospiesznie.

- Wybacz mi, Wygnańcze. Nie chciałem sprowadzić na ciebie takiego niebezpieczeństwa. Myślałem, że droga jest bezpieczna. - Zatrzymał się w drzwiach. - Rozpoznałeś te bestie?

Potrząsnąłem głową. Byłem otepiały. Wstrząśnięty.

- Dziękuję za uratowanie mi życia. Teraz jestem twoim podwójnym dłużnikiem. - Jak mu powiedzieć, że brzydziłem się tym, co zrobił? Albo jak głupio postąpił, zabijając napastników, nie dowiedziawszy się wcześniej, kim byli?

Ale Merryt najwyraźniej ich rozpoznał.

- Brudne sprawy w brudnym miejscu. Lepiej już sobie pójdę. Uważaj na siebie... to byli Gastaiowie Denasa. - Poklepał mnie po ramieniu i znikł w mroku.

Minęło wiele czasu, nim zdołałem uporać się z grozą śmierci demonów. Obrazy ich rozplywających się ciał tylko wszystko pogarszały. Podobnie jak napastnik na trybunach, wszyscy pozostali mieli zwoje rzemieni - takich, jakimi wiązano mnie, gdy byłem w lochach. Merryt wierzył, że ratował mi życie... ale ja tak nie uważałem. Napastnicy nie zamierzali mnie zabić. Denas chciał odesłać mnie w niewolę - to gorsze niż śmierć... chyba że było się demonem, którego śmierć była tak dojmująco pusta. Nie zostawało ciało do pochowania lub spalenia. Nie zostawała rodzina, by opłakiwać i pamiętać. Roztopić się w nicości, by nikt nie mógł się nawet dowiedzieć, gdzie i jak się zginęło... A cóż następowało po śmierci dla istoty stworzonej ze światła?

Naciągnąłem koce na głowę i zapadłem w sen pełen poczucia winy. Śniłem o Łamignacie i obudziłem się z krzykiem.

Rozdział 27

Po niebezpiecznej wyprawie z Merrytem - incydencie, który tak naprawdę mógł się wcale nie wydarzyć, przynajmniej oceniając po tym, co na jego temat słyszałem - z trudem potrafiłem zmusić się do opuszczenia komnaty. A co, jeśli ktoś widział nas w tunelach, na dziedzińcu albo na arenie? A co, jeśli istniał piąty napastnik, który był świadkiem walki? A co jeśli Denas zobaczy moją pełną winy twarz i skojarzy to z zaginięciem swoich Gastaiów? A jeśli znów spróbuje? Jednak kiedy Yallyne mnie wezwała, nie miałem żadnej wymówki, by zostać u siebie. Gdybym symulował chorobę, z pewnością rozpoznałaby kłamstwo.

Dwa dni później zaprosiła mnie na spacer wzdłuż galerii, gdzie ściany pomalowano w paski i wiry wszelkich odcieni. Z początku myślałem, że miejsce to jest nieudaną próbą stworzenia dzieła sztuki, zdolną jedynie wywoływać zawroty głowy. Ale Yallyne nauczyła mnie, jak rozluźnić wzrok i zapaść się weń, pozwalając, by kolory otoczyły mnie i objęły niczym malowany ocean. Doświadczenie było niezwykle przyjemne, jakby barwy - równie słabe jak w innych dziełach Rudaiów - nabierały własnego życia i energii, bardzo różniące się od ich roli w znanym mi świecie. Gdy zatrzymaliśmy się, by nacieszyć się pełnią głębokich błękitów i fioletów, ktoś wypadł z cieni i niemal przewrócił damę. Merryt. Zatrzymał się w ostatniej chwili.

- *Gryallok!* - zasyczała Yallyne. Słowo to było demonicznym przekleństwem, wyjątkowo obrzydliwym, które nie miało swojego odpowiednika w żadnym znanym mi języku. Znaczyło coś w rodzaju „twoja ohyda sprawia, że mam ochotę przeżuć twoją esencję i ją wypluć, a jeśli ktoś inny wkrótce mnie nie wyręczy, tak właśnie postąpię”. Yallyne delikatnie poruszyła dłonią. - Wkroczyłeś do miejsca, w którym nie masz prawa się znajdować, yladzie. Zapłacisz za to.

Merryt zbladł i zaczął się cofać. Nim zdołał ruszyć biegiem, pojawiło się za nim trzech Rudaiów. Wyrwał się i szarpał, lecz nic mu to nie dało, i został rzucony twarzą na ziemię. Przeklinał głośno. Jeden z demonów celowo stanął na jego wyciągniętych rękach.

- Powinniśmy zająć się pozostałymi - powiedział Rudai, depcząc ocalałe palce Merryta. - Upewnić się, że nie zrobi już nic złego.

- Zaczekajcie. Nie... - Z tym słabym sprzeciwem ruszyłem do przodu, pragnąc to

powstrzymać, lecz Yallyne dotknęła mojego ramienia, zatrzymując mnie.

Jeden z Rudaiów oderwał skózaną sakiewkę od pasa Merryta, zajrzał do środka i oddał ją pani. Podczas gdy strażnicy odciągali szarpiącego się Ezzarianina, Yallyne wyjęła ze środka dwa przedmioty - srebrny nóż Strażnika i zwierciadło Luthena.

Moja twarz płonęła. Powstrzymując mnie zimnym spojrzeniem, Yallyne oddała je Rudaiowi i wydała mu rozkazy.

- Pokaż je przyjaciółom ylada Merryta, a później zniszcz te paskudztwa. I spraw, by został odpowiednio ukarany.

Yallyne znów zaczęła spacerować wzdłuż galerii, w kierunku przeciwnym do tego, w którym zabrano Merryta. Ja pozostałem bez ruchu, spoglądając głupkowato to w jedną, to w drugą stronę. Yallyne powróciła, chwyciła mnie za ramię i pociągnęła za sobą.

- Został ostrzeżony, Wygnańcze. Wiedział, co ryzykuje, zbliżając się tutaj z tak ohydnyimi przedmiotami.

Gorąca nienawiść Yallyne do potężnego Ezzarianina nie przypominała niczego, co od niej czułem.

Gdy następnym razem ujrzałem Merryta - kuśtykającego przez zatłoczony korytarz - jego twarz była jednym wielkim sińcem. Yallyne nie wspominała już o nim, lecz tylko powtórzyła swój rozkaz. Zmieszany, trzymałem się z dala od niego.

* *

Tak naprawdę nigdy już nie wyszedłem poza granice, które wyznaczyła dla mnie Yallyne. Nie ryzykowałem, zadawałem niewiele pytań, nie szukałem informacji. Tchórzostwo nie było jedynym powodem, dla którego porzuciłem swój cel. Choć puszyłem się przed sobą, że obserwuję życie demonów i się o nim uczę, tak naprawdę cały czas myślałem o Yallyne.

Przez jakiś czas tłumaczyłem sobie, że mnie zauroczyła, i próbowałem w jej obecności czepiać się resztek zdrowego rozsądku. Lecz w miarę jak wodny zegar napelniał się po raz kolejny, straciłem nawet te resztki. Zakopałem swoje obawy w jej śmiechu, pozwoliłem, by jej uroda i rozum odpowiadały na każde moje pytanie, porzuciłem poszukiwania własnego umysłu, rozkoszując się jej zaletami. Pragnienie przebywania z nią rosło we mnie jak grzyby w ciemnościach i nie mogła mnie od tego odciągnąć żadna dawka morderczych ćwiczeń. Marzyłem o niej we śnie i na jawie. Tłumaczyłem sobie, że jej ciało nie jest zdolne do odczuwania ludzkich doznań. Demony nigdy się nie dotykały, nawet podczas tańca. Ich

zmysły były ułomne i wypaczone. Nie mogła ocenić smaku wina; krzywiła się na widok jedzenia, które uznawałem za wyborne, i rozkoszowała się takim, które przyprawiało mnie o mdłości. Dlatego, choć bardzo chciałem nauczyć jej magiczne ciało prawdy o ludzkim uczuciu, mój dotyk mógł równie dobrze zadać jej ból, jak i sprawić przyjemność; ta myśl przyprawiała mnie o szaleństwo. W półmroku mojego pokoiku leżałem skulony na pustym łóżku, chory z pożądania i samotności. Yallyne nigdy nie wspominała o moim pocałunku ani całkiem widocznej obsesji na jej punkcie. Nie zmieniała też swojej kusicielsko-dręczycielskiej natury, nawet wtedy, gdy chciała złagodzić moje męki łagodnością lub odwrócić od nich moją uwagę. Nigdy nie prosiła, bym podał jej swoje imię, choć tajemnica wisiała między nami niczym plama na słońcu.

Zapisałem w swoim dzienniku jeszcze kilka bzdur. Dłonie wciąż mi drżały. Moja przeszłość kryła się za murami wzniesionymi z bólu spjanego krwią, a ja nie starałem się już jej odnaleźć. Żyłem pięknem i nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

* *

Kończyłem właśnie czytać zbiór dziesięciu ksiąg romantycznej epiki, gdy Yallyne wyraziła chęć sprawienia mi podarunku. Nie pytała mnie, czego chcę - to wiedziała doskonale - lecz dała mi konia. Zwierzę było rzecz jasna iluzją, gdyż poza rai-kirah i dwoma pojmanymi ludźmi w Kir'Vagonoth nie było żadnego życia. Pani chciała, abym pojechał wraz z nią w zniszczony burzą teren. Wcale mi się to nie podobało.

Doszedłem do wniosku, że w przeciwieństwie do demonów, pogoda była jedyną prawdziwą rzeczą w Kir'Vagonoth. O jej różnorodności stanowiły przede wszystkim intensywność przejmującego zimna i rodzaj przenikliwego wiatru. Demony są bardzo wrażliwe na zimno i nie mogą ich osłonić ani bardzo grube mury, ani dowolna liczba warstw futer. Gdy wychodziły na zewnątrz, ostry wiatr wyciągał z nich cały ich blask. Z wyjątkiem Yallyne, która jak się wydawało, rozkwitała przy każdym wyzwaniu.

Oczywiście, nawet pomijając chłód i pustkę, ponure, śnieżno-lodowe pustkowia przyprawiały mnie o dreszcze. Nie zapomniałem do końca moich niszczących życie snów. A na pustkowiu kryły się niebezpieczeństwa, które nie były ani mrozem, ani snem. Gastaiowie czyhali wszędzie, a ich szaleństwo narastało.

Podczas trzeciego czy czwartego wypadu strażnicy Nevaiowie pilnujący szakalich bram próbowali zatrzymać nas w zamku. Heddon, obdartus o płaskiej twarzy, wdał się w kłótnię z Yallyne.

- Pani, grupa Gastaiów zaatakowała warsztat Rudaiów. Popsuli narzędzia i ukształtowane dzieła, zniszczyli dwunastu podwładnych Kaarata, okrutnie ich wcześniej wykorzystawszy. Denas zabronił wszystkim wychodzić na zewnątrz, dopóki nie zbada sprawy.

- Jego rozkazy się do mnie nie odnoszą.

Blask Heddonu zamigotał nerwowo.

- Pani, wyraźnie zabronił nam wypuszczać cię na zewnątrz. Szaleni są wszędzie.

- A jeśli nie zechcę posłuchać?

- Jeśli wyjedziesz z zamku, zostaniemy ukarani.

- Lecz oczywiście nie zdołasz mnie powstrzymać, Heddonie. - Wypowiedziała słowo będące czymś pośrednim między sykiem węża i westchnieniem kochanka. Aż do tej chwili nie miałem pojęcia, jak wielką mocą dysponuje. W jednej chwili chmury przestały się burzyć, a ostry wiatr zaczął zataczać kręgi, jakby chciał wessać wszystko, co znajduje się na ziemi i w niebie. Poplamiony sadzą blask Kir'Vagonoth przygasł, gdy demoniczna postać Yallyne zalsniła obok jej postaci materialnej - dwa obrazy nakładały się na siebie wraz z zarysami setek większych postaci. Trwało to zaledwie chwilę. Mimo to przez ten czas ledwo mogłem się ruszyć.

Strażnik pochylił głowę.

- Oczywiście, że nie, pani. Mogę cię tylko prosić.

- Powiedz Denasowi, że zagroziłam wam gorszymi karami niż on. Czuję się tu jak w więzieniu i muszę choć na chwilę wyjść na zewnątrz.

- Tak, pani. Błagam jednak o ostrożność. Szaleni ci nie darują. Słyszałem, iż wygląda to tak, jakby znów nastały mroczne czasy.

- Dziękuję za ostrzeżenie, Heddonie. - I pojechaliśmy.

Zwykle Yallyne gawędziła radośnie podczas jazdy, a ruch ożywiał ją nawet wtedy, gdy groza dzikiego terenu ciążyła mi niczym kamień. Wjeżdżała na wierzchołki wzgórz i wydając dzikie okrzyki, zjeżdżała z nich w pełnym galopie, wzbijając tumany śniegu. Lecz tego dnia nie mówiła zbyt wiele, jeżdżąc bez celu to w jedną stronę, to w drugą, klucząc między zamrzniętymi wzgórzami, zamiast je zdobywać. Szron osiadł na naszych włosach i płaszczach, zamrażając je. Musiałem wierzyć, że pani odnajdzie drogę wśród ciężkich, szarych chmur, które opadały aż na ziemię.

- Jak to możliwe, że Gastaiowie zdołali zabić kogoś z was? - spytałem, usiłując rozmową rozwiać dręczące mnie obawy. - Sądziłem, że to niemożliwe.

Yallyne patrzyła przed siebie, a jej piękny, kwadratowy podbródek unosił się dumnie.

- To obsesja tych Gastaiów... Starają się utrzymać nas w postaci materialnej i zabić ciało, nie pozwalając prawdziwej istocie go opuścić. Dopiero po śmierci ciała zabierają ofiary daleko na pustkowia, aby je tam wypuścić. Ci, którzy zostali tak potraktowani, nie pamiętają tego, czego się nauczyli przez te wszystkie lata, nie pamiętają, co dla siebie zrobiliśmy. Nie mogą odnaleźć drogi powrotnej i dla nich nastają nowe mroczne czasy.

Poruszyłem się niespokojnie, myśląc o zwierciadle Luthena, paralizującym demony do chwili, gdy Merryt je zabił... jak ja to w przeszłości robiłem. Choroba. Tak. Być może tak właśnie było.

Po trzech kwadransach wyczułem w wietrze zapach demona... gęsty, ohydny, niepokojący w stopniu, jakiego nie zaznałem od chwili, gdy znalazłem się w zaniku Denasa.

- Yallyne...

Uciszyła mnie gestem dłoni, po czym z naszego miejsca na zboczu pagórka wskazała w dół, w stronę zagęszczenia wśród chmur: widoczna tam duża, gęsta czarna plama zdawała się rosnąć na naszych oczach. Z czerni dobiegały skowyty zwierzęcej wściekłości, tonące w łoskocie wiatru; towarzyszyły im skamlenia i warknięcia, niczym dzikich psów, które poczuły świeżą krew.

Moje ciało świetnie wiedziało, co widzę - było to tak znajome, choć setki razy mocniejsze niż w moich doświadczeniach. Mięśnie się napięły, zmysły wyostrzyły, na darmo szukając melyddy, którą mogłyby się pożywić. W środku burzy szalała walka demonów - nie ćwiczenie, jak na arenie, lecz walka na śmierć i życie. W kłębiących się chmurach pojawiały się potworne kształty - stado szakali o zakrwawionych nozdrzach, podobne do małych istoty o sześciu rękach, wielki kot z wężem zamiast ogona, a w środku ledwo widoczny smok o błoniastych skrzydłach.

- *Hyssad hwyd zhar! Faz dyarra y vakkasto.* - Gdy zabrzmiał rozkaz, złocisty ogień rozdzielił kłębiącą się masę chorego zaklęcia. „Odejdźcie stąd! Wracajcie do swoich dziur lub stańcie się nicością!”.

Denas... smok... potężny, wspaniały. Nie przybierał tej postaci na arenie.

Ryki stały się głośniejsze, bardziej zaciekle. Szakale rozrywały skrzydła. Kot zapiszczał. Odgłosy bólu i ślepej furii przybrały na sile, chmura pociemniała, zasłaniając walkę. Od tego dźwięku zaczęły mnie boleć kości, a wodze wyslizgnęły się z dygoczących dłoni. Schyliłem się, aby je złapać, lecz znieruchomiałem, jakbym chciał się schować za

rudawą końską grzywą. Potem w niebo wystrzelił olbrzymi gejzer ciemności, opadając na zaśnieżone pustkowia; w następnej chwili poczułem gwałtowny atak mdłości, rozdzierające świat i porażające duszę uderzenie mocy świadczące o śmierci demona, tylko setki razy mocniejsze.

Yallyne siedziała wyprostowana w siodle. Obserwowała. Czekwała.

Ciemność z wolna przyblakła i pękła, wyzwalając stłumioną martwość niczym przy otwarciu grobu. W chwili gdy otrząsnąłem się z odoru i wyplułem z ust jego smak, z dryfujących resztek tej zaczarowanej burzy dobiegła przejmująca pieśń żałoby, śpiew wojownika wyrażający stratę tak głęboką, że przewyższała wszystko, co wiedziałem o smutku. Gdy osiągnęła swój szczyt i opadła, a lekki podmuch rozproszył resztki mroku, nawet wiatr ucichł na chwilę, jakby w uszanowaniu dla takiego bólu. Pięciu rai-kirah z przyćmionym światłem, wymęczonych i rannych, jechało w naszą stronę z Denasem na czele. Gdy do nas dotarli, władca demonów ściągnął wodze wierzchowca i gestem rozkazał wojownikom jechać dalej. Nawet nie popatrzył na Yallyne, lecz mnie posłał spojrzenie pełne głębokiej nienawiści. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, lecz gdy pozostali nas minęli, szarpnął wodze swojego nieożywionego rumaka i ruszył w stronę odległego zamku.

- Czy stracili towarzysza? - Natychmiast pożałowałem pytania. Moja ciekawość wydawała się niestosowna, plamiąc echa smutku Denasa.

- Nie - odpowiedziała Yallyne. Nagły podmuch wiatru uderzył śniegiem w jej twarz, a ona mocno pociągnęła za wodze i ruszyła za Denasem w stronę zamku. - Śpiewał dla Gastaiów.

* *

Czterdziestego pierwszego dnia mojego życia z Yallyne - w przybliżeniu czterdziestego pierwszego, gdyż dni i noce niczym się od siebie nie różniły i mogłem o kilku zapomnieć lub kilka dodać - moja pani zabrała mnie na przejażdżkę do miasta na horyzoncie. Byłem zaskoczony. Dowiedziałem się, że w Kir'Vagonoth rzeczywiście istnieją inne zamki. Na przykład Rhadit - znenawidzony przywódca „wielkiego przedsięwzięcia” - miał własną fortecę. Ale nigdy nie zabrano mnie tam ani do warsztatów Rudaiów, czyli długich, niskich budynków na wpół zagrzebanych w śniegu. Odpowiadało mi to, gdyż srebrno-czarna groza moich snów nadal czaiła się gdzieś w lodowatej burzy razem z szalonymi Gastaiami.

Próbowałem uniknąć wycieczki.

- Znalazłem kolejną księgę o górach - powiedziałem. - Przysięgam, że jest cała i ma sens od początku do końca. - Odkryliśmy, że wiele z fabuł rozwija się w dziwnych kierunkach, gdy koniec jednej książki przechodził płynnie w początek innej. - Nie skończyliśmy też poematu, który pisałaś. Jeśli chcesz, żeby rymował się tak, jak to sobie wyobrażałaś, musisz jeszcze nad nim popracować.

- Ale ty nigdy nie widziałaś miasta, a Rudaiowie tak bardzo się nad nim napracowali. To najlepszy dowód na to, że wyszliśmy z mrocznych czasów.

Oczywiście, nie mogłem jej odmówić, więc włożyłem płaszcz i rękawiczki i wyjechaliśmy łukowatym mostem w dzicz.

- Opowiedz mi o mrocznych czasach - poprosiłem, szukając czegoś, co odwróciłoby moją uwagę od grozy kryjącej się w wyjąym wichrze i niezdrowego pragnienia, by kochać demona. Nevaiowie często wspominali o mrocznych czasach, ale nigdy o nich nie rozmawiali.

- Był to czas, gdy skradziono nam Kir'Navarrin. Kiedy znaleźliśmy się w Kir'Vagonoth - odparła, równając swojego wierzchowca z moim. - Nie pamiętaliśmy swoich imion ani kształtów, nie umieliśmy znaleźć tego, czego potrzebowaliśmy... nie czuliśmy... nie widzieliśmy. I nie było tu nic poza tym. - Gestem ręki objęła ponury krajobraz. - Dziki czas. Bardzo długi czas. Choć musimy o nim pamiętać, trudno nam o nim opowiadać.

Gdy mówiła, jej twarz przybrała nowy wyraz, niczym doskonale drewno, które przy ostrożnym używaniu nabiera nowego blasku. Przez chwilę jej demoniczna postać zamigotała srebrem, nakładając na ładną twarz młodej kobiety piękno, które było starsze, smutniejsze, dumniejsze. Merryt nie mógł mieć racji. Jej prawdziwa twarz nie była potworna... gdyż sądziłem, że to ją właśnie ujrzałem. Od razu zapomniałem o tym, co powiedziała, jak również o innych pytaniach.

Oceniając miarą demonicznych podróży, nie minęło zbyt wiele czasu i już jechaliśmy brukowanymi ulicami między domami i sklepami, wysokimi świątyniami, szerokimi dziedzińcami i pałacami, parkami, fontannami, łaźniami i wspaniałymi kolumnadami... zupełnie opuszczonymi. Było to miasto pełne wdzięku, sztuki i wielkiego umysłu, wyraz mocy i rozumu cywilizowanego ludu, godne, by porównywać je z Zhagadem. Ale śnieg zasypał wejścia i okna, zamykał ulice i uliczki, zbierał się na sztydach, które kołysały się bez celu na wietrze. Ciemność wypełniała szerokie ulice i majestatyczne budowle. Wokół panowała cisza.

- Jest cudowne - uznałem. - Dlaczego nikt tu nie mieszka?

- Niektórzy próbowali - odpowiedziała, przeciągając dłoń po obrzeżu fontanny w

kształcie kwiatu. Zamarznięta woda powinna była otaczać jej palce. - Ale nie umieliśmy tego uczynić. Nie wiedzieliśmy, co począć z takim miastem.

Zwiedzaliśmy najdalsze kręgi osady, wędrując opuszczonymi ulicami. Trafiliśmy do wielkiego ogrodu rzeźb, który wywołałby zazdrość Kuvaiów. Zostawiliśmy na jakiś czas konie i wpatrywaliśmy się w potężne przestrzenie świątyni, sięgające nieba sklepienia, które powinien wypełniać blask słońca wpadający przez witrażowe okna. Wspiąłem się po dwustu stopniach na dzwonnice i z zaskoczeniem zauważyłem, że schody były wgłębione pośrodku, jakby wytarte przez tysiące stóp, choć Yallyne mówiła, że najpewniej nikt się po nich nie wspinał od chwili, gdy zostały stworzone. Na szczycie pociągnąłem za wiszące sznury, lecz kiedy zabrzmiał dzwon, jego dźwięk był fałszywy, a echa przypomniały mi o moim pierwszym wrażeniu - miasta zarazy. Położyłem dłoń na dzwonie, by nie zabrzmiał ponownie.

- Zejdz na dół, Wygnańcze, i powiedz mi, czy znalazłam miejsce odpowiednie dla siebie! - zawołała Yallyne i jak zawsze, gdy mnie wzywała, pospieszyłem do niej. Kiedy ją odnalazłem, stała na rzeźbie lwa ustawionej na placu przed wieżą. - Czy to nie ty czytałeś mi o tej bestii? - I zaryczała w burzę, unosząc wysoko ręce, jakby rzucała wyzwanie niekończącemu się wichrowi.

Kiedy zeskoczyła ze swojego miejsca, chwyciłem ją w ramiona i śmiałem się wraz z nią. Pozwalałem, by wiatr rzucał złociste włosy na moją twarz, tak że zatonałem w blasku. Zatonąłem. Chciałem zatonać.

- Mógłbym cię nauczyć - zacząłem łamiącym się głosem. Przyciskałem ją do piersi, doskonale wiedząc, że pojmuje moje pożądanie. - Pozwól mi spróbować.

- Zapominasz się. Przybyłeś tu, by się uczyć, nie by nauczać - przypomniała. - A ja muszę wracać do zamku. Nie kręć się tu zbyt długo.

Jej materialna postać znikła i przez krótką chwilę obejmowałem tylko demoniczny blask. *Ogień... chwala...* Wypełniły mnie namiętność i moc, które mogłyby pochłonąć miasto... ale tylko na chwilę, na jedno uderzenie serca... a potem odeszły.

- Yallyne! - zawołałem z rozpaczą, gdyż nie sądziłem, że zdołałbym zaczerpnąć choć jeden oddech bez tego, czego właśnie posmakowałem.

Ale jak w przypadku wszystkich głupców, którzy wierzą, że ich istnienie zależy od dotyku drugiej osoby, moje serce uderzyło po raz kolejny. A powietrze po raz kolejny wypełniło płuca. Wiatr szarpał moim płaszczem. Powoli przeszedłem przez opuszczony rynek i znalazłem konia - iluzję, która zaniesie mnie z powrotem do zamku. Jej rumak znikł, choć żadne ślady kopyt nie kalaty świeżego śniegu. Przy moim pragnieniu nawet groza pustkowia

była niczym. Dosiadłem wierzchowca, lecz później siedziałem na nim wyczerpany i pozbawiony celu, a moje tchórzliwe dłonie drżały bez ustanku. Kiedy koń ruszył labiryntem uliczek, nie zwracałem uwagi, w którą stronę się kieruje.

Musiałem jej tylko wyznać swoje imię. Oczywiście, to by nie sprawiło, żeby mnie pokochała - jeśli w ogóle była zdolna do miłości. A ja wiedziałem, że nie mogę twierdzić, iż ją kocham. Mój umysł nie umiał jeszcze obdarzać miłością. Ale poznać ją lepiej... dać jej z życia to, co mogłem jej dać... pozwolić, by jej muzyka wypełniła pustkę w moim wnętrzu... Skąd w ogóle wiedziałem, co jest możliwe, skoro taka część mojej osoby była ukryta? Nie potrafiłem uwierzyć, że dama życzy mi źle. Gdybym powiedział jej swoje imię... cóż złego mogłoby się stać? A możliwości... One sprawiały, że zachowanie myśli, rozsądku i ostrożności stało się niemożliwe.

Wtedy jednak wyrwałem się znad krawędzi tej przerażającej słabości. *Sentymalny głupiec. Złamany, bezmózgi wrak. Oczarowała cię. Z pewnością o to właśnie chodzi. To tylko jakaś czarodziejska gra, mająca mnie skłonić do oddania tego, co z takim zaangażowaniem chronięm. Bo jeśli upadnę... drżącymi palcami szarpałem się za włosy, jakbym mógł w ten sposób obudzić martwy umysł. Niegdyś miałem wielką moc. A jeśli to tylko jeszcze jedna walka? Merryt mnie ostrzegał. Nie znałem prawdziwej twarzy Yallyne. Nie była człowiekiem.*

Po godzinie takich jałowych wewnętrznych kłótni koń wyniósł mnie poza opuszczone miasto. Kiedy uświadomiłem sobie, że nie widzę zamku Denasa, nagły strach przerwał mój szaleńczy bełkot. Mój umysł zaczął sobie wyobrażać Gastaiów kryjących się w ciemnościach. *Nieważne, mówiłem sobie. Musisz tylko jechać dookoła miasta, aż dotrzesz do punktu, z którego zobaczysz zamek. Potem pojedziesz prosto przez równinę i znajdziesz się za murami.* Znów chwyciłem za wodzę, ścisnąłem konia kolanami i ruszyłem w lewo wokół murów. Co kilkaset kroków zatrzymywałem się, by przyjrzeć się horyzontowi.

Podczas trzeciego postoju dostrzegłem wieżę. Nie zamek Denasa, który miał dziesięć osobnych wież połączonych dachami i blankami, lecz samotny kamienny palec na szczycie niskich wzgórz. Zrujnowane ściany były wystawione na działanie żywiołów, i tylko kawałki gładkiej, białej fasady pozostały nienaruszone. Zobaczyłem ją między lodowymi iglicami jedynie dzięki chwilowej przerwie w śnieżnej burzy. Wieża wcale nie wyglądała na imponującą... ale nie pasowała do Kir'Vagonoth. Należała do Ezzarii... na łysym, wystawionym na wiatry, kamienistym szczycie... moja kryjówka... jeden z obrazów, których strzegłem tak długo.

Niepomny czasu i grozy, ruszyłem przez wirujący śnieg, zachęcając nieożywionego rumaka do jeszcze szybszego biegu. Rozpaczliwie pragnąc pojąć znaczenie wieży, nie ważyłem się nawet zamrunąć, by ruina nie znikła wśród szaro-sinych chmur. Gdy wspinaliśmy się po wzniesieniu, mój wierzchowiec po kolana brodził w śniegu. Policzki i nos mi zdętwiały, a brwi były sztywne od szronu, gdy w końcu zeskoczyłem z końskiego grzbietu u stóp wieży. Przez chwilę się nie ruszałem, zamknąłem oczy i skoncentrowałem myśli, wzywając koncentrację, którą wykorzystywałem do wykrywania czarów. Była właściwie niepotrzebna. Żaden demoniczny wpływ nie kazał olbrzemiemu czarowi.

Dwa kroki i przeszedłem przez otwór wejściowy, gdyż wrota już dawno zbutwiały. Znalazłem się w okrągłej komnacie, którą wypełniał gruz. Poczerniałe palenisko na środku popękanej podłogi. Wgnieciony miedziany kociołek i sterta podpałki obok. Posłanie z wysuszonych sosnowych gałęzi... z drzew, które nigdy nie rosły w Kir'Vagonoth. Przeciągnąłem dłonią przed twarzą, zmieniając zmysły, by pogłębić postrzeganie świata, i w chwili gdy powietrze poruszyło się wokół mojej dłoni, wiedziałem już, gdzie jestem.

- Aife - wyszeptalem z nadzieją, otwierając głębię serca na lodowate zimno. - Jesteś tutaj?

Kruszący się kamień otaczała taka cisza, że słowa zabrzmiały zgrzytliwie. Podmuchi wiatru szarpnął moim płaszczem niczym olbrzymia ręka próbująca zwrócić na siebie uwagę, lecz ja koncentrowałem się na słuchaniu, w nadziei że spoza burzy dotrze do mnie głos.

Strażniku? Czy to sen?

Odchyliłem głowę do tyłu i zaśmiałem się, jak nie śmiałem się przez całe eony.

- Sen, tak, na pewno. Żadna jawa w mojej pamięci nie może się z nim równać, a jeśli zobaczę portal, uznam, że to najpiękniejszy sen, jaki kiedykolwiek nawiedził moje noce.

Usłyszałem jej śmiech. Zmęczony, życiodajny, tryumfujący śmiech. Śmiech pełen dumy i poczucia celu. W cieniu tej wieży, w powietrzu migoczącym odłamkami lodu, pojawił się szary prostokąt wyższy niż mężczyzna. A za przejściem, drżąc niczym rozgrzane powietrze na pustyni, znajdował się złocisto-zielony blask, tak jaskrawy, że mój wzrok z trudem znosił ten widok. Bezmyślne podniecenie i głód popchnęły mnie do przodu i niemal przeszedłem przez portal, gdy usłyszałem odległy krzyk - zmartwiony, poszukujący - z pustkowia za wieżą.

- Wygnaćcie!

Myślałem, że moje serce rozpadnie się na dwie części. Odejść od Yallyne, zerwać więzy łączące mnie z tym dziwnym i straszliwym miejscem... Ta myśl wywoływała we mnie rozpacz. Ale to nie wszystko. Gdyż kiedy stałem w kryjówce Aife, otoczony jej zaklęciem,

mury wspomnień rozpadły się i powróciło do mnie całe moje życie, nadając nazwy zgromadzonym wspomnieniom - Aleksander, Blaise, Evandiargh, błogosławiona, wierna Fiona - i cel pustym słowom. Czym była brakująca część mozaiki? Co skłoniło moich przodków do tego, że zniszczyli siebie i skazali jasne duchy na te piekielne pustkowia? Czy istniało lekarstwo na niedoskonałą pełnię Blaise'a i mojego dziecka? Mgła otaczająca moje zmysły się rozproszyła, a krawędzie świata znów stały się ostre i wyraźne. Te odrobiny, które poznałem mimo okaleczenia umysłu, nabrały nowego kształtu i natarczywości. A wraz ze wspomnieniami przyszedł też ból, oczywiście. Skoro nie poznałem odpowiedzi, cóż czekało na mnie w mojej krainie? Nic. Nikt. Zimny wiatr owijał się wokół moich kostek.

Pospiesz się, Strażniku... Mój czas niemal minął. Obiecałam starcowi. Zgodziliśmy się na godzinę.

- Ach, moja droga Aife... nie mogę... - Żadnych słów nie wypowiedziałem z większym trudem. Nigdy wcześniej nie musiałem odwracać się od tak kuszącej wizji. - ...jeszcze nie. Wrócę, kiedy będę mógł i zdołam powiedzieć ci więcej.

Jeszcze nie! Ale powiedziałeś... Jesteś szalony?

- Już nie, Aife. Uleczyłaś mnie. Ale moje dzieło tutaj nie zostało zakończone. Powiedz starcowi, że Kir'Vagonoth jest niewyobrażalne. Lód i śnieg, zimno i ciemność, owszem, ale stworzyli w tej grozie piękno. A kręgi są takie, jak mówił: bestie Gastaiowie, Rudaiowie, kształtujący o takich umiejętnościach, że w jednej chwili odbudowaliby jego świątynię, i Nevaiowie... Nie potrafię opisać ich chwały i siły ich namiętności. Powiedz mu... - Kolejny kawałek znalazł się na swoim miejscu... prawda, która pokazałaby mi się wyraźnie we mgle dni spędzanych w Kir'Vagonoth, gdybym tylko nie był zbyt zajęty, by jej poszukać. - ...powiedz mu, że oni też nie czują się pełni, nie bardziej niż my.

Powiem mu.

- Przeżyję, Aife. Jest tu inny człowiek. Strażnik zaginiony w bitwie setki lat temu. Czyż to nie cud? On...

- Wygnać! Gdzie jesteś? - Bliżej. Muszę oddalić się od wieży.

- Muszę iść.

Jesteś pewien, Strażniku?

- Niczego nie jestem pewien. Ale tu czekają na mnie odpowiedzi, jeśli tylko uda mi się je odkryć. A jeszcze więcej znalazłbym ich w miejscu zwanym Kir'Navarrin. Czy możesz jeszcze przez jakiś czas utrzymywać drogę?

Nie wątp w to. Nigdy. Utrzymam ją do chwili, gdy znów będziesz chodził po zielonej ziemi.

Najbardziej uparta i wierna spośród Aife.

- Przyjdę z odpowiedziami.

Przyjdź sam, a mój obowiązek zostanie wypełniony.

Jeszcze przez kilka chwil podtrzymywała portal, może na wypadek gdybym zmienił zdanie. Ale dokonałem już wyboru. Zamknąłem oczy na zielono-złoty świat i znów wyszedłem w wyjący wiatr.

Rozdział 28

/ oto nadszedł dzień, gdy Valdis osiągnął wiek męski i położył silną dłoń na ramieniu matki. Verdonne uśmiechnęła się i odsunęła na bok, a Valdis wyrwał miecz ojca i pozbawił go mocy. Nie zatrzymał jej jednak dla siebie, lecz złożył u stóp matki. „Pokazałaś swojemu ludowi bezinteresowną siłę i wiarę prawdziwego władcy. To należy do ciebie”. - Opowieść o Verdonne i Valdisie przekazana pierwszym spośród Ezzarian, gdy przybyli oni do krainy drzew

Yallyne nie widziała, jak wychodzę z wieży. Upewniłem się, że tak będzie, zjeżdżając z tyłu wzgórza, a następnie przekradając się między zaśnieżonymi pagórkami, aż znalazłem się możliwie jak najdalej. Oddalenie się od znanych mi ścieżek pociągało za sobą ryzyko, lecz wieża była moją kryjówką i drogą ucieczki. Nikt nie mógł tego odkryć. Koncentracja niezbędna, by poruszać się prosto w stronę miasta, nie pozwalała mi się zastanowić nad celem, który właśnie odzyskałem, ani też nad tym, jakie światło mogły na nie rzucić moje doświadczenia z Kir'Vagonoth. Z ogromną ulgą zwróciłem się w stronę murów osady, a gdy ujrzałem, jak Yallyne pędzi w moją stronę przez mokry śnieg, a jej srebrny blask jest niczym latarnia morska, niemal zapomniałem o wszystkim, co zdołałem sobie przypomnieć.

- Gdzieś ty był, Wygnańcze? - Na jej bladej twarzy malowała się troska. Wyciągnęła rękę i chwyciła moje dłonie. Niczym obroża niewolnika odbierająca dech, tak jej dotyk zaczął tłumić mój odzyskany rozsądek. - Myślałam, że się zgubiłeś albo uciekłeś. Jesteś moim goosem, a gość nie powinien się tak bardzo oddalać od patronki.

Ale ja mocno trzymałem się swojej wolności, zdecydowany nie poddać się urodzie, pożądaniu i czarom, które w nie wplotła. Miałem żonę, syna i obowiązki, które nie pozwalały na dalsze rozproszenie.

- Wybrałem się na przejażdżkę - powiedziałem. - Rozmyślałem. Trudno mi było znaleźć jasność umysłu od chwili, gdy trafiłem do Gastaiów.

- Gastaiowie są wszędzie... - Przerwała i spojrzała w dół na moje dłonie, które nadal trzymała, a później znów w moją twarz. Na jej czole pojawiła się zmarszczka zdziwienia, lecz mówiła dalej, nie wspominając o jej przyczynach. - Nienawidzą ludzi i próbują wszystkiego,

by znów cię porwać do lochów. Nie zapominają.

- Nie, to ja zapomniałem o wszystkim.

- Ale to chyba nie takie złe, co? Powiedziałeś, że przybyłeś tu w pozukiwaniu azylu. Twoje życie musiało być straszliwe, skoro zapragnąłeś znaleźć schronienie wśród tych, których wcześniej niszczyłeś. Czemu chciałbyś o tym pamiętać? - Yallyne wypuściła moje ręce i wskazała odległy zamek. Ruszyliśmy stępa w jego stronę. - Wiele bym dała, żeby zapomnieć o niektórych sprawach. Ale tej umiejętności nie posiadamy.

- Nigdy mnie nie spytałaś, co mi się stało ani dlaczego sądzę, że mogę tu znaleźć prawdę. Denas też nie.

- A do czego byłoby mi to potrzebne? Zostawiłeś tamto miejsce za sobą. Teraz tu jest twoje życie, a ja raduję się twoim towarzystwem. Co zaś się tyczy Denasa, to głupiec i brutal, i nie ma prawa cię przepytwać. Nie musisz się nim martwić. - Jej umiejętności aktorskie się nie poprawiły. Ale nie wiedziałem, czy jej przedstawienie było skierowane do mnie, czy też do niej samej, i która część jej zapewnień była kłamstwem.

Czas zająć się własnymi sprawami.

- Opowiesz mi o Kir'Navarrin, Yallyne?

Spojrzała na mnie ostro.

- Nie - rzuciła i ścisnęła konia kolanami, zmuszając go, by przyspieszył. - Jeszcze nie.

Nie powiedziała nic więcej podczas tej zimnej drogi. Przez łukowaty most też przejechaliśmy w milczeniu. Dopiero kiedy się rozbiegałem, gotów paść na łóżko, uświadomiłem sobie, co zaskoczyło Yallyne, gdy trzymała mnie za ręce. Moje dłonie już nie drżały.

* *

Gdzie zacząć? Im dłużej się zastanawiałem nad swoim życiem w Kir'Vagonoth, tym szybciej dochodziłem do przekonania, że zasłony na oczach, które nosiłem, nie były moim własnym dziełem. Tak, tortury Gastaiów mnie zraniły, ale nie tak bardzo, bym zapomniał o żonie, synu i innych, których pozostawiłem. Nie tak bardzo, bym zapomniał o Aleksandrze i zmianach, jakie uczyniliśmy w sobie nawzajem. Nie tak, bym porzucił przekonanie, że mój lud ma z demonami wspólną historię. Dlaczego demony miałyby obchodzić, co pamiętam? I dlaczego nie kwestionowały mojej prośby o azyl ani twierdzeń, że przychodzę w dobrej woli i

przynoszę ostrzeżenie? Ta bzdura z psami... Yallyne mnie obserwowała. Sprawdzała mnie. A później mnie oczarowała.

Usiadłszy na łóżku po kilku godzinach niespokojnego snu, wyjąłem swój dziennik. Dziecinne pisma niemal nie dało się odczytać, a większość wpisów nie miała sensu. Słodka Verdonne... W jednej z notatek zapisałem pierwsze cztery litery swojego imienia! Nie zastanawiając się wiele, wezwałem ogień, by zniszczył zdradziecki papier, i nim zdołałem się przekląć za to, że zapomniałem o własnej bezradności, musiałem upuścić płonący arkusz. Podskoczyłem i zgasłem płomienie wodą z emaliowanej misy, nim podpaliłem całą zagraconą komnatę. Potem ssalem poparzone palce i niemal zapałem z radości, wyczuwając ciche pulsowanie melody w żyłach. Moja moc również została zduszona więzami demonicznego zaklęcia. Merryt mnie ostrzegał. Pozwoliłem, by dama bez walki ukradła mi duszę.

Starannie posprzątałem bałagan, a później kręciłem się po komnacie, czekając, aż Raddoman przyjdzie z codzienną wizytą. Z trudem tłumiliem ciekawość. Może dowiem się czegoś od mrukliwego gościa. Ze wszystkich demonów on chyba przemawiał najbardziej otwarcie. Nie mogłem się doczekać, aż spotkam każdego ze swoich demonicznych znajomych i popatrzę na niego nowym wzrokiem.

Raddoman pojawił się jak zawsze z hałasem, zmieniając się z demonicznej postaci w niezgrabny ludzki kształt.

- Tu masz wodę. Jedzenie. Pani jest zajęta i nie zobaczy się z tobą do czasu czytania. - Opuścił na stół talerz z chlebem i serem, zdobiony kwiatowym wzorem, i z hukiem postawił obok niego mosiężny dzban z wodą.

- Dziękuję, Raddomanie. Zaczekaj! Zanim pójdziesz...

Demon dumnie uniósł brodę.

- Czego tym razem chcesz?

Nadszedł czas, by sprawdzić moje teorie.

- Dlaczego twierdzisz, że ukradliśmy wam ojczyznę?

W ciągu jednego uderzenia serca trzykrotnie się zmienił, przyjmując postać człowieka, demona i świni. Zdecydowawszy się na postać ludzką, chrząknął.

- Traktujesz mnie, jakbym był jeńcem, co? Przesłuchujesz mnie? - Jego smród unosił się w zimnej komnacie.

- Nie. Przybyłem tu, żeby się uczyć, jak już mówiłem. Ważne jest, bym pojął, jak doszło do wojny między nami. Wśród mojego ludu nie krążą opowieści na ten temat. Żadnych wspomnień. Żadnych zapisków ani obrazów. A jakie historie wy opowiadacie?

- To nie jest historia, yladzie. My pamiętamy. Żyliśmy w Kir'Navarrin, w blasku. Mieliśmy własne ciała i wiedzieliśmy, kim jesteśmy. A kiedy nadeszła groza i mroczne czasy, znaleźliśmy się w Kir'Vagonoth. Gdybym tylko mógł sprawić, by każdy z was, *pandye gash*, przeżył mroczne czasy tak jak my. - Odwrócił się, by odejść, a jego smród wypełnił komnatę. Miałem rację. Kir'Navarrin nie było tylko krainą duszy - miejscem walki z demonami.

- Opowiedz mi o tym, Raddomanie. Chcę się dowiedzieć. Chcę zrozumieć.

Raddoman powoli przybrał demoniczną postać. Jego brodata twarz i zimne niebieskie oczy znów były skierowane w moją stronę, choć się nie odwrócił. Z westchnieniem - zadowolenia, jak mi się wydawało - uklonił się.

- Jak sobie życzysz, yladzie.

Wyciągnął rękę do mojej twarzy i popchnął mnie do tyłu, aż usiadłem na łóżku, oparty o ścianę... aż jego szeroka dłoń zasłoniła moje oczy, nos i usta, stworzona ze światła, odcięła zapachy, głosy i szary blask zamku... Nie mogłem się poruszyć, a ciemność gęstniała, dusząc... paraliżując.

...pali... nie, to zimno... ostre, łamiące kości zimno. Czym jest ta ciemność? Zaraz, pomyśl... ktoś tu jest, płacze... Kto tu jest? Gdzie jesteś? Nie widzę... nic. Czy oślepiłem? Tego ranka słońce świeciło jak wypolerowane złoto... ale teraz go nie ma... i nic nie czuję. Nic, poza tym straszliwym zimnem. Czy umarłem? Nie, na pewno nie. Jestem miody w porównaniu... z tak wieloma. Gdzie byłem, gdzie to się wydarzyło? W ogrodzie... sadziłem... nowe drzewa na nadchodzącą wiosnę... sadzonki przywiezione z Gór Lorrari. Ale wtedy poczułem jasnyr... i zgubiłem drogę... zapomniałem, co robiłem... Na święte gwiazdy, jest tak zimno. Gdybym odnalazł płaszcz, mógłbym się nim owinąć... ale nie czuję nawet własnych rąk. Ten wiatr mnie przeszywa, jakbym nie miał ciała. Musiałem już zdrętwieć. Wiatr... prosto przez moją głowę... Nic dziwnego, że nie mogę myśleć... Ten ostry wiatr mrozi mój umysł. Pomyśl o blasku słońca. Pomyśl, co się wydarzyło... Gdy kopalem i sadziłem, starszy, Lu... Jak on ma na imię? Nie pamiętam jego imienia, choć znałem go całe życie... Brat mojego ojca... wezwał nas obu i powiedział, że nadszedł czas. Wszystko będzie dobrze. Nie będziemy pamiętać... przed zmianą... i niebezpieczeństwo uwięzione w Tyrrad Nor - to straszliwe, bezimienne niebezpieczeństwo z zarania dziejów - nie nadejdzie, gdyż wybraliśmy spokój. Zachowamy moc, nawet więcej, gdyż nie będziemy jej tracić na bezsensowne kształtowanie, i jak zawsze będziemy żyć w pięknie. Potem wszystko pachniało jasnyrem i zasnąłem. Ale oczywiście pamiętam. Pracowałem w ogrodzie tego ran... Ja, który się narodziłem... dalej, samo się powie... imię, z którym się urodziłem... które moja żona wymawiała z miłością... moja żona... Nie! Co się ze mną stało? Nikt nie zapomina imienia swej żony. Gdzie ona jest?

Była ze mną w świetle słońca, karmiła, spodziewała się dziecka... kolejna córka, która upiększy nasz ogród. Kochanie, gdzie jesteś? Wezwałbym cię po imieniu, ale go nie pamiętam. Jak odnaleźć ją w tych ciemnościach, nie znając jej imienia? Zmarznie. A ona tak bardzo nienawidzi zimna. Muszę ją objąć. Ogrzać. A nasze maleństwa... troje... czy słyszę ich płacz? O, święci bogowie dnia, jak się nazywają? A mój ojciec, dotykający mnie ubrudzonymi ziemią dłońmi, który nazywał mnie „synem ziemi, zrodzonym, by karmić drzewa...”? Gdzie jest mój ojciec? Gdzie moje dzieci? Gdzie moje ręce?

Mojego ducha pożerała beznadzieja i samotny żal, gdy wróciło światło - zimne, szare światło Kir'Vagonoth, stanowiące esencję rozpacz. Mój upadek do lochów tylko w przybliżeniu przypominał rozpacz, jaką właśnie przeżyłem. Taka strata. Taki głód. Fizyczne istnienie, które znikło w jednej chwili. Jedyne dźwięki, jakie słyszałem, to skowyt wiatru i zawodzenie innych potępionych dusz. Przez tysiące lat odczuwać wszystkie pragnienia ciała - głód, pożądanie - lecz nie móc ich w żaden sposób zaspokoić. Demony ukształtowały swoją obecną egzystencję z fragmentów wspomnień i skradzionych żywotów dostarczonych przez Gastaiów. Święta Verdonne, cośmy ze sobą zrobili... i ze światem, który wydał takie owoce naszych wysiłków?

Osunąłem się po zimnej ścianie, pusty i obudzony. W drzwiach zamigotała demoniczna postać, odwracając się tak, iż mogłem zobaczyć tylko jej blask.

- Wybacz mi - wyszeptalem. - Nie wiedziałem. Nikt z nas nie wiedział.

- Zebraliśmy krąg - odparł równie cicho demon. - To wszystko, co mogliśmy wymyślić. Lecz minęło wiele czasu, nim znaleźliśmy innych z naszych kręgów. Nie umieliśmy rozpoznać własnych krewnych. Nawet teraz... Denas może być moim bratem, ojcem albo synem, a ja nie będę tego wiedział. Gdy się w końcu zebraliśmy, łowcy ruszyli, by znaleźć coś, co mogłoby nas nakarmić, lecz to, co przynieśli, nie było tym, czegośmy się spodziewali. Żadnego mięsa ani picia, lecz obrazy życia - dźwięki, wrażenia i wspomnienia z ciał, które nie należały do nas, lecz zostały nam dane do współużytkowania. To, co przynieśli, zaspokoilo nasz głód... i niektóre pragnienia, o których wcześniej nie wiedzieliśmy i nigdy nie chcieliśmy wiedzieć, gdyż zepsute doznania są potężne i najłatwiej je zdobyć. I tak przetrwaliśmy, tyle tylko że twój rodzaj - yladowie, *pandye gash* - walczy z nimi i zabija nas albo zmusza do powrotu do tego świata w strzępach, jak w mrocznych czasach. Rozumiesz to, Wygnańcze? To wasze własne zło i wasza własna wojna wypaczyła Gastaiów, aż stali się tym, kim są. Jasne, że wy - *pandye gash* - jesteście tymi samymi, którzy nas tu zesłali; dlaczego mielibyście to robić, jeśli nie po to, by zagarnąć Kir'Navarrin dla siebie?

- Ale my nie mieszkamy w Kir'Navarrin. Nie wiemy nawet, gdzie to jest.

Wzruszył ramionami.

- Być może boicie się tego, co byście znaleźli w Tyrrad Nor. Być może twoi ludzie wiedzą, jak wielkie jest niebezpieczeństwo, i czekają, aż wrócimy i sami je pokonamy. A może nigdy go nie było i to jedynie historyjka, którą nam opowiadaliście, by nas wygnać.

- Tyrrad Nor... Ostatnia Forteca. Co to takiego?

- Mówiłem ci, nie wiemy. Ją również nam odebraliście. Kiedyś żyliśmy obok siebie i te czasy powrócą. Zrobimy wszystko, by odzyskać naszą ojczyznę, jeśli nie żywoty, które nam zabraliście. Chcemy przetrwać. Nie mamy wyboru. Muszę już iść. Pani mnie wzywa.

- Wybacz - powtórzyłem. Jakież bardziej niepotrzebne słowa mogłem wypowiedzieć?

- Nie wiedzieliśmy o tym. Ktokolwiek kazał ci o tym zapomnieć, nam zrobił to samo. Walczyliśmy przez te wszystkie lata, jesteśmy ofiarami tych samych czynów.

- Tylko o tym pomyśl - rzekł, wychodząc na korytarz. - Gdy opuścimy już Kir'Vagonoth, zostaniesz tu sam. Ty i drugi ylad. Nikt was nie będzie karmił, nikt nie powie wam waszych imion.

- Spytasz panią, czy mogę się z nią zobaczyć?

- Nie zechce. Już to mówiłem. Dopiero gdy nadejdzie czas czytania.

- Proszę, zapytaj ją, jeśli możesz. Muszę z nią pilnie o tym porozmawiać.

- Zapytam. - Brązowo-szare światło Raddomana znikło.

Tyle musiałem przemyśleć. A nawet w tych wspomnieniach żyłem z poczuciem zagrożenia. Czym była Ostatnia Forteca? Co to za bezimienne niebezpieczeństwo - „niebezpieczeństwo z zarania dziejów”?

* *

Czekałem niemal godzinę, lecz służący nie wrócił. Poza Yallyne, Raddomanem i nieosiągalnym Denasem nie rozmawiałem z żadnym innym demonem. Nie wiedziałem nawet, jak odnaleźć te, które widziałem, a co dopiero te, które mogłyby odpowiedzieć na moje pytania. Zirytowany przestojem w misji, ruszyłem na poszukiwanie kogoś, z kim umiałem się dogadać. Merryta.

Nie miałem pojęcia, jak dotrzeć do jego pokoju. Gdy wyciągnął mnie z lochów, byłem zbyt chory i otepiały. Mimo to wciąż prznosił wiadomości dla Gennoda, a ja wiedziałem, gdzie on mieszka. Należało tylko odczekać, aż Ezzarianin się pojawi. Przekradałem się przez zamek, co stanowiło miłą odmianę wobec ślepego błędzenia sprzed kilku tygodni. Jak

mogłem być tak oczarowany demonką, tak nieostrożny? Zapomnieć o wszystkich, na których mi zależało. Zapomnieć o treningu. Przysiągłem sobie, że umocnię serce i wolę. Czekałem przed komnatami Gennoda, ukryty w ciemnościach za spiralną kolumną, aż zobaczyłem wychodzącego Ezzarianina.

- Dostarcz wiadomość, yladzie. - W ciemnym korytarzu zamigotało czerwone światło.

- Rhadit czeka. Nie będę tolerował opóźnień.

- Oczywiście, zacny Gennodzie - odparł wielki mężczyzna. Skłonił się z szacunkiem i pokuśtykał korytarzem, mamrocząc coś pod nosem. Wysunąłem się z cienia, stając mu na drodze.

- Wygnaniec! - Był bardzo zaskoczony.

- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Dziwi mnie, że cię spuszczone ze smyczy. - Wskazał na kręcone schody. - Chodźmy w jakieś zaciszne miejsce, co? Gdy człowiek zaczyna kryć się po kątach, wyraźnie sugeruje, że ma coś ważnego do powiedzenia.

- Nie chciałem, abyś przeze miał kłopoty ze swoim panem. To jedyne miejsce, gdzie wiedziałem, że cię znajdę.

Merryt rozejrzał się po korytarzu, po czym złapał mnie za koszulę i przyciągnął blisko, szepcząc do ucha:

- Gennod nie jest moim panem. Sprawia takie wrażenie, aby trzymać rywali na dystans. Mamy obecnie wspólne cele, to wszystko. Strażnik od czasu do czasu musi pozostać wierny swej przysiędze, nawet jeśli nie jest ona zbyt wiele warta, co? A może zapomniałeś o niej, flirtując z piękną Yallyne? Ocaliłem ci życie, Wygnańcze, i co za to dostaję?

- Wybacz, że nie pomogłem ci w galerii - powiedziałem, gdy weszliśmy do pokojów, gdzie kazał mi się umyć i przebrać na pierwsze spotkanie z Denasem i Yallyne. - Miałem wiele na głowie i to nie ja dokonałem wyboru. Przyszedłem do siebie zaledwie kilka godzin temu.

Kopniakiem usunąłem z drogi sporo dziwnie pofarbowanych poduszek i usiedliśmy przy kominku.

- Kradzież umysłu, tak? Ostrzegałem cię. - Wrzucił do paleniska garść chrustu z zaśniedziałej, miedzianej skrzyni i skrzesał ogień. - Zatem czego ode mnie chcesz? Zaczynałem już myśleć, że nie potrzebujesz skażonych braci.

- Chciałbym z tobą porozmawiać o powodach, dla których tu przybyłem.

- Ach. Czyli w końcu mam poznać wielką tajemnicę?

- Mogę ci część wyjawić.

Właściwie powiedziałem Merrytowi całkiem sporo: o spotkaniu z Vyxem za portalem i snach, które na mnie zesłał, o tym, jak zakazano mi walczyć, o mozaice i swoich opiniach na temat demonów, a potem pokrótce opisałem swoje doświadczenia z Denasem i Yallyne. Nie rzekłem jednak wszystkiego. Nie wspomniałem o Fionie. Ani o Blaisie, moim synu, ani jak niewiele brakowało, bym zaprzedał własną duszę. Milczałem o wszystkim, co chciałem utrzymać w tajemnicy przed wszystkimi, ludźmi i demonami. Miałem tylko nadzieję, że Merryt udzieli mi kilku odpowiedzi, które uda mi się zrozumieć. W swojej opowieści zatoczyłem krąg i dotarłem do podstawowego pytania.

- Czym... gdzie... jest Kir'Navarrin? - spytałem. - Raddoman mówił, że kiedyś żyły tam demony, a my wygnaliśmy je stamtąd i skazaliśmy na tę paskudną egzystencję. Yallyne twierdzi, że jej ogród to jego obraz. - Dopiero kiedy opisywałem to Merrytowi, uświadomiłem sobie, że cały ogród Yaallyne... drzewa, kwiaty, nawet układ ścieżek... można było znaleźć na mozaikach, ale nie na pierwszym planie. Jedynie za prostokątami portali. Kiedy to do mnie dotarło, nie mogłem usiedzieć na miejscu, lecz poderwałem się na równe nogi i opowiadając swoją historię, spacerowałem po komnacie Merryta. - Denas i jego towarzysze wierzą, że mogę otworzyć drogę. Czy to prawda?

Ezzarianin uważnie wysłuchał wszystkiego, bezmyślnie trącając butem krawędź paleniska i pocierając kciukami blizny po brakujących palcach, a na jego kwadratowej twarzy malowało się skupienie.

- Nie w tej chwili - odpowiedział. - Ale mógłbyś. I chyba nie spodobałoby ci się, gdybyś dowiedział się, jak to zrobić. Ale każdy Ezzarianin z odpowiednio potężną melyddą mógłby im do tego posłużyć. Najbardziej martwi mnie to, co planują Yallyne i jej przyjaciele. Chodzi o coś więcej niż tylko otwarcie drogi... - Podniósł wzrok i wpatrzył się we mnie zwięzonymi oczami, jakby po raz pierwszy zobaczył moją twarz. - Sądzą, że spróbują cię do tego zmusić. Widzą coś w tobie... człowiek, który twierdzi, że z własnej woli przybył do krainy demonów... Któż w Kir'Vagonoth wiedziałby, co począć z kimś takim? - Przerwał na chwilę, patrząc na mnie, po czym zmienił pozycję i usadowił się wygodniej na poduszkach, jakby podjął jakąś decyzję. - Pozwól, że opowiem ci pewną historię. Wydawało mi się, że mamy trochę czasu, by odkryć, jak się sprawy mają wśród demonów, ale wygląda na to, że wszystko wymyka się spod kontroli. Chyba powinniśmy sami się tym zająć.

Zapomniany ogień zamigotał i zmienił się w pulsujące czerwienią węgielki.

- Demony rozpaczliwie pragną powrócić do Kir'Navarrin. Mówią, że stamtąd pochodzą... może my też, a może nie, jakoś nie mogę uwierzyć w tę część twojej opowieści. Nie jestem jedną połową jakiegoś przeklętego demona. Ale demony zrobią wszystko, by

dopiąć swego. Myślą, że kiedy wrócą do domu, będzie im ciepło, poczują smak potraw i rozpoznają krewnych. Ale coś zagradza im drogę.

- Co?

- My. Ezzarianie. - Ściszył głos tak bardzo, że z trudem go słyszałem, i przyciągał mnie do siebie, aż usiadłem obok niego na poduszkach, wpatrując się prosto w szeroką twarz.

- Co zrobiłaby królowa Ezzarii, jej Strażnicy i Tkaczki, gdyby legion demonów pojawił się na świecie? I wszystkie w jednej chwili weszłyby do ludzkich dusz?

- Legion demonów... tysiące... - Wystarczająco wielu, by w jednej chwili doprowadzić całe miasto lub cały naród do szaleństwa. Mój umysł się zachwiał, przerażony taką myślą. Żadne słowa nie mogły tego wyrazić.

- Tak, widzę, że rozumiesz. Zrobiłaby wszystko, co w swej mocy, by je powstrzymać. Niestety, brama do Kir'Navarrin znajduje się w naszym świecie, w dziczy... a przynajmniej była to dzicz, kiedy ostatnio słyszałem o tym miejscu... w południowo-zachodnim Manganarze, tuż za naszą granicą. Ruina... na zęby bogów, to pasuje do tego, co powiedziałaś... zwana Miejscem Kolumn. Ale nieważne, gdzie leży to miejsce. Ponieważ tylko demony wiedzą o Kir'Navarrin i jego magii, to demon musi otworzyć drogę. A ponieważ brama istnieje w świecie materialnym, demony potrzebują ludzkiej ręki, by tego dokonać... Potrzebują kogoś o potężnej melyddzie, potężnego czarodzieja połączonego z jednym z nich. Przez setki lat próbowali mnie przekonać, bym to zrobił, ale nie chciałem. I dlatego postanowili znaleźć innego ezzariańskiego czarodzieja i opanować go siłą, gdy będą kierować się do portalu.

- Ale dlaczego... skoro mogli cię zmusić, dlaczego tego nie zrobili?

- Ponieważ powiedzieli... - Merryt przez chwilę unosił okaleczoną dłoń przed twarzą. - ...Ponieważ pani nie chciała na to pozwolić. Przekonała innych, że nie jestem tego wart... bo widziałem jej prawdziwą twarz, gdy się pożywiała. Nie mogła mi tego wybaczyć, więc kazała mnie... - Odetchnął głęboko i uśmiechnął się krzywo, znów pocierając blizny. - Cóż, moja melydda obecnie służy tylko do sztuczek i nic by im nie dała. Ale ty... ty masz w sobie wyjątkowo wiele melyddy, tak słyszałem. Wygląda na to, że ktoś postanowił cię wykorzystać i w tym celu cię tutaj ściągnął. Ale wcześniej, zanim spróbują dotrzeć do bramy, chcą zniszczyć Ezzarian.

Opowieść Merryta była chaotyczna, najwyraźniej wykrzywiona przez jego gniew i niechęć. Nie podobało mu się, że został uznany za nieodpowiedniego kandydata, nawet przez demona, który chciał opanować jego duszę. Ale wszystko, co od niego usłyszałem, pasowało do tego, co powiedział Denas - Denas, który miał poprowadzić „wielkie przedsięwzięcie”.

- Dlaczego teraz? - spytałem. - Dlaczego nie zrobili tego wcześniej? Byli inni Strażnicy, z pewnością wystarczająco potężni... - Ale może trudniej się nimi manipulowało jak tym, który przez szesnaście lat był niewolnikiem, którego duma skłoniła do kwestionowania prawa i tradycji, który znajdował się na krawędzi zepsucia...

- Przez długi czas Rudaiowie się temu sprzeciwiali. Są tu szczęśliwi i nie mieli ochoty znów wszystkiego tracić. Ale to Gastaiowie ich wszystkich karmią, a przez naszą wojnę zaczynają popadać w szaleństwo. Wkrótce nadejdzie dzień, gdy wyrwą się spod kontroli, a kto wtedy będzie dostarczał pożywienia pozostałym? Rudaiowie są następnymi w kolejce do polowań. Nie podoba im się ten pomysł i dlatego w końcu zdecydowali się przyłączyć do przedsięwzięcia. Jedyne, co ich powstrzymuje, to wieczne kłótnie Nevaiów, kto powinien poprowadzić legion. Ty zabiłeś Naghidę, a to był właśnie jego pomysł. Wszyscy najpotężniejsi Nevaiowie zaczęli więc wybijać się nawzajem, aż w końcu może nie pozostać ani jeden.

- Musimy to powstrzymać, Merrycie. - Wiedziałem to na pewno, tak jak znałem swoje imię. Widziałem wyraźnie...

...konne demony wyjeżdżające po świetlistym moście w burzę szalejącą poza murami zamku. Groza, która na nich czekała... ten w czerni i srebrze... gotów, by poprowadzić ich do zniszczenia Ezzarii. Na krawędzi drzew stały Ysanne i Catrin, młody Drych i Tegyr, a za nimi, w cieniach rzucanych przez księżycowy blask, pozostali z mojego ludu...

...ale nie ja. Nie będzie mnie tam, by ich bronić, i żadne z nich nie pozna prawdy.

- To zniszczy nas wszystkich - powiedziałem. - Ezzarian i demony pospołu... i wszelką nadzieję na naprawienie wielkiego zła, które zostało uczynione. Musimy ostrzec Ezzarię i znaleźć sposób, by przekonać obie strony, że ich los wcale nie jest przesądzony. Musi istnieć inna odpowiedź.

- To z pewnością nowatorski pomysł. Myślę, że Gastaiowie zamieszcili ci w głowie. - Westchnął i z kryształowej karafki nalał wina do dwóch srebrnych kubków. Jeden z nich wcisnął mi do ręki. - Jeśli chodzi o ostrzeżenie Ezzarian, to niemożliwe, chyba że jednemu z nas uda się stąd wydostać. Może będziesz miał więcej szczęścia w poszukiwaniach drogi na zewnątrz niż ja. A jeśli chodzi o przekonywanie... słyszałeś Denasa i to, jak mówi o yladach. Nie można powiedzieć, by błagał o ponowne przyjęcie do rodziny. I mogę sobie wyobrazić, co odrzekliby ezzariańscy starsi, gdybym próbował im wmówić, że nasza wojna z demonami to mordowanie krewnych. Znikłbym im z pola widzenia, nim udałoby mi się wypowiedzieć te słowa.

Czy inwazja stanowiła klucz do mojego snu? Czy Vyx próbował mnie ostrzec o demonicznym spisku? To wyjaśniałoby, dlaczego publicznie nie wspomniał o naszej znajomości ani nie okazywał mi przyjaźni. Jeśli chciał zaszkodzić przedsięwzięciu demonów, mógł nie mieć odwagi wyjawiać tego, co uczynił. A jednak wyjaśnienie to zdawało się zbyt proste. Grozą tego snu była wszechogarniająca, pochłaniająca ciemność... prowadzona przez istotę o olbrzymiej mocy.

- Merrycie, co wiesz o miejscu zwanym Tyrrad Nor?

- Ostatnia Forteca? Nic. Znam jedynie pogłoski z mrocznych czasów. Nic więcej - odparł Merryt, układając się na poduszkach i opierając stopy o płaskie pudełko. Trzymany przez niego kielich lekko drżał. - Żaden z diabłów nie potrafi powiedzieć, co ich tak przeraża. Tylko ich o to spytaj. Zobaczysz. Skoro jest aż takie straszne, któryś z nich powinien coś pamiętać... Jeśli to miejsce w ogóle istnieje. Pomyśl o tym, chłopcze. Jeśli w Kir'Navarrin kryje się tak wielkie niebezpieczeństwo, to dlaczego tak bardzo pragną tam wrócić?

Jeśli wierzyć Raddomanowi, rai-kirah nie miały wielkiego wyboru. Mogły powrócić lub stać się takie jak ci w lochach. Wolały zaryzykować nieznaną niebezpieczeństwo, by uchronić się przed tym znanym. Ale co stanowiło prawdziwe zagrożenie?

- To właśnie strach kazał nam się rozdzielić przed tysiącem lat. Musimy wiedzieć...

Merryt uderzył kielichem w stół.

- Przysięgam, że to, co wydarzyło się tysiąc lat temu, nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, co ma nadejść teraz... w prawdziwym świecie, gdzie są Strażnicy, Aife, Poszukiwacze i Pocieszyciele, którzy nie pozwalają tym przeklętym demonom opętać każdego, kto im się spodoba... a już zwłaszcza nie tysięcznemu legionowi. To tam rozegra się bitwa, w której zwyciężymy lub poniesiemy klęskę. Musisz oczyścić głowę ze wspomnień, chłopcze. Diabły chcą nas zniszczyć, a jeśli upadniemy, zapanuje chaos. Żadne widmo zamknięte w fortecy nie może uczynić nic gorszego.

Miał rację. Inwazja stanowiła bezpośrednie zagrożenie, gorsze niż myślał. Ani Merryt, ani demony nie pojmowali, jak niewielu nas zostało od czasu najazdu Derzhich. Niezależnie od tego, jak dojdzie do konfrontacji, Ezzarianie zostaną zniszczeni, pozostawiając świat na łasce rai-kirah. Innymi słowy, wszystko po kolei.

Merryt pochylił się w moją stronę, gestem kładąc mi usiąść blisko siebie. Zniżył głos.

- Tkwisz w środku bezpardonowej walki, przyjacielu. O ile nie pragniesz zostać demonem, lepiej uważaj na swoją duszę. - I jakby przekazanie mi tej odrobiny wiedzy go uspokoiło, znów się odprężył i osuszył kielich. - Największym zaskoczeniem jest Vyx... głupiec w samym sercu spisku. Najwyraźniej oszukał nas w wielu sprawach. Może cię

ostrzegął, ale sędzę, że raczej próbował cię tu ściągnąć, by wykorzystać do połączenia. Ale nie sędzę, by sam pragnął dowodzić legionem. Czyją zatem stronę trzyma? Rhadit nie jest na tyle bystry, by samemu wpaść na taki pomysł... a z pewnością nie chodzi o Denasa. Denas gardzi Vyxem od pięćdziesięciu lat. Niedawno pobił go za jakąś niewielką obrazę... w obecności dwudziestu świadków. Jest jeszcze kilku innych pretendentów. Nesfarro może współdziałać z Yallyne i Vyxem... ale to byłby niezwykle spisek. Kryddon jest zbyt słaby. Legion nigdy by za nim nie podążył. A Yallyne dysponuje odpowiednią mocą, ale obchodzi ją jedynie własne przyjemności. W takim razie kto? Ktoś, kto przekonał ją, by uczyniła z ciebie narzędzie, jakiego potrzebują. - Choć ogień zgasł, Merryt otarł czoło niebieską chustką. - To wyjaśnia, dlaczego tak długo pozostawałeś w lochach po tym, jak Denas jej o tobie powiedział.

- Wiedziała? - Wszystkie moje spekulacje na temat niebezpieczeństw i snów w jednej chwili znikły. Demoniczna pięść w żołądku nie byłaby taka zimna.

Uniósł krzaczaste brwi.

- Oczywiście, że wiedziała. Denas był jedynym, który mógł cię wydostać. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego nie chwycił przynęty, kiedy zamachałem mu przed nosem perspektywą kolejnego ludzkiego sojusznika. Kiedy przyszedłem do niego po raz wtóry, by się za tobą wstawić, powiedział mi o tej swojej idiotycznej umowie, przez którą oddał cię Yallyne. To ona trzymała cię w lochach, Wygnańcze, a wraz z nią Vyx, gdyż co wie Yallyne, wie też Vyx. To nie są zwyczajni wrogowie, przy jacielu.

Nie. To nie są zwyczajni wrogowie. Gdy już odzyskałem rozum, wszystko znalazło się na swoim miejscu. Rzeczywiście, zaczynałem tracić pamięć przed pierwszymi odwiedzinami Merryta w lochach. Od tej chwili wszystko znajdowało się jakby za mgłą, każda chwila z Yallyne była obsesją. Pozostawiła mnie na torturach, aż zapomniałem o wszystkim, aż stałem się tak pusty, że wraz z przyjaciółmi mogła mnie napełnić wszystkimi kłamstwami, jakimi tylko zapragnęła. Wszystko - ratunek, proces, podpuszczanie i sympatia - wszystko to zostało wyreżyserowane... jak pantomima... jak taniec... bym zrobił to, co zechcą. Bym wyjawiał im swoje imię. Bym pozwolił im opanować duszę, żeby mogli mnie wykorzystać, jednocześnie niszcząc moją żonę, przyjaciół, dom.

Pełen niesmaku i wściekłości wyrzuciłem z siebie tajemnicę, której wcale jeszcze nie chciałem wyjawiać.

- Możemy ostrzec Ezzarię. A kiedy nadejdzie właściwy czas, kiedy dowiemy się wystarczająco wiele, uciekniemy.

Oczy Merryta stały się ogromne.

- W takim razie to, co powiedziałaś, jest prawdą... Przybyłeś tu z własnej woli... Nigdy nie wierzyłem... - Myślałem, że jego głośny śmiech stopi lodowe mury zamku Denasa. - Na Bezimiennego Boga, bracie, to wszystko zmienia! Droga ucieczki! Po całej wieczności... zobaczyć słoneczny blask... i pomieszać szyki demonom. Muszę się nad tym zastanowić. - Jego ciemne źrenice zapłonęły z podniecenia. - Jeśli się postaramy, wywołamy chaos. - Zerwał się gwałtownie, dając mi do zrozumienia, że muszę odejść. - Zachowaj ostrożność, przyjacielu. Nie pozwól im się domyślić, że znasz ich plan. Jeśli uznają, że odmówisz, nie będą już mieli z ciebie pożytku i zrobią z tobą to samo co ze mną. Powstrzymamy ich... Wszystkich, którzy nas skrzywdzili. Na wszystko, co święte, tak uczynimy. Po tych wszystkich latach... - uniósł okaleczone pięści i wyszczerzył się dziko - ...cholernie dobrze będzie wrócić do walki.

Rozdział 29

Spiski. Konspiracja. Manipulacja. To nie były odpowiedzi, jakich szukałem w krainie demonów. Z pewnością nie do końca ufałem Merrytowi - już zaczynałem żałować, że zdradziłem mu istnienie wieży Fiony. Jego opowieść służyła jego własnym celom, była mieszanką pogłosek i domysłów, a płynne ominięcie tematu Tyrrad Nor brzmiało fałszywie. A jednak Raddoman też przemilczał tę kwestię i wolał zaryzykować nieznanie niebezpieczeństwo, by odzyskać dom. To groza, którą odczuwałem, ścisła mi żołądek. Ale wszystko, co Merryt opowiedział mi o planie demonów, pasowało do tego, czego zdążyłem się do wiedzieć. Nic dziwnego, że Yallyne nie zadawała mi żadnych pytań. Vyx i ona doskonale wiedzieli, co sprowadziło mnie do Kir'Vagonoth, i wcale ich nie obchodziły inne powody. Mieli własny plan.

Wyszedłem za róg zamku i niemal przewrócił mnie wiatr. Po opuszczeniu komnat Merryta wyszedłem na zewnątrz na spacer, by uciszyć złość. Złość, że pozwoliłem się tak oszukać. Złość na demony za ich migotliwe piękno, za litość i podziw, jakie we mnie wzbudzały. Jaki wojownik czuje litość? I rozczarowanie - wszystkie nadzieje na zrozumienie, na pokój... Jakim głupcem byłem, sądząc, że pojęcie jednego człowieka zatrzyma falę przemocy, jaka wypełniała naszą historię?

Nawet teraz jednak, gdy już wiedziałem o dwulicowości Yallyne, właściwie nie robiła mi ona różnicy. To była najbardziej niepokojąca część opowieści. Tak wielu cierpiało tak długo. Tak wielu musiało stawić czoła temu cierpieniu. Jeśli otwarcie drogi do Kir'Navarrin miało naprawić zło, które stworzyli moi przodkowie... Żołądek mi się ścisnął, buntując się przeciwko straszliwemu przekonaniu, które we mnie narastało, gdy po raz setny odbudowywałem w myślach mozaikę.

Gdybym był kształtującym Rudaiem, mógłbym odtworzyć obrazy zniszczonego kamienia w najdrobniejszych szczegółach - drzewa, postaci, portale, które prowadziły do miejsca będącego obrazem ogrodu Yallyne - ogrodu, który sam był obrazem Kir'Navarrin. W tym ciągu pejzaży leżała jedna z odpowiedzi, po które udałem się tak daleko. Teraz wiedziałem, gdzie Blaise i Kyor, Farrol i moje dziecko znajdą lekarstwo. Kobieta-jeleń, w bólu i cierpieniu, zostawiła swoją rodzinę w świecie ludzi i przeszła przez portal do

Kir'Navarrin, a później wróciła, pełna spokoju, i znów zaczęła żyć. Coś w tym miejscu ją uleczyło. Owiąłem się ciasniej płaszczem i stawiałem czoła wiatrowi, który szalał na dziedzińcu niczym bestia w klatce.

- Wygnańcze! - zawołał mnie z balkonu Raddoman. - Pani na ciebie czeka. Zirytowała ją twój nieobecność. Gdzie byłeś?

- Spacerowałem - powiedziałem. - Próbowałem się obudzić. - Musiałem być ostrożny. - Niestety, nie udało mi się.

- Jej goście czekają w bibliotece. Radziłbym ci udać się tam bez chwili zwłoki.

Spojrzałem na wyrzeźbioną ze światła postać na balkonie i zastanowiłem się, czy Raddoman też był częścią gry. Pewnie tak. Nic nie pozostawiliby przypadkowi. Tylko dzięki łasce Fiony odzyskałem rozsądek, a gdy wszedłem do lodowego zamku, żałowałem, że w ogóle zobaczyłem jej wieżę. Nie wiedziałbym, czego żąda ode mnie przeznaczenie.

* *

- Czekałam bardzo długo, Wygnańcze - oznajmiła Yallyne, gdy wszedłem do mrocznej biblioteki.

Zdjąłem wąski, brązowy tomik z półki, gdzie umieściłem książki, które wydawały się kompletne i sensowne.

- Przepraszam, pani. Nie mam tu poczucia czasu. Nie jestem przyzwyczajony... - Do mierzenia czasu bez słońca i gwiazd, to chciałem powiedzieć. Ale nawet w gniewie czułem, że to byłoby okrutne. - Wszedłem na zewnątrz i straciłem poczucie czasu.

Usiadłem na swoim stołku, wcisnąłem książkę między kolana, jak to zawsze robiłem, próbując zignorować zielone oczy, które tak bezwstydnie się we mnie wpatrywały. Bez wątpienia przyglądała się, czy moje dłonie drżą i czy moja twarz zawiera jakąś wskazówkę, że przejrzałem jej grę. Spiskowcy nie znali odpoczynku, co sam dobrze wiedziałem.

W bibliotece były trzy inne demony - Kaffera, Tovall i Denkkar - spoczywające na miękkich sofach; rozmawiały i śmiały się cicho, ułożone tak, że widziałem tylko ich blask. Yallyne się nie położyła, lecz usiadła na krześle, obserwując mnie, aż poczułem, jak palce jej zaklęcia sięgają do mnie, by znów zamieszać mi w głowie. Odziana była w powiewną zieloną suknię, o odcieniu ciemniejszym niż jej oczy, a złociste loki upięła z jednej strony szmaragdową spinką. Moja krew pulsowała wspomnieniem chwili, gdy objąłem demoniczny ogień, przez co zająknąłem się przy początkowych słowach poematu.

Źle dobrana lektura, głupcze. To była oda Hollennich, historia dwojga młodych kochanków, w dniu urodzin przeznaczonych do małżeństwa, ale nie ze sobą. Beznadziejna miłość, niekończący się smutek, gdy tych dwoje pragnęło spędzić choć kilka chwil razem, ścigani przez nieustępliwe przeznaczenie. Język był przesadnie kwiecisty, postaci głupie i proste, rymy prymitywne. Ale dosłowny opis czulego uprawiania miłości nie był tym, co pragnąłem usłyszeć, gdy próbowałem podtrzymać ścianę gniewu między sobą a tymi zielonymi oczami. Rozpoznanie choroby nie obniża gorączki. Jedno potknięcie i znów będę zgubiony.

Przerwałem w połowie długiej opowieści.

- Książka ma skazę - wyjaśniłem, zeskakując ze stołka. - Znajdę inną.

Za moimi plecami zabrzmiały głosy sennego rozczarowania, a ja wepchnąłem niebezpieczny tom na półkę i zacząłem szukać wśród zbioru czegoś mniej ryzykownego.

- To nieważne, Wygnańcze. Odłóż ją. - Melodyjny głos szeptał cicho do mojego ucha. Stanowczo za blisko. - Moi goście wyszli.

Zostałem tam, gdzie byłem, kucając przy najniższych półkach, nie ważąc się odwrócić i spojrzeć na nią. Jej obecność otaczała mnie niczym płaszcz mocno pachnących kwiatów, odcinając wszystkie inne doznania.

- Przepraszam. Znajdę...

- Przyjdź później do mojej komnaty, kiedy naczynie czasu będzie na najniższym poziomie. Przynies książkę i przeczytaj mi resztę opowieści.

- Jest niepełna.

- To dopełnisz ją dla mnie.

Nim zdołałem wymyślić jakąś wymówkę, znikła. *Przeklęta demonka.*

Świadomie pozostawiłem tomik poezji na półce i wziąłem inną księgę, ponoć opowiadającą historie o bogach. Bogowie wcale nie byli romantyczni. W drodze do swojej komnaty przeszedłem obok naczynia czasu, które mierzyło mijające chwile w olbrzymim, pustym holu zamku. Zajrzałem do środka szarej, rzeźbionej cembrowiny. Powoli opadające lustro wody znajdowało się tuż nad siódmym znakiem. Siedem godzin. Wieczność.

Kiedy wróciłem do swojej zagraconej kryjówki, kilka chwil spędziłem na spożywaniu chleba przyniesionego przez Raddomana. Wcześniej nic nie zjadłem, nim ruszyłem na poszukiwanie Merryta. Myśl o uwięzionym Ezzarianinie zawiodła mój umysł na ścieżki, którymi nie miałem ochoty wędrować, więc zapaliłem światło na dłoni i otworzyłem książkę. Przez godzinę czytałem opowieści o bogach Kuvaiów i Manganarczyków, Basrańczyków, Thridów i Frythów, i dwudziestu innych nacji, o których nigdy nie słyszałem. Wiele było do

siebie podobnych. Zdawało się, że bogowie mają te same słabostki co ich ludzcy wyznawcy - miłość i zazdrość, smutek i radość. Niektórzy byli ludzkimi bohaterami, sprawdzanymi i kuszonymi, i wyniesionymi do boskości. Niektórzy byli nieśmiertelnymi nauczycielami, którzy smucili się błędami swoich uczniów. Po co potrzebny człowiekowi bóg, jeśli nie daje ulgi w cierpieniach zwyczajnego życia?

Lektura sprawiła, że zacząłem rozważać nauki z czasów młodości... opowieść o śmiertelnej dziewczynie Verdonne i jej romansie z bogiem lasu, i o ich pół-śmiertelnym, pół-boskim synu Valdisie. Bóg stał się zazdrosny o swojego syna, tak mówiła opowieść, gdyż chłopiec był ładny, inteligentny i szczodry, i bardzo kochany przez śmiertelników. Kiedy bóg zagroził, że zniszczy niewiernych ludzi, odważna Verdonne posłała dziecko w bezpieczne miejsce, a sama chwyciła za miecz, stając między niebiosami a ziemią, by chronić ludzki świat przed swoim mężem. Stała samotnie - upokarzana, wyśmiewana i raniona przez boga - aż Valdis osiągnął wiek męski. Wtedy młody bóg rzucił wyzwanie ojcu i pokonał go. Sam nie zasiadł na tronie, lecz oddał go matce i uczynił ją nieśmiertelną, twierdząc, że pokazała światu, jak powinien zachowywać się bóg... Bronić swojego ludu niezależnie od ceny. Był szczęśliwy, władając u jej boku jako jej silne prawe ramię.

Jakże wielki był wpływ tego mitu. Mój lud uważał, że ta historia wyjaśnia, dlaczego Ezzarianie mają królową, a nie króla, dlaczego czujemy się bezpiecznie w lesie i skąd między drzewami melydda, „Dar Valdisa”. A może to opowieść brała swój kształt z materii naszych żywotów, prawdy, która mieszkała między nami, a przybrała swoją postać i chwałę dzięki językowi minstrela?

Siedziałem zamyślony, przesuając palcem po osnowie i wątku kapy na łóżku, a opowieść zaczęła mnie gnębić, lecz nie mogłem określić dlaczego. Mój umysł powędrował bezmyślnie ku jej zakończeniu. Valdis nie zabił ojca, lecz uwięził go i odebrał mu imię tak, aby śmiertelni nie mogli go już czcić ani otrzymywać od niego mocy. *Odebrał mu imię...* Książka wyslizgnęła mi się z rąk, gdy usiadłem powoli na łóżku. Co mnie tak niepokoiło? To był tylko mit. Czytałem z dziesięć podobnych opowieści. Mimo to pojawił się przede mną obraz - widok zniszczenia, krew, kości i zrujnowane miasto - i usłyszałem głos Vyxa, gdy spotkałem go za portalem: „To tutaj prowadzą cię takie uczucia... do dziedziiny... Bezimiennego”. Zaledwie kilka godzin temu Raddoman podzielił się ze mną niepokojącym wspomnieniem o „bezimiennym niebezpieczeństwie” w fortecy zwanej Tyrrad Nor. Czyżby większość prawdy kryła się... w micie? Źródło... Bezimienny Bóg...

- Psst! - Zza niewielkiego kręgu światła dobiegł syczący dźwięk. Oderwawszy się od bezkształtnych teorii, rozjaśniłem światło i odkryłem Merryta, przytulonego do ściany tuż za

framugą drzwi. Wskazywał ręką w stronę ciemnego korytarza i szybko kręcił głową. Ktoś stał za moimi drzwiami. Zmieszany, gestem kazałem Merrytowi obejść szafkę ze szklanymi półkami, a on szybko prześlizgnął się między serwantką i zasłoniętym oknem, podczas gdy ja przygasilem światło.

- Jesteś sam, Wygnańcze? - W drzwiach stanął Raddoman; jego brązowy blask był poszarpany na krawędziach niczym pospiesznie przystrzyżone włosy.

- Czy pani chce mnie zobaczyć? - Przekląłem siebie za łatwość, z jaką ta myśl przyćmiła wszystkie inne.

Demon przyjął ludzką postać i gładząc brodę, rozglądał się po pokoju.

- Nie. Widziano ylada... tego drugiego Ydrassa... jak wdzierał się do skrzydła będącego własnością pani. Nie jest tu mile widziany. Nie powinieneś mieć z nim nic wspólnego.

- Czy jestem tu uwięziony, Raddomanie?

Wzrok demona na mnie spoczął.

- Nie, yladzie, nie jesteś tu więźniem. Pani poprosiła Denasa, aby cię nie więził, i dobry pan udzielił jej łaski posłuchania. Wiesz, jak pani nie lubi...

- Zatem opuść mój pokój i kiedy będziesz do niego wchodził następnym razem, zapukaj. Takie panują zwyczaje wśród yladów.

- Jak sobie życzysz, Ydrassie. - Demon uklonił się, na odchodnym strzelając spojrzeniem na lewo i prawo. Dziwne, że nazwał mnie Strażnikiem. Zastanawiałem się, czy nie spotkaliśmy się kiedyś w walce. Być może dlatego mnie tak nie lubił. Podszedłem do drzwi i przyglądałem się, jak jego migocząca postać oddala się korytarzem, a nim skrzył za róg... zamrugałem i zmrużyłem oczy. Przysiągłbym, że światło Raddomana zmieniło kolor... czerwień i niebieski przemieszane z szarozielonym. Patrzyłem, jak znika, powoli wszystko pojmując. Myliłem się sądząc, że potrafię bez problemu zidentyfikować każdego demona. Niektóre były sprytniejsze. Miały poczucie humoru i pojawiały się w miejscach, w których nie powinno ich być - w duszach artystów, snach Strażników albo w ciałach, które nosiły twarze inne niż ich własne. Niektóre były sprytnymi zdrajcami.

- Dzięki ci, bracie. - Merryt wychynał ze swojej kryjówki i poruszył ramionami. - Nieprzyjazny brutal. Lecz jeśli mam rację i dowiedzieli się, co zrobiłem, w ciągu najbliższej godziny moje życie stanie się znacznie mniej przyjemne. Jestem na twojej łasce i niełasce.

- Coś ty zrobił? - warknąłem, bardziej szorstko niż zamierzałem.

- Powiedziałem Denasowi, że Yallyne i Vyx chcą przejąć dowodzenie nad legionem i planują wykorzystać cię do otwarcia bram. Nie wdziałem jeszcze, aby ktoś się tak wściekł!

Obawiam się, że twoje życie nie jest mniej zagrożone niż moje. Denas przysiągł, że prędeż cię zabije, niż pozwoli rywalom cię wykorzystać.

- Powiedziałeś Denasowi? Bogowie nocy, ty zdradziecki...

Merryt uniósł dłonie i cofnął się, a jego brązowa skóra poczerwieniała.

- Zaczekaj, Wygnańcze. To nie tak, jak myślisz. Wysłuchaj mnie. Jakaś godzinę potem powiedziałem Gennodowi, że Denas wyruszył, by zamordować jego i Rhadita oraz przejąć ciebie. Gennod jest mniej podły niż większość demonów, wydawało mi się więc słuszne, by powiedzieć mu o zdradzie Denasa. Możemy mieć nadzieję, że na chwilę nasi wrogowie chwycą się za łby. Da nam to czas, żeby się stąd wydostać i ostrzec Ezzarian. To jedyna rzecz, o której myślałem. Lecz ktoś obserwował podwórze, na którym rozmawiałem z Gennodem, i jestem pewien, że od tego czasu mnie śledzi. Jeśli mamy opuścić to przekłete miejsce, lepiej zrobmy to natychmiast. - Merryt podskakiwał niczym wróblica strzegąca młodych.

Bezgranicznie osłupiały, widząc, że wszelkie środki ostrożności wzięły w łeb, a jedyny skrawek wiedzy - nasza jedyna przewaga - został wydany, zanim jeszcze sprawdziliśmy, czy jest coś wart, mogłem tylko wyrazić swój gniew.

- Jesteś głupcem, Merrycie.

Rozumiałem jego pośpiech. Zapomnienie o żądle zemsty demona zajęłoby mi więcej niż trzysta siedemdziesiąt lat. Mimo to nie byłem jeszcze gotów na opuszczenie królestwa demonów. Rozbicie sojuszu Vyx'a i Yallyne oraz ostrzeżenie Ezzarian nie wystarczało. Gdyby istniała jakaś nadzieja dla Blaise'a i mojego dziecka... Do tego gryzła mnie tajemnica Ostatniej Fortecy.

- Mam zbyt wiele pytań. Musimy lepiej poznać zamiary demonów, dowiedzieć się więcej o Tyrrad Nor. Sam powiedziałeś, że nie wiemy, kto stoi za Vyxem i Yallyne. I mogłeś, do cholery, uprzedzić mnie, co zamierzasz, zanim zdecydowałeś się narazić moje życie.

Wzruszył ramionami i wyjrzał na korytarz.

- Wybacz, że zwałem ci to na głowę, zanim zdołaliśmy się spotkać i to omówić, ale w tym miejscu tajemnicy nie da się zachować zbyt długo. Musimy ich ostrzec. Powstrzymamy rzeź Ezzarian. To „niebezpieczeństwo” w Tyrrad Nor nie stanie się poważnym zagrożeniem, jeśli zapobiegniemy otwarciu bramy, a twoje życie nie będzie zagrożone, dopóki pozostaniesz ze mną. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Mam nadzieję, że siejąc wokół informacjami, nie powiedziałeś nikomu o naszej drodze ucieczki?

Merryt wyszedł na korytarz.

- Pewnie, że nie. Doskonale wiem, co robię. Trzymaj się mnie, a wszystko pójdzie jak należy.

Który z nas był większym durniem? Merryt, ze swoim uproszczonym sposobem widzenia wszystkiego, czy ja, który mu zaufałem? Merryt gestem kazał mi iść za sobą.

- To, co zrobiłem, jest warte mojego życia, Wygnańcze. Wkrótce się dowiedzą, że i ty maczałeś w tym palce. Lepiej, aby nas tu wtedy nie było.

Założyłem płaszcz, żałując, że nie pozwoliłem mu samemu ponosić konsekwencji jego poczynań i nie przestałem narażać własnych zamierzeń.

- Dobrze więc - westchnąłem. - Przez następnych kilka godzin Yallyne mnie nie oczekuje. Wyprowadzę cię stąd.

Gdy szliśmy korytarzem, nikogo nie było w pobliżu.

Merryt znał ścieżki bardziej kręte, niż moja głowa uznawała za możliwe. Nie umiałem określić, czy znajdowaliśmy się na trzecim piętrze zamku czy pięć poziomów pod nim, wchodzimy, wychodzimy czy idziemy w bok. Lecz napotkaliśmy tylko dziesięć demonów, a ja żadnego z nich nie rozpoznałem. Wyszliśmy z zamku tymi samymi tylnymi drzwiami, przez które Ezzarianin wprowadził mnie w dniu mojego ocalenia.

- Dokąd teraz? - zapytał.

- Za miasto - Wskazałem na ciemną smugę na horyzoncie.

- Ta Aife to twoja żona? - Przeszliśmy znaczny kawał drogi ku rozrzuconym światełkom osiedli Rudaiów, zanim Merryt się odezwał.

- Nie. To ktoś inny.

Chyba musiał wyczytać coś z mojego tonu i pojął, że nie mam ochoty o tym rozmawiać, gdyż milczał aż do chwili, gdy minęliśmy grupę skał i weszliśmy do długiego, niskiego budynku o spadzistym dachu. Podczas swoich przejażdżek z Yallyne widziałem ich wystarczająco dużo. Były to domy i warsztaty Rudaiów, wkopane w przeważającej części w śnieg i lód, połączone ze sobą tunelami i przejściami.

- Nevaiowie wolą mieszkać nad ziemią, a nie kryć się w swoich norach jak zwierzęta - wyjaśniła mi kiedyś Yallyne.

Zakręty korytarza wydawały mi się dziwnie znajome i wkrótce znaleźliśmy się w „kryjówce” Merryta - niewielkim pokoiku zastawionym wszelkimi rodzajami towarów.

- Nie mamy czasu - powiedziałem, gdy zaczął przeglądać zawartość płaskiego, obitego miedzią kufra. - Do miasta jeszcze daleka droga. - A ja musiałem wrócić, nim pani zacznie mnie szukać.

- Nie ruszę się bez tego - oznajmił, wyciągając błękitny płaszcz Strażnika. -

Obiecywałem sobie, że założę go znowu, gdy wrócę do domu. A co do ciebie, te ubrania demonów... będziesz potrzebował jakichś łańców. Kto wie, co stanie się z tworam Rudaiów, gdy wrócimy do świata śmiertelnych?

Rzucił mi czarną koszulę i spodnie.

- Później o tym pomyślę - odparłem. Nie byłem przygotowany na to, by mu oznajmić, że nie zamierzam mu towarzyszyć.

Po szybkim marszu przez podziemne mrowisko warsztatów, kuchni śmierdzących gorącą smołą, zjełczałym boczkiem, olejem do lamp i nadmiarem perfum znów znaleźliśmy się na zewnątrz. Przez godzinę walczyliśmy ze śniegiem i lodem, idąc w kierunku odległej bramy opuszczonego miasta.

- Dokąd teraz? - spytał Merryt, a jego podekscytowanie przebijało się przez wiatr niczym nóż.

- Na lewo... - Gdy szliśmy po peryferiach miasta, deszcz ze śniegiem oślepił nas tak, że ledwo widzieliśmy siebie nawzajem, a co dopiero mówić o określeniu kierunku. Pagórkowaty teren za miastem przecinały wielkie lodowe iglice, które w śnieżycy łatwo było pomylić ze zrujnowanymi wieżami. Dwa razy poprowadziłem nas złą drogą i musieliśmy cofać się do bram miasta, by się zupełnie nie zgubić. Lecz mój trzeci wybór zaprowadził nas na zaśnieżony pagórek, a po kolejnych pięciuset krokach wskazałem na czarną wieżę, wznoszącą się na grani.

- Na moje buty!

Powlekliśmy się po równinie, następnie wspięliśmy na zaśnieżony pagórek, zaś pół godziny później przeszliśmy przez drzwi. Burza za nami zniknęła niczym opadły płaszcz.

Skoncentrowałem się.

- Aife!

Cisza. Oczywiście nie było powodu przypuszczać, że będzie czuwać tu o tej właśnie porze, lecz miałem nadzieję, że wkrótce się pojawi. Od chwili gdy sprawdziłem naczynie czasu, minęły niemal trzy godziny; powrót do zamku zajmie mi kolejne dwie. Może będę musiał wysłać Merryta w drogę samotnie. Mężczyzna przewiercał mnie wzrokiem, lecz ja pokręciłem głową i usiadłem na podłodze.

- Pojawia się tylko na godzinę dziennie - powiedziałem. - Będziemy musieli zaczekać.

- Daje mi czas, abym mógł cieszyć się tą myślą. - Rozradowany Mer ryt założył swój błękitny płaszcz i usiadł na posłaniu z sosnowych gałęzi; spałem na takim samym, gdy Catrin odpędzała moją gorączkę. Catrin...

- W naszym świecie będziesz musiał zachować ostrożność - poradziłem i w tej chwili

uderzyła mnie odległość jego podróży. Niemal cztery stulecia. - Unikaj miast i karawan, każdego miejsca, gdzie ludzie są tak zdesperowani, że sprzedają innych ludzi. Ezzarianie w przeszłości dość niefortunnie ściągnęli na siebie uwagę i choć jesteśmy bezpieczni w Ezzarii, prawo cesarskie nakazuje brać nas w niewolę.

- To wyjaśnia kolekcję twoich blizn. Tyle powinienem się nauczyć... Będziesz musiał mnie prowadzić. Uczyć. Przez tyle lat wszystko pewnie bardzo się zmieniło. - Niczym ślepiec przesunął wielkimi palcami po twarzy. - Znów zacznę się starzeć. Czy sądzisz, że to dobra zapłata za ciepło i światło słońca?

Zachichotał.

- Wszystko jest handlem, nieprawdaż? Niekiedy lepszym, niekiedy gorszym. Niekiedy niewyobrażalnym.

Czekając, opowiadałem mu o świecie. O cesarstwie, historii i polityce, pieniądzach i szlakach.

- Ta Aife powie ci wszystko, co będziesz musiał wiedzieć i z kim rozmawiać. Powinieneś zacząć od mojej mentorki. Zasiada w Radzie...

- Ona?! Kobieta ucząca Strażników? Ta wojna z Derzhimi musiała wyniszczyć nas gorzej, niż mi powiedziałaś.

- Nie osądzaj jej pochopnie, Merrycie. Tak postąpiłem, gdy po raz pierwszy przyszedłem na jej trening. Jeśli ktokolwiek może...

Strażniku?

Zerwałem się na równe nogi, unosząc dłoń, by pokazać Merrytowi, że słyszałem coś, czego on nie zdołał.

- Tu jestem, Aife. Przyprowadziłem przyjaciela.

Bez zbędnych słów w ciemności otworzył się portal; wpłynęło przez niego oślepiające światło księżyca. Merryt wstał powoli, nie odrywając wzroku od migoczącego obrazu.

- Na Bezimiennego - wyszeptał, idąc chwiejnie przed siebie, ponaglany moim gestem.

Gdy przeszedł, zaczął się śmiać, rozkładając ramiona, obracając się w zaskoczeniu, odchylając głowę do tyłu, by podziwiać gwiazdy, księżyc i otwarte niebo. Podskakiwał, owijając się błękitnym płaszczem. Bardzo chciałem za nim podążyć. Lecz podszedłem tylko do skraju portalu, skąd mogłem bez przeszkód rozmawiać z Fioną, nie ryzykując, że Merryt nas podsłucha.

Pospiesz się, Strażniku, rzekła. Potrzebujemy cię tutaj.

- Jeszcze raz powtarzam: nie mogę. Mam tu jeszcze coś do zrobienia. Lecz ten Merryt, Strażnik, o którym ci wspominałem... to jego posłałem. Niesie ze sobą ostrzeżenie, Aife. Musi udać się do Ezzarii i zmusić królową, by go wysłuchała. Czy mogłabyś...?

Musisz przejść teraz, Strażniku. Zdarzyło się coś strasznego.

Dlaczego ta uparta kobieta nie chce słuchać?

- Nie mogę. Jeszcze nie.

Jeśli wierzysz we wszystko, co mówię, Strażniku, uwierz w to: skoro uważasz, że to konieczne, odeślę cię później z powrotem. Lecz teraz potrzebujemy twojej pomocy.

Jej zdecydowanie było niczym ręka rodzica, trzymająca moje ramię i ciągnąca do miejsca, do którego wcale nie chciałem iść.

- Na godzinę - zastrzegłem. - Ani chwili dłużej.

Przebrałem się w czarną, lamowaną srebrem tunikę i szare spodnie, będące dziełem ludzkich rąk, westchnąłem nerwowo i wróciłem do świata światła.

Rozdział 30

- Nigdy nie jadłem czegoś równie pysznego - powiedział Merryt, oblizując tłuste kości pieczonej kaczki. Wytarł palce o wilgotne niebieskie spodnie. - Zawsze możecie mnie zaprosić do zjedzenia resztek swojej kolacji.

Wciąż napełniałem płuca ciepłym i wilgotnym nocnym powietrzem, podczas gdy Fiona sprawdziła stan Balthara, który spokojnie pochrapywał w ruinach świątyni. W ciągu pół godziny, od kiedy przeszliśmy przez portal, Merryt zrobił mnóstwo różnych rzeczy - wbił palce w wilgotną ziemię, wyrwał kilka garści trawy i rzucił je sobie na głowę, dotykał i wahał każdą roślinę, krzak i drzewo. Niczym wydra wskoczył do rzeki i zaczął się chlapać, a jego głośny śmiech odbijał się echem od skał. Później wrócił i napchał się całym jedzeniem, jakie dała mu Fiona. Nie można się było nie uśmiechać, patrząc na jego radość, choć upływ czasu źle wpływał na moją cierpliwość. Yallyne czekała, jednak każda chwila, którą spędzałem w świecie żywych, powodowała, że coraz trudniej było mi powrócić.

Gdzieś z ciemności rozległ się żaloszny krzyk - jakieś zwierzę lub ptak wyrażało cierpienie, jednocześnie sprawiając, że noc poza kręgiem ogniska zdawała się jeszcze głębsza. Zadrzałem i podsyciłem pachnący jasnyrem ogień, choć noc była ciepła. Jasnyr... teraz już wiedziałem, dlaczego ten zapach odrzucał demony. Wykorzystano go w rytuałach, które zniszczyły ich życie, było to ich ostatnie fizyczne doznanie, nim obudziły się w lodowej pustce Kir' Vagonoth.

- Starzec będzie jeszcze spał - oznajmiła Fiona, wracając do ogniska. Gdybym miał oceniać po wyglądzie, powiedziałbym, że nie minęło wiele czasu od chwili, gdy ostatnio siedziałem na stopniach świątyni. Jej chude ciało nie stało się bardziej miękkie, twarz mniej uparta, ciemne, proste włosy nadal były krótko obcięte, a męskie ubranie tak samo znoszone i praktyczne jak zwykle. Jedynie delikatne zmarszczki wokół oczu mówiły o czasie zmartwień i trosk.

- Przeżyłeś to - powiedziała, gdy wyszła z transu Aife, witając mnie badawczym spojrzeniem, które mówiło, że wyczuwała najgorsze miejsca, w których byłem. - Nie mogłam do ciebie dotrzeć w mroku.

- Jak długo?

- Zbliży się Księżyc Wilka.

- Księżyc Wilka... - Pierwsza pełnia jesieni, gdy wilki wyją w oczekiwaniu na zimową zdobycz. Minęły trzy pełne pory roku. Mój syn niedawno obchodził pierwsze urodziny. Już zaczynał chodzić... śmiać się... mówić pierwsze słowa. Czy ogolą mu głowę, jak to robili Manganarczycy ze swoimi synami w pierwszym roku życia? Pewnie nie umieliby przeprowadzić rytuałów nadania imienia, jak to robiliśmy w Ezzarii. A ja... ja cierpiałem w lochach szalonych Gastaiów przez ponad osiem miesięcy. Jaki przyjaciel, krewny czy kochanka byłby tak wierny jak moja przeciwniczka Fiona? - To myśl o twoim upartym sercu podtrzymywała mnie przy życiu - wyznałem, spuszczać wzrok, gdyż nie byłem w stanie znieść intensywności ani jej badawczego spojrzenia, ani przeprosin. - Tylko ty. Ale teraz muszę się dostać...

Przycisnęła mi rękę do ust.

- Nie mów tego jeszcze. Pozwól, że nakarmię twojego przyjaciela i sprawdzę stan starca, a później musimy porozmawiać. - Nim odeszła, głową wskazała na Merryta, który przesiewał piasek między palcami. - Przez długi czas był w krainie demonów. - W jej stwierdzeniu usłyszałem pytanie.

- Wydostał mnie z lochów, uratował mi życie i otworzył oczy na kilka bolesnych prawd. Musisz go posłuchać i pomóc mu ruszyć w drogę. Ale tak, był tam bardzo długo. Opowiedziałem mu o mozaice i swoich przekonaniach, ale nie wyjawiałem mu swojego imienia ani twojego, nie wspomniałem o Blaisie ani...

- Muszę ci coś pokazać w mozaice, a później na jakiś czas powinniśmy usunąć go z drogi.

- Nie sądzę, by miał wielką ochotę pozostać dłużej w jednym miejscu. - Merryt utrzymywał, że bardzo chce wrócić do domu. Któż miałby o to do niego pretensje?

* *

Kiedy Merryt zabrał się za ogryzanie kolejnego kaczego udka, Fiona zawołała nas do mozaiki, gdzie dziura w naszym pojmowaniu patrzyła na nas oskarżycielsko. Merryt nie

wykazywał zainteresowania obrazkami, stwierdzając, że nie ma ochoty dowiedzieć się o swoim pokrewieństwie z demonami. Zerknął tylko i oznajmił, że woli przegryźć się przez zapasy Balthara, po czym wrócił do ogniska. Fiona zaplotła ramiona na piersiach i przechyliła głowę.

- Luka w mozaice... Czy dowiedziałeś się, co było jej przyczyną?

- Nie, jeszcze nie wiem, co ona oznacza.

- W takim razie powinieneś zobaczyć to.

Wyszeptała kilka słów i zrobiła gest dłonią, a wtedy powietrze wypełniło migotanie zaklęcia. Spojrzałem w dół i powoli opadłem na kolana. Luka poprzedzająca opowieść o demonach nie była już zupełnie pusta.

- Sprawiała to twoja wzmianka o tym Kir'Navarrin - powiedziała Fiona, klękając u mego boku, podczas gdy ja próbowałem pojąć znaczenie skomplikowanych wzorów błękitu, czerwieni i żółci, które przede mną leżały. - Kiedy powtórzyłam Baltharowi twoje słowa, niemal wspiął się na kolumny. „Nie pytaj o to”, powtarzał. „Nic o tym nie wiem”. Oczywiście wiedział.

- Ukrył przed nami tę część.

- Coś go w tym przeraziło i nadal nie chce mi wyjawić wszystkiego. Najwyraźniej wśród słów wokół mozaiki widnieje też zdanie: Kir'Navarrin jest na zawsze zakazane albo zamknięte, albo coś innego w tym duchu. To... - wskazała na postać klęczącą przy sadzawce i trzymającą się za głowę - ...jest kobieta Wieszcz. Balthar rozpoznał symbol na pierścieniu. A te trzy kwadraty najwyraźniej oznaczają jej wizje. Jak widzisz, czwartego nadal brakuje. Sądzę, że Balthar zna też i jego znaczenie, ale stary głupiec nie chce mi nic powiedzieć. Czy rozumiesz te obrazy?

Pierwszy kwadrat przedstawiał bitwę, zniszczenie wyglądających na Ezzarian ludzi, którzy płakali i uciekali.

- To pierwsza bitwa z prorocstwa Eddausa - uznałem. - Ta, w której Ezzarianie mieli zostać pokonani i płakać. - I tak się stało, tak myśleliśmy, gdy Derzhi zmiażdżyli nas w ciągu trzech krótkich dni.

- A ta... przypuszczam, że to ty i księżę Aleksander. A rządzony przez demony świat z tyłu... to konsekwencje, gdyby się wam nie udało. - Położyła palec na postaci świetlistego, skrzydlatego wojownika, który walczył z potwornym demonem.

Wojownik nie za bardzo mnie przypominał, poza może wylewającą się z niego rzeką krwi i rozerwanym skrzydłem. Na myśl o tym ostatnim nadal dostawałem dreszczy. Ale

demoniczny przeciwnik... gdy przeciągnąłem palcami po wykrzywionej twarzy, poczułem zimne zło, które poznałem przez trzy dni walki.

- Gdybym to zobaczył, zanim wyruszyłem, może nigdy bym się nie zdecydował na ten pojedynek - powiedziałem, ale żart mi się nie udał. Szybko spojrzałem na trzeci kwadrat.

Scena przypominała te widziane w wielu innych częściach mozaiki. Portal. Mężczyzna o brązowej skórze i prostych ciemnych włosach szedł w jego stronę. Niósł klucz. Za prostokątną bramą znajdowały się obrazy, które jak sądziłem, przedstawiały Kir'Navarrin, dom moich przodków, gdy byliśmy jednością z demonami. Na odległym szczycie góry, za wdzięcznymi domami, wspaniałymi drzewami, kwiatami i fontannami, które były prawdziwym obrazem ogrodu Yallyne, widniała nieduża ciemna plama. Z początku myślałem, że to ptak, jastrząb albo sęp przyczajony na skalnej grani, gotów rzucić się na swoją ofiarę. Ale skala się nie zgadzała. To coś było znacznie większe od ptaka. Przyczajone, owszem. Pełne oczekiwania. Może forteca... i rzeczywiście, kiedy o tym pomyślałem, zobaczyłem, jak ciemny wzór nabiera właściwego kształtu. Forteca, w której kryje się uwieczniona prawda, prawda zbyt straszliwa, by ją poznać, niebezpieczeństwo z zarania dni. Na drodze między mężczyzną a portalem znajdowały się inne postaci. Niewielkie figurki mężczyzn i kobiet uzbrojonych w miecze. Niektórzy walczyli. Niektórzy stali na drodze, jakby jej strzegli. Wielu umierało. Niektórzy już zginęli. Podstawową kwestią był oczywiście klucz w dłoni mężczyzny. Czy był to klucz, który miał otworzyć portal - bramę między znanym mi światem, a Kir'Navarrin - czy też był to klucz, który uwolni tajemnicze niebezpieczeństwo z fortecy? Czy klucz był artefaktem ze stali lub mosiądzu, który uruchomi materialny zamek, czy też jakimś słowem lub działaniem, które wyzwoli przyczajone niebezpieczeństwo? Najbardziej dręczyło mnie to, że mężczyzna z kluczem miał skrzydła.

- Też to czujesz? - spytała Fiona, wskazując na ciemną plamę. - To coś ohydneho i niebezpiecznego, a ty idziesz prosto w tę stronę.

- Tak, ale nie jestem pewien, co to znaczy. Proroctwo jest tak skomplikowane... a to nie pokazuje konsekwencji działania. Tego, czy będą dobre czy złe... Nawet jeśli to ja niosę klucz, nie sądzę, byśmy mogli je przewidzieć. Musimy działać dalej... Zobaczyć, czego uda nam się dowiedzieć.

Nie wiem, czy Fiona mi uwierzyła. Oczywiście, że to ja niosłem klucz. Ale nie mogłem jeszcze teraz o tym mówić, gdyż implikacje były zbyt poważne. Proroctwa stanowiły wszak jedynie opowieści, ostrzeżenia, by uważać w przyszłości. Możliwości. Obraz proroctwa namalowany na tych potrzaskanych kawałkach kamienia rzeczywiście dał mi pewien wgląd w sytuację... Portal i forteca to dwa różne elementy układanki. Otwarcie

jednego nie oznaczało otwarcia drugiego. I dlatego, być może, jeśli będę wystarczająco silny, uda mi się zmusić samego siebie, by dokonać tego, co konieczne... Mój osąd opierał się na domysłach, więc nie mogłem wypowiedzieć tych słów na głos, póki nie rozwieję wszystkich wątpliwości. Ale poprzysiągłem naprawić wielkie zło, które uczyniono nam i reszcie świata - tylko tyle mogłem w życiu zrobić. A szansa na zakończenie wojny z demonami była kusząca... Moje życie wypełniała przemoc, którą rozpaczliwie pragnąłem zakończyć. Głęboko żałowałem, że nie mogę zobaczyć czwartego prostokąta.

* *

Podczas gdy ja spierałem się z samym sobą na temat motywów, ryzyka i przerażających możliwości - najpierw z jednej strony, a później z drugiej - Fiona zajęła się Merrytem. Po tym jak napełniła mu brzuch, opisała geografie okolicy i zebrała wystarczająco dużo zapasów, żeby starczyło mu na drogę do Ezzarii, był gotów wyruszać. Fiona powiedziała mu, żeby wykopał łódź z miejsca, w którym ukryła ją w piasku, załadował zapasy i zaczekał. Popłynie z nim w dół rzeki do jeziora i tam go zostawi.

Gdy tylko wielki Ezzarianin znikł, Fiona wzięła torbę i bukłak, po czym gestem kazała mi podążyć za sobą na tyły ruin i w górę, stromą ścieżką w stronę skalistego serca wyspy.

- Przez ostatnią godzinę byłeś bardzo milczący. Czy masz zamiar wyznać mi swoją tajemnicę?

- Zbyt wiele jest do powiedzenia - stwierdziłem. - Kir'Vagonoth kipi od spisków i intryg. Na razie muszę wrócić, zanim zaczną mnie szukać. Ktoś mnie oczekuje.

- Ona jest demonem?

- Jest wyjątkowa. - Spojrzałem na żylastą młodą kobietę, wspinającą się z takim zdecydowaniem po kamienistej ścieżce. Nadal zachowywała się jak pies stróż. - Ale pozostawiła mnie w ciemnościach, myśląc, że jeśli zostanę tam wystarczająco długo, zmusi mnie, bym postąpił tak, jak sobie wymarzyła. Źle mnie oceniła.

Fiona pokiwała głową, nie przerywając marszu. Ku memu zaskoczeniu nie zadawała więcej pytań. Jej zamyślenie przekonało mnie, że rzeczywiście wydarzyło się coś strasznego. Odepchnąłem na bok wewnętrzne zmagania i podążyłem za nią wokół zwieszającej się skały.

- A czy ty mi powiesz, dokąd idziemy?

Odsunęła na bok splątane krzaki, ukazując ciemny otwór w sercu Fallatiel. Z wnętrza jaskini dochodził słaby blask.

- Nie wiem, co na to poradzisz, ale musisz to zobaczyć. Może dowiedziałeś się czegoś, co pomoże.

Gdy wszedłem do środka, usłyszałem ten sam żalobny zwierzęcy krzyk, co wcześniej. Ale to nie było zwierzę. To był Blaise.

Młody banita kulił się w kącie jaskini. Kolana podciągnął pod brodę, a jego ręce poruszały się bez ustanku, pocierając gołe nogi, ramiona, twarz, szarpiąc za splątane włosy. W ciągłym niepokoju splatał palce rąk. Jego oczy przypominały ciemne jamy i wpatrywały się w przestrzeń, której nie potrafiłem pojąć. Nic już nie skrywało ich błękitnego ognia. Po jego brodzie spływała ślina, a policzki się zapadły. Skóra mocno opinała długie kości. Obok klęczał ezzariański chłopak, Kyor, trzymając kubek przy jego ustach.

- Dalej. Napij się czegoś, a poczujesz się lepiej. Miałeś ciężki dzień. - Ręka Blaise'a zadrżała, odpychając naczynie.

- Przybyli wczoraj, zaraz po tym jak z tobą rozmawiałam - wyjaśniła cicho Fiona, stawiając torbę przy niewielkim ognisku. - Chłopak powiedział, że przekonał Blaise'a, by powstrzymał przemiany i cię odszukał, sądząc, że być może nie zdołasz im pomóc, jeśli Blaise przyjmie postać zwierzęcia. Mówi, że jeśli Blaise wkrótce się nie zmieni...

...oszaleje, jak Saetha i pozostali - dokończyłem. - Może lepiej jest być zwierzęciem... nawet jeśli zapomina się o wszystkim, co ważne. Co byś wybrała?

Fiona odetchnęła głęboko.

- Jeśli to prawda i mamy mu pomóc, wygląda na to, że ty musisz to zrobić. Jestem pewna, że Rada pozwoliłaby ci walczyć...

- Walka mu nie pomoże.

- Odmawiasz stawienia czoła demonowi, Strażnikowi?

- Na gwiazdy nocy, Fiono. Pomyśl o tym, czego się dowiedzieliśmy. Blaise żył niemal trzydzieści lat ze swoim demonem... w harmonii i zdrowiu. To nie jest kwestia opętania i demonicznego szaleństwa.

Cały mój opór wobec planu, który wymyśliłem, został zmieciony przez widok silnego młodego mężczyzny w takim stanie. Jakie tajemnicze niebezpieczeństwo, jakie niematerialne proroctwo mogłoby przekonać mnie do tego, bym zignorował nieszczęśnika, który przede mną leżał?

Kyor cierpliwie ponownie napełnił kubek i ostrożnie wlewał wodę do obwisłych warg Blaise'a.

- Jak sobie radzi? - spytałem, ignorując protesty Fiony, kiedy przeszedłem przez jaskinię i ukląknąłem przy nich obu. Czas namysłu minął.

Kyor gwałtownie odwrócił głowę i jego oczy rozszerzyły się z nadzieją.

- Och, dobrze cię widzieć, panie. On bardzo się stara. Prawda, Blaise? Czy widzisz, kto przyszedł na pomoc? To Seyonne... Tak jak obiecywał. Powiedziałem ci, że przyjdzie.

Chłopak chwycił niespokojne ręce Blaise'a i mocno je przycisnął, co najwyraźniej pomagało starszemu mężczyźnie w koncentracji.

- Na początku nie chciał przyjść - ciągnął, spoglądając na mnie. - Postanowił, że pozwoli ptakowi, by go opanował, kiedy już nie będzie mógł wytrzymać. Ale powtórzyłem mu, co mi mówiłeś, i pokazałem nóż, który nosiłem przez te wszystkie miesiące. Zapewniłem, że nie żywisz urazy, bo inaczej przecież nie mówiłbyś tego, co powiedziałaś. Przyznał, że nie postąpił wobec ciebie sprawiedliwie, bo kiedy wszystko sobie przemyślał, pojął, że nie miałaś złych zamiarów. Mogłeś nas wydać tysiąc razy, gdybyś tylko zechciał. Tej nocy, gdy było już tak źle, że oddał swój miecz i przekazał Farrolowi dowodzenie, postanowił, że nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy miałem rację co do ciebie.

Niebiesko-czarne oczy Blaise'a rozglądały się gorączkowo po jaskini, aż jego wzrok spoczął na mojej twarzy. A kiedy położyłem dłoń na jego głowie i napotkałem jego oczy, ujrzałem w jego szaleństwie błysk inteligencji. Jego usta zaczęły się poruszać, a dłonie drżeć, choć Kyor trzymał je mocno.

- Naucz... mnie - wysapał Blaise, z trudem formułując słowa. - Czegokolwiek.

- Posłuchaj mnie - zacząłem, biorąc jego dłonie w swoje i pragnąc, by usłyszał mnie i zrozumiał. - Wytrzymaj jeszcze trochę. Obiecuję... obiecuję... zabiorę cię tam, gdzie musisz się udać. To miejsce, do którego wszyscy przynależymy, do którego ty przynależysz, kraina piękniejsza niż Ezzaria... a wiesz, jak my, Ezzarianie, cenimy swoją ojczyznę. - Jego oczy wpatrywały się w moje, wsłuchiwał się w moje słowa. - Będziesz tam musiał trochę zostać, a potem wrócisz i naprawisz ten świat. Ty i Aleksander. To zapłata, o jaką proszę za to, co mam zamiar uczynić. Musisz znaleźć sposób, by współpracować z Aleksandrem. On nosi znak bogów, Blaise. I cokolwiek nadejdzie, musisz stać u jego boku. Rozumiesz mnie? To jedyna zapłata, jakiej żądam.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy mnie usłyszał, gdyż wtedy właśnie zaczął się zmieniać. W groteskowym połączeniu ptaka, zwierzęcia i człowieka jego drżące ciało rozciągało się i kurczyło, wypuszczało skrzydła i szpony i znów je wchłaniało, wyrastały na nim futro, pióra, łuski i zaraz znikwały, nogi, ramiona i głowa wyginały się w niemożliwych kształtach. Przez chwile, które dla niego musiały być godzinami, przeciwstawiał się żądaniom natury, aż krzyknął i z jękiem opadł na ziemię. Rozum, który jeszcze mu pozostał, został przyćmiony przez cierpienie.

- Za jakiś czas dojdzie do siebie. Niewiele możemy mu pomóc. - Kyor naciągnął koc na gołe nogi banity, a później spróbował ułożyć go w pozycji, w której nie ubrudziłby się wymiocinami.

Pomogłem chłopakowi, biorąc drżącego Blaise'a w ramiona, trzymając go za szerokie bary i podtrzymując głowę, aż atak wymiotów ustąpił. Wtedy znów ułożyłem go na kocach i wezwałem słabe zaklęcia leczące, które ulżyłyby mu w cierpieniu, podczas gdy Kyor wycierał jego wargi wilgotnym materiałem.

- Musimy odesłać go na południe, Kyorze. Szybko. Czy zdołasz...

Umiem znajdować drogi jak Blaise.

- I czy możesz zabrać pozostałych... Fionę, starca i jeszcze jednego, którego przyprowadziłem tu dzisiaj?

- Tak. Jeśli zechcą.

- Dobrze. Fiona będzie знаła cel waszej podróży. - Chwyciłem chłopaka za ramię i potrząsałem. - Powtarzaj mu to, co mówiłem, Kyorze. Pomóż mu wytrzymać. Przybędę jak najszybciej i pošlę go tam, gdzie musi się udać.

- Będziemy na ciebie czekać.

* *

- Dokąd idziemy? - spytała ostro Fiona, gdy wyszliśmy z jaskini i ruszyliśmy kamienistą ścieżką. Zrujnowana świątynia błyszczała bielą w blasku księżyca, a sadzawka wyglądała jak stopione srebro. - I gdzie chcesz posłać Blaise'a?

- Blaise musi się udać do Kir'Navarrin... krainy za portalami pokazanymi na mozaice. To nasza ojczyzna, miejsce, gdzie jesteśmy kompletni. Kiedy to wszystko się stało... i doszło do rozdzielenia z demonami... zamknęliśmy się poza nią. Rai-kirah wierzą, że im ją ukradliśmy, i na pewien sposób tak się właśnie stało. Ale ukradliśmy ją też sobie samym.

- A co z mozaiką? Z ostatnim fragmentem?

- To nieważne. - Odwróciłem się plecami do starożytnego dzieła sztuki, do pustego czwartego kwadratu... czwartej wizji, która może ukazywała konsekwencje czynów skrzydlatego mężczyzny. - Niezależnie od tego, co jest dobre, a co złe, i co jeszcze nadejdzie, Kir'Navarrin musi zostać otwarte. Nasi przodkowie popełnili błąd, a rana, jaką zadaliśmy, jest tak straszliwa dla nas i dla świata, że trzeba to naprawić. - Po rozważeniu wszystkich argumentów uwierzyłem w to. Gdybym zastanawiał się nad innym rozwiązaniem, skazałbym

Blaise'a, Kyora i moje dziecko na szaleństwo, demony na lodowate pustkowiu, a Ezzarian na niekończącą się wojnę. - Dasiet Homol stanowi bramę... Miejsce Kolumn. Musisz doprowadzić tam Blaise'a jak najszybciej, jeśli mamy go uratować. Dzisiejszej nocy, jeśli Kyor zdoła to zrobić. Ja również muszę się tam dostać, co oznacza, że powinnaś przekonać Balthara, by się tam z wami udał.

Kiedy Fiona przygotowywała siebie i Balthara, by odesłać mnie z powrotem do Kir'Vagonoth, zszedłem nad rzekę do Merryta.

- Plan się zmienił - oznajmiłem, gdy usiadłem obok niego na kamieniu nad wodą. Merryt bezmyślnie obrywał miękką, włóknistą korę z kawałka drewna przyniesionego przez rzekę. - Jest tu chłopak, który zna krótszą i bezpieczniejszą drogę do Ezzarii.

Nie było mi łatwo wysłać Merryta z tak istotną misją, ale nie miałem wyboru.

- Bądź przekonujący, Merrycie. Niech cię wysłuchają. Aife powie ci, jak dotrzeć do królowej i Rady... jest w ich łaskach, a ja nie.

- Ale ty masz przyjaciół... tę mentorkę... i żonę. Wysłucha cię.

- Nie idę z tobą.

- Nie idziesz... na buty bogów, wracasz do Kir'Vagonoth! - Eksplozja wulkanu nie dorównałaby wybuchowi Merryta. - Jesteś przeklętym szaleńcem, Wygnańcze! Co chcesz przez to osiągnąć? Kiedy się do wiedzy, co zrobiłeś, znów wtrąca cię do lochów. Wiedźma wyrwie ci duszę.

- Muszę przejrzeć ich plany - wyjaśniłem. - Nie mamy pewności, że Ezzarianie wysłuchają ostrzeżenia kogośkolwiek z nas. Jeśli dzięki powrotowi uda mi się powstrzymać atak na Ezzarię lub w nim przeszkodzić, muszę to zrobić. Yallyne nadal wierzy, że nade mną panuje, co daje mi pole manewru. Kiedy nadejdzie czas i nie zdołam uczynić nic więcej, uwierz mi, wydostanę się.

Merryt zmarszczył się i zaczął mrużyć do siebie.

- Ale musisz ze mną trzymać. Razem ich ostrzeżemy i razem udamy się do bramy, by to powstrzymać. Jesteśmy braćmi... partnerami. - Skręcał przegniły kawał drewna, aż pękł mu w rękach. - Nie znasz przeklętych demonów tak dobrze jak ja. Pomyśl o przewadze, jaką zapewnisz Yallyne. Nigdy nie zdołasz ukryć wiedzy o tym portalu. Może powinienem z tobą wrócić, a ostrzeżenie przekazemy później.

- Już ci mówiłem. Nie wolno mi wejść do Ezzarii. A jeśli mam mieć możliwość ucieczki z Kir'Vagonoth, Aife musi zostać z naszym śpiącym przyjacielem w świątyni. Więc to zadanie przypada tobie. - Gdy pachnący jasnyrem dym zaczął spływać z gór nad nami, przyciągnąłem Merryta bliżej i zniżyłem głos, jakby Fiona mogła podsłuchiwać. - Niech cię

wysłuchają, Merrycie. Przekonaj ich. Muszą być gotowi do obrony, ale tylko... tylko... jeśli demony ich zaatakują. - Jeśli moje czyny miały mieć jakieś znaczenie, to równie dobrze mogły znaczyć wszystko. - Jeśli Ezzarianie nie znajdą się w niebezpieczeństwie, muszą odsunąć się na bok i pozwolić demonom przejść przez portal. Wszystkie rai-kirah oszaleją, jeśli nie wydostaną się z Kir'Vagonoth, a rasa ludzka będzie cierpieć z tego powodu... gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Demony myślą, że w Kir'Navarrin będzie im lepiej. Chcę się upewnić, że tam trafiają.

- Chcesz się upewnić... - Merryt również mówił ciszej. Spojrzał na mnie zwięzonymi oczami, lecz wkrótce znów je rozszerzył. - A niech to! Rozumiem. Jesteś zdeterminowanym gościem... Och, przyjacielu, będą o tym śpiewać pieśni. - Chwył mnie za rękę. - To Gennod wygra, wiesz. To z nim musisz porozmawiać. Jest mniej nikczemny niż reszta diabłów. Potężniejszy niż sądzą inni... i zdecydowany sam dowodzić legionem. Będzie wdzięczny za ostrzeżenie, jakie mu przekazaliśmy. Tylko zasugeruj mu swój plan, a pewnie uda ci się dobić targu.

- Utrzymaj Ezzarian z dala od tej walki. Tylko o to proszę.

- Zrobię, jak sobie życzysz. Tak właśnie uczynię. Ale przekonać ich... Musisz wyjawic mi swoje imię. Nie lubię pytać, ale jak inaczej mi uwierzą? W tak ważnej sprawie...

Oczywiście miał rację. Szansę, że Ezzarianie dadzą wiarę jego słowom, i tak były niewielkie, ale jeśli uznają, że nie potrafiłem mu zaufać, by podać mu swoje imię, tylko zmarnuje czas.

- *Lys na Seyonne* - powiedziałem, próbując się uśmiechnąć. - Wykorzystuj je ostrożnie, Merrycie. Spora liczba Ezzarian wierzy, że to druga nazwa zepsucia.

- W porządku. Ja zajmę się naszym ludem, a ty demonami.

Wstałem i ruszyłem ścieżką do świątyni, Fiony i portalu, który zaprowadzi mnie z powrotem do Kir'Vagonoth. Merryt zawołał:

- Przyjacielu Seyonne - i uklonił się wdzięcznie. - Znów cię zobaczę. Nie wątpię w to. Żegnaj! - Przez całą drogę do świątyni słyszałem jego śmiech.

Fiona stała obok śpiącego Balthara, niecierpliwie uderzając cienką gałązką o kolano. Spojrzałem z góry na starca, na jego policzki opadłe we śnie i zmarszczone czoło, jakby dręczyły go sny.

- Przekaż Baltharowi moje podziękowania, Fiono. I powiedz mu... powiedz mu, że cenię jego nauki. Czy zrobisz to dla mnie? Niezależnie od tego, czy zdecyduje się kontynuować, chcę, żeby to wiedział.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i zacząłem oczyszczać umysł. Tym razem nie potrzebowałem zbyt wielu przygotowań, skoro zakłęcie portalu nadal wplecione było w śpiący umysł Balthara. Nim jednak zatopiłem się w rytuale, Fiona rzuciła swój patyk na stertę podpałki, rozrzucając gałęzie po całej podłodze.

- Zginiesz, prawda?

- Nie. Nie, jeśli zdołam coś na to poradzić.

Fiona kopnięciem odepchnęła gliniany dzban, który stał jej na drodze; naczynie się przewróciło i potoczyło na krawędź schodów. Potem chwyciła buteleczkę, która była jej potrzebna do namaszczenia czoła śpiącego mężczyzny w przygotowaniu do rytuału. Nim doprowadziła do dalszych zniszczeń, uśmiechnąłem się do niej.

- Niezależnie od tego, co tobą kieruje, Fiono, i tak dziękuję, że cię to obchodzi. Wrócę. Tak jak mówiłem.

Oczywiście, że jej się to nie spodoba... nie bardziej niż mnie.

* *

Droga od portalu Fiony z powrotem do zamku Denasa zajęłaby mi co najmniej dwie godziny. Ale ja nie szedłem. Poleciałem. Po wilgotnym ciepłe Fallatiel zimno było wyjątkowo dokuczliwe i tylko z największą niechęcią rozpocząłem długą wędrówkę przez głęboki śnieg, oglądając się przez ramię w oczekiwaniu szalonych Gastaiów i żałując, że nie znam tajemnicy demonicznej podróży. Ta myśl doprowadziła mnie do kwestii ubrań i broni, jak również związku między krainą Kir'Vagonoth, a duszami, w których chodziłem jako Strażnik... i do moich skrzydeł. Nigdy wcześniej nie dokonałem przemiany z taką łatwością. Niewielki opór. Żadnego bólu. Tak jak zawsze pragnąłem... aż ujrzałem twarz Blaise'a podczas przeobrażenia. Ale powiedziałem sobie, że to, co mam, musi na razie wystarczyć, a poza tym walka z gwałtownymi wichrami Kir' Vagonoth nie pozwalała mi na zbyt długie rozważania.

Wylądowałem za wzgórzem, szeptem odesłałem skrzydła i przeszedłem ostatni odcinek, po czym wkradłem się przez tylne drzwi Merryta i poświęciłem jedną drżącą chwilę na sprawdzenie naczynia czasu. Woda wznosiła się tuż nad ostatnim znakiem. Godzina i kwadrans, nie więcej, a ktoś przyjdzie napełnić naczynie i uznać kolejny dzień za zakończony. Wystarczy mi czasu. Pospieszyłem kręconymi schodami i mrocznymi korytarzami w stronę komnat Gennoda.

Wiele bym dał za kogoś, komu mógłbym zaufać. Pomijając tę kwestię, zostawał mi tylko Gennod. Nie zwróciłbym się ze swoją propozycją do Denasa. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, jak mało go obchodzi nasz rodzaj, i nie wątpiłem, że raczej mnie zabije, niż pozwoli komuś innemu mnie wykorzystać. Kryddon i Nesfarro, dwa inne demony, które wyraziły gotowość, by to zrobić, były przyjaciółmi Yallyne. Nie złożę swojego życia w jej rękach. Nie miałem czasu poznać wszystkich demonów i wybrać idealnego, jak manganarska swatka. W ostatecznym rozliczeniu i tak pewnie nie ma to większego znaczenia. Liczyła się szybkość działania. I moc.

W końcu zacząłem wyczuwać prawdziwą potęgę swojej melyddy. Była większa, niż sobie wyobrażałem, i manifestowała się w pełni, jak sądziłem, ze względu na fakt, że przebywałem w krainie demonów. W przeszłości, gdy przechodziłem przez portal Aife, potrafiłem stworzyć skrzydła i dokonywać czynów, których nie byłbym w stanie dokonać w zwyczajnym życiu. Teraz rozumiałem, że to nie tylko doświadczenie i rozwijające się umiejętności sprawiały, że zyskiwałem siły, im dłużej walczyłem, lecz odgrywała w tym rolę również obecność innych ludzi, jakby pod wpływem fizycznej bliskości zaczęły się rozpadać dzielące nas bariery. Jak zauważyła Catrin, podczas ostatnich dwóch lat życia Strażnika spędzałem więcej czasu za portalem niż w swoim świecie. Teraz gdy zatonałem w życiu zagubionych dusz - i byłem na tyle świadom, by to zauważyć - moc grzmiała w moich żyłach niczym wodospady na najwyższych lodowcach Azhakstanu. To było kolejne potwierdzenie moich przekonań. Demony i Ezzarianie do siebie pasowali.

* *

Gennod był co najmniej zaskoczony moim widokiem. Stał w wejściu do swoich komnat i wpatrywał się we mnie, a jego postać migotała czerwienią na tle mroku.

- Być może nasze spotkanie powinno być nieco mniej publiczne - stwierdziłem. Nie czekając na pozwolenie, przemknąłem obok niego i przycisnąłem plecy do ściany. - Musisz mi wybaczyć to najście. Mam bardzo mało czasu. Ale powiedziano mi, że łączą nas wspólne interesy, choć może się to wydawać mało prawdopodobne. Czy mogę z tobą porozmawiać?

- W przeciwieństwie do niektórych z nas twoja obecność mi nie przeszkadza, yladzie, ale jakie wspólne interesy masz na myśli? - Powitanie Gennoda było równie chłodne jak jego komnata, zimna dziura, zupełnie pusta w porównaniu z innymi zatłoczonymi pomieszczeniami zamku. Kilka świec w prostych lichtarzach paliło się spokojnym

plomieniem, odpychając przygniatającą ciemność. Jeden stół, na którym zgromadzono sterty zwojów, książek i rysunków, mapa na wół przykryta innymi materiałami, wszystko przyciśnięte kamieniami. Lodowaty wiatr wciskał się przez okiennice, grożąc zrzuceniem papierów na podłogę.

Lepiej darować sobie miłe słówka.

- Denas chce dowodzić legionem demonów - powiedziałem - co najwyraźniej oznacza, że Rhadit powinien zostać zamordowany. Ponieważ w niektórych przedsięwzięciach Rhadit cię faworyzuje, twoje własne istnienie również może być w niebezpieczeństwie.

- W rzeczy samej. - Demon zasyczał i splótł palce, a wtedy drzwi za moimi plecami zamknęły się i znikły. Niepokojące, ale nie zaskakujące. - Jak widzę, powiedziano ci to. Choć muszę przyznać, że zaskakuje mnie, iż o tym wiesz. Czy Denas posłał cię, byś mi groził? A może sam próbujesz to zrobić? - Przechylił głowę i z uprzejmą ostrożnością spojrzął na moje puste dłonie. - Pewnie ukryłeś broń, jak twierdził Merryt.

- Wręcz przeciwnie. To ja poprosiłem Merryta, by cię ostrzegł. - Niemal prawda. Moja umiejętność tworzenia kłamstw znacznie się poprawiła w ciągu ostatniego roku.

Gennod zaplótł niematerialne ramiona na piersi i powoli pokiwał głową.

- Zastanawiałem się, gdzie ten podstępny ylad dowiedział się o spisku. A teraz chcesz otrzymać jakąś nagrodę?

- Chciałbym wielu rzeczy, ale dwie są najważniejsze. Po pierwsze pragnę przekonać twój i mój lud, że jesteśmy dwiema połówkami tych samych istot, że nasi przodkowie rozdzielili nas w głębokim przerażeniu... wam odbierając ciała, a nam połowę duszy... i że musimy się dowiedzieć, jak to naprawić. Ale...

- Nedorzecznosc! - Poza delikatnym drzeniem przy tym wybuchu, pierwszą niekontrolowaną emocją, jaką widziałem u Gennoda, czerwone światło demona pozostało spokojne i niezmiennie. Niestety, gdyż poruszenia i intensywność demonicznego blasku były o wiele bardziej wyraziste niż jego twarz.

- ...ale tego nie należy się spodziewać od tych, którzy przez tysiąc lat ze sobą walczyli.

Odwrócił się ode mnie i podniósł ze stołu kartkę zapisaną dziwnymi literami. Zwinął ją energicznie i wsunął w sztywną papierową tubę. Ale nadal mnie słuchał.

- A to drugie?

- Jeśli pierwsze się nie uda, chciałbym prosić o rozejm między rai-kirah a sobą. Pomogę wam otworzyć drogę do Kir'Navarrin pod warunkiem, że demoniczny legion powstrzyma się od jakichkolwiek ataków na mój lud... *pandye gash*. Kiedy już wszyscy znajdziecie się bezpieczni w Kir'Navarrin, spróbuję przekonać swój lud do zakończenia

wojny. Jeśli nie posłuchają, nasza sytuacja i tak nie będzie gorsza niż wcześniej.

Gennod nie był tak opanowany, jak sądziłem. Obrócił się gwałtownie, jego blask zamigotał, a postać zmieniała się między świetlistą a zwierzęcą - kotowatą istotą, ziejącą ogniem. Może nie pojmował, że potrafię rozpoznać jego podniecenie, gdyż jego głos był zimny i spokojny.

- Czemu miałbym zawrzeć z tobą umowę? I dlaczego sądzisz, że mam wystarczająco wielkie wpływy, by doprowadzić do rozejmu?

- Ponieważ proponuję ci to, czego chcesz. Cóż innego? Rai-kirah pragną znaleźć się w Kir'Navarrin i uwolnić się od *pandye gash*. Nie musicie mnie torturować ani oszukiwać, by mnie do tego skłonić. Myślę, że każdy Nevai, który udałby się do pozostałych i powiedział, że zdołałby załatwić taką sprawę, zostałby wysłuchany. A ty... ty znajdziesz w tym chwałę... i własne ciało. Któż z was odrzuciłby taką propozycję?

- Jak mam uwierzyć, że wejdiesz w taki układ z tymi, którymi gardzisz?

I tak oto ryba złapała haczyk.

- Ponieważ wiem również, że mimo zamięłowania do intryg rai-kirah zawsze dotrzymują umowy. To ich podstawowa cecha, o której Strażnicy dowiadują się już na początku szkolenia: zawrzyj umowę podczas walki z demonem, a zostanie ona dotrzymana. Nawet Naghidda tak postąpił. Przysiągł, że odda dusze wszystkich Khelidów, jeśli zostanie pokonany w walce. Kiedy go zwyciężyłem, wydał taki rozkaz i Khelidowie odzyskali wolność. Jeśli on, najbardziej zepsuty z was wszystkich, dotrzymał słowa, to wierzę, że musi to być podstawowa cecha waszej natury.

- Pojmujesz, do czego cię to zmusza?

Przez kilka chwil pozwoliłem, by mnie badał - zimny sprawdzian duszy i ciała, by ocenić moje intencje i prawdopodobność - a później zebrałem melyddę i go odepchnąłem.

- Tak.

- Zaczekaj tutaj, a ja skonsultuję się z pozostałymi. Warunki... będziemy musieli doprecyzować... ale myślę, że dojdziemy do porozumienia.

- Nie zamierzam negocjować, Gennodzie. Umowa będzie taka, jak powiedziałem, albo nie będzie jej wcale. I nie mogę tu czekać, podczas gdy ty spróbujesz przekonać swoich towarzyszy. Oczekują mnie gdzie indziej. Kiedy będę gotów, by działać dalej... powiedzmy za dwie godziny... spotkam się z tobą... gdzie?

- Na dziedzińcu za bramami. - Oceniając po jego szybkiej reakcji, nie czekała go długa debata z pozostałymi.

- Zgoda. Żadnych opóźnień. Żadnych oszustw. Jeśli cię tam nie będzie, kiedy przyjdę,

znajdę sobie kogoś innego.

- W rzeczy samej. W rzeczy samej. Będziemy gotowi. - Machnął niewidzialną ręką i drzwi znów się pojawiły. Kiedy odchodziłem, stał na środku komnaty, a jego blask pulsował niczym bijące serce. Jeśli chodzi o mnie... zbierało mi się na wymioty.

Nie miałem czasu, by sobie pofolgować. Liczyła się szybkość. Zamierzałem wytrącić ich z równowagi i przejąć prowadzenie. Dlatego pospieszyłem przez zmieniające się korytarze zaniku do komnaty odpoczynku Yallyne. Musiałem zrobić coś jeszcze.

Demony nie potrzebowały sypialni, gdyż nie potrzebowały snu. Ale pamiętały o pragnieniu wypoczynku, dlatego każdy z nich miał swoją prywatną komnatę, do której udawał się samotnie na część dnia. Yallyne pokazywała mi takie komnaty, gdy spacerowaliśmy po zamku, ale dotychczas nie zaprosiła mnie do swojej. Odetchnąłem głęboko i zapukałem do drzwi.

- Wygnańcze!

Przybyłem, spodziewając się wojny, i rzeczywiście, Yallyne czekała na mnie w pełnej zbroi. Stała w drzwiach odziana w głęboki granat, w prostą suknię utkaną z powietrza, która zakrywała tylko tyle z jej materialnej postaci, by pobudzić wyobraźnię. Jej blade ramiona były nagie, nie nosiła też żadnych klejnotów prócz szmaragdów oczu.

- Przyszedłeś wcześniej, Wygnańcze, ale to dobrze. - Z uśmiechem tak promiennym, że zastanawiałem się, dlaczego ponury zamek się od niego nie rozświetla, wzięła mnie za rękę i poprowadziła na pole walki.

Jej komnatę zdobiły przezroczyste srebrzyste kotary, miękkie i delikatne draperie, które zasłaniały przesadne umeblowanie i migotały w blasku świec. Nieduży stół zastawiono dla dwojga, do kryształowych pucharów nalano wina, a między nimi ustawiono misę z wiśniami w cukrze. Gdzie dowiedziała się o moich ulubionych słodyczach? Obok stołu znajdowało się bardzo wielkie łóżko, na oko bardzo wygodne. Sprawdziłem szczerą intencję... i znów przekląłem Fionę i jej wieżę.

- W mieście Rudaiów zaproponowałeś, że zostaniesz moim nauczycielem. - Dama podniosła puchary i jeden z nich wcisnęła mi w dłoń. - Czy przeszedłem już pierwszą lekcję, czy też muszę się jeszcze czegoś nauczyć, nim przejdziemy do drugiej?

Pociągnąłem łyk wina... kwaśne... niewłaściwe... a później wylałem resztę na szare płytki, patrząc, jak ciemny płyn się rozlewa i plami białe stopy Yallyne.

- To nie zadziała, pani. Jestem od ciebie wolny. Rzeczywiście. Jakość moich kłamstw znacznie się poprawiła.

Rozdział 31

Yallyne udało się przynajmniej jedno. Przekonała mnie do motywów swoich działań. Niezależnie od wszystkiego, nie mogłem skazać demonów na wieczność w Kir'Vagonoth. Pokazała mi w swojej krainie wartości i piękno, a ja nie umiałem mieć jej za złe jej zwyczajów, tak jak nie potrafiłem winić Aleksandra za to, jakim się narodził. Ale jeśli chodzi o mnie, byłem wojownikiem przyzwyczajonym do konfrontacji z przeciwnikami i stawiania spraw otwarcie. Dlatego nie mogłem czekać, aż Yallyne dowie się z plotek, że przegrała. Musiałem jej powiedzieć, że wiem, co robi, choć wystawiałem się na pokusę, jakiej wcześniej nie znałem.

- Jak widzę, dobrze się domyślałam - zauważyła, stawiając puchar z powrotem na stole. Draperie poruszały się delikatnie w srebrnym blasku. - Odzyskałeś to, co ci odebrałam.

- Nigdy nie odzyskam wszystkiego. Spędziłem w lochach wiele miesięcy... Muszę wierzyć, że nie wiesz, co to oznacza dla człowieka, gdyż inaczej nie stałbym tutaj, mówiąc, że jest mi przykro, iż nie mogę dalej brać udziału w twojej grze. - Postawiłem pusty kielich obok kielicha Yallyne. - Odebrałaś mi wspomnienia dziecka, Yallyne. Dni, kiedy mogłem sobie wyobrazić, jak będzie, gdy zacznie dorastać. A jednak nawet kiedy to mówię, żal mi Ciebie... gdyż wiem, jak bolesne musi być dla Ciebie słuchanie o tym.

- Wygnańcze...

- Czy mam powiedzieć ci to, co chcesz wiedzieć? Nazywam się Seyonne. Możesz sprowadzić swojego przyjaciela Vyxa... a może to Raddoman... albo bezimienny strażnik, który trzymał mnie z innymi bezmyślnymi zwierzętami... i jemu też to powiedzieć. Nie musiałaś się aż tak wysilać. Przybyłem tu, by się uczyć. By pomóc. By naprawić zło, przez które znaleźliście się tutaj, choć nawet nie wiedziałem, co to było. Wyznałbym ci swoje imię i pomógł ci dokonać tego, czego pragniesz.

Nie sposób było zaprzeczyć wytrwałości Yallyne. Jej materialna po stać znikła i pozostał tylko srebrzysty blask. Podeszła bliżej. Jej twarz błyszczała doskonałością.

- Ale skąd mogliśmy wiedzieć? - Jej ogień zaczął palić moją skórę i moją determinację.

Podszedłem do okna i gwałtownie otworzyłem okiennice z nadzieją, że zimny wiatr i widok bezlitosnego pustkowia ochłodzią gorączkę.

- Mogłaś mnie posłuchać - mruknąłem. - Miłość, zaufanie ani przyjaźń nie wyrosną bez tego jednego kroku. Wystarczyło mnie spytać.

Gdy poczułem się na tyle pewnie, by znów się do niej odwrócić, ona zdążyła się już zmienić. Siedziała przy stole, a blask świec odbijał się od jej pięknej twarzy - starszej, mądrzejszej, piękniejszej twarzy, którą widziałem tylko raz. Vyx też się pokazał. Stał opiekuńczo za Yallyne, choć jej nie dotykał. Rai-kirah nigdy się nie dotykały.

- Jeśli przez setki lat żyło się w Kir 'Vagonoth, nie zna się znaczenia zaufania i przyjaźni - zaczął Vyx. - Jesteś jednym z *pandye gash ...Yddrassem*. Nie mieliśmy powodów, by wierzyć, że się zgodzisz.

- Bądź szczery, Vyxagallanxchi - wtrąciła Yallyne z nutą przygany w głosie. - Powiedziałeś mi, że jest godny zaufania. Nie chciałam ci uwierzyć. - Uniosła brodę. - To ja zdecydowałam, by pozostawić cię szalonymi. Chciałam twojej mocy, twojej duszy i twojego ciała. Twój umysł nie był mi potrzebny. Może gdybym cię znała... - Gdy jej słowa ucichły, poczułem się wolny. Uniosłem dłonie i wpatrzyłem się w nie, jakbym mógł zobaczyć kajdany spadające po raz wtóry w moim życiu. Wtedy zadrzałem i wzmocniłem wzrok, gdyż światło ściemniało, a dojmujące zimno przeszło mnie, jakby zimowe słońce znikło za horyzontem.

- Co się stało, to się nie odstanie - westchnąłem, a mój głos odbijał się echem w pustce pozostawionej po szaleńczym pożądaniu. - Teraz odejdę.

- Zostań, Wygnańcze... Seyonne... nie wysłuchasz nas? - Yallyne nie wstała. Teraz docierał do mnie tylko jej głos. - Czyż nie widziałeś tu nic wartościowego? Jeśli nie w nas, to w tym, co ci pokazaliśmy? Jeśli byłeś gotów pomóc nam bez naszych oszustw... to co teraz? Nie byliśmy uczciwi, ale to nie oznacza, że nasza potrzeba stała się mniejsza. - Nie. Nie można winić Yallyne za jej zdecydowanie. A jednak byłem zaskoczony. Nie próbowała mnie związać moim imieniem.

- Zobaczyłem to, co chcieliście, żebym zobaczył. I mam zamiar zrobić to, czego ode mnie chcecie. Po prostu nie pozwolę, byście wpływali na bieg wydarzeń i decydowali, jak mam się zachować. - Ruszyłem w stronę drzwi. - Będziecie mogli wrócić do Kir'Navarrin, a kiedy już się tam znajdziecie, może przestaniecie babrać się w niegodziwości. Ale mój lud również przetrwa i któregoś dnia i wy, i oni pojmiecie, czym jesteście i co sobie zrobiliśmy.

- Chroniliśmy cię - przekonywał Vyx. - Nawet nie wiesz, ile razy byłeś bliski śmierci z rąk tych zazdrosnych o twoje ciało lub pragnących zemsty. Jedno z nas było z tobą niemal przez cały czas.

- Omal mnie nie zniszczyliście.

- Yallyne pozwoliła ci się uleczyć. Spędziłeś tyle dni na dziedzińcu... Nie zastanawiałeś się dlaczego? Nie mieliśmy leków, ale Yallyne dała ci czas i spokój, byś wyleczył swoje ciało.

- Skradliście mi wolę. - Przebijałem się przez draperie, ale odnosiłem wrażenie, że wcale nie posuwam się do przodu. Zerwałem przezroczystą tkaninę i zobaczyłem drzwi oddalone o dziesięć kroków.

Oboje za mną zawołali.

- Zaczekaj!

Ale to Vyx znikł i pojawił się między mną a drzwiami. Jego światło migotało niebiesko-zielono i fioletowo, gdy znów przybrał materialną postać.

- Tylko jedno słowo, Wygnańcze. Nie ważę się zapytać, zgodnie z czyją radą postępujesz w tym przedsięwzięciu. Wątpię, byś wiedział wystarczająco dużo, by dokonać mądrego wyboru. Nie, nie rycz na mnie, że nie dałem ci okazji, byś sam podjął decyzję. Bardzo wyraźnie przekazałeś mi tę informację. A my żałujemy. Naprawdę żałujemy. Ale jeśli jesteś człowiekiem, za jakiego się uważasz, za jakiego my cię uważaliśmy, czy rzeczywiście nie zaintrygowało cię moje ostrzeżenie? Nie martwi cię choć odrobinę, że bierzesz udział w grze, w której nie znasz stawek?

No tak. Oczywiście odkrył, co mnie dręczyło. Nie chciałem słuchać. Podjąłem najlepszą decyzję, na jaką było mnie stać, i musiałem ruszać.

- Rozumiem wszystko, co muszę. Otworzę drogę, ponieważ powinienem to zrobić, i nie zmuszę nikogo z mojego ludu, by mnie w tym wyręczył. Postaram się nie naruszyć spokoju Tyrrad Nor. A co nadejdzie później, czym jest „bezimienne niebezpieczeństwo”, które kryje się w fortecy... to wy będziecie musieli się tym zająć.

- W takim razie powiem tylko jedno, Wygnańcze. Wszystko zależy od tego, kogo wybierzesz. Wszystko... bezpieczeństwo twojego ludu, twojego dziecka, nas wszystkich. Potrzebujemy władcy o olbrzymiej mocy... ciebie... by otworzył drogę do Kir'Navarrin. Inaczej jesteśmy zgubieni. Nie znamy imienia tego, który czeka w Tyrrad Nor, wiemy tylko, że oznacza on zniszczenie naszego i waszego rodzaju. Prędzej czy później zaatakuje. Niektórzy pragną do tego właśnie doprowadzić, raduje ich myśl o chaosie, zniszczeniu i zemście. To ci sami, którzy chcą zniszczyć *pandyę gash* i pierwsi udadzą się do Kir'Navarrin, by odnaleźć niebezpieczeństwo. Obudzić je. Służyć mu. Mogę powiedzieć ci więcej...

Powtarzałem sobie, że nie powinienem słuchać Vyx. On i Yallyne uznali za słuszne, bym leżał w kałuży własnej krwi, wierząc, że nie mam ramion, bym płakał z rozpacz i czuł,

jak mój umysł się rozpada, bym zapomniał o kobiecie, którą obiecywałem kochać aż do śmierci, i o dziecku, które jako jedyne w moim życiu nie łączyło się ze śmiercią. A jednak pragnąłem mu uwierzyć.

- Muszę iść. - Ale moje stopy się nie poruszyły. Wtedy Vyx popełnił błąd.

- Powiedz mi tylko jedno, Wygnańcze. Gdzie jest drugi ylad?

Nie spodziewałem się tego pytania, lecz wzmocniło ono moją słabnącą determinację. Oboje znów mną manipulowali, a ja na to nie pozwolę.

- A co to was interesuje? - prychnąłem, odpychając demona na bok. - Chcecie zniszczyć te jego resztki, które jeszcze pozostawiliście? A może ze mną pragniecie zrobić to samo... pozbawić mnie mocy, ponieważ się wam nie poddałem, i okaleczyć moje ciało, ponieważ własnego nie macie? - Ostrzeżenia Vyx'a nie miały znaczenia. Przyznał się do kłamstw i oszustw. Musiałem wyjść z tej komnaty, oddalić się od Yallyne i świec. Złość i zraniona duma nie pozwalały mi spokojnie myśleć.

- Co pozostawiliśmy...? Ach. Czyli Merryt opowiedział ci swoją historyjkę o uctowaniu... jak to straszliwe rai-kirah ucięły mu palce i ukradły wielką magię. Widzisz, Yallyne, mówiłem ci, że powinniśmy zamknąć robaka w klatce, kiedy mieliśmy okazję.

Dotknąłem mosiężnego węża, który służył jako klamka, ale zaraz cofnąłem dłoń. Był tak gorący, że myślałem, iż zobaczę wypalony ślad na swojej dłoni.

- Łatwo sztydzić z więźnia. - Wezwałem melyddę i znów dotknąłem węża. Tym razem nie poczułem gorąca i otworzyłem drzwi.

- Czy mam ci pokazać, jak to się stało, Wygnańcze? - spytał Vyx. - Czy mam ci pokazać, dlaczego przybył na naszą ucztę? I co zrobił, kiedy się tam znalazł?

- Nie - powiedziała Yallyne przerażonym głosem. - Zabraniam ci, Vyx...

- Musi się dowiedzieć, zanim dokona wyboru.

- Nie - odparłem. - Dowiedziałem się już wystarczająco dużo. Gdy szedłem korytarzem, oddalając się od zdrady i pokusy, Vyx nadal za mną wołał.

- Myśl, Yddrassie. Jakim sposobem Merryt przetrwał w Kir'Vagonoth, a inni yladowie nie? Skąd bierze ludzkie ubranie i broń? Zapytaj go, kogo oplakuje przy swoim ołtarzu... z pewnością nie żonę, którą obwinia o swoje uwięzienie, ani swój lud, który obarcza niepowodzeniami, ani rai-kirah, swoich dręczycieli, którym zarzuca wszystko inne, a którzy popadają w szaleństwo tutaj, w Kir 'Vagonpht. Zapytaj go, dlaczego przysięgał przed nami wszystkimi, że zniszczy *Yddrassa*, który może zmieniać postać; każdy rai-kirah może ci powiedzieć o jego przysiędze.

Nie chciałem słuchać. Znowu pragnęli zniszczyć mój umysł, w chwili gdy podjąłem decyzję. Pospieszyłem do swojej komnaty, zapaliłem świecę i zjadłem kawałek twardego, kwaśnego chleba, który pozostał po jakimś dawno zapomnianym posiłku. Jedzenie nie rozluźniło ucisku w żołądku. Plecy swędziały mnie od potu. Za dywanem wciśniętym w okno wiatr ryczał niczym pijany bóg, lecz ja wyrwałem zakurzony kłęb wełny, otworzyłem okiennice i wychyliłem się przez prostokątny otwór, zaczerpując wielkie łyki lodowatego powietrza, jakby mogły uspokoić nerwy. Dlaczego ustaliłem dwugodzinne opóźnienie przed spotkaniem z Gennodem? Czy chciałem pokładać się z Yallyne, zanim... bogowie, co ja robiłem.

Z wściekłością odepchnąłem z drogi serwantkę. Gdy kubki, klejnoty i naczynia spadały na podłogę, a każdy z nich rozpadał się na tysiące ka wałków, rzuciłem się na posłanie i ukryłem twarz w kapie. Nie mogłem myśleć. Wiatr wył, poruszając kartkami książki, która leżała przy moim uchu. Opowieści o bogach. Co chciałem zapamiętać... o Verdonne, Valdisie i micie o pierwszych Ezzarianach? Nasza rasa wywodzi się ze związku bogów ze śmiertelnymi, tak nam powiedziano. A bóg oszalał z zazdrości i żądzy zemsty. Kiedy Valdis pozbawił go mocy, zamknął go w magicznej fortecy i ostrzegł wszystkich mieszkańców lasu... ostrzegł... ponieważ odebrał ojcu imię... Co z tego było prawdą, a co życzeniem - budowaniem świata od nowa, by pasował do naszych życzeń, pragnieniem, by ukształtował nasze nocne strachy i ukryć je przy pomocy dobrego boga?

Wysoka świeca przewróciła się, gdy podmuch wiatru z okna popchnął na nią zwinięty dywan. Wszystkie płomienie zgasły. Podskoczyłem i zarzuciłem na ramiona płaszcz, a później popędziłem zmieniającymi się korytarzami do tylnego wyjścia, które pokazał mi Merryt. Gdy znalazłem się na zewnątrz, wyzwoliłem przemianę i przebiłem się przez szalejącą burzę do osady Rudaiów.

* *

Tylko kilka mijanych demonów w ogóle na mnie spojrzało, gdy wędrowałem wijącymi się korytarzami ze świetlistego kamienia. Nikt nie zauważył, jak otwieram drzwi do tajemnej komnaty Merryta. Choć plecy wciąż pulsowały, znowu ukryłem skrzydła. Ezzarianin przysięgał, że nikt nie wiedział o tym miejscu.

Przeglądałem skrzynie i kosze jego małego skarbcza, dotykając klejnotów i grzebieni, kubków i piór, igieł, kawałków materiału i nici. Później, brzydząc się swojego tchórzliwego

wahania, ukląknęłam przed okutym mosiądzem kufrem, z którego Merryt wyjął płaszcz Strażnika. Nic nie znaję. Demony były mistrzami oszustwa i chciały, żebym w siebie zwątpił. Zamek został zapieczętowany zaklęciem. Nie miałem cierpliwości go rozplątywać, więc rozwalilem zawiasy i zerwałem wieko.

Jaką opowieść może przekazać stos szmat? Kiedyś widziałem ubrania w stercie sięgającej aż do sufitu, a mówiły one o śmiertelnym cierpieniu i smutku - ubrania mieszkańców miasta dotkniętego zarazą, przygotowywane do spalenia. Ysanne wepchnęła niewielką kupkę delikatnych tkanin na dno naszej skrzyni na ubrania, pod zimowe płaszcze, których w Ezzarii potrzebowaliśmy rzadko. Odnalazłem je - rytualne szatki dla naszego dziecka na dzień nadania imienia - kiedy szukałem czystej koszuli w dzień przed procesem przed obliczem Rady. W ślepej i okrutnej złości zostawiłem je zwinięte w kłębek na podłodze, żeby je zobaczyła. Szmaty w skrzyni Merryta też miały swoją opowieść.

Wyciągałem je jedna po drugiej. Płaszcz Strażnika, rozerwany i na wpół spalony. Inny płaszcz Strażnika, z wielkimi dziurami wyżartymi przez żrącą substancję, która pozostawiła sztywne, zielone plamy. Rozdarta tunika, wyszywana w splecione symbole Strażnika i Aife, męża i żony. Piękny haft opowiadał historię miłości i partnerstwa. Pojedynczy, zużyty but z wydrapanym wewnątrz imieniem Dyadd. Sztywna od potu koszula, uszyta na olbrzymiego mężczyznę, z poszarpanym rozdarciem na plecach, otoczonym rdzawą plamą. Przyglądałem się wszystkim. Merryt nosił te rzeczy, które udało mu się naprawić. Te, które zostały - ubrania nie mniej niż piętnastu Strażników - były zbyt zniszczone, ale najwyraźniej nie potrafił się zmusić do ich zniszczenia. Wyjąłem koszulę, w całkiem niezłym stanie. Niezbyt wiele krwi. Kilka rozdarć, łatwych do zaszycia. Ale oczywiście nie mógł jej nosić, póki żyłem. To była koszula, którą kupiłem w Passile pod czas podróży z Fioną. Próbowałem przekonać samego siebie, że Merryt zachowywał ubrania jako znak szacunku dla tych, których nie mógł uratować, ale dowód przedstawiony przez moją własną koszulę temu przeczył. Drugiego dnia niewoli w lochach szalonych Gastaiów ubiór ten został zdjęty przez cicho mówiącego mężczyznę, który nauczył moich strażników, jak mnie najbardziej upokorzyć - przez człowieka.

Zwinałem szorstką tkaninę w kłębek wokół pięści i uderzyłem nią w ścianę. *Głupiec. Przeklęty, ślepy głupiec.*

- Powinniśmy ci o nim powiedzieć.

Nawet nie podskoczyłem, kiedy Vyx odezwał się zza moich pleców. Nic już mnie nie zaskakiwało.

- Powinienem być to zauważyć - stwierdziłem.

- Potrzebowałeś przyjaciela w tym straszliwym miejscu. A on opowiedział ci historię...

- Tak. Historię. Wszyscy mieszkańcy Kir'Vagonoth świetnie kłamali.

- Mogę podać ci inną wersję tej powiastki, choć Yallyne rozkazała, bym tego nie robił.

- Niczego od ciebie nie chcę. - Niczego, co pokaże mi ogrom mojej pomyłki.

- Ale to dla nas ważne, żebyś zobaczył...

Vyx poruszał się szybko. Podobnie jak to zrobił jako Raddoman, kiedy opowiadał mi o swoim straszliwym przebudzeniu w Kir'Vagonoth, przycisnął mi dłoń do twarzy i w krótkiej chwili - *moje ciało drży od mocy... moja głowa pełna jest wina, mój brzuch i lędźwie są zaspokojone... moje dłonie pulsują boską władzą, życie i śmierć są w moim zasięgu... blaknące obrazy kobiet i mężczyzn nagich na trawie... krwawiących... martwych... Świetnie udało się polowanie, jakiego nie znał świat; przez wzgórza i lasy należące do mojego dziadka goniliśmy żalonych wieśniaków, niektórzy wrzeszczeli, niektórzy zrozpaczeni milczeli, a cisza była tak przyjemna... moi zamroczeni przyjaciele śmieją się wraz ze mną - wpuścił mnie do swojej pamięci.*

Groteskowe obrazy... fałszywe wspomnienia... w końcu blakną, ich smak pozostaje najdłużej... ohydny, paskudny pokarm... Gdzie jest ylad? Przybył tuż za Gastaiami. Co on tu robi? Przeklęty, żarłoczny głupiec, dlaczego go wtedy nie powstrzymałem? Nie, musiałem jeść... taka ohyda... obrzydliwe okrucieństwo... Ten żył w tak pogardy godnym zepsuciu - polować na innych ludzi dla rozrywki - wolałbym raczej się zagłodzić, niż brać w czymś takim udział. Tak łatwo powiedzieć ci to potem, kiedy już wiesz, co spożyłeś; tak trudno powiedzieć wtedy, gdy cała twoja osoba domaga się pokarmu. Życia. „Może tym razem to będzie coś wspaniałego”, mówisz. „Może tym razem to będzie ktoś taki jak ci, w których podróżuję, gdy ważę się wyjść na świat”. To dlaczego nie odmawiasz, skoro wiesz, że tak mało z tego, co przynoszą Gastaiowie, ci odpowiada? Ponieważ, wbrew temu, co twierdzisz, wcale nie chciałbyś się zagłodzić. A teraz ten ylad pogwałcił ostatnią intymność. Intymność obżarstwa. Grzechu. Głodu tak ohydnie zaspokajanego. Nim usnę jak pozostali, padając na podłogę jak trup, muszę się dowiedzieć, jakie obrzydlistwo przynosi ylad na nasze zepsute świętowanie.

Tam jest... w rogu za martwymi fontannami, rozpraszającym się dymem i krzykami wstydlivych wizji... gdzie leży Denas, śpiący po obżarstwie. Mój pan nie wziąłby w tym udziału, gdyby nie był tak wygłodzony. Niektórzy i owszem. Niektórzy polubili to, co jest nam dane. Ale ylad przekradł się za Denasa. Co niesie? Srebro... jego kształt wzbudza we mnie takie przerażenie... co to jest? Gdybym tylko mógł zrobić coś poza czółganiem się po pozostałych jak zwierzę, uwięziony w tym ohydny ciele, splamiony resztkami przyjemności,

mógłbym tam dotrzeć szybciej i zobaczyć... Ach, nie! Nie dobry Zelaz! Ostatni, który wyczuwał niebezpieczeństwo...

Morderstwo. Merryt wślizgnął się na końcówkę uczty demonów, gdy rai-kirah leżały bezbronne, wyczerpane nasyceniem po okresie głodu, a ze sobą przyniósł srebrny nóż Strażnika i zwierciadło Luthena. Vyx widział, jak Merryt morduje Zelaza, gdy ten leżał nieprzytomny. A tuż obok Zelaza, tak blisko, że jego krew splamiła jej białe suknie, leżała Yallyne, poruszając się sennie... krzywiąc się... jej rozespiane oczy otworzyły się szeroko ze zmieszania i osłupienia, gdy Merryt zerwał jej zakrwawione szaty i nasycił swoje zepsute żądze ciałem, które nosiła.

- Nie mogliśmy mu nic udowodnić - powiedział Vyx, odsuwając się ode mnie. Ostatnie obce wspomnienia opuściły mój umysł. Oparł się plecami o stół, dłońmi chwytając jego krawędź. - Potem nie można zachować przytomności, a kiedy się ocknęliśmy, Zelaz znikł. Jak dobrze wiesz, Yddrassie, nic nie pozostaje z naszej prawdziwej istoty, gdy zginiemy.

- I dlatego zniszczyliście Merryta. - Próbowałem się bronić, ukrywając niesmak. Ezzarianie i demony walczyli przez tysiąc lat. Ja miałem w tym swój udział, podobnie jak rai-kirah, które karmiły się koszmarami ludzkich dusz. A jednak mordowanie i gwałcenie bezbronych to coś zupełnie innego.

- Nie twierdzą, że jestem bez winy. Nikt z nas nie jest. Nie rozumiesz? Jak myślisz, dlaczego Merryt jeszcze żyje? - Vyx opadł na krzesło i czarnymi butami zaczął gwałtownie kopać w nogę od stołu. - Przeszukaliśmy jego komnaty i zabraliśmy mu broń... nie wiedzieliśmy o tej kryjówce... i daliśmy kręgom do zrozumienia, że to on zamordował Zelaza. - Znow kopnął w stół. - Oskarżyliśmy go tylko o morderstwo. Nie o gwałt. Tak, ukaraliśmy go, choć nie obcięliśmy mu palców. Wówczas już miał przyjaciół wśród szalonych Gastaiów. Merryt odniósł rany, gdy próbował zdobyć nową broń od pojmanego Yddrassa. Uznaliśmy to za właściwe. A jeśli chodzi o jego moc... dlaczego myślisz, że kiedyś posiadał jej tak dużo? Masz na to tylko jego słowo. Nikt z nas nigdy nie widział żadnych dowodów.

- To nieprawda. Chcecie zrzucić na niego winę, żebym znow wam zaufał. To się nie uda. - Wstałem i podszedłem do drzwi, ale mój oszołomiony umysł groził, że jeśli wyjdę, zapomnę o wszystkim, czego się tu dowiedziałem. - Macie swoją sprawiedliwość. Spotkanie Rudaiów. Jeśli zrobił coś takiego, mogliście postawić go przed obliczem sędziów.

Ale przypomniałem sobie, co Merryt mówił o „okazjach” i potrzebach, które tylko on mógł zaspokoić. I skojarzyłem, że Yilgor, odziany w fiolet Rudai, który zabrał mnie z lochów, znikł po tym, jak obraził potężnego Ezzarianina. Przywołałem wspomnienie naszej

wyprawy w noc uczty demonów - kiedy Merryt uznał za konieczne zabić demony, które pragnęły mnie pojmać. Być może tym ohydny czynem wcale nie uratował mi życia, tylko ukrył swój współdział w napaści. Z bronią Strażnika Merryt załatwiał sprawy tak, jak zechciał.

Vyx pochylił się w moją stronę i mówił dalej, jakby moje sprzeciwy były tylko kolejnym podmuchem wiatru.

- Nic nie dało się zrobić otwarcie. Bez swej broni Merryt nie mógł nas skrzywdzić, ale miał bardzo potężnego przyjaciela, który go wykorzystywał i chronił. Tego samego, który nakazał mu zabić Zelaza.

- Kogo? - spytałem, choć nadal nie chciałem przyznać, że Vyx skłoniłoby mnie do zmiany zdania. Przysięgałem, że nie sparaliżuje mnie strach przed tym, co musi się dokonać, i dlatego postanowiłem złożyć swoją duszę w rękach kogoś innego. Mając z jednej strony Merryta - zranionego człowieka mojej własnej rasy, mojej profesji, moich przekonań, który, jak sądziłem, uratował mi życie i rozum - a z drugiej Yallyne - demonkę, która pozostawiła mnie na torturach, by zniszczyć mój umysł, i swoimi oszustwami wywróciła mi głowę na drugą stronę - sądziłem, że dokonałem jedyne rozsądnego wyboru. A teraz Vyx próbował mnie przekonać, że źle wybrałem. Jaki człowiek przyjąłby coś takiego bez walki?

- Jeszcze się nie domyśliłeś? Na imię miał Tasgeddyr. Znasz go jako Naghidę... tego, który próbował zdobyć władzę nad waszym światem dla swoich celów, by otworzyć Kir'Navarrin i uwolnić niebezpieczeństwo uwięzione w Tyrrad Nor.

- Czym jest to niebezpieczeństwo?! - ryknąłem na niego z furją. - Władca demonów nie żyje. Zabiłem go. Ze wszystkich krwawych czynów, jakich dokonałem w życiu, tego jednego nie żałuję. Co was tak przeraża?! - I naszych przodków, którzy próbowali zniszczyć wszelkie wspomnienia tego czegoś.

- Nie wiemy, Wygnańcze. Wiedza została nam odebrana, gdy tu trafiliśmy. Widziałeś moje wspomnienia. To wszystko, co mam. Tylko kilku z nas pamiętało więcej i przez długi czas nie chciało o tym mówić, obawiając się, że ta wiedza będzie niewłaściwie wykorzystana. Zelaz był jednym z nich. Tasgeddyr też wiedział coś o tym, co kryje się w fortecy. Twierdził, że nie czeka na nas żadne niebezpieczeństwo. Tylko moc, mówił, moc, która nie ma imienia, gdyż czeka na prawowitego pana. Tasgeddyr utrzymywał, że *pandye gash* wyrzucili nas z Kir'Navarrin, gdyż widzieli, że stajemy się potężniejsi od ludzi, i któregoś dnia władalibyśmy ich światem tak samo jak naszym. Merryt i Tasgeddyr byli bliskimi przyjaciółmi. Ylad powiedział Tasgeddyrowi o łupach, które można zdobyć w waszym świecie, i jak moc, którą zyska, pozwoli mu zniszczyć *pandye gash* i otworzyć bramy, byśmy odzyskali swoje miejsce.

Dlatego Tasgeddyr zaczął nazywać się Naghiddą, obiecując Nevaiom nieograniczoną moc, Rudaikom nieograniczone materiały do kształtowania, Gastaiom nieograniczone polowania, a nam wszystkim nieograniczoną zemstę *na pandye gash*.

Vyx podniósł jedno z żalonych ubrań i przeciągnął błyszczącymi palcami wzdłuż krwawego rozdarcia. Tkanina znów się połączyła, lecz rdzawa plama została.

- Kiedy z Gestaiami zaczęły dziać się dziwne rzeczy... to szaleństwo, z każdą chwilą gorsze... Zelaz i pozostali stanęli przed strasliwym dylematem. Zgodzili się, że musimy powrócić do Kir'Navarrin lub zginąć, lecz to Tasgeddyr był tym, czego się zawsze obawiali. W tajemnicy zaczęli rozmawiać z niektórymi Nevaiami, ostrzegając ich, że niezależnie od ceny nie mogą pozwolić, by Tasgeddyr i jego poplecznicy jako pierwsi dotarli do Kir'Navarrin. Forteca musi zostać natychmiast zabezpieczona lub zagrozi nam wojna i zniszczenia, które doprowadzą nas wszystkich... i ludzi, i rai-kirah... do mrocznych czasów gorszych niż wszystko, czego zaznaliśmy. Nim Zelaz zdołał przekazać nam więcej, on i wszyscy, którzy znali prawdę, znikli... najpewniej zginęli. Wszyscy poza Tasgeddyrem. Czy teraz rozumiesz, przyjacielu? Dobrze znasz Tasgeddyra i jego pragnienie mocy... podsycone naukami Merryta. Po tym jak zniszczyłeś Tasgeddyra, Merryt niemal oszalał.

Przycisnąłem plecy do ściany. Prawda jest ciężka, niczym owoce pełne soku, a miąższ przeważa te wysuszone tak, że się już do niczego nie nadają. Jeśli wszystko to było prawdą, to co ja, na Verdonne, narobiłem, uwalniając Merryta... posyłając go do Ezzarii. *Idiota*. Co to za człowiek, który pozwala robić z siebie głupca każdej napotkanej osobie? Nic dziwnego, że Aife, Tkaczki i królowe Ezzarii były kobietami, a nie wojownikami. Potarłem twarz, pragnąc się obudzić, pragnąc znaleźć kogoś, komu mógłbym zaufać. Bałem się uwierzyć Vyxowi i bałem się - i to panicznie - odrzucić jego słowa.

- Czy Merryt nosi w sobie jednego z was? Czy sam może otworzyć drogę?

- Nie. Jego moc jest zbyt mała. Nawet Naghidda nie mógłby go uczynić wystarczająco potężnym, by mu to umożliwić, choć Merryt przechwalał się przed Gestaiami, że taki był plan Tasgeddyra. Nie odebraliśmy mu mocy. To jego słabość sprawiła, że został pojmany i już pierwszego dnia wyznał swoje imię. Magyalla, Rudai, która go pojmała, nie chciała go zatrzymać, gdy posmakowała tego, co mógł jej dać. A gdy Merryt zaprzyjaźnił się z Tasgeddyrem, nikt już nie widział Magyalli. - Vyx uśmiechnął się smutno. - Nigdy nie mieliśmy okazji poznać tajemnic, które wyznał jej Merryt.

I tak oto posłałem kłamliwego mordercę, tchórza okradającego martwych i umierających, sługę Naghiddy, by ostrzegł Ezzarian przed legionem demonów. Posłałem go w towarzystwie Blaise'a, Kyora, Balthara i Fiony... mojej jedynej nadziei, że jeszcze ujrzę

świat. *Przeklęty, przeklęty głupiec*. Znów musiałem pokładać wiarę w swojej przeciwniczce Fionie i modlić się, by zapewniła bezpieczeństwo sobie i pozostałym. Teraz liczyła się każda chwila. Gdyby to wszystko nie było tak straszliwie poważne, mógłbym się nieźle uśmieć ze swoich żalonych prób spiskowania.

- W ciągu tej godziny mam się spotkać na dziedzińcu z Gennodem - powiedziałem. - A ty mi powiesz, że Gennod też jest sługą Naghiddy... i współnikiem Merryta. A najwyraźniej słudzy Naghiddy są tymi, którzy pragną otworzyć Tyrrad Nor, podczas gdy Yallyne i ty jesteście tymi, którym powinienem zaufać.

- Na większość z tych twierdzeń odpowiedź brzmi: „tak”. Od kiedy się pojawiłeś, Gennod starał się ciebie opanować, choć Merryt nie jest jego współnikiem. Przyświecają im podobne cele, lecz Merryt działa wyłącznie we własnym interesie. Gennod nie może znieść tego człowieka tak samo jak reszta z nas. - Vyx podskoczył i uśmiechnął się, a błękitny ogień w jego oczach zapłonął jasno. Miły, tak można by go opisać. Współczujący. Zwycięski. - A teraz gdybyś wtajemniczył mnie w swoje plany...

Opowiedziałem mu po swojej umowie z Gennodem i o tym, że Merryt zyskał nad nami przewagę dzięki mojej głupocie.

- Nieważne. Merryt znalazłby sposób, żeby za tobą podążyć i zrobić to, co zechce. Ale możemy dać ci kogoś zamiast Gennoda. Ktoś czeka. Ktoś, kogo jesteś wart, Wygnać... - Jego uśmiech znikł. - ...Kogo jesteś wart jako Ydrass.

Nie lubiłem słowa Ydrass, gdyż przypominało mi o mojej przysiędze. Wyłączyłem myślenie.

- Po prostu to zrobmy. Im szybciej, tym lepiej. Jak już mówiłem, na imię mam Seyonne. Zrób, co zechcesz.

Vyx się roześmiał... z zażenowaniem, tak bym to określił.

- Och, przyjacielu. To nie ja. Byłbym zaszczycony... ale brak mi odpowiedniej wiedzy. I szlachetności, by zrezygnować z życia, które znam. - Łagodnie wypchnął mnie przez drzwi na korytarz. - I nie wolno nam tego zrobić tutaj. Ceremonia musi się odbyć przed obliczem legionu. Wszyscy muszą zobaczyć, że się zgadzasz, gdyż inaczej nigdy za tobą nie podążą. To dlatego Gennod umówił się z tobą na dziedzińcu. Możesz być pewien, że wezwał zastępy Kir'Vagonoth, by patrzyły, jak się poddajesz.

Rozdział 32

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że rai-kirah jest tak wiele. Światelka każdego koloru, jaki może pojąć umysł, migotały, wyginały się i błyszczały niczym splątane razem błyskawice, oświetlając fronton zamku Denasa. Ze swojej kryjówki w cieniu szakalej bramy widziałem, że olbrzymi dziedziniec zapchany jest demonami, mignięcia twarzy i kończyn pojawiały się i znikaly z mojego pola widzenia, gdy przybywały kolejne rai-kirah i wszystkie ścisnęły się coraz bardziej. A na obrzeżach, w plamach gotującej się ciemności kryli się myśliwi. Gastaiowie. Czuję ich woń. Ich smak. Czuję, że powietrze robi się zimniejsze, kiedy tylko padło na nich moje spojrzenie.

Po drugiej stronie olbrzymiego dziedzińca znajdowało się główne wejście do zamku, wysokie kolumny wyrzeźbione w kształcie stylizowanych drzew o grubych pniach i gęstym listowiu w miejscu, gdzie filar stykał się z masywnym portykiem. Na honorowym miejscu przed tłumem stali gyossi Denasa - jego „zamkowi goście”, Nevaiowie, którzy mieszkali w tym olbrzymim lodowym pałacu, zaproszeni przez niego lub dlatego, że nie chciało mu się ich wyrzucać. Kilku stało między kolumnami na dwudziestu szerokich stopniach prowadzących do zamku. Pulsująca czerwona postać to Gennod; wyciąga szyję, ogląda się przez ramię, oczekuje. Oczekuje na mnie.

Przycisnąłem plecy do zimnego kamienia, dysząc ciężko. Moja skóra na przemian płonęła i zamarzała.

- To Rhadit miał poprowadzić wielkie przedsięwzięcie, ale zaginął - szepnął mi do ucha Vyx. - Denas miał nadzieję skorzystać na upadku Rhadita, ale wygląda na to, że Gennod go wymanewrował. Bez wątplenia nasz przebiegły przyjaciel Gennod planuje pokornie przyjąć miejsce Rhadita na czele legionu, gdy przedstawi cię jako swój łup.

Cztery lub pięć demonów trzymało się blisko Gennoda. Jednym z nich był spoglądający groźnie Denas, migoczący złotem. Żadne materialne ciało nie tłumilo jego chwały. Obok niego stał Denkkar, stary tancerz, i Tovall, ciemnoskóra Nevai o wspianym śmiechu. Kaarat, sędzia Rudaiów, sterczał sztywno po drugiej stronie.

Wtedy, w bibliotece, towarzysząc Denasowi wspomnieli o trzech rai-kirah gotowych połączyć się z człowiekiem, by otworzyć bramę. Gennod był jednym z nich. Inny to demon,

który stał samotnie na piątym stopniu, tuż za kręgiem światła z pochodni, a ręce splótł swobodnie za plecami - Kryddon, cichy, wysławiający się pięknie Rudai, który często przychodził do Yallyne słuchać, jak czytam. Raz spytał ją, czy pozwoliłaby „dzikiemu yladowi” przeczytać książkę o morskich stworzeniach. Fascynowała go idea oceanów i świat, który istniał pod ich powierzchnią. Trzeci był Nesfarro, żyłasty, rozczochrany Rudai, który gwałtownie gestykulował, rozmawiając z roześmianą Tovall. Uważał się za artystę i rzeczywiście to on stworzył galerię barw. Kiedy usłyszał, że Yallyne pokazała mi jego dzieło, bardzo się oburzył. Przysiągł zabić każdego następnego ylada, który spojrzy na jego twórczość.

Merryt twierdził, że połączenia z demonem zawartego w Kir'Vagonoth nie dało się już rozdzielić. Jeśli miał rację, to jeden z dziesięciu demonów na schodach miał przez resztę życia dzielić ze mną moją duszę. Chciałem schować głowę w szarych kamieniach za plecami lub wypuścić skrzydła i pozwolić, by wiatr zabrał mnie jak najdalej od tego miejsca.

- Gennod zada ci kilka pytań. Na każde z nich odpowiadaj szczerze, z wyjątkiem najważniejszego. - Vyx się do mnie wyszczerzył. - Wiesz którego.

- O moje imię.

- Zgadza się. Kiedy zapyta cię o imię, cofnij się i zrób trochę miejsca, gdyż kilku z nas cię otoczy, a legion musi zobaczyć, co się będzie działo. Jeden z nas zapyta cię, czy się poddajesz. Odpowiedz wyraźnie... niezależnie od tego, jaka to będzie odpowiedź... a jeśli nadal będziesz chciał ruszyć tą ścieżką, dotknij podanej ci dłoni i na tym samym oddechu wypowiedz swoje imię. Musisz działać szybko, przyjacielu, albo wpadniesz w łapy Gennoda. Jest przygotowany na taki ruch.

- Byłoby miło, gdybyście powiedzieli mi, kto to będzie.

Vyx uśmiechnął się smutno.

- Nie doceniasz swojej siły, Wyгнаńcze. Nie ma najmniejszego znaczenia, który z naszego rodzaju zrobi ten krok pod warunkiem, że nie będzie to Gennod ani żaden z jego sympatyków.

Nie miałem pewności, co chce przez to powiedzieć, ale wolałem o tym nie myśleć.

- A teraz idź, przyjacielu Seyonne. I niech bogowie troszczą się o ciebie bardziej niż dotychczas. - Uśmiechnął się i popchnął mnie do przodu. - Może jeszcze będziemy mieli okazję zobaczyć razem trochę świata.

Moje stopy nie chciały się poruszyć.

- Jesteś pewien, że to nie ty? - Mógł mi się przydać jego optymizm i dobry humor. Przynajmniej z nim zamieniłem więcej niż pięć słów.

Vyx odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- Byłby to dla mnie przywilej, ale ty i beze mnie masz sporo kłopotów. Ja nie potrafię dłużej niż przez godzinę pozostać w niczyich łaskach. Nie możemy ryzykować, że ktoś pozna naszych graczy, zanim wszystko się dopełni. - Machnął rękaw stroną schodów. - Będzie dobrze, Wygnańcze. Będzie dobrze. - Później popchnął mnie do przodu w tłum demonów i głosem zbyt potężnym na jego szczupłą postać za wołał: - Rozsuńcie się! Nasz wybawca nadchodzi!

Większość z tej godziny była jedną wielką plamą. Plamą światła, gdy przechodziłem przez morze demonów, próbując zignorować ich smród, gdy otwierały mi przejście. Plamą dźwięku - bełkoty, szepty, demoniczne słowa gniewu i nadziei, i ścisnąca żołądek muzyka, która wyła, kłębiła się i wywoływała we mnie drzenie kości. Wydarzenia niosły mnie bez udziału myśli i świadomej zgody, jakbym jedyne go wyboru dokonał tej nocy, gdy objąłem żonę i odkryłem, że już nie nosi dziecka, tej nocy, gdy wpadłem do studni mroku i nie potrafiłem już powstrzymać upadku.

Ale w końcu znalazłem się na stopniach zamku Denasa. Mokry śnieg uderzał mnie w twarz, a pulsujące czerwone światło Gennoda drażniło krawędzie ducha.

- Wyrażono zgodę na warunki rozejmu, które zaproponowałeś, Yddrassie - powiedział cicho Gennod, gdy wspiałem się na schody i sta \nąłem obok niego. - W zamian za twoją zgodę na otwarcie bram Kir'Navarrin legion nie zaatakuję *pandyę gash*. Teraz kiedy to ja mam objąć dowództwo, możesz być tego pewien. Podejmiemy walkę z twoim ludem tylko wówczas, gdy postanowi zatrzymać nas u bram, a kiedy znajdziemy się bezpiecznie w ojczyźnie, pozwolimy wam w spokoju negocjować. Całe zastępy Kir'Vagonoth będą związane tym słowem. Czy to ci odpowiada?

- Odpowiada - odparłem.

Ale oczywiście wiedziałem już, jak to wszystko wyjdzie. Rai-kirah pierwsze nie zaatakują Ezzarian, ale Merryt już się postara, by to Ezzarianie ruszyli do walki. Wywoła chaos między ludźmi a demonami, a sam jako pierwszy przejdzie przez bramę. Jeśli kiedykolwiek istniała możliwość, by temu zapobiec, zniszczyłem ją, gdy przeprowadziłem Merryta przez portal. Nie udałooby mi się skłonić Ezzarian do uniknięcia konfrontacji. Jeśli uwierzą, że legion demonów nadchodzi, by ich zniszczyć - opętać ich dusze lub dusze innych - będą gotowi. Poślą każdego ucznia, każdego Uczzonego, każdego choćby ze śladem melyddy, i zo staną wyrżnięci w pień. Dlatego też musiałem powstrzymać Merryta, zanim przekroczy bramę, a jednocześnie musiałem zachować moc, by zmusić demony do opuszczenia swoich gospodarzy bez walki. To znaczyło, że powinienem jednocześnie

kontrolować bramę i dowodzić legionem. Ja. Nikt inny. I tak nie wiedziałem, czy to wystarczy.

Demony zaczęły przemowy, oplakując zaginionego Rhadita, wysławiając jego zdecydowanie, by poprowadzić legion demonów do ludzkiego świata, i chwając szlachetność Gennoda, który zgodził się zaryzykować wszystko dla nowego życia w Kir'Navarrin. Inni nawoływali do odwagi, błagali o jedność i dziękowali tym, którzy zdecydowali się zająć miejsca w awangardzie. Gennod wyraźnie nie był tu zbyt ceniony. Przemowy wydawały się puste, radosne okrzyki słabe, lecz na twarzy Gennoda nigdy wcześniej nie pojawił się wyraz tak bliski uśmiechu. Kiedy nadeszła jego kolej, mówił krótko.

- Weźmiemy to, czego chcemy. Już nie będziemy błagać ani kraść.

To wywołało entuzjazm demonicznego legionu - szczególnie na obrzeżach tłumu, gdzie czaili się myśliwi. Jako jedna z rzeczy, których pragnął, dostałem ataku mdłości. Z pochodni umieszczonych na wysokich kolumnach unosiły się kłęby duszącego dymu, aż zaczęły mi łzawić oczy.

Wtedy odwrócili się do mnie.

- Ten ylad... ten Yddrass, który odbył wiele walk... przybył do nas, by pomóc nam w potrzebie - powiedział jeden ze stronników Gennoda. Nieznaczne seplenienie psuło jego wysoki, czysty głos. Okrzyki Gastaiów sprawiły, że zadrzałem: przysiągłbym, że słyszałem wśród nich głos Wierzbowego Jacka. - Ten ylad został ukarany za swoje zbrodnie i postanowił zadośćuczynić prawdzie. Uznaliśmy, że jest odpowiedni do tego, co musi się stać. - Kolejne słowa. Żadne z nich nie miało jeszcze sensu, ale to wkrótce nadejdzie, a ja nie byłem pewien, co mam zamiar zrobić. W mojej głowie unosiło się tysiące planów, niczym skrzydlate nasiona drzewa yvarra, a każdy z nich został odrzucony, nim zdążył spaść na ziemię i się zakorzenić. Czas się dopełnił.

- Yddrassie, czy masz zamiar pomóc nam dotrzeć do Kir'Navarrin? - spytał mnie Gennod.

- Tak. - Wśród rozgadanego tłumu zapadła taka cisza, że nawet moja zduszona odpowiedź zabrzmiała wyraźnie. Podmuch wiatru szarpnął moim płaszczem, więc otuliłem się mocniej.

- I z własnej woli przyjmiesz jednego z nas, który zgodzi się połączyć się z tobą w tym przedsięwzięciu?

- Tak.

- I dotrzymasz umowy, którą zawarliśmy, odrzucając wojnę, którą wydałeś naszemu rodzajowi?

W gardle czułem posmak żółci.

- Tak.

Gennod pochylił się w moją stronę i wyszeptał:

- Wymagamy od ciebie jeszcze jednego... ze względu na twoją historię... ponieważ tak wielu z naszego rodzaju ucierpiało z twojej ręki, że nie uwierzą, iż się poddałeś, chyba że uklęknieš.

- Uklęknąć... Nie. Nie zrobię tego. - Jakże głupio buntować się w tak drobnej kwestii, skoro pogwałciłem już każde prawo, które miałem chronić, zdradziłem każdego Ezzarianina, który żył, walczył i zginął przez ostatnie tysiąc lat. Jednak nawet najmniejszy nerw mojego ciała buntował się przed tak jaskrawym upokorzeniem... tak podłym poddaniem się. Mogłem wyrzec się swojego ludu, ale nie go upokorzyć. - To nie możliwe.

Nawet wiatr ucichł. Gennod się skrzywił, ale nie podniósł głosu.

- W takim razie nie masz zamiaru dopełnić tego czynu. Twoje zapewnienia o szczerości są fałszywe. Cóż znaczą pozory, skoro już powiedziałeś, że się poddasz?

Tłum poruszał się niespokojnie; ci, którzy stali na schodach, pochylili się bliżej. Vyx dołączył teraz do grupy Nevaiów. Przechylił głowę, a błękitny płomień jego oczu się skoncentrował. Co zrobi Gennod, jeśli mu odmówię? Zmieniłem zmysły i wpatrzyłem się głębiej w czerwone światło, a odpowiedź okazała się jasna. Spróbuje mnie zmusić. Tyle rzeczy już źle oceniłem... a jeżeli to samo tyczy się jego mocy? Nic nie wiedziałem o tym, co miało nadejść, i nie mogłem pozwolić, by zyskał nade mną przewagę. Daleko zaszedłem na tej ścieżce... a co, jeśli on zwycięży?

- Kiedy podam ci swoje imię, nie uklękne, ale się uklonię - powiedziałem. - To będzie bardzo głęboki, oficjalny ukłon, taki, jaki składa jeden szacowny wojownik innemu, a miejscowy król naszemu cesarzowi. Jeśli to nie wystarczy, możesz sobie znaleźć kogoś innego. - Na niektóre rzeczy po prostu nie mogłem pozwolić.

Gennod wpatrzył się we mnie, najwyraźniej oceniając moje zamiary. Chyba doszedł do wniosku, że nie dostanie nic więcej. Uśmiechnął się.

- Dobrze nam będzie razem - uznał. - Nie potrafiłbym żyć w tchórze. - Zaczął mówić dalej, znów głośnie. - Tego wyboru dokonujesz z własnej woli, na oczach zebranych przed tobą zastępów?

- Tak.

Tłum jak jeden mąż pochylił się do przodu. Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu Yallyne, lecz nigdzie jej nie dostrzegłem.

- Powiedz swoje imię, yladzie.

Zmusiłem się, by uśmiechnąć się do Gennoda, po czym wskazałem głową na jego przyjaciół, którzy tłoczyli się blisko, niemal mnie dotykając. Gennod machnął ręką i jego przyjaciele odsunęli się na bok. W tym samym czasie ja cofnąłem się o krok, chwyciłem za brzegi płaszcza i rozłożyłem je szeroko, wysunąłem jedną stopę do przodu i opuściłem nisko głowę w najbardziej oficjalnym z dworskich ukłonów. W tej chwili poczułem, że inni się do mnie zbliżają i zaciska się krąg demonów za moimi plecami. Kiedy podniosłem głowę, obróciłem się na pięcie w ich stronę, jakby zaskoczony. Po mojej prawej i lewej stali Tovall i Denkkar. Między nimi znajdowali się Nesfarro i Kryddon, przebiegle uśmiechnięty Vyx i Kaarat, sędzia Rudaiów.

- Imię, yladzie, imię. - Gennod stał przy moim ramieniu, machając ręką na pozostałych. - Wy... Vyx, Tovall, cała reszta... cofnijcie się.

Kryddon zadał pytanie. Nie głośno, lecz bardzo wyraźnie. Dla mnie zabrzmiało to niczym róg na polu bitwy.

- Poddajesz się czy nie, yladzie? Odpowiedz na pytanie Gennoda.

Przestałem oddychać. A jednak poczułem ulgę, gdy odkryłem, że to Kryddon. *Nie straszliwy... nie okrutny ani przebiegły... na zawsze... bogowie, miejcie litość...* Wiatr sypał mi śnieg w oczy i kołysał płomie niami pochodni.

- Imię, yladzie. - Gennod był wściekły. Zbliżył się. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie swojego syna, wyrosłego na dorodne dziecko, jego różowozłote policzki, proste czarne włosy, oczy niczym węgiel, śmiejącego się z łagodną Elinor i Gordainem w świetle słońca. Ten obraz chciałem zabrać ze sobą - swój cel. Strażnik nie dokona niczego bez celu, tak uczyłem innych całe wieki temu. Cel stanowi ramę dla jego honoru, fundament jego siły, sztandar, do którego może przywiązać wszystko, co powinien pamiętać.

- Poddaję się - powiedziałem. - Ja, Seyonne... - *...syn Garetha i Joelle z linii Ezraelle, mąż Ysanne, ojciec Evandiargha, Strażnik Ezzarii.* Choć nie ważyłem się wypowiedzieć tych imion na głos, wezwałem je w duchu, by upewnić się, że nie zapomnę. Później otworzyłem oczy, dotknąłem dłoni, która wyciągnęła się w moją stronę... i spojrzałem w pełne goryczy, złote oczy Denasa.

Rozdział 33

Płonę. Paląca udreka... oślepiająca... pochłaniająca. Jestem stracony... stracony... jak mogłem uznać, że to możliwe? Wszystkie zakończenia... wszystkie pragnienia... niespełnione... Ten inny... ten ohydny, morderczy inny... podpala mnie. Płomienie wystrzeliwują ze mnie we wszystkich kierunkach... Przytłaczający ciężar inności... niszczący, palący... pozostawić wszystko, czym jestem... rozpuścić się w nicości... żyć w niekończącej się grozie... taka ciemność... taki ból... jestem i zawsze byłem istotą ognia, stworzoną z płomienia, wykutą, napiętnowaną, oznaczoną... Gdybym tylko pamiętał...

Grube palce kowala trzymają żelazny pręt, ohydny przyrząd, na jego końcu figury sokoła i lwa - wdzięczne kształty wypaczone przez grozę i zły cel. Błyszczą czerwienią... gorąco żelaza się zbliża... coraz bardziej... Och, na moce nocy, pali... moje ciało, mój umysł, moją istotę... oznaka upokorzenia, nieskończonego zniszczenia...

Zaczekaj... nie odchodź... muszę pamiętać... nawet zniszczenie...

- Nadchodzi czas przemiany, synu.

- Nie jestem przygotowany, ojciec. Proszę, czy nie mogę jeszcze trochę poczekać... więcej poćwiczyć? Będę uważniej słuchał. Ojciec, proszę, nie mogę oddychać. Pali mnie, kiedy próbuję, jakbym wpadł w serce Yesuk 'na, gdzie gotują się skały. Któż zdołałby to znieść.

Nie chce mnie wysłuchać. Nie teraz gdy nadszedł czas. Ojciec mówi, że to moje dziedzictwo, a opieszalych czeka wstyd. Zrób to. Spokojnie. .. spokojnie... najpierw ukształtuj ramiona... jak cię nauczono... znasz to lepiej niż wschód słońca... później ciało. Kapłan twierdził, że pójdzie ci łatwo, ale czy Mopryl w ogóle wie, co to znaczy łatwo?

- Palenie skończy się, gdy to się dokona - powtarzał wielokrotnie. - Kiedy się przemienisz.

Dlaczego to musi tak piec? Ale siła jest wszystkim... i dlatego trzeba ukształtować nogi, a później głowę, najtrudniejszą... nie będę krzyczał. Jeszcze tylko trochę poboli, a później będę taki, jaki miałem być...

Zaczekaj... muszę zobaczyć... czy przeszedłem próbę? Nie pamiętam...

- Tak długo czekałem, kochana... by zobaczyć cię w koronie jesiennych liści i usłyszeć, jak wypowiadasz słowa wiecznej miłości. Jakże błogosławione jest życie! Jaka miłość

dochowuje wierności poza śmiercią i zepsuciem ? Przez wszystkie lata niewoli, rozpacz, cierpienia i niepamięci, nie ważyłem się marzyć o tym dniu... gorące słońce całuje moją twarz, a las... drzewa ozdobione płomiennym złotem i czerwienią rozpościerają dywan chwaty u twych stóp...

Zaczekaj... muszę usłyszeć słowa... znów spróbować ognistego napoju radości i miłości... wracaj...

Ona mieszka w gamarandowym lesie, powiedział mi Keyzzor, a jeśli tak jest, to cud. Widziałem, jak dziewczyna wbiega między drzewa, ale mieszkać tam? Jest wcielonym sprytem i pięknem i podziwiam jej odwagę, ale nikomu nie wolno się osiedlać w miejscu tak świętym i tak pełnym niebezpieczeństw. Któż uwierzyłby w coś takiego, nie sprawdzając? Wszyscy, którzy wchodzi do gamarandowego lasu, giną, tak twierdzą opowieści - ten las pełen mocy otacza przerażającą fortecę, chroni nas, osłania nas przed jej złem. Ale dla mnie wśród gamarandów nie kryje się niebezpieczeństwo, choć minęło wiele czasu, od kiedy chodziłem po jego polanach. Keyzzor przysięga, że połowa gamarandowych drzew zginęła od dotyku fortecy... zgniła, spłonęła... To najbardziej wyjątkowy z lasów, a on nawet nie zna źródła jego wyjątkowości. Och, najdroższa matko, tak bardzo za tobą tęsknię. Myśl o zniszczeniu twójego pięknego boru... Ale dziewczyna, która do niego wbiegła... wyprowadzę ją, zanim zrobi mu krzywdę. Słuchaj! Co to za krzyki... łkanie? Gamarandy płoną... a tam, wisząca na drzewie... och, okropna... zwęglona... już nie krzyczy...

Zaczekaj... to niebezpieczeństwo... muszę pamiętać...

- Nie! - krzychało kilka głosów, a jeden z nich z pewnością należał do mnie. - Zdrada!

Cielesne dłonie próbowały opasać moje ramiona, podczas gdy nie widoczne chwytaly mój umysł, rozrywając go na strzępy. Zgubiony... na zawsze zgubiony... zniszczenie... groza... Za moimi oczami obrazy wybuchały niczym gwiazdy, rozkwitały wielkie i jaskrawe, po czym blakły na tle nocnego krajobrazu: pejzaże, twarze, pismo, obrazy. Fragmenty muzyki, śpiewu, inkantacji, bitwy... niekończącej się bitwy, krwi i śmierci, wiecznego zimna i mroku. Zapachy, dźwięki i doznania, smutek i żaloba, radość i miłość - wszystkie nadchodziły jedno po drugim i znikaly. Każdy kawałek mojego ciała płonął, a umysł rozciągał się, wypaczany, niezdolnie przypalany, gdy próbowałem uciec przed tym, co wybrałem. Płomienie, które wystrzeliły z mojej piersi, ramion i dłoni oslepiły mnie, jakby nie wystarczył śnieg, lód i duszący dym ze zgaszonych pochodni. Płonałem... tak wiele obrazów płomieni... Gdy każdy z nich ulatywał - nawet te tak straszliwe, że żaden człowiek nie chciałby ich pamiętać, nawet te, które musiały pochodzić z opowieści, gdyż sam nigdy ich nie doświadczyłem - krzychałem, by wezwać je na powrót, obawiając się, że tracę całe życie.

Denas... Tylko krótkie mignięcie... świadomość ostatniego błędu. Nie było czasu na rozważania, gdyż popadałem w szaleństwo, a nie chciałem stracić ostatnich świadomych chwil na rozważanie własnej głupoty. Byłem Strażnikiem Ezzarii... wojownikiem... i musiałem się opanować. Nawet jeśli oddałem duszę najpotężniejszemu z Nevaiów, najgroźniejszemu, przepelnionemu goryczą, okrucieństwem i nienawiścią dla wszystkiego, czym byłem, będę walczyć o spokój. Los mojego syna... mojego ludu... zależał ode mnie. *Świadomość celu musi mnie podtrzymać.* Wtedy nadeszło pieczenie i wybuchy wspomnień w głowie, a ja z trudem je zniosłem. Demon mnie pochłaniał.

Bądź ostrożny, Yddrassie. Nadchodzi Gennod...

Ostrzeżenie przebiło hałas.

Poczułem nowego napastnika, wykorzystującego moją słabość, by podminować mój cel, wypuszczającego robaki, by przeryły mój umysł, wyszukując imiona, talenty i słabości, informacje, które mogły zostać wykorzystane przeciwko *pandye gash*. Lecz ostrzeżenie dało mi czas, bym zebrał melyddę i odepchnął atak, wybudował barykadę, której przebicie zniszczyłoby mój umysł i wywołało katastrofę. *Nie wykorzystasz mnie, żeby ich zniszczyć, Denasie.* Gniew był moim mieczem.

To nie Denas, głupi yladzie. To dotyk Gennoda. Musi zostać szybko odparty.

- Vyx, to ty? Oślepiłem.

Z powodu wewnętrznego chaosu... ognistego zamieszania... inwazji... pogwałcenia... nie widziałem, co się dzieje wokół mnie na schodach zamku. Przepychanki. Potykanie się. Krzyki tonące w hałasie w mojej głowie. Strach tak namacalny, że musiał siedzieć na schodach u moich stóp i śmiać się. Zatoczyłem się, gotów upaść pod ciężarem grozy, mroku i nieskończonej dezorientacji, lecz mój gniew i poczucie celu pomogły mi się wyprostować i nie pozwoliły, bym się rozpadł.

Głos znów szeptał mi w uchu. *Tędy. Trzymaj się za pozostałymi, z dala od Gennoda. Później stań pośrodku najwyższego stopnia. Unieś ramiona i wypowiedz słowa, które ci powiem.*

Stopy poruszyły się bez mojego udziału, zabierając mnie krok do przodu, w górę o jeden stopień. Niemal padłem na twarz.

- Kto to? - spytałem. - Nic nie widzę. - Moje ciało i dusza płonęły, a ktoś chciał, żebym mówił. Szeroko rozłożyłem ręce, lecz nie poczułem nikogo w pobliżu. Jak mam uspokoić innych, skoro zmienię się w popiół szybciej, niż koliber siada na floksie?

Musisz ich ułagodzić. Nie rozumieją, co się wydarzyło. Nie widzieli tego. Mój mentor był bardzo zdenerwowany, sam niemal zaczął krzyczeć. Może okażesz im trochę troski? Na Bezimiennego, pospiesz się. Nie mogę myśleć. Zabijasz mnie.

- Wojownicy Kir'Vagonoth, moi bracia i siostry wśród Nevaiów, szanowni krewni z Kręgu Rudaiów, dzielni myśliwi, którzy podtrzymywali nas podczas prób, nasze przedsięwzięcie trwa. - To mój język wypowiedział te słowa. To moje wargi je ukształtowały. Ale to nie były moje słowa, a moja wola nie przepchnęła ich poza barierę szaleństwa. - Nie mogłem stać na uboczu i patrzeć, jak nasza misja traci właściwy cel. Naszym pierwszym i jedynym celem jest Kir'Navarrin. I tylko to. Nie zemsta. Nie wskrzeszenie złej legendy. Nie przejęcie władzy nad czymkolwiek poza naszym własnym losem. - Dostrzegłem migotliwe światła, unoszące się na oceanie ognia. Za murami płomieni pojawił się niewyraźny zarys szakalich bram. Wyprostowałem plecy i wyciągnąłem ramiona, jakbym pragnął objąć cały dręczony burzą świat. Chciałem zawołać o pomoc, ale miast tego nadal mówiłem do wzburzonych światła. - W postaci tego ylada poprowadzę was do domu. Kiedy naczynie czasu znów się opróżni, Tovall i Denkkar wyślą Nevaiów, a Kryddon i Nesfarro Rudaiów do krainy ludzi. Wszystko jest już przygotowane. Nasi gospodarze zbliżają się do bramy. Chwała szlachetnemu Gennodowi, naszemu bratu, że zrzekł się tego obowiązku na rzecz kogoś o większej mocy i doświadczeniu. Nakazuję mu, by utrzymał tu Gastaiów, gotowych do przybycia, kiedy dam im znak. Na wojnę, jeśli *pandye gash* wybiorą wojnę. Do domu, jeśli pozwolą nam przejść. Spotkam się z wami wszystkimi przy bramie i utrzymam drogę otwartą, póki każdy z was nie znajdzie się w domu.

Gdy ostatnie słowa spłynęły z mojego języka, zastępy demonów zaczęły szaleńczo wiwatować.

- Denas! Do Kir'Navarrin!

Później zaczęły się rozpraszać, gasnąc niczym gwiazdy zasłonięte przez chmury. Kryddon i Tovall, Denkkar i Kaarat pozostali za moimi plecami, a Vyx u mojego boku.

Gennod wiedział, że został pokonany. Odepchnąłem jego niewidzialną rękę, która sięgała mi do gardła. Moja własna dłoń poruszyła się w powietrzu, a ja sam niemal zwymiotowałem, gdy usłyszałem słowa spływające z mojego języka - słowa związania, które utrzymują go w materialnej postaci, uwięzionego w lochach, do chwili gdy go uwolnię.

- Pożałujesz tej chwili, Denasie! - zawołał do mnie Gennod zza ochronnego kręgu. Właśnie przybyli trzej Rudaiowie Kaarata, którzy mieli zaprowadzić go do szalonych Gastaiów. - Doskonała sztuczka. Wszystkich nas oszukalesz, że znasz prawdę tego paskudnego wszechświata. Ale wydostaniemy go... naszego pana, który poprowadzi nas do wielkości bez

tych zwierzęcych ludzi. A ty będziesz uwięziony w nim na zewnątrz, bo postaram się, byś nigdy nie wszedł do Kir'Navarrin. Oby śmierć cię ucieszyła. Oby była wolna... - Strażnicy wypowiedzieli swoje słowa, czerwone światło rozbłysło i znikło.

Wola, która poprowadziła moje stopy na środek schodów, teraz je wyzwoliła. Wycofałem się z grona demonów, które się we mnie wpatrywały - z podziwem, z trudem maskowanym obrzydzeniem, z gniewem, ze współczuciem. Na kogo patrzyli? Na człowieka... czy na tę istotę, która teraz w nim żyła? Żyła we mnie?

Przycisnąłem plecy do kolumny i otarłem usta lepką od potu ręką. Nic nie mówiłem. Choć słowa wyszły z moich ust, nie przyłożyłem ręki do ich stworzenia. Ręki... chciałem się roześmiać. Wyciągnąłem przed siebie dłoń, poruszyłem palcami, pomacałem zimne, szorstkie ciało, dotknąłem blizn z dwudziestu lat wojny i niewoli. Każda z nich miała swoją historię, a każda historia przemykała przez moją świadomość niczym kartki szybko przeglądanej książki. Odkryłem, że wpatruję się z zainteresowaniem w linię odcisków wokół nadgarstka, gdzie przez szesnaście lat tkwiły kajdany - zupełnie jakbym nigdy wcześniej jej nie widział. Ale było tam coś więcej. Na krawędziach moim palców i dłoni migotało złociste światło, a gdy zacisnąłem pięść, światło stało się mocniejsze, bardziej jaskrawe. Czułem obrzydzenie. *Prymitywne ciało...* Nie! Dlaczego tak pomyślałem? To światło mnie przerażało - jaskrawe złote światło, które nie pasowało do ludzkich rąk. Czy to ja - Seyonne, syn Garetha i Joelle - czułem tę skradającą się chorobę? A może ten drugi? Jak się tego dowiem? Chciałem zerwać swoje ciało i rozbić głowę, by uwolnić obecność, która opanowała moją mowę, której wizje i wspomnienia - tak, teraz to pojmowałem - zasłaniały moje własne, która sprawiała, że moje ciało płonęło.

- Przyjacielu, dobrze się czujesz? - Vyx gestem kazał innym się odsunąć. - Czy sprawiedliwość się dokonała?

- Do którego z nas się zwracasz? - spytałem ostro, z trudem składając słowa. - Możemy mieć różne zdanie.

- Jesteś jednością.

Wiedziałem, że to nieprawda. Wszystko się zmieniło. Zimny wiatr nabrał nowej siły, był niczym brzytwa, tnąca moją skórę. Mokry śnieg uderzający o kamienie dziedzińca brzmiał niczym grad. Słyszałem, jak każda zamrznięta kropelka pęka i rozpada się po zderzeniu z inną. Cichy głos Vyxa trzaskał ostro na krawędziach, jak prześcieradło powieszzone na wietrze. Słyszałem chrzęst lodowych kryształów zatopionych w kamieniach zamku, grzmienie kroków, gdy jakiś demon w materialnej postaci biegł korytarzem wewnątrz zamku, cichy odgłos wody wypływającej z naczynia czasu, odmierzającej chwile, które

upłynęły od przemiany świata. Myślałem, że głowa mi pęknie. *Tak głośno... te wszystkie dźwięki... tną jak nóż... Musimy się wydostać z Kir'Vagonoth. Tak wiele jest do zrobienia. Nie masz pojęcia, co należy uczynić.* Z mojego wnętrza wypłynęły gniew, niechęć i gorycz. Stopy znów zaczęły się poruszać.

- Przestań! - ryknąłem, zakrywając uszy, gdy znów rozległy się szepty. - Zostaw mnie w spokoju!

Serce tłukło mi się w piersi. Krew była płynnym ogniem, pędziła przez żyły i groziła, że przebije skórę niczym gejzer. Odwróciłem się plecami do Denkkara, Tovall, Kaarata i Vyxa i przycisnąłem głowę do kolumny, zmuszając stopy, by mnie słuchały i pozostały bez ruchu, tłumiąc gniew, który nie należał do mnie. Jak mogłem w ogóle wierzyć, że tak właśnie powinno być? Jak mogłem myśleć, że starczy mi sił, by sobie z tym poradzić?

- Chce mnie zniszczyć.

- Przez jakiś czas tak ci się będzie wydawać - uspokoił Vyx. - Denas był istotą bardzo potężną, tak samo jak ty. I nie bardziej niż ty chciał rzec się panowania nad swoim istnieniem. Ale teraz tworzy z tobą jedność. Nadejdzie dzień, kiedy nie dostrzeżesz już różnicy.

Nie chciałem w to uwierzyć. Nie potrafiłem.

- Słyszę jego głos.

- Sądźmy, że kiedy wejdiesz do Kir'Navarrin, to również się skończy.

Nawet przez zasłonę wściekłości słyszałem w głosie Vyxa żal... z powodu Denasa, jego przyjaciela i szlachetnego pana, tego, który przez tysiąc lat kochał swoją Yallyne, choć żadne z nich nie pamiętało, czy znał ją przed mrocznymi czasami. Ta trójka doprowadziła do mojego upadku.

- Będziesz pamiętał, Vyxagallanxchi? - Tylko ruch moich warg po wiedział mi, że się odezwałem... cicho i z największą łagodnością, na jaką pozwalał ból i bezgraniczna wściekłość.

Szczupły demon spojrział na mnie błękitnymi oczami.

- Tak. Będę pamiętał. Wszyscy będziemy pamiętać. - Później wskazał na wrota zamku, przytrzymywane przez dwóch zagapionych Rudaiów. - Chodź. Czas ucieka. Potrzebujesz godziny spokoju, nim zaczniemy.

W ogóle nie potrafiłem sobie wyobrazić spokoju.

Siedziałem bez ruchu w mroku swojej komnaty... zimnej i pustej komnaty Denasa... wpatrując się w żalostny ogień i próbując powstrzymać pragnienie, by wepchnąć doń rękę i przypomnieć sobie, jakie to uczucie. Vyx wygonił wszystkich, po czym kazał mi obiecać, że będę tylko siedzieć i próbować dojść ze sobą do ładu.

- Uwolnij się od gniewu i strachu, a wszystko zacznie wyglądać inaczej - powiedział. - Zrobiłeś to, co uznałeś za właściwe... jak my wszyscy. Żadne z nas nie zdoła uczynić nic więcej. Przepraszam, że musieliśmy utrzymać to w tajemnicy, że nie daliśmy ci czasu, byś lepiej poznał Denasa, ale wiesz... teraz już wiesz... że to było konieczne. Masz teraz wielką wiedzę, którą nie dysponowałeś wcześniej, ale musisz pozwolić sobie ją dostrzec.

Nie chciałem tego widzieć. Chciałem zachować własne wspomnienia, wiedzę i pojmowanie. Nic więcej. Schowałem głowę w ramionach i zmusiłem się, by oddychać powoli.

- Ogień będzie palił bardziej niż to, co ja... my... czuliśmy wcześniej - mruknąłem przez zaciśnięte zęby. - Nie włożę do niego ręki. Mogę jej później potrzebować, a nie potrafię wyhodować sobie nowej. - Szaleństwo. Ale chęć szybko znikła.

Półmrok był uspokajający... cichy. Przynajmniej raz cieszył mnie chłód. Moja koszula lepiała się od potu. Wytarłem czoło płaszczem.

Musimy ruszać. Jest tak wiele do zrobienia. Moje ciało zaczęło podnosić się z krzesła. Ale ja znów usiadłem i pozostałem bez ruchu.

- Pójdę, kiedy będę gotów.

Kiedy poczujesz, że panujesz nade mną i możesz robić, co zechcesz. Tak się nigdy nie stanie. Nie jestem twoim niewolnikiem.

- Ani ja twoim.

Wpatrywałem się w najciemniejszy kąt komnaty, próbując dać odpocząć oczom. Były niczym płonące węgle. I musiałem spowolnić bicie serca, nim wybuchnie, i uspokoić brzęczenie w głowie, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Rozpaczliwie pragnąc odzyskać równowagę, wstałem i zacząłem pierwsze ćwiczenie kyanar.

Przeklęty ylad! Czemu to zrobiłeś, skoro nie obchodzi cię rezultat? Trzeba się przygotować... a brama powinna być gotowa, gdy przybędą gospodarze. Muszę się dowiedzieć, co robić z tym przeklętym ciałem, by tego dokonać. Gennod rzeczywiście dał się pokonać, ale ten ohydny ylad, którego posłałeś przodem, nadal jest na wolności... co za głupota. Zamierza dostać się do Kir'Navarrin przed nami i zrobić wszystko, by uwolnić chaos... niebezpieczeństwo. Jednakowo gardzi ludźmi i rai-kirah. Straciłeś rozum?

Obróciłem się i wykonałem wypad, później cofnąłem i zatoczyłem rękami krąg, próbując stłumić prerażenie. Wiedziałem, że to niemożliwe, ale fakt, że próbowałem, przynosił ulgę. Przez te kilka chwil, gdy zatonąłem w znajomych ćwiczeniach, koncentrując się na precyzyjnym działaniu ciała i umysłu, mogłem udawać, że nic się nie zmieniło.

Oszalałeś? Myśleliśmy, że masz silny umysł. Myśleliśmy, że na swój ludzki, ograniczony sposób, podzielasz nasze cele. Nie oddałem istnienia, by tańczyć. Na moce ziemi, czy mnie nie słuchałeś? Nie mamy czasu na gimnastykę.

Wyciągnąłem ramiona na zewnątrz i powoli cofnąłem stopę, niespiesznie zwijając się do środka. Zmuszałem ciało do kolejnych ruchów, nadając jednocześnie zwęglonym gruzom duszy pozory porządku, wyrzucając z siebie gniew i niechęć, walcząc z jego wolą, gdy próbował zmusić moje nogi, by nie wykonywały poleceń.

Po jakimś czasie zamilkł, a jego wściekły opór złagodniał. On również był zmęczony.

- To właśnie robię, by przygotować się do walki - wyjaśniłem, przechodząc do dziesiątego ruchu. - Dobrze mi to służyło od lat młodości. W mojej pracy ciało i umysł muszą działać w harmonii. - Zacząłem się śmiać, jak może się śmiać tylko człowiek uwolniony od strachu, gdyż jego najgorszy koszmar właśnie się ziścił. - Zestaw ciało, umysł i umysł nastęrcza nieco więcej trudności.

Pół godziny później ukląknąłem w milczeniu na zimnej podłodze. Mój umysł był spokojny, choć ciało drżało jak nowo narodzone jagnię w zimny wiosenny poranek.

- A teraz powiedz mi, co zrobić.

Rozdział 34

- Że co? - Niemal utraciłem niestabilną równowagę, którą z takim trudem udało mi się zdobyć. - Rebelia w cesarstwie! Na dziecko Verdonne, macie pojęcie, co to oznacza w świecie ludzi?

- Nie możemy przebywać w waszym świecie bez ciał - odpowiedział cierpliwie Kryddon. - Potrzebujemy ich wielkiej liczby na raz. Muszą być... podatni... I czekać przy bramie. To nie był nasz plan. Naghidda ustalił to dawno temu, choć zamierzał wykorzystać Khelidów, których uwolniłeś. Szukaliśmy ludzi, którzy są niespokojni... chciwi... To wywołuje wśród was zamieszki, a my postanowiliśmy je wykorzystać. Nie bardzo wiedzieliśmy, co jeszcze dałoby się zrobić.

To była najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek prowadziłem, bardziej absurdalna niż omawianie warunków poddania się z trzygłowym wężem, bardziej niewygodna niż słuchanie przekleństw wypowiedzianych przez smoka z głową w jego paszczy, kiedy jednocześnie kłuło się jego język zaczarowanym nożem. Vyx usadowił się na szerokiej kamiennej półce nad kominkiem. Kryddon, Tovall i Denkar usiedli na krzesłach przede mną i wyglądali na wyraźnie zdenerwowanych moim wybuchem, a Denas... Denas oczywiście tkwił w mojej głowie, wyjawiając mi szczegóły demonicznego planu odzyskania Kir'Navarrin i szydząc z mojej „tchórzliwej” reakcji. *Ludzie zawsze prowadzą wojny lub zabijają się nawzajem. My tylko musieliśmy się upewnić, że wydarzy się to w miejscu, które będzie nam odpowiadać.*

- Kiedy brama zostanie otwarta, odejdziemy, a ludzie będą mogli sami dojść do porozumienia - wtrącił Vyx, z twarzą zmarszczoną jak rodzynek. Ta mina byłaby zabawna, gdyby cała sprawa nie napawała mnie takim przerażeniem.

- Czyli to „zwiadowcy” Rudaiów wbijali klin między szlachtę Derzhich a cesarza - podsumowałem - próbując doprowadzić do bitwy, która rozegra się pod Dasiet Homol. I zamierzacie wesolutko ruszyć do Kir'Navarrin, a my mamy sobie powiedzieć: „Och, przepraszam. Nie miałem zamiaru porąbać cię na kawałki ani spalić twoich dzieci we śnie. Czuję tylko swędzenie w głowie, a teraz gdy znikło, zostaliśmy znów braćmi”? Świat nie jest taki, Derzhi też nie. Miną lata... mordercze, niszczycielskie, straszliwe lata... nim da się to

naprawić. - Jeśli kiedykolwiek się tak stanie. A to Aleksander zbierze krwawy plon.

- Wymyśl inny sposób, yladzie - podsunął Denkkar. Jego material na postać starszego pana była uosobieniem rozsądku, gdy mówiliśmy o tysiącach śmierci, latach zamieszek i niekończącej się nienawiści i zemście. - My tylko chcemy się dostać do Kir'Navarrin.

Oparłem głowę na dłoniach i próbowałem zdecydować, czy powinienem się śmiać czy płakać. Teraz musiałem powstrzymać niejedną wojnę, lecz dwie.

Dlaczego bierzesz to na siebie? Cóż obchodzą cię ludzie, którzy nie należą do twojego ludu? To głupota. Powinieneś przejmować się tym, co ważne.

- Najwyraźniej ostatnimi czasy taka głupota weszła mi w krew - stwierdziłem. - Chyba lubię się wtrącać w problemy, które nie są moimi problemami.

To nie to samo. Pandye gash doprowadzili do naszego zniszczenia, więc sprawiedliwość wymaga, byś pomógł nam to naprawić. Ci ludzie sami napytali sobie biedy.

- Nic nie wiesz o ludziach. My...

Siedzący przede mną patrzyli na mnie dziwnie, a wtedy pojąłem, co robię. Oni słyszeli tylko połowę rozmowy.

Miałem nadzieję ujrzeć lepszy świat, powiedziałem bezgłośnie. Prowadzenie rozmów we własnej głowie mnie wyczerpywało. A Aleksander jest kluczem. Powinieneś się tego domyślić. Jeśli Denas miał dostęp do moich wspomnień, nie musiałem mu mówić wszystkiego.

Chowasz przede mną swoje wspomnienia. Jeśli chcesz, żebym wiedział, musisz je uwolnić.

Uwolnić... tego się właśnie bałem.

Jak już stwierdziłem, tchórzysz. Można się było tego spodziewać.

Niewolnik nie ma żadnej prywatności. Żadnej skromności. W dniu, w którym Aleksander kupił mnie w Capharnie od handlarza niewolników, musiałem przejść przez gwarne miasto w łańcuchach, nagi, w lodowaty dzień, przywiązany do zadu konia. Wtedy myślałem, że człowiek nie może się już bardziej odsłonić. Ale moje myśli zawsze - nawet wtedy - należały tylko do mnie. A teraz to się skończyło.

- Czy ktoś z was wie, jak daleko to zaszło? - spytałem, zmuszając się do tego, by skoncentrować się na sprawach bieżących. - Jak blisko Miejsca Kolumn znaleźli się rebelianci albo ludzie cesarza?

- Jeden z mojego kręgu powrócił właśnie z wieściami, że ludzka armia zbliża się do bramy - odpowiedziała Tovall. Jej dźwięczny głos równie dobrze pasował do poważnych dysput jak i do śmiechu. - Nie wiem która. Wystarczy, żeby zacząć bitwę, gdy brama zostanie

otwarta.

- Pora ruszać - oznajmiłem, podnosząc się z krzesła. - Muszę powstrzymać to szaleństwo. Przypuszczam, że spotkam się z wami przy bramie.

Jeszcze nie. Legion nie jest gotów.

- A jakie to ma znaczenie? Najwyraźniej zapominasz, że teraz powinniśmy zająć się kwestią ciał. Teraz muszę działać sam. Zakładam, że legion wie, jak dotrzeć w wyznaczone miejsce.

Sporczywa na mnie obowiązek wyprowadzenia z zamku gyossich. Nie mogę wyślizgnąć się jak jakiś ylad, porzucając tych, którzy byli mi wierni... albo i nie. Nie pojawią się na miejscu zbiórki jak żalosni Gastaiowie, którzy zapomnieli nawet o swoim kręgu.

- Daję ci godzinę, potem ich zostawiamy.

Nie chciałem czekać aż tak długo. Każda kolejna minuta dawała Merrytowi czas na działanie. Minęło jakieś dwanaście godzin, od kiedy posłałem go w drogę. Miejsce Kolumn znajdowało się jedynie dwa dni drogi od mojego domu... od Ysanne, Catrin i młodych Strażników. A ci, którzy potrafili utkać nici zaklęć z krain Derzhich do Aife oczekujących w Ezzarii, z pewnością bez problemów skontaktują się z najbardziej oddalonymi osadami w naszej krainie. Ezzarianie nadejdą, i to szybko.

Wydałem rozkaz, by ci, którzy mieszkali w zamku, jak najszybciej przygotowali się do przyłączenia się do legionu. Wcześniej to głos w mojej głowie się niecierpliwił, podczas gdy ja próbowałem dojść do ładu z tym, co się stało. Teraz to ja się denerwowałem, gdy skomplikowany protokół demonicznej arystokracji biegł swoim trybem. Każdy gyos musiał zostać poinformowany osobiście przez kapitanów Nevaiów - Tovall lub Denkkara - i musiał dostać odpowiednio dużo czasu na odpowiedź. Każdy miał zdecydować - teraz gdy nadszedł czas wielkiego przedsięwzięcia - czy zostać, czy też odejść. Większość oczywiście ruszała w drogę. Kilku się bało i wołało poczekać, by sprawdzić, jaki los czeka ich w Kir'Navarrin. Kilku przyzwyczało się do Kir'Vagonoth i nie widziało powodu, by cokolwiek zmieniać. Pragnęli mieszkać w znajomym zamku do chwili, gdy ostatni Gastai przestanie polować. Kilku zgodziło się pozostać i dopilnować, by szaleni Gastaiowie nie zostali wypuszczeni do chwili, gdy zapewni się im odpowiednie miejsce w Kir'Navarrin. Żadna z decyzji nie była nieodwołalna i w wielu przypadkach się zdarzało, że gyossi zmieniali zdanie, gdy kolejny z nich się deklarował. A to oczywiście zajmowało jeszcze więcej czasu.

- Skoro Myddluk zostaje, to ja, Flyynot, mogę równie dobrze wyruszyć, bo teraz nigdy nie poprawię swojej pozycji. Lepiej siedzieć w Kir'Navarrin jako gyos Denasa niż tu jako gyos Myddluka.

- Nie zostawię Wanevyła samego. On nawet nie potrafi sam nadać sobie kształtu. A kto wie, co nas czeka? Może zaczniemy powoli umierać.

- Czekałem od mrocznych czasów, by znów zobaczyć Kir'Navarrin, ale jeśli Grat postanowił pilnować lochów, to z nim zostanę. Przybędziemy, kiedy zostaniemy wezwani. Powiedzcie Denasowi... temu yladowi, jak on się nazywa, żeby się pospieszył.

Trwało to całą wieczność. Pięćdziesiąt razy zszedłem po szerokich schodach do atrium, by wyruszyć, i pięćdziesiąt razy wracałem do komnat gotów rozwalać meble i burzyć mury. Kiedy Aeno, sługa Rudai, znów napełniał naczynie czasu, tylko połowa gyossich Denasa została powiadomiona. Podczas gdy posłańcy przybywali i odchodzili, zjawił się Vyx z prośbą, bym odwiedził jeden z obozów Rudaiów.

- Kryddon mówi, że jego podopieczni się denerwują. Muszą cię zobaczyć i znów usłyszeć twoje słowa. Poza tym, przyda ci się jakieś zajęcie, żebyś nie niszczył więcej mebli.

Rzeczywiście, w mojej komnacie wszędzie wały się kawałki poskręcane go papieru, połamane świece, pogięte łyżki i rozwinięte bele materiału. Nie potrafiłem utrzymać rąk bez ruchu.

- Ruszaj - powiedział. - Przyślę wieści, kiedy tu wszystko się skończy.

Cieszyłem się, że mogę się wydostać z zamku. Choć niczego więcej nie pragnąłem, jak tylko udać się prosto do wieży Fiony, rozumiałem potrzebę uspokojenia kręgow. Pamiętali mroczne czasy. Grozę. To nie ma prawa się powtórzyć. Nie pozwolimy na to.

Gdy wyszedłem z zamku i pożegnałem się z kilkoma gyossi, którzy pragnęli pozostać w Kir'Vagonoth, moje spojrzenie napotkało mignięcie srebra na wysokim, szarpanym wiatrem balkonie. Złote włosy błyszczały niczym promień słońca w półmroku. Ona zostanie w Kir'Vagonoth. Byłem tego absolutnie pewien... choć każdą myśl i każde uczucie, jakie wywoływała ta świadomość, ucinalem równie szybko i pewnie, jak kat Derzhich obcina głowę skazanego. Yallyne nie pojawiła się od chwili, gdy zostawiłem ją w jej komnacie wśród świec, a jednak nie potrafiłem przywołać żadnej myśli na jej temat, podobnie jak nie umiałem zasnąć. Nie zamierzałem się zmuszać. Rozumiałem wiele, a jeszcze więcej się domyślałem, dlaczego starała się zniszczyć tę część Seyonne'a, która przeszkadzała temu, kto chciał zamieszkać w mojej duszy. Nie miało to żadnego związku ze mną. Ale gdy się odwracałem, uniosła rękę, a moja podniosła się w odpowiedzi. Nie byłem świadom porozumienia, jakie osiągnęliśmy. On na to nie pozwolił. Odwróciłem się i ruszyłem po schodach na dziedziniec.

Przyprawdzono mi konia, lecz uznałem, że go nie potrzebuję.

Co chcesz zrobić? Kształtowanie ciała jest obrzydliwe. Nie pozwolę...

Denas przyjmował materialne ciało jedynie wtedy, gdy walczył na arenie ćwiczeń. Rozumiałem jego niechęć i dumę, ale to ciało należało do mnie i nie zamierzałem pozwolić, by nim rządził. Ledwie zacząłem przyzywać zakłęcie, gdy moje kończyny stały się ciepłe i przepełniło mnie tak radosne mrowienie, jakbym właśnie wypił antałek letniego ale. Później nadszedł atak... przyplływ wspaniałej melyddy, który niemal zatrzymał bicie serca... a skrzydła rozwinęły się równie szybko i bez trudu, jak promienie słońca rozświetlają świt.

Och, na burzę mroku... jak to możliwe?

Nigdy nie zaznałem czegoś takiego. Nie w sobie. Widziałem taką radość tylko raz - na twarzy młodego mężczyzny w Zwężeniu Makai, gdy przeobraził się i wyruszył, by ratować życie bandzie banitów. Wzniosłem się w porywisty wiatr. Tym razem nie walczyłem z nim niezgrabnie, lecz wyczuwałem każdy szept, każdy przyplływ, każdą odmianę burzy, i wiedziałem, jak prześlizgiwać się przez nią i pod nią, wykorzystywać ją, kształtować ją do własnych celów, by unosiła mnie jak najdalej. W tej chwili dwa umysły zamieszkujące moje ciało zjednoczyły się w podziwie dla tego, co udało mi się stworzyć.

Mogliśmy przybrać tysiąc innych kształtów - wilka, by biec szybko, smoka ziejącego ogniem, który spaliłby cały lód tego pustkowia. Mogliśmy stać się koniem wspanialszym niż ulubione rumaki Aleksandra albo znaleźć ciepło, wygodę i potężną siłę w grubym futrze niedźwiedzia z Makhary. Lecz ja urodziłem się do skrzydeł i nie pragnąłem niczego więcej. Każda chwila tego krótkiego lotu była pełnią.

Przyjemność nie trwała długo. Okrążyłem migoczące światła obozu Rudaiów, a gdy dotknąłem stopami śniegu, wszystkie demony na mnie spojrzały. Moja skóra paliła. Przepychałem się przez tłum, jakbym chciał ukryć się wśród świetlistych kształtów. Z płaskiego dachu jednego z ciemnych, niskich budynków mogłem przemówić do tłumów, jak to zrobiłem na schodach zamku. Ale miast tego zwróciłem się do każdego z osobna. Tłoczyli się blisko mnie, ich świetliste twarze były pełne strachu, niepewne, migotały na krawędzi nadziei i przerażenia. Niektórzy dotykali mojej skóry, która w ciemnościach świeciła złotem.

- Do Kir'Navarrin - powiedziałem. - Do domu. To pierwszy krok. - Nie wiedziałem, co nadejdzie później. Dowiemy się tego, gdy uda się nam bezpiecznie przejść przez bramę. - Bądźcie łagodni wobec naczynia, które sobie wybieriecie - napomniałem barczystego młodzika, którego esencja miała barwę głębokiej zieleni. - Tylko pożyczacie to ciało, a jego gospodarz będzie przerażony i cierpiący. - Gruba, niezgrabna pięść chwyciła mnie za rękę. Odwróciłem się i spojrzałem w odważne niebieskie oczy. - Nie wolno wam wykorzystywać tego strachu i bólu, gdyż nie należy do was. - Wychudzona kobieta otarła palce o mój płaszcz.

- Zaslugujecie na własne życie, nie życie pożyczone czy ukradzione. Znajdziemy je w Kir'Navarrin.

Odwiedziny trwały dużo dłużej, niż planowałem, i straciłem rachubę czasu. Ale właśnie rozmawiałem z ostatnim z zebranych demonów, kiedy u mojego boku pojawił się posłaniec.

- Twoi gyossi są gotowi. Vyx kazał im ruszać przodem. Spotkacie się po drodze. Nie musisz wracać do zamku.

Wyszedłem w burzliwą ciemność poza granicami obozu Rudaiów i ruszyłem w stronę zamku, próbując wymyślić, co począć, gdy już znajdę się w świetle słońca. Spotkać się z Ysanne? Odnaleźć Aleksandra? Otworzyć bramę? Nie miałem pojęcia, ile to zajmie, a ktoś musiał się upewnić, że Merryt będzie się trzymał z dala do chwili, gdy tajemnicza forteca - forteca za gamarandowym lasem, źródło zepsucia, które sprawiło, że rzadki i piękny las płonął od wewnątrz - zostanie zabezpieczona. A ludzką wojnę trzeba powstrzymać, zanim dojdzie do rozlewu krwi - co oznaczało, że Aleksander musi dać swojej buntowniczej szlachcie coś innego niż ostrze miecza, coś, czego oddanie go nie upokorzy.

Zwolniłem kroku, gdy przytłoczył mnie ciężar obowiązków. Stałem na szczycie śnieżnego wzniesienia. Rozmyślałem, koncentrując się na swoim wnętrzu... aż podniosłem wzrok i ujrzałem swoich gyossich wyjeżdżających z zamku na iluzorycznych rumakach. Świetliści, wysocy, niezwykle piękni. Dumni, jak powinni być. Przeżyli grozę, zawarli ugody i przyjęli kompromisy konieczne, by przeżyć z tym, co im zostało, i stworzyli piękno z niczego. Nauczyli się znów tańczyć i śmiać.

Czekałem, aż do mnie przybędą. Nie potrzebowali pana, by ich poprowadził na pustkowiu. Każdy z nich mógł zająć to miejsce. Vyx prowadził mojego wierzchowca, okrytego srebrno-czarnym kropierzem, a gdy wspięli się krętą drogą przez pagórki do miejsca, gdzie stałem, zwolnili i zaczekali, bym wsiadł na konia. Vyx podał mi wodze, spoglądając na mnie dziwnie. Dopiero gdy przerzuciłem nogę przez siodło i ścisnąłem zwierzę kolanami, zrozumiałem wyraz twarzy przyjaciela. Widziałem już to wszystko wcześniej... kolumna migoczących demonów wyjeżdżająca przez łukowaty most... wyjący wiatr... koń bez jeźdźcy... ten odziany w czerń i srebro czekający na nich w burzliwym mroku... Demon. Zguba świata. Ja.

Rozdział 35

- Kim jestem? - Pchnąłem Vyxa na szary kamienny mur, wzywając moc, która nie pozwoliła mu zmienić się w światło i uciec. - Co jeszcze mam zrobić?

Poprowadziłem kolumnę jeźdźców do obozu Nevaiów, który przylegał do leży Rudaiów Kryddona, oddałem wszystkich pod tymczasowe dowództwo Tovall, po czym chwyciłem Vyxa i zaciągnąłem go w ciemny kąt między dwoma pokrytymi śniegiem schronieniami. Groza, wściekłość, przerażenie... Wychodziłem z siebie. Mój sen był tak wyrazisty, że nie potrafiłem się nad nim zastanawiać. Nim postąpiłem choć krok na tej straszliwej ścieżce, musiałem zrozumieć.

- Nie wiem - powiedział Vyx; po raz pierwszy wyglądał na zmartwionego. - Zsyłałem wizje, to prawda. Przez cały czas trzymałem twojego ducha na uwięzi z nadzieją, że cię tu ściągnę. Miałeś siłę i moc, której tak rozpaczliwie potrzebowaliśmy, i wierzyłem, że szczęście, bogowie czy los, albo to, co nimi rządzi, w końcu się do nas uśmiechnęło w godzinie rozpacz. Denas postanowił wyruszyć. Jest... był... moim przyjacielem i bratem, na ile to u nas możliwe, i nie chciałem, by połączył się z nim ktoś inny niż człowiek szlachetny i z poczuciem celu. Ale ta część obrazu... ten, który czeka... niszczyciel... ja nie...

- Niszczyciel. Na bogów nocy, czego dokonam?

- Nie widzę przyszłości, yladzie. Nie mam aż tak wielkiego talentu. Pokazałem ci nasz smutek... to straszliwe Kir'Vagonoth. Pokazałem ci nas, żebyś się nas nie bał. Nappełniłem cię pragnieniem, by tu przybyć, i posłałem ostrzeżenie o niebezpieczeństwie, które groziło, gdybyś się nie zjawił. Ale nie nadałem kształtu temu niebezpieczeństwu. Przysięgam ci, że ta część obrazu nie była moim dziełem. Wierzę, że to wytwór twoich własnych obaw. Nic więcej ci nie mogę powiedzieć.

- Próbowaleś zniszczyć mój umysł. Dlaczego mam ci ufać?

- Powierzyliśmy ci swój los. - Bezradnie uniósł ręce nad głowę. - Jeśli wierzysz, że jakiś rai-kirah zdoła cię wyręczyć w tym, na co nie masz ochoty, to jeszcze nie poznałeś swojej mocy. Powiedz mi, kto teraz ze mną rozmawia. Kto mnie teraz przyciska do ściany. To nie Denas, który nigdy by mnie nie skrzywdził.

Przytrzymałem go przez jakiś czas, wpatrując się w demoniczne oczy, szukając odpowiedzi, kłamstw, prawdy... Lecz nie znalazłem nic prócz jego słów i szczerości, jaką może wyrażać twarz, pośrodku której płonie demoniczny ogień. Płatki śniegu zwiane z dachu przyprószyły jego kręcone włosy. Uwolniłem zakłęcie i odepchnąłem Vyxa, bezkrwistymi rękami mocniej owijając się płaszczem.

- Jeśli zmieniłeś zdanie, przyjacielu Seyonne, powiedz nam to teraz.

Oczywiście, nie mogłem już nic zrobić. Dokonałem jedyne możliwego wyboru. Ci, których kochałem, polegali na mnie. Ale niezależnie od tego, jaka była prawda o pochodzeniu Ezzarian, nie czułem się kompletny. Czułem się zarażony.

Twoje dziecko... syn... jest złączony... i ten drugi też... złączony, nie opętany... Urodzony i wychowany w krainie ludzi. Jak to możliwe?

Chciałem, by umilkł.

- Zostaw mnie w spokoju. Muszę dostać się do bramy. Być może jest już za późno, by zapobiec katastrofie. - Ale oczywiście, niezależnie od tego, jak bardzo próbowałem skoncentrować się na sprawach bieżących, historia mojego syna i Blaise'a rozwijała się przed moimi oczami. Żadnych tajemnic. Już nigdy.

* *

Poleciałem do wieży Fiony i nawet cud, jakim było stworzenie skrzydeł, nie zmniejszył mojego przerażenia.

- Aife! - zawołałem.

Nigdy nie sądziłem, że będę wzywał tego imienia.

- A ja nigdy nie sądziłem, że będę przechodzić przez portal, niosąc w sobie demona.

Wzajemna gorycz uderzała o siebie niczym dwa olbrzymy z legendy - Noc i Dzień - które walczyły ze sobą przez całą wieczność, a ich siły były tak doskonale wyrównane, że niebo spoczęło na ich ramionach. Gdy Noc zyskiwał niewielką przewagę, nadchodziła zima, a przewaga Dnia przynosiła wiosnę, ale gdyby jeden lub drugi zwyciężył... Historyjka sprawiła, że się zamyśliłem. Gdyby jeden z nich zwyciężył, niebo spadłoby na ziemię.

- Strażniku! Na dziecko Verdonne, tak bardzo się bałam...

W lodowatym powietrzu pojawił się szary zarys portalu, a za nim świt, pierwszy różowy blask pożerający resztki nocy. Nie oglądając się za siebie przeszedłem... przeszliśmy... przez portal.

Sapnąłem, czując dotyk ciepłego powietrza na skórze. Walczyłem z pokusą, by zdjąć ubranie i poczuć je całym sobą. Powiedziałem sobie, że poparzyłoby to moją skórę - nawet moją, ciemną jak to u Ezzarian... zbyt wiele słońca po tak długim czasie bez niego. Byłem blady jak robak. A wzrok... Jak mogłem oderwać spojrzenie od słońca, którego ognista krawędź wznosiła się nad horyzont? Jeszcze kilka chwil, a będzie to ostatnia rzecz, którą kiedykolwiek zobaczę. Jednak jeśli miałem oślepnąć, czy istniał na to piękniejszy sposób, niż stracić wzrok od wpatrywania się we wschodzące słońce po tysiącu lat półmroku?

Wokół mnie budziło się życie. W powietrzu przy uchu unosiła się pokrzewka, a jej myśliwska pieśń udawała granie świerszcza. Pustynny skowronek wygwizdywał poranny lament. Brązowy królik poruszył wąsikami, czekając, co zrobię, po czym wykonał kolejny ruch porannego rytuału. Czerwone pasma wystrzeliwały z brązowej krawędzi świata, uschniętych i kamienistych równin Manganaru. Rozpoznałem je. Przez osiem dni spacerowałem i biegałem po tych pagórkach, czekając na Aleksandra.

Obróciłem się na pięcie. Oto w pewnej odległości, rumieniąc się w blasku porannego słońca, stały linie majestatycznych kolumn, rozciągające się na północ w stronę pustyni Azhakstanu i na południe w stronę gór i Ezzarii. Brama. Czekająca. Instrukcje wypisane na każdej kolumnie - słowa, które należy wypowiedzieć, wzory, które trzeba narysować, magia, która musi zostać stworzona... Na każdej z par filarów pieczęcie, które należy złamać. Ostatnie z przejść między światami, zamknięte i zabarykadowane, a jednak pozostawione nietknięte, jakby nawet w tamtych mrocznych czasach ktoś podejrzewał, że kiedyś znów się przyda. Czy to brak ostrożności, czy też świadomie podjęte ryzyko? A może tak trudno było otworzyć przejście, że nikomu nie chciało się męczyć z jego niszczeniem? Nie miałem pojęcia, ile trwa otwarcie bramy, nawet zakładając, że inskrypcje nie zostały zatarte przez tysiąc lat wiatru i deszczu.

Ale choć moje myśli już chciały rozwikłać zagadkę czekającą przy kolumnach, spojrzenie nie pozostało na bramie, lecz przeniosło się na odzianą w biel kobietę klęczącą na trawie przy chrapiącym mężczyźnie o okrągłej twarzy.

Aife. Jedna z wielu... Nigdy nie mieliśmy pewności, czy jest więcej niż jedna.

Weisnęli się w płytkie zagłębienie terenu, zacienione dachem wysokich chwastów. Obok nich płonął niewielki ogień, a gdy pasmo aromatycznego dymu dotarło do moich nozdrzy, zakrztusiłem się i poczułem, jak przepełnia mnie nagła, mdląca groza. Chciałem biec... uciekać... powstrzymać koszmar, który musiał po niej nastąpić... i odkryłem, że cofam się przed kobietą i jej śmierzącym ogniem. Jasnyr. Kiedy rozpoznałem woń i pojąłem, że

chwila rozpaczy była jedynie tysiącletnim wspomnieniem kogoś innego, moją duszę wypełnił smutek. Tylko rai-kirah bały się jasnyru.

Fiona westchnęła i rozmasowała ramiona, po czym uniosła głowę, by na mnie spojrzeć. Szybko podniosłem kaptur płaszcza... w żołądku czułem ucisk. Nie mogłem pozwolić, by zobaczyła. Jeszcze nie.

- Strażniku! - Zerwała się na równe nogi, a jej twarz zajaśniała. Spochmurniała, gdy się cofnąłem. - Wszystko w porządku?

- Ze mną tak. W porządku. Gdzie pozostali...

Na zboczu pagórka, przy źródle. Nie chciałam, żeby się o nas potykali.

- AMerryt?

- Nie widziałam go, od kiedy dotarliśmy tu przedwczoraj wieczorem. Od razu ruszył w drogę. Powiedział, że dostarczy ostrzeżenie, zanim się położymy. - Przechyliła głowę w bok i zrobiła krok w moją stronę. - Coś jest nie tak?

Próbowałem nie cofnąć się tak wyraźnie, jak za pierwszym razem.

- Wszystko jest nie tak. Merryt... źle go oceniłem. On nie ma zamiaru ostrzec Ezzarian; sprowadzi ich tutaj, by zostali wyrznięci w pień. Dla zemsty. Musimy ich utrzymać z daleka, Fiono, i nie możemy pozwolić, by Merryt dostał się do Kir'Navarrin. A w okolicy płaczą się dwie armie Derzhich, planujące zniszczyć się nawzajem. Znajdziemy się w samym środku tej awantury, jeśli nie...

- Pytałam, co jest nie tak z tobą. Poczułam to, kiedy wczoraj tkaliśmy portal i dzisiaj znowu. Jesteś chory? Dlaczego zasłaniasz twarz?

- To przez słońce. Po tak długim czasie bez niego... Kiedy spotkałem się z tobą w świątyni, była noc. - Wypowiadając niezgrabne usprawiedliwienie, przytrzymałem kaptur, na wypadek gdyby zdeterminowana kobieta postanowiła go zerwać z mojej głowy. - Musimy działać szybko. Czy Merryt wie, gdzie jesteśmy?

- Nie. Zostawił nas przy kolumnach, twierdząc, że wróci, żeby ci pomóc, kiedy już dostarczy wiadomość. Nie pojmowałam, dlaczego mu ufasz. W jego obecności nie zdejmowałam dłoni z rękojeści noża. Wciąż na mnie patrzył... niestosownie. Kiedy odszedł, przenieśliśmy się tutaj, żeby zapewnić sobie więcej prywatności. Nie powiedziałeś mi, do czego ma tu dojść, a ja nie chciałam się nagle znaleźć w samym centrum wydarzeń. Dodatkowe informacje bardzo by mi się przydały.

- Na bogów, Fiono... Przepraszam... - Ale przerwałem. Nie byłem gotów wyznać jej wszystkiego. - Teraz nie mam czasu. Ukryjcie się. Mogę pomóc Blaise'owi, jak tylko brama zostanie otwarta. Co z nim?

- Pokażę ci.

Fiona spojrzała na mnie sceptycznie, szybko sprawdziła stan chrapiącego Balthara i poprowadziła mnie w dół zbocza, do skalistego parowu ukrytego za gęstą kępą szakłaków. Między jarem a drzewami biło źródło, niewielkie wgłębienie porośnięte bujną zieloną trawą. Stada świergotków i pokrzewek poderwały się na nasz widok z trawy, ćwierkając z oburzeniem.

Kyor spał kamiennym snem młodzika, zwinięty w kłębek na gołej ziemi, z brązowym policzkiem wspartym na ramieniu. Leżał w ciemnym skalnym wgłębieniu, w takim miejscu, że nikt nie mógłby wejść ani wyjść, nie potykając się o niego. W cieniu parowu kulił się Blaise, a niebieski płomień oczu nadawał chorobliwy odcień jego wynędzniałej twarzy. Siedział bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Bez przerwy targały nim dreszcze. Z każdym z nich jakaś część jego ciała zmieniała się nieco - palec w szpon, ucho w ucho wilka, skóra w pióra lub haski. Po kolejnym dreszczu ta część ciała wracała do siebie, zaś zmieniała się inna.

Ostrożnie ominąłem śpiącego Kyora - chłopak poderwał się natychmiast z nożem w rękę. Zatrzymałem jego dłoń, nim zdążył przeciąć mi tętnicę udową.

- Już dobrze, Kyorze.

- Mistrzu Seyonne? Czy to już czas? On potrzebuje...

- Jeszcze nie. Już wkrótce. - Kucnąłem przed Blaise'em i położyłem dłoń na jego głowie, żałując, że nie wiem, jak złagodzić jego cierpienie.

Trzeba dopełnić rytuału przejścia. Musi wykapać się w Naori Fonte lub nigdy nie wróci do siebie. Jego prawdziwa istota krzyczy. Nie dowierzałem twoim opiniom na jego temat... złączony od urodzenia...

Rzeczywiście, słyszałem, jak bezgłośnie cierpienie Blaise'a uderza w mój wewnętrzny słuch.

- Naori Fonte... Studnia Dusz - powiedziałem. - Doprowadzę cię tam... obiecuję... a ta udręka się skończy.

- Co to? - spytała Fiona zza pleców Kyora.

- To sadzawka w Kir'Navarrin. Musi ją odnaleźć... i się w niej wykapać. Złagodzi to jego szaleństwo i jeśli to będzie możliwe, odwróci zmiany, a wpływ całej krainy go uleczy.

W moim wnętrzu rozwijała się wiedza, a towarzyszył jej pełen niedowierzania szept.
Złączeni od urodzenia... Niemożliwe. Nie jesteście częścią was. Nie uwierzą w to.

- Czas przejścia u każdego jest różny - mówiłem dalej, próbując znaleźć fragmenty wspomnień w szaleńczym zaprzeczeniu. - Dla niektórych przychodzi już w dwunaste urodziny, dla innych w pięćdziesiąte. Czasem trwa jeden dzień, innym razem wiele lat. To

czas dokonywania wyboru... gdy trzeba podjąć decyzję, jaki jest kształt pragnień zapisanych w ciele i mocy, a następnie spędzić całe życie na jego badaniu i doskonaleniu. Do chwili przejścia można zmieniać się w wiele istot, później już tylko w jedną. To część naszej melyddy, pochodząca z naszej prawdziwej ojczyzny i z nią związana, podobnie jak melydda, którą znamy, związana jest z drzewami i trawą Ezzarii.

Czułem, jak spojrzenie Fiony wypala mi dziurę w plecach.

- Dużo się dowiedziałeś w ciągu półtora dnia. Raczej w ciągu jednego uderzenia serca. Muszę się teraz udać do ruin - oznajmiłem. - Przygotuj go, Kyorze. Kiedy zapadnie zmrok, doprowadź go do południowego końca kolumn. Gdy nadejdzie czas, trzeba będzie działać szybko. - Położyłem dłoń na szczupłym ramieniu chłopca, po czym ruszyłem w stronę słońca, z dala od Fiony. Chłonałem powietrze i światło, aromaty i dźwięki słodkiego poranka: zapach suchej trawy, dzikiego hyzopu i szałwi, ich mocną woń wyzwalaną przez ciepło, brzęczenie pszczoł i piski nie dużych gryzoni kopiących jamy wśród kęp trawy.

- Masz zamiar to zrobić... uwolnić ciemność, którą widzieliśmy na mozaice. - Fiona podreptała za mną.

- Owszem, zamierzam otworzyć bramę Kir'Navarrin. Ale zło... Czymkolwiek jest, ono również jest uwięzione. Ta plama, którą widzieliśmy na mozaice, to forteca za bramą, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ją zabezpieczyć. Merryt pragnie, by stało się inaczej, i dlatego musimy trzymać go z dala od tego miejsca.

- Nim to zrobisz, muszę ci coś pokazać - powiedziała Fiona. - To wypadło wczoraj z kieszeni Balthara, gdy go uśpiłam.

Z kieszeni tuniki Fiona wyjęła kłębek brudnego materiału odrobinę większy od jej dłoni. Gdy odsłoniła tkaninę, ukazując jej zawartość, spojrzała w moją stronę, jakby chciała spytać, czy pojmuję, na co patrzę. Trzy kawałki wyszczerbionej kamiennej płytki, leżące płasko, bardzo prosto pomalowane. Fiona ułożyła je tak, by do siebie przylegały, tworząc kwadrat o czerwonej krawędzi.

- Czwarty kwadrat. Czwarta wizja Wieszcza.

Fiona pokiwała głową i nadal trzymała go bez ruchu, podczas gdy ja próbowałem pojąć jego znaczenie. Tak naprawdę, z całej mozaiki tę zagadkę najłatwiej było rozwikłać. Wnętrze kwadratu wypełniała czerń, jakby przedstawiała szyb prowadzący do wnętrza ziemi lub niebo za migoczącymi gwiazdami. Dotknąłem popękanej płytki i poczułem, jak krew odpływa mi od twarzy - mojej pełnej winy twarzy ukrytej pod kapturem. Żyłem w tych ciemnościach, szczątkach nicości, w której szaleni Gastaiowie stworzyli odpowiadające im więzienie. Fiona, która podtrzymywała ze mną kontakt przez czas udreki, również miała tego

świadomość. Wyczuwałem jej drżące obrzydzenie, gdy spoglądała na kwadrat. Ale to, co ja przeżyłem, a ona dotknęła, było jedynie niewielką częścią tego, co nadejdzie.

- Co to jest? Czy to miejsce, w którym byłeś? Wywołuje takie same uczucia. Czy to właśnie nazywasz Kir'Navarrin?

- Wszystko to tylko legenda - powiedział Balthar, który pojawił się za plecami Fiony. - Wizje nie są prawdą, nie w taki sposób, w jaki pojmujemy prawdę. To jedynie możliwości. - Starzec trzymał ręce na brzuchu, a jego wzrok nie opuszczał odłamków kamienia. Niemal się rozplakał. - To wszystko nie tak.

Położyłem dłoń na ramieniu Balthara, próbując go pocieszyć, zaś z głębi moich wspomnień wypłynęły słowa.

- Biada człowiekowi, który otworzy więzienie Bezimiennego Boga, gdyż wówczas na ziemię spadnie ogień i zniszczenie, jakich żaden śmiertelnik nie potrafi sobie wyobrazić. I nazwą to Dniem Końca, ostatnim dniem świata.

- To z opowieści o Verdonne i Valdisie - zauważyła zaskoczona Fiona. - Co to ma wspólnego z mozaiką?

- Nie wiem. - Moje teorie były zbyt nieokreślone i niepełne, by już teraz o nich mówić. Ale kiedy spojrzałem na płytkę i przeciągnąłem palcem po jej czerwonej krawędzi, starożytny artefakt stał się znajomy, jakbym odegrał jakąś rolę w jego tworzeniu. Z przekonaniem ciągnąłem: - Fazzia miała wizję skrzydlatego mężczyzny otwierającego bramę... pamiętajcie, że czekał na zewnątrz bramy z kluczem... i straszliwego zakończenia. Ale jedna wizja nie wynika z drugiej. Balthar ma rację, że proroctwa to tylko możliwości. Ostrzeżenia. Wierzę, że tak się stanie jedynie wtedy, gdy forteca zostanie otwarta. Pamiętajcie, że nasi przodkowie przez długi czas przy niej mieszkali. Mozaika pokazuje, że swobodnie przechodzili między tym światem a Kir'Navarrin. - Postukałem palcem w czarną płytkę. - To nie oznacza, że ja to zrobię, ani że popełniam błąd, próbując uleczyć ranę, którą sami zadaliśmy.

Fiona potrząsnęła głową.

- Ale starsi na pewno wiedzieli takie rzeczy o proroctwach. Jeśli to było tylko ostrzeżenie... mało prawdopodobne... to dlaczego się zniszczyli?

- Zastanów się, Fiono. Wieszcz miał takie wizje... kobieta znana z mądrości i dokładności przepowiedni. Wyobraź sobie, jak czuli się starsi ze świadomością... że jeden z nich może stworzyć coś tak straszliwego. Jak więc postanowili ochronić świat? Uznali, że należy uniemożliwić przeobrażenie, a wtedy nigdy nie pojawi się skrzydlaty mężczyzna, zdolny cokolwiek otworzyć.

Balthar pokiwał głową.

- A później zniszczyli wszystkie zapiski o tym miejscu, wymazali wszystkie wspomnienia, żeby nikt nigdy nawet nie próbował tam powrócić i zaryzykować. O wiele łatwiej ukryć się przed katastrofą, niż zastanawiać się, jak jej zapobiec lub naprawić.

- Zgadza się. Ale nie mieliśmy pojęcia o wyniku - powiedziałem. - Nie dostrzegaliśmy skazy na tym pozornie doskonałym planie. Część nas, którą wyrwaliśmy, nie umarła. Stąd też wojna z demonami i obowiązek, by w niej walczyć, jaki na siebie nałożyliśmy. I to bez zastanowienia, czy przypadkiem nie spowodowaliśmy tego, czemu mieliśmy zapobiec. - Potrząsnąłem głową nad ironią losu. - Nie da się ukryć przed prawdziwym prorocstwem. Mimo pracy, cierpienia i straszliwych wyborów... nadal stoimy w tym samym miejscu. Możemy tylko spróbować wszystko naprawić. - Przepeliła mnie taka tęsknota, że z trudem formułowałem słowa. - Pamiętamy i chcemy wrócić do domu. Musimy wrócić.

- Wrócić do domu? Wrócić? Czyli nie otwierasz bramy tylko dla Blaise'a? - Fiona powoli owijała artefakt brudną chustką, przez cały czas się w niego wpatrując. - Pamiętamy... Chcemy... My.

Mężczyzna o okrągłej twarzy przyjrzał mi się uważnie.

- Fazzia! Skąd znasz imię Wieszcza? Natrafiłem na nie dopiero kilka tygodni temu. Nie istniało w żadnych naszych zapiskach. Przez te wszystkie lata sądziliśmy, że Wieszcz miał na imię Eddaus, ale odkryłem, że on był tylko skrybą. Twoja interpretacja ma sens. Oczywiście to starsi ludu zdecydowali się na takie drastyczne rozwiązanie. Ukrywałem tę płytkę przez wiele miesięcy. Jest zbyt straszna, by o niej myśleć. A potem ta dziewczyna przyznała, że to ty masz skrzydła i mówisz o „otwarciu bramy”. Niemal popadłem w niemoc z tego powodu. Wszystko, czego się dowiedziałeś... Czy powiedziały ci to demony? Czy można im wierzyć?

Gadanina Balthara mogła trwać bez końca. Ale ja nie słuchałem. Obserwowałem Fionę. Ciepły wiatr chwycił kilka kosmyków jej ciemnych włosów i rzucił nimi w jej twarz - poważną twarz z zaciśniętymi ustami. Owinęła tkaninę sznurkiem i oddała ją Baltharowi, po czym podniosła na mnie wzrok.

- Zdejmij płaszcz, Seyonne. W południowym Manganarze jest jesień. Po co ci on? - Mówiła cicho. Bez wyrazu.

Wiedziałem, że nie pozwoli się zwodzić. Uparte pytanie, które utrzymało ją przy mnie przez te wszystkie miesiące, znajdzie swoją odpowiedź w chwili, gdy opuszczę kaptur. W przeciwieństwie do Blaise'a nie potrafiłem ukrywać tego, kim się stałem. Nazwie mnie

plugastwem - określenie dla ostatecznego zepsucia Strażnika - i odejście. Nie chciałem o tym myśleć. Ale nie umiałem okłamać tej, która przez tak długi czas dochowała mi lojalności.

- Nie chciałem cię troskać czymś, czego nie da się naprawić.

- Troskać czy wywołać u mnie odrazę?

Balthar spoglądał to na mnie, to na nią, jakby chciał pojąć, kiedy przestał nadażać za rozmową.

- To był jedyny sposób, Fiono. Uwierz mi: na wszystko, kim byłem, wolałbym udzielić ci innej odpowiedzi. Ale muszę zrobić to, co uważam za słuszne, co koniecznie...

- ...bez względu na to, kogo to zniszczy. - Jej spokój był niczym jedwabny strój, tak doskonale dopasowany, że widziałem, jak jej wściekłość gotowa jest się przebić na drugą stronę. - Masz zamiar przeprowadzić demony przez portal.

- Mam nadzieję, że dzięki temu coś uratuję, a nie zniszczę. O to w tym wszystkim chodzi.

- Pokaż mi się.

- Jak sobie życzysz. - Opuściłem kaptur i spojrzałem na nią wystarczająco długo, by zobaczyć, jak na jej chudej twarzy maluje się wstrząs i odraza... Później zamknąłem oczy, splotłem ramiona na piersi i przeobraziłem się.

Od dnia gdy udało mi się stworzyć skrzydła za portalem, kiedy byłem jeszcze zarozumiałym, osiemnastoletnim Strażnikiem, pragnąłem zerwać się do lotu w piękny poranek w świecie ludzi. A jednak w ten jasny manganarski świt nie potrafiłem czerpać z tego radości. Nie, kiedy spojrzałem w dół i dostrzegłem, jak Fiona odwraca głowę, a Kyor powstrzymuje Blaise'a, gdy szalony banita krzyczy za mną z pełnym bólu pragnieniem. Tylko Balthar Łotr wpatrywał się we mnie z uśmiechem, gdyż jego grzech w końcu został przyćmiony przez grzech kogoś innego.

Nie ma sensu wracać. Kyor przytrzyma Blaise'a, aż nadejdzie czas, by doprowadzić go do bramy. Fiona popędzi do Ezzarian i powie im o moim pełnym zepsuciu. Lepiej zająć się zadaniami, które czekały na mnie tego dnia.

Leciałem wysoko nad wysuszoną równiną, którą przecinała dziwna podwójna linia kolumn, i rozejrzałem się, próbując ocenić, ile czasu zostanie mi na pracę nad bramą. Niewiele. Dwanaście lig na zachód od kolumn wznosiła się chmura kurzu, oznaczająca dużą armię - jakieś siedem setek konnych wojowników. Trzy sztandary. Przynajmniej trzy rody Derzhich się zbuntowały. To nie do pomyślenia. Dziesięć lig na północny wschód widniała mniejsza chmura kurzu - jakieś pięć setek... ale sztandary mówiły, że to doborowe wojsko Aleksandra, a chorągiew księcia powiewała dumnie na czele. Wszyscy dotrą na miejsce o

zmroku, gdy niepokój, strach i gniew w przededniu bitwy pozwolą demonicznemu legionowi przejść na drugą stronę, tak jak zaplanowano. Kusilo mnie, by polecieć na południe i poszukać dowodów, że Ezzarianie przeszli przez góry, lecz rozwikłanie zaklęć bramy uznałem za ważniejsze.

Nie zamierzałem poznawać wszystkich, tylko tyle, bym mógł szybko dokończyć pracę, kiedy nadejdzie czas. Na razie nie miałem pojęcia, co począć z Ezzarianami.

Opadłem na ziemię na południowym końcu rzędu kolumn. Sześćdziesiąt takich par rozciągało się przede mną na długości ćwierci ligi, wśród falującego morza złocistej, wysokiej do kolan trawy. Odgadywanie zaklęć w tym potężnym kamiennym lesie nie stanowiło zachęcającej perspektywy, zwłaszcza że nie wiedziałem, gdzie zacząć.

Dla każdej z par zatopiono w napisach wzór zaklęć. Każdy wzór trzeba dokładnie przedstawić, napęłnić mocą, a później połączyć z drugim, by utworzyć zaklęcie będące kluczem do bramy.

Mogłem się domyślić, że odpowiedź nadejdzie. To był właśnie powód, dla którego zrobiłem rzecz nie do pomyślenia. Podszedłem do pierwszej z kolumn i przyjrzałem się napisom wyrzeźbionym w białym kamieniu. To był bełkot.

Pozwól mi to zobaczyć.

- Masz moje oczy. Użyj ich. Powiedz mi, co to znaczy.

Musisz na to pozwolić. Muszę cię błagać? Płaszczysz się?

Zamknąłem oczy i walczyłem z gniewem, próbując stłumić wspomnienie przerażenia Fiony i nie wyobrażać sobie tego, co zobaczyła - bładniebieski ogień w moich oczodołach zamiast ezzariańskiej czerni. Czy poczuła też mój smród? Czy słyszała niszczącą duszę demoniczną muzykę na krawędzi słów? Widziała wykręcające żołądek złote światło na krzywiznach ciała?

Wystarczy. Zdecydowałeś się już wiele godzin temu. Co się stało, to się nie odstanie. To, co się jeszcze nie wydarzyło, czeka tylko na ciebie. Zrób to.

Zmusiłem wzrok do koncentracji. Do uwolnienia. Zupełnie świadomie przekazałem demonowi władzę nad swoimi dłońmi, językiem i melyddą, którą nosiłem w sobie od dnia narodzin. Oddałem je wszystkie w służbę dziełu, które wybrałem, a gdy znów otworzyłem oczy, słowa i symbole wyryte na kolumnie zyskały sens.

Rozdział 36

Gdy w końcu odwróciłem spojrzenie od rzędu kolumn, na wzgórza padały długie cienie, a mój umysł wypełniało zakłęcie. Nigdy nawet nie wyobrażałem sobie magii tak skomplikowanej jak ta, którą wykorzystano do zapieczętowania bramy do Kir'Navarrin: zawilość słów i gestów, zmysłów i abstrakcji, umysłowa akrobatyka tak wyczerpująca, że w porównaniu z nią walka z demonami wydawała się niemal łatwa. Musiałem wrzucić delikatne nici magicznych rozkazów w burzliwy ocean czarów, jakim jest świat natury, zaczekać, aż poczuję odpowiedź, którą równie łatwo było wyczuć, jak płatek śniegu spadający na włosy, pochwycić ją szybciej, nim komar zdążyłby zmrużyć oko, i wpleść odpowiedź w klucz, który budowałem.

Oczywiście, łatwo mi powiedzieć, że to ja wszystko zrobiłem, choć naprawdę był to demon. Posługiwał się w swojej magicznej walce moim wzrokiem i słuchem, dotykiem, smakiem i węchem niczym wojownik Derzhich mieczem, koniem, ciałem, nożem i batem w sztuce wojennej. Choć wykorzystywałem własny umysł i doświadczenie w rozwiązywaniu problemów, nie odzywałem się ani nie poruszałem bez jego polecenia, a im dalej posuwaliśmy się w głąb sześćdziesięciu par kolumn, tym bardziej musiałem na nim polegać. Wierzyłem, że jeśli ktokolwiek urodził się tylko po to, by jeździć konno i władać cesarstwem, był to Aleksan der; ale jeśli ktoś narodził się do posługiwania melyddą, był to Denas.

Wystarczy. Nie otworzymy ostatniej pary, póki nie nadejdą. Ylad kryje się gdzieś w pobliżu, pragnąc przejść przez bramę, nim ktokolwiek go powstrzyma, ale to Vyx musi pokonać ją pierwszy.

- Vyx?

Vyx nie jest głupcem, na jakiego wygląda... Nie dodał już nic więcej. Im dłużej byliśmy połączeni, tym wypowiedane słowa stawały się coraz mniej potrzebne. Jedna myśl któregoś z nas otwierała dla drugiego związaną z nią część wspomnień, przemyśleń i wiedzy. Dzięki tej krótkiej wzmiance o psotniku, który doprowadził do mojego zepsucia, dowiedziałem się, że Vyx wykonałby nasze zadanie w o połowę krótszym czasie, a jeśli jakakolwiek istota, śmiertelna czy nieśmiertelna, zdołałaby ochronić fortecę, to był nią

właśnie ten szczupły, wesoły demon. Prosty sposób, w jaki zdobyłem tę wiedzę, nie przeszkadzał mi w tym, by rozmyślać nad odkrytymi rewelacjami.

Czułem się śmiertelnie zmęczony. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio spałem. W głowie wirowały mi zaklęcia, których nauczyłem się w ciągu ostatnich kilku godzin, a stopień ich skomplikowania byłby niewyobrażalny dla ezzariańskich uczonych. Mój żołądek nadgryzał samego siebie, gdyż od zbyt dawna go nie napełniłem. Nim jednak spróbuję zaspokoić głód i trochę odpocząć, powinienem sprawdzić, jak w czasie godzin naszej pracy zmienił się krajobraz przed katastrofą.

W okolicy kryło się zbyt wiele ciekawskich oczu, bym myślał o swojej zwyczajnej postaci, więc przeszukałem nowo zdobytą wiedzę na temat zmiany kształtów. Mój demoniczny partner nie raczył się odezwać - jego niechęć do cielesności była dwa razy większa w przypadku postaci zwierzęcej. Ale po kilku nieudanych próbach i zniesieniu sporej niewygody, udało mi się stworzyć ciało sokoła... i niemal od razu uznałem, że popełniłem straszliwy błąd. Niemal się udusiłem, przerażony zamknięciem w ciasnocie. Ale trwało to tylko chwilę, aż uświadomiłem sobie sprawność ciała stworzonego do lotu i użyteczność oczu przeznaczonych do wypatrywania niedużych istot przebiegających wśród traw daleko poniżej - istot, które szybko zaspokoiły pusty żołądek. Uśmiechnąłem się wewnątrz upierzonej głowy. Oczy żołnierzy będą skierowane na niebo w poszukiwaniu omenów. Widok sokoła, symbolu Aleksandra, zapewne skłoni buntowników do zastanowienia.

Książęcy obóz i obóz buntowników znajdowały się w niedużej odległości na wschód od szeregu kolumn, oddzielone od siebie jedynie linią niskich wzgórz. Buntownicy zajęli lepszą pozycję, na płaskowyżu wyniesionym, gdy jakiś wstrząs skruszył ziemię wokół niego. Aby do nich dotrzeć, oddziały księcia musiały wspiąć się po skarpie. W chwili gdy osiągną krawędź, będą najbardziej wrażliwi na ciosy. Jeśli buntownicy dysponują dobrymi łucznikami, wielu ludzi Aleksandra zginie.

Zanurkowałem w stronę lasu powiewających sztandarów na łysym szczycie wzgórza w połowie drogi między dwoma wzniesieniami. Grupka mężczyzn stała naprzeciwko siebie, bez wątpienia przedstawiając swoje żale, stawiając żądania, ustalając warunki. Bardzo szybko ich minąłem; zobaczyłem tylko wykrzywione gniewem twarze i usłyszałem niezrozumiałe fragmenty wojowniczych okrzyków. Jeden z wojowników odszedł od grupy na szczyt wzgórza, a promienie słońca migotały na jego rudych włosach i symbolizujących status złotych ozdobach. Okrążyłem go i krzyknąłem do niego. Ostry skrzek odbił się echem od wzgórz. Aleksander stał z rękami splecionymi na piersiach, a gniew unosił się nad nim

niczym rozgrzane powietrze nad suchą ziemią. *Wytrzymaj, mój książę. Wytrzymaj. To nie jest prawdziwe. Zostałeś stworzony do lepszych celów.*

Krażyłem do chwili, gdy negocjacje zostały przerwane. Buntownicy wsiedli na konie i odjechali jako pierwsi, co było niewyobrażalną obelgą dla syna cesarza. Aleksander wskoczył na rumaka, mocno ścisnął zwierzę kolanami i pogalopował po zboczach wzgórz na pomoc. Najpewniej aż gotował się ze złości, ale nie sądziłem, by walczył tej nocy. Derzhi zbyt cenili swoje konie, by zabrać je w długą drogę, a potem ryzykować zranieniem ich w ciemnościach. Rzeź rozpocznie się o świcie. A w nocy... nie mieli pojęcia. Noc sprowadzi demony.

Trudno było porzucić straż nad obozami. Choć dobrze znałem zwyczaje Derzhich, ktoś wiedział, czego się spodziewać, gdy jątrzącą się niechęć podsycają rai-kirah? Musiałem się spotkać z Aleksandrem, lecz przez następne kilka godzin będzie zajęty, planując atak - nie miałem najmniejszej nadziei na inne rozwiązanie - a ja chciałem spotkać się z nim sam na sam. Będę potrzebować nie lada perswazji, by go skłonić, żeby mnie wysłuchał, więc lepiej, żeby nie obserwował nas przy tym żaden z jego poddanych. Modliłem się tylko, by znaleźć argumenty, które przekonałyby go do rezygnacji z tej bitwy.

Mimo niepewności w końcu musiałem porzucić czuwanie. W głowie miałem siano.

Sen...jest jak śmierć, tak sądzę. Dlaczego tak bardzo go pragniemy?

Byłem zbyt zmęczony, by spróbować mu odpowiedzieć. Poleciałem z powrotem do Dasiet Homol, znalazłem porzucony płaszcz i wyciągnąłem się w cieniu pierwszej kolumny. Nie umiałem się martwić, planować ani zastanawiać nad przyszłością. Przez pełną napięcia chwilę pomyślałem o tym, jakie sny mogą nawiedzać noce demonów, lecz okazało się, że spałem jak zabity.

* *

Myślałem, że obudziła mnie lampa świecąca w twarz, a może demon w kształcie pojedynczego, okrągłego, jasnego oka, lecz naraz wszystko sobie przypomniałem i świat wrócił do odpowiedniej perspektywy... rozpoznałem wielki i piękny księżyc w pełni wiszący na ciemnym wschodnim niebie. Ze zadziwieniem obserwowałem cienie o srebrnych krawędziach i przemianę surowego krajobrazu w świetlistą tajemnicę, tak różną od blasku dnia, który właśnie dogasał na zachodzie. Każdy kamień i karłowate drzewo, każde źdźbło

trawy, nawet moja dłoń oblane srebrem zdawały się czyste i nowe. Kolumny wznosiły się nade mną w przedziwnej chwale.

Nie miałem jednak czasu na podziwianie krajobrazu. Choć spałem nie więcej niż dwie godziny, coś się zmieniło. Gdy siedziałem w cieniu bramy do Kir'Navarrin, czułem niespokojne pulsowanie w żyłach świata. Musiałem dotrzeć do Aleksandra. Demony nadchodziły... wkrótce nadciągną Ezzarianie... a ja nie wymyśliłem żadnego rozwiązania.

Czasami mur, zdawałoby się, nie do przebycia, jest tak niepewnie zbudowany, że usunięcie jednego kamyka powoduje jego upadek. Tak było z moim pierwszym dylematem. Prosty, przelotny obraz przyniósł mi rozwiązanie dla Aleksandra. Nim wyruszyłem, by odnaleźć księcia, sprawdziłem zakłęcie, które stworzyłem, by upewnić się, że żadna niewidzialna ręka nie naruszyła jego delikatnej konstrukcji, gdy spałem. Klucz, migoczący srebrem, unosił się w moim ciemnym umyśle niczym miecz światła. Yvor Lukash... Niczym spadająca gwiazda, imię to zapłonęło w mojej świadomości. Oczywiście. Aleksander musiał dać coś zbuntowanej szlachcie, a ja dysponowałem tym czymś.

Wkrótce znalazłem się w powietrzu, znów w postaci ptaka, i poszybowałem na północny wschód przez ciepłe, ciężkie powietrze, w stronę serca obozu księcia Derzhich. Usiadłem na jednej z podpórek namiotu Aleksandra i przyjrzałem się dwóm uzbrojonym Derzhim, którzy stali przed klapą wejścia.

Odciągnij ich. Masz wiele innych postaci.

Ja jednak byłem zbyt niecierpliwy, by się zmieniać - wymagało to więcej koncentracji, niż zamierzałem poświęcić. Wybrałem mniej wyszukaną taktykę. Rozłożyłem skrzydła i poleciałem prosto w ich twarze, najpierw jednego, a później drugiego, skrzecząc głośno, trzepocząc skrzydłami i chwytając w szpony ich warkocze. Atak trwał tylko chwilę, później przeleciałem na szczyt kolejnego namiotu, zostawiając w spokoju przeklinających i machających rękami Derzhich. Nie dałem im czasu do namysłu, lecz znów zaatakowałem. Głośniej. Bardziej zajadle. Poszarpałem im policzki szponami. Za trzecim razem za mną ruszyli. Poprowadziłem ich w głąb zatłoczonego rzędu namiotów, aż zaczęli się potykać o nogi i broń innych wojowników, wpadać w ogniska i przewracać kociołki z kolacją. Tam ich zostawiłem, by wyjaśnili towarzyszom, na co właściwie polowali, a sam powróciłem do namiotu Aleksandra. Jedną myślą powróciłem do własnej postaci. Jednym gestem zgasiłem pochodnie. I rzuciwszy jedno spojrzenie przez ramię, wślizgnąłem się do książęcego namiotu. Pojedyncza świeca rzucała łagodny blask na gruby, wielobarwny dywan rozłożony w namiocie. Koberzec stanowił jedyny luksus, na jaki pozwalał sobie Aleksander, gdy ruszał na wojnę. Nie chciał spowalniać marszu wozami z potężnym namiotem, złotymi naczyniami i

wyszukanym umeblowaniem stosownym dla syna cesarza, lecz nie znośli spać na gołej ziemi. Książę był ponury, siedział oparty plecami o siodło, długie ręce oparł na kolanach, a jednym butem wściekle stukał w niebiesko-czerwony dywan, niczym dziecko drażący martwe drzewo.

Siedziałem bez ruchu, osłaniając twarz ciemnym płaszczem i kryjąc się w najgłębszym cieniu w rogu przy drzwiach, aż strażnicy poprosili o zezwolenie na wejście i zdali raport z zamieszania na zewnątrz wywołanego przez szalonego ptaka.

- To był demoniczny ptak, wasza wysokość. Nigdy nie widziałem takiego, który atakowałby ludzi.

- Mam nadzieję, że odnieśliście zwycięstwo. Jeśli nie umiecie ukręcić szyi ptaka, jak wypatroszycie zdrajcę?

- Zniszczymy bezczelnych Hamraschich, panie. - Strażnik nie wspomniał, że ptak mu uciekł... ani że był symbolem samego Aleksandra. Ukręcenie mu szyi byłoby najgorszym z omenów.

Aleksander gestem zwolnił mężczyznę, po czym wyjął nóż, ułożył go na dywanie obok siebie i wyciągnął się na plecach, jakby zamierzał spać. Poruszałem się szybko. Nim zdołał cokolwiek zrobić, mocno chwyciłem go za nadgarstek, upewniając się, że jego ostrze nie znajduje się blisko ważniejszych części mojego ciała.

- Zdradziecki skrytobójca buntowników!

Mimo mojego mocnego chwytu udało mu się wykręcić i zbliżyć kolano do mojego brzucha, nim jednak zyskał przewagę, umieściłem go w mniej wygodnej pozycji - na brzuchu, z moim kolaniem wbitym w plecy i obiema rękami wykręconymi do tyłu. Nie podobało mu się to wcale a wcale, i musiałem użyć więcej siły, niż zamierzałem, by przekonać go do leżenia bez ruchu. Nadal nie chciał się poddać.

- Bękarty Hamraschich! Najpierw zwracacie się przeciwko prawowitemu cesarzowi, a teraz zniżacie się do tchórzliwego zabójstwa. Za dotknięcie namaszczonego księcia powinni wam obciąć ręce. Jak śmiecie twierdzić, że jesteście wojownikami Derzhich? Oby wasi ojcowie i dziadowie zgnili...

- Nie chcę ci zrobić nic złego, panie. Posłuchaj mojego głosu. Nie jestem twoim wrogiem.

Nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli mnie nie posłucha.

- Przeklęty Athosie... - Próbowałem przekonać samego siebie, że w jego zaskoczonym głosie zabrzmiała choć nuta ulgi lub zadowolenia, lecz jeśli nawet tak było, szybko została stłumiona. Choć już ze mną nie walczył, leżał sztywno. - Widzę, że dołączyłeś się do

zbuntowanego robactwa. Czy żalosni banici nie byli odpowiednimi stronnikami? - Jego niesmak zmienił się we wściekłość. - Na głowę mojego ojca, jeśli miałeś w tym swój udział, zamienię w niewolników wszystkich żyjących Ezzarian. Ja...

- Proszę, panie. Musisz mnie wysłuchać.

- Ostrzegłem cię...

- Ani Ezzarianie, ani ja nie złamaliśmy twoich rozkazów, panie, a ja troszczyć się jedynie o twoje dobro. Proszę tylko, żebyś mnie wysłuchał.

Kopnąłem nóż na bok, po czym puściłem księcia, a sam wycofałem się do ciemnego kąta namiotu, podczas gdy on wstał i zaczął rozcierać nadgarstki. Gestem kazałem mu znów oprzeć się o siodło. Nie opuszczałem kaptura i miałem nadzieję, że wystarczająco dobrze pamięta moje umiejętności walki, by nie sprawdzać mnie dłużej.

Choć jego twarz była purpurowa, zachowywał się grzecznie. Zaplótł ręce na piersiach, jakby rzucał mi wyzwanie, bym przebił mur, który nas dzieli.

- Przybyłem, by pomóc ci rozwiązać twój problem.

- Ach, chcesz znów mi „służyć”? Czy poprowadzisz Hamraschich i innych zdrajców do walki? Zabijesz paru moich wojowników, ukradniesz jeszcze kilka koni i pozwolisz, by te łotry przejęły tron mojego ojca? Cesarstwo poradzi sobie i bez twoich usług.

- Do tej bitwy nie może dojść.

- Twoi banici przez ostatnie tygodnie zachowywali się bardzo spokojnie, więc pewnie pragniesz dodatkowej rozrywki.

Znów zacząłem się zastanawiać, czy na świecie urodził się kiedykolwiek człowiek bardziej uparty od Aleksandra.

- Powiedz mi, panie, czego potrzeba, by zbuntowane rody ruszyły znów w swoją stronę bez rozlewu krwi i bez hańby dla ciebie i dla nich?

- Jeśli przeraziła cię własna perfidia, powinieneś być zadać to pytanie trochę wcześniej.

Próbowałem zachować cierpliwość.

- Choć na chwilę zapomnij o swojej dumie, panie. Pomyśl o Khelidach, o rzeczach, których doświadczyliśmy i których się razem dowiedzieliśmy. Choć twoje cesarstwo zdumiewa rozmiarami i potęgą, świat jest o wiele większy i nadanie mu właściwego porządku ma znacznie większe znaczenie. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, szukałem odpowiedzi na pewne pytania, jakie postawił mi świat... i kilka udało mi się znaleźć. Nie wszystkie. Zdecydowanie nie wszystkie. Ale przysięgam na krew, jaką za ciebie przelałem, na życie mojej żony, syna i ludu, że tego konfliktu nie rozpętali ludzie. Te rody nakłoniono, by

wystąpiły przeciwko tobie. Owszem, mają żale do ciebie i twojego ojca, i bez wątpienia obie strony odniosły krzywdy, których pozornie nie da się naprawić, lecz musisz uwierzyć, że ten rozlew krwi przysłuży się jedynie złym celom.

- Myślisz, że tę zradę da się wyjaśnić kolejnymi opowiastkami o demonach? Ci buntownicy obrazili cesarza. Sprzeciwili mu się, i za to zginą.

Musiałem wykorzystać swój jedyny atut.

- A gdybyś oddał im Yvora Lukasha, panie, i powiedział, że opanowałeś banitów, którzy już nigdy nie będą sprawiać kłopotów szlachebnym rodóm... czy to wystarczy?

- Jesteś obrzydliwy. - Splunął w moją stronę. - Czy do końca straciłeś honor, nawet dla banitów?

- Nie zdradzam ich. Mam raczej zamiar przekonać swoich przyjaciół, że istnieją ważniejsze cele, a ludzie mogą jedynie zaprzepaścić szansę na ich osiągnięcie, jeśli będą szaleńczo dziobać siebie nawzajem. Zamierzam przekonać ich o twoim honorze, panie, i o tym, że szukasz sposobu, by uczynić świat lepszym. Wierzę, że mnie wysłuchają. Czy to ci pomoże?

- Myślisz, że możesz przekonać „przyjaciół”, by oddali swojego przywódcę baronom Derzhich? Jeśli nie jesteś tchórzliwym zdrajcą, za którego cię uznałem, to jesteś głupcem i szaleńcem.

- Obiecuję, że dostaniesz kogoś, kogo będziesz mógł im oddać. Ko goś, kto w wyjątkowo przekonujący sposób pasuje do opisu Yvora Lukasha. Najazdy banitów... które podważają zaufanie do ciebie i nie pozwalają ci działać dla dobra wszystkich... ustaną. Przysięgam.

Rumieniec gniewu na twarzy Aleksandra natychmiast znikł. Wpatrzył się w ciemność, którą się otoczyłem.

- To ty. Twierdzisz, że się poświęcisz, by powstrzymać wojnę Derzhich... - nie zaspokoiwszy ciekawości, znów oparł się o siodło - ...a później bez wątpienia uciekniesz. Wykorzystasz jakieś czary, żeby wbić mi nóż w plecy. - Ale nie mówił tego tak, jakby w to wierzył. Przebiłem dzielący nas mur.

- Przypomnij sobie, co działo się kilka chwil temu. Nie musiałem czarować, żeby cię powalić.

Nie myślałem, że jego twarz może się jeszcze bardziej zaczerwienić.

- Jaki wojownik podkrada się do śpiącego przeciwnika?

Nie mogłem się nie uśmiechnąć, słysząc te narzekania.

- Muszę dziś w nocy zrobić coś jeszcze. Ale jeśli uda ci się przekonać niezadowolonych rodaków, że rozwiązałeś ich problemy tak, jak to zawsze obiecywałeś, i że oddasz im ich wroga, by to udowodnić, wrócę jutro w południe i uczynię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

- Wyrwą ci serce.

- Istnieją gorsze rzeczy, panie. Nie zdołają włożyć go z powrotem i zrobić tego jeszcze raz.

Nadchodzi legion!

Włoski na moich ramionach się podniosły, a palce przerażenia dotknęły kręgosłupa. Ciemność wpełzała pod zasłonę namiotu, a mój umysł wypełniły szepty... poszukujące... polujące... przestraszone... Z głębi ciszy śpiącego obozu zabrzmiał stłumiony krzyk przerażenia... a później kolejny i następny.

- Na rogi Druyi, co się dzieje? - Aleksander zerwał się na równe nogi, gotów wybiec z namiotu, gdyby ogłoszono alarm. Roztarł nagie ramiona, jakby wiatr Kir'Vagonoth przebił się przez płócienne ściany. - Nie czułem nic takiego od... - spojrzał na mnie rozszerzonymi oczami - ...od Parnifouru... - Od naszego spotkania z Naghiddą, władcą demonów.

- Wasza wysokość! Wiadomość! - Pełen napięcia głos dochodził zza klapy namiotu.

Patrząc na mnie z ukosa - jakby rzucając mi wyzwanie, bym go powstrzymał - księżę wystawił głowę na zewnątrz i zaczął rozmawiać ze strażnikami.

Musimy udać się do bramy. Vyx będzie stał na czele legionu razem z Tovall. Skończ z tą ludzką głupotą. To uparty brutal, którego nie zadowoli nic poza rozlewem krwi.

Wkrótce, powiedziałem, próbując odepchnąć żądania brzmiące mi w głowie i powstrzymać stopy, które chciały poruszyć się wbrew mojej woli. *Poznawaj go.*

Kiedy Aleksander powrócił kilka chwil później, był zdecydowanie bardziej skłonny wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.

- To nie atak Hamraschich, prawda?

- Nie, panie. Tak jak ci mówiłem.

- Sovari przysłała wieści, że thridzcy najemnicy są gotowi zdezerterować, bo twierdzą, że nad naszą wyprawą ciąży zły omen. Nigdy nie widzieli tylu złych duchów w noc przed bitwą. Ich szaman zaczął krwawić z oczu, kiedy próbował je wygnać. Jeden z wojowników Gezzy rzucił się na miecz z nienazwanego przerażenia, a wszyscy narzekają na koszmary. Złe duchy... demony. - Wskazał na wzorzysty dywan. - Usiądź i powiedz mi, co się dzieje, Seyonne.

Gdy on próbował wyciągnąć mnie z kryjówki, ja cofnąłem się jeszcze bardziej. Aleksander przeżył grozę, jakiej nie powinien doświadczyć żaden człowiek, gdy władca demonów wyżarł pół jego duszy, by się w nim zagnieździć. Gdyby księżę zobaczył, kim się stałem, nigdy by mi nie uwierzył.

- Nie mam czasu tego wszystkiego wyjaśniać, panie, ale musisz uspokoić swoich wojowników. Nie ma zagrożenia...

- Nie ma zagrożenia? Ale powiedziałaś, że konflikt nie jest dziełem ludzkim. - Bałem się, że ze złości Aleksander przewróci podpory na miotu.

- Zgadza się... ale cel tego ataku nie ma nic wspólnego z ludzkimi sporami. Błagam, byś mi zaufał. Dowiedziałem się bardzo wiele od czasu, gdy po raz pierwszy opowiadałem ci o rai-kirah. Nie idź dzisiaj spać. Wyjdź i zacznij uspokajać swoich ludzi. Prześlij wieści do przywódców buntowników, by zrobili to samo. Powiedz im, że ta niespokojna noc jest dziełem Yvora Lukasha, a wszystko skończy się o świcie, gdyż wtedy go wydasz, by pokazać, że dotrzymujesz obietnic. - Modliłem się cicho, by Vyx się nie pomylił, kiedy mówił, że wystarczy jedna noc, by demony przeszły przez bramę. Z pewnością moje dzieło się wtedy zakończy, na dobre czy na złe. - Jutro przed południem powrócę tutaj i wtedy zrobisz ze mną, co zechcesz. Baronowie nie wejdą w drogę człowiekowi, który potrafi doprowadzić taką noc do spokojnego końca.

Zastanawiał się nad tym tak długo, że zapragnąłem nim potrząsnąć.

- Nie zdradzisz mnie znowu? - spytał w końcu.

- Nosisz w sobie światło przeznaczenia, panie. Nawet gdybyś mnie nic nie obchodził, mam obowiązek cię chronić. Ale umiesz czytać w sercach ludzi lepiej niż czarodzieje, więc już znasz odpowiedź.

Powoli podszedł do wyjścia namiotu.

- Jutro w południe, Seyonne. Nie spóźnij się. - Był to rozkaz i ostrzeżenie. Ale także błaganie. Prosił mnie... miał nadzieję... bym był tym, czego pragnął, a nie tym, czego się obawiał. Nie chciałem go zawieść.

Odsunąłem zasłonę i patrzyłem, jak księżę wydaje rozkazy Sovariemu, kapitanowi straży, a później rusza w stronę trzech żołnierzy pełniących straż, którzy kulili się w kącie zagrody dla koni. Ich wyciągnięte miecze drżały. Kiedy księżę się zbliżył i odezwał, mężczyźni podskoczyli i wyprostowali się. Musiałem wierzyć, że Aleksander robi to, co konieczne. Był pozbawiony zdolności dyplomatycznych, współczucia i wiedzy, jeśli chodziło o większość spraw zwykłych ludzi, ale wiedział, jak postępować z wojownikami.

*A czy teraz możemy dać sobie spokój z tą bezużyteczną gadaniną i wrócić do bramy?
Legion musi wyruszyć, zanim pojawią się pandye gash.*

Tej nocy zrodziło się wiele legend wojowników. Denas zmuszał mnie do pośpiechu, więc ukryłem się w zacienionym wejściu i stworzyłem skrzydła, po czym wezwałem wiatr i wystrzeliłem prosto w blask księżyca. Dopiero gdy z dołu doszły mnie okrzyki „Przeklęty Athosie, ratuj nas”, uświadomiłem sobie, że zapomniałem skorzystać z postaci ptaka.

Rozdział 37

Pospieszyłem w stronę ruin, lecąc na zachód w promieniach księżyca. Zostawiłem za sobą ogniska obozów Derzhich, więc z niepokojem zauważyłem nowe światła migoczące w pewnej odległości na lewo ode mnie. Na południu, od strony gór. Ezzarianie znajdowali się dwie godziny drogi stąd, najwyżej trzy. Modliłem się, by Vyx już przybył i by ostatni wzór zaklęcia nie okazał się gorszy, niż oceniałem. Jeszcze tylko pół godziny.

Vyx jeszcze się nie zjawiał, lecz Kyor zachęcał potykającego się Blaise'a do wejścia po ostatnim stromym odcinku ścieżki prowadzącej do ruin. Dotknąłem stopami ziemi i ignorując milczący sprzeciw demonicznego towarzysza, ruszyłem pomóc chłopcu, biorąc na siebie część jego ciężaru, by ułatwić mu wspinaczkę. Kyor wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym oderwał ode mnie spojrzenie i nakłonił Blaise'a, by zrobił kolejny krok.

- Musisz go przekonać, żeby przeszedł całą drogę do bramy - powiedziałem. - Kiedy już znajdzie się po drugiej stronie, dostarczysz wiadomość Patrolowi. Słuchaj uważnie... i ty też, Blaise, jeśli mnie słyszysz. Przez jakiś czas nie dojdzie do nowych ataków. Osiągnąłem pewne postępy na drodze do tego, czego pragniecie... - Gdy wspinaliśmy się po łagodnym zboczu, opowiedziałem im o Aleksandrze. O obietnicy, którą w nim zobaczyłem, gdy żyłem pod jego jarzmem, i o umowie, jaką z nim niedawno zawarłem. - Dotrzyma słowa, jeśli spotkam się z nim o obiecanej godzinie. Nikomu z was nie stanie się krzywda. Ale musicie się wycofać i obserwować. Będzie was chronił, uczył się od was i w końcu zmieni świat. Rozumiesz, Kyorze?

- Przekażę Farrolowi, żeby się wycofał. Przekonam go.

Blaise'a przeszył dreszcz, jego głowa zaczęła podskakiwać. Zmierziłem mu włosy i roześmiałem się.

- Czyli ty też mnie słyszysz. O to chodzi? Zrobimy to. Zrobimy.

Weszliśmy na wzgórze, a wtedy przekazałem Blaise'a młodzikowi.

- Nie chcę was zostawiać, ale nim dotrzecie do pomocnego krańca kolumnady, brama będzie otwarta. Po drugiej stronie powinien czekać ktoś, kto mu pomoże.

- Ja sam go tam zabiorę. - Chłopak odsunął kosmyk ciemnych włosów, który spadł mu na twarz, i mocniej chwycił bezwładnego Blaise'a.

- Jesteś pewien, Kyorze? Nie wiemy...

- Obiecałem, że wypełnię wszystkie twoje polecenia. Jak tylko znajdziemy tę Studnię Dusz, wrócę do Farrola. Możesz mi zaufać.

Uśmiechnąłem się do chłopaka.

- Uratujesz go. Świat będzie ci za to dziękował.

Zachęcając Blaise'a do kolejnego kroku, Kyor zawołał cicho przez ramię.

- Mam nadzieję, że cię to bardzo nie boli... To, co zrobiłeś.

- To nieważne - uznałem. - Utrzymaj Blaise'a przy życiu i przypomnij mu o cenie, jaką zapłaciłem za jego zdrowie. Musi się nauczyć współpracować z księciem Aleksandrem. To będzie ważniejsze, kiedy wszystko się skończy. Nie pozwól mu zapomnieć.

Chłopiec pokiwał głową i obaj powoli ruszyli na południe, a Kyor bez przerwy mówił cicho do potykającego się mężczyzny.

Poleciałem do pomocnej pary kolumn i uznałem, że nie będę czekać na Vyxa. Musieliśmy się przygotować, więc znów zatopiłem się w zakłęciu. Ostatni wzór wydawał mi się przerażająco skomplikowany i choć próbowałem zachować czujność, by wyczuć niebezpieczeństwo, nie mogłem sobie pozwolić na utratę koncentracji.

Księżyc wzniósł się wysoko nad kolumny, nim błyszczący klucz był gotów, doskonały w kształcie, jego srebrna powierzchnia twarda, gładka, bez skazy... gotów. Przedemną migotał portal, nie prostokątne dzieło Aife, lecz nowa para kolumn, w każdym swoim aspekcie identyczna z sześćdziesięcioma parami za mną. Między kolumnami nie było nic. Za nimi nie było nic. Wejście pozostało zamknięte, zapieczętowane starożytną mocą, a choć stworzyłem w umyśle zaczarowany klucz, nie wiedziałem, jak go użyć.

- Powiedz mi to, demonie. Zaszliśmy tak daleko. Musisz wiedzieć, co teraz.

Nadal się powstrzymujesz. Póki działamy osobno, to niemożliwe. To nasza połączona wola musi przekroczyć klucz.

- Moja wola... - Jedyna rzecz, której jeszcze nie oddałem. Chciał wszystkiego.

Nie oszukuję, żeby spełnić swoje pragnienia. To jedyna droga.

Zrobiłem to, co nie do pomyślenia, okaleczyłem się, uczyniłem przeklętym. A teraz żądał, bym zrobił ostami krok... i zaufał słowu demona, że później zdołam jeszcze wypowiedzieć choć jedno słowo i zrobić choć jedną rzecz z własnej woli.

Chcesz otworzyć bramę czy nie? To proste pytanie i prosta odpowiedź. Jeśli odmówisz... legion nie będzie miał innego wyboru, jak tylko pozostać w ciałach gospodarzy do chwili, gdy ktoś inny połączy się z jednym z nas, by zacząć wszystko od nowa. Wybieraj. Nie musisz się mnie bać.

Czy to była jego gorycz, czy moja własna, od której zaschło mi w ustach? Nic z tego oczywiście nie miało znaczenia. W chwili gdy zadał pytanie, znał odpowiedź.

- Zrób ze mną, co zechcesz.

Stało się. Niczym Suzainka wypchnięta z wszystkich narad rodzinnych w chwili, gdy jej syn wprowadził do domu nową żonę, wycofałem się w kąt umysłu i stamtąd obserwowałem pracę Denasa. Zręcznie narysował wzór światła między dwoma nowymi kolumnami i wykorzystał moją melyddę, by napęlić go mocą. Gdy utrzymał wzór w umyśle, ten przekształcił się - wirując, unosząc, zwijając wokół siebie - aż powstał otwór, czeluść równie wyraźnie niepełna, jak pusty oczodół. Wówczas z głębin naszych myśli Denas ostrożnie i starannie wyjął błyszczący klucz, po czym umieścił go w otworze, a później naszymi rękami, naszym głosem i naszą wolą przywołał błyskawicę, by go tam za pieczętowała.

Nigdy nie czułem mocy porównywalnej z tą, która w tamtej godzinie ze mnie wypłynęła. Z ciała i umysłu, głosu i rąk biła niczym grzmiąca rzeka, aż zacząłem się bać, że wraz z nią zostanie wessana moja dusza. Serce kurczyło mi się w piersi. Nie mogłem zaczerpnąć oddechu. Gdy nicość w portalu zmieniała się w nocne niebo i obcą ziemię, drzewa, wzgórze i pylistą drogę, białą w blasku księżyca, triumf demona przepęlił mnie niczym ogień pochłaniający uschnięty las.

- Na bogów nocy... oddech! - Upadłem na kolana, zrobiło mi się ciemno przed oczami, a olbrzymia ręka ściskająca moją pierś wyduszała ze mnie ostatki życia. - Pomóż mi...

Nie miałem woli, by samemu sobie pomóc. Nie wiem, czy zwrócił uwagę na krzyk, czy też sam pojął moją sytuację, ale powietrze znów zaczęło napęlić mi płuca. Sapałem i kaszlałem, rękami szarpałem pierś, zaś ucisk malał. Byłem tak pozbawiony melyddy, że nie zdołałbym przywołać nawet pyłka.

Dokonało się.

I rzeczywiście tak się stało. Niczym odbicie w idealnie nieruchomej sadzawce, cała linia kolumn podwoiła się na długość, przecinając skąpany w księżycowym blasku krajobraz trawiastych wzgórz i srebrzystych stawów. Przez bramę, którą tworzyły ostatnie dwie kolumny naszego świata i pierwsze dwie Kir'Navarrin, przepływała woń dzikich kwiatów. Wspaniały jeleni o porożu szerokim jak moja wyciągnięta ręka z leniwym zaciekawieniem podniósł głowę znad sadzawki, a dwie łanie zeszły ze wzgórza, by się napić obok niego. Tysiące jasnych gwiazd próbowały przytłumić swym blaskiem światło dwa razy większego księżyca, gwiazdy ułożone w konstelacje, które znałem, choć nie były to konstelacje oglądane przeze mnie w dzieciństwie. Brama będzie otwarta aż do świtu, gdy znów się zamknie.

Ach, Yallyne. Oglądać ten cud razem z tobą... Wizja naszej ojczyzny na wyciągnięcie ręki wypełniła mój umysł wspomnieniami jej radosnej muzyki i pięknej twarzy, błyszczącej inteligencją i dowcipem. Niemal krzyknąłem z przeszywającej udręki pożądania - przez te wszystkie lata nie mogłem jej dotknąć w sposób, który dałby jej przyjemność lub zaspokoił moje pragnienia, nie wywołując jej smutku. Za bramą kryła się prawda - czy była moją żoną albo kochanką, jak zawsze sądziłem, czy też obcą, której nie znałem, dopóki nie odnalazłem jej wśród wichrów Kir'Vagonoth, gdy śmiechem rzucała wyzwanie losowi? Niebezpieczna podróż, by poznać prawdę... gdyż kiedy przekroczę bramę, nie będę już sobą. Roztopię się w yladzie, zatone w ciele i duszy i dlatego ja... ten, który ją kochał przez tysiąc lat... nigdy nie poznam odpowiedzi, a jeśli ją odkryję, nie zdołam odpowiednio na nią zareagować. Jaka sprawiedliwość tego okrutnego świata skazuje mnie na tak gorzkie zakończenie?

Zmieszany, zdziwiony, cofnąłem się od tych druzgocących obrazów. Potrząsałem głową, jakbym chciał je wymieszać lub zasłonić innymi śmieciami unoszącymi się w mojej głowie. To cierpienie nie należało do mnie - Seyonne'a. Pożądanie Yallyne było dziełem zaklęcia, karmionym samotnością i pragnieniem dotknięcia piękna wśród pustki mojego życia. Gdy jednak odwracałem wewnętrzny wzrok od rany Denasa, pojąłem, że zrobiłem to z własnej woli. Znowm mogłem dokonywać wyborów.

Mówiłem, że nie musisz się mnie bać.

- Nigdy nie chciałem tego wiedzieć. Nie mam do tego prawa.

A jakie to ma znaczenie teraz czy będzie miało za godzinę? Prędzej czy później odkryłbyś, że jesteś tu panem. Vyx powiedział ci prawdę, bez względu na to, z którym z nas zdecydowałbyś się połączyć. To nie wasze ciała dają wam, ludziom, moc, lecz wasze dusze. A nam nie pozostawiliście żadnych. Jesteśmy tylko cieniami i niezależnie od tego, jak długo w was żyjemy, nigdy was nie posiadamy. Większość z was jest po prostu za głupia, by to zauważyć. Na nieszczęście dla mnie, ty do nich nie należysz.

- Przykro mi.

Nie potrzebuję twojej litości. Liczy się tylko, by legion przedostał się przez bramę. Gdzie jest ten przeklęty Vyx? Mamy czas tylko do świtu albo znowm będziemy musieli otwierać to cholerstwo.

Próbowałem zapomnieć o tym, co widziałem i czułem - wszedłem do krainy, która nie należała do mnie. Za plecami czekał niebezpieczny świat, o którym zupełnie zapomniałem, gdy pracowałem nad zaklęciem. A kiedy się odwróciłem, by znowm do niego wejść, na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Kyor znajdował się nie dalej niż pięćdziesiąt kroków za mną, jego ciemne włosy przykleiły się do czoła. Dyszał z wysiłku - Blaise był zaledwie

martwym ciężarem na jego ramionach - ale jego ciemne oczy wpatrywały się w bramę, błyszcząc nadzieją i podnieceniem.

Pospieszyłem w ich stronę. Znajdowałem się zaledwie dziesięć kroków od nich, gdy Kyor zatrzymał się gwałtownie, a jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie popłynęły z nich słowa. Tylko ciemna krew, ciekąca z warg i kapiąca po brodzie. Zrobił kolejny krok, ciągnąc za sobą Blaise'a, lecz mężczyzna wysunął się z jego uchwytu i opadł na ziemię. Młody Kyor upadł na Blaise'a; z jego szczupłych pleców wystawała rękojeść sztyletu.

- Nie! - Mój ryk mógłby zburzyć budowlę mniej stabilną od Dasiet Homol. Pobiegłem w ich stronę. Obracając się, wpatrywałem się w cienie wśród kolumn i próbowałem dostrzec, jaki diabeł tak skrzywdził niewinnego chłopaka. - Och, na bogów świata, nie! - Upadłem na kolana i położyłem dłonie na Kyorze, lecz nie poczułem pulsu. Tylko ciepłą wilgoć. Wszędzie. Wyjąłem sztylet z jego pleców i łagodnie przetoczyłem chłopca do siebie. Nic nie mogłem zrobić. Nic. Nie miałem nawet czasu zaśpiewać lamentu. - Zaśpiewam dla ciebie, dziecko. Na duszę mojego syna, tak zrobię.

Pospiesznie... brutalnie... odepchnąłem chłopaka na bok i przyjrzałem się Blaise'owi. Choć jego koszula również była przesiąknięta krwią, nadal oddychał. Nie widziałem żadnej rany, lecz nim zdążyłem to sprawdzić, zimny metal dotknął żyły na mojej szyi, a inne mordercze stalowe ostrze pojawiło się niebezpiecznie blisko mojego prawego oka. Najmniejszy ruch, a jedno lub drugie z nich trafi w cel. Atakujący znajdował się ze mną i szybko przycisnął mi nogi swoimi, gdy klęczałem na twardej ziemi. Miałem wrażenie, że wielkie imadło za chwilę połamie mi kończyny. Chwył Strażnika.

- Nie posłuchałeś mojej rady, co, chłopcze? - powiedział zza mojego prawego ramienia. - Musiałeś pójść i wszystko zepsuć, zmieszać się z Denasem... właśnie z nim ze wszystkich tych dumnych diabłów. Nigdy mu nie ufałem, choć chwalił się lojalnością tak wielu. Oczywiście, w przeciwieństwie do niektórych głupców, nigdy nie zawierzyłem żadnemu z nich.

Mogłem się domyślić. Człowiek, który potrafił obrabować umierającego brata Strażnika, który pomagał dręczycielom ulepszać tortury, bez wątpienia nie zawahał się również wbić nóż w plecy niewinnemu dziecku.

- Merryt.

- Ano, zgadza się. Powróciłem z pięknej Ezzarii, gdzie dostarczyłem twoją wiadomość... albo coś w tym rodzaju. - Roześmiał się. - Ty tutaj próbowałeś pozwolić diabłom otworzyć bramę i powstrzymałeś Gennoda i jego Gastaiów od walki... ale to się nie

uda. Nie przeszedłbym na drugą stronę, nie upewniając się, że będziesz o tym wiedział.

Szybko oceniłem swoje szansę przeżycia i zmiany postaci i uznałem, że są za małe, by ryzykować. Nawet gdybym właśnie nie wykorzystał resztek melyddy do otwarcia bramy, miałem niewielkie doświadczenie w zmianie kształtu, więc wolałbym nie ryzykować takiego sposobu ucieczki przed niebezpieczeństwem. Chwila spóźnienia, a będę martwy lub ślepy.

- Nie przejdiesz na drugą stronę, Merrycie. Nie pozwolę ci na to.

- Chciałeś posłać przede mną tego chłopaka i jego szalonego przyjaciela? A może wiedźmę Yallyne? Albo tego głupca Vyxa? Za późno, chłopcze. Nikt nie pokona bramy przede mną. Nie pozwolę nikomu, by odebrał mi chwałę uwolnienia Bezimiennego. Szukałem sposobu, by odpłacić tobie i pozostałym za waszą dumę... o tak, widziałem, jak na mnie patrzysz. Tak samo jak moja żona. Jak diabły. Wszyscy myśleliście, że jesteście potężniejsi, bystrzejsi, silniejsi niż Merryt, który przegrał parę walk i stał się sługą robactwa. Jeszcze wam pokażę. - Ciało Merryta się napięło. Choć panował chłód, jego morderczy chwyt był śliski od potu i śmierdział nerwowym podnieceniem. Jego serce uderzało mnie w plecy.

- Chcesz zniszczyć świat.

- Jeśli tak się stanie, to i dobrze. Pod warunkiem że żaden Ezzarianin ani rai-kirah nie przeżyje. Ale domyślałam się, że Bezimienny ma swoje plany. Powinien być wdzięczny temu, kto okazał się wystarczająco odważny, by go uwolnić.

- Chcesz zostać bogiem, prawda?

Nie podobało mu się, kiedy z niego szydziłem. Przycisnął ostrze do mojej szyi, aż poczułem, jak pęka skóra, pozostawiając linię ognia na moim gardle.

- To nie powinno cię obchodzić. Bo widzisz, sprowadziłem tu kilku takich, którym nie spodoba się to, co ze sobą zrobiłeś. Powiedziałem im, że cię schwytam i upewnię się, że żaden z diabłów nie będzie nam przeszkadzać. Możecie się sobą zajmować, podczas gdy ja ruszę szukać szczęścia. W ten sposób ani ty, ani inne diabły za mną nie podążycie. - Uważał się za niezmiernie sprytnego.

- I dlatego uznałeś za konieczne dokonanie po drodze morderstwa? Jaki tchórzliwy bydlak wbija nóż w plecy dziecka?

- Ja? Zabiłem tego biednego dzieciaka? Nie, chłopcze. Na mnie nie ma krwi, a kto trzyma zabójczy nóż? - Wesoły szept Merryta wlewał się do mojego ucha jak trucizna. Później zawołał głośniej, nad moją głową. - Tutaj, pani. Jeśli kiedykolwiek wierzyłaś w prawdziwe zepsucie, ono czeka tu, by zranić twój wzrok. Upuść nóż, demonie!

Za leżącymi banitami pojawiły się światła - nie latarnie ani pochodnie, lecz wyraźne białe światła, jakie czarodzieje przywołują na czas nocnych wędrówek. Zastępy Ezzarii. A ja

klęczałem w kałuży krwi dziecka z ostrzem, które właśnie wypadło z zakrwawionej dłoni, a w moich oczach płonęła zdrada.

W głowie pojawiły mi się tysiące słów - błagania o posłuch, twierdzenia o niewinności przynajmniej w kwestii tego morderstwa, groźby zagłady, ostrzeżenia o tym, jak zostali oszukani, modlitwy, by zabili mnie szybko, bym nie zdążył się zastanowić nad konsekwencjami swoich błędów. Ale kiedy z ciemności wyłonił się szereg mężczyzn i kobiet, zabrakło mi słów. Widziałem wśród nich tylko jedną osobę - smukłą, ciemnowłosą kobietę stojącą sztywno pośrodku i noszącą na czole cienką złotą obręcz - a z moich ust spłynęły tylko trzy słowa:

- Wybacz mi, ukochana.

Nie mogła usłyszeć tego szeptu. A występki, o rozgrzeszenie których błagałem, były tak mało znaczące w porównaniu z wydarzeniami tej nocy, że pewnie nawet ich nie pamiętała: mój okrutny gniew, fakt, że nie chciałem jej wysłuchać, że jej nie zaufałem, nie zastanowiłem się nad tym, że jej cierpienie i dylemat raniły o wiele głębiej niż moja zraniona duma i strzaskane nadzieje. Że ją obwiniałem, iż marzenia niewolnika o powrocie do życia pełnego piękna, sensu i wszechogarniającej miłości nie mogły się spełnić. Że obwiniałem ją o własną chorobę duszy.

Poruszając się niczym w świecie snów, gdzie dźwięki zagłusza bicie serca, a wszystko dzieje się w spowolnionym tempie, patrzyłem, jak blada twarz mojej żony się odwraca, a jej dłonie unoszą, jakby chciała odepchnąć obraz, którego nie mogła znieść. Podtrzymało ją kilka osób - Catrin, wargi zaciśnięte, wstrząśnięta twarz, zimna Talar, kiwająca głową, jakby spełniły się jej oczekiwania, różowa na twarzy Maire, wykrzykująca do niebios z wściekłością i jeszcze jedna... Choć niespodziewałem się, że będzie inaczej, odczułem to niczym cios, gdy ujrzałem Fionę stojącą wśród innych kobiet i wpatrującą się w leżącego Kyora. Ona również wspierała królową, lecz na mnie nie patrzyła. Ona już widziała.

Ysanne odepchnęła ich ręce i gestem wezwała innych z tłumu.

- Nevyo, zajmij się rannymi. Pozostali róbcie tak, jak wam rozkazałam. Szybko. - Najmniejsze drżenie głosu nie kalało jej wyważonych rozkazów.

Niska, pulchna uzdrowicielka pospieszyła do Blaise'a. Zawołała o pomoc i kazała go ostrożnie przenieść - niewielkie pocieszenie to świadomość, że on wciąż oddycha. Ale już nic więcej nie zobaczyłem, gdyż grupka innych pospieszyła w stronę Merryta i mnie, zasłaniając mi widok. Pięciu nosiło oznaki strażników świątynnych, a za nimi podążyli Caddoc i Kenehyr, otoczeni potężnym zaklęciem... tak znajomym...

Poszukiwacz i Pocieszyciel. Bogowie, miejcie litość... Zamierzali wygnać ze mnie demona!

- Nie możecie tego zrobić! - krzyknąłem, próbując dosięgnąć Ysanne, gdziekolwiek stała. - Nie wolno wam... - Nóż Merryta wbił się głębiej w moje gardło, krople krwi spływające z piekającej ranki zmieniły się w strumyk. - Zostałem połączony w krainie demonów, za pełną zgodą... - czubek drugiego noża podrapał mi gałkę oczną - ...nie ma powrotu.

- Przestań, Strażniku - nakazała Ysanne, pojawiając się w moim polu widzenia wraz z Fioną, Talar i Catrin. - Poleciłam ci, byś nie ranił tej ofiary. Miałeś mu jedynie uniemożliwić krzywdzenie innych. - Ofiara. Nie przyjaciel, nie kochanek, nie mąż. Nadal nie chciała przyjąć prawdy, a ja nie mogłem na to pozwolić.

- Nie jestem ofiarą. Nie można...

- Ta wypaczona istota jest niebezpieczna ponad wszelkie wyobrażenie - rzucił Merryt, z trudem panując nad sobą, a jego dłoń drżała. Na ten widok znieruchomiałem. - W jednym tylko mówi prawdę. Nie wygnasz z niego demona. Połączeń dokonanych za portalem nie da się rozdzielić. Seyonne miał nadzieję, że wytrzyma, kiedy diabły na niego ruszą, ale zabrakło mu sił. Popatrz, do czego go tu zmusili. Młoda Aife może ci powiedzieć, jak bardzo cenił tę dwójkę, a teraz zabił ich jak bestia.

Ysanne spojrzała na Fionę, a młoda kobieta pokiwała głową.

- Jak ci mówiłam, pani. Postanowił odkryć, jak im pomóc. To właśnie go do tego doprowadziło.

- Nie obchodzą nas motywy jego postępowania - wtrąciła jadowitym tonem Talar. - Kierowało nim wyłącznie zepsucie. Plugastwo. - Talar wszystko widziała wyraźnie. Jej dumna nienawiść się nie zachwiała, gdy na nią spojrzałem.

Merryt znów wybuchnął, a jego udawany gniew wyglądał całkiem przekonująco.

- Człowiek, którego znasz, jest stracony, królowo, utonął w płaszczu tego diabła, w wiecznej udreće! Uprzedziłem cię, jakie męki go czekają. Jedyne szybka śmierć uwolni go z tego straszliwego więzienia. Pozwól mi go zabić, a potem ustawmy blokadę, by utrzymać diabły z dala od tego miejsca. Tego właśnie chciał Seyonne. Oddał wszystko, by tego dokonać. Nawet walcząc z szaleństwem, pragnął powstrzymać diabły, by nie przedostały się na drugą stronę.

Czy żył kiedyś człowiek równie sprytny jak podły Merryt? Oczekiwałem, że pobiegnie do Ysanne, opowiadając o moim długoletnim zepsuciu i układach z demonami, lecz miast tego uczynił ze mnie szalonego bohatera... powołując się na Fionę jako świadka

mojego upadku... i moje czyny jako dowody. Przeklęty łotr rozpoznał w Ysanne kobietę zdolną zabić własne dziecko, by uratować swój lud... i zamordować własnego męża, by uchronić go przed męką.

- Ukochana, nie...

Gorący strumień krwi zalał moje oko i popłynął po twarzy, gdy Merryt czubkiem noża rozerwał mi powiekę.

- Zamilcz, diable, jeśli cenisz to ciało, które ukradłeś naszemu przyjacielowi. Nie pozwolę, by twoje wypaczone słowa skrzywdziły królową.

- Strażniku, przestań! Rozkazałam ci, byś go nie krzywdził. Choć dziękuję za twoją troskę, w tej kwestii postąpimy tak, jak ustaliłam.

Choć raz błogosławiłem żonę za jej królewski upór. A co miałem począć?

Strażnicy rozwijali liny, a siwowłosy Kenehyr przelewał płyn z jednej wielkiej butli do drugiej, potrząsając mieszanką. Yammidia, eliksir nasenny, który w takiej ilości powaliłby konia. Ysanne wciąż zwracała się do Merryta.

- Ponieważ muszę zająć się tą ofiarą, ty pokażesz kafyddzie, jak ustawić blokadę tak, jak postanowiliśmy. Jeśli rai-kirah są tak blisko jak utrzymujesz, mamy mało czasu. Kafyddo!

- Wskazała na kogoś za sobą.

Kafydd... nie imię, lecz tytuł - „ta, która czeka”, następczyni królowej. Nie miałem pojęcia, że Ysanne wybrała już następczynię, była taka młoda. Jeszcze bardziej zaskakująca okazała się tożsamość tej, która postąpiła do przodu. Fiona.

Tak wiele się wyjaśniło. Roześmiałybym się, gdyby było to możliwe. Nic dziwnego, że zachowywała taki upór. Sprawdzić młodą kafyddę, każąc jej obserwować męża obecnej królowej... Kto byłby bardziej pracowity, bardziej upiornie dokładny? Nie wolno jej było okazać wyrozumiałości, gdyż Ysanne zobaczyłaby to i uznała, że jest słaba. Nie mogła być zbyt gorliwa, gdyż oznaczałoby to brak równowagi albo zbyt wielkie pragnienie objęcia przyszłej pozycji. Byłem wyzwaniem. Ryzykiem. Polem ćwiczeń. Byłem jej mentorem, lecz nie w sposób, w jaki uczyłem młodych Strażników czy nawet Aleksandra. Nauczyłem Fionę wszystkiego o zepsuciu, o wyrafinowanym złu, o błędnych i głupich sądach. By chronić bezpieczeństwo Ezzarii, musiała zrozumieć, kim jestem. Zachowałem odrobinę wiary, że podczas naszych wspólnych podróży Fiona poznała trochę prawdy, lecz kiedy usłyszałem, że ma zostać królową Ezzarii, ta złudna nadzieja wylądowała na stercie odpadków razem z całą resztą.

Spojrzyj w lewo, Wygnańcze. W moich myślach pojawił się nowy głos, ostrzejszy niż ból oka. Podczas gdy dwóch strażników świątynnych odniosło Kyora na bok, inny mężczyzna

ukląkł przy mnie, trzymając sznur, gotów mi związać ręce. Spojrzałem w jego twarz, i to nie krew zalewająca mi oczy sprawiła, że wokół jego dłoni ujrzałem migoczące niebiesko-fioletowe światło. Zerknął na mnie przebiegle i wyszczerzył się w uśmiechu, a w jego oczach zamigotał niebieski blask. *Tylko trochę się spóźniłem.* Jego słowa brzmiały równie wyraźnie, jak słowa Denasa. *Poruszenie kregów i pouczenie ich tak, jak sobie życzyłeś, nie było łatwe, Wygnać.*

Ktoś za mną próbował mi związać nogi, a ja poświęciłem chwilę, by sprawdzić melynę. Zdołałbym podpalić sznur, ale grubszej liny bym nie rozerwał. Jeszcze przez jakiś czas musiałem polegać na innych umiejętnościach.

Jeśli, mój przyjacielu, uda ci się przez jakiś czas zająć Merryta i nie pozwolisz mu dotrzeć do bramy, może uda mi się skłonić legion do szybkiego działania. I to zanim twoim towarzyszą uda się nam przeszkodzić, bo inaczej wszyscy będziemy mieli kłopoty.

Zająć go... tak właśnie zrobię. Zatrzymam go lub zabiję. *Przeprowadź ich, powiedziałem. Idź.*

Ostrożnie wsunąłem rękę do kieszeni płaszcza, gdzie wepchnąłem jedno z ubrań Strażnika ze skarbca Merryta. Szybko owinałem tkaninę grubą warstwą wokół dłoni. Kiedy to zrobiłem, zamknąłem zdrowe oko, wyobraziłem sobie pozycje bliźniaczych noży Merryta i żałując, że nie mam melynę, by stworzyć coś lepszego, ryknąłem dziko. Merryt był wyszkolonym Strażnikiem, a choć od dawna nie wykorzystywał swoich umiejętności, nie stracił ich. Sztylety nawet nie zadrżały z zaskoczenia, lecz ja poruszałem się szybko i chwyciłem ostrze przy oku osłoniętą prawą dłonią, lewą zaś uniosłem do wnętrza jego ręki, by chwycić go za nadgarstek i odsunąć drugie ostrze od szyi. Kiedy już uwolniłem się od bezpośredniego zagrożenia, oswobodziłem nogi, odepchnąłem wyciągnięte ręce strażników świątynnych i wbiłem tył głowy w twarz Merryta. Mając nadzieję, że taki cios oszołomi łotra, puściłem jego dłonie, uchyliłem się przed nożami, które teraz celowały w moją pierś, i przetoczyłem się na bok. Z bijącym sercem zerwałem się na równe nogi i przykucnąłem, czekając, aż wściekły Strażnik się do mnie zbliży.

- Dopadniemy cię, diable - warknął Merryt. Na środku jego czoła widniał krwawy siniec.

- Tak jak zabiłeś tego chłopca? Mnie też wbijesz nóż w plecy, zanim powiem, kim jesteś?

- Oni widzą, kto z nas ma krew na rękach, chłopcze, i który z nas nosi w sobie demona. To ty jesteś plugastwem.

Oczywiście, miał rację. Co za paskudna sytuacja. Chciałem mówić dalej, chciałem przekonać Ysanne i innych do swoich prawd. Chciałem chwycić Merryta za gardło i zniszczyć go za to, co zrobił i co zamierza. Ale kiedy zdradziecki Strażnik i ja krążyliśmy wokół siebie jak walczące kajeety, wiedziałem, że to nie rozwiąże moich problemów. Ysanne widziała we mnie demona, nie człowieka. Towarzyszyło jej wielu Ezzarian. Jeśli się nie przeobrażę i nie odleczę w ciągu jednej chwili - co było niemożliwe przy tak uszczuplonych zapasach melyddy - powalą mnie, wykorzystując czary, liny, broń i eliksiry. Tak czy inaczej, Merryt odejdzie. Nigdy nie pozwolą mi go zabić. Kiedy zginę lub zostanę unieruchomiony, Ezzarianie zablokują bramę i demony będą musiały zmusić swoich derzhyjskich gospodarzy, by pozbyli się intruzów. To oznacza rzeź. A Merryt zyska mnóstwo czasu, by uwolnić niebezpieczeństwo z Tyrrad Nor.

Nie, dowód mojej „niewinności” nie był najważniejszy. Liczyło się wycucie czasu - musiałem opóźnić Ezzarian i przeszkodzić Ysanne. Może będą korzystać z jej mocy, by ustawić blokadę - choć jest ich tak wielu, trzeba znacznej melyddy, by ich połączyć i powstrzymać demony. Ale jeśli ją zmuszę, by się mną zajęła, i upewnię się, że Merryt zechce wziąć w tym udział... Plan wydawał się wąty, ale nic innego nie potrafiłem wymyślić.

- Jesteś słabeuszem, Merrycie - zawołałem. - W Kir'Vagonoth opowiadają, że poddałeś się Rudai drugiego dnia uwięzienia. Czy sprawiło to pierwsze uderzenie bata? A może sen w ciemnościach? Jakież to niewygody dla Strażnika przyzwyczajonego do łatwych bitew... a wtedy jeszcze nie było Merryta, który nauczyłby dręczycieli, jak torturować uwięzionego Strażnika. Może powinienem ci pokazać, co ja musiałem znieść? - Skoczyłem na Merryta, uwolniłem trochę gniewu starannie wymierzonymi ciosami w szczękę i brzuch, po czym pozwoliłem, by mnie z siebie zrzucił. Przetoczyłem się na bok i zerwałem na równe nogi, chwytając po drodze zakrwawione ostrze, które wyjąłem z pleców Kyora. - Nie chcesz ze mną walczyć, słabeuszu? A może się boisz, bo nie masz przy sobie kobiety, którą mógłbyś obwiniać, kiedy przegrasz? Twoja żona... twoja Aife... to wszystko jej wina, prawda?

- Milcz, robaku. Nie waż się mówić o mojej żonie swoim demonicznym językiem.

Przez jakiś czas Ezzarianie trzymali się z dala. Może obawiali się demona, a może mojej melyddy i wyszkolenia. Wołałem myśleć, że trudno im było uwierzyć w historię Merryta, kiedy zobaczyli mnie jako człowieka z krwi i kości. Byłem tym, którego znali od tak dawna, tym, który zabrał ich z powrotem do Ezzarii, mężem królowej, przyjacielem lub uczniem, nauczycielem lub bratem tak wielu z nich. Ale to nie potrwa długo, jeśli zobaczą moje oczy i usłyszą demoniczną muzykę, i uświadomią sobie, że nie mogą ich usmażyć

błyskawicą, jeśli mnie dotkną. Gdy znów zacząłem krążyć, kilku mężczyzn ruszyło do przodu, a ja czekałem w gotowości. Ale to Merryt ich odesłał.

- Cofnijcie się. Sam zajmę się tym diabłem.

- Wielki Merryt, zaginiony Strażnik. Tak pewny siebie - judziłem. - Czy jest tu jakiś archiwista? Opowiedzcie mi historię o starożytnym bohaterze Merrycie. W trakcie nauki jakoś na nią nie natrafiłem.

Wymieniliśmy kilka złośliwości i podrapaliśmy się jak niegrzeczni chłopcy - zaś krąg Ezzarian stał między nami a Ysanne. Gdy obchodziliśmy się dookoła, uchylaliśmy się, przetaczaliśmy i walczyliśmy, tłum się przesunął, a ja zacząłem szukać w nim luki. Nie można dostać się do Ysanne, ale pozostali... Wyczułem odpowiedni moment i już po chwili trzymałem w ramionach Fionę, przyciskając zakrwawiony nóż do jej piersi.

- Och, mój dobry i wierny psie strażniczy, będziesz królową - wychrypiałem jej do ucha. - Czemu mi o tym nie wspomniałaś? Myślałaś, że cię za to zabiję?

Odciągnąłem szczupłą postać dalej od tłumu, nie spuszczać oka ze skrzywionego Merryta.

- Seyonne, nie rób tego - syknęła Fiona przez zaciśnięte zęby i spróbowała mi się wyrwać.

- Dalej... - Mocniej ścisnąłem szarpiącą się kobietę, mając nadzieję, że przerwie, zanim inni podejdą na tyle blisko, by podsłuchać naszą rozmowę - ...zamilcz i słuchaj. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz... jak bardzo brzydzisz się tego, kim jestem... błagam cię, miej litość nad Blaise'em. Na miłość świata, na wszystko, w co wierzysz, przeprowadź go przez bramę. Pozwoliłaś, by twoje oczy cię oszukały, Fiono. Myśl. Na bogów, gdybyś tylko pomyślała...

- Nie zostałam oszukana. Doskonale wiem, co widzę. - Powiedziała to wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli.

Może pewnego dnia wszystko sobie ułoży, ale najwyraźniej nie mogłem liczyć, że wydarzy się to już wkrótce. Jej głowa była twardsza niż kamienne kolumny. W myślach przepraszając Blaise'a, przystąpiłem do realizacji swojego planu.

- Teraz przez jakiś czas możemy porozmawiać jak równy z równym - oznajmiłem, a wszyscy zesztynieli, wstrząśnięci. - Do niczego nie dochodzimy. Chcecie przeszkodzić moim przyjaciółom, by nie przeszli przez bramę... popełniacie poważny błąd... a niektórzy z was pragną uratować tę ludzką duszę, którą opanowałem. Ostrzegam was teraz, że jeśli będziecie się przy tym upierać, ściągniecie na siebie gniew rai-kirah. - Nie ma to jak odrobina prawdy, by brzmieć przekonująco. - Bez wątpienia wasi zwiadowcy zauważyli obozy

Derzhich mniej niż pół ligi stąd. Wyślijcie gońca i dowiedzcie się, co dręczy wojska Aleksandra tej nocy. Jeśli ustawicie blokadę, zdradzę legionom Derzhich, kto odpowiada za ich udrękę. Wiesz, moja królowo, że Aleksander uwierzy temu, który objawi się mu w tym ciele. I dlatego możecie być pewni, że wszelka łaskawość, jaką wam okazano, szybko przeminie. Ezzarianie przestaną istnieć. Wolałbym uniknąć takiego bałaganu i nie pozwolić wam wtrącać się do spraw, których nie pojmujecie.

Ysanne odepchnęła na bok strażników i podeszła do mnie, blada i dostojna. Ani śladu łagodności.

- Proponujesz nam umowę, demonie?

Jej bliskość sprawiła, że z trudem dobywałem z siebie głos. Jej fiołkowe oczy spoglądały na mnie odważnie... z pogardą... z obrzydzeniem. Cóż ja, na bogów, robiłem... Stałem przed królową Ezzarii, miłością mojego życia... z nożem uniesionym do piersi kobiety, grożąc zagładą świata? Czy jakiś człowiek tak dokładnie wcielił w życie swoje koszmary? A jednak moje wargi poruszały się dalej. Miałem tak mało czasu.

- Jeśli się po wstrzymacie i przepuścicie rai-kirah do ich ojczyzny, nie powiem Derzhim, że to wy spowodowaliście ich problemy, i pozwolę temu człowiekowi... Seyonne'owi... samodzielnie podejmować decyzje. Wybór należy do was.

Nawet się nie zawahała.

- Nie zawrzemy z tobą umowy. Demony nie mają prawa wchodzić do dusz ludzi na tym świecie... Mój lud przysięgał, że do tego nie dopuści... a ty nie możesz mnie przekupić jednym życiem, niezależnie od tego, do kogo należy. Ten, którego wzięłeś, pojmuję to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Rzeczywiście - szepnąłem. Spodziewałem się, że się nie podda. - W takim razie ruszam do księcia Aleksandra. Nie zdołacie mnie zniszczyć. Znam wasze imiona i wasze tajemnice. Nie ma wśród was nikogo, kto mógłby rzucić mi wyzwanie. Przeżyję, niezależnie od tego, co zrobicie z tym ciałem, i upewnię się, że Ezzaria nie zazna chwili spokoju. Spytajcie tę kobietę o mozaikę Balthara. Spytajcie ją, kto dzierży klucz do końca świata. - Popchnąłem Fionę z powrotem w grupę Ezzarian i zaprosiłem Merryta do dalszej walki. - Chodź, tchórze, skończmy to.

Kiedy wypowiadałem te straszliwe groźby, trzy pasma barwnego światła pojawiły się w pobliżu bramy... i powoli... majestatycznie... przez nią przeszły. Ludzkie oko nie zdołałoby ich zobaczyć. *Och, na bogów nocy i dnia...* Z trudem powstrzymywałem się, by nie popędzić w ich stronę. Nadal jednak musiałem odgrywać swoją rolę.

- Zajmę się nim, królowo - oznajmił Merryt, plując mi pod nogi. - Zginie z mojej ręki.
- I znów zaczęliśmy się siłować. *Zewrzeć się, rozdzielić, nie za bardzo. Niech zdobędzie punkt. To zwiększy jego pewność siebie.* Ile czasu zajmą towarzyszom Ysanne przygotowania?

Niewiele. Zdawałem sobie sprawę, że Caddoc i Kenehyr pracują niestrudzenie za moimi plecami. Choć byłem rozproszony, wyczuwałem ich wzrastającą moc. Wkrótce zacząłem powłóczyć nogami, moje ręce były niczym z ołowiu. Pętla sznura pochwyciła jedną z moich dłoni, a ja z trudem wezwałem moc, by ją przerwać. Inna groziła, że podetnie mi nogi, póki jej nie podpalę. Moje wysiłki wydawały się żałosne.

- Jesteś przebiegłym złodziejem, Merrycie - zawołałem. - Gwałcicielem bezbronnych i zabójcą dzieci. Boisz się stawić czoła prawdziwemu wojownikowi. Boisz się stawić czoła rai-kirah. A ja jestem twoim najgorszym koszmarem, bo jestem oboma na raz. - Potknąłem się i upadłem, czując, jak otacza mnie ciężki płaszcz zaklęcia. Czyjeś ręce chwyciły od tyłu moją głowę i ramiona i wlały mi do gardła rzekę lepkiego, gorzkiego płynu.

Gdy się nim krztusiłem, Merryt stanął nade mną, a zakrwawione bliźniacze noże w jego dłoniach zadrżały.

- Plugastwo.

Zastanawiałem się, czy nie wykorzystać ostatnich świadomych słów, by poprosić kogoś, żeby nie pozwolił mu poderznąć mi gardła, ale miast tego zdecydowałem się do końca ciągnąć swoją grę.

- Nie посыłaj do mnie swoich młodziutkich Strażników, Catrin. Zjem ich na śniadanie i wypluję kości, wydłubując spomiędzy zębów ich jaja. Szkoda, że nie masz kogoś, kto spojrzalby w twarz przeciwnikowi, zamiast podkradać się od tyłu. Szkoda, że dysponujesz tylko dziećmi i jęczącymi tchórzami. - Na mojej piersi zacisnęła się pętla, przewracając mnie na plecy. Niczym głodne pająki owinęli mnie sznurami i zaklęciami, a gorzka vammidia płynęła moimi żyłami niczym rzeka błota. - Ten „Strażnik” powiedział nam swoje imię... Błagał nas, byśmy wzięli jego duszę... Dali mu moc. Nie chcieliśmy go. Nawet rai-kirah. - Z trudem formułowałem słowa. - Wypróbuj go... Zobacz, czy wypełni obowiązek Strażnika, czy też spróbuje uciec.

- Unosiły się nade mną twarze - oszołomiona Catrin, Ysanne, pełna chłodu, wyszczerzony Merryt. Fiona przepchnęła się między nimi i uklękła przy mnie, sprawdzając więzy.

- Nie mamy czasu - stwierdziła Ysanne, odwracając się. - Fiona przygotowuje blokadę, a ja zajmę się tą sprawą. Merrycie, powiedz jej, czego potrzeba, by zamknąć drogę demonom.

- Talar, ty staniesz po prawej. Maire po lewej. Gansard... - Odeszła, wydając niekończący się ciąg rozkazów.

Oczywiście, to Ysanne będzie tkąła. Była najpotężniejszą spośród Aife i знаła mnie lepiej niż ktokolwiek na świecie, więc mogła szybko utkać portal i sprawić, by stał się wyjątkowo mocny. Co jej powiem, gdy poczuję ją w sobie? *Ukochana...*

Ktoś łagodnie zamknął mi powiekę, gdyż wpatrywałem się w płomienie pochodni i niewyraźne twarze, nie mogąc sam jej opuścić. Myślę, że to była Fiona. Ostatnim, co dostrzegłem, zanim nadeszła ciemność, było odbicie mojej twarzy w jej twardych czarnych oczach - fioletowy znak niewolnika na lewym policzku, zakrwawione oko, niebieski ogień...
Plugastwo.

Rozdział 38

Złocista błyskawica przecięła ciemność. Powietrze było gęste i wilgotne, a śmierdziało tak, jakby ktoś podpalił dół na odpadki, by zabić szczury. Deszcz. Wszystko czekało na deszcz. Poruszyłem się we śnie... i uświadomiłem sobie, że choć mam zamknięte oczy, już nie śpię. Moja głowa spoczywała na rękach, owiniętych jakąś grubą, szorstką tkaniną, więc złote błyski nie były błyskawicą, lecz czymś w mojej głowie. Może coś stało się moimi oczami albo to pozostałości nieprzyjemnego snu. Nie chciałem o tym myśleć. Co mnie obudziło - przyzwało z krainy snu? Przyzwało...

- Wszędzie wokół mnie ciągnęły się skały - jaskinia, ciasna, duszna i czarna jak smoła, poza złocistymi błyskami, które nie znikły, gdy otworzyłem oczy. Wyprostowałem się. Wydawało się, że zajęło mi to ogromnie dużo czasu, gdyż wciąż obijałem się o ściany i sklepienie jaskini. A smród... W głowie mi się kręciło. Gdzie była góra, a gdzie dół? Przed sobą widziałem smugę szarego światła. Nie próbowałem już usiąść, lecz zacząłem czołgać się w stronę blasku.

- Jestem Strażnikiem przysłanym przez Aife, bicz na demony, by wyzwać cię do walki o to ciało! *Hyssad!* Odejdź! Ono nie należy do ciebie.

Słowa rozbrzmiewały wyraźnie od strony plamy światła - wejścia do jaskini. Słowa... straszliwe słowa, które otarły moją skórę do żywego, które huczały w uszach niczym dźwięk trąb, które sprawiły, że wnętrzości ścisnęły się z obrzydzenia... z wściekłości. *Bezczelny żebrak. .. Wzywać mnie...*

To nie tak. To wszystko nie tak. Zawahałem się tuż przed blaskiem. Dlaczego te właśnie słowa tak bardzo mnie rozwścieczały... bolały? Należały do mnie. Były zapisane w mojej duszy ogniem i krwią. A jednak głos był tak młody, tak odważny, a ja wcale nie czułem się odważny, a już z pewnością nie młody. Czułem się chory. Smród... złote światło, które przeszkadzało mi w widzeniu. Chciałem przetrzeć oczy, pod powiekami miałem tyle piasku, jakbym właśnie przeszedł przez pustynię Azhaki, ani razu nie mrugając. Kiedy jednak sięgnąłem do oczu, zobaczyłem, jak na ziemi przede mną coś się rusza... szpony, olbrzymie, mordercze, ostre jak brzytwa szpony, ledwo widoczne w blasku wejścia do jaskini.

Wycofałem się szybko i znieruchomiałem, mając nadzieję pozostać niewidocznym. Przed jaskinią szumiał wiatr, niosący ze sobą zapach popiołów.

- Nie ukrywaj się przede mną, bestio. To miejsce nie należy do ciebie. To życie pełne siły, honoru i poczucia obowiązku nie należy do ciebie. *Hyssad.*

Usłyszawszy raniące słowo, zaryczałem, a w tej samej chwili napastnik musiał odkryć moją kryjówkę, gdyż gdy krzyknąłem, jaskinię wypełnił ogień. Rzuciłem się do otworu i w końcu udało mi się wyprostować... i odkryłem, że wcale nie jestem tym, czego się spodziewałem. Skrzydła... potworne, pokryte skórą kostne wyrostki... i szpony... również moje, nie ręce, lecz szpony zdolne chwycić skały i zrzucić je na nieświadome głowy, naostrzone na głazach i gotowe rozcinać brzuchy bydła, jeleni lub jęczących ludzkich wojowników. Rozciągnąłem ramiona i długą szyję i znów zaryczałem. Z moich ust wystrzelił płomień, pozostawiając ogniska w szarym pustkowiu.

Nim jeszcze się upewniłem, jakie części ciała posiadam, ktoś próbował mnie pozbawić jednej z nich. Poczułem przeszywające ukłucie w prawym boku. Z wściekłością machnąłem prawym skrzydłem w stronę tego kogoś tak gwałtownie, że rozległ się gwizd powietrza. Coś małego uciekło przed ciosem i ukryło się za kamieniem, a ja nie myśląc wiele spaliłem ten kamień.

Jeśli nie masz zamiaru zabić tego Yddrassa, to radzę ci, byś się opanował. Zirytowany głos rozbrzmiewał w moim wnętrzu. Też bym go spalił, gdybym tylko mógł. Ryknąłem ze złości i szponami szarpnąłem suchą ziemię. Spróbowałem uczynić cię niewrażliwym na ciosy, a nie na inteligencję. Wiedziałem, że szybko się za ciebie zabiorą, a że ich łotrostwo tak bardzo zmieszało twoje ciało i umysł, bałem się, że nie,,zdołasz się poruszyć, gdy zostaniesz zaatakowany. Jeśli zabiją to ciało, obaj będziemy martwi. Rozumiesz? Potrafisz to pojąć?

Kolejny kłujący ból, tym razem z lewej. Próbowałem chwycić napastnika szponami, lecz nie trafiłem, gdyż uchylił się i uciekł.

Leć, głupcze. Unoś się nad ziemią, aż zaczniesz myśleć.

To wydawało mi się pierwszą rozsądną sugestią. Wszystko było takie powikłane. Uderzyłem ciężkimi skrzydłami i odepchnąłem się od ziemi, unosząc się do lotu z wdziękiem gęsi niosącej prosię. W cienkich szarych chmurach było chłodniej, a smród tak nie dokuczał. Krążyłem, nie chcąc oddalać się od jaskini, przyciągany do tego brzydkiego, niewygodnego miejsca, choć nie wiedziałem dlaczego.

To przez wezwanie. Wykorzystywałeś je setki razy. Znasz jego efekty. Nie możemy mu się oprzeć, a przywiązuje nas do miejsca wybranego przez Yddrassa. Nigdy nie pojmowałem dlaczego i uważałem to za gorzką ironię, że pandye gash odkryli jakieś magiczne słowo, przed

którym nie mogliśmy uciec, choć sami go nie znaleźliśmy. Ale ty... twoje teorie... jeśli jesteśmy dwoma częściami całości, to może to wcale nie jest magia. Może słyszymy wezwanie ludzkiego ducha... głos nas samych... i temu właśnie nie potrafimy się oprzeć. Choć nie podoba mi się myśl, że jestem tylko odrzuconym strzępem kogoś innego.

Stopniowo, w miarę jak monologował dalej, chłodny wiatr zaczął oczyszczać mój umysł. Spojrzałem w dół na zwęgloną pustkę. Niekończący się las poczerniałych drzew, suchych, kruchych, połamanych, nie których powalonych, innych wciąż stojących i wskazujących oskarżycielsko na szare niebo. Palety czerni i szarości nie rozjaśniał ani jeden liść, ani źdźbło trawy, ani jeden ślad zieleni. Ziemię pokrywała gruba warstwa popiołu, wystające kamienie były niczym brudny szkielet w grobie, poplamiony przez własne rozkładające się ciało. Między dwoma pagórkami ziemię przecinała głęboka blizna, wysuszone dno martwej rzeki, której niniejsze dopływy wyglądały jak zmarszczki na twarzy starej kobiety pustyni. Nawet niebo miało taki sam ponury szary kolor. Przerazające miejsce.

Nie chciałbym cię naciskać, ale wkrótce będziesz musiał podjąć decyzję, co zrobić z tymi Yddrassami. Jest ich co najmniej trzech. Rzeczowy ton klócił się z wagą wiadomości.

Próbowałem pomyśleć. *Yddrassi... Strażnicy.* Czemu miałem się martwić trzema Strażnikami? Spojrzałem w dół na zniszczony krajobraz, który zupełnie nie przypominał żadnych znanych mi okolic, i pierwsza część układanki znalazła się na swoim miejscu. Znajdowałem się za portalem. Jak komuś udało się przenieść mnie za portal bez mojej wiedzy? Niewyraźne wspomnienia nocnej walki, sznurów, czarów, eliksirów... *Na bogów nocy! Kim jestem? Gdzie jestem? Śnić? Słodka Verdonne, niech to będzie sen.*

Rai-kirah nie śni. Wiedziałaś o tym? Wewnętrzny głos wił się w moich myślach jak wąż.

Denas.

To imię już nie ma znaczenia. Nigdy nie miało. To tylko kwestia komfortu. Bardzo niewygodnie jest istnieć tysiąc lat bez imienia. Czy zaczynasz pojmować?

Znów przyjrzałem się pełnemu dymu niebu i zwęglonemu lasowi. *To moja własna dusza.*

A oni wysłali niejednego, lecz trzech wojowników, by zabili rai-kirah, który tu zamieszkuje...

...który jest mną...

...a jeśli im się uda, ty/ja/my będziemy martwi. Nie ma możliwości rozdzielenia. Jak widzisz.

Nawet po tym wszystkim nie do końca wierzyłem, że byliśmy nierozdzielni. Jedna istota. Na zewnątrz i wewnątrz, teraz i na wieczność... tak długo, jak długo mogła trwać

wieczność, skoro Ysanne postanowiła nas rozdzielić. Założyłem, że to Denas podejmie walkę, wykorzystując moją wiedzę i umiejętności. To on był demonem. Intruzem. W najgłębszej głębi duszy ufałem, że ten koszmar się skończy, a któregoś dnia powrócę jako Seyonne, i tylko Seyonne. W końcu przeżyłem śmierć nadziei, jaką była niewola, kiedy wydawało się to niemożliwe, a teraz sytuacja bardzo przypominała tamte czasy. Byłem wojownikiem, który poddał się tylko na chwilę, zakładając, że jakimś sposobem uda mi się powalić wroga i uwolnić. Ale kiedy odkryłem, że sam jestem swoim demonem, nie mogłem się już dłużej oszukiwać. Jak to się zdarzało za każdym razem, gdy uważałem, że poznałem ostateczną głębię rozpacz, wychodziłem za zakręt i odkrywałem, że droga nadal prowadzi w dół.

Bogowie, miejcie litość... co ja narobiłem?

Zatoczyłem jeszcze jeden krąg i wylądowałem na kamiennym występie zasłaniającym jaskinię, w której ukrył mnie Denas. Jedną myślą zrzuciłem postać smoka i przyjąłem własne ciało ze skrzydłami.

- Trzech Strażników, powiadasz. - Otrząsnąłem się z dreszczy wywołanych przez tak znaczną zmianę rozmiaru i spróbowałem odzyskać wewnętrzną równowagę. - A jednym z nich jest Merryt? - Jeśli to miał być ten koszmar, to przynajmniej mój wąty podstęp się po wiódł.

Tego nie wiem. Mamy taką nadzieję. Wymyśliłeś dziwny plan.

- Odejdź, rai-kirah. Przybrałeś ludzką postać... znajomą postać... ale mnie nie oszukasz. Walcz ze mną lub opuść to miejsce. *Hyssad!*

Wysoki młodzik o jasnobrązowych włosach, odziany w czerwony płaszcz, wspiął się na skały i stanął obok mnie, unosząc miecz. Tegyr. Chłopak zawsze był nieco pompatyczny. Czy nie uczyłem go, by poza przyzywaniem demona zachował milczenie? Może po prostu był zdenerwowany, patrząc w oczy demona, który przypadkiem znał jego przyzwyczajenia i słabości.

Przez chwilę się zastanawiałem, jak demony tworzą swoją broń... rozważałem, co bym wybrał... i natychmiast odkryłem, że trzymam w dłoni szeroki miecz. Nie. Nie to. Zbyt duże prawdopodobieństwo poważnych obrażeń, a ja chciałem tylko zmęczyć chłopaka i go przestraszyć. Zająć czas. Broń zmieniła postać. Lepiej. Pomachałem smukłym ostrzem, by je poznać, myślą zmieniłem jego wyważenie i znów spróbowałem. Może być.

- Odejdź, Tegyrze.

Młodzik zbladł, gdy wypowiedziałem jego imię, ale się nie cofnął. Miecz uniósł w gotowości.

- Nie będę słuchał twojego zdradzieckiego głosu, demonie. Walcz ze mną, a zobaczymy, kto zwycięży.

- Nie chcę cię skrzywdzić. Mam ważniejsze rzeczy do roboty.

- Ważniejsze niż przeżycie? Ponieważ ja chcę cię zabić. *Hyssad!* Odejdź!

Westchnąłem, zbliżyłem się do niego i nim zdążył mrugnąć, zrobiłem długie rozcięcie w jego koszuli. Tylko w koszuli. Później znów się cofnąłem.

- Jesteś pewien, że nadal chcesz walczyć?

Może ta lekcja przypomniała mu inne. Nie wolno mu było rozmawiać z demonem. I już nie rozmawiał. Zaatakował. Ciasno zwinąłem skrzydła i odpowiedziałem.

Tegyr myślał, że dobrze sobie radzi, gdyż przez cały czas to on atakował. Ja tego nie robiłem, nawet kiedy się odslaniał. Miast tego pilnowałem się i pozwalałem, by za mną podążał, prowadziłem go wśród skał, zmuszając, by się wspinał i schodził w dół po tysiąc razy, sprawdzając jego równowagę, podczas gdy sam pozostawiałem na względnie równym terenie. Przez rok pełnienia obowiązków Strażnika stał się sprawniejszy - i nic dziwnego, skoro zachował życie - a do tego był młody i bardzo silny. Ale gorliwość doprowadzi go do upadku - zadawał pięć ciosów na mój jeden - a ponieważ to ja nauczyłem go tych najbardziej wyrafinowanych, mogłem je sparować w chwili, gdy je zaczynał. Nie robi wielkich postępów, za to szybko się zmęczy. Kiedy osłabnie, uderzę go w głowę i poślę z powrotem.

Mój plan komplikowała obecność jego towarzyszy. Miałem nadzieję, że Denas się mylił, mówiąc o trzech Yddrassach. Chciałem tylko Merryta. Niewielki ruch po lewej zwrócił moją uwagę, odskoczyłem do tyłu. Młody Strażnik z południowej Ezzarii podkradł się do mnie po najbardziej stromym zboczu niewysokiego grzbietu i niemal trafił mnie w plecy.

- Witaj, Emrysie. - Żyłasty, gruboskórny chłopak odsunął z oczu krótkie ciemne włosy i mocno ciął mnie w nogi. Odskoczyłem, a on trafił w skały. Pewnie przy okazji zdrętwiała mu ręka. - Czyli chcecie mnie pokonać we dwóch. A ćwiczyliście to kiedykolwiek?

Sparowałem kolejne cięcie Emrysa, po czym obróciłem się i kopnąłem opadające ostrze Tegyra. Sprawy nieco się poplątały, lecz już wkrótce sprawiłem, że obaj zaczęli się o siebie potykać. Tegyr pierwszy zadał ranę - nie mnie, lecz Emrysowi. Kiedy sobie uświadomili, do czego zmierzam - i co sami osiągnęli - okazali się przynajmniej na tyle inteligentni, by się dopasować. Zmieniali się i upewniali, że nie atakują z dwóch przeciwnych stron, kiedy mogłem po prostu zejść im z drogi i pozwolić im zranić się nawzajem. Wymagało to ode mnie trochę pracy, lecz umiałem sobie z tym poradzić. Nadal robiłem mniej kroków niż każdy z nich. Kiedy pojawi się ten trzeci?

Na moje szczęście zmęczony Emrys potknął się o kamień i złamał nogę, nim pojawił się trzeci Strażnik. Odgłos pękającej kości brzmiał bardzo charakterystycznie. Krążyłem, aż Tegyr znalazł się między mną a swoim powalonym towarzyszem. Jasnowłosy młodzik,

dyszac ciężko, opadł na kolana, by upewnić się, że Emrys żyje. Nie spuszczał ze mnie wzroku, lecz czubek jego miecza drżał.

- Zabierz go stąd - powiedziałem. - Powiedz pani Catrin, by przysłała mężczyzn zamiast chłopców.

- Jeszcze nie skończyliśmy - odparł. Odważny, ale głupi. Mogłem podejść i poderżnąć mu gardło.

- Nigdy nie bądź tak uparty w obecności prawdziwego rai-kirah - poradziłem mu, po czym odwróciłem się do trzeciego Strażnika, który niemal niezauważony wspiał się na wzniesienie. Niemal.

Drych, ciemnooki i krępy, z paskudną blizną na policzku świadcząca o ciężkich doświadczeniach, ciął mnie długim mieczem. Szybko zmieniłem swoją broń i dopasowałem chwyt, by sparować jego cios. Wkrótce odkryłem, że najbardziej obiecujący uczeń Catrin rzeczywiście osiągnął wiele. Zmusiłem go, by się cofnął, jednak inaczej niż w przypadku Tegyra i Emrysa, kosztowało mnie to sporo wysiłku.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Drychu. Odsuń się.

Przekląty tchórz Merryt. Pozwalał tym chłopcom walczyć zamiast siebie, a sam pewnie już przeszedł przez bramę. I przekleństwo na moją głowę, że zaryzykowałem wszystko w takiej głupiej grze. Na pewno zdołałbym wymyślić coś innego.

Drych się nie cofnął. Nadal mnie atakował. Uparcie. Wściekle. Trzymał ostrze blisko siebie, a jego ruchy były skape i skuteczne. Jego nie będzie tak łatwo zmęczyć. Prowadziłem go wśród skał, lecz on umiał oceniać sytuację lepiej niż pozostali i starannie dobierał pozycje. Wolał zrezygnować z ataku, niż podążać za mną po niepewnych skałach. Ale nie odpuszczał. Po prostu omijał przeszkody i zachodził mnie z innej strony. Skoncentrowałem się. Nie mogłem sobie pozwolić, by nie traktować tego chłopaka poważnie.

- Poczyniłeś postępy, chłopcze. Wiedziałem, że tak będzie.

Poprowadziłem go w dół stromego zbocza. Potykał się i tracił równowagę, a ja wykorzystywałem skrzydła zamiast nóg. Ale radził sobie niezle i pozostawił krwawą pręgę na moim ramieniu. Gdybym nie był taki szybki, odrąbałby mi rękę. Co jakiś czas przyciskałem go mocniej, by pokazać mu, że mnie na to stać - pozostawiałem kilka ran, które mogły być o wiele poważniejsze - i znów odpuszczałem.

- Nie zabiję cię - zapewniłem. - Ale musisz się stąd wydostać, nim zrobimy coś, czego obaj będziemy żałować.

Po kilku kolejnych wymianach ciosów zastanowiłem się, czy wcale nie zrezygnować z walki - może zerwać się do lotu - i spróbować mu wyjaśnić, co zrobiłem i dlaczego, żeby

uratować coś w tym zamieszaniu. Ale Drychowi wpojono, by nie słuchał nawet najrozsądniej brzmiących pochlebstw rai-kirah, a nie miałem powodów, by sądzić, że jego dyscyplina w tej kwestii jest gorsza niż umiejętność walki. Musiałem zachować koncentrację.

- Nie pozwolę też, byś mnie zabił. Muszę jeszcze coś zrobić. Ta noc może trwać bardzo długo, a ja nie chcę, byś wykorzystał cały mój czas.

- Opętałeś mojego nauczyciela. - Jego poblížniona twarz, tak bardzo młoda, wyglądała jak wykuta ze stali. - Wygonię cię z niego.

- Nie masz pójęcia, jak bardzo cieszą go te słowa - odparłem z uśmiechem. - Ale to naprawdę jest niemożliwe. Niedawno sam to pojąłem.

Musiałem powstrzymać Drycha, zanim się zmęcę, na wypadek gdyby jakaś zmiana układu gwiazd sprowadziła tu Merryta. Dlatego też zacząłem przyciskać młodzika, popychać go przez głęboki do kostek popiół, w dół wysuszonym korytem rzeki, wciąż dalej i dalej, aż jego ruchy stały się chaotyczne. Rąbałem i ciąłem, często zmieniając pozycję, by wytrącić go z równowagi, napierałem coraz mocniej, aż zaczął się potykać i przewrócił się do tyłu na poczerniały pień. Ciężki miecz wypadł z jego dłoni. Nawet jednak gdy przycisnąłem krawędź klingi do jego gardła, grożąc mu odebraniem życia, spojrzeniem rzucił mi wyzwanie.

- Dobrze pamiętasz moje lekcje - pochwaliłem. - Nigdy nie zapominaj o ofierze. Dziękuję ci i błogosławię cię za to, Drychu. A teraz przypomnij sobie inną lekcję, której ci udzieliłem. Kiedyś zabiłem razem demona i ofiarę i powiedziałem ci, że był to błąd. Niektórzy Ezzarianie nie wierzą, by Strażnik żałował takiego błędu, gdyż nie potrafią pojąć, jak można się troszczyć o kogoś, kto nie jest krewnym ani przyjacielem. Ale ty wiesz, że ja się martwiłem... choć ofiara była okrutnikiem, który powinien zostać stracony za swoje zbrodnie. Nie pozwolę ci popełnić podobnego błędu. Jeśli mnie zabijesz, zabijesz też tego, którego próbujesz uratować. Uwierz mi, żałuję, że nie może być inaczej.

Później uderzyłem chłopca w głowę rękojeścią miecza i wziąłem go na ręce.

Tegyr przepychał przez portal skrzywionego Emrysa. Na mój widok upuścił przyjaciela i sięgnął po miecz.

Rzuciłem mu Drycha do stóp i zerwałem się do lotu.

- Zabierz ich z powrotem, Tegyrze. Nie będę walczyć z dziećmi. Powiedz królowej, by przysłała kogoś innego. Powiedz jej, że czekam i że ten, którego pragnie uratować, cierpi coraz bardziej, bo odmawia mi zdradzieckiego tchórza Merryta. - Powiedz jej, że kocham ją ponad życie, ale nie pozwolę jej zniszczyć naszego ludu. Ani jednego człowieka. Nawet tych, których nie zna.

Zdenerwowany i wyczerpany młodzik z niedowierzaniem przeciągnął towarzyszy przez portal. Krążyłem nad niegościnnym wzgórzem do chwili, gdy szary prostokąt rozpląnął się w mroku. Wtedy niebo zaczęło wirować, a zwęglony las się rozpadł. Odrzuciłem skrzydła i spadłem w mrok.

* *

- Seyonne? - Szept dochodzący z tyłu odzywał się echem w mojej głowie niczym ryk byka.

Udało mi się wydobyć z siebie tylko jęk. Może dlatego, że moje wargi były odrętwiałe. A może zostały związane zakłętymi sznurami jak każdy kawałek mojej ciała. Leżałem na boku, z głową opartą na kłębie zwiniętego materiału, i zastanawiałem się tylko, co szybciej odbierze mi świadomość - ból głowy czy palące uszkodzenie prawego oka. Każdy oddech był niczym trzęsienie ziemi, grożące rozpadem świata. Śliniłem się, a oddychanie sprawiało mi tyle trudu, że mógłbym przysiąc, iż złożono mi na piersiach kolumny Dasiet Homol.

- Słyszysz mnie, Nevyo?

- To mało prawdopodobne. Nałożyli tyle zaklęć na niego i wewnątrz niego, że nigdy się nie obudzi. Próbuje tylko złagodzić ból oka. Nie mogę znieść, że tak go zostawili, choć mówili, że mam go nie leczyć. - Nevyo, uzdrowicielka, nakładała jakąś zimną, gęstą masę na moje oko.

Nie do końca kojarzyłem głos drugiej kobiety.

- Wkrótce znów będą gotowi, by się nim zająć - powiedziała cicho.

- To trochę za mało czasu... a krew nadal płynie z rozcięcia na szyi. Powinno powstrzymać krwawienie. - Dłonie starej kobiety były łagodne, gdy przyłożyła złożoną tkaninę do mojej twarzy.

- Nie chcą, żeby rai-kirah zdążył odzyskać siły. Zamierzają pokonać przekłętą demona. Zniszczyć go.

- Cóż, mam nadzieję, że tym razem im się uda. Mistrz Seyonne był łagodnym człowiekiem. Dobrym człowiekiem. Młodzi Strażnicy opowiadali takie dziwne rzeczy o swoich doświadczeniach. Powiedz mi, kafyddo, co się stanie, jeśli nie uda się wypędzić z niego demona?

- Będziemy musieli go zabić. Królowa zna prawo. - Kafyddo. Fiona. Mój pies nadal

mnie obserwował.

* *

Za drugim razem, gdy ocknąłem się w jaskini, wiedziałem, gdzie jestem. Denas znów pozwolił sobie uczynić ze mnie smoka. Najwyraźniej mógł robić, co tylko przyszło mu do głowy z moim ciałem, gdy w mojej duszy działały ezzariańskie czary.

- ...*Hyssad!* Odejdź! Ono nie należy do ciebie... i nie przeżyje tego dnia. - Ostatnie echa wyzwania nadal odbijały się od skał. Pełne nienawiści słowa nieubłaganie ściągały mnie w stronę wyjścia z jaskini. Doskonale rozumiałem, dlaczego demony tak ich nienawidziły. Ale tym razem i tak bym wyszedł. Wyzwanie rzucił Merryt.

Wściekłość i moc wypełniały moje żyły. Musiałem wiedzieć tylko jedno, nim zacząłem.

- Ile czasu jeszcze potrzebujemy?

Niektórzy przeszli. Wielu jeszcze nie. Do świtu pozostało kilka godzin.

- A Vyx?

Nie potrafię stwierdzić. By przejść cicho i w zupełnej tajemnicy, jak sobie życzył, musi zmusić legion do opuszczenia gospodarzy - wcześniej, niżby tego chcieli. Dla wielu to pierwsze doświadczenie życia od mrocznych czasów, więc może być trudno ich rozdzielić. Pandye gash ustawili jakąś barierę i nie wiem, czy komuś jeszcze uda się pokonać bramę. Merryt nie może przedostać się na drugą stronę, póki Vyx nie powie nam, że forteca jest bezpieczna. Powinieneś zabić ohydnygo ylada.

Ale jeśli od razu zabiję Merryta, Ysanne uwierzy, że mnie - Seyonne'a - nie da się już uratować. Zabije mnie i będzie mogła swobodnie wzmocnić blokadę. Dopóki wszystkie demony nie przejdą przez bramę lub nie zyskam pewności, że już mi się nie uda, muszę się powstrzymać. To może być trudne, ale tylko na tyle było mnie stać.

- Powstrzymam go - powiedziałem. A później go zabiję.

Kiedy wyszedłem z jaskini, nie dostrzegłem Merryta. Tegyr pewnie powiedział mu o smoczej postaci, i najwyraźniej chciał zobaczyć, jaki kształt wybiorę. Podobnie jak wcześniej powróciłem do własnego ciała. Tak lepiej mi się walczyło, a poza tym nie miałem ochoty usmażyć Merryta... przynajmniej nie od razu. Potrzebowałem milej, długiej pogoni. Nie chciałem go zniechęcać, gdyż wtedy mógłby mnie zostawić i zająć się własnymi sprawami.

- A oto i plugastwo. - Merryt stał na szczycie wzniesienia i spoglądał na mnie z góry z

nienawiścią, jakiej nie czułem podczas żadnej z walk z demonami. - Jak to jest znajdować się po złej stronie w takim starciu? Słyszeć słowa i wiedzieć, że inkantacje i rytuały kierują się przeciwko tobie? A ty, Denasie, jak się czujesz ze świadomością, że pozostaniesz uwięziony w tym ludzkim ciele... do chwili gdy je zabiję, a ty rozplyniesz się w nicości. Dla demonów nie istnieje życie po śmierci. - Zeskoczył i wylądował przede mną bez zachwiania, jakby miał trzydzieści siedem, a nie trzysta siedemdziesiąt lat. W dłoniach obracał nóż Strażnika. - Powiedz mi, plugastwo, jak tego dokonałeś?

- Dokonałem czego? - Ostrożnie podszedłem do niego, gotów na każdą zdradę. Jako broń wybrałem elastyczną, ostrą klingę.

- Jak nałożyłeś to paskudne zaklęcie, które mnie nie wpuszcza?

- Zaklęcie?

Spodziewałem się dalszej gadaniny, lecz on bez słowa rzucił się na mnie, wytrącił z równowagi dzikim atakiem i kopnął w pierś. Następnie obrócił się i próbował rozciąć mi gardło. Chwyciłem go za rękę i z zaskoczenia niemal ją złamałem, lecz w końcu przewróciłem go na plecy i kopnięciem wyrzuciłem za krawędź wzniesienia, pozwalając, by zsunął się na dół. Dopiero wtedy ruszyłem za nim. Nie zamierzałem się spieszyć ani odwracać jego uwagi. Nie miałem do czynienia z niedoświadczonym dzieciakiem.

Broń wypadła mu z ręki. Kopnąłem ją w jego stronę.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - oznajmiłem. Ostrożnie zbliżyłem się do miejsca, gdzie leżał na plecach.

Z zadziwiającą szybkością poderwał się na równe nogi i rzucił się na mnie, a jego nóż zmienił się w szeroki miecz.

- Ani ja z tobą, demonie. Powiesz mi to, co chcę wiedzieć, nawet jeśli będę musiał pociąć twoje nieczyste ciało na kawałki.

Walczyliśmy na całym skalistym występie, później przenieśliśmy się do wyschniętego koryta rzeki i przebyliśmy całą jego długość. Był dobry. Lepszy niż się spodziewałem. Pragnął mojej śmierci, ale najpierw chciał mnie pokonać. Ja byłem lepszy. Po prostu nie mogłem sobie pozwolić, by to pokazać. Musiał wierzyć, że zdoła wygrać. A jednak jeśli walka się przeciągnie, nasze umiejętności stracą znaczenie. Miałem nadzieję, że Vyx szybko dokończy swoje sprawy. To były dwa bardzo długie dni.

Merryt się nie odzywał, tylko ciągle powtarzał, że rzuciłem jakieś zaklęcie, a on potrzebuje hasła, by je złamać. Nie pojmowałem, o co mu chodzi. Nie myślał przecież o bramie. Do świtu była otwarta dla każdego, kto chciał przez nią przejść.

Raz zgubił broń i ruszył biegiem. Ale już kilka chwil później, gdy go szukałem, zastanawiając się, jak go znów uzbroić, z wesołym śmiechem skoczył mi na plecy i niemal obciął jedno z moich skrzydeł. Przyniósł ze sobą więcej niż jeden nóż Strażnika. Za drugim razem, gdy stracił broń, wiedziałem, że muszę zachować ostrożność, i rzeczywiście, wyjął trzeci nóż.

Walczyliśmy niemal przez godzinę, gdy złapał mnie skurcz lewego uda. Skrzydłami podniosłem chmurę kurzu i w jej osłonie przekradłem się do gęstej kępy zwęglonych drzew. Przyciskając plecy do spalonego pnia, rozciągałem nogę. Starłem się nie oddychać zbyt głęboko, by nie wciągać do płuc duszącego pyłu. Merryt był gdzieś na lewo ode mnie i nade mną. Słyszałem jego kaszel. Zraniłem go w nogę, a prócz tego najwyraźniej naderwał sobie ścięgno w lewym barku. Rany te nie były zbyt poważne, ale wystarczająco bolesne, by się rozżłościł. On z kolei zadał mi płytką ranę pośrodku pleców. Nie była poważna, ale otwierała się za każdym razem, gdy się poruszyłem, a nie miałem jak jej przewiązać. Pochyliłem się i oparłem dłonie na kolanach. Zaczynałem się męczyć. Merryt także.

- Gdzie jesteś, demonie? - zawołał, nadal kaszłąc. - Krew na moim mieczu wysycha. Muszę ją odświeżyć. Ale najpierw... może potrzebuję innej broni... Aife!

Słyszałem, jak biegnie w stronę portalu i w jednej krótkiej chwili ziemia pod moimi stopami się zapadła, a żołądek ścisnął się od znajomego odczucia nicości.

* *

Obudź się, Wygnańcze. Niech to przekleństwo, obudzisz się w końcu? Ktoś już jest w jaskini, a ja nie miałem czasu zmienić twojej postaci.

Moja głowa była niczym świeżo wykute żelazo - pulsująca, traktowana młotem, rozgrzana i miękka. Próbowałem sobie uświadomić, kto tak bardzo starał się mnie obudzić, kiedy zauważyłem błysk srebra w ciemnościach i szkolenie, jakie niegdyś przeszedłem, uratowało mi życie. Nie mogłem przecież świadomie wymyślić, by odtoczyć się z drogi i unieść rękę niczym taran, by powalić przeciwnika. Trafiłem w ciało, lecz nie wiedziałem, gdzie upadło ani w jakim było stanie, więc wycofałem się i uderzyłem w kamienną ścianę. Popiół i sadza spadały na moją głowę jak suchy deszcz. Znów byłem w tym innym miejscu... we własnej duszy... umyśle... tam, gdzie znajdował się krajobraz, który tkąła Aife.

Próbowałem sobie przypomnieć, co wydarzyło się od chwili, gdy Merryt pobiegł w stronę portalu, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Mdłości. Spadanie. Pomacałem z tyłu

koszulę i odkryłem, że jest mokra od krwi. Noga nadal bolała mnie od skurczu. Sińce po walce z Merrytem wciąż były świeże. Nie zregenerowałem się. Ysanne musiała nie zamknąć portalu, jak to zrobiła, gdy Tegyr, Emrys i Drych wrócili. Utrzymywanie portalu było męczące dla Aife, ale jeszcze gorsze dla mnie. Czułem się, jakbym spadł z góry razem z lawiną. Wysilek długich dni i nocy, magia, którą stworzyłem, walka, przerażenie przemianą... to wszystko ciążyło mi u stóp jak żelazne kajdany.

Kolejny błysk srebra. Uskoczyłem i wybiegłem na zewnątrz jaskini. To Drych mnie zaatakował, jego twarz była wciąż poważna... i zdecydowanie zbyt świeża i wypoczęta jak na mój gust. Jak długo to wszystko trwało? Po raz pierwszy w całej wieczności pomyślałem o Aleksandrze. Jak dotrzeć do niego na czas? Jeśli walczyłem tu zbyt długo... pomyśli, że znów go zdradziłem.

Nie miałem czasu się tym martwić. Zjawiło się przynajmniej trzech Strażników, albo i więcej. Może Ezzarianie wyczuli, że demony prześlizgują się za ich barierę, i uświadomili sobie, że muszą ze mną skończyć. Może domyślili się, że dochodziłem do granic wytrzymałości. Choć Aife nie widziała, co dzieje się na polu bitwy, odbierała zmiany zachodzące w Strażniku i demonie. Jeśli nadal to Ysanne pełniła funkcję Aife - a oczywiście, że to była ona, gdyż tylko Ysanne umiała wprowadzić za portal więcej niż jednego Strażnika - potrafiła we mnie czytać, jak autor czyta we własnej książce.

Uniosłem się w powietrze, by uciec przed Drychem, i przyglądałem się pustkowiu, aż ujrzałem Merryta. Musiałem go zabić, zanim zbyt się zmęczę. Merryt i Tegyr byli razem, skradali się przez okolicę pełną zwęglonych drzew, która dochodziła aż do urwiska. Wylądowałem i ruszyłem w ich stronę.

Merryt nadal pragnął nagrody. Po krótkiej potyczce źle oceniłem spadek urwiska i dałem się uwieźć w szerokim, prostokątnym żlebie.

Gdybym miał tylko jednego przeciwnika, szybko bym się wydostał. Ale Merryt popychał mnie do tyłu, zaś Tegyr pilnował jego lewego boku i nie pozwalał mi się prześlizgnąć.

- wiedz, jakie to słowo, diable - warknął Merryt z uśmiechem tak złym, że nie potrafiłem przestać się oglądać przez ramię. - Powiedz albo zapłacisz cenę, jakiej się nie spodziewałeś.

- Jedyne słowa, jakie ode mnie usłyszysz, to wyliczenie twoich przywar, Merrycie... morderco, złodzieju, gwałcicielu.

- Może uda mi się poprawić ci pamięć - rzucił. - Dalej, chłopcze, zamieńmy się. Chcę sprawdzić jego mocniejszą stronę. - Merryt cofnął się o kilka kroków, by Tegyr mógł przed

nim przejść, lecz nim młody Strażnik zdążył zająć pozycję, Merryt go chwycił i przyłożył mu nóż do gardła. - Słowo, diable. Daj mi słowo, które otwiera bramę, albo wytnę temu dzieciakowi dziurę w szyi.

Oszołomiony, przerażony, przyglądałem się twarzy Merryta w poszukiwaniu oznak, że blefuje, wolno przesuwając stopy, by znaleźć się w zasięgu rzutu nożem.

- Nie ma...

Nim zdążyłem do końca wypowiedzieć sprzeciw, Merryt poderzwał Tegyrowi gardło i popchnął ciało młodzika na ziemię.

- Powiesz mi to. Nie przeszkodzisz mi dopełnić przeznaczenia.

- Morderca! - Rzuciłem się za nim, wykorzystując wszystkie siły, jakie mi pozostały, a gniew i oburzenie ożywiały moje ramię. Zadawałem mu cios za ciosem, krwawe szaleństwo zamroczyło mi wzrok, pozbawiło mnie rozsądku i sprawiło, że nie myślałem o własnym bezpieczeństwie. Po kwadransie zmusiłem go, by przede mną uciekał... co było najgorszym rozwiązaniem, ponieważ wbiegł na szczyt jałowego wzgórza - gdzie odnalazł Nestayo, zarozumiałego młokosa, który walczył najwyżej od miesiąca.

- Nestayo! Trzymaj się od niego z dala! - zawołałem, gdy ujrzałem, jak Merryt ojcowsko obejmuje ramię niczego niespodziewającego się chłopaka. Nim Nestayo zdążył się odwrócić w moją stronę, nóż już znalazł się na miejscu. - Na dziecko Verdonne, Merrycie, nie rób tego.

- To powiedz, jakie to słowo! - zaryczał ze szczytu wzgórza. - Zamknąłeś bramę dla wszystkiego, co cielesne, a ja chcę przejść! Uwolnię Bezimiennego Boga, by zemścił się na tych, którzy więzili go od początku czasu. Ja to zrobię. Nie ty. Nie Vyx. Nie...

Nie istnieje takie słowo, Merrycie. - Podleciałem do szczytu wzgórza i wylądowałem tylko kilka kroków przed nim. - Nie ma zakłęcia. Brama jest otwarta. Na bogów nocy, puść tego chłopaka. Nic nie...

- Kłamiesz, demonie! - I Nestayo również zginął, a jego krew wsiąkła w popiół.

Przepełniony bezradną złością, zabiłbym wtedy Merryta. Ale gdy tylko Nestayo upadł, Drych wbiegł z drugiej strony wzgórza, zauważył ciało Nestayo i mnie rąbiącego potykającego się Merryta.

- Trzymaj się z dala! - zawołałem. - Ten łotr zamordował pozostałych! Na twoje życie, Drychu, na wszystko, co ci drogie, trzymaj się z dala od niego!

Ta chwila odwrócenia uwagi wystarczyła, by Merryt zaczął schodzić w dół suchego parowu, który dzielił wzgórze na dwie części. Krwawił z rany w brzuchu i sięgającego do kości cięcia w nodze. Zeskoczyłem ze stromego zbocza, zsuwając się na żwirze, gotów

spotkać się z nim na dnie, by tam go wykończyć. Jeden cios i uwolnię świat od jego zła. Lecz Drych wykonał długi skok i wylądował między Merrytem a mną, a jego miecz wbił się między moje żebra, nim chłopak na dobre dotknął ziemi. Cofnąłem się szybko. Przez chwilę się bałem, że przebił mi płuco. Próbowałem przywołać wiatr, by uniósł mnie w górę, żebym mógł zaatakować kręcącego się Merryta z drugiej strony. Drych jednak był za blisko, jego ciemne oczy płonęły, a miecz atakował mnie z wściekłością.

- Morderczy demon! - zaklął. - Zabiłeś ich wszystkich.

Uparty chłopak nie chciał się cofnąć, więc musiałem go odepchnąć, a ręce miałem jak z ołowiu. Przebity bok płonął. Później poczułem wybuch zimnego ognia w plecach, gdy ostrze włóczni wbiło się tuż przy moim kręgosłupie.

- Zginiemy razem, diable - wydyszał powalony Merryt, a nienawiść wypływała z niego razem z krwią z ust.

Cofnąłem się od nich obu. Potykałem się i próbowałem utrzymać równowagę, jednocześnie sięgając przez ramię, by wyciągnąć włócznię. Z każdą chwilą zadawała mi coraz większe obrażenia. Drych patrzył to na mnie, to na Merryta, najwyraźniej zastanawiając się, czy wykończyć mnie, czy też pomóc drugiemu Strażnikowi.

- Trzymaj się od niego z dala - powtórzyłem i chrząknąłem, gdy udało mi się wyrwać ostrze z pleców. Poczułem, jak zalewa mnie rzeka krwi. - Na wszystkich bogów, uwierz mi, Drychu. On zabił twoich przyjaciół i moich. Za nic. - Próbowałem znów unieść miecz, ale mi się nie udało.

Drych pospieszył do Merryta, upuścił broń i ukląkł.

- Wydostanę cię, bracie. Czy jesteś ciężko...

Gdy chłopak pochylił się nad rannym mężczyzną, Merryt położył dłoń na jego mieczu i zmienił go w długi sztylet.

- Uważaj! - ryknąłem... za późno.

Wykrzywiony mężczyzna wbił ostrze w brzuch młodego Strażnika, zepchnął z siebie bezwładne ciało i przetoczył się na bok.

- Zemszczę się, na ile mogę, przyjacielu Seyonne. Świat przez tysiąc lat będzie zbierał plony tej nocy. Twoja żona będzie za to krwawić, a rai-kirah zajmą się resztą Ezzarian. - Merryt zaczął się śmiać, a chrapliwym, groteskowym sapnięciom towarzyszyły strumienie krwi toczącej się z ust. - Otworzyłeś drogę. Pewnego dnia Bezimienny odzyska wolność. Grozą napisze nową historię tego świata i doprowadzi do jego końca w krwi, ogniu i szaleństwie. - Wskazał na mnie drżącym palcem. - I nikt nie pozna prawdy. Na wieki będą cię nazywać plugastwem.

Nakazałem krwi nie opuszczać ciała, póki nie przejdę trzech kroków, nie uniosę miecza i nie obetnę głowy Merryta. Później, czując zawroty głowy, upadłem na kolana przy Drychu. Dyszałem ciężko, cały świat wirował i pulsował, a moje ręce i nogi już traciły czucie. Chłopak leżał bez ruchu.

Słodka Verdonne. Tylu spraw jeszcze nie dokończyłem. W większości nic już nie mogłem na to poradzić, ale jednego obowiązku nie potrafiłbym zignorować, nawet gdyby bestie podziemnego świata pożerały moje ciało. Z trudem łapiąc oddech, zacząłem śpiewać ezzariańską pieśń żalobną, wznosząc głos - nie, to był głos Denasa, czysty i melodyjny, wypowiadający smutek, którego ja nigdy nie po trafiłem wyrazić z braku słów i muzyki - za Kyora i Drycha, Tegyra i Nestayo, i za Blaise'a, który leżał szalony, za swojego syna i innych, którzy za nim podążają... i za Ysanne, która już wiedziała, że jej Strażnicy nie żyją. Wyśpiewałem każde słowo. Nawet Fiona nie znalazłaby uchybienia.

- Tak mi przykro, Drychu. Tak mi przykro - wyszeptalem, gdy skończyłem. Potem położyłem bezwładne dłonie na ciele chłopca i przetoczyłem go na plecy... i odkryłem, że wciąż oddycha. Płytko. Boleśnie.

Jego ciemne oczy były otwarte, błagając, by życie nie opuszczało go tutaj, na krawędzi otchłani.

- Na bogów ziemi i nieba! Uparciuch... Trzymać się życia, gdy ja śpiewem przeprowadzam cię na drugą stronę.

Najdelikatniejszym poruszeniem ust i niemal bez śladu lęku na twarzy, Drych zadał pytanie:

- Mistrz?

- Tu jestem, Drychu - powiedziałem, próbując uśmiechnąć się drętowymi wargami. - To ja. A jeśli ty zdołasz jeszcze trochę wytrzymać, to i ja też. Dalej... - Owinąłem jego bezwładną rękę wokół swoich ramion i rozważyłem sposób postawienia go na nogi. Wyciągnąłem dłoń do włóczni, nadal splamionej moją krwią, i zmieniłem ją w kulę. Wykorzystując ją jako dźwignię, podniosłem się powoli, mając nadzieję, że rozerwane mięśnie grzbietu wytrzyma ją tyle długo, bym zdołał unieść chłopaka.

- Musisz wezwać Aife - wysapałem, stawiając go na nogi. Obaj niebezpiecznie się chwialiśmy. - Ja nie mogę tego zrobić. Powiedz jej... po prostu powiedz „Aife, gyat”. Zrozumie. - *Gyat* oznaczało „przyciągnij portal jak najbliżej mnie”. Ysanne i ja mieliśmy swój język na trudne chwile.

Drychowi udało się wypowiedzieć słowa, zanim stracił przytomność. Żył jeszcze, gdy pojawił się portal...

- Idź bezpiecznie - pożegnałem się, ciągnąc go kilka kroków do otworu. - Zdrowiej.
Żyj.

Delikatnie popchnąłem go przez migoczący portal, po czym upadłem na kolana, walcząc o ostatni oddech, podczas gdy świat i ja wspólnie się rozpadaliśmy.

Rozdział 39

Verdonne władała słodką krainą lasów, aż się zmęczyła, gdyż jej ciało było śmiertelne. Lecz Valdis oddał jej cześć i uczynił ją nieśmiertelną, i po dziś dzień rządzi lasami świata, a on pozostaje jej silnym prawym ramieniem.

Valdis wybudował magiczną fortecę, więzienie pełne piękna i wygody. Ponieważ nie chciał być ojcobójcą, uwięził tam nieśmiertelnego ojca. Młody bóg odebrał ojcu imię i zniszczył je, by żaden mężczyzna i żadna kobieta nie mogli go już wezwać. Lecz biada człowiekowi, który otworzy więzienie Bezimiennego Boga, gdyż wówczas na ziemię spadnie ogień i zniszczenie, których żaden śmiertelnik nie potrafi sobie wyobrazić. I nazwą to Dniem Końca, ostatnim dniem świata. - Opowieść o Verdonne i Valdisie przekazana pierwszym spośród Ezzarian, gdy przybyli oni do krainy drzew

Gdy portal Aife zostaje zamknięty, ofiara nie zachowuje ran, które jej demon odniósł podczas walki. Rana od włóczni w moich plecach, od miecza między żebrami i inne efekty nocnej walki znikły, gdy w szary, nieruchomy poranek odzyskałem świadomość. Byłem jednak potwornie wyczerpany. I podobnie jak wcześniej, głowa bolała mnie tak, jak można się było spodziewać - jakby w jej kostnym wnętrzu odbyła się bitwa. Zabandażowane oko pulsowało, a skurczone serce smuciło się tym, co się wydarzyło i co miało nadejść. Moja żona mnie zabije. A ja nie zdołam nic na to poradzić.

Ezzarianie byli tchórzami, kiedy przychodziło im wydawać wyroki na przedstawicieli naszego ludu. Choć łatwo było nam powiedzieć „żyj”, „zgiń” albo „oszalej” ofiarom demonów, które spotykaliśmy na świecie, z trudem skazywaliśmy nas samych na konieczną śmierć. Dzieci takie jak mój syn, urodzone opętane, układano nago w lesie w pobliżu kryjówek wilków. Jeśli bogowie chcieli, by żyły, przeżyją. Lecz bogowie stworzyli wilki, by pożerały takie smaczne kąski, a gdy znajdowaliśmy okrwawione kosteczki, twierdziliśmy, że to bogowie zabili nasze dzieci, nie my. Opętany Strażnik wywoływał podobny dylemat. Jeśli nie dało się go uleczyć, co powinna zrobić królowa? Nie wolno mu było pozwolić żyć, gdyż znał tajemnice, które zagroziłyby naszemu istnieniu. Był potężnym czarodziejem i potężnym wojownikiem, który z powodu swojego demonicznego szaleństwa mógł skrzywdzić innych

ludzi. Musiał umrzeć, lecz jaki Ezzarianin, zaprzysiężony, by chronić życie, zdołałby unieść topór lub zadzierzgnąć pętlę?

I dlatego wymyślono inny sposób. Należy unieruchomić plugastwo zaklęciami, eliksirami i więzami, umieścić go w dobrze strzeżonym miejscu, by nikt nie przyszedł mu na pomoc i pociąć go. Nie należy przy tym nacinać dużych żył, gdyż to z pewnością szybko by go zabiło, lecz inne miejsca - ramiona, nogi albo plecy - a może wbić mu nóż w brzuch. Jeśli bogowie chcieli, by żył, przeżyje. Lecz bogowie chcieli, by człowiek miał w sobie krew, więc kiedy do serca człowieka nie dociera już krew, to bogowie wykonują wyrok, nie my.

Drych nie umarł. Ale stracił świadomość i nie zdołałby choć w najmniejszym stopniu zaświadczyć, że to nie ja zabiłem dwóch młodych Strażników i jednego obcego Ezzarianina. Demoniczny ogień nadal płonął błękitem w moim zdrowym oku, a to stanowiło wystarczający dowód.

Leżałem na brzuchu, moje ręce i nogi rozciągnięto i przywiązano do kołków wbitych mocno w ziemię. Otoczyli mnie kręgiem niedużych ognisk i do każdego z nich wrzucili wystarczająco dużo jasnyru, by napęlnić nim poduszkę. Dym był gęsty i duszący, sprawiał, że moje nerwy pulsowały boleśnie demonicznymi wspomnieniami. Powietrze było ciężkie. Przytłaczające. Nieruchome. Nadchodziła burza.

- Nie pozwolisz mi opowiedzieć swojej historii, pani? - spytał Kenehyr. - Zamierzasz wykrwawić człowieka, nie dając mu możliwości obrony... - Siwowłosy Pocieszyciel opierał się o jedną z kolumn kilka kroków ode mnie.

- Trzech Strażników i jeden chłopak nie żyją - splunęła Talar. - W namiocie Nevyi kolejna bezradna ofiara leży zatopiona w demonicznym szaleństwie, bez wątplenia skrzywdzona przez tego samego demona. Dusza tego Strażnika została zniszczona. Jakich dowodów jeszcze ci potrzeba?

Zabandażowane oko nie pozwalało mi zobaczyć tych, którzy nade mną stali. Ysanne, Fiona, Maire, Talar i Caddoc byli jedynie bezcielesnymi głosami. Gdy rozmawiali nad moją głową, jakbym już nie żył, przesywały mnie fale bezradnej wściekłości.

Jak zawsze Caddoc dodał swoje do słów Talar.

- Widzieliśmy jego zepsucie i łotrostwo. Fiona mówi, że nasza bariera się utrzymała, a brama znikła o świcie. Musimy skończyć tutaj i wrócić do domu, zanim zaatakują ci opętani Derzhi. Kto wie, co ten diabeł im powiedział? Kto wie, co się teraz stanie z demonami?

Ciemniejące niebo za kolumnami przeszła błyskawica, zabrzmiał stłumiony grzmot. Niedaleko. Burze w tej dzikiej krainie były potężne. Duszące, nieruchome powietrze sprawiało, że moja skóra lepiała się od potu, a żyły w głowie pulsowały ostrzegawczo. Znów

spróbowałem się poruszyć. Gdyby tylko udało mi się poluzować jeden z kołków i uwolnić rękę albo nogę... ale albo zaklęcia i eliksiry były zbyt potężne, albo wyczerpałem wszystkie swoje siły.

- Ale Emrys twierdzi, że Seyonne nie zabił jego ani Tegyra, kiedy miał szansę - upierał się Kenehyr. - Czy to nie wydaje się wam dziwne?

- Ten demon wyraźnie żywił urazę wobec biednego Merryta i chciał zachować moc, by go zniszczyć. - Nawet Maire dała się oszukać staremu łotrowi. - Tegyr nie żyje, a Emrys przyznaje, że był zmieszany.

- Ale raporty Fiony o pomysłach Seyonne'a... A jeśli...? Myślę, że powinniśmy poczekać, aż Drych się obudzi.

- Te raporty to kolejny dowód szaleństwa i zepsucia - odparła Talar. - A Catrin utrzymuje, że miną tygodnie, nim zyskamy pewność, że chłopak w ogóle przeżyje.

Kenehyr nie dawał za wygraną.

- Fiono, opowiedz nam to znowu. Dlaczego Seyonne udał się do demonów? Cóż to za szalony pomysł, że my i demony zostaliśmy kiedyś rozdzieleni?

- To nie ma znaczenia - rzucił ostro mój pies strażniczy. - Królowa podjęła decyzję. - Rozpoznawałem ten ton głosu i żałowałem każdego, kto w najbliższych godzinach będzie musiał rozmawiać z Fioną. Nic jej nie zadowoli.

- Ale...

Gdybym mógł się odezwać, błagałbym Kenehyra, żeby zamilkł. Kochany staruszek wkrótce sam wpakuje się w kłopoty, a i tak nic już nie da się zrobić. Vyx nie przybył. Demony jeszcze nie zarżnęły Ezzarian, ale jeśli nie pozwolono im przejść przez bramę, wkrótce tak się stanie. A jeśli się przedostały... Merryt nie żył, ale byli jeszcze inni, tacy jak Gennod. Jeśli Vyx nie zabezpieczył fortecy, to uwolniłem ciemność.

Blaise leżał oszalały, a jego czas najpewniej się skończył. Nie mogłem ocenić godziny, lecz na pewno nie zdążę na spotkanie z Aleksandrem. *Co ma być, to będzie. Skończmy z tym. Niech rozpęta się burza.* Caddoc zmusił się, by mówić spokojnie.

- Pani, powinniśmy ruszać do domu. Szpiedzy donieśli nam o straszliwych niepokojach w obozach Derzhich, które trwały całą noc... tak, jak ten tutaj groził. Wojownicy będą wściekli.

- Wystarczy - ucięła Ysanne lodowatym tonem. - Zostawcie mnie tu samą.

- Ale pa...

- Zostaw mnie albo rozciągnę cię tu razem z nim, Caddocu.

Pozostali się wycofali. Przez jakiś czas widziałem jedynie rąbek zielonej szaty Ysanne wirujący w podnieceniu. Była wściekła. Kiedy się martwiła, siedziała bez ruchu. Kiedy ogarniała ją wściekłość, spacerowała. W końcu przy mnie uklękła, tak blisko, że czułem zapach jej włosów i słodycz jej skóry.

Nie mogłem się poruszyć ani odezwać. Ich eliksiry i czary się o to postarały. Ale każdym strzępem swojej istoty błagałem, by czas się cofnął, a Ysanne usłyszała wszystko, co chciałem jej powiedzieć o miłości, wspomnieniach i pożądaniu. *Pozwól mi znów wziąć cię w ramiona, ukochana, i pozwól mi dotknąć naszego wzrastającego syna. Pozwól mi znów szeptać ci do ucha o radości, którą znamy, i radości, która nadejdzie, gdy nasza miłość się odrodzi. Jesteś moim sercem, moim pokojem, moim oddechem. Spraw, bym zapomniał o wszystkim, co nas rozdzieliło, miłości moja. Pomóż mi zapomnieć.* Słowa mojego pragnienia spoczywały na języku, lecz tam umarły niewypowiedziane. Mój policzek był przyciśnięty do twardej ziemi, a zdrowe oko na wpół zamknięte. Kilka zimnych kropeł uderzyło mnie w twarz. Deszcz. Nie łzy Ysanne. Kiedy w końcu się odezwała, w jej głosie nie zabrzmiał żal ani tęsknota.

- Niech cię, Seyonne! Niech cię. Myślałam, że mnie kochasz. Zdradziłam dla ciebie swoją przysięgę... pozwoliłam żyć demonicznemu dziecku. Byłam gotowa pójść z tobą, jak tylko Fiona się przygotuje. Oddałabym dla ciebie wszystko, ale ty nie chciałeś czekać. Ty, ze swoim piekielnym uporem i dumą... ty nie chciałeś mi zaufać. Potem odszedłeś, zniszczyłeś siebie i nic mi nie zostawiłeś. Ty umrzesz, ale ja będę musiała cię wiecznie takim widzieć i wiedzieć, co zrobiłam. Cóż to za miłość?

Usłyszałem syk noża wysuwanego z pochwy, a w tej samej chwili coś upadło na ziemię przed moim okiem. Małe, okrągłe... świecące słabo w burzliwym powietrzu... na bogów nocy, to symbol, który dałem jej w dniu naszego ślubu - złota obrączka, delikatna, rzeźbiona w róże i otoczona zaklęciami ochrony i wspomnieniami pełnymi miłości. Wpatrywałem się w nią tak mocno, że nawet nie zauważyłem ruchu jej ręki, jedynie poczułem palenie, gdy wbiła nóż głęboko w mój prawy bok.

Wstała i odezwała się do kogoś, kto do niej podszedł.

- Niech nikt go nie ratuje. Przyślijcie wieści, kiedy umrze.

Gdy rozpętała się burza, zalewając wzgórze Dasiet Homol ostrym deszczem, odeszła.

To był długi dzień na śmierć. Zimny deszcz, który uderzał w moje gołe plecy, zbierał się przede mną w kałużę, a z rany w boku ciągle wpływał doń ciepły strumień. Grzmoty i błyskawice szalały na wzgórzach, słaby grad próbował wbić mnie w ziemię i sprawił, że dwaj strażnicy zaczęli przeklinać pod nosem. Przypuszczałem, że zachowywali się tak cicho, ponieważ bali się, że demon może w nich wstąpić, kiedy moje fizyczne istnienie się skończy. Ja, demon.

Nie zamykałem zdrowego oka. Nie mogłem znieść samotności w mroku, wśród swoich myśli, z Denasem, którego głos na całe szczęście umilkł, choć czułem, jak jego gniew szaleje w moim wnętrzu niczym podziemna rzeka. Lepiej koncentrować się na jakimś nudnym przedmiocie - gładka, biała okrągłość kolumny, mrówka męcząca się, by ominąć topiącą się gradową kulę, grudka ziemi rozpływająca się w wodzie. *Wypełnij zmysły jego zwyczajnością - barwą, kształtem, fakturą i zapachem - a wkrótce nie będzie miejsca na inne, mniej wygodne doznania.* Galadon nauczył mnie tej techniki, by uzdrowiciel zszywał moje rany, nie podając mi leków tłumiących ból. Strażnik nie mógł sobie pozwolić na picie takich eliksirów. Ich zbyt wielka ilość mieszała w głowie. A teraz kiedy dałbym wiele za to, by coś przyćmiło moją świadomość, Ezzarianie wypełnili mnie tą beużyteczną mieszanką, która sprawiała, że czułem się sparaliżowany i bezsilny, ale pozwalała, by każdy ból ciała i umysłu był nieprzyjemnie wyraźny. Jakby nie wystarczyło, że musiałem leżeć i umierać na zimnym deszczu. Nie powinienem jeszcze o tym rozmyślać.

Błyskawica przeszła powietrze, tak blisko, że poczułem jej zapach, a zaraz po niej zabrzmiał grzmot. Burza musiała szaleć tuż nade mną.

Może to ona tak ciążyła mi na plecach. Po mojej twarzy spływały krople deszczu. Chciało mi się pić, lecz niewiele z nich docierało do moich ust. Od czasu do czasu ktoś wbijał tępy palec w moją szyję, a potem cicho odchodził, szepcząc „uparty bydlak”.

Uparty... gdybym tylko mógł to przyspieszyć, tak bym uczynił. Cieszyło mnie, kiedy zacząłem dostawać dreszczy, bo znaczyło to, że utraciłem już sporo krwi. Kiedy moje pole widzenia się zamgliło i zacząłem z trudem oddychać, spróbowałem zawrzeć pokój ze swoim życiem. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Ale cóż przyszło z tego bólu, smutku i krwi? To było najgorsze - umierałem, wierząc, że nic nie udało mi się osiągnąć.

Wkrótce nie potrafiłem się już skoncentrować i wszystkie niechciane wspomnienia uwolniły się, by szaleć w mojej głowie - dzieciństwo, szkolenie, bitwy z demonami, niewola... Tak wiele twarzy oskarżających mnie o zdradę, ślepotę i niedostatek: Aleksander i Blaise, mój syn i Kyor, i Drych, wszystkie martwe demony, ci wszyscy, ludzie i demony, którzy zginą w ciągu najbliższych godzin i lat. A przez cały czas przewijała się wśród nich

Ysanne, nici naszego życia łączyły wszystko inne. Od chwili naszego pierwszego spotkania nie minął nawet jeden dzień, w którym bym jej nie kochał. W dniu uwolnienia i powrotu do domu sądziłem, że żaden człowiek przede mną nie otrzymał błogosławieństwa, by zobaczyć urzeczywistniający się sen. A ona... ona powiedziała, że była gotowa oddać dla mnie tron... ale mój gniew mnie od niej odepchnął. Czy był na świecie żaloszny głupiec, który zniszczył się tak doskonale jak ja?

To wszystko budziło grozę... lecz gdy zimny deszcz padał, a moja krew wypływała, wspomnienia zostały zastąpione przez szalone wizje...

Jazda przez pustynię... plamy fioletowego i złotego piasku wznoszą się za nami, a Aleksander się śmieje. On uwielbiał pustynię. Czy jest coś równie pięknego, jak obserwowanie ludzkiej istoty upajającej się najczystszą radością? Złoty diadem na jego czole migotał w blasku słońca... niósł ze sobą słoneczne promienie niczym płaszcz zdrowia i śmiechu przez pelen cieni świat. Ale tam... na wydmach leżał cień... nic widzialnego nie mogło go rzucić, lecz nawet złocisty płaszcz Aleksandra go nie rozświetlał. Księżę nadal jechał, a choć próbował pozostać na grzbiecie wierzchowca, z cienia sięgnęły do niego kościste dłonie i ściągnęły go na dół... Zaczęły go rozrywać kawałek po kawałku...

A ja mogłem tylko obserwować z gorącego, pustego dziedzińca, gdzie klęczałem przed okrwawionym pieńkiem. Nie dali mi kaptura, by zasłonić straszliwy widok, i dlatego patrzyłem, jak moja nadzieja zostaje rozszarpana, i widziałem, jak topór kata zaczyna opadać...

- Nie! Nie! Ten więzień dziś nie umrze. Tak rozkazałem.

Oczywiście, że umrze. I to wkrótce. Proszę, jeśli jakikolwiek bóg zechce mnie wysłuchać, niech to się stanie szybko.

Unosić się w blasku dnia ze swoim towarzyszem... taka radość. Brązowo-biały ptak pokazał mi piękno, poprowadził mnie przez las przecinany promieniami słońca i dalej, nad górskie łąki, tak cudownie piękne... lecz słońce paliło moje nagie plecy, ślady po biczu pulsowały i bolały w upale. Dlatego opadliśmy w chłodny i zacieniony parów i podążyliśmy wzdłuż strumienia przecinającego białe skały. Tam, na zakręcie, turkusowa woda wirowała i łączyła się z mniejszym strumieniem o barwie najgłębszej zieleni. Razem tworzyły okrągłą sadzawkę... woda miała barwę klejnotów, marzenie artysty. Zanurkowaliśmy w wodę, głęboką, oczyszczającą, leczącą... ale teraz trzeba odetchnąć... Którędy do góry? Nie w tę stronę... jest ciemniej... o wiele ciemniej i tak zimno... to nie ta droga...w dół... ale woda zbyt obciąża moje plecy i nie mogę oddychać...

Obudziłem się gwałtownie, jakby ze snu o spadaniu. Błoto wlewało mi się do oka, ale nie mogłem go zamknąć. *Wkrótce. Wkrótce.*

Znów leciałem... szybowalem nad złocistymi wzgórzami Ezzarri. Jakże piękna była... spokojna... plamy czerwieni i niebieskiego toflokxy i ostróżki... szmery niewielkich strumyków przecinających łąki. Wspaniale drzewa... splecione żółte pnie... Gamarandy? A więc to nie Ezzaria... nie moja ojczyzna...

- Odejdź, intruzie, lub zamilcz, jeśli nie możesz mnie opuścić. Pozwól mi przynajmniej umrzeć w samotności. Pozwól mi wybrać swoje wizje.

Ale on nie chciał odejść. Milcząca istota dzieląca moją duszę pociągnęła mnie dalej, za las żółtych drzew, do miejsca, gdzie drzewa były spalone, a ziemię pokrywała gruba warstwa popiołu. Nie, nie. Byłem tutaj. To straszliwe miejsce. Żyję w tym miejscu i nie mogę tego dłużej znieść. Nie ma tu pokarmu.

Wkrótce. Wkrótce. Grzmoty były bardzo odległe. Ziemia pod moim policzkiem utraciła szorstką fakturę. Niczym w lochach Gastaiów przestałem czuć krawędzie swojego ciała. Zatonąłem głębiej...

Leciałem w górę, szukając niebieskiego nieba, pragnąc słonecznego blasku. Ale każdy ruch zbliżał mnie do ciemności, tej straszliwej plamy zasłaniającej mi pole widzenia - Tyrad Nor. Szary kamień, wyrzeźbiony w urwisku, pełen wdzięcznych iglic i łuków, ale straszliwy, okryty ciemnością. Zepsucie. Odleć. Trzymaj się z dala. Śmiertelnikom nie wolno się tu zbliżać. Ale ja nadal leciałem, przyciągany tam, świadom, że muszę zobaczyć. Krążyłem wokół murów, zarośniętych pnączami grubymi jak moje palce i porośniętymi kolcami niczym małe kosy. Tam, w grubym murze był wylom... a z wylomu wypływała ciepła krew, o barwie tak ciemnej czerwieni, że niemal czarna. Spływała po kamiennym urwisku do gamarandowego lasu. Płonącego, porażonego lasu.

Ktoś biegł drogą pode mną... jaskrawe światło, fioletowe, niebieskie i migotliwe szarozielone.

- Spóźniony. Zawsze spóźniony. - Śmiech... czarujący, psotny śmiech... złagodził przygniatającą ciemność fortocy. - Dokładnie moich rozmiarów, nie sądzisz? Aż do kolejnego wylomu, oczywiście, ale tym będzie się musiał zająć ktoś inny. Przepraszam, że nie mieliśmy czasu zobaczyć razem świata.

I światło zawirowało ze śmiechem, wpłynęło w wylom i zapieczętowało go...

Nie! W końcu wybuch bezradnej wściekłości wyrwał mnie z wizji. Obok mojej twarzy zebrała się kałuża deszczu, a woda nie poruszała się z moim oddechem. *Vyxagallanxchi!* Czy to prawda, co mi się przyśniło? Czy dokonał tego, co planował, oddając swoje życie? To nie

w porządku, że nigdy się nie dowiem. *To daj sobie spokój, głupcze. Każdy jest szalony lub martwy... albo będzie, już wkrótce. Wystarczy.* Zapadałem się w niepamięć, już była na wyciągnięcie ręki... ale nie mogłem jeszcze uciec...

Forteca... krwawy wylom w murze... wirujące niebieskie i fioletowe światło wlewa się do wylomu i pieczętuje go... chroniąc nas wszystkich przed wypływającą rzeką śmierci i ognia... Ale to nie koniec opowieści.

Z fortecy zabrzmiał ryk wściekłości... żądzy zemsty... szaleństwa. Krążyłem wysoko niczym orzeł szukający nowego miejsca na gniazdo wśród szczytów. Słońce zbladło i zapadło się pod góry na dźwięk przekleństw więźnia, a ja pod osłoną nadchodzącej nocy zacząłem się zbliżać. Kiedyś śniłem o lodowym zamku i była to trudna lekcja, którą musiałem poznać... a teraz jeszcze to. Musiałem zrozumieć... zobaczyć twarz swojego bezimiennego wroga, tego, który zniszczy świat...

Stał na chłostanych wiatrem szczytach swojego więzienia, ciemna sylwetka na tle szarego kamienia i czarnego nieba. Noc zapadła w mi czeniu, wschodzący księżyc pociemniał, a tchórzliwe gwiazdy schowały się za kłębiącymi się chmurami. Bliżej. Zataczaj kręgi i otwórz zmysły. Pochłaniający mrok... tak znajomy. Znałem to zło. Chciałem odlecieć, ale niczym wezwanie Strażnika przyciągające demona do pola walki, tak mnie wzywała prawda skryta w fortecy. Gdy się zbliżałem, odwrócił się do mnie, a jego szaty załopotaty na wietrze... czarne szaty ze srebrnym lamowaniem. W jego twarzy płonął niebieski ogień zimniejszy niż wichry Kir'Vagonoth. Jego twarz... napiętnowana symbolem niewoli... a kiedy rozłożył szeroko ręce, ujrzałem, że ma skrzydła...

Nie! Nie zrobię tego! To nie ja!

Lodowata ciemność wkradła się we mnie i zaczęła wyżerać sobie drogę na zewnątrz.

- Przepuście mnie. Rozkazano mi sprawdzić, czy nie żyje. - Wyraźny głos był ledwo słyszalny na tle odgłosów padającego deszczu.

- Nikt nie ma prawa go dotykać prócz mnie, pani. Bogowie wkrótce go zabiorą. Po jego drugiej stronie zebrała się kałuża krwi.

- Czy wiesz, kim jestem, strażniku? Dostałam upoważnienie królowej. Chcemy mieć pewność. - Oczywiście. Pies strażniczy chciał wiedzieć, kiedy jej straż się skończy. Fiona.

- Przepraszam, kafyddo. Pospiesz się i pilnuj swoich zaklęć ochronnych. Demon wkrótce się uwolni.

Czyjś oddech, blisko. Chłodny, szczupły palec na szyi i delikatny nacisk dłoni na plecach. Krzyk drapieżnego ptaka. Łopot skrzydeł.

Przybyły sępy, pomyślałem. Kościsty, bezkrwisty posiłek dla ptaka i kobiety. Szkoda.

Już nie drżałem, a gdy woda zalała moje wytrzeszczone oko, świat zatonął w mroku.

* *

- Przekleństwo. Musiała cię wypatroszyć?

Można by pomyśleć, że mówiąca to osoba robiła dokładnie to samo, gdyż wbiła coś wyjątkowo ostrego w miejsce, gdzie bolało mnie najbardziej. Byłem zaskoczony, słysząc krzyk mężczyzny, i jeszcze bardziej, gdy uświadomiłem sobie, że to ja sam. Dziwne, że w ogóle coś słyszę. Myślałem, że nie żyję. Chciałem nie żyć. Uczucie ciągnięcia i pieczenia po przesywającym bólu wydawało się nawet przyjemne w porównaniu z pierwszym wbiciem. Albo następnym. I następnym. Od utraty przytomności powstrzymał mnie jedynie fakt, iż wszystko wydawało mi się takie nowe.

- Przepraszam. Dobra, przepraszam - zabrzmiało gdzieś zza moich pleców.

Nadal leżałem twarzą w dół. Moje ręce i nogi wciąż były związane, ale szmatami, nie sznurami, i nadal padało, choć już nie bezpośrednio na mnie. Moja głowa spoczywała na czymś miękkim i suchym, choć cały byłem przemoczony.

- Musiałam to zamknąć albo straciłbyś resztki krwi, które ci jeszcze pozostały. Przekłeta closina nie pozwala krwi skrzepnąć, a ja nie dysponuję wszystkim, czego potrzeba. Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy zabrać cię do kogoś, kto ma większe doświadczenie. Głupia babo, dlaczego się tego nie nauczyłaś, kiedy miałaś okazję?

Uświadomiłem sobie, że kobieta mówi sama do siebie, nawet jeśli część słów przypadkiem była skierowana do mnie. A skoro to Fiona, wiedziałem, że wcale nie chciała, bym ją usłyszał. I dobrze. Jedynymi odpowiedziami, jakie zdołałbym z siebie wydusić, były żalony krzyk i słabe jęki. Nim skończyła ćwiczyć szycie - w końcu uświadomiłem sobie, co robi - stałem się drżącym wrakiem człowieka.

Ku mojemu zaskoczeniu, gdy tylko owinęła mi brzuch suchym bandażem, rozwiązała mi ręce i nogi - zresztą i tak nie zamierzałem nigdzie się wybierać. Leżałem rozciągnięty jak rozgwieżdża w sadzawce pozostałej po odpływie, bo nie miałem siły się poruszyć. W mojej obolałej głowie unosiło się niewyraźne przekonanie, że Ysanne postanowiła się zabawić w Gastaia - zabić mnie, uleczyć i mieć przyjemność ponownie mnie zabić.

- A teraz trzeba ci napelnić żołądek.

Kiedy Fiona złożyła razem moje ręce i nogi i spróbowała przetoczyć mnie na plecy, znów straciłem przytomność. Sny o śmierci - wizje porażki, przeznaczenia i grozy - nadal

mnie nawiedzały i były o wiele bardziej wyraziste niż rzeczywistość z młodą Aife i jej tajemniczymi działaniami. Ale jeszcze nie umarłem.

* *

Jakiś czas później zdawało mi się, że znów leżę na deszczu. Topię się. Ale to tylko Fiona próbowała mi wlać wodę do gardła w chwili, gdy ja walczyłem z wizją niesławy.

- Nie zrobię tego! - krzyknąłem chrapliwym i słabym głosem i rozkaszałem się, gdy wciągnąłem w płuca wodę. - Nie zrobię tego. To nie ja.

Nawet kiedy moje zdrowe oko było otwarte, widziałem tylko ciemność... koniec świata spoczywający w moich rękach.

- No już, uspokój się. Rozerwiesz się. - Mocne ręce przytrzymały mnie, póki nie udało mi się obudzić, złapać oddech i opaść bezwładnie na poduszkę, która utrzymywała mnie w pozycji półsiedzącej. Przykrywał mnie płaszcz sięgający mi od szyi do kolan, co oznaczało, że najpewniej należał do Fiony. Tuż przy moich stopach płonęło niewielkie ognisko - czarodziejski ogień, gdyż dawał o wiele więcej ciepła niż powinien przy swoim rozmiarze. Podczas gdy kobieta nadal wlewała wodę do mojego wysuszonego gardła, ja przyjrzałem się otoczeniu - kępa niewielkich drzew, jakieś skały za naszymi plecami, wysoka trawa zdeptana przez nie więcej niż trzy lub cztery pary butów, głęboka cisza i niekończąca się wilgotna ciemność. Nie byliśmy w pobliżu ezzariańskiego obozu. To nie miało dla mnie najmniejszego sensu.

- Czy królowa rozkazała ci mnie teraz utopić? - spytałem. - Skończ z tym. Jak najszybciej, proszę.

Przetoczyłem się na bok, podciągnąłem kolana, by złagodzić ból w boku, i przycisnąłem dłoń do oka, na próżno próbując wymazać wizję. Choć zaprzeczałem jej prawdziwości, choć powtarzałem w duchu banały na temat prorocत्व i możliwości... czyż wizja z mojego pierwszego snu nie stała się prawdą? Zostałem własnym wrogiem. Sprowadziłem demoniczny legion na nasz świat, sprowadzając śmierć i zniszczenie. Żaden deszcz nie zmyje krwi z moich rąk.

Ktoś położył mi dłoń na ramieniu.

- Potrzebujesz wody.

- Potrzebuję śmierci. Czemu nie umarłem?

- Nie nadszedł jeszcze twój czas.

- Czy najpierw muszę kogoś zabić? Zacząć kolejną wojnę albo ją podsyć? Popęłnić kolejny głupi błąd? Moja żona uznała mnie za plugastwo. Ona zawsze ma rację. Ostrzegala mnie.

- Bardzo jesteś pewien swojej winy.

- Wymień choć jedną osobę, której nie zawiodłem.

- Najpierw musisz się napić i coś zjeść. Potem ci powiem.

Nie kłóciłem się z nią. Założyłem, że umierający więźniowie pilnowani przez przyszłą królową Ezzarii nie mają wielkiego wyboru. Fiona napełniła kubek płynem z niedużego kociołka, który stał przy ogniu.

- Masz. Spróbuj tego i zobacz, czy uda ci się to utrzymać. Wyciągnąłem rękę, lecz drżała tak bardzo, że Fiona ominęła ją i uniosła naczynie do moich warg. Rosół... z królika albo kuropatwy... esencjonalny i gorący. Sam zapach uświadomił mi, jak potwornie jestem głodny... i jak bardzo mnie mdli. Odepchnąłem kubek i zwymiotowałem większość wody. Miałem wrażenie, że nóż Ysanne nadal tkwi w moim boku.

Atak nudności mnie oszołomił i wkrótce znów leciałem nad rzeką krwi, by zająć przeznaczone sobie miejsce w forticy ciemności. Obrazy i słowa nakładały się na siebie, aż nie potrafiłem już odróżnić wizji od rzeczywistości.

Zataczaj kręgi... obserwuj... Nie masz innego domu poza tym... czeka na ciebie prawda... wspaniałość... chwala... pokój. To twoje miejsce. Należy do ciebie z racji urodzenia.

- Myślałam, że już nie wrócisz, starcze. Co z Derzhimi? Jakies ślady?

- Nic. Żadnego poruszenia.

Szybowałem i nurkowałem niczym sep. Nie, Vyxie, nie rób tego. Musisz mi powiedzieć, co to za miejsce. Kim jestem? Gdy dotknąłem stopami szarych blanków, ognista strzala przebiła mój bok, wystrzelona z niewidzialnego łuku, a lodowa włócznia zagłębiła się w moje plecy. Nie mogłem powstrzymać krwawienia.

- Niech mnie, jeśli wiem, czy zrobiłam to jak należy. Wygląda paskudnie. Pięćdziesiąt odcieni fioletu. Nigdy nie zszywałam ciała... a to taka głęboka rana...

Uskrzydłona postać zaczęła się obracać, bym zobaczył jej twarz, lecz ja zasłoniłem oczy. Nie! Nie! Proszę. Na bogów wszechświata, niech to nie będę ja. Krew spływała z moich dłoni... krzyki cierpienia... wszędzie śmierć...

- Musimy poczekać i zobaczyć. Problem polega na tym, że nie możemy go przenieść wystarczająco daleko... a on jest taki słaby...

- Młody Strażnik wciąż żyje, lecz Poszukiwacze wyczuli demona. Nadchodzą szybko...

Młody Strażnik... Drychu, nie umieraj... Słodka Verdonne, pozwól mu żyć. Jedno życie, nawet bardzo krótkie... niech choć jedno życie mnie nie obciąży.

Znów byłem związany... nie, tylko trzymano mnie mocno. Ramiona mnie piekły, pierś wypełniał ogień. To tylko zdecydowane ręce mnie unieruchamiały. Z rozpaczyny nie mogłem oddychać. Nie potrafiłem zebrać myśli.

- Opowiedz mi historyjkę, Fiono. Opowiedz mi coś o życiu.

- Chodź, Seyonne... musimy się ruszyć. Królowa nadchodzi, by cię odebrać. - Twarz Fiony rysowała się przede mną niewyraźnie, a za nią znajdowała się linia białych świateł, rozciągnięta w ciemnościach niczym sznur świecących pereł.

Nieduża, przysadzista postać dyszała ciężko, pakując kociołki i kubki do plecaka. Kopnięciem rozrzuciła ogień. Balthar.

- Przepraszam, że cię wcześniej nie ostrzegłem. Te stare kości nie poruszają się zbyt szybko. Wysłali zwiadowców niedługo po tym, jak uciekłaś. Myślałem, że udasz się dalej.

Fiona wsunęła mi ramię pod plecy.

- Nie mieliśmy czasu. Za długo trwało omijanie strażników. Niech to przekleństwo, co teraz?

- Ona za kwadrans tu będzie.

W moim zamroczonym umyśle nagle zapanowała zadziwiająca jasność. W zadziwieniu wpatrywałem się w młodą kobietę.

- Fiona, coś ty zrobiła?

- Przestań gadać. Zachowaj siły, żeby się ruszać. Baltharze, pomóż mi wnieść go na te skały.

- Tam wysoko? Kobieto, oszalałaś?

- Musi dotrzeć do miejsca, gdzie przyjaciele go odnajdą. Dalej, staruszku. On nic nie waży. Nie ma w sobie krwi.

Nim zdążyłem zamrunąć i pozbyć się reszty zmieszania, Fiona chwyciła mnie kościstymi rękami pod jedno ramię, a Balthar swoimi okrągłymi i miękkimi pod drugie. Jak na kogoś, kto nic nie waży, sprawiałem im wyjątkowo dużo kłopotów. Ledwo widziałem ziemię, nie wspominając już o sensownym stawianiu stóp. Na wpół zanieśli, na wpół pociągnęli mnie w górę stromej, pełnej kamyków ścieżki na szczyt niewielkiego kamiennego występu osłaniającego niszę i źródło. Później mój świat zawirował, a oni opuścili mnie niezgrabnie na ziemię.

- Bądź cicho i nie wychylaj się. Baltharze, nie pozwól mu spaść z urwiska. - Lekkie kroki podążyły znów w dół ścieżki.

Przez chwilę trzymałem głowę na kolanach, czując zawroty głowy i nudności. Nie mogłem się odzywać ze względu na ból w boku i słabość w głowie. Nie byłem w stanie zadać żadnego z tysiąca pytań, jakie rodziło zachowanie Fiony. Starzec zamruczał coś współczująco, ale szybko odsunął się ode mnie w stronę krawędzi skał.

- Kafyddo! - Rozkaz Ysanne zabrzmiał głośno w nocnej ciszy. - Co ty sobie wyobrażasz?

- Chcę uchronić królową przed zabiciem małżonka, pani. - W młodym, silnym głosie nie słyszało się śladu wysiłku szybkiej wspinaczki i zejścia.

- Seyonne już nie żyje.

- Ma w sobie więcej życia niż cały ezzariański naród razem wzięty, pani. Więcej łaski. Więcej honoru. Nie pozwolę mu umrzeć. - *Fiono. Fiono. Nigdy nie klóć się ze swoją królową.* Udało mi się zebrać siły, by unieść odrobinę głowę i zobaczyć rząd czarodziejów wyłaniający się z zagajnika. Ich białe światełka migotały spokojnie, niczym małe krople księżycowego blasku. Nie widziałem Fiony, która musiała stać tuż przede mną, u podstawy skał.

- Czy pojmujesz konsekwencje swoich czynów, Fiono? Wszystkie przygotowania... próby... umiejętności... zmarnują się. Pozwoliłaś, by demon cię skaził... Miałaś być królową Ezzarii.

- Wszystko, czym żyjemy, jest kłamstwem, pani. Wierzyłam, że jeśli przyjdę do ciebie i opowiem ci tę historię tak, jak wyjawiał mi ją ten człowiek, odkryjesz prawdę. Myślałam, że ta, którą tak głęboko kochał i która miała przywilej poznać go tak blisko, wysłucha jego wiadomości i z pewnością mu zaufa. Ale ty trwasz w swojej ślepotcie... nawet wobec najcenniejszej rzeczy, jaką posiadasz.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?

- Zatrzymaj swój tron, pani... i swoją wojnę. Ja z tym skończyłam.

- Zepsucie! - Talar wygłosiła wyrok i w tej chwili Fiona znikła z pola widzenia Ezzarian. Ich spojrzenia straciły ostrość, zaprzeczając jej istnieniu, ich umysły wyrzuciły z siebie wszelkie o niej wspomnienia, a ich języki zapomniały jej imienia. Doskonale znałem uczucie głębokiej samotności, jakie przepełni młodą Aife, gdy Ezzarianie odwrócą się i odejdą. Ale nie wątpiłem w jej siłę. Jej wyprostowane plecy nie ugną się pod ciężarem ich odrzucenia.

- Znajdźcie demona - rozkazała gniewnie Ysanne. - Nie zaszedł daleko. Wykrwawcie go na śmierć.

Nie dało się nie zauważyć nieodwołalności słów Ysanne. Nawet gdybym przed jej obliczem przeobraził się w samego Valdisa... moje życie z Ysanne się skończyło.

Zakończenie zimniejsze niż lodowy grób. Złagodzenie takiego bólu zajęłoby całe życie, zakładając, że człowiek miałby całe życie, by się temu poświęcić. A jednak Fiona zrobiła to, o co ją błagałem. Oparłem głowę na gorącej, wilgotnej dłoni i uśmiechnąłem się. Ktoś znał prawdę i znajdzie sposób, by działać dalej. Jak mogłem w nią wątpić?

- Przekleństwo na nieskończoną nadętość Ezzarian - warknął Balthar ze swojego miejsca nade mną. - Wspinają się na górę. Co z tobą zrobić?

- Odejdź - wyszeptałem. - Wśród Ezzarian nie masz przyjaciół. Będziesz martwy przed świtem. - Noc mnie nie ukryje. Poszukiwacze wyczuwali mojego demona od samego Dasiet Homol. Stroma wspinaczka ich nie spowolni. - Gdy będzie po wszystkim, znajdź Fionę i pomóż jej.

- Ale...

- Odejdź, Baltharze. Pospiesz się. I niech towarzyszą ci moja wdzięczność i troska Verdonne.

- Niech bogowie cię chronią, Strażniku. Jesteś w ich rękach. - Delikatnie dotknął mojej ręki, zarzucił plecak na ramiona i pobiegł przed siebie.

Z lewej strony, najłatwiejszego podejścia dla koni, dochodził mnie tętent kopyt. Znajdą mnie na długo przed tym, nim Fiona znów wespnie się na wzgórze... a nawet gdybym miał siłę się poruszyć, nie wiedziałem, dokąd uciec. Przeobraziłbym się, ale nie pamiętałem jak. I dlatego pozostałem na klęczkach, obejmując brzuch rękami, próbując zachować spokój i trzymać głowę wysoko uniesioną. Nie przyniosę wstydu Fionie.

Wkrótce zabrzmiały krzyki.

- Tam, na krawędzi urwiska!

- Ostrożnie! Trzymajcie się w odpowiedniej odległości!

Nie musieli się tak martwić. Przeszywały mnie fale dreszczy i mdłości, a moje serce biło szybciej niż kopyta ezzariańskich koni.

Trzy różne pętle spadły na moje ramiona i zacisnęły się, wyprostowując mi plecy i rozrywając niefachowe szwy w boku. Zamknąłem oczy i zdusiłem krzyk. Nie krzyczałem dla Gastaiów. Nie będę krzyczeć dla Ysanne.

Spodziewałem się, że zostanę odciągnięty albo związany, napojony eliksirami i znów pocięty tutaj, na szczycie wzgórza. Ale wkrótce zapanowało zamieszanie. W krótkiej chwili hałasu, ciemności i potężnego zaklęcia, nad moją głową zabrzmiał głośny skrzek, a później krzyki, przekleństwa i dźwięk stali uderzającej o stal. Okrutne liny nagle się rozluźniły, i pewnie bym się przewrócił, gdyby nie mężczyzna, który zsunął się zwinnie z grzbietu konia i chwycił mnie w ramiona, nim upadłem.

- Na głowę Athosa, lepiej, żebyś nie był martwy, Seyonne. Nie pojawić się na umówionym spotkaniu z księciem to jedno, ale umrzeć bez jego pozwolenia to już cholerna impertynencja.

- Lepiej się pospieszmy, jeśli mamy utrzymać twój tożsamość w tajemnicy, panie. - Miętko akcentowane słowa zabrzmiały nad moją głową. - Ezzarianie odzyskują odwagę i za chwilę tu będą.

Gdy mój umysł nadal próbował dojść do ładu z cudacznym przekonaniem, że to Aleksander unosi mnie z ziemi, moje oczy ujrzały inny cud. W polu widzenia obok rudowłosego księcia pojawiła się druga zmartwiona twarz - szczupła, ezzariańska twarz o orlim nosie, ciemnych, skośnych oczach, emanująca spokojem, który musiał być dziełem Kir'Navarrin. Blaise.

Obaj unieśli mnie na siodło Aleksandra, księżę wskoczył na nie za mną, a Blaise dosiadł innego konia, na którego grzbiecie siedziała już Fiona. Chwila magii i opuściliśmy to miejsce... podróżowaliśmy... kilka kroków, pięćdziesiąt, sto lig, nie potrafiłem ocenić, gdyż świat zawirował, zabierając ze sobą moją głowę.

Rozdział 40

Ezzariańskie opowieści najpewniej nie będą miały zbyt wiele do powiedzenia o prowadzonych przez demony łotrach, którzy wykradli plugasrwo, nim go stracono. Jak to wyjaśnić? Wielki brązowo-biały ptak zagroził wydrapaniem im oczu; później nieznajomy Ezzarianin i rudowłosa wojownik Derzhich pojawili się znikąd i walczyli jak szaleni, by uwolnić zdrajcę, który właśnie został ponownie pojmany. A później cała trójka - bo oczywiście nie mogli wspomnieć kobiety, która już nie istniała - odjechała w księżycową noc, znikając na ścieżce, której żaden człowiek nie potrafił odkryć.

Minęły dwa dni, nim udało mi się zweryfikować własny ogląd wydarzeń, że to rzeczywiście Blaise, Fiona i Aleksander zaplanowali, jak uratować mi życie. Zabrali mnie do kamiennej chatki, którą znał Blaise, wysoko w górach na granicy Ezzarii, a tam owinęli mnie suchymi kocami i zasypali całym jedzeniem, napitkami i lekami, jakimi Aleksander mógł rozporządzać, a Blaise przenieść ukrytymi ścieżkami. Trzymali się blisko mnie, aż oszołomiony derzhyski lekarz, w podobny sposób przenoszony w obie strony, przekonał ich, że potrzebuję jedynie odpoczynku i pożywienia. Musiałem przyjść zmuszony do siebie, żeby nie utonąć w ich trosce.

* *

Całą historię poznawałem kawałek po kawałku. Fiona gorliwie dbała o to, by nic nie naruszało mojego spokoju, choć ja na swój pogmatwany, bełkotliwy sposób próbowałem jej powiedzieć, jak rozpaczliwie pragnę to wiedzieć. Powiedziała mi, że udało jej się „dostarczyć Blaise'a do bramy”, gdzie poddał się i przeobraził. Patrzyła, jak odlatuje w głąb dziwnej krainy za bramą, nie wiedząc, jakie ma szansę. Ale ponieważ ja zajmowałem Ysanne walkami za portalem, Fiona zdołała „wypaczyć ezzariańską blokadę”. Krótko mówiąc, upewniła się, że potężne ezzariańskie zaklęcie nie zadziała. Demony mogły przejść bez trudu - rzeczywiście, Aleksander potwierdził, że demoniczne zamieszanie w obozach Derzhich zakończyło się o świcie, jak to pochopnie obiecałem. Miast tego Fiona stworzyła blokadę Tkaczki dotyczącą

samego Merryta, która pokrzyżowała jego plany sforsowania bramy. Ponieważ zaporą była dziełem Strażnika, reszta Ezzarian myślała, że to efekt jego własnej pomyłki. Ale Fiona nie potrafiła wymyślić żadnego sposobu na wyciągnięcie mnie z kłopotów, póki jakimś cudem Blaise nie powrócił po zaledwie kilku godzinach spędzonych w Kir'Navarrin. We dwójkę wykradli mnie strażnikom Ysanne. Blaise słyszał, co mówiłem Kyorowi, i postanowił pojawić się na spotkaniu z Aleksandrem, więc nie miał czasu zabrać mnie dość daleko. To było dla Fiony długie popołudnie - czekała na powrót Blaise'a i próbowała utrzymać mnie przy życiu, gdy nie przestawałem krwawić. Resztę w większości sam pamiętałem.

Fiona się o mnie troszczyła, karmiła mnie, myła, wpychała lekarstwa do gardła lub rozsmarowywała je na paskudnej ranie w boku. Pomagała mi nawet w bardziej intymnych sprawach, gdy Blaise i Aleksander nie byli obecni, okazując przy tym zdecydowanie mniej zawstydzenia, niż ja sam odczuwałem. We trójkę opiekowali się mną na zmianę, gdy atak gorączki bardzo mnie osłabił, i śmiali się z zadowoleniem, gdy wymruczałem, że czuję się o wiele lepiej, i spytałem, czy mogliby przestać dyszeć mi w twarz.

Powinienem być zadowolony. Na ile potrafiliśmy ocenić, demony dotarły bezpiecznie do Kir'Navarrin, Ezzarianie powrócili do lasów za górami, a Derzhi nie pozabijali siebie nawzajem ani nikogo innego. Choć nie miałem żadnych dowodów poza wizjami, wierzyłem, że Vyx dokonał tego, co zaplanował... i zapłacił za to najwyższą cenę. Spałem jak głaz. Śniłem tylko wtedy, gdy się już obudziłem, i na tym właśnie polegał problem. Niepokój wywołany przez śmiertelne wizje utrzymywał się niczym posmak stęchłego wina, niczym zdradziecki kaszel oznaczający, że choroba nadal kryje się w płucach. Jeszcze nie skończyłem z mroczną fortecą w Kir'Navarrin. Któregoś dnia będę musiał stawić czoła przerażającym pytaniom, jakie stawiało Tyrrad Nor, choćby po to, by pojąć związek między legendą, prawdą i przeznaczeniem. Najpierw jednak musiałem znaleźć jakiś sposób, by każdego dnia żyć z tym, co zrobiłem, a nie wiedziałem, jak to w ogóle możliwe.

* *

Rankiem piątego dnia Aleksander przyszedł objąć swoją kolejną siedzenia przy mnie i pożegnać się. Musiał zaprowadzić żołnierzy z powrotem do Zhagadu, nim wybuchną kolejne niepokoje. Był to pierwszy dzień, gdy udało mi się usiąść, i Fiona opuściła nas na jakiś czas, pozostawiając drzwi do chaty otwarte, by wpuścić do środka trochę ciepłego powietrza.

Książę siedział na podłodze przy moim sienniku, opierając długie ręce na kolanach, a skośne promienie słońca z okna padały na jego buty i migotały na złotych naramiennikach.

- Czyli u ciebie wszystko w porządku? - spytałem.

- Przynajmniej na razie. Ta noc szaleństwa, ptaki wylatujące z mojego namiotu i atakujące strażników, koszmary, wizje, nieludzkie istoty patrzące oczami innych wojowników... któż wie, jakie będą plotki? Niektórzy wojownicy przysięgają, że widzieli skrzydłatego mężczyznę lecącego nad obozem. - Pytając uniósł brwi, lecz ja potrząsnąłem głową, a on mówił dalej. - Nie byłem pewien, jak to wyjdzie, kiedy ten Blaise przybył zamiast ciebie. Byłem nieco... zaniepokojony... jak pewnie się domyślasz. - Blaise powiedział mi, że Aleksander niemal wyrwał mu serce, nim udało mu się opowiedzieć o moim uwięzieniu.

- Ale udało ci się przekonać baronów, by odeszli bez walki?

- Oznajmiłem im, że podczas nocnych niepokojów dopadłem Yvora Lukasha i pokonałem w walce jeden na jednego. W nocy panowało takie zamieszanie, że nikt temu nie zaprzeczył. Dlatego, jak utrzymywałem, sam czarodziej uklęknie przede mną i odda mi swój miecz, przysięgając lojalność mojemu ojcu, mając ich wszystkich za świadków, i musi im to wystarczyć. Oni naprawdę nie chcieliby mieć cesarza, który poddaje się wszystkim kaprysom swoich baronów. Dlatego narzekali, ale jednocześnie byli szczęśliwi. - Westchnął ze zmęczeniem i bezmyślnie zaczął bawić się warkoczem. - Oczywiście, nigdy nie będą mi do końca ufać, a ja nigdy nie zaufam im. Wezmę ich synów i córki jako zakładników, zaaranżuję parę nieszczęśliwych małżeństw z lojalnymi hegedami i takie tam. Wiedzą o tym, więc pokój nie będzie trwał wiecznie. Ale na razie wystarczy. Tak długo, jak długo Blaise dotrzyma słowa.

- Nie musiał przyjść, panie. Ma wszelkie prawa, by gardzić i Derzhimi, i Ezzarianami: razem ze wszystkich sił staraliśmy się zniszczyć jego i jego rodzinę. A jednak był gotów za nas umrzeć tuż po tym, jak odzyskał swoje życie. Uratował i twój lud, i mój.

Aleksander oparł się o kamienną ścianę, a krzywy uśmiech przy wrócił blask jego oczom.

- O nie, mój strażniku. Wszyscy trzej wiemy, kto wszystkich uratował... ty, który nosisz w sobie część nas: Derzhich, Ezzarian... - jego twarz spoważniała - ...a teraz rai-kirah. - Odetchnął głęboko i potrząsnął głową, jak zawsze, gdy poruszał temat, z którym czuł się niewygodnie. - Któregoś dnia chciałbym usłyszeć od ciebie całą historię. - Jego bursztynowe źrenice spoczęły na mojej twarzy, lecz szybko odwrócił wzrok. - Kobieta powiedziała mi, co sądzisz o Ezzarianach i demonach, ale ja nie potrafię uwierzyć, że demon, który mieszkał we mnie dwa lata temu, kiedykolwiek był częścią czegoś dobrego. Muszę wiedzieć, czym jest dla

ciebie ta zmiana, gdyż nie mogę znieść myśli, że jest tak straszliwa jak...

- Popatrz na mnie, panie.

- Patrzyłem. - Poruszył się niespokojnie, starając się tego właśnie uniknąć.

- Proszę. To dla mnie ważne, byś to zrobił. Nikogo innego nie mogę o to prosić, ponieważ tamta dwójka nie zna mnie tak dobrze jak ty.

- Czego ode mnie chcesz?

- Popatrz na mnie i powiedz mi, co widzisz.

Bałem się tego, ale nie wiedziałem, kiedy nadarzy się kolejna okazja. Następne lata, gdy będzie szukał drogi do przeznaczenia, które płonęło światłem w jego duszy, okażą się pracowite i trudne.

Aleksander pokiwał głową i podniósł wzrok, szacując mnie twardym spojrzeniem, przeznaczonym zwykle dla sojuszników i koni. Nie miał w sobie żadnej magii, jedynie bystry wzrok, inteligencję i naturalną mądrość ukrytą pod młodzieńczą beztróską i dumą. Skrzywił się, wpatrując w moje oczy, lecz nie odwrócił się. Odezwał się dopiero po długim czasie.

- Jesteś tym człowiekiem, którego znam.

Odetchnąłem głęboko.

- Dziękuję.

Nie do końca mu wierzyłem, ale dodał mi ducha.

Zerwał się na równe nogi i naciągnął cienkie skórkowe rękawiczki.

- Wygnałbym tych Ezzarian na pustkowie z twojego powodu, Seyonne. Za to, że cię skrzywdzili, odciąłbym im ręce. Wiesz o tym.

- I tak zostaną odpowiednio ukarani, panie. Prawdę trudniej znieść niż rany. Zostaw ich.

- Zdrowiej, mój strażniku.

- Podróżuj bezpiecznie, mój księżę.

* *

Nie widywałem Blaise'a zbyt często. On również miał swoje obowiązki. Jak tylko lekarz Aleksandra ogłosił, że najprawdopodobniej nie umrę, banita pospieszył do Farrola, by zakazać mu organizowania dalszych wypadów. Powrócił dwa dni później, tuż po odejściu Aleksandra, i został tylko na kilka godzin.

- Byli nieco zaskoczeni, widząc mnie w dobrym zdrowiu - powiedział ze śmiechem, a jego brązowe policzki nabrały czerwonego odcienia. - Saetha cały czas głaskała mnie po policzku i powtarzała „nie szalony, nie szalony, nie szalony”.

Dzięki fragmentom wspomnień Denasa miałem pojęcie o procesie dojrzewania, jakiego wymagał Blaise i jemu podobni - i o nieodwracalnych konsekwencjach jego przerwania.

- Nie możemy odwrócić tego, co już się stało, nawet w Kir'Navarrin - odparłem. - Pewnie wiesz to lepiej niż ja.

Jak zawsze, radość na twarzy Blaise'a równoważyła smutek.

- Wiem. Ale mogłem powiedzieć Saecie, Gallitarowi i innymi o Kir'Navarrin i Studni, i o tym, że straszliwy los, który stał się ich udziałem, już nigdy się nie powtórzy. Myślałem, że nie przestaną się śmiać. A Farrol, Gorrid, Brynna i pozostali... pomyśl, co to dla nich znaczy... - Uśmiechnął się. - Przesłałem wiadomość wszystkim, których może to zainteresować.

- Upewnię się, że będziesz wiedział, jak otworzyć bramę.

W swoim czasie, po odpowiedniej nauce, Blaise zdoła rozwikłać zaklęcia Dasiet Homol. Brama należała do jego dziedzictwa, podobnie jak zmiennokształtność i tajemne drogi. Jeszcze nie pojął głębi swojej mocy.

- Powiedziałem Farrolowi, że powinien nadal dowodzić, ale on bardzo chciał przekazać przywództwo mnie. Nadchodzi zima i musimy zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. To nie będzie dla nich łatwe; teraz musimy się zastanowić, o co nam właściwie chodzi. Oznajmiłem im, że cuda, jakie widziałem, wymagają, byśmy przemyśleli swoje postępowanie. Wiesz, którą część opowieści wszyscy zgodnie uznali za najcudowniejszą? - Uśmiechnął się przebiegle.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Tę o księciu Derzhich opiekującym się rannym Ezzarianinem. Może i nie jesteś najniższym z jego poddanych, ale widziałem to w nim, gdy przyszedł po ciebie i się tobą zajmował... to wystarczy, bym go wysłuchał, nim znów zaatakuję.

- Nie pożałujesz tego. - Cóż, pewnie pożałuje, wiele razy... ale nie w ostatecznym rozliczeniu. Nie, jeśli pozna Aleksandra tak do brze jak ja.

- Mam nadzieję. A na razie... nie mogę dłużej zostać, choć... powinniśmy wiele przedyskutować. Muszę ci opowiedzieć o Kir'Navarrin. I wiele się nauczyć.

- Kiedy ta zdecydowana młoda dama pozwoli mi się podnieść, znajdę cię - obiecałem.

- Potrzebuję... - Nie umiałem określić, czego potrzebuję. Mając trójkę takich przyjaciół,

czułem się winny z powodu swojego ciągłego złego samopoczucia. Ale nie mogłem wymyślić lepszego miejsca, w którym udałoby mi się odzyskać spokój, niż cień Blaise'a.

- Wrócę po ciebie za tydzień od dzisiaj - powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu. - Wtedy pewnie już będziesz mógł podróżować.

Z uśmiechem i pełnym radości zakłębieniem przeobraził się, a ja patrzyłem, jak uderza skrzydłami i wylatuje przez drzwi chaty.

* *

Kiedy Blaise i Aleksander odjechali, Fiona i ja poddaliśmy się spokojnej rutynie snu, posiłków i siedzenia na zewnątrz, by wykorzystać ostatnie dni jesiennego ciepła. Trochę spacerowaliśmy; wspierałem się na jej silnym ramieniu, gdy kolana zgodziły się mnie utrzymać. Od kiedy przynieśli mnie tu z Dasiet Homol, Fiona była wyjątkowo cicha i nie wspominała o własnym kłopotliwym położeniu. Nie naciskałem jej, wiedząc, jak długo trwają rozmyślenia, gdy człowiek podejmie decyzję, której nie może odwrócić. Ale gdy dni mijały, a ona nadal milczała, zacząłem się obawiać, że jej leczenie nie posuwa się do przodu. Uznałem, że nadszedł czas, by zaczęła mówić.

- Co masz zamiar zrobić? - spytałem pewnego dnia, gdy przyniosła mi miskę wodnistej owsianki, wciąż najbardziej konkretnego pokarmu, jaki znosił mój zniszczony żołądek. - Jestem pewien, że Blaise z radością przyjmie...

- Nie zadręczam się, jeśli o to ci chodzi - odpowiedziała, podsycając ogień, gdyż robiło się coraz chłodniej. Przez otwarte drzwi widziałem, jak ostatni blask dnia blaknie na zachodzie. Delikatny, wonny wiatr zapowiadał zmianę pory roku. - Nie musisz się o mnie martwić.

- Martwienie się o ciebie nie stanowi dla mnie ciężaru, Fiono. Tysiące razy uratowałaś mi życie. I zrobiłaś dla mnie o wiele więcej... więcej niż kiedykolwiek pojdziesz. Naprawdę chcę wiedzieć, jakie masz plany. Sam się zastanawiam, co ze sobą zrobić.

- Myślałam, że udasz się do Blaise'a. - Wydawała się naprawdę zaskoczona.

- Na jakiś czas. Mam nadzieję, że nauczy mnie, jak przestać się sobą brzydzić. - Nie chciałem powiedzieć tego tak dobitnie. Nawet w myślach nie wyrażałem się tak otwarcie. Czekala mnie najtrudniejsza walka mojego życia i potrzebowałem... malutkiej nadziei, że ta walka będzie miała sens. - Ale poza tym nie wiem. Ten, który we mnie mieszka, milczy od chwili, gdy omal nie umarłem. Nie mam pojęcia, co to oznacza. Vyx twierdził, że kiedy

wejść do Kir'Navarrin, Denas umilknie na zawsze i staniemy się nierozróżnialni. Każda część mnie pragnie udać się do Kir'Navarrin, ale najpierw muszę się zastanowić, czy zdołam żyć z konsekwencjami, niezależnie od tego, jakie będą, czy też lepiej zostać takim, jakim jestem, cokolwiek to znaczy.

- A co z twoim synem?

- Mam nadzieję go zobaczyć. Ale Blaise jest jego opiekunem i razem postanowimy, czy to rozsądne. Nie będę narzędziem zniszczenia swojego dziecka.

- Zniszczenia? - Wrzuciła patyk do ognia, rozrzucając iskry po całej chacie. - Na bogów, czy ktokolwiek na świecie jest równie ślepy jak ty?

- Moje życie było pełne przemocy, Fiono. Gdziekolwiek się udałem, przynosiłem śmierć. To nie są zbyt radosne rozważania.

- Nigdy nie powiedziałam ci, kogo zabiłam przy Fontannie Gasserva - mruknęła. Wstała i podeszła do drzwi chaty, a linia jej pleców mówiła więcej o wadze tej opowieści niż jej spokojny głos.

- Nie musisz...

Ale ona nie przerwała.

- Miałam sześć lat, gdy Derzhi podbili Ezzarię. Moja historia niewiele różni się od historii innych dzieci. Widziałam, jak mojego ojca powiesili za nogi i rozplatali mu brzuch, zaś on wrzeszczał i bełkotał jak zwierzę. I widziałam, jak moja matka została zgwałcona przez wojownika Derzhich, który nosił na piersi symbol kayeeta. Wziął ją na oczach mojego ojca, a kiedy skończył, kazał swojemu słudze zakuć ją w kajdany i przerzucić przez grzbiet jucznego konia. „Jak już wypędzimy z niej te czary” - powiedział - „będzie z niej niezła dziwka”.

Fiona odwróciła się do mnie, ale stała tak daleko, że widziałem jedynie czarne studnie jej oczu. Dogasający blask zachodzącego słońca sprawiał, że otaczała ją aura, jakby sama przyjęła demona.

- Tego dnia ukrywałam się na drzewie... na tym samym drzewie, na którym powiesili mojego ojca i go rozplatali. Zostałam tam dwa dni, bałam się zejść, bo musiałabym go dotknąć, i myślałam, że Derzhi nadal nas szukają. Ale obiecałam duchowi ojca, że odnajdę matkę i uratuję ją... dziecko nie wie nic o zepsuciu. I tak... dobrze wiesz, jak żyliśmy przez kolejne lata. Choć nasze życie było ciężkie, Talar uczyła mnie dyscypliny, historii i praw, a później odkryła, że mam talent, więc zaczęłam szkolenie Aife...

- Ale byłaś również Zbieraczem, więc mogłaś odwiedzać miasta i szukać matki. To dlatego udałaś się do Zhagadu. Szłaś śladem herbu z kayeetem... hegedu Fontezhich.

Zajął mi to dziewięć lat, ale ją odnalazłam. Powiedziałam sobie, że duch ojca oczyści ją z zepsucia. Kuchenna niewolnica rozpoznała moje pochodzenie i dość chętnie przyznała, że kobieta imieniem Carryn nadal mieszka w tym domu. Błagałam ją, by przekazała wiadomość, a ona się zgodziła. Kiedy wróciła, powiedziała, że Carryn będzie zajęta przez cały wieczór na dziedzińcu pana, ale spotka się ze mną o północy przy Fontannie Gasserva. Nie mogłam czekać. Wspięłam się na mury i obserwowałam każdą przechodzącą osobę z nadzieją, że ją zobaczę. Fontezhi urządzał tamtego wieczora ucztę... zebrały się setki gości i obsługujące ich setki niewolników. Nie widziałam mojej matki. Lecz była tam rodzina pana: jego pierwsza żona... Derzhi, dumna kobieta, ignorowana przez wszystkich... a później przyszła druga żona, nie Derzhi, lecz odziana w jedwabie i klejnoty, i usiadła z uśmiechem u jego boku... i ich dzieci, trójka, czyste, dobrze odżywione i odziane w piękne ubranka...

Łatwo było uzupełnić jej skąpe słowa.

- Ożenił się z nią, a ona urodziła mu dzieci. Wydawała się szczęśliwa. Uznałaś, że widzisz najpełniejszy obraz zepsucia.

Trudno było jej przerwać, równie trudno jak powstrzymać przyływ.

- Kiedy tej nocy przyszła pod Fontannę Gasserva, siedziałam na jednej z kamiennych ławek. Miałam na twarzy zasłonę, lecz kiedy zobaczyłam, jak wysiada z lektyki, zdjęłam ją, by na pewno mnie rozpoznała.

- I tak się stało?

- O tak. Zatrzymała się dziesięć kroków ode mnie i upadła na kolana. Trzymała dłonie przy ustach, śmiejąc się i płacząc. „*Tienoch havedd, dallyych*”, powiedziała do mnie. „Pozdrowienia mego serca, dziewczynko”.

- A ty... - Nie chciałem tego słyszeć... tak osobisty ból, którego nie mogłem złagodzić.

Ja wstałam i odeszłam, jakby nie istniała. Upewniłam się, że przejdę obok niej, by wiedziała, że to nie pomyłka.

- Ach, Fiono... To było trudne, ale to nie morderstwo. Teraz sama tego doświadczyłaś i przeżyłaś.

Lecz Fiona jeszcze nie skończyła.

- Następnego ranka przyszłam znów ją śledzić, jeszcze raz zobaczyć obraz zepsucia, bym już nigdy nie zapomniała. Dom spowijały żałobne draperie. Nie żyła.

- Nie wiesz...

Fiona usiadła obok mnie i podniosła kubek, bym mógł pociągnąć łyk wody.

- Doskonale wiem, Seyonne. Widziałam jej twarz.

- Nic dziwnego, że mnie nienawidziłaś.

Piętnastoletnia dziewczynka przekonała siebie samą, że to zepsucie niewolnictwa zabiło jej matkę, a nie jej własne okrucieństwo. A później mąż królowej został przyjęty z powrotem po pół życia w niewoli, mało tego, niektórzy twierdzili, że jest spełnieniem proroctwa. Zmuszona była słuchać, jak nauczam, że niewola nie może sprowadzić zepsucia, bo liczy się charakter duszy, a nie życiowe doświadczenia.

- Próbowałam cię nienawidzić. Przez rok bardzo się starałam, jak wiesz. Podążylam za tobą przez cesarstwo Derzhich, by znaleźć dowody, pewna, że jeśli wystarczająco długo będę obserwować i słuchać, poznam głębię twojego grzechu, splugawienia i mistrzowskiego oszustwa, i w ten sposób usprawiedliwię to, co zrobiłam. Ale ty nauczyłeś mnie wszystkiego o współczuciu, wybaczeniu i honorze. Pokazałeś mi moją winę i jednocześnie mnie od niej uwolniłeś. To nie są dary człowieka przemocy.

- Fiono...

- Niezależnie od tego, co zrobiłeś i co zrobisz, my troje... Blaise, księżę i ja... jesteśmy twoim dziełem... na zawsze zmienionym dzięki tobie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Fiona to zauważyła i z zadowoleniem pokiwała głową.

- A teraz połóż się i zaśnij.

Spełniłem jej polecenie. Nie miałem innego wyboru. Nim jednak pozwoliłem, by przyjemne zmęczenie i pełne serce zabrały mnie w zapomnienie, musiałem zadać jeszcze jedno pytanie.

- Nie odpowiedziałaś, Fiono, co zamierzasz teraz zrobić? Okryła mnie jeszcze jednym kocem i rzuciła zaklęcie, by podtrzymać ogień.

- Mój mentor uczynił się demonem, ponieważ wierzył, że to konieczne, by przywrócić światu porządek. Pójdę wszędzie, przeczytam wszystko, zapytam każdego... zrobię, co konieczne... by dowiedzieć się, czy ma rację. Czy ta odpowiedź ci wystarczy, mistrzu Seyonne?

Uśmiechnąłem się i opadłem na miękkie poduszki.

- Wystarczy.